

Fern Michaels

Cztery pory życia

Seasons of Her Life

Przekład: Maciejka Mazan

Dedykuję tę książkę komuś, kogo znałam

PROLOG

Przyjęcie z okazji ukończenia szkoły nie było dla Ruby Connors prawdziwym przyjęciem, ponieważ George Connors — jej ojciec — wymagał, by obiad z sześciu dań pojawiał się na ich stole przez okrągły tydzień. Dziś w menu znalazły się świeże owoce, zupa, sałata, fasolka i groszek z ogrodu, pulpety rybne, pieczone kurczę z nadzieniem, sos żurawinowy, tłuczone ziemniaki, sos z pieczeni i sucharki domowego wypieku do maczania w sosie oraz ciasto; ciężki tort przekładany masą czekoladową, grubą niemal na cal, i obłany warstwą lukru, który zdobiły zawijaski z kolorowego maczku.

Modlitwa dziękczynna dłużyła się nieznośnie. Ruby czekała niecierpliwie, aż ojciec wreszcie skończy, a ona będzie mogła zabrać się do jedzenia. Nie czuła głodu, ale musiała jeść. Co najmniej cztery razy w tygodniu wymiotowała po obiedzie. Patrzyła z nieprzeniknioną miną na ojca ładującego góry jedzenia na jej talerz. Jej młodsza siostra Opal już teraz miała łzy w oczach. Nigdy nie mogła dokończyć swojej porcji i musiała siedzieć przy stole do ósmej wieczorem, kiedy to matka owijała talerz pergaminem, by postawić go przed Opal następnego dnia przy śniadaniu. George Connors nazywał te koszmarnie posiłki „zapewnieniem bytu rodzinie”.

Opal Connors wylała nad nimi wiele łez, ale Ruby pozostawała niewzruszona. Nauczyła się robić to, co jej kazano, w przeciwnym razie okrutna kara spadała na nią natychmiast. Kiedyś ojciec zmusił ją do zlizania z podłogi soli, którą nieopatrznie rozsypała. Często bił ją aż do utraty przytomności. Gdyby się dowiedział, że wymiotuje po posiłkach, pewnie zabetonowałby jej usta.

Od jutra wszystko się zmieni. Jutro opuści ten dom i całe Barstow w stanie Pensylwania i nigdy nie wróci. Jutro pojedzie do Waszyngtonu, gdzie zamieszka ze starszą siostrą, Amber, i będzie pracować dla rządu.

Ruby patrzyła, jak ojciec nalewa do szklanek mleko dla niej i Opal. Nienawidziła mleka, bo po nim robiło się jej jeszcze bardziej niedobrze. Była to już druga szklanka, którą miała wypić, jedząc tort. Gdybyż choć jedno z rodziców powiedziało coś o jej pożegnalnym przemówieniu albo o dyplomie z wyróżnieniem... Wiedziała, że nie usłyszy ani słowa pochwały. Nigdy ich nie słyszała.

Przynajmniej na uroczystości pojawiła się ich sąsiadka, Grace Zachary. Siedziała w pierwszym rzędzie wraz z Paulem i swoim mężem i biła z zapamiętaniem brawo po przemówieniu Ruby, od czasu do czasu szczypiąc w ramię męża, który gwizdał przez zęby i krzyczał: „Brawo, Ruby!” Ileż razy Ruby żałowała, że to nie oni są jej rodzicami...

Kiedy tylko skończyła ciasto, poprosiła o pozwolenie wstania od stołu. George złapał ją za przegub.

— Zostaniesz tu, dopóki siostra nie skończy posiłku — oznajmił.

Serce Ruby zadrzało. Spojrzała na matkę wbijającą nienawistny wzrok w trójkącik ciasta, jakby było jej osobistym wrogiem. Ruby złożyła ręce na kolanach. Dzięki długoletniej praktyce nauczyła się zachowywać spokój. Ale kiedy George Connors opuścił pokój i wyszedł do szopy, zerwała się z miejsca i wrzuciła zawartość talerza Opal do paleniska pod kuchnią. Przez chwilę przyglądała się syczącym i strzelającym węglom, zanim przeniosła spojrzenie na siostrę.

— Zjedz to cholerne ciasto, Opal, i przestań beczeć — warknęła, ale w jej głosie nie było wrogości. Potem zwróciła się do matki:

— Przypuszczam, że mu o tym doniesiesz, jak zawsze — tym razem wrogość biła z każdego jej słowa. — Właściwie mogę ci powiedzieć, że codziennie wymiotuję tym cholernym żarciem. To także możesz mu wygadać — oświadczyła i opuściła pokój, nieświadoma, że oczy jej matki

wypełniają się łzami.

Zaczekała, aż jej żołądek zacznie się burzyć. Wtedy popędziła do łazienki i zwymiotowała.

CZEŚĆ PIERWSZA WIOSNA

1

1950

Niemal wolna. Niemal.

Ruby Connors rozejrzała się po pokoju po raz ostatni. Naprawdę opuszczała ten dom, ten pokój i wiedziała, że nigdy tu nie wróci. Jej wzrok padł na białe sztywne zasłony, wyflukane w wodzie z cukrem. Więcej się nie spotkamy, pomyślała z satysfakcją. Koniec z codziennymi przykrościami. I koniec z białym żelaznym łóżkiem, przykrytym tą idiotyczną kołdrą, zrobioną przez matkę z kawałków sukienek jej starszej siostry. Ruby nie znosiła zarówno kołdry, jak i Amber.

Kiedyś będzie miała taką śliczną sypialnię jak z katalogów Searsa i Roebucka. I toaletkę z falbankami z białej organdy, a także pasujące do niej zasłony — ale nie takie, które trzeba krochmalić. Będzie miała dywan zielony jak trawa i prawdziwą narzutę. Na każdym stoliku, w każdym kącie ustawi doniczki i wazon z kwiatkami, głównie ze stokrotkami, a na toaletce fotografie w srebrnych ramkach, przedstawiające jej kota lub psa. Wszystko będzie takie... żywe. Może nawet postawi tam fotografię Johnny'ego Raya, którą ukradła z magazynu „Photoplay”.

Usiadła na skraju łóżka; sprężyny skrzypnęły pod ciężarem jej czterdziestu pięciu kilogramów. W pokoju panował nieznośny upał, choć czerwiec dopiero się rozpoczął. Latem piekła się tu żywcem, zimą lodowaciała od arktycznych podmuchów ze strychu.

Niemal wolna. Niemal. Opuszczam ten dom i nigdy do niego nie wrócę, nigdy, podśpiewywała sobie cicho.

Spakowała się wcześniej. Teraz do swojej najlepszej, najmniej spranej sukienki przypięła odznakę organizacji religijnej i szkaplerz, na co zawsze nalegała matka.

Nosiła włosy ostrzyżone na pazia, z grzywką, choć nie o takiej fryzurze marzyła. Kiedy tylko będzie mogła, zrobi sobie trwałą i kupi kolorowe spinki do włosów albo parę wstążek, jeśli to właśnie jest modne w Waszyngtonie.

Ruby przesunęła wypastowanym pantoflem po plecionym dywaniku. Buty miała prawie nowe, podobnie jak skarpetki, ale czuć je było naftaliną. Pomyślała, że przypomina wieszak wyciągnięty ze starej szafy — chuda, wyblakła, zalatująca naftaliną! Opadły ją wątpliwości. Owszem, postępowała słusznie. Za nic nie zostałaby w domu i nie podjęłaby pracy w fabryce koszul. Znała dziewczyny, które skończyły szkołę rok czy dwa lata przed nią. Widywała je, kiedy wysiadały z autobusów w ubraniach sypanych nitkami. Zawsze wyglądały na wyczerpane i otępiałe. Matka nazywała fabrykę kieratem. No, ale życie z Amber także nie będzie usłane różami. Mimo to łatwiej znieść pedantyczną, przemądrzałą i kłamliwą starszą siostrę niż mieszkanie w domu i pracę w fabryce.

Ruby wyniosła walizki na korytarz. Do odjazdu zostały dwie godziny. Szybkim ruchem wygładziła kołdrę i wycofała się z pokoju. Sięgnęła ku drzwiom. Jeśli teraz je zamknie, przestanie istnieć. Rodzice przejdą nad tym do porządku i nigdy więcej o niej nie wspomną. Jeśli zostawi je otwarte, może czasem pomyślać: „To pokój Ruby”. Może... być może... głupie myśli, Ruby. Zatrzasnęła drzwi z wyzywającą aminą.

Dom jest taki cichy, pomyślała. Jej pantofle szurały po gumowej wykładzinie na schodach. Matka siedziała pewnie na ganku, łuskając groszek. Ojciec pojechał do miasta na pocztę i po zakupy. Twierdził, że Irma nie potrafi się targować. Opal miała lekcję religii. Będzie tęskniła za Opal. Konieczność zmusiła je do trzymania się razem przeciwko rodzicom i Amber. Przynęła Opal pisywać do niej listy na adres babci, a siostra obiecała nigdy nie pokazywać ich rodzicom. Czekwały ją ciężkie chwile bez wsparcia Ruby.

Drzwi zaskrzypiały, kiedy je otworzyła, i jeszcze raz — kiedy je zamknęła. Odczekała chwilę na ganku, na wypadek, gdyby ktoś ją zawołał. Koło jej kolana bzyknęła przelatująca pszczoła. Ruby zabiła ją gołą ręką. Amber pewnie pisnęłaby i poblądła. Ze względu na delikatność siostry, objawiającą się zwłaszcza pod koniec tygodnia, Ruby każdą sobotę trawiła na szorowaniu podłogi ganku, odkąd sięgała pamięcią. Już nie będzie musiała tego robić. Nadeszła kolej Opal.

Pobiegła ulicą, starając się nie pobrudzić butów. Minęła tartak, tory i warsztaty Riley'a, w których pracował jej ojciec. Przemknęła obok zakładów mechanicznych wuja, przebiegła przez most i wzgórze. Smród sfermentowanego piwa, dolatujący z knajpy Bendera kazał jej wstrzymać oddech. Wreszcie skręciła w uliczkę prowadzącą do domu babci.

Uśmiech zadrgał w kącikach jej ust. Żegnała się z babunią codziennie od dwóch tygodni, ale kiedy zamierza się nie wrócić, nigdy dość pożegnań. Dziś spotka się z nią po raz ostatni.

Niemal wolna. Niemal.

Zatrzymała się na chwilę, chłonąc widok babcinego domu, by na zawsze zatrzymać go w pamięci. Był to mały przysadzisty domek z polnych kamieni, otoczony podobnym murem. Nigdy już nie usiadzie na tym murku. Nigdy już nie położy się pod starym orzechem na podwórzu. Kochała to drzewo, jego nisko zwisające gałęzie, rozpościerające się jak ogromny parasol. Wymaże z pamięci wspomnienie rodzinnego domu, ale tego domku nie zapomni. Nigdy.

Kuchnia była duża i kwadratowa, wyklejona tapetą w wielkie róże, których jaskrawość przyprawiała ją niekiedy o zawrót głowy, ale babcia lubiła takie kolory. Na parapetach i półkach stały barwne doniczki z lśniącymi zielonymi roślinami, a w powietrzu zawsze unosił się zapach cynamonu i pomarańczy. Lniane zasłony, równie wesole jak tapety, babcia obszyła własnoręcznie zrobioną, czerwoną kordonkową koronką. Zmieniała je dwa razy do roku, kiedy myła okna z kolumienkami. Na podłodze leżało pstrokate linoleum. Ale Ruby najbardziej lubiła staroświecki piec na węgiel i garnki, w których nieustannie perkotały pomarańczowe skórki. W babcinej kuchni panowała atmosfera czystej miłości. Budynek przypominał dom jej rodziców, bo wzniosła go ta sama firma, ale miłość w nim nie zagościła. Od tej pory już nigdy nie zabraknie jej miłości.

— Ruby, to ty?! — zawołała z ganku babcia.

— Ja, babuniu! — Ruby przedarła się przez krzaki kalina, stojące w pełnym rozkwicie. Kiedyś zrobiła bukiet z ich gałęzi i postawiła w swoim pokoju, ale matka wyrzuciła go mówiąc, że nie życzy sobie robactwa w mieszkaniu. Później Ruby wyciągnęła ze śmietnika połamane resztki bukietu. Ucałowała czoło babci z głośnym cmoknięciem. — Dzisiaj szarlotka, tak? — Jej stryj John przepadał za szarlotką. Stryj Hank wolał placek z rabarbarem. Wieczorem na stole znajdują się więc oba te placki. — Znowu przyszedłam się pożegnać — roześmiała się.

— Wiedziałam, że się pojawisz — starsza pani odwzajemniła jej uśmiech. — Ładnie wyglądasz. Jadłaś śniadanie? — Ruby skinęła głową — Nie denerwujesz się podróżą do Waszyngtonu?

— Nie. No, może troszkę, ze względu na Amber. Ma po mnie wyjść i na pewno nie jest tym zachwycona. Ale w zeszłym tygodniu kupiłam dla niej prezent, więc będzie musiała być dla mnie miła. Zamierzam dołożyć wszelkich starań, żeby się z nianie pokłócić. — Niepokój w oczach babci świadczył wymownie o tym, że Ruby jej nie przekonała. — Wiesz, babuniu... Czuję się

inaczej... tak wewnętrznie. Zmieniam się albo już się zmieniłam. W każdym razie nie chodzi tylko o to, że wyjeżdżam. To coś innego... nie potrafię wytłumaczyć. Może to dlatego, że w przyszłym miesiącu kończę osiemnaście lat. Ale cokolwiek to jest, chyba nie musisz się martwić o Amber i o mnie. Uda się nam, naprawdę.

— Mam nadzieję — mruknęła pod nosem Mary Cozinsky. — Wywalczysz sobie swój teren i nie pozwolisz sobą pomiatać.

— Nie będziesz się o mnie martwić, babuniu?

— Będę się martwić codziennie, dopóki nie uznam, że nie mam już powodów do niepokoju. Ale także cieszę się za ciebie. Pamiętasz, jak mówiłyśmy o tym, że życie kobiety dzieli się na pory, tak jak rok. Teraz przeżywasz wiosnę swojego życia. To najlepsza pora, wszystko jest ciągle przed tobą. Będziesz rosnać, rozpościerać skrzydła, staniesz się wspaniałą kobietą, wiem to na pewno. Zanim w twoim życiu nastąpi lato, wyjdiesz za mąż, urodzisz dzieci. Do tego czasu zrozumiesz, na jakich zasadach działa ten cykl. Na razie twoja głowa jest pełna marzeń, trudno ci myśleć o czymś takim jak pory życia.

Ruby miała ochotę wykrzyknąć, że doskonale to rozumie, ale uświadomiła sobie, że jej ukochana babcia znajduje się u schyłku zimy życia. Lepiej już udawać, że jest nieprzytomna z podniecenia. Lepiej zmienić temat.

— Obiecałam pisać do Opal i przysyłać listy na twój adres — powiedziała. — Opal ci je przeczyta. Będzie w piątki myć ci podłogę w kuchni, a w środy chodzić na wieś po ser dla ciebie. Będzie zbierać czarne jagody i pomoże ci zrobić galaretkę, kiedy tylko zechcesz. Naprawdę potrafi porządnie pracować. Jeśli trzeba, będzie ci prasować bluzki na niedzielę. Możesz na niej polegać, babuniu. I myślę, że powinnaś przechowywać jej pieniądze, tak jak moje. Inaczej ojciec każe Opal składać je na tacę — w oczach Ruby zamigotała złość. — Dziś rano dał mi czek. Mnóstwo pieniędzy. Muszę zapłacić czynsz, kupować sobie jedzenie i żetony na autobus, i jeszcze masę innych rzeczy. Będę spłacać tę pożyczkę do późnej starości. Rodzice zwykle dają dziecku prezent z okazji skończenia szkoły. Ja nie dostałam prezentu. Dostałam czek na utrzymanie i ofiary na niedzielną tacę. — Ruby rozszlochała się jak małe dziecko.

— Jaka to suma? — spytała cicho Mary, gładząc ciemne włosy wnuczki.

— Dziewięćdziesiąt trzy dolary, sześćdziesiąt centów na datki i sześć tysięcy na utrzymanie.

— Mam dla ciebie prezent, Ruby — powiedziała łagodnie starsza pani. — Przestań płakać, bo będziesz miała czerwone i opuchnięte oczy. Uśmiechnij się do mnie, Ruby — poprosiła drżącym głosem. Ruby otarła łzy rąbkiem pachnącego fartucha babci.

— Prezent? — jej mokre oczy błysnęły.

— Ten... podarunek musi pozostać tajemnicą. Obiecuj, że nigdy nawet nie wspomnisz o nim Amber, choćby cię tak rozwścieczyła, że będziesz miała ochotę jej to wykrzyzczeć. I nie wolno ci o tym mówić ojcu. Nie teraz. Może kiedyś, kiedy będziesz bezpieczna i szczęśliwa. Obiecasz mi to?

— Babuniu, przecież wiesz, że tak. Nigdy nie łamię danego słowa. Nie pisnę o tym nikomu. Amber jest ostatnią osobą, której bym się zwierzyła.

Mary sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej gałgankowe zawiniątko. Ruby od pierwszej chwili wiedziała, co ma przed sobą. Westchnęła; oczy starszej pani pojaśniały. Ruby wstrzymała oddech. Minęło wiele lat, odkąd babcia pokazała jej skarb, tak pieczołowicie owinięty w watę, a potem w białą chusteczkę.

— Pierścień carycy! Och, och, och, jest jeszcze piękniejszy niż ostatnio! Naprawdę mi go dajesz? Wiem, że obiecałaś, ale myślałam, że... że chciałaś mi poprawić humor. Co będzie, jeśli ktoś mi go ukradnie? — Ruby wyciągnęła rękę.

— Teraz jesteś za niego odpowiedzialna. Musisz dopilnować, żeby nic mu się nie stało.

Klejnot był ciężki i miał kształt szerokiej obrączki, usianej diamentami — i rubinami. Ruby z wypiekami na twarzy usiłowała policzyć kamienie. — Ile ich tu jest?

— Mój Boże, nie mam pojęcia, dziecko.

— Jak sądzisz, czy jest wart dwieście dolarów? — spytała naiwnie. Starsza kobieta uśmiechnęła się do siebie i skinęła głową.

— Będę go strzec, przysięgam. Nigdy go nie włożę, obiecuję.

— Wyglądałabyś w nim śmiesznie. Ten klejnot jest przeznaczony dla królów. Nawet żona prezydenta nie ma czegoś choćby w połowie tak wspaniałego. Tylko ty to masz, Ruby.

Kiedy dziadek jeszcze żył, w każdą niedzielę po nabożeństwie raczył ją opowieściami o pierścieniu. Im więcej wypił, tym dziwniejsze stawały się te historie. W końcu ani Ruby, ani jej babcia nie wiedziały już, czy caryca nagrodziła dziadka pierścieniem za przysługę, czy też ukradł go jej, jak twierdził odurzony piwem, którym tylko w niedzielę mógł się raczyć do woli.

— Myślę, że dała go dziadkowi, bo był młody i piękny. Prawdziwy Kozak. Prawda, babuniu?

Mary nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko tajemniczo. Wyciągnęła małą karteczkę.

— Pod tym adresem mieszka w Waszyngtonie pewien człowiek. Kupi od ciebie pierścień, jeśli kiedyś zechcesz go sprzedać. Twój dziadek, aby mi zapewnić byt, nosił się z takim zamiarem. Nie mogłam się na to zgodzić. Twój wujowie, Tom i Hank, zajmą się mną. Poza tym — zachichotała — mam takie powykręcane palce. Po co mi pierścień? Jest twój, dziecko. Chociaż kiedy umrę, a twój ojciec odkryje, że go nie ma, zacznie się piekło.

Oczy Ruby znowu wypełniły się łzami. Owinęła pierścień i schowała do kieszeni.

— Nie mogę się doczekać, aż skończę osiemnaście lat. Mary uśmiechnęła się.

— Podaj mi salaterkę z jabłkami. Nie poganiaj czasu dziecko, i bez tego mknie jak szalony.

— Myślisz, że ktoś oprócz ciebie mógłby mnie pokochać? — wyrzuciła z siebie Ruby. Mary uśmiechnęła się głęboko.

— Uważam, że chłopcy będą ustawiać się do ciebie w kolejce, błagając, żebyś zechciała pójść z którymś do kina.

Ruby pokraśniała.

— Jestem taka zwyczajna... gdybym miała trwała... Kupię sobie szminkę, i może perłowe kolczyki. Odłożyłam trzydzieści cztery dolary. Ojciec nie wie o nich. Pewnie wystarczy mi na dwie nowe sukienki, jakieś buty do pracy i... biustonosz — dodała figlarnie. — Piersi mi jeszcze urosną, trzeba tylko cierpliwie poczekać.

Starsza pani uśmiechnęła się z ukontentowaniem, patrząc na chłopięcą figurę wnuczki.

— Lepiej idź już do domu, Ruby, zanim George zacznie cię tu szukać. Bądź dobrą dziewczynką. To znaczy, dobrze wychowaną panienką.

— Nie przyniosę ci wstydu, babuniu. Nie martw się o mnie. Opal zajmie się — tobą, bo ja już tu nie wrócę!

— Wiem o tym, Ruby. Nie chcę, żebyś wracała. Chcę, żebyś zapamiętała mnie taką, jaką jestem teraz, a nie w tych fioletowych szmatach, jakie wkładają na człowieka przedsiębiorcy pogrzebowi. To dlatego dałam ci pierścień już dzisiaj. Nic tu po tobie, Ruby, więc trzymaj się z daleka od tego miejsca. Przysyłaj mi swoje zdjęcia. Amber napisała, że ma aparat fotograficzny.

— Rany, ale się ojciec o to wściekł! — zachichotała Ruby. — Zdjęcia wrzucił do pieca, niestety, mógł drzeć się tylko na mamę. Wykrzykiwał, że aparat to narzędzie szatana. — Ruby opadła na kolana. Spojrzała żarliwie w oczy babci. — Nie wiem, czy kiedykolwiek pokocham kogoś tak bardzo, jak kocham ciebie. Nigdy nie powiedziałas mi złego słowa. Nawet gdy na to zasługiwałam. Będę codziennie o tobie myśleć. Dotrzymam tego, co obiecałam, i nigdy nie będziesz musiała się za mnie wstydzić. Zapamiętam cię taką, jak dzisiaj. Kiedy się zestarzeję,

będę obierać jabłka tak jak ty, żeby skórka była długa, cienka i nigdzie się nie przerywała. — Przysunęła się do babci i objęła ją.

— Na pewno się nie obrazisz — spytała ochryple — jeśli nie przyjadę na twój pogrzeb?

— Obrażę się, jeśli przyjedziesz. Jeśli to zrobisz, będziesz musiała spotkać się ze swoim ojcem. Zdecyduj się.

— Nie przyjadę — oznajmiła Ruby drżącym głosem.

— To dobrze. Uciekaj już — zarządziła Mary.

Ruby pocałowała ją po raz ostatni i zbiegła z ganku na ulicę. Nie chciała myśleć o łzach spływających po policzkach babci. Niemal wolna. Niemal.

* * *

Mary Cozinsky opadła bezwładnie na stary wiklinowy fotel na biegunach. Właśnie opuściła ją jedna z najdroższych sercu osób. Tak wiele ich odeszło. Postawiła salaterkę z jabłkami na podłodze i wyjęła różaniec z kieszeni fartucha. Wzniosła oczy ku niebu i zaczęła się modlić prostymi słowami, płynącymi prosto z serca: „Chroń moją małą Ruby. I, Boże, jeśli postanowisz wysłać jej ojca, a mojego syna George’a do piekła, nie będę kwestionować twojej decyzji”.

Wiedziała, że dzień wyjazdu Ruby nadejdzie; a jednak nie była przygotowana na tę pustkę, na rozpaczliwe uczucie straty. Dała życie siedmiorgu dzieciom i kochała je gorąco — z wyjątkiem George’a — ale Ruby była kimś wyjątkowym. Kiedy jej wnuczka miała siedem lat i mogła już sama przechodzić przez ulicę i tory, zaczęła odwiedzać dziadków każdego dnia, a czasem nawet dwa razy dziennie. Bardzo szybko podbiła ich serca. Kiedy George zabronił jej do nich przychodzić, ojciec nie dał mu wyboru: albo pozwoli Ruby odwiedzać dziadków, albo zaprzępaści swe szanse na udział w spadku.

Za tę zgodę Ruby płaciła upokorzeniami i utratą wolności. Kiedy inne dzieci bawiły się i dokazywały, Ruby czytała Pismo Święte — co prawda z przygodami Nancy Drew ukrytymi w środku. Mała chuda dziewczynka gotowała i sprzątała, załatwiała sprawunki i drżała ze strachu w przeklętej celi, którą nazywała sypialnią. Jedynie w domu dziadków mogła być sobą i kwitła w promieniach ich miłości, z ochotą robiąc wszystko, o co ją poprosili. Początkowo nie umiała przyjmować nagród — dwadzieścia pięć centów tu, pół dolara tam, pyszne desery, przywiązanie Sama, starego ogara, który zdechł tuż po jej dwunastych urodzinach. Jego odejście dopełniło czary rozpaczy. Stary Sam wiele razy zlizywał łzy z policzków Ruby, gdy płakała zraniona perfidną złośliwością ojca. Dziadek musiał ją mocno trzymać, kiedy grzebali psa, bo chciała się rzucić za nim do wykopanego dołu.

Ta mała dziewczynka miała w sobie tyle miłości. Często do późna w nocy, kiedy Mikel był tak bardzo chory i bliski końca, rozmawiali o Ruby i o tym, co się z nią stanie. W końcu Mikel wezwał do siebie matkę i porozmawiał z nią poważnie, Irma wymamrotała piskliwym głosem, że nigdy nie sprzeciwi się George’owi, a Ruby robi to, co jej każą. Po ukończeniu szkoły pojedzie do Waszyngtonu, gdzie zamieszka z Amber i będzie pracować. Choć nikt tego nie powiedział głośno, było jasne, że Ruby zacznie spłacać swój dług, tak jak Amber spłacała swój. Zaproponowali, że wyłożą pieniądze w imieniu Ruby, ale Inna zaczęła wiercić się na krześle, kręcąc głową z zapamiętaniem. Aż dziwne, że zdobyła się na tyle sprytu, by zapytać, dlaczego tak interesują się Ruby. Mikel zmierzył ją spojrzeniem pełnym litości i odprawił do domu. Kiedy drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem, kazał sobie przynieść pierścień carycy i oznajmił: „Dasz to Ruby, kiedy nadejdzie odpowiednia pora”.

Dwie godziny po pogrzebie Mikela, gdy skończyło się już piwo i jedzenie, George spytał Mary, kiedy zamierza sprzedać pierścień. Pamiętała swoje słowa, jakby padły z jej ust przed

chwila: „Możesz uważać mnie za głupią Polkę, a ojca za głupiego Rosjanina, George, ale jesteś w błędzie. Twój ojciec spisał testament i pierścień należy do mnie. Mogę z nim zrobić wszystko co zechcę”. A potem wyrwało się jej mimo woli: „To Ruby poradziła nam, żeby napisać testament. Uczyła się o tym w szkole”.

Bracia George'a stali za krzesłem matki, dając wyraz swemu poparciu, ale byli bezradni, kiedy George wywlekał z domu krzyczącą i płaczącą Ruby. Odkąd Mikel odszedł, George pastwił się nad córką, miesiącami zabraniając jej wizyt u babci, ale Ruby pisała do niej listy i przysyłała je przez koleżanki.

Mary otarła oczy fartuchem. Zrobiła dla tego dziecka wszystko co mogła. Nic jej nie będzie, dopóki ma pierścień i zdjęcie Johnny'ego Raya. Uśmiechnęła się przez łzy kiedy pomyślała o osiemnastych urodzinach Ruby i o tym, co jej podaruje. Oczywiście pieniądze. Hank i John coś dorzucą, a ona będzie odnosić wszystkie oszczędności do banku. I może, może... zdoła zbierać sto dolarów. Już teraz wyobraziła sobie wyraz twarzy Ruby. Wnuczka kupi sobie wszystko, czego zapagnie. Prawdziwy portfel, nylony, może lakier do paznokci i nową bieliznę. Rzeczy, których potrzebuje każda dziewczyna, mieszkająca w mieście.

Co do George'a — Mary zapamiętała, by pomniejszyć jego spadek o sześć tysięcy dziewięćdziesiąt trzy dolary i sześćdziesiąt centów. Tylu rzeczy nie mogła wybaczyć swojemu synowi, choć wiedziała, że miał powody, by stać się tym, kim się stał. Powody zbyt straszne, by o nich myśleć. W miasteczku tak niewielkim jak Barstow, w którym na wąskiej, głównej ulicy stało zaledwie siedem sklepów i maleńka szkoła, przy rozmowach telefonicznych, pogaduszkach przy rozwieszaniu bielizny, ploteczkach podczas szycia kołder nie można było myśleć o utrzymaniu czegokolwiek w tajemnicy.

Historia rozniosła się ze szczegółami — jakiś starszy chłopak robił mu straszne rzeczy, skrzywdził go seksualnie, a miejscowa dziewczyna — łobuz, Bitsy Lucas stała obok, śmiejąc się, kpiąc i poganiając tamtego chłopaka. Mary zobaczyła w oczach syna prawdę o gwałcie w chwili, gdy George wszedł do domu, a on jej tego nigdy nie darował. Miał wtedy dopiero jedenaście lat i musiała zabrać go do lekarza, więc Mikel też się dowiedział. Od tej chwili patrzył na swojego syna z obrzydzeniem.

Właśnie wtedy — za sprawą Bitsy Lucas lub samej Mary, czego nigdy się nie dowiedział — George nienawidził wszystkie kobiety. Nienawidził jej tak samo, jak nienawidził żony, a nawet własnych córek.

Znowu poczuła w piersiach dobrze znany ból. Doktor, ten stary niedołęga, zakazał się jej denerwować. Prychnęła. Jak można się nie denerwować, mając George'a w rodzinie? Zdecydowanie nadeszła pora na drugi różaniec. Kojące modlitwy łagodziły ból niemal natychmiast.

Ruby zwolniła kroku, przekraczając linię torów, stawała się innym człowiekiem. Prawą rękę trzymała w kieszeni sukienki, pieszcząc czubkami palców ciasno owinięty pierścień. Miała nadzieję, że nie rysuje się zbyt wyraźnie przez materiał sukienki. Zaczęła spłaszczać płócienny węzełek. Może pomyśla, że to tylko zmięta chusteczka. Skrzyżowała palce lewej ręki. Czasami wydawało się jej, że ojciec ma w oczach rentgen.

Wiedziała, że rodzice czekają na nią na ganku. Nie spóźniła się. Do wyjazdu na stację zostało jeszcze dziesięć minut. Przebiegła przez trawnik państwa Zachary, wstrzymując przy tym oddech. Zatrzymała się za starą sosną i przez chwilę przyglądała rodzicom. Oboje byli wysocy, ale na tym kończyły się podobieństwa. Irma, nieprawdopodobnie chuda, miała wielkie, kościste stopy, czerwone dłonie i krótkie paznokcie. Jej jasnobrażowe włosy przypominały piórka strzyżyka. Ruby nie potrafiła określić koloru oczu matki; rzadko w nie patrzyła. Chyba zielonkawobrażowe. Albo orzechowe. Matka była zmęczoną, zniechęconą kobietą, ale potrafiła

ciepło się uśmiechnąć, zwłaszcza gdy Amber zrobiła coś, co się jej podobało. Pracowała niezmordowanie, nigdy nie pozwalając sobie na odpoczynek. Nawet gdyby chciała, to nie mogła, pomyślała Ruby. George pilnował, by wywiązywała się z obowiązków. Łazienkę należało szorować codziennie, od podłogi do sufitu. Podobnie podłogę w kuchni. Poniedziałek wyznaczył na pranie, wtorek na prasowanie, środę na pieczenie, a czwartek zmianę pościeli i mycie okien. W piątek sprzątały cały dom, a w sobotę szorowały ganek, odkurzały słoiki z przetworami w spiżarni i chodziły do spowiedzi. Jeśli przypadkiem trafiła się im chwila wolnego czasu, szły na maszynie lub zajmowały się ręcznymi robótkami. „Gdy ręce próżnują, diabeł się raduje” — mawiał jej ojciec. Gdyby była to prawda — w co Ruby nie wierzyła — Irma Connors byłaby już świętą. W tej chwili matka wyglądała na zdenerwowaną, stwierdziła Ruby. Zawsze się denerwowała, kiedy ojciec znajdował się w pobliżu, w obawie, że coś mogłoby się mu nie spodobać. Jej sposobem na przeżycie stało się bezwzględne posłuszeństwo mężowi i zupełne milczenie. Oczy Ruby pociemniały. Ojciec nie siedział w domu przez cały czas. Można było znaleźć chwilę na przelotne przytulenie, pogłaskanie czy ciepłe słowo.

George krążył po ganku z zaciętą i mroczną twarzą. Odkąd pamiętała, zawsze wyglądał w ten sposób. Muskularny, długonogi, w pomiętych roboczych spodniach i idealnie wyprasowanej koszuli. Jej koleżanki uważały go za przystojnego; ona twierdziła, że jest brzydki, zewnątrz i wewnątrz. Surowy i arogancki. Jego zimne, przenikliwe oczy lustrowały chodnik, wypatrując jej. Nawet z tej odległości Ruby dostrzegła, że zaciska wargi. Był zły — na nią, na los. Dwa razy w życiu widziała, jak te zimne oczy nabierają ciepła i za każdym razem patrzył wtedy na Grace Zachary, ich sąsiadkę. Często mówił, że Grace jest służebnicą szatana, zwłaszcza kiedy pokazywała się w kusych szortach i wydekoltowanych bluzeczkach. Ale Ruby darzyła Grace sympatią. Pani Zachary mówiła do niej „kotku” i „kochanie”. Lubiła ją jeszcze bardziej od chwili, gdy zauważyła, że sąsiadka nie czuje respektu przed jej ojcem.

Zadzwonili na Anioł Pański. Ruby wyszła zza sosny i pobiegła przez podwórko. Musi zdążyć przed ostatnim uderzeniem dzwonu.

— Spóźniłaś się, dziewczyno! — rzucił szorstko George. — Gdzie byłaś?

Ruby spuściła oczy, patrząc na popękana drewnianą podłogę. Już dawno nauczyła się unikać wzroku ojca.

— Poszłam do babuni, żeby się z nią pożegnać... ojczu.

Oczy George'a zwęziły się.

— Czy babka dała ci prezent?

— Nie, ojczu — bez wahania skłamała Ruby. Skrzyżowała palce w kieszeni sukienki. Babunia nie dała Amber żadnego prezentu na pożegnanie, więc ojciec nie miał powodu, by podejrzewać, że tym razem będzie inaczej. — Ale dała mi chusteczkę, bo zaczęłam płakać — powiedziała jeszcze, ponieważ bardzo pragnęła, żeby jej uwierzył.

— Sprzątnęłaś swój pokój, dziewczyno?

— Tak, ojczu. Dziś rano.

— Spakowałaś Biblię?

— Tak, ojczu. Wczoraj wieczorem.

Zanim wysiądzie z pociągu, wyrzuci tę cholerną Biblię. Jeśli Amber okaże się na tyle durna, żeby o nią spytać, powie, że skradziono ją w pociągu. Dziewczyno! Nigdy nie nazywał jej inaczej. Czy słowo Ruby było zbyt trudne? Albo kochanie, albo córeczko? Odważyła się rzucić szybkie spojrzenie na matkę, która natychmiast odwróciła wzrok.

— Zabierz swoje bagaże i nie guzdraj się. Wyprowadzę samochód.

Ruby zaczęła wspinać się po schodach, czując skurecz w gardle. Nie pomyślała o niej aż do chwili, gdy zaczęła zarabiać. Stojąc na korytarzu, w ostatnim porywie buntu kopnęła obie

walizki, strącając je ze schodów. Spadały z głuchym łoskotem. Ruby klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się, po czym zeszła na dół. Walizki zatrzymały się na ganku. Ruby spojrzała na matkę, pragnąc usłyszeć od niej coś ciepłego, miłego. Wystarczy samo spojrzenie, żebrała w duchu. Miała ochotę zarzucić matce dłonie na szyję i rozplakać się, ale nie zrobiła tego. Musisz mnie kochać, chociaż odrobinę, jestem twoją córką, błagała bezgłośnie, nie odwracając spojrzenia od twarzy matki. Pospiesz się, mamó, on wróci tu za chwilę, jedno słowo, jedno spojrzenie. Proszę, mamó! O Boże, powiedz to teraz, zanim będzie za późno.

Nie musiała słyszeć samochodu zatrzymującego się przed domem. Wystarczyło zobaczyć ulgę na twarzy matki.

— Zdaje się, że wkrótce zacnie padać — powiedziała Irma głośno, żeby George ją usłyszał.

— Dziś nie będzie deszczu, kobieto — odparł zimno.

Irma zatrzepotała powiekami, patrząc na ciemnoszare, kłębiaste chmury, lada chwila grożące burzą.

— Masz rację, George.

Ruby zaniósła bagaże do samochodu. Boże, czy matka nawet się z nią nie pożegna?

— Pożegnaj się z matką, dziewczyno — rozkazał George.

Ruby odwrócona plecami, zaczęła go szeptem przedrzeźniać: „Pożegnaj się z matką, dziewczyno”.

Ledwie skończyła mówić, zza rogu domu wypadła Opal, krzycząc na całe gardło:

— Rubyrubyruby! Myślałam, że nie zdążę! Poprosiłam siostrę Clementine, żeby zwolniła mnie o parę minut wcześniej. Powiedziała, żeby cię pożegnała w jej imieniu.

Ruby zauważyła ruch ręki George’a, i Opal zatoczyła się od ciosu. Ojciec uderzył ją prosto w usta, ucinając wszystko, co mogłaby powiedzieć. Oczy Opal wypełniły się łzami. Ruby przytuliła ją i szepnęła:

— Nie waż się rozplakać! Tego właśnie chcą, zwłaszcza on. Nigdy nie pozwól, by doprowadził cię do łez. Jak tylko odjedziemy, idź do babuni. Pomóż jej wałkować ciasto. Czeka na ciebie. Zostawię tę przeklętą Biblię w pociągu. Pomyśl o tym przed snem. No, idź. Stań na ganku, pomacham do ciebie. — Opuściła okno, wbijając spojrzenie w matkę. Irma odwróciła wzrok. Ruby pomachała Opal, walcząc ze łzami cisnącymi się jej do oczu.

Niemal wolna. Niemal.

* * *

Po trzech godzinach drogi, zanim pociąg zatrzymał się z jękiem w Harrisburgu, Ruby wreszcie poczuła się na tyle pewnie, by wstać i pójść do ubikacji mimo świadomości, że ściągnie na siebie spojrzenia wszystkich podróżnych. Wiedziała, że jest brzydko ubrana. Jej fryzura też była straszna. Nawet jedzenie miała okropne. Prędzej umrze z głodu niż wyjmie kanapkę z pastą jajeczną. Zostawi ją razem z Biblią.

Zastanawiała się przez całe pięć minut, zanim odkryła, jak splukuje się toaletę, a kiedy wreszcie tego dokonała, uśmiechnęła się od ucha do ucha. Tyle jeszcze musiała się nauczyć, tyle ją czekało: podróż pociągiem, nowe miejsca, łazienki, kolorowi. Jak mogła nie wiedzieć o tym wszystkim, a jednocześnie być dobrą uczennicą? Bo była; dyktanda pisała szybciej, niż inni, szybciej niż nauczycielka, panna Pipas. Na maszynie potrafiła wystukać niemal sześćdziesięciu słów na minutę. Bez żadnych pomyłek. Panna Pipas powiedziała, że Ruby jest najlepszą, najpilniejszą uczennicą, jaką kiedykolwiek miała.

Ruby wróciła na swoje miejsce, trzymając głowę wysoko, świadoma oceniających ją spojrzeń. Panna Pipas próbowała, w miarę swoich możliwości, przygotować Ruby na spotkanie z wielkim

światem, ale ona nie zwracała na to większej uwagi. Teraz żałowała, że nie słuchała uważniej.

Zauważyła, że wszystkie kobiety miały trwałą, nawet mężczyźni nosili inne fryzury niż te, które obowiązywały w Barstow. Z przodu wagonu jechali ludzie w jej wieku. Świetnie się bawili, śmiejąc się i żartując. Ruby pragnęła aż do bólu dołączyć do nich. Wtuliła się głębiej w siedzenie i wbiła wzrok w okno. Stukot kół na szynach wybijał słowo: Amber... Amber... Amber...

Niezależnie od tego, co obiecała babci, wiedziała, że nie uda się jej dogadać z siostrą, ona jej nie chciała. Ruby przeczytała list i podsłuchiwała fragment rozmowy rodziców, kiedy to George mówił, że jeśli Ruby nie będzie posłuszna siostrze, to wróci do domu i będzie pracować w fabryce. Co znaczy, że musi się podporządkować Amber.

Ale — Boże! — nie znosiła jej. Powodów miała aż nadto. Przypomniała sobie moment, w którym Amber, ośmiolatka, wepchnęła ją, pięcioletnią, do glinianki. Na samo wspomnienie zakrzuszyła się, tak jak wtedy. Gdyby nie zobaczył jej jakiś starszy chłopiec i nie wyłowił, pewnie by utonąła. Innym razem siostra zostawiła ją z nogą uwięzioną między szynami i poszła bawić się z dziećmi. Wtedy także dopisało jej szczęście, pewien stary górnik uwolnił jej nogę z pułapki. Naturalnie dostała lanie za zniszczony but.

Ruby nie mogła pojąć, skąd bierze się nienawiść Amber, dopóki babcia nie wyjaśniła, że jej siostra chciała być jedynaczką, wyobrażając sobie, że dzięki temu stałaby się bardziej kochana i chciana.

To częściowo usprawiedliwiało opowieści Amber, która twierdziła, że przyszła na świat jako aniołek, ze skrzydłami i aureolą. Mówiła, że miała być zabrana z powrotem do nieba, ale podczas podróży na ziemię pokaleczyła sobie skrzydła. Ruby uwierzyła, ale kiedy zdobyła się na odwagę, by wyjawić wszystko ukochanej babuni, starsza pani zaczęła się śmiać i powiedziała, że to straszne kłamstwo. Ponad godzinę Ruby cierpiała z powodu własnej łatwowierności. Przez całe lata naprawdę wierzyła, że jej siostra jest kimś wyjątkowym i że bardziej zasługuje na miłość niż ona, Ruby. Wróciła do domu i rzuciła się z pięściami na starszą siostrę. Amber wrzeszczała w niebogłoso, nazywając ją diabolicą. Ojciec zbił za to Ruby pasem, zamknął ją w pokoju na pięć dni i nakazał przeczytać całą Biblię. Pod koniec odsiadki dotarła zaledwie na dwudziestą trzecią stronę i znowu dostała lanie, kiedy nie potrafiła odpowiedzieć na żadne pytanie, jakie zadał jej ojciec. Ale najbardziej zabolął ją wtedy, gdy zakazał odwiedzania babci przez cały miesiąc.

Ruby otrząsnęła się; pociąg zatrzymał się ze zgrzytem w Harrisburgu. Widziała kilka dziewczyn liczących pieniądze i kupujących popcorn i chipsy. Miały klipsy i bransoletki. Lekkie kostiumy i pasujące do nich sandaalki. Były w jej wieku, może nieco młodsze, ale wyglądały na takie wyrafinowane i pewne siebie. Bez ryzyka mogła postawić swoje uciulane trzydzieści siedem dolarów na to, że każdą z nich rodzice ucałowali na pożegnanie. Jeśli kiedykolwiek będzie miała dzieci, obdarzy je miłością i czułością.

Wyłowiła z kieszeni dziesięć centów na butelkę pomarańczowego Nehi.

Postawiła butelkę na podłodze i sięgnęła po walizkę. Nadeszła odpowiednia chwila, by wyciągnąć Biblię i wcisnąć ją pod siedzenie. Zapamiętała, by wyrwać kartkę z nazwiskiem. Nie chciała nigdy więcej oglądać tej Biblii.

Ludzie patrzyli na nią, lecz nikt nie pośpieszył z pomocą przy zdejmowaniu mniejszej walizki. Wydobyła Biblię i położyła na siedzeniu, tytułem do dołu. Z powrotem postawiła walizkę na półce, zanim usiadła, nieznacznie wsunęła księgę pod siedzenie.

Pomyślała o kanapce z pastą, przyglądając się dziewczynom zajadającym chipsy. Prędzej umrze niż się ośmiesz, a domowa kanapka z pastą jajeczną jest śmieszna. Poza tym pasta cuchnęła jak bielizna ojca w dzień prania.

Ruby odprężyla się. Pusta butelka po napoju wylądowała pod siedzeniem, obok Biblii i kanapki z pastą. Ruby oparła się wygodnie i zaczęła wyglądać przez okno. Stukot kół ukotysał ją do snu.

Dziewczyny w wagonie zaczęły piszczeć, kiedy pociąg wjechał na waszyngtoński dworzec. Szarpnęło; Ruby przytrzymała się, mimo to zsunęła się z siedzenia. Ku jej przerażeniu Biblia i kanapka wyjechały z ukrycia na światło dzienne. Schyliła się, szukając butelki i zobaczyła ją o trzy siedzenia dalej. Czubkiem buta wsunęła Biblię i kanapkę tak daleko pod siedzenie, jak tylko mogła. Miała nadzieję, że para za nią nie zauważyła, jaki śmietnik zostawiła po sobie, ale kiedy mężczyzna pomógł jej zdjąć walizki zdała sobie sprawę, że jej tajemnice nikogo nie obchodzą.

Ruszyła do wyjścia obijając sobie nogi walizkami. Z wysiłkiem zesłała po trzech schodkach. Na dworze było ciemno i ponuro. Powlokła się wraz z tłumem podróżnych; przez syk pary usłyszała krzyki i śmiechy dziewczyn z wagonu. Ciekawe, co je tak rozweseliło.

Zauważyła Amber w chwili, gdy wyszła z dworca. Stała nonszalancko oparta o ścianę. Ruby przyglądała się siostrze przez kilka minut, zanim do niej podeszła. Wygląda niemal elegancko, pomyślała. Te zebrane do góry włosy i letnia sukienka. Żółte sandały wydały się Ruby najpiękniejszymi butami na świecie. Jednocześnie sama poczuła się bardzo brzydka. Jeśli się uśmiechnie, wszystko będzie dobrze. Jeśli nie...

— Amber, jestem! — powiedziała, stawiając walizki. Wyciągnęła ręce, by przytulić siostrę. — Czekam tu od godziny! — Amber cofnęła się, piorunując ją spojrzeniem.

Nie było uśmiechu. Ręce Ruby opadły bezwładnie.

— Musieli dodać wody czy czegoś tam w Harrisburgu. Słyszałam, jak ktoś narzekał, że się spóźnimy. To nie moja wina, Amber — tłumaczyła spokojnie.

— Pewnie moja, co? Chciałam dziś załatwić parę spraw, a ty, jak zwykle, wszystko zepsułaś. Nie stój tak, bierz walizki i chodźmy.

— Gdybyś poniosła jedną, byłoby szybciej — mruknęła Ruby.

Amber zamarła w pół kroku. Ruby usiłująca nadażyć za długonogą siostrą, wpadła na nią i powaliła na ziemię. Pomagając jej wstać, przeproszała.

— Odczep się. Patrz, co zrobiłaś! Zerwał mi się rzemyk u sandała. Jesteś tu pięć minut i już wszystko zaczyna się komplikować. Mnie nikt nie pomagał. Musiałam sama sobie radzić.

Ruby usiadła na walizce. Przeszyła siostrę mściwym spojrzeniem.

— Nie prosiłam, żebyś po mnie wyszła. Nie jestem głupia, sama bym trafiła. Idź sobie. Nie potrzebuję cię.

— Tego tylko brakuje. Jeśli odejdę, zawołasz policjanta i Bóg jeden wie, co mu nagadasz. Nie mówiąc już o tym, że zadzwonisz do domu i powiesz, że cię zostawiłam.

— Nie, Amber. To ty byś tak zrobiła, nie ja — powiedziała cicho Ruby.

— To się nie uda — jęknęła Amber.

— Mnie to mówisz? — mruknęła Ruby. — Poczekaj, dam ci prezent. Na świętego Nigdy.

— Że co? — chciała wiedzieć Amber.

— Powiedziałam — Ruby wymawiała każde słowo wyraźnie i powoli — że cię nie znoszę.

Śmiech Amber przebił się wśród zgietku tłumu; śmiała się aż do chwili, gdy wsiadły do autobusu mającego zawieść je do schroniska YWCA.

Amber obojętnie przyglądała się, jak Ruby szarpie się z dwiema ciężkimi walizkami, ale jedna z jej koleżanek, dziewczyna z farmy w Iowa, pobiegła do nich, żeby pomóc. Ruby miała ochotę rozplakać się ze szczęścia na widok szerokiego, ciepłego uśmiechu Ethel. Jeszcze chwila, a ręce z pewnością by jej odpadły. Amber uniosła wysoko klucz.

— Mieszkasz pod 809, na ósmym piętrze. Posłałam ci łóżko. Musisz się tylko rozpakować. Na rogu jest restauracja, jeśli jesteś głodna. Zapłacisz za naprawę sandała — wysyczała.

— Jakoś się tego spodziewałam. Dam już sobie radę. Dzięki, Ethel — dodała ciepło i Ruby odczekała, aż dziewczyny wsiądą do windy, zanim włożyła klucz do zamka.

Przekręciła gałkę. To ważny moment w jej życiu. Przekroczyła próg i wstrzymywany oddech uwolnił się w głośnym westchnieniu czystego szczęścia. Jej własny pokój!

Był maleńki, ale podłogę pokrywał dywan, a podwójne łóżko narzuta w szkocką kratę. W oknie wisiały kolorowe zasłony. Bieliźniarka miała cztery szuflady. Kraciaste obicie krzesła nie pasowało ani do zasłon, ani do narzuty, co zupełnie nie przeszkadzało Ruby. Całą jedną ścianę zajmowała szafa. Lustro było czyste i bez zadrapań. Zacisność, spokój, po raz pierwszy w życiu.

Zamknęła drzwi i ruszyła w dziki tan, wirując, skacząc po całym pokoju. Jej, tylko jej! Będzie tu taaaaka szczęśliwa! Amber nie zdoła jej tego zepsuć.

Kiedy wzięła swój pierwszy prysznic w życiu, zeszła na dół do restauracji na rogu po coś do jedzenia. Dostała przypalonego hamburgera, frytki ociekające tłuszczem i zwietrzałą coca — colę, ale posiłek smakował jej lepiej niż najlepszy niedzielny obiad, przyrządzony przez matkę. Potem wróciła do pokoju i zasnęła twardo, bez snów.

* * *

Następnego ranka poszła do kościoła Niepokalanego Poczęcia, na wypadek gdyby Amber lub rodzice wypytywali ją o kościół. Przysięgła sobie, że to ostatni raz przekroczyła jego progi. Resztą dnia spędziła, zwiedzając Waszyngton, zatrzymując się tylko po to, żeby zjeść coś lub odpocząć. Kiedy wróciła do YWCA, było już ciemno, padała ze zmęczenia, a Amber czekała na nią na korytarzu.

— Gdzie się szwendasz? — spytała.

— Byłam w kościele, tam, gdzie i ty powinnaś być.

— Nie kłam. Nawet nie wiesz, gdzie jest kościół.

— Na Ósmej. Jeszcze go nie znalazłaś? — zdziwiła się słodko Ruby. — Tato nie byłby zadowolony...

— Ty cholerna skarżypyto! Poczekaj, aż powiem ojcu o twoim zachowaniu.

— Chętnie zaczekam. A jeśli chcesz ze mną rozmawiać, możemy to zrobić w moim pokoju.

Amber poszła za Ruby, czekając, aż siostra otworzy drzwi. Usiadła na jedynym krześle w pokoju, wobec czego Ruby musiała przycupnąć na łóżku.

— Opłaciłam twoją podróż i miesięczny czynsz. Dam ci też pieniądze na przejazdy i wyżywienie w tym miesiącu, bo obiecałam mamie, że ci pomogę.

— Czemu kłamiesz? Ojciec powiedział, że masz to zrobić albo wrócisz do Barstow.

— To prawda. Powiedział też, że masz mi oddawać swoją pensję. Nie masz pojęcia o tym, jak obchodzić się z pieniędzmi.

— Może i nie mam, ale nie będziesz mnie uczyć. Zapomnij, żebym kiedykolwiek dała ci moje pieniądze.

Amber zaczęła się wiercić niespokojnie na krześle. Takiej Ruby jeszcze nie znała i nie chciała znać.

— Oto dwadzieścia pięć dolarów najedzenie i przejazdu. Oddasz mi, kiedy dostaniesz wypłatę za pierwszy tydzień. Jutro możesz kupić żetony na autobus. Bądź gotowa o siódmej trzydzieści. Jeśli się spóźnisz, pojedę sama. Umówiłam cię na ósmą trzydzieści, porozmawiają z tobą i zrobią ci test. Aha, powiedziałam im, że robisz przyzwoite notatki, więc lepiej nie przynieś mi wstydu.

— Będą gotowa. I nie martw się o moje notatki. Są bardziej niż przyzwoite. Podobnie jak pisanie na maszynie. Ale by było, gdybym zdobyła lepszą pracę i zarabiała więcej pieniędzy niż ty. — Spodobał się jej wyraz, który pojawił się na twarzy siostry.

— Pewnie! Wtedy o wiele szybciej spłacisz ojca — odcięła się Amber i majestatycznie ruszyła do drzwi.

Ruby natychmiast straciła humor.

* * *

Następnego ranka Ruby miała czas na szybką kawę i bułkę z cynamonem, zanim Amber i Ethel pojawiły się w drzwiach windy. Ethel uśmiechnęła się do niej, a Ruby odwzajemniła uśmiech. Amber spojrzała na nią wilkiem. Ruby ruszyła za dziewczętami w stronę przystanku, gdzie wraz z tłumem innych wsiadły do autobusu jadącego do St. Meyers. Wszystkie zmierzały do Pawilonu Marynarki. Od czasu do czasu Ruby podchwytowała spojrzenie Ethel. Prawdopodobnie dziewczyna zastanawiała się, co zaszło pomiędzy nią a Amber.

W Pawilonie, znanym też pod nazwą Budynku Urzędu Federalnego nr 2, dziewczęta się rozdzieliły. Amber pociągnęła Ruby w stronę drzwi z napisem „Personel”.

— Czekałam na ciebie. Sama znajdziesz drogę powrotną.

— A może by tak jakieś słowo otuchy? — mruknęła Ruby pod nosem. Amber wyglądała tak elegancko w letnim kostiumie i sztywno wykrochmalonej białej bluzce. Miała białe szpilki z odkrytymi palcami. Ruby chętnie zdarłaby je z nóg siostry, tak strasznie ich pożądała. Szwy w pończochach biegły idealnie równo. Amber zdołała dorobić się nawet zegarka i szpilki w klapie marynarki. Serce załomotało w piersi Ruby. Zazdrość jest grzechem, mawiał ojciec. Nie wierzyła w ani jedno jego słowo, ale babcia też tak mówiła, więc musiała przyjąć to do wiadomości.

— Ślicznie wyglądasz, Amber, jak aktorki w gazetach. Widziałam taki kostium w „Photoplay”, tylko że w różowe, a nie w niebieskie paski.

Amber wbiła w nią ciemne oczy.

— Wyjaśnijmy to sobie, Ruby, nie zostaniemy przyjaciółkami. Jesteś mi kamieniem u szyi i nie zdołasz nic wskórać swoimi komplementami. Każda żyje na własną rękę. Jeśli jesteś taka sprytna, jak twierdziłaś wczoraj, nie powinnaś mieć z tym kłopotów.

.Ruby poczuła ściskanie w gardle. Musiała pokonać zeszywniały język.

— Idź do diabła — powiedziała zduszonym, piskliwym głosem. — Mam nadzieję, że złamiesz sobie kark w tych szpilkach!

— Poczekaj, aż napiszę do domu, panno Złośnico — syknęła Amber. Nagle błyskawicznie zmieniła wyraz twarzy i uśmiechnęła się słodko do młodego mężczyzny w białym marynarskim mundurze. Mężczyzna skinął nieśmiało głową.

Przez następną godzinę Ruby walczyła o swoją przyszłość. Przeszła przez wszystkie testy z maksymalną prędkością, zbierając najlepsze oceny. Prowadzący test kilkakrotnie uniósł oczy, by spojrzeć na dyrektorkę. Zupełnie, jakby mówił: „Od czasu do czasu zdarza się jakaś zdolna”.

Kiedy skończyła, poproszono, by zaczekała w holu na wyniki.

Serce waliło jej jak młotem. Czy dostanie tę pracę? Jeśli jedynym kryterium jest przygotowanie, to tak. Jeśli ważny jest wygląd i ubiór, odpowiedź brzmi: „Nie”.

Czekała, obserwując gwarny korytarz, pełen młodych kobiet i wojskowych urzędników. Wszystkie dziewczęta były ubrane skromnie, lecz gustownie. Miała ochotę puścić się pędem w stronę najbliższego sklepu, gdzie mogłaby wydać swoje trzydzieści sześć dolarów.

Minęła godzina i w drzwiach ukazała się dyrektorka, siwiejąca kobieta w średnim wieku, prosząc ją do gabinetu. Miała tak życzliwą, łagodną twarz, że Ruby zapragnęła rzucić się jej w ramiona. Kobieta uśmiechnęła się.

— Uzyskała pani znakomite wyniki, panno Connors. Dawno już nie widziałam, żeby ktoś pisał na maszynie tak szybko i dokładnie. Pani notatki je słuchu są idealne, bez jednego błędu. Wszystko jest naprawdę znakomite. Czy może pani zacząć pracę od tego tygodnia?

— O tak, proszę pani.

— Mam posadę w sam raz dla pani. Kapitan Dennison potrzebuje sekretarki. Może pani zacząć od środy. — Mabel McIntyre zrobiła coś, co nie zdarzyło się jej jeszcze nigdy — skłamała, ale wiedziała, że nie będzie żałować. — Czasami dajemy naszym nowym pracownikom zaliczkę, żeby ułatwić im przeprowadzkę z... z ich rodzinnych stron do miasta. W pani przypadku jest to pięćdziesiąt dolarów. Przyjdzie pani do mnie w dniu każdej wypłaty i odda mi pięć dolarów. Czy to pani odpowiada?

— O tak, panno McIntyre. — W oczach Ruby pojawiły się nie skrywane łzy.

— Dobrze, a zatem postanowione. Jeśli zechce pani tu poczekać, pójdę do... do kasy i przyniosę pieniądze.

Mabel McIntyre przeszła do pokoju obok. Ruby dosłyszała, że każe pracującym w nim kobietom oddać wszystkie drobne, jakie mają przy sobie. Razem z jej własnymi uzbierało się sześćdziesiąt trzy dolary, gdy wróciła oznajmiła Ruby:

— Zdaje się, że się pomyliłam. Przysługuje pani prawo do sześćdziesięciu trzech dolarów. Ach, panno Connors, proszę... nie... to niemądre...

— Nikomu nie powiem — wyrzuciła z siebie Ruby, doskonale wiedząc, skąd pochodzą pieniądze.

— A zatem umowa stoi. Będę czekać w środę punktualnie o ósmej. Zaprowadzę cię do biura kapitana Dennisona i osobiście przedstawię. Polubisz go, a on na pewno polubi ciebie.

Ruby pochyliła się nad biurkiem i ujęła rękę dyrektorki. Być może kiedyś odwdzięczy się tej kobiecie za jej hojność. A do tego czasu będzie przynosić co tydzień pięć dolarów, aż spłaci zaciągnięty dług.

Gdy tylko opuściła Pawilon, skierowała się do Lerner, gdzie wybrała parę sztuk garderoby. Młodej ekspedientce wyjaśniła, w jakiej znajduje się sytuacji i wyznała, ile pieniędzy może wydać.

— No to zobaczymy, ile zapłacisz! — powiedziała dziewczyna, sprawdzając metki z cenami.

Ruby zacisnęła powieki.

— Wyrobisz się. Osiemdziesiąt cztery dolary, pięćdziesiąt centów. Dwie spódnice są przecenione.

Ruby westchnęła z ulgą.

— Jak ci się odwdzięczę? Będiesz tu w październiku, kiedy przyjdę kupić ubranie na zimę?

— Jasne. I na Boże Narodzenie też będę. Wystarczy spytać o Nolę Quantrell. To ja. Kup sobie jeszcze ładne buty. Zajrzyj do Henry'ego za rogiem. Ma bardzo przyzwoity towar.

Ruby pobiegła tam jak na skrzydłach. Kupiła parę szpilek niemal identycznych jak te, które miała Amber, a także drugą, czarną. W ostatniej chwili, pod wpływem impulsu kupiła jeszcze

żółte sandaalki.

W sklepie Super-X wydała resztki pieniędzy na płyn do domowej trwałej, spinki do włosów, lokówki, dwie kostki mydła i tubkę pasty do zębów. Starczyło nawet na szminkę i puszkę talku.

Wracając do YWCA, czuła się jak królowa.

Amber nie potrafiła ukryć zazdrości, kiedy w środę Ruby wystąpiła w nowej trwałej i na wysokich obcasach, w których nauczyła się poruszać, spacerując godzinami po korytarzu.

Amber była już wściekła, gdy dowiedziała się, że siostra została zakwalifikowana jako pracownik GS-3, co oznaczało, że ich pensje są wyrównane. Nowe ubranie dopełniło czary goryczy.

— Lepiej nie mów, że wydałaś na te ciuchy wszystkie pieniądze, bo prędzej umrzesz z głodu niż dostaniesz ode mnie choćby centa.

Ruby wiedziała, że siostra mówi najzupełniej serio.

— Babunia dała mi pieniądze — skłamała, nie mrugnawszy nawet okiem.

— Akurat — prychnęła Amber.

Całą drogę do pracy milczały. Amber gotowała się z wściekłości, ale Ruby uśmiechała się nawet wtedy, gdy weszła do gabinetu Mabel McIntyre. Z zapartym tchem czekała na to, jak dyrektorka zareaguje na jej nowy wygląd. Później zrozumiała, że jej zwierzchniczka, jako profesjonalistka, nie mogła pozwolić sobie na coś więcej niż iskierka rozbawienia w ciemnych oczach.

Ruby Connors ruszyła na podbój świata.

* * *

Czerwiec zbliżył się ku końcowi; lipcowe dni okazały się równie ciepłe i słoneczne, więc Ruby uznała, że to nowe życie bardzo jej odpowiada. Dzień urodzin minął jak wszystkie inne, z wyjątkiem kartek od babci i Opal oraz pensji w wysokości stu dolarów, które natychmiast oddała Amber, spłacając tym samym zaciągnięty u niej dług. Kiedy rozpoczął się sierpień i nieznośnie upalne dni, Ruby Connors przytrafiły się trzy rzeczy. Nawiązała znajomość z Nolą Quantrell, młodą, życzliwą ekspedientką od Lenera; kapitan Dennison oświadczył, że zamierza przenieść się do Pentagonu i polecił jej złożyć podanie o pracę, które poprze swą osobistą rekomendacją; Amber uznała, że pora wraz z czterema innymi dziewczętami wynająć mieszkanie. Twierdziła, że to bardziej opłacalne.

— Nie rozumiem — Nola Quantrell uniosła filiżankę kawy — dlaczego siostra zmusza cię, żebyś się z nią przeprowadziła? Nie pozwól jej na to, Ruby. Kiedy opowiedziałas mi o tym jaka potrafi być, miałam ochotę pójść do YWCA i stłuc ją na kwaśne jabłko. Jak zdołałaś z nią wytrzymać?

— Czasami sama się dziwię. Ale może da się znieść. Jeśli przyjmą mnie do Pentagonu, będę pracować dla admirała i zarobię mnóstwo pieniędzy.

— Ale wydasz więcej na czynsz, a ona każe ci też wysyłać więcej pieniędzy do domu. To bez sensu. Masz szansę zaoszczędzić trochę pieniędzy, dzięki czemu będziesz mogła chodzić ze mną na kursy wieczorowe.

— I tak mogę to robić, to znaczy chodzić na kursy. Myślisz, że mogłabym pracować u Lenera w soboty i może przez jedną noc w tygodniu?

— Nie przesadzasz? Już i tak bierzesz za dużo godzin nadliczbowych. Jak sobie z tym poradzisz?

— Jakoś muszę — uśmiechnęła się Ruby. — Wiem, że mi pomożesz. Oto lista, którą dziś rano Amber wsunęła mi pod drzwi. Mam dokładać się do pieniędzy na jedzenie i czynsz. Mam

również przejąć część obowiązków, a przejazdy też podrożeją, aż osiemdziesiąt dolarów na miesiąc. No i jeszcze będę musiała pożyczyć od Amber dwieście dolarów na przeprowadzkę. Kiedy powiedziałam, że się nie zgadzam, wiesz, co usłyszałam? Że zadzwoni o dziewiątej do ojca. A to oznacza, że albo przeprowadzka z Amber, albo powrót do domu. Ojciec przyjedzie i zawlecze mnie z powrotem. Zrobi to!

Nola oparła się o krzesło i zapaliła papierosa. Była jedną z najmłodszych pociech w jedenastoosobowej gromadce dzieci, nie licząc ośmiu sierot, którymi opiekowali się jej rodzice. Nauczyła się dbać o siebie, mając sześć lat.

— Może obiecaj ojcu, że zaczniesz przysyłać więcej pieniędzy, jeśli nadal będziesz mieszkać w YWCA? — zaproponowała. — Jeśli jest taki pazerny, może na to pójść.

— To Amber rozgrywa tę partię; jestem tylko pionkiem. Spróbuję, ale nie dziw się, jeśli nie znajdziesz mnie tu w przyszłym tygodniu. Boże, kiedy wreszcie osiągnę pełnoletniość! — westchnęła Ruby.

* * *

Spojrzenie Amber Connors ociekało jadem, kiedy Ruby pojawiła się w drzwiach YWCA pięć minut po dziewiątej. Amber była ubrana w żółty sportowy kostium z szerokim zielonym paskiem oraz dopasowane kolorystycznie sandały. Ozdobny zielony grzebień z chybotliwym piórkiem sterczał z jej fryzury pod nieprawdopodobnym kątem. Ruby omal się nie roześmiała; zapomniała jednak o rozbawieniu na widok wrogości w oczach siostry.

— Nie przeprowadzę się — rzuciła przez ramię, zmierzając w stronę windy.

— Powtórz to ojcu. Jeśli nie przeprowadzisz się ze mną, możesz zacząć się pakować, bo on zamierza tu przyjechać w niedzielę i zabrać cię do domu.

Ruby nacisnęła przycisk windy.

— Daj sobie spokój, Amber. Nie jadę. Sama powiedz to ojcu. — Weszła do windy. Amber nie odstępowała jej ani na krok. Ruby patrzyła przed siebie, lekceważąc siostrę.

— Jesteś naprawdę głupia, Ruby. Zachowujesz się, jakbyś mieszkała w pałacu. To tylko cholerne schronisko. W mieszkaniu będziemy miały swobodę; będziemy sobie gotować, będziemy miały lodówkę. Nawet ogród! Dostaniesz własny pokój. Czego więcej chcesz?

— Dokładnie tego, co mam. Jestem tu szczęśliwa. Nie trzeba mi nic więcej, nie teraz. Znajdź sobie kogoś innego.

— To niemożliwe. Ojciec powiedział, że jestem za ciebie odpowiedzialna i choć mi się to nie podoba, nie mogę tego zmienić. Nie chcę wracać do Barstow, a ojciec zabierze mnie razem z tobą, więc równie dobrze możesz zgodzić się już teraz.

— O ile się orientuję, tylko ty na tym zyskasz. Wyjaśnij dlaczego miałabym się zgodzić?

— Ty cholerna smarkulo, zawsze wszystko psujesz. Znienawidziłam cię od pierwszej chwili i nienawidzę do dzisiaj! — wrzasnęła Amber. — Obyś się nigdy nie urodziła!

Serce Ruby ścisnęło się boleśnie, ale zdobyła się na ostatni akt odwagi.

— Poproś mnie, Amber. Poproś, żebym się przeprowadziła, nie rozkazuj mi. Nie strasz mnie. Powiedz, że nie poradzisz sobie beze mnie. Nie opowiadaj mi bzdur o tym, co jest dla mnie najlepsze. To jest najlepsze dla ciebie. Powiedz to, Amber. Powiedz, że mnie potrzebujesz, a wtedy się dowiesz, co postanowiłam.

Amber zacisnęła wargi ze złością; jej oczy się zwężyły. W końcu powoli i z trudem przyznała:

— Dobrze. Potrzebuję cię.

— Dlaczego? — naciskała Ruby.

— Już mówiłam.

— Nie, jest jeszcze coś. Przejrzałam cię, Amber.

— Wszystkie mamy chłopców. Nie możemy tu przyjmować mężczyzn, a tam będziemy miały salon.

— Wszystkie? A więc i ty. No, no, aleś skryta, doprawdy. Chyba jest ślepy, głuchy i nienormalny, skoro cię polubił.

— To jak? Przeprowadzasz się? — spytała Amber, jakby nie słysząc obelg.

Ruby zdjęła walizkę z górnej półki szafy.

— Można mnie kupić, Amber. Jeśli cena jest dla ciebie zbyt wysoka, poszukaj sobie innej frajerki. Jak mu na imię?

Amber zareagowała odruchowo na ton rozkazu, brzmiący w głosie Ruby, zupełnie jak w głosie ojca.

— Nangi Duenas... — Oszołomiona mina siostry zachwyliła Ruby. Dziewczyna odłożyła walizkę na półkę.

— Ten Filipińczyk, który szwenda się po korytarzu? — roześmiała się tryumfalnie. — Filipińczyk! A to dobre! To tak, jakby chodzić z kolorowym! O rany, ojciec zawlecze cię do domu za włosy, kiedy się o tym dowie!

Amber rzuciła się na nią, nie panując nad furją, która ją ogarnęła. Zaciśnięta pięść Ruby wystrzeliła naprzód, trafiając w brodę siostry. Amber upadła na podłogę. Ruby patrzyła na nią z góry.

— Pamiętasz, jak cię stłukłam za te androny o aniołach? — wydyszała — Zrobię to znowu, teraz, zaraz. Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności... Ale wiesz co, Amber? Nie jesteś warta takiego wysiłku. Przeprowadzę się z tobą, ale nie będę ci winna ani centa. Już nigdy nie będę ci nic winna. Decyduj się!

— Ojciec ma rację. W tobie naprawdę siedzi diabeł. Zapłacisz mi za to, obiecuję! — rzuciła mściwie Amber, wypadając z pokoju.

* * *

Obudziła się w sobotni rano z przeświadczeniem, że nadszedł najlepszy dzień jej życia. Czowała dreszcz podniecenia, a jej oczy, błękitne jak niebo w letni dzień, jaśniały czystym szczęściem. Dzisiejszy dzień nie będzie podobny do innych; dzisiaj wszystko będzie inaczej. Miała kupić sobie nową sukienkę, specjalnie na tę potańcówkę. Zaraz poinformuje Amber, że się na nią wybiera. Poinformuje, a nie poprosi o pozwolenie — oto jej pierwszy manifest niepodległości. Przeżyła chwilę wątpliwości, kiedy zorientowała się, że na kupno sukienki musi przeznaczyć część pieniędzy na wyżywienie. I cóż takiego, jeśli przez tydzień będzie się żywić sucharami i zupą pomidorową? Nie umrze z głodu. Nikt by nie umarł.

I znowu wprawne oko Noli zlustrowało wieszaki z sukienkami, szukając tej jedynej, odpowiedniej dla jej przyjaciółki, sukienki wyzywającej i niezwyklej.

— Chwileczkę! Odłożyliśmy pewną sukienkę dla naszej klientki. To twój rozmiar, a dziewczyna nie zgłosiła się po nią. Mieliśmy wczoraj znowu powiesić ją w sklepie, ale chyba o niej zapomnieli. Jest... ach, jest niezwykle. Przyniosę ją.

Rzeczywiście, zwykła nie jest, pomyślała Ruby z przerażeniem, patrząc na sukienkę. Najcudowniejszą, jaką widziała! Wszystkie kolory tęczy i trzycalowa frędzla u rąbka spódniczki. Nie mogła się doczekać, by ją przymierzyć.

— Jest... skandaliczna. Mój ojciec padłby trupem na jej widok — roześmiała się.

— To byłby dobry sposób, żeby się go pozbyć — mruknęła Nola pod nosem.

— Ile kosztuje? — spytała Ruby, wciągając sukienkę przez głowę. Nola zajrzała do

garderoby. Nadeszła trudna chwila.

— Hm... dziewiętnaście dolarów. Dziewczyna, która chciała ją kupić, dała dziewięć dolarów zadatku, ale nie wróciła, więc możesz ją mieć za dziesięć dolarów. To okazja, Ruby, nie przegap jej.

— A nie przyjdzie po zwrot pieniędzy? — dociekała Ruby, wyglądając na biodrach idealnie dopasowaną sukienkę..

— Nie — skłamała Nola. — Jeśli odłożony towar nie zostaje odebrany w określonym terminie, klient traci pieniądze. To twój szczęśliwy dzień.

Ruby wróciła do YWCA, niemal frunąc w powietrzu. Z pietyzmem powiesiła sukienkę na wieszaku. Jest niewiarygodnie piękna, pomyślała. Gładka i kolorowa, jak lody.

Pięć godzin później Amber Connors, której wąska twarz skrzywiła się w grymasie wrogości kiedy Ethel zauważyła, że Ruby ładnie dziś wygląda, odprowadziła wzrokiem siostrę wymykającą się z YWCA.

A Ruby pędziła jak na skrzydłach. Czekał ją cudowny wieczór. Kiedy autobus, zatrzymał się na przystanku wysiadła z niego Nola. Zauważyła ją i uniosła rękę. Zza pleców przyjaciółki wyłonił się Nangi Duenas. Ruby poczuła, że wstępuje w nią diabeł.

— Cześć — uśmiechnęła się. — Jestem siostrą Amber. Czeka na ciebie.

Została wynagrodzona olśniewającym uśmiechem, ukazującym idealnie równe zęby, ale prawdziwą nagrodą było jego aprobujące spojrzenie.

Usatysfakcjonowana odeszła na bok i z podziwem przyjrzała się Noli w obcisłej zielonej sukience z jaskrawą, fioletową szarfą. Jej przyjaciółka miała ładną twarz w kształcie serca, czystą cerę i łagodne, ciemne oczy, które podkreśliła mocno kredką, a rzęsy — tuszem. Purpurowa szminka, mieniająca się fiołkowymi refleksami kolorystycznie współgrała z szarfą i wielkimi fioletowymi kolczykami. Ruby uznała, że wyglądają egzotycznie.

— Poczekaj, aż zobaczą nas komandosi z koszar — roześmiała się Nola hałaśliwie. — Wiem, że większość dziewczyn ubiera się w te małe, proste sukieneczki, no wiesz, takie grzeczne. A my wyglądamy na... doświadczone... no, jakbyśmy już były na tańcach. Uwierz mi, z pewnością nie będziemy podpieierać ścian.

Ruby zadrżała z podniecenia, kiedy stanęła na progu sali. Jeszcze nigdy dotąd nie widziała tylu osób w jednym miejscu. Chyba z tysiąc głosów rozbrzmiewał wewnątrz ogromnego budynku.

Nola torowała sobie drogę pomiędzy młodymi mężczyznami w mundurach — marynarzami w nieskalanej bieli, lotnikami w błękitach, piechotą w khaki i komandosami w oliwkowej zieleni. Młode kobiety szeleściły wykrochmalonymi halkami i zadawały szyku białymi rękawiczkami.

— Które piętro wybierasz?! — wrzasnęła Nola, przekrzykując huk orkiestry na pierwszym piętrze. — Tańce są na siódmym, piątym, trzecim i tym!

Ruby wskazała sufit.

— Idziemy! — krzyknęła znowu Nola. — Wyjmij pieniądze.

Ruby usłuchała. Zapłaciła dwadzieścia pięć centów i przystawiono stempelek na jej dłoni. Postanowiła nie myć rąk przynajmniej przez dwa dni. Chciała zapamiętać każdy szczegół tego wieczoru.

Przy wtórce ogłuszającej muzyki przeciskały się przez tłum. Tuż przed sobą Ruby dostrzegła porucznika piechoty morskiej, zagradzającego Noli drogę. Zamierzyła się, by wbić mu łokieć w żebra, ale w porę spostrzegła, że Nola uśmiecha się zalotnie. Odskoczyła, wpadając na kolegę porucznika.

— Andrew Blue! — przedstawił się gromko. — Czy mogę panią przeprowadzić przez ten tłum?

Ruby skinęła słabo głową, nie odrywając oczu od Noli. Nie pomyślały o tym, że mogą zostać rozdzielone.

Nola mrugnęła na Ruby, chwytając porucznika za pas.

— Dobry pomysł! — krzyknął Andrew — Złap się mnie, Tęczowa Panienko, a jakoś dotrzemy na siódme piętro. Jeśli nie padniemy z wysiłku.

Ruby posłuchała go bez namysłu. Jej ojciec nazwałby to miejsce gniazdem rozpusty. Roześmiała się głośno. Dzisiaj nie zamierzała zaprztać sobie głowy poglądami ojca.

Andrew jest przystojny, pomyślała. Wysoki i szczupły, i ma takie krótkie, płowe włosy. Mundur idealnie wyprasowany, a czapka złożona porządnie i zatknięta za pas. Zauważyła wesołe ogniki w błękitnych oczach młodego żołnierza i jego szeroki uśmiech. Zakotyssał biodrami w rytmie rumby; wybuchnęła śmiechem. Wiedziała, że on też się śmieje.

— Tutaj! — Nola przekrzykiwała ogłuszające dźwięki „Pennsylvaniana 6–5000”. — Siódme piętro! Co za muzyka! Zostańmy tu! Ja jestem Nola, to jest Ruby, a to — Alex — oznajmiła, wskazując na swojego partnera.

— Andrew — dokończyła prezentacji roześmiana Ruby.

— Zatańczmy! — Andrew ruszył w stronę parkietu. — Uwielbiam tańczyć, a ty?

— Mhm — mruknęła, usiłując przypomnieć sobie wskazówki Noli. Biodra w lewo, potem w prawo, potem obrót. Partner dokona reszty.

Andrew Blue jest fajny, uznała Ruby dwie godziny później, przedzierając się w stronę najbliższej ściany. Chciało się jej pić i musiała znaleźć łazienkę. Rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu Noli, ale nie mogła jej dostrzec. Wyczuł chyba jej niepokój, bo powiedział:

— Zaprowadzę cię, wiem, gdzie to jest.

Pomiędzy siódmym a trzecim piętrem zgubiła Andrew w tłumie marynarzy i chichoczących dziewcząt. Och, tak świetnie się bawiła, a frędzle u jej spódniczki tak cudownie ocierały się o jej nogi. Zauważyła, że niejedna dziewczyna spogląda zazdrośnie na jej sukienkę. Rzucała im spojrzenia pełne wyższości — po części ze względu na asystującego jej przystojnego porucznika, ale głównie z powodu sukienki.

Do damskiej łazienki prowadziła kolejka sięgająca aż na korytarz. Ruby stanęła w długim ogonku. Przystępując z nogi na nogę rozglądała się dokoła, aż napotkała spojrzenie pary ciemnych, rozbawionych oczu.

Był niższy od Andrew Blue o jakieś pięć centymetrów, a jego obcięte na jeża włosy połyskiwały jak heban. Miał duże uszy. Wpadła jej do głowy szalona myśl: zastanowiła się, czy umie nimi ruszać. Nie był przystojny, o nie, ale jego ciepłe brązowe oczy przykuły jej uwagę. Grek? Czy ten złocistomiodowy odcień skóry zawdzięczał rasie? Na pewno Grek, uznała Ruby, która nigdy w życiu nie widziała żadnego Greka.

— Masz iść, to idź! — wrzasnęła jej do ucha dziewczyna w błękitnej sukience.

— Co?

— Stoisz w kolejce czy nie?!

Wtedy Calvin Santos wybuchnął śmiechem, ukazując mocne, równe zęby. Ruby pokraśniała jak piwonია, kiedy się do niej zwrócił:

— Wiem, gdzie jest inna łazienka.

Ruby pozwoliła wyminąć się dziewczynie i jej dwóm koleżankom. Jęknęła, a młody mężczyzna uśmiechnął się znowu.

— No chodź — powiedział, biorąc ją za ramię. Poprowadził ją do małego korytarzyka w głównym holu, do drzwi z napisem WEJŚCIE SŁUŻBOWE. — Prosto w te drzwi — uśmiechnął się. — Bez kolejki, bez czekania. Jestem Calvin Santos — przedstawił się z niskim, zamaszystym ukłonem.

— Ruby Connors.

— Poczekam tu na ciebie, Ruby Connors.

Spojrzała w ciepłe, łagodne oczy i w ciągu ułamka sekundy zakochała się w nim bez pamięci.

— Poczekaj na mnie — szepnęła. — Proszę.

— Przez całą wieczność — odparł cicho. — Słucham?

— Powiedziałem, że mogę czekać całą wieczność. Ale nie będziesz tam tak długo, prawda?

— Pięć minut — obiecała Ruby, unosząc dłoń. — Trzy, jeśli jest wolne.

Wyszła po czterech minutach, z prościuteńkimi szwami na pończochach i świeżo umalowanymi ustami. Calvin stał wsparty o ścianę. Dopiero teraz spostrzegła, że ma na sobie mundur lotnictwa.

— Jesteś tu najładniejszą dziewczyną — szepnął.

Ruby poróżnowiała. Tylko babcia mówiła jej, że jest ładna. Czy teraz powinna powiedzieć, że on też jest przystojny? Nie miała pojęcia. Kiedyś słyszała, że uśmiech jest dobry na wszystko. Więc się uśmiechnęła.

— Masz ochotę na coś do picia? — spytał Calvin.

— Ogromnie — powiedziała bez tchu. — Z przyjemnością wysłabym na zewnątrz. Nie mogę tu oddychać.

— Ani ja.

Serce łomotało jej w piersi, kiedy czekała, aż wróci. W myślach tworzyła scenariusz: spacer z Calvinem trzymającym ją za rękę. Piknik w parku Rock Creek. Taniec blisko siebie, policzek przy policzku. Był taki... taki... zwyczajny. A jednocześnie niezwykle. Przyjrzawszy się mu bliżej, wiedziała, że nie jest Amerykaninem ani Grekiem. Nagle zrozumiała, że nie obchodzi ją, kim jest. Czy właśnie to Amber czuła do Nangi Duenasa?

Na nocnym niebie migotały setki gwiazd. Dwoje młodych ludzi spacerowało razem, popijając z oszronionej butelki coca — colę. Ruby czuła się, jakby znała Calvina od lat.

— Poszedłeś do Cytadeli. Jesteś oficerem — westchnęła Ruby z zachwytem. Była onieśmielona, odsunęła się od niego.

Calvin zmarszczył brwi.

— Powiedziałem coś nie tak? — spytał z niepokojem. — Cytadela jest świetną szkołą. Skończyłem ją z najwyższymi wyróżnieniami — dodał niemal przepraszająco.

Ruby przyspieszyła kroku. Najwyższe wyróżnienia. Była przerażona. A wpadła w jeszcze większą panikę, kiedy spytał, do jakiej szkoły uczęszcza.

— Penn State czy Georgetown? — chciał wiedzieć.

Nienawisć, którą czuła do rodziców, wezbrała w niej falą goryczy. Powinna pójść do college'u, powinni dać jej szansę, ale nie, o nie, ona musiała zwrócić sześć tysięcy sto dolarów, więcej niż koszt edukacji. Co o niej pomyśli, kiedy dowie się, że pracuje jako sekretarka? Zaciśnęła zęby.

— Niektórzy z... z nas nie mieli tyle szczęścia, by uczyć się w college'u — powiedziała chłodno. — Dziękuję za colę. — Chyba powinnam odnaleźć przyjaciół. Wybacz, Calvinie.

Nie płacz, Ruby, nie płacz. Nie pozwól, by oczy ci zwilgotniały. To będzie się zdarzać ciągle. Przywyknij do tego.

Calvin patrzył na nią, osłupiały. Żałował, że nie jest wyższy. Tak wysoki, by móc śledzić ją wzrokiem. Wiedział, że musi za nią pójść, w przeciwnym razie nie znajdzie jej już. Nie chciał jej urazić swoim pytaniem. W Saipan wszyscy absolwenci kształcili się dalej. Miał ochotę odgryźć sobie język. Rzucił się za nią. Przysięgłby, że zaczęła go lubić; przysięgłby, że jego pochodzenie nie liczyło się w jej oczach. Rozumiał jej wrażliwość, ponieważ on także wiedział, co znaczy być skrzywdzonym. Chciał jej to powiedzieć, ale najpierw musiał ją dogonić. Niemal wpadł w

panikę, kiedy uświadomił sobie, że znikła mu z oczu. Zaklął soczyście, słowami jakich nauczył się w Cytadeli. Nie poczuł się lepiej.

Zaczął biec, rozpychając młodych oficerów i szeregowców, przepraszając młode panny, które potrącał. Musiał ją znaleźć.

Kiedy dotarł na piąte piętro, jego ciemne oczy zaczęły śledzić wirujące pary, szukały tęczowej sukienki. Sztywno wykrochmalona błękitna koszula zrobiła się wiotka jak szmatka. Przyłgnęła do jego piersi jak druga skóra. Zaklął znowu.

— Masz zupełną rację, bracie — mruknął jakiś marynarz.

Zauważył ją dopiero na siódmym piętrze. Orkiestra grała „Uderzyłaś mi do głowy”. Ruby tańczyła z porucznikiem piechoty morskiej. Uśmiechała się do niego, kiedy wirowali po parkiecie. Porucznik mówił coś, co ją rozśmieszyło. Chciał, żeby się śmiała. Ale tylko do niego.

Odkąd przybył tu przed pięcioma laty, nauczył się nie tylko języka. Na ogół unikał sprzeczek, ale dzisiaj... Dzisiejszy dzień był inny. Dziś robi to, co ci wszyscy faceci — będzie walczyć o swoją dziewczynę. Wielki zegar na ścianie uprzytomnił mu, że za pięć minut potańcówka dobiegnie końca.

Przepchnął się w stronę parkietu i poklepał porucznika po ramieniu.

— Ręce przy sobie — warknął Andrew.

— Zdaje się, że to nasz taniec — powiedział Calvin swoim najprzyjemniejszym tonem.

— Pomyliłeś się, przyjacielu. Zjeżdżaj.

W ułamku sekundy Ruby znalazła się w ramionach Calvina, mknąc wraz z nim przez parkiet. Porucznik pienił się ze wściekłości.

— Stłukę go, jeśli się zacznie stawiać — rzucił Calvin zapalczywie.

Ruby poczuła dreszcz, pobije się o nią dwóch chłopaków. Podniosła wzrok w samą porę, by ujrzeć krzepkiego żołnierza u boku Andrew.

— Spotkamy się na zewnątrz! Czekaj na mnie! — Ruby ruszyła w stronę Andrew i żołnierza.

Przez całą wieczność, szepnął kierując się w stronę zatłoczonej klatki schodowej.

Nie zauważyłby jej, gdyby jakaś dziewczyna w oszałamiającej zielonej sukience nie zawołała jej po imieniu. Tym razem nie zwracał uwagi na to, kogo popycha, kiedy przedzierał się w stronę Ruby.

— Szybko, gdzie mieszkasz?! — krzyknął.

— W YWCA! — odkrzyknęła.

— Przyjdę w południe. Wyjdiesz ze mną? — Czekał przez kilka dramatycznych chwil, zanim Ruby podjęła decyzję. Odetchnął głośno, gdy skinęła głową.

— A to co? — zachichotała Nola.

Ruby uśmiechnęła się.

— To jest moje przeznaczenie. I chyba o tym wie.

— Wyglądasz, jakbyś się zakochała.

— Ty też.

— Jutro mam randkę. Chcesz się przyłączyć?

— Jasne!

Randka. Prawdziwa randka. Ruby promieniała.

* * *

Tego niedzielnego ranka Ruby przeżyła prawdziwe chwile grozy. Gdy zjechała do holu tuż przed dwunastą w swojej skrzynce na korespondencję znalazła wiadomość od Andrew — wpadnie o wpół do pierwszej, żeby zabrać Ruby na lunch. Moment później zobaczyła Amber i

Nangiego, najwyraźniej czekali na kogoś, pewnie na Ethel. Ruby obserwowała ich z ukrycia, w myślach ponagając Calvina. Łudziła się, że Andrew przyjdzie później. Ale intuicja ją zawiodła. Pojawił się w samo południe.

Przeżrana patrzyła, jak Andrew zbliża się do Amber — ta uśmiechnęła się i pokręciła głową. A cóż to miało znaczyć? Po chwili Amber weszła do windy. Ruby cofnęła się w głąb korytarza. I co teraz? Kiedy masz wątpliwości, nie rób nic, ostrzegł ją wewnętrzny głos.

Amber wróciła po pięciu minutach. Ruby podkraśniała się bliżej, w samą porę, by usłyszeć:

— Nie ma jej. Pewnie poszła do kościoła. Możesz poczekać tutaj albo wstąpić do Hot Shoppe na kawę.

Idź i nie wracaj, pomyślała Ruby. Wreszcie nadeszła Ethel. Razem z nią progi YWCA opuścili Amber i Nangi. Dzięki Bogu! Gdzie ten Calvin? Gdzie Nola i Alex?

Przyszedł. Dziś był jeszcze bardziej wykrochmalony i wyprasowany. Odszykowany. Wyglądał wspaniale. Nola i Alex pojawili się tuż po nim, wyglądało na to, że przyjechali jednym autobusem. Ruby szybko się przywitała i pociągnęła swoich gości tak gwałtownie do wyjścia, że powpadali na siebie. Nola dreptała za Ruby i Calvinem.

— To dokąd idziemy?

— Może pojedziemy... eee... do Mount Pleasant. — Ruby odwróciła się do Calvina. — Przeprowadzam się do samodzielnego mieszkania wraz z siostrą i jej przyjaciółkami. Jeszcze nie znam tej okolicy. Potem moglibyśmy pójść do parku Rock Creek. Czy to wam odpowiada?

— Jasne — powiedzieli Alex i Nola jednocześnie.

Kiedy Ruby obejrzała się po raz trzeci, Calvin nie wytrzymał.

— Myślisz, że ktoś nas śledzi? — spytał, również oglądając się przez ramię. Ruby z natury prawdomówna, wyznała, o co chodzi.

— Umówiłaś się z nim? — spytał Calvin żałośnie. — Nie! Po co miałabym to robić? Umówiłam się z tobą.

— Po prostu nie chcę się zawieść — mruknął. — To by nie było po raz pierwszy.

— Ja też tego nie chcę — powiedziała miękko, patrząc w jego łagodne brązowe oczy. Calvin wziął ją za rękę. Westchnęła, pełna szczęścia.

Kiedy dotarli do Mount Pleasant, Ruby ledwie rzuciła okiem na dom przy Kilbourne Place, gdzie miały zamieszkać. Na końcu ulicy znajdował się park, w którym mogliby razem z Calvinem siadywać na trawie i rozmawiać. Może kupiliby sobie oranżadę albo orzeszki. Coś, co mogliby jeść wspólnie. Ruby czuła się, jakby pędziła na księżyc razem z Vaughnem Monroe. Jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa. Miała kogoś, nareszcie.

— Wygląda na to, że się polubili — mruknął Calvin, wskazując ruchem głowy Nolę i Alexa zaśmiewających się do łez.

Pasują do siebie, pomyślała Ruby, ciesząc się szczęściem przyjaciółki.

— Nola uwielbia stroje. Wie wszystko o modzie. Wierzy, że kiedyś zostanie sławną projektantką, a ja będę jej najlepszą klientką. Ma sporą gromadkę rodzeństwa, więc wciąż dla nich szyła ubrania. Jest wspaniałą przyjaciółką — paplała Ruby jak nakręcona.

Calvin siedział, obejmując kolana. Patrzył na nią.

— Dam pensa za twoje myśli — uśmiechnęła się. — Myślałem, że... właściwie chciałem...

— Czuć się bardziej swobodnie? Nie najlepiej mi idą takie rozmowy... Prawdę mówiąc, jesteś moim pierwszym... pierwszym prawdziwym chłopakiem. Są pewne zasady, to znaczy... jesteśmy po prostu ludźmi... osobami... Ja to ja, a ty to ty i nie powinieneś się martwić, co o tobie myślę... a właściwie, kim jesteś?

Calvin spochmurniał.

— A za kogo mnie uważasz? — spytał wymijająco.

— Najpierw myślałam, że jesteś Grekiem. Właściwie nic mnie to nie obchodzi. Liczy się to, co się ma w środku. Czy takie pytania cię krępują?

— Czasami — przyznał Calvin żałośnie. — Jestem Filipińczykiem. Pochodzę z Saipan. Nie byłem tam od ponad pięciu lat.

— Straszne. Tęsknisz za rodziną? Pisziesz do nich? Tęsknisz za krajem?

Calvin mocniej zacisnął dłoń na kolanach.

— Tak, tak i nie — powiedział, a potem wyznał zmęczonym, zgnębionym głosem, że chętnie oddałby pół życia, gdyby na chwilę mógł się stać prawdziwym, białym Amerykaninem. Tylko na moment, żeby przekonać się, jak traktowaliby go ludzie. — Odwrócił twarz.

Ruby zastanowiła się nad tym, co usłyszała i nad swoją pożałowania godną przeszłością. Po chwili zadumy, ujęła dłoń Calvina.

— Zdaje się, że dobraliśmy się jak w korcu maku. Żadne z nas nie pasuje do otoczenia. Przejdźmy się, ta trawa jest mokra. — Wstała. — Nie musimy już o tym rozmawiać... nigdy więcej. Nie chcę pamiętać tego, co zdarzyło się miesiąc temu czy przed rokiem. Zakładam się, że po drugiej stronie parku jest struga. Możemy ochłodzić w niej stopy.

— Co to jest struga? — zdziwił się Calvin.

— W mieście mówią na nią strumień albo potok. W Pensylwanii nazywamy to strugą. Ma tyle wody, że ledwo można zamoczyć w niej stopy. Do zobaczenia później! — rzuciła przez ramię w stronę Noli, która pomachała jej lekko dłonią.

Ruszyli przed siebie wesoło, machając rękami, śmiejąc się ze wszystkiego i niczego.

Miała kogoś. I będzie musiała za to zapłacić, w ten czy inny sposób.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Ruby wiedziała, że powinna wracać do YWCA. Amber zawsze sprawdzała ją przy kolacji, przez cały tydzień, ale dziś przecież wyszła z Ethel i Nangim. Calvin nie wspomniał ani słowem o przedłużeniu spotkania.

— Muszę wracać; już prawie wieczór.

— Och — wyglądał na samotnego i nieszczęśliwego.

— Co będziesz robić wieczorem? — spytała cicho. Calvin wzruszył ramionami.

— Przeczytam gazetę, może pójdę do kina. Chyba że chcesz mi towarzyszyć. Co ty na to? — spytał z nadzieją.

— Czekałam na tę propozycję. — W Barstow kina były zakazany owocem. Seks, namiętność i bilety za piętnaście centów to według George'a Connorsa narzędzia szatana.

— Na Czternastej grają „Tramwaj zwany Pożądaniem”. A w kinie koło ronda Duponta idzie „Afrykańska królowa”. Który chciałabyś obejrzeć? — Uścisnął jej dłoń. — Zapytamy Nolę i Alexa, czy z nami pójda?

W pierwszym odruchu chciała zaprotestować. Miała ochotę znaleźć się z nim sam na sam, ale kiedy będzie spowiadać się przed Amber, lepiej powiedzieć, zgodnie z prawdą, że była w kinie z trzema innymi osobami.

— Jasne — ochocho wyraził zgodę Alex. — Co powiecie na kolację? U Horna i Hardarta, Ja stawiam. Właśnie dostałem wypłatę.

Kolacja była wspaniała. Właściwie wszystko jest wspaniałe, jeśli obok są przyjaciele, zdecydowała Ruby. Później nie mogła sobie przypomnieć, co zjadła.

Kiedy na ekranie pojawił się Marlon Brando, Ruby wstrzymała oddech i uścisnęła ramię Noli. Niesamowity przystojniak. Jak cudownie zawołał: „Cześć, Stello” i roześmiał się głośno. A jeszcze bardziej podobało się jej to, że Calvin ją objął, tak jak Alex objął Nolę.

Po filmie Nola i Alex wsiedli do trolejbusu, ona i Calvin poszli piechotą. Bolały ją nogi, ale nie mogła z czystym sumieniem pozwolić, by wydawał na nią pieniądze. Zauważyła, że zostawił napiwek dla kelnerki, choć to Alex płacił za jedzenie. Jakoś musieli dojść między sobą do

porozumienia, bo nie wspomnieli później o dzieleniu się kosztami ani o napiwku. Calvin nie jest skąpiradłem. Poczua się zadowolona. Och, tyle ma do napisania w liście do babci! Na rogu ulic Ruby zatrzymała się pod latarnią.

— Chyba dalej pójdę sama. Jeśli moja siostra czeka na dole... ona... ona czasem potrafi coś chlapać. Świetnie się dziś bawiłam. A ty?

Noc była ciepła i ciemna. Gdzieś w mroku rozległo się ciche szczekanie psa.

— Niebo wygląda, jak ogromny koc, prawda? — szepnęła Ruby.

— Tak — przyznał Calvin, również szeptem. — Wyjdiesz jeszcze ze mną?

— Jasne. Chcę zwiedzić zoo. Mogę przyrzędzić dla nas jedzenie, zrobimy sobie piknik. Sobota czy niedziela?

— I sobota, i niedziela — Calvin zdobył się na odwagę i wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. Wyglądał, jakby chciał ją pocałować, ale potem w jego oczach błysnęła panika. Cofnął się i włożył ręce do kieszeni.

— Dobrze — zgodziła się Ruby radośnie. — Spotkamy się w sobotę przy wejściu do zoo. Może być o dwunastej?

— Może być. Dobranoc, Ruby. Świetnie się bawiłem.

— Dobranoc, Calvinie — powiedziała Ruby, odchodząc.

* * *

Kiedy zniknęła mu z oczu, rozejrzał się, usiłując ochłonać. Postanowił się przejść. Chciał zastanowić się nad Ruby.

O tak, pomyślał, to był piękny dzień. Ruby jest jego dziewczyną. Naprawdę. Zaczął pogwizdywać melodię „O, moja śliczna lalczko”, przyśpieszył kroku. Chciał wrócić do bazy, położyć się do łóżka i myśleć o Ruby, o tym, jakby to było ją całować... i nie tylko. Prawie nabrał pewności, że jest prawdziwym Amerykaninem. Inaczej taka dziewczyna jak Ruby Connors nie poświęciłaby mu całego dnia. Dzisiaj niemal przekonał się, jak to jest, kiedy się należy do osób, którym tak zazdrościł. Przyjaciele Ruby zachowywali się, jakby był jednym z nich, a Ruby nawet nie mrugnęła okiem, kiedy wyznał, że jest Filipińczykiem. Miał w sobie nieco samońskiej krwi, czemu zawdzięczał swój wzrost. Nie przypominał wcale tych drobnych, cichych ludzi, którzy odbywali służbę jako kelnerzy lub pomocnicy kucharzy.

A teraz miał dziewczynę — prawdziwą, żywą, poruszającą się i uśmiechającą dziewczynę, która lubiła, kiedy trzymał ją za rękę, której oczy uśmiechały się do niego, dziewczynę, która go rozumiała.

Jego dziewczyna.

* * *

Ruby przekroczyła próg YWCA z oczami błyszczącymi jak gwiazdy, i zatrzymała się jak wryta, z otwartymi ustami. Amber siedziała na jednym z pomarańczowych krzeseł pod oknem, tuż obok Andrew Blue. Uśmiechała się do niego, a on do niej. Ruby poczuła, że robi się jej niedobrze. Kiedy Amber chciała się postarać, potrafiła hipnotyzować frajera jak wąż białą mysz.

— Czekacie na mnie? — spytała chłodno.

— Andrew czeka na ciebie od dwunastej — odparła Amber równie zimno, zanim Andrew zdążył w ogóle otworzyć usta.

— Od dwunastej! Dlaczego? Przecież myśmy się nie... ależ to dziesięć godzin — powiedziała Ruby niedowierzająco.

— Gdzie byłaś? — głos Amber wprost ociekał słodyczą. Ruby miała ochotę powiedzieć, że to nie jej interes.

— Poszłam do parku z Nolą, a potem do kina. Dziś jest niedziela, więc mogę robić, co mi się spodoba. A gdzie ty byłaś, Amber? — dodała równie słodko.

Zanim Amber odpowiedziała, Andrew wystąpił o krok.

— Wiem, że się nie umawialiśmy i chyba się wygłupiłem, siedząc tu przez cały dzień, ale liczyłem na to, że się spotkamy. Słuchaj, muszę wracać, bo ucieknie mi ostatni autobus do bazy. Możemy się spotkać w sobotę?

— Chętnie pójdzie — zachichotała Amber. — Ruby nie ma nic do roboty, prawda?

— Przepraszam cię, ale już się umówiłam. Bardzo... miło z twojej strony, że przyszedłeś tu i tak długo czekałeś — Jakże żałośnie wyglądał, mimo niezwykle starannego ubioru. Nerwowo bawił się czapką, usiłując zdobyć się na uśmiech. — To może w niedzielę? — ulitowała się Ruby.

— Jasne! Masz — ochotę pojechać do Glen Echo? Świetnie, więc do niedzieli. Pójdziemy do kościoła, zjemy śniadanie i wyjdziemy do parku? Może być jedenasta? — Odwrócił się do Amber. — Chcesz pójść z nami?

— Nie. Byłam tam dzisiaj. Ale dzięki za propozycję.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Andrew, Amber złapała siostrę za ramię i pociągnęła w stronę windy.

— Pora wyjaśnić sobie parę rzeczy. Raz na zawsze. — Wcisnęła guzik z numerem piętra Ruby.

— Odczep się, Amber, wyjaśniłyśmy sobie wszystko, kiedy stłukłam cię w moim pokoju. Zejdź ze mnie.

Amber wepchnęła Ruby do windy, nie czekając, aż drzwi otworzą się do końca.

— Jednym z powodów, dla których się przeprowadzamy, jesteś ty, Ruby. Ojciec powiedział, że nie można ci ufać. Powiedział, że jesteś podstępna i że masz... powiedział, że masz zadatki na... dziwkę. Muszę cię pilnować, a nie mam takiej możliwości, skoro mieszkamy na różnych piętrach. Ojciec ma rację, stąd możesz się wymykać, kiedy tylko zechcesz. Tak, jak dzisiaj — zgrzytnęła. — Jutro zadzwonię do domu i nie będę cię kryć. A co do tej twojej koleżanki, tej całej Noli, to nie zasługuje na szacunek, jeśli pracuje u Lerner'a i mieszka sama.

Instykt podpowiedział Ruby, że jeśli zacznie bronić Noli, Amber uzna, że nie powinna się z nią spotykać. Zacisnęła więc usta, a jej oczy zwięzły się niebezpiecznie. Amber cofnęła się o krok.

— Uznałam, że Amber Blue jest odpowiedni. Możesz spotykać się z nim raz w tygodniu. Powiem ojcu, że on jest w porządku. Z tego co mówił o swojej rodzinie, wynika, że to dobry chrześcijanie. Widziałam, jaką zrobiłaś minę, kiedy wspomniał o kościele. Nic z ciebie nie będzie, Ruby. Ojciec ma rację: pójdziesz do piekła.

— Masz rację, pewnie pójde do piekła, a wiesz dlaczego? Bo cię zabiję. A kiedy posadzą mnie na krzesle elektrycznym, będę się śmiać przez cały czas. Powtórz to ojcu.

— Powiem mu wszystko, wszystko! — wrzasnęła Amber — Wyrażasz się jak ostatnia! Rynsztok!

O ile Ruby sobie przypomniała, nigdy nie używała słów gorszych niż cholera czy przeklęty. Teraz straciła opanowanie.

— Rynsztok! Chcesz rynsztoku? Kapitan Dennison słowo pierdołę wymawia siedemdziesiąt razy dziennie. Jego szef nazywa kobiety cipami. Szeregowcy na wszystkich mówią pierdoła, a

admirał Mallory dla odmiany uważa, że wszystko, co się rusza to sukinsyn. Tak się mówi w marynarce. Powtórz ojcu, na co mnie naraziłaś. Gadaj, co tylko chcesz, ale nie będziesz dobierać mi chłopców. Wyjdę z Andrew, bo jest miły i czekał na mnie. Jeżeli zechcesz się wtrącać, to znajdę tego kurdupla, z którym się umawiasz, i opowiem mu o twoich brudnych sprawkach.

— Rób, co chcesz — syknęła Amber. — Jesteś śmieciem. Tylko śmieciem!

Głos Ruby nabrał śpiewnych tonów.

— Śmieciem? Wiem coś o śmieciach. Nasz ojciec, podpora kościoła, ślini się na widok Grace Zachary. Rozbiera ją wzrokiem. A Grace pokazuje mu język za jego plecami. Mama też to widziała. Jest wstrętnym rozpustnikiem i założę się, że kiedy nikt nie patrzy, zachowujesz się tak samo jak on.

— Ty świntuchu! Poczekaj! Tylko poczekaj! — wrzasnęła Amber, wybiegając z windy.

Śmieć. A więc tak o niej myśleli. Cała radość opuściła Ruby. Nieważne, co ojciec sądzi, ale fakt, że podobnie myśli Amber, z jakiegoś powodu było jak cios w samo serce. Nie wiedziała dlaczego, ale tak właśnie czuła.

* * *

Amber przeliczyła drobne monety, zanim położyła je na metalowej półeczce przy automacie telefonicznym. Zastanowiła się przelotnie, czy powinna jeszcze raz zadzwonić do domu jutro wieczorem. Uniosła rękę, by wrzucić pierwszą dziesięciocentówkę. Jej spojrzenie padło na zegarek. Jeszcze nie ma jedenastej. Nic nie mogło zakłócić zwyczajów ojca. Ruby twierdziła, że Grace Zachary jakoś je zakłóciła. Potrząsnęła głową, odpędzając od siebie te myśli. To ojciec miał rację, a Ruby jest śmieciem.

Aż do dziś Amber potrzebowała kilku minut, żeby wziąć się w garść; nie zdawała sobie sprawy, jak ważne są te cotygodniowe telefony. W poniedziałek zawsze bolała ją głowa; czasami nawet aż do wtorku. Tym razem ból odezwał się wcześniej. Przekląta Ruby.

Czekała cierpliwie, aż telefonistka połączy ją z domem. Wrzucała systematycznie monety, jedną po drugiej. Choć przez cały tydzień odkładała drobne na tę obowiązkową rozmowę, do tej pory nie trwała ona dłużej niż trzy minuty. Ojciec przeważnie odkładał słuchawkę po pierwszych dziewięćdziesięciu sekundach.

— George Connors.

Żadnego halo, żadnego powitania. Amber zmusiła się do radosnego tonu, mając nadzieję, że ojciec odpowie tym samym, choć wiedziała, że tak się nie stanie.

— Halo, ojcze, tu Amber. Jak się miewasz? Jak się ma mama? Nie dzwonię zbyt późno, prawda?

— Nie, córko. Na górę pójdziemy za pięć minut. Twoja matka ma się dobrze.

Nigdy nie mówił o sobie. I nigdy nie pytał o nią. Amber wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uśmiechu. Nie wiedziała, dla kogo. Może dla siebie.

— Ojcze, chodzi o Ruby. Wyprawia straszne rzeczy. Ojcze... ona zachowuje się okropnie. Nie chce mnie słuchać — jej głos nabrał błagalnego tonu. I znowu nie wiedziała, dlaczego.

— Wysłałem Ruby pod twoją opiekę, córko. Teraz mówisz mi, że popełniłem błąd? — nie zadał sobie trudu wysłuchania tego, co Amber ma na swoją obronę. — Musisz trzymać ją krótko, mocną ręką. Dawaj jej nauczkę co godzinę, jeśli tak trzeba. Może pomyliłem się, wysyłając was do miasta — w jego słowach ukryta była groźba. — Następny weekend mam wolny. Twoja matka mogłaby się rozerwać, gdyby przyjechała do miasta. Czy jest coś jeszcze?

Amber poczuła, że uginają się pod nią kolana.

— Nie, ojcze.

— Więc cię pożegnam. Nigdy więcej nie dzwoń do mnie w takiej sprawie. Chyba że przygotujesz się na konsekwencje swojej porażki.

— Przepraszam, ojcie — szepnęła Amber, ale on przerwał połączenie. Spojrzała na zegarek. Dwie minuty i dziesięć sekund. Dlaczego oczekiwała czegoś więcej? Cóрко. Nigdy nie mówił jej po imieniu.

Odeszła od telefonu i powlokła się w stronę pomarańczowych krzesel. Doniosła na własną siostrę i na siebie również. I po co? Co spodziewała się uzyskać? Życzliwe słowo? To, że ojciec wypowie jej imię?

Myśli kłębiły się w głowie Amber. Nie chciała wracać do Barstow. Nie chciała mieszkać w domu rodziców ani pracować w fabryce koszul. Jeśli ojciec przyjedzie tu po nie i zechce zawlec do domu, nie zdoła mu się przeciwstawić.

Ale Ruby potrafiłaby. Ruby walczyłaby na śmierć i życie, a dziś zrobiła sobie z niej nieprzejednanego wroga. Ma prawie dwadzieścia dwa lata, mimo to nie ośmieli się przeciwstawić ojcu. Ruby jest odważna. A ona Amber, wsiadłaby potulnie do samochodu. „Tak, jestem szczęśliwa, że wracam do domu i bardzo przepraszam, że zawiodłam, ojciec.” Wizja Ruby i ojca wodzących się za łby przywołała uśmiech na jej usta. Najchętniej skryłaby się w Chinach, tam chyba jej nie znalazł.

Drugi obraz — wizja ojca, zerkającego pożądliwie na Grace Zachary — przyprawił ją o mdłości. Wszyscy sąsiedzi przyglądali się Grace paradującej w szortach i zbyt wydekoltowanych bluzkach. Zastanawiała się, czy ojciec kiedykolwiek widział matkę nago. Niemożliwe, uznała. To byłoby grzeszne, dekadentkie i zepsute. Ciekawe, jak to się stało, że w ogóle się urodziła. Choć z drugiej strony, właściwie wcale się nie urodziła. Spłynęła z nieba jako aniołek...

Dopóki w to wierzyła, reszta dawała się znieść. To wszystko było takie tymczasowe, dopóki... Dopóki co? Dopóki co? — Dopóki nie wyjdę za mąż, powiedziała głośno. Nangi wspominał coś o małżeństwie i powrocie do domu. Wspominał, ale nie poprosił jej o rękę. Jego dom znajdował się na drugim końcu świata. Ojciec nie dopadnie jej tam. I straci nad nią władzę. Wkrótce musi zdecydować, czy rzeczywiście tego chce.

* * *

Ranek wstał mglisty i pochmurny. Nie najlepsza aura na wycieczkę do zoo, uznała, wygrzebując się z łóżka. Cholera, a prognoza zapowiadała słońce i błękitne niebo. Skrzyżowała palce i spojrzała na wiklinowy koszyk, подарowany przez Nolę. Miała nadzieję, że po wizycie w zoo pójda z Calvinem do parku. „Opróżniłam mój koszyk na nici i wysłałam go ścierką do naczyń. Dzisiaj nie będę szyc” — oznajmiła Nola radośnie. Znała rozwiązanie wszystkich problemów. Teraz wystarczyło tylko wstąpić do delikatesów na rogu i kupić kanapki z szynką i serem, coca — colę, jajka na twardo, i kilka brzoskwiń. I może kawałek sera do podjadania. Nie zaszkodzi też kupić ziemniaczane chipsy. Ruby była nadziana, jak powiedziała Nola. Wczoraj kapitan Dennison dał jej wraz z wypłatą kopertę z dwudziestoma pięcioma dolarami i liścikiem, w którym napisał, że była jego najlepszą sekretarką. Życzył jej również powodzenia z admirałem Query — od poniedziałku zaczynała u niego pracować. Kiedy tylko otrzymała wypłatę, poszła do gabinetu pani McIntyre i oddała resztę długu. Siedem nadprogramowych dolarów przeznaczyła na piknik.

Otworzyła okno. Rozprażone, wilgotne powietrze, gęste jak zupa, wpłynęło do pokoju. Zamknęła okno w chwili, gdy na ziemię zaczęły padać grube krople deszczu. Nie poruszył się ani jeden listek. Babcia mawiała, że jeśli deszcz pada grubymi kroplami, wkrótce przeminie. Ruby zacisnęła kciuki na szczęście.

Pomogło, po chwili przez chmury zaczęły przeświecać blade promienie słońca. Westchnęła uszczęśliwiona. Ktoś tam w górze musiał ją lubić. W tym szczególnym dniu słońce pełniło bardzo ważną rolę.

Przy śniadaniu — złożonym z kawy, soku i grzanki — w Hot Shoppe rozważała, co powiedzieć Amber. Skłamać, czy nie? Wszystko zależało od jej nastroju. Roztrząsała tę kwestię nad drugą filiżanką kawy, dopóki zegar nie wybił kwadrans po dziewiątej. W weekendy siostra zwykła sypiać do dziewiątej. Lepiej mnie nie drażnij, Amber, mruknęła, wracając do YWCA.

Znalazła ją w kawiarni. Siedziała samotnie z książką na kolanach. Spojrzała na zbliżającą się Ruby.

— Nie chcesz zepsuć mi humoru, prawda? — warknęła.

— Nie. Zgodzisz się, żebym poszła do zoo, prawda? I do parku na piknik. Nola dała mi ten śliczny koszyk.

Amber zwlekała przez chwilę z odpowiedzią. Potem wycedziła, niemal nie poruszając wargami:

— Idziesz z koleżanką? — Ostatnie słowo zabrzmiało w jej ustach, jak coś nieprzyzwoitego.

Ruby przytaknęła.

— Wrócisz na kolację?

Na to pytanie Ruby nie była przygotowana. Wzruszyła ramionami.

— Tak czy nie? — naciskała Amber.

— Chciałam pójść do kina, na wczesny seans. Zaczyna się o dziewiątej. „Afrykańska królowa jest podobno fajna. Nie można napytać sobie kłopotów w kinie.

Amber zastanawiała się przez całą minutę. Zoo było w porządku, piknik był w porządku, a kino...

— Musisz poznać kogoś innego. Mówiłam ci, że nie lubię tego chudzielca.

Zaczyna się, pomyślała Ruby. Zamarła.

— Kiedy przeprowadzimy się do Mount Pleasant, nie życzę sobie, żebyś się z nią przyjaźniła.

Ruby zgodziłaby się na wszystko, byleby tylko zejść Amber z oczu, a i ona nie była zbyt dociekliwa, co oznaczało, że Amber ma już plany na dzisiejszy dzień. A Andrew Blue mógł dostarczyć jej alibi więcej niż raz.

Jak uda jej się lawirować, by wszyscy byli zadowoleni? Zanotowała w pamięci, by zacząć sobie wszystko zapisywać, co z kolei przypomniało jej o listach do Opal i babci.

Ruby wyszła z YWCA o jedenastej, zatrzymując się w delikatesach przy Dziewiątej, gdzie wyładowała koszyk Noli smakowitymi produktami. Po drodze wrzuciła do skrzynki dwa listy. Zamierzała pójść do zoo na piechotę, ale koszyk okazał się nadspodziewanie ciężki, więc skręciła w Connecticut Avenue i wsiadła do tramwaju, który dowiózł ją do Woodley Road, tuż przy wejściu do zoo.

Czuła się cudownie. Słońce jaśniało pełnym blaskiem, niebo miało odcień lazuru, a chmurki wyglądały jak ptasie mleczko. Ona także wyglądała ładnie w różowo-błękitnym kostiumiku. Nola obszyła spódnicę, kołnierz i kieszenie białą, szeroką koronką, by nadać jej strojowi charakter, który nazywała rubizmem. Ponadto pożyczyła jej białe sandały, a także dwa grzebienie do włosów. Rozglądając się wokół i wypatrując Calvina wśród tłumu spacerowiczów, Ruby żałowała, że nie ma przeciwsłonecznych okularów. Z oddali dobiegała melodia katarynki.

Wydawało się jej, że minęło wiele czasu, zanim spytała starszych państwa o godzinę.

— Jest pierwsza, kochanie — powiedziała miękko siwowłosa kobieta. — Czekasz na kogoś?

Ruby oblała się rumieńcem i spuściła wzrok na koszyk.

— Twój przyjaciel na pewno niecierpliwi się przy innym wejściu.

— Przy innym wejściu? — powtórzyła zdezorientowana Ruby. — Jest jeszcze jedno?

— Tak, dziecko. — Starsi państwo wskazali w kierunku Hawthorne i Katedry.

Ruby ruszyła biegiem, nie zważając, że koszyk obija się jej o nogi. Musi tam być, i czeka na nią. Czowała się głupio. Powinna sprawdzić, czy nie ma innych wejść. Pomyśli, że go wystawiłam do wiatru, jęknęła Ruby, wymijając jakąś tęgą kobietę szamoczącą się z dwoma wrywającymi się psami.

Zauważyli się w tej samej chwili. Rozdrażnienie Ruby nieco złagodniało, gdy dostrzegła lęk na twarzy Calvina.

— Czekałam przy wejściu od Woodley Road — wydyszała. W jej głosie zabrzmiała nuta pretensji. On powinien wiedzieć o dwóch wejściach do zoo.

— Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że jest inne wejście. Nigdy tu jeszcze nie byłem. Sądziłem, że się rozmyśliłaś...

Głos Calvina brzmiał tak błagalnie, tak... pokornie, że oczy Ruby zalśniły irytacją. — Przestań. Pomyliłeś się, tak samo jak ja. Zapomnijmy o tym, dobrze? Calvin wziął ją za rękę.

— Zaraz zacząłbym cię szukać — zapewnił gorąco.

Wiedziała, że to nieprawda. Stałby jak kotek, prażąc się na słońcu do czwartej, ale nie poszedłby jej szukać. Bałby się świadomości, że go zawiodła.

— Naprawdę? — spytała przekornie — Widzisz, czasami zdarzają się nieprzewidziane okoliczności. Gdybym zachorowała czy coś podobnego, nie mogłabym się nawet z tobą skontaktować.

— Po prostu nie mogę uwierzyć, że... że naprawdę chcesz się ze mną umawiać — powiedział Calvin żałośnie, mocniej ściskając jej dłoń.

Przez ułamek sekundy Ruby poczuła się tak jakby była matką nieśmiałego chłopca. W zasadzie rozumiała niepewność Calvina. W końcu kto mógł lepiej znać to uczucie niż ona? Musi sprawić, by na twarz Calvina powrócił uśmiech, w przeciwnym razie cały dzień będzie nieudany.

— Szkoda, że nie mam aparatu. Mogłabym zrobić ci zdjęcie.

— Na pamiątkę? — spytał ponuro.

— Nie... chociaż tak, w pewnym sensie. Widzisz, kupiłam siostrze album fotograficzny, ale zachowywała się tak podle, że go jej w końcu nie dałam. Głupio, nie? Wyglądasz tak przystojnie w tym letnim mundurze, że chciałabym, abyś znalazł się na moim pierwszym zdjęciu. Gdybym miała aparat, oczywiście.

— Ja mam aparat. Przyniosę następnym razem, dobrze?

— Kupię film — ucieszyła się Ruby. — I zrobię dwa komplety odbitek. Jeden dla ciebie, drugi dla mnie.

— Fajnie. Przyniosę go jutro. Nadal jesteście umówieni, tak?

— Usiądźmy na ławce, Calvinie, muszę z tobą porozmawiać. Nie chcę, żebyś się zdenerwował, chociaż chyba tak się stanie. Mogłabym opowiedzieć ci jakąś bajeczkę, skłamać, żeby nie ranić twoich uczuć, ale przecież jesteś mężczyzną. I nie bądź takim smutasem — dodała, używając określenia ze słownika kapitana Dennisona.

Kiedy opowiadała, co zamierza zrobić, żeby dalej się z nim widywać, wyraz twarzy Calvina dobitnie świadczył o tym, że nie jest zachwycony pomysłem.

— Jak często zamierzasz się z nim widywać?

— Możliwie najrzadziej. Nie chcę wracać do domu i dlatego muszę tak postąpić.

Calvin patrzył na nią bez słowa.

— Będiesz spotykać się z... innymi dziewczynami? — spytała Ruby z ociąganiem.

— Nie, do diabła. Mnie nikt do niczego nie zmusza. Mogę robić, co chcę. W porządku, Ruby, rozumiem.

— Wiesz co, mam już dosyć tego zoo. Chodźmy do parku. Zaczynam być głodna.

W parku oprócz nich jeszcze wiele innych par z koszykami w rękach, rozglądało się za miejscem w cieniu, z dala od wszystkich. Ruby roześmiała się, wskazując Calvinowi małą wiewióreczkę, nie nadążając za towarzyszami. Calvin zatrzymał się i nagle zakręciło mu się w głowie, gdy Ruby oparła głowę na jego ramieniu.

Jest pedantyczny, pomyślała Ruby, obserwując, jak rozpościerał koc — dokładnie rozprostował rogi i wygładził załamania na środku. Kiedy wyjęła jedzenie, całym ustawił je geometrycznie. Nie wiadomo dlaczego poczuła się rozdrażniona. Byli na pikniku, nie na manewrach. Piknik ma być zabawą. Biedny Calvin. Ciekawe, co robi, jeśli na koc wtargną mrówki. Pewnie zarządzi odwrót. Nie mogła powstrzymać uśmiechu na tę myśl.

Calvin wskazał jej miejsce obok siebie. Otoczył ją ramieniem. Oparła się o niego.

Serce Ruby zadrżało. To działa się naprawdę... naprawdę siedziała z mężczyzną obejmującym ją ramieniem, a jeśli się nie myliła, w każdej chwili mógł zacząć ją całować. Odniosła wrażenie, że Calvin nie ma większego doświadczenia niż ona, więc prawdopodobnie narobią niezłego zamieszania. Nie przeszkadzało jej to. Nie będą się spieszyć i nauczą się razem. Przy nim czuła się bezpieczna. Andrew Blue pewnie by już próbował jej dotknąć, ale nie Calvin. Niech to, nie spodobało się jej, że pomyślała o poruczniku. Przysunęła się bliżej do Calvina, obserwując parę siedzącą poniżej, na zboczku pagórka. Przyglądała się, podniecona, jak dziewczyna wije się na kocu, widziała błysk opalonych nóg. Jej facet wydawał się mieć cztery ręce, niezwykle ruchliwe i wszędobylskie. Usłyszała głęboki oddech Calvina i poczuła, że dłoń, którą trzymał na jej ramieniu zaciska się mocniej. Obudziło się w niej jakieś dziwne uczucie; uczucie, które jej ojciec bez wątpienia nazwałby grzesznym.

Zerknęła na Calvina. Pod tym kątem jego oczy nie wydawały się tak skośne, ale miały taki dziwny wyraz... W myśli przemknęło jej słowo lubieżność. Czy właśnie to zobaczyła w jego oczach? Nie miała czasu zastanowić się nad tym, bo nagle zaczął ją całować. Śmiech, który zadrzał na ustach Ruby zamarł, kiedy jego język rozdzielił jej wargi. Poczowała smak jabłka.

Jego okrzyk zaskoczenia najpierw ją przestraszył. Zarumieniona, odsunęła się, zrozumiałwszy, że jej biodro ugniotło jego łądzwie. To ona sprawiła, że w spodniach Calvina zarysowało się twarde obrzmienie.

— Jezu — jęknął i odsunął się od niej.

— Co się stało?

— Nic, nic... Tylko że ty jesteś porządną dziewczyną, a mężczyźni muszą... to znaczy, oni... oni zadają się z dziewczętami, które się nie szanują. Ten porucznik, z którym jutro wychodzisz, jest właśnie taki. Ja nie.

— Skąd wiesz? — spytała Ruby, niespecjalnie zadowolona z obrotu rozmowy.

— Po prostu wiem. Mieszkam z takimi facetami. Tylko zaliczają dziewczyny i opowiadają o tym przy śniadaniu, obiedzie i kolacji. I nie mówią miłych rzeczy.

Ruby zastanowiła się nad tym, co usłyszała. Calvin ją szanował. I tak powinno być.

— Chyba będziemy się jeszcze całować — powiedziała z wahaniem — W przeciwnym razie skąd moglibyśmy wiedzieć, że się sobie podobamy?

— Wiem i bez tego. Naprawdę cię lubię. Gdybyś tylko poważnie potraktowała kogoś takiego jak ja, w przyszłości moglibyśmy zostać małżeństwem. Mielibyśmy dziewczynkę podobną do ciebie i chłopca, który byłby podobny do nas obojga.

Ruby spojrzała znacząco w oczy Calvina.

— A nie chcesz, żeby chłopiec wyglądał tak jak ty?

— Nie chcę, żeby był inny niż wszyscy.

— A ja bym chciała, żeby wyglądał dokładnie tak jak ty — powiedziała Ruby miękko. — I sprawiłabym, że uwierzyłby, iż jest najwspanialszą osobą na świecie. Potrafiłabym tego dokonać.

Moje dzieci nie zaznają smutku i opuszczenia. Będę je kochać i zawsze znajdę dla nich czas, gdy zechcą mi się zwierzyć. Będę ich matką i przyjaciółką. Wiem, że to potrafię. Jak sądzisz, jakim będziesz ojcem?

— Surowym.

— Nie, jeśli chcesz, żebym została twoją żoną — powiedziała Ruby.

Calvin otworzył usta.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie chcę, aby moje małżeństwo przypominało małżeństwo moich rodziców. Oni chyba się nienawidzą. Moi dziadkowie byli wspaniali, ciągle się do siebie tulili i śmiali. Trzeba bardzo kogoś kochać, żeby się z nim związać. Miała nadzieję, że Calvin opowie jej o swoich rodzicach. Spojrzała na niego wyczekująco, ale on siedział cichy i zamyślony.

W końcu pocałował ją w usta. Był to słodki, delikatny pocałunek, obiecujący o wiele więcej.

— To mi się naprawdę spodobało — oznajmiła bez śladu zażenowania. Calvin odrzucił do tyłu głowę i śmiał się, aż łzy napłynęły mu do oczu. Ta chwila stała się dla niej najcenniejszym wspomnieniem, nie zapomniła o niej do końca życia.

— Noto chodź. Zapraszam cię na kolację, więc popraw sobie usta. Czy możemy gdzieś zostawić ten koszyk? Nie wracając do YWCA?

— Kolacja? W dużej restauracji czy w Hot Shoppe?

— W „Hogates” na Potomacu, przy Dziewiątej i Głównej. Na południowym zachodzie, najlepsze owoce morza w mieście. Chyba że wolisz pójść gdzieś indziej?

— Liczy się towarzystwo, a skoro płacisz, decyzja należy do ciebie.

Randka w restauracji! Niech tylko Nola i babcia o tym usłyszą! Nie przepadała specjalnie za rybami, ale jeśli Calvin je lubił, ona też do nich przywyknie.

— To może chińszczyzna? — spytał Calvin, jakby nie potrafił się zdecydować.

— Chętnie! Jeszcze nigdy nie byłam w chińskiej restauracji. Naprawdę możemy?

— Oczywiście. Pójdziemy do „Smoka”. Za tydzień odwiedzimy inne miejsce. Przed „Smokiem Ruby spojrzała z ukosa na piknikowy koszyk.

— Zasugerujemy, że przynieśliśmy w nim kotka — oznajmił Calvin, zamykając pokrywkę. — A może powinienem przeszyć kelnera znaczącym spojrzeniem i powiedzieć, że to tajemnica wojskowa?

— To z kotem bardziej mi się podoba — zachichotała. Ma poczucie humoru, pomyślała z radością. Wszystko układało się tak cudownie, że zaczęła się bać.

Stary Chińczyk z długą, zmierzwioną brodą zerknął na koszyk, ale nie odezwał się ani słowem. Calvin uniósł oczy do nieba, Ruby zachichotała.

Zamówiła mięso z cebulą i ryżem, a Calvin marynowane warzywa. Potem podkradali sobie jedzenie z talerzy i pili herbatę ze wspólnego dzbanka. Orzechy liczi były słodkie i wilgotne. Zasmakowała w nich; zjadła sześć, zostawiając dwa Calvinowi. Na koniec zachowali ciasteczka z przepowiedniami.

— Ty pierwszy, Calvinie.

Calvin rozłamał kruche ciasteczko i przeczytał karteczkę.

— I co? — zapytała zaciekawiona Ruby.

Calvin odchrząknął dwa razy.

— Tu jest napisane: „Twoja prawdziwa miłość siedzi przy tobie”. — Oblał się gorącym rumieńcem, świadomy, że jego uszy płoną niczym maki.

— Jakie to romantyczne! — Rozłamała własne ciasteczko, pewna, że jej przepowiednia będzie stanowić echo wróżby Calvina. Przeczytała ją dwa razy, a potem jeszcze raz. — „Jesteś

niemal u celu”. Jak sądzisz, co to może znaczyć? Och, nie powinniśmy brać tego zbyt poważnie. Dasz mi swoją? Wkleję ją do albumu.

Calvin jakby nagle zmałał. Wyprostował się natychmiast, gdy poczuł na sobie spojrzenie Ruby.

— To chyba jakaś pomyłka w druku — oznajmił lekkim tonem.

— Też tak sędzę — roześmiała się i schowała obie wróżby.

Kiedy się rozstawali, dochodziło dwadzieścia po dziewiątej. Ruby wracała do YWCA, a Calvin do bazy, gdzie miał objąć służbę od jedenastej. W ostatniej chwili Ruby odwróciła się i zawołała:

— Pomyślę jutro o tobie! Jeśli zechcesz do mnie zadzwonić jutro wieczorem, będę czekać przy telefonie o dziesiątej.

— Zadzwonię! — krzyknął Calvin.

Noc była ciepła i przyjemna, tak jak Ruby, która tuliła się do niego w parku. Spojrzał na miliony maleńkich światełek na niebie, Ruby pewnie też na nie spogląda. Teraz, w tej konkretnej chwili, wierzył że może dokonać wszystkiego, stać się tym, kim zechce, jeśli tylko Ruby będzie w niego wierzyć. Potrzebował jej wiary jak kaleka kuli, na której mógłby się wesprzeć. Ruby nie musiała mieć żadnej podpory. Twarda, kiedy należało, ale też łagodna, nieprawdopodobnie ciepła i delikatna. I miała poczucie humoru, które mu się bardzo podobało. Przy niej śmiał się na całe gardło. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się śmiał. Całe lata temu. Tak dawno, że stał się poważny i godny pożałowania. Boże, wreszcie jest szczęśliwy. Jutro wieczorem będzie jeszcze szczęśliwszy, kiedy o dziesiątej zadzwoni do niej, a ona opowie mu, jak się wynudziła z tym porucznikiem piechoty morskiej.

Calvin jechał autobusem, wbijając wzrok w ciemność za oknem i obmyślał sposoby eliminujące jego konkurenta. Ruby należała do Calvina. Powiedziała nawet, że pomyśli o nim jutro.

Zanim wybrał się na służbę, wziął prysznic i przebrał się w czysty mundur. W sprawach dotyczących ubioru był równie skrupulatny, jak we wszystkich innych. Nie życzył sobie żadnej krytyki, żadnych potępiających spojrzeń. Jeśli się miał wyróżniać, to tylko pozytywnie.

Zadowolony ze swojego wyglądu opuścił koszary i udał się do biura, gdzie miał spędzić następne osiem godzin.

Kiedy usiadł za biurkiem, uderzyła go pewna straszna myśl. Nie będzie dla Ruby wsparciem, niewzruszoną skałą. Żeby stać się opoką, musiałby mieć kontrolę nad własnym życiem. Nie miał jej. Jeszcze bardziej niepokoiło go to, że Ruby nie potrzebowała jego wsparcia. Dzisiaj przez wiele godzin to ona krzepiła jego ego, dzięki niej czuł się jak człowiek, jak biały człowiek. W połowie dyżuru zdał sobie sprawę, że w pewien sposób wykorzystywał Ruby, ale odepchnął tę myśl od siebie, wymazał ją z pamięci.

Ruby wiedziała, że czeka ją kiepski dzień w chwili, gdy z wysiłkiem otrząsnęła się ze snu. Jej mały pokój wypełniał ponury poranny mrok. Wsparła się na łokciu i zmrużyła oczy, by zobaczyć coś poprzez szczeliny żaluzji. Szarzało. Wytężyła słuch, mając nadzieję usłyszeć świergot ptaków, ale panowała martwa cisza.

Nie miała ochoty wstawać, nie chciała spotykać się z Andrew Blue ani iść do kościoła. Chciała zostać w łóżku i myśleć o Calvinie. Poczowała ciepło w całym ciele, przypominając sobie, jak się całowali. Uśmiechnęła się na wspomnienie jego płonących uszu. Westchnęła, kiedy przypomniała sobie tę parę wariatów w parku. Kilka razy wymówiła bezgłośnie słowo seks. Potem powiedziała je na głos. Zarumieniła się.

Schowała twarz w poduszce, by stłumić śmiech. Wyobraziła sobie, że kocha się z Calvinem. Był taki pedantyczny, że pewnie podczas całego aktu chciałby mieć na sobie ten odprasowany mundurek. A poza tym brakowało mu, tak samo jak jej, doświadczenia. Uczył Marcin Marcina.

Natomiast Andrew Blue zapewne znał się na rzeczy. Ruby zastanawiała się, jak ma go powstrzymać, kiedy zacznie ją uwodzić. Calvin i Andrew. Andrew i Calvin. Calvin, Andrew i Ruby. Trójkąt. Była częścią trójkąta. Przeciągnęła się z rozkoszą. Czuła się cudownie, wydała się sobie niemal rozwiązła. A już na pewno jej myśli były rozwiązłe. Ciekawe, jakie myśli chodziły po głowie Grace Zachary.

To właśnie Grace udzieliła Ruby pierwszej lekcji na temat seksu, jak dotąd jedynej.

— Kochanie — powiedziała wtedy Grace — seks jest tak samo naturalny, jak zjedzenie śniadania. Wiem, że nie przepadasz za owsianką, ale możesz zaspokajać nią głód. Seks może być taki jak ta owsianka. Może też wyglądać, zupełnie inaczej, niczym te obfite śniadania, które w niedzielę rano przyrządzam dla Paula: wafle z syropem z jagód, lekko wysmażone jajka na chrupiącym bekonie, grzanka z dżemem truskawkowym domowej roboty i przepyszny, żółciutki maselkiem, a także świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy i kawa, której zapach czuje się w całym domu — ciągnęła Grace z oczami jaśniejącymi miłością do męża. — Ludzie uważają mnie za dziwkę, za puszczalską, bo lubię się zabawić, ale poślubiłam Paula jako dziewica. Wszyscy w tym mieście to chodzący święci — stwierdziła niewesoło. — Nie obchodzi mnie, co o mnie mówią. Jesteśmy dobrym małżeństwem, chyba najlepszym w tej śmierdzącej dziurze. Rozumiesz, co ci chcę powiedzieć, Ruby?

— Właściwie tak. Pewnie nie powinno się uprawiać seksu przed ślubem?

— Nie, jeśli zależy ci na opinii. Jeśli się zakochasz i nie obchodzą cię inni, nie zastanawiaj się. Życie jest zbyt krótkie, żeby przejmować się ludźmi.

— Ale ty nie zaczęłaś... — powiedziała Ruby niepewnie.

Grace uśmiechnęła się.

— Niewiele brakowało, kochanie, i to nie raz, ale coś mnie powstrzymywało. Istnieje wielka różnica pomiędzy pożądaniem a miłością — wyjaśniła łagodnie.

Ruby z przyjemnością patrzyła na Grace. Była taka ładna. Miała jasne włosy i duże, łagodne błękitne oczy, a słodkie dołeczki w policzkach podkreślały delikatność białej skóry, w którą — jak sama twierdziła — dwa razy dziennie wklepywała krem porcelanowy i wodę glicerynową. Paznokcie jej dłoni i nóg pokrywał różowy lakier. To grzech, twierdził ojciec Ruby.

Grace przechyliła głowę, oparłszy dłoń na szerokich biodrach.

— Chcesz się odważyć? — spytała z uśmiechem.

Ruby oblała się rumieńcem.

— Och, nie... Ja tylko...Widzisz, ja muszę...Powinno się wiedzieć o...pewnych rzeczach. Raz spytałam mamę, ale omal nie umarła.

— No myślę — mruknęła Grace kwaśno. — A twój tata?

Ruby prychnęła.

— Wyobrażasz sobie, że proszę ojca o cokolwiek?

— Nie, dziecino. Kiedy tylko stąd uciekniesz, masz tu nie wracać, słyszysz?

— Nie martw się, nigdy tu nie wrócę. Napiszę do ciebie, jak mi idzie, a jeśli kiedykolwiek znajdę kogoś, kogo będę... kochać lub pożądać, napiszę do ciebie, zanim... zanim cokolwiek postanowię.

Teraz Ruby pomyślała, czy aby nie nadeszła ta pora.

* * *

Kiedy Ruby wyszła z windy, zauważyła czekającego na nią Andrew z Amber u boku. Zamierzała położyć temu kres. Porucznik zerwał się na jej widok.

— Ślicznie wyglądasz, Ruby!

— Możemy iść? — spytała chłodno, mierząc siostrę lodowatym spojrzeniem. — Pójdziemy do kościoła — skłamała.

Amber odprowadzała ich wzrokiem, bez słowa komentarza. Wyszli na deszcz.

— Posłuchaj, Andrew. Nie mam ochoty iść do kościoła, więc nie idę. Jeśli ty zamierzasz iść, nie szkodzi. Poczekam na ciebie.

— W życiu. Powiedziałem to tydzień temu, żeby zrobić dobre wrażenie na twojej siostrze. Szybko się na niej poznałem.

— Czyżby? Pozwól, że opowiem ci o Amber. — Porucznik słuchał tej opowieści z otwartymi ustami. — A zatem, jeśli kiedykolwiek wymienisz z Amber uwagi o czymś więcej niż prognoza pogody, nigdy więcej się nie spotkamy. Nie lubię, kiedy zmusza się mnie do czegoś wbrew mojej woli. O tym też powinienes pamiętać.

Andrew zatrzymał się; jego parasol osłaniał ich przed ulewą.

— Dlaczego mam wrażenie, że ci na mnie nie zależy? Umówiłaś się ze mną ze względu na swoją siostrę?

Ruby spojrzała prosto w smutne brązowe oczy, walcząc z pokusą, by wyznać mu prawdę, ale nie mogła zranić jego uczuć. Kiedy masz wątpliwości, idź na kompromis.

— Lubisz, kiedy ludzie decydują za ciebie?

— Czy ja tak się zachowałem? Przepraszam. Naprawdę, przepraszam. Zaczniemy od początku. Teraz wiem już, w co gramy i nie złamię reguł gry. Czy możemy razem spędzić ten dzień i dobrze się bawić? — Weź mnie pod ręką, to nie zmokniesz — zaproponował Andrew. Musiał podnieść głos, bo deszcz przybrał na sile.

Ruby roześmiała się i wsunęła rękę pod jego ramię. Najpierw jednak przyjrzała się dokładnie przechodniom. Miała wrażenie, że ktoś ją śledzi.

Na śniadanie zjedli wafle z truskawkami w pierwszym sklepie sieci Hot Shoppe. Żadne z nich nawet nie spojrzało w stronę katedry, w której mieli uczestniczyć w mszy. Nie spieszyli się; ale przy trzeciej filiżance kawy Ruby złapała się na tym, że wciąż zerka na ulicą tonącą w potokach deszczu. Ktoś tam stał. Miała wrażenie, że obserwuje ją przez jasno oświetlone okno.

Odwróciła się do Andrew i uśmiechnęła.

— Powinniśmy już iść, ludzie czekają na wolny stolik. To już trzecia kawa!

Andrew wzruszył ramionami.

— Więc zostawię kelnerce duży napiwek. A co do innych ludzi, powinni wstać wcześniej, jak my. Jest mi tak wygodnie, że mógłbym tu siedzieć przez cały dzień.

— Ale nie możemy. Nie idziemy do Glen Echo, prawda?

— Nie, dzisiaj zamknięte. Wybierzemy się do Kapitolu i zobaczymy Johnny'ego Raya. Dziś ma występ. Lubisz go?

— Jak to, żywego Johnny'ego Raya? Osobiście? Mam jego zdjęcie! Rany, nie mogę uwierzyć! — zawołała entuzjastycznie.

Andrew roześmiał się.

— To chyba znaczy, że nie popełniłem błędu. Dziś rano odkupiłem te bilety od kumpla. Jego dziewczyna nie lubi Johnny'ego Raya. Szósty rząd na środku sali. Nie mogli znaleźć niczego lepszego — powiedział, ucieszony widokiem rozgwieżdżonych oczu Ruby. — Wyglądasz tak, że mam ochotę cię pocałować... Tutaj, przy wszystkich. Kusisz mnie... — W jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

Zrobi to, pomyślała Ruby. Nie obchodzi go, kto na niego patrzy. Nie zamierzała się na to godzić, mimo Johnny'ego Raya.

— Za kogo ty mnie uważasz? — spytała zimno.

— Myślałem, że wszystkie dziewczyny lubią się całować. Chyba się pomyliłem. Zapomnijmy o tym, dobrze?

— Zrobione.

Dopiła kawę. Niech to, będzie bez przerwy latać do ubikacji. Wstała i znowu zerknęła na zewnątrz. Serce podskoczyło jej do gardła. Teraz rozpoznała postać stojącą w deszczu na ulicy: Calvin! Patrzyła na niego, usiłując przebić wzrokiem zasłonę deszczu. Kiedy jednak człowiek po chwili odszedł, osłaniając twarz parasolem, Ruby westchnęła z ulgą i ruszyła do łazienki. Wszędzie widzę Calvina, pomyślała.

Gdy Johnny Ray zeskoczył ze sceny, Andrew Blue objął Ruby i pocałował w usta. Był to bardzo mocny pocałunek, który zgniótł jej wargi i rozpląszczył nos tak, że nie mogła oddychać. Nie było w nim nic przyjemnego, o czym poinformowała Andrew.

— To dopiero początek. — Delikatnie ujął w dłonie jej twarz.

Tym razem była gotowa; czekała na czubek jego języka. Otworzyła oczy, gdy w sali zapaliło się światło. Ciągle miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

— Teraz lepiej? — spytał Andrew przekornie.

— Niespecjalnie — wyznała szczerze.

Andrew prychnął, niemal tracąc panowanie nad sobą.

Było już po szóstej, kiedy wyszli z koncertu. Ruby rozejrzała się nerwowo, szukając pod parasolami znajomej twarzy. Ciągle padał deszcz.

* * *

O przecznice dalej stał Calvin. Obserwował ich na koncercie. Zajmował miejsce dwa rzędy za nimi. Gdyby osoba siedząca przed nim nie była tak otyła, pewnie przeskoczyłby krzesło i znokautował tego typu. Wiedział jednak, że to tylko marzenie. Bez względu na uczucia, jakie nim miotaly, nigdy nie odważyłby się ściągnąć na siebie uwagi, dopóki nosił mundur. Być może nie zrobi tego nigdy w życiu, pomyślał ponuro. To bydlę całowało jego dziewczynę. Ciekawe, czy Ruby porównuje jego pocałunki z pocałunkami porucznika? Przestraszył się wniosków, do których mogła dojść.

Pewnie teraz pójda coś zjeść. Ten cholerny komandos zaprosi ją do jakiejś wykwintnej restauracji i będzie się przed nią popisować. Poczuł wzbierający w nim gniew, kiedy pomyślał, że znowu będzie musiał stać na deszczu. A przecież dopiero zdążył wyschnąć. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby przestać ich śledzić i wrócić do bazy. Ruby była jego dziewczyną, a ten głupek chce mu ją ukraść.

* * *

— Masz ochotę pójść do francuskiej restauracji czy wolisz angielską? — zwrócił się Andrew do Ruby, tym samym pomijając jej uwagę o pocałunku.

Ruby zastanowiła się. Jeszcze nigdy nie próbowała francuskiej kuchni. Pewnie jest droga. Wówczas, jeśli potrawy okażą się niesmaczne, będzie musiała i tak je zjeść, żeby pieniądze Andrew nie poszły na marne.

— Czy są drogie? — spytała. — Zaraz! — zawołała, kiedy dostrzegła na jego twarzy zakłopotanie. — To nie znaczy, że mam ochotę zjeść w drogiej restauracji. Jeszcze nigdy nie jadłam francuskich dań i jeśli nie będą mi smakować... — reszta zdania zawisła w powietrzu. Wciąż padał deszcz, spływając po parasolce jak miniaturowy wodospad. Był to ładny widok; Ruby podzieliła się tym spostrzeżeniem z Andrew. — Nie sądzisz? To takie romantyczne. Spacer w deszczu.

Wybałuszył na nią oczy.

— W deszczu może, ale nie w tej ulewie. Buty mi przemokły. Tobie też. Parasol zaczyna przeciekać. Nie widzę w tym nic romantycznego.

Ruby zeszywniała.

— Masz zupełną rację. Powinieneś zadzwonić dziś rano i odwołać spotkanie. Teraz żałujesz, że tego nie zrobiłeś. Ja też. Więc lepiej, żebyśmy się już rozstali. Dziękuję ci za śniadanie i koncert. Sprawily mi ogromną przyjemność, czego nie mogę powiedzieć o twoim towarzystwie. Żegnam — zakończyła i pobiegła w stronę trolejbusu, który zatrzymał się na środku ulicy.

Wrzucając żeton, usłyszała za sobą jakieś kroki. Pomyślała, że Andrew nie dał za wygraną. Odwróciła się, żeby coś warknąć i zobaczyła Calvina, uśmiechającego się od ucha do ucha.

— Śledziłeś mnie! — warknęła. — Przez cały dzień, prawda? Wydawało mi się, że cię widzę.

— Mhm — potwierdził Calvin z radością. — Chciałem na ciebie patrzeć, nawet jeśli byłaś z nim. Jesteś zła?

— Nie — roześmiała się. To idiota. I nie potrafi całować. To pewnie także widziałeś.

— Aha. Miałem ochotę go zabić.

Ruby rozjaśniła się, uszczęśliwiona tym wyznaniem. Wzięła Calvina pod rękę.

— Jestem przemoczona, ty też, co możemy zrobić?

— Wsiądźmy z tego głupiego trolejbusu i przespacerujmy się w deszczu. Chcesz mój płaszcz? — Miał nadzieję, że odmówi. Nie zawiódł się.

Szli przez miasto, śmiejąc się i rozpryskując wodę w kałużach. Tymczasem Andrew Blue wpadł do swojego baraku w koszarach piechoty morskiej. Warknął wściekle w odpowiedzi na zdziwione okrzyki. Podeszedł do szafki.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołał Mike Moss. — Facet został spławiony. Pewnie trafiłeś na idiotkę. O, bez żenady, Blue, opowiedz nam, co się stało.

— Tak! — Jack Davis z uśmiechem spojrział na kartkę papieru, podzieloną na trzy kolumny i przypiętą do drzwiczek szafki Andrew.

W pierwszej kolumnie równy rząd krzyżyków symbolizował randki uwieńczone sukcesem. Krzyżyków było sześćdziesiąt siedem. Druga kolumna, oznaczona dużą literą D stanowiła rejestr zaliczonych dziewczyc. Znajdowało się w niej siedem znaczków. Trzecia, opatrzona nagłówkiem S—spławienie — nie miała żadnego znaku. Wszyscy czterej robili podobne rozliczenia, ale żaden z nich tak metodycznie uporządkowanego.

Chris Rape, który widział wyraz oczu Andrew, szturchnął Briana Petersa, dając mu znak, żeby zamilkł.

Andrew sięgał właśnie po mydło, kiedy Mikę Moss podał mu ołówek.

— Zawsze jest ten pierwszy raz, bracie. Postaw zero w rubryce S i opowiadaj. Wszyscy chcemy usłyszeć, jak ci poszło. I nie omijaj niczego.

— Spływaj, Moss. Nie mam nastroju.

— Blue nie dopadnie dziś żadnego towaru, panowie. Rozweselmy go trochę: Przynieście mu loda, niech chłopak sobie polize — roześmiał się Brian.

— Mówiłem ci, żebyś spłynął — warknął Andrew. Wiedział, że musi coś powiedzieć. W przeciwnym razie nigdy nie dadzą mu spokoju. Sam ustalił te zasady, gdy zamieszkali razem.

Jak, do ciężkiej cholery, miał im wyznać, że dziewczyna, którą poderwał na potańcówce, wolała jakiegoś kurdupla. Parszywego żółtka!

To pokrzyżowało mu plany. Nie tylko czuł się jak palant, ale jeszcze stracił sto dolców. Mógł je wygrać, gdyby zaliczył sto panienek, dziesięć dziewic i ani razu nie dostał kosza. Cholera!

Jezu Chryste, kim właściwie była ta Ruby Connors?

* * *

Sierpień minął i rozplynął się w suchym, słodkim powietrzu września. Ruby uwielbiała jesień. Dzieci już szykują się do powrotu do szkoły. Opal pójdzie do ósmej klasy i zostaną jej jeszcze cztery lata odsiadki pod dachem George'a i Army.

Ruby zapisała się na kursy zarządzania i księgowości w YWCA, na które uczęszczała wieczorem we wtorki i środy. W planach miała jeszcze kurs handlu nieruchomościami. W zasadzie nie wiedziała, do czego będzie jej potrzebne to wyższe wykształcenie, jak zwykła mawiać, ale musiała zająć się czymś więcej niż siedzeniem w pokoju i czekaniem na weekendowe spotkanie z Calvinem.

Kochała go, choć nigdy nie przyznała tego otwarcie. Z kolei Calvin nie przestawał mówić o swojej miłości do Ruby. Razem spędzali niewyobrażalnie cudowne godziny.

Nowe mieszkanie okazało się lepsze, niż przypuszczała. Dziewczęta były miłe i, co dziwniejsze, Amber przestała ją nękać. Ruby przypuszczała, że to miłość złagodziła charakter siostry. A może Amber unikała konfliktów w obawie, że Ruby powie George'owi, iż Nangi odwiedza ich mieszkanie niemal co wieczór. Kiedyś zauważyła, że Amber schowała rękę do kieszeni, spłoszona spojrzeniem Ruby. Być może Nangi podarował jej pierścionek. Mogła też iść o zakład, że ze sobą sypiają; nic innego nie usprawiedliwiło sennego wyrazu twarzy siostry. Najważniejsze, że Amber wreszcie się odczepiła, a wdzięczność za to należała się Nangiemu.

Wszystko układało się tak cudownie, że Ruby zaczęła się bać. Wszystko z wyjątkiem Andrew Blue. Spędzała z nim co drugą sobotę i niedzielę, zamieniając dni tak, by dostosować je do rozkładu dyżurów Calvina. Andrew miał długie ręce, myślał tylko o seksie. Dwa razy uderzyła go, kiedy poczuła powyżej kolana jego natrętne palce. Naburmuszył się i powiedział, że go prowokuje. Tej niedzieli znowu będzie musiała opędzać się od mało wybrednych zalotów Andrew. Oparta o ścianę domu czekała, aż przyjdzie i oznajmi, jakie mają plany na ten dzień. Kiedy się zjawił, nie potrafił ukryć podekscytowania.

— Coś wyjątkowego — zapewniał — specjalnie dla ciebie. Prawdziwie waszyngtońskie przyjęcie. No, wiesz — wyjaśniał z wyżyn bywalca — z każdym rodzajem przekąsek i mnóstwem drinków. Piwo, wino, dżin, do wyboru. Twój ubiór jest odpowiedni.

Jego krytyczne spojrzenie przeczy temu, co przed chwilą powiedział, pomyślała Ruby. Ale niewiele ją to obeszło.

— Muszę wrócić o szóstej. Dzisiaj ja przygotowuję obiad. Poza tym muszę się trochę pouczyć.

— To mnóstwo czasu. — Andrew uśmiechnął się niczym amant filmowy.

— I bez wygłupów, Andrew. Mam dość awantur z tobą za każdym razem, kiedy wychodzimy.

— Po co się ze mną umawiasz, skoro cię aż tak męczę? Jestem normalnym facetem, a normalni faceci lubią dotykać i całować dziewczyny. Nie bądź cnotką.

— Po co się ze mną spotykasz, jeśli jestem taka dziwna? — zrewanżowała się Ruby.

— Dobrze, dobrze. Jesteś miła, lubię cię.

Zaskoczona, spojrzała na Andrew. Jego głos brzmiał naprawdę szczerze. Zdziwiła się.

— Gdzie jest to przyjęcie? — spytała.

— W hotelu „Ambasador” przy Czternastej i K. Byłaś tam?

Ruby pomyślała, że to głupie pytanie, ale pokręciła głową.

— A ty?

— Nie, ale dużo o nim słyszałem.

— Kto przyjdzie? Czy to duże przyjęcie?

Andrew wzruszył ramionami.

— Chyba będziemy musieli poczekać, aż sami zobaczymy.

Hol hotelu „Ambasador” prezentował się okazale. Mola powiedziałaaby, że jego wystrój jest w dobrym guście. Ruby spodobały się obrazy o tematyce marynistycznej. Stąpając po kosztownym dywanie, czuła się niezwykle dystyngowaną osobą. Kilka par odwróciło się, by się im przyjrzeć z aprobatą. Ale kto nie patrzył z aprobatą na Andrew, który był wyjątkowo przystojny. Gdyby go kochała, wszystko stałoby się bardzo podniecające, a tak przejście przez hol ekskluzywnego hotelu miało jedynie posmak nowości.

Kiedy Ruby zobaczyła, że Andrew wkłada klucz w zamek, zrozumiała, że dała się nabrać. Nie było żadnego przyjęcia. Wynajął pokój na godziny. Spojrzała na niego z wściekłością. To dlatego ludzie w holu tak na nią patrzyli. Oni wiedzieli. Po cóż innego żołnierz pojawiałby się w hotelu?

— Niech cię szlag, Andrew! — wybuchnęła.

— Poczekaj, Ruby. Wiem, o czym myślisz. I masz rację, ale tylko do pewnego stopnia. Tak, skłamałem. Przepraszam. Ale skoro już zapłaciłem, możemy przez chwilę posiedzieć i... porozmawiać. Wiem, że się wściekłaś, ale ja też jestem zły. Zwodzisz mnie i umawiasz się z tym... z tym lotnikiem. To niezbyt miłe.

Ruby osłupiała.

— Czyżbyś mnie śledził?

Jego głupawy uśmiech rozsierdził ją jeszcze bardziej.

— Co za ohyda, co za podłość! A ja myślałam, że jesteś pewien siebie. Chcę stąd wyjść!

— Ruby, poczekaj, wytłumaczę ci!

— Możesz to zrobić w windzie lub na dworze, ale nie w tym pokoju. Rozumiesz, Andrew?

— Chciałem tylko być traktowany lepiej niż ten żółtek.

— Wystarczy! To koniec! — krzyknęła Ruby.

— Na miłość boską, ciszej, bo przyjdzie detektyw! — rozkazał Andrew, usiłując stłumić jej krzyki dłonią.

Ruby wyrwała się, wbijając łokieć w jego żołądek z całą siłą, na jaką było ją stać.

— Nigdy więcej mnie nie dotykaj! Wychodzę i... i zamierzam zadzwonić do twojego dowódcy. Niech się dowie, jak mnie tu przyprowadziłeś pod fałszywym pretekstem.

— Jezu Chryste! Posłuchaj mnie! Przecież cię nie zgwałciłem. Walczysz jak kocica. Nie chcę cię do niczego zmuszać.

Popełnił błąd, dotykając jej ramienia. Ruby zacisnęła pięść i trafiła Andrew prosto w nos. Krew trysnęła jak z fontanny.

— To za myśli, że jestem łatwa. Nikczemnik! — krzyknęła dramatycznie i dumnie pomaszerowała korytarzem.

* * *

Andrew Blue założył się z kolegami z baraku, że dziś złamie opór Ruby Connors, ale teraz przeklinał się za ten pomysł. Ruby stała się jego obsesją. Dotąd żadna dziewczyna nie odmówiła mu niczego. Jakże nieprzyjemnie się zdziwił, gdy dwa tygodnie temu zobaczył ją z tym żółtkiem z lotnictwa. Zrozumiał, że ta mała wieśniaczka z Pensylwanii posłużyła się nim, Andrew Blue,

by ukryć swój romans przed siostrą. Nie zamierzał dać się pokonać jakiemuś pokurczowi z małym fiutkiem. To wtedy tak się wściekł i wygłupił z tym zakładem.

A teraz żałował. Żałował, ponieważ mówiąc jej, że jest miła i że ją lubi, był zupełnie szczery. Naprawdę darzył ją sympatią ale urażona duma domagała się zemsty. Pokiwał głową. Przegrał nie tylko zakład, ale i zaprzepaścił swoje szanse u Ruby.

Chciał za nią pobiec, przeprosić, ale musiał zająć się swoim nosem, jeśli nie chciał zniszczyć munduru. Wszedł do pokoju. Szlag! — warknął, puszczając strumień zimnej wody na biały ręczniczek. I co ma teraz zrobić, do ciężkiej cholery? Oczywiście prześpi się. Co innego można robić w hotelu?

Zapadając w drzemkę, zastanowił się, czy przypadkiem nie zakochał się w Ruby Connors.

* * *

Na zewnątrz Ruby odetchnęła głęboko rześkim popołudniowym powietrzem i ruszyła do najbliższej budki telefonicznej. Wrzuciła dziesięć centów i wykręciła numer Calvina, modląc się, by go zastać. Kiedy usłyszała jego głos, z trudem opanowała szloch.

— Jestem w centrum. Możemy się spotkać na rogu Czternastej i K?

— Nie stój na ulicy, idź do najbliższej kawiarni czy czegoś w tym rodzaju. Znajdę cię — zapewnił.

Minęła godzina i dziesięć minut.

— Co zrobił?! — ryknął Calvin — Jezu, Ruby... Nic ci nie jest? — Objął ją mocno ramionami.

— Jasne, że nie... — wyjąkała, walcząc z czkawką — Szkoda, że nie widziałeś tej krwi... Była wszędzie. Co będzie, jeśli złamałam mu nos?

— Chyba nie musisz się o to martwić. Chcesz zadzwonić do jego dowódcy? — spytał marszcząc brwi.

— Może. Raczej powinnam. Jak uważasz?

— Chyba nie chcesz mu narobić kłopotów, jeśli nic się właściwie nie stało. To znajdzie się w jego aktach.

— Po czyjej jesteś stronie? — Czkawka znowu zaczęła ją dręczyć.

— Oczywiście po twojej. Tylko że chodzi o całą karierę tego faceta. Nie, nie słuchaj mnie. Jestem dziś nie w sosie.

— Coś się stało?

— Dostałem przeniesienie.

— Dokąd? Kiedy? — dopytywała się Ruby, zdjeta przerażeniem.

— Za dwa tygodnie. Do bazy sił powietrznych w Beale w Kalifornii. Miałem do wyboru Kalifornię lub Ladd Field na Alasce.

— Kalifornia! To... to... to tak daleko. Och, Calvinie... — Ruby zaczęła płakać. Calvin także miał ochotę się rozpłakać.

— Weźmy ślub — powiedział desperacko.

— Ślub!

— Tak. Jedź ze mną do Kalifornii. Nie chcesz?

Ruby otarła oczy. Ślub. Ślub oznaczał dzieci, a... a ojciec będzie musiał wyrazić zgodę. Wiedziała, że tego nigdy nie zrobi.

— Jestem nieletnia, Calvinie. Moi rodzice... siostra...

— Mówiłaś, że nie wiedzą o mnie. Gdybyś tylko... wyjechała, zniknęła, zostawiając wiadomość, żeby policja nie musiała cię szukać... Jak mogliby cię znaleźć? Potrafię się tobą

zaopiekować, Ruby. Kiedyś zostanę generałem. Zamieszkamy w bazie. Możesz nawet pracować, jeśli zechcesz. Na razie weźmiemy ślub cywilny, a kiedy będziemy bezpieczni także kościelny. Nie kochasz mnie, Ruby? — spytał z niepokojem. W jego ciemnych oczach malowała się troska.

— Oczywiście, że cię kocham. Po prostu nie zastanawiałam się dotąd nad małżeństwem. Mam dopiero osiemnaście lat i niczego jeszcze nie osiągnęłam. Moi rodzice... ojciec mnie znajdzie. Boże, on mnie zabije!

— Nie zrobi tego, jeśli będziesz moją żoną. Zajmę się tobą, Ruby, przysięgam. Chcesz za mnie wyjść? Powiedz tylko tak. Resztą zajmijmy się później.

Czy chciała? Czekał na jej odpowiedź, Jego oczy ją błagały. Nagle poczuła się bezwolna jak szmaciana lalka. Calvin stawiający czoło jej ojcu... Andrew Blue może miałaby jakąś szansę, ale nie Calvin. Ta myśl wydała się jej tak nielojalna, że zachciało się jej płakać. Biedny Calvin. Kiedy już w oczach Calvina pojawiło się rozczarowanie, powiedziała:

— Tak!

Calvin omal nie oszalał ze szczęścia. Objął drżące ramiona Ruby i ruszyli przed siebie, rozmawiając i snując plany na przyszłość. Wydawało się im, że minęło wiele godzin, kiedy dotarli do parku Rock Creek; miejsca, które Ruby lubiła najbardziej w całym Waszyngtonie. Do zmięzchu opracowali wstępny plan.

— To proste, Ruby. Jeśli zaczniemy wszystko komplikować, coś się nie uda. To proste, ciach i już. Tak się robi w wojsku. Nie zachowuj się inaczej niż zwykle, żeby twoja siostra nie nabrała podejrzeń. Przyślę ci bilet do Kalifornii. Będziesz musiała zdecydować, czy wolisz jechać pociągiem, czy lecieć. Podróż pociągiem będzie trwać prawie tydzień.

— Lecieć? Och, Calvinie, nigdy nie leciałam samolotem. Po prostu wiem, że będę wymiotować. Masz aż tyle pieniędzy? Gdzie zamieszkam?

— Mam dość pieniędzy i znajdę jakiś pensjonat albo schronisko, cokolwiek. Zaufaj mi tylko, Ruby. Proszę.

— Ufam ci... to stało się tak nagle... moja praca... a co będzie, gdybym kiedyś potrzebowała referencji? Jak mogę tak nagle zostawić admirała Query?

— Dobrze, dobrze. Złóż wypowiedzenie. Admirał nie zadzwoni do twojej rodziny. Będziesz bezpieczna. Mieszkanie masz opłacone do października, tak? — Ruby skinęła głową. — Zatem to ich problem, nie twój. Jesteś pewna, że sobie poradzisz, Ruby?

— Tak. Z tobą i Andrew szło mi dobrze. Mogę... mogę to zrobić — zająknęła się Ruby nerwowo. Ślub? O Boże!

— Najlepiej, jeśli przyjedziesz do Kalifornii w tydzień po mnie. Muszę mieć czas, żeby rozpoznać teren i znaleźć dla ciebie jakieś miejsce. Mogę... mogę mieć problem z dowódcą, ale w mojej jednostce jest taki facet... No, zapomniał wpisać nazwisko rodziców dziewczyny na formularzu. Nikt się nie zorientował. Tyle że on jest biały, więc... możemy mieć problem. Powinnaś o tym wiedzieć, Ruby.

— Chciałabym, żebyś nie mówił o mnie i swoich kolegach, że jesteśmy biali. To tak, jakbyś myślał, że jesteś kolorowy, a to nieprawda. Jesteś Azjata.

— Jestem inny, Ruby. Nieważne, jak to chcesz nazwać. — Położył dłoń obok jej ręki. — Jakiego koloru jest twoja skóra, a jakiego moja?

Ruby zachichotała.

— Jestem niezupełnie biała, a ty jesteś niezupełnie śniady. Twoja skóra ma kolor miodu albo słabej kawy. Kolorowi są brązowi. A więc nie jesteś kolorowy, Calvinie.

— No, dobrze, twoje na wierzchu — powiedział, zupełnie nie przekonany. — Biurokracja może nam utrudnić natychmiastowe zawarcie małżeństwa. Pewnie poczekamy miesiąc lub dłużej. Może być?

Ruby skinęła głową, choć w żołądku znowu poczuła mrowienie.

— A twoja rodzina? Co im powiesz?

— Kiedy weźmiemy ślub, pošlę im nasze zdjęcie. Spodobasz się im i wiem, że zaakceptują sytuację, choć nie od razu. Moja matka jest słodką, dobrą kobietą i pragnie jedynie mojego szczęścia. To bardzo prości ludzie, Ruby — wyznał nieśmiało.

— Pokocham ich. Będę do nich pisać co tydzień, tak jak do babci. Kiedyś wszyscy się spotkamy. To znaczy twoja rodzina i my. Spotkanie z moimi rodzicami w ogóle nie wchodzi w rachubę. Musisz to zrozumieć.

— Dobrze, umowa stoi. Czy o czymś nie zapomnieliśmy?

Ruby wyciągnęła rękę.

— A pierścionek zaręczynowy?

Calvin pobladł.

— To nieważne. Mam coś lepszego — pocieszyła go i opowiedziała historię pierścienia carycy. — To będzie mój pierścionek zaręczynowy, dobrze?

— Jeśli tego chcesz, Ruby, to ja się zgadzam. Kiedyś kupię ci prawdziwy zaręczynowy pierścionek. Obiecuję.

— Zamierzasz nosić obrączkę?

— No pewnie. Miałem nadzieję, że mnie o to poprosisz.

— I tu się nie mylisz. Nie życzę sobie, żeby jakaś blondynka z Kalifornii próbowała mi cię ukraść.

— Kocham cię, Ruby — powiedział Calvin drżącym głosem.

Ruby wykrztusiła równie drżące wyznanie, ponieważ niekiedy wątpiła w prawdziwość swoich uczuć. Chwilę później była ich pewna bardziej niż czegokolwiek w życiu. Kochała Calvina Santosa. Wszystkie lęki i wątpliwości rozplynęły się w ciepłym wieczornym powietrzu.

— Do ostatniej chwili nie byłaś pewna, co?

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Chyba nadajemy na tych samych falach. Będzie wspaniale, Ruby, zrobię co tylko w mojej mocy.

— Ja też dam z siebie wszystko — zapewniła.

— A więc nic nie może się stać — podsumował.

Ruby zadrzała. Oczywiście Calvin się mylił. Nic nie jest doskonałe. Ale dzisiaj nie będzie o tym myśleć. Boże, nie mogła się doczekać chwili, w której zadzwoni do Grace i opowie jej o wszystkim. A Nola posusia się, kiedy usłyszy nowiny. Ruby roześmiała się radośnie, a Calvin ją pocałował. Potem obiecał jej cały świat.

* * *

Noc jest taka piękna i rozgwieżdżona, pomyślała Ruby, wychodząc z lekcji księgowości w YWCA. Szła na przystanek trolejbusu, którym wracała do Mount Pleasant.

Jesień w Waszyngtonie wyglądała jakoś inaczej niż w Pensylwanii. Powietrze jest tu cięższe, liście wcześniej zmieniają kolor. Ruby miała na sobie sweter, który Nola znalazła na wyprzedaży. Właściwie nie potrzebowała dzisiaj swetra, ale lubiła go nosić. Lubiła tyle rzeczy, z którymi będzie musiała się rozstać. Niezależność, mieszkanie, nie wspominając już o Noli i kilku koleżankach z biura. Lubiła Waszyngton i chciała zostać, by zobaczyć, jak tu wyglądają kwitnące wiśnie. Chciała też dalej się uczyć. Szło jej tak dobrze, no i lubiła wykładowcę. W gruncie rzeczy kochała wszystko, czym żyła. Uwielbiała admirała Query i co rano szła do pracy z radością. Ale Calvina kochała bardziej. Dla niego zrobiłaby wszystko.

Naprawdę chcę wyjść za Calvina, powiedziała sobie. To normalne, że jest zdenerwowana i przestraszona. Nola radziła iść za głosem serca. Ruby zmarszczyła brwi, kiedy tramwaj zatrzymał się na przystanku. Oczekiwała, że przyjaciółka będzie zachwycona, i była, ale jej oczy zamglily się troską. Chwilę później Ruby poznała powód. Nola spodziewała się dziecka, a Alex, jej chłopak, wyjechał przed miesiącem, przeniesiony gdzieś na tereny środkowego zachodu.

— Wracam do domu, Ruby. Jeśli dopisze mi szczęście, rodzice przyjmą mnie i pomogą. Znajdę jakąś pracę, cokolwiek.

— A twoja kariera? — spytała oszołomiona Ruby.

Nola prychnęła.

— Głupie marzenia, Ruby. Dziecko to rzeczywistość. Nie mam wyboru. Może kiedyś. O, proszę, oto projekt sukni na bal z okazji święta zbiorów. Szkoda, że na nim nie będziesz. Skoro jednak jednak wychodzisz za męża, może zapragniesz mieć na sobie suknię sporządzoną na specjalną okazję. Pozwoliłam sobie ją narysować. Przysięgam na... na twoją babcie, że jeśli kiedyś uszyje ci suknię na miarę, będzie ona błękitna jak niebo i absolutnie szałowa.

— Wystarczy ci pieniędzy na powrót do domu? — Nola wzruszyła ramionami. — Mam dwadzieścia parę dolarów. Nazwij to pożyczką, jeśli duma nie pozwala ci ich wziąć. A co będzie, jeśli... jeśli twoi rodzice...

— Rodzice mnie kochają. Zapewne poczną się rozczarowani, ale uwielbiają dzieci, a malutki dzidzius... Moja matka zapieści go na śmierć.

— Powiedziałaś o tym Alexowi? Czy on o tym w ogóle wie? Jak mógłby odjechać, skoro... przecież to jego dziecko!

— Wyjechał, zanim miałam absolutną pewność. Ale i tak ceni sobie przede wszystkim swobodę. A żona i dziecko, sama rozumiesz... Mogę liczyć tylko na siebie, Ruby. Nie martw się o mnie, masz dość własnych kłopotów. Wyjeżdżam w sobotę. Jestem spakowana. Och, Ruby, tak strasznie nie chcę wracać do domu z podkulonym ogonem. Tyle im obiecywałam, a teraz żadnej z tych obietnic nie mogę dotrzymać. — Nola zaczęła płakać. — Wszystkie moje marzenia rozwiały się jak dym.

Ruby przytuliła ją.

— Spędźmy piątek we dwie, tylko ty i ja. Odwołam spotkanie z Calvinem, a w sobotę odwożę cię na dworzec. Chcę cię pożegnać. Pewnie nie zobaczymy się bardzo długo.

— Nie zobaczymy się już nigdy! — załkała Nola.

— Oczywiście, że się zobaczymy. Kiedyś będziesz bogata i sławna, wtedy mnie odnajdziesz.

Nola nagryzmoliła w notatniku Ruby adres swoich rodziców.

— Och, Ruby! Będę za tobą strasznie tęsknić! Piszmy do siebie, dobrze? Przyjaciele często tracą ze sobą kontakt — powiedziała przez łzy.

— Nam się to nie przydarzy — oznajmiła Ruby z mocą.

— Jesteś szczęśliwa?

— Kocham Calvina. — Ruby ku własnemu zaskoczeniu usłyszała w swoim głosie nutę uporu. — Prawdę mówiąc, boję się. Rezygnuję ze wszystkiego. Dziś złożyłam wymówienie admirałowi Query i zaczęłam płakać. Dał mi chusteczkę, a ja zupełnie się rozkleiłam. Opowiedziałam mu o... o wszystkim, a... a on zaczął tłumaczyć, że jestem za młoda, aby wychodzić za męża. Mam jutro zjeść obiad z jego żoną. Pewnie zechce wyperswadować mi ten pomysł, ale muszę pójść, z uprzejmości. Skłamałam i powiedziałam, że ojciec podpisał zgodę. Bałam się... ciągle się boję... że mógłby do niego zadzwonić i... Chyba popełniłam błąd, mówiąc admirałowi o swoich planach, ale nie mogłam odejść bez wyjaśnienia. Był dla mnie taki dobry. A teraz wciąż drzę, że zadzwoni do moich rodziców. Jest taki staroświecki i dobrze wychowany.

— No więc jutro musisz przekonać panią Query, że to nie najlepszy pomysł — poradziła Nola

odrobinę zniecierpliwiona. — Przepraszam, ale jestem bardzo zmęczona. Marzę o tym, żeby ten dzień wreszcie się skończył. Spotkamy się w piątek po pracy i opowiesz mi, co się stało. Gdzie?

— W jakiejś knajpce, żebyśmy mogły uczcić te chwile, bo mam wrażenie... to znaczy wydaje mi się, że nasze życie się zmienia i powinniśmy się z tego naprawdę cieszyć. U McGyvera na Szesnastej? Wyszukujemy się tak, że będziemy wyglądać na dwadzieścia jeden lat. Może nas nie wyrzucą.

* * *

Admirał Query wychylił się ze swojego gabinetu i zaraz cofnął. Jak żółw ze skorupy, pomyślała, powściągając rozbawienie. Mógł wezwać ją przez interkom, ale twierdził, że jest zwolennikiem kontaktu osobistego. Wstała i wzięła swój notatnik do stenografii.

— Chce pan podyktować list, admirale?

— Nie, Ruby. Chcę z tobą porozmawiać. Czy możesz sobie wyobrazić przez chwilę, że jestem twoim dobrym wujkiem?

Ruby skinęła głową, zaskoczona.

— Czy coś się stało?

— Nie wiem, Ruby. Zastanawiałem się, czy nie popełniasz poważnego błędu. Jesteś taka młoda, całe życie przed tobą. Małżeństwo to bardzo poważna decyzja. Pojawią się dzieci, a nie macie wiele pieniędzy. Czeka cię ciągła walka, wieczne przeprowadzki... Nigdzie nie zpuścisz korzeni. Twoje dzieci będą ciągle rozstawać się z przyjaciółmi. Myślałaś o tym, Ruby? — spytał Query z troską.

— Tak, myślałam. Naprawdę martwi się pan o mnie?

— Tak, do diabła, martwię się. Gdybym miał córkę, powiedziałbym jej to samo. Poza tym nie chcę cię stracić. Jesteś najlepszą sekretarką, jaką kiedykolwiek miałem. No, ale jeśli tego właśnie pragniesz, nie będę się wtrącać. Wiesz, że chciałem porozmawiać z twoimi rodzicami, ale powiedziałem to bez namysłu. I z troski o ciebie. Chciałbym, żebyś mi uwierzyła.

— Wierzę, admirale. Ja też będę za panem tęsknić. Napiszę do pana. Czy odpisze mi pan? — Uśmiechnęła się.

— Jeśli przyślą mi kogoś, kto umie pisać na maszynie. Nawet jeśli nie, sam się złapię za pióro — zachichotał. — Przynajmniej będę miał się czym zająć. Chyba chcą mnie wysłać na zieloną trawkę, rozumiesz. Uważają, że jestem za stary. Emerytura. Żona sądzi, że nie mogę się jej doczekać. Myli się strasznie — mruknął ze zrzędliwą dobrocią.

To taki miły, delikatny człowiek, pomyślała Ruby. Ma nienaganne maniery. Słowo staroświecki bardzo dobrze określa jego sposób bycia. Pani Query wyrażała się o swoim mężu ze szczerą sympatią, ceniła go jako człowieka. Między innymi za to, jak traktował swoich podwładnych. „Nigdy nie kazał im robić tego, co mógłby zrobić sam” — podkreślała z dumą. I niezwykłą wagę przykładał do instytucji małżeństwa, żywiąc wobec kobiet prawdziwy szacunek. Nie uznawał rozwodów i nic nie rozwścieczało go bardziej niż złe traktowanie żony.

— Bujasz w obłokach, Ruby — zauważył admirał.

— Chyba tak, przepraszam. Przypomniałam sobie, co powiedziała mi o panu pańska żona, kiedy spotkałyśmy się po raz drugi czy trzeci.

— Założę się, że mówiła same dobre rzeczy, prawda?

— Cudowne rzeczy, admirale. Myślę, że pańska żona nie może się doczekać, kiedy przejdzie pan na emeryturę, nawet jeśli pan wcale się do tego nie śpieszy — Będzie wam cudownie. Możecie razem podróżować i wreszcie robić wszystko wspólnie, jak każde małżeństwo, bo pani Query niekiedy czuła się samotna, admirale.

— Naprawdę?

— Tak mi powiedziała.

— A dlaczego nie mnie?

— Chyba mówiła, ale być może nie zwrócił pan na to uwagi.

— To zadziwiające, Ruby. Udało ci się skierować rozmowę na mnie i moją żonę. Jednak wracajmy do głównego tematu. Jeśli usłyszę, że kochasz tego młodego człowieka, przestanę się wtrącać. Musisz mieć pewność, Ruby. Małżeństwo to uświęcony związek.

Ruby uśmiechnęła się.

— Mam taką pewność, admirale i... moja rodzina będzie uświęconym związkiem. Wiem, że był pan uprzejmy nie pytać mnie o rodziców i jestem za to wdzięczna. Oni... małżeństwo moich rodziców jest inne niż pańskie. Mój ojciec... mój ojciec... jest... nie jest...

Query wstał, zanim Ruby zdążyła skończyć. Objął ją i przytulił.

— Chyba rozumiem. I powiedzmy to sobie wprost. Jeśli ja lub pani Query będziemy mogli coś dla ciebie zrobić, dzwoń natychmiast. Obiecuj mi to, Ruby.

Ruby otarła oczy.

— Obiecuję.

— No, a teraz odśwież się i idź na spotkanie z panią Query. Wiem z dobrego źródła, że zamierza cię zabrać do wspaniałej restauracji. Martwiła się, że jesteś tak daleko od domu... No, zmykaj. Aha, czy mamy gdzieś trochę lukrecji?

— Tak, ale pani Query zabroniła mi dawać ją panu — zachichotała Ruby.

— Nie powiemy jej o tym.

— Jedną laseczkę czy dwie?

— Jasne, że dwie. I jeszcze jedną na później. — Skłonił się wytwornie, na co Ruby zachichotała jeszcze głośniejsze. — Najgorsze są wojny na własnym poligonie — mruknął, gdy zamknęła za sobą drzwi.

Ruby poczuła ulgę tak wielką, że aż zakręciło się jej w głowie. Wszystko będzie dobrze.

* * *

Piątkowy wieczór wypadł fatalnie, nie tego oczekiwała.

— Wyglądamy jak dwie mokre szmatki — zauważyła, popijając wiśniowy gazowany napój.

— Przepraszam. Mdłości męczą mnie cały dzień. Cholera, nie mogę jeść, ale ty się nie krępuj.

— Ja też właściwie nie jestem głodna — wymamrotała Ruby.

— Boże! A co będzie, jeśli zemdli mnie w autobusie? — wyszeptała Nola, — Gdzie się wymiotuje w autobusach?

— Otworzysz okno i wystawisz głowę. Co innego mogłabyś zrobić? Calvin też przyjdzie na dworzec. Masz — przesunęła po blacie dwadzieścia siedem dolarów. — Szkoda, że nie mam więcej.

Oczy Noli wypełniły się łzami.

— Ruby, jak mogłabym to przyjąć?

— Po prostu weź i koniec. Chcę, żebyś je wzięła. No, zbierajmy się.

Czuła się taka wspaniałomyślna, gdy uiszczała cały rachunek. Nola będzie potrzebować każdego centa. Przez chwilę żałowała, że nie można zajrzeć w przyszłość. Chciała się przekonać, czyjej przyjaciółka sobie poradzi. Zaraz potem odwołała życzenie. Nola da sobie radę. Jest odważna, zdecydowana i inteligentna. Ma też wspaniałą, kochającą rodzinę.

Następnego ranka Calvin i Ruby odprowadzili wzrokiem Nolę wsiadającą do autobusu, który miał ją zawieźć do Michigan. Łzy potoczyły się po policzkach obu dziewcząt, kiedy padły sobie

w ramiona, obiecując, że będą do siebie pisać.

— Napisz, czy to chłopiec, czy dziewczynka, żebym mogła ci przysłać coś w odpowiednim kolorze.

Ruby jeszcze nigdy w życiu tak nie płakała, jak przez mgłę widziała oddalający się autobus.

— Nie płacz, Ruby. Przecież Nola nie umarła. Odjechała, to wszystko. Możesz do niej pisać codziennie. Na pewno się spotkacie — w głosie Calvina brzmiało niemal rozdrażnienie. — Nie wiedziałem, że tak ją lubisz.

— Jest moją przyjaciółką. Pomogła mi. Naprawdę mi pomogła. Nawet nie zamierzam ci wyjaśniać. — Odwróciła się do niego. — A może jednak powinnam. — Wydmuchała nos i schowała chusteczkę. — Andrew Blue naśmiewa się ze mnie. Mówi, że jestem ciemną wieśniaczką, prowincjuską. Chyba ma rację. Rzeczywiście jestem dziewczyną z małego miasteczka, która znalazła się w wielkiej metropolii. Zupełnie sama przyjechałam tu, wiedząc, że moja siostra mnie nie znosi. Nie miałam pracy i wyglądałam, jakbym spadła z furmanki. Nola sprawiła, że zaczęłam wyglądać jak wszyscy inni. Moja siostra nie kiwnęła palcem, żeby mi pomóc, nawet nie przyszło jej to do głowy. Gdybym potrzebowała parę groszy, a Nola by ich nie miała, pożyczylaby od kogoś, żeby mi dać. Oto, jaką jest osobą. A teraz odjechała, a ja czuję się strasznie. Trzeba przejmować się losem ludzi, Calvinie. W przeciwnym razie stajesz się maszyną. Czasem chciałabym zobaczyć, jak okazujesz choć odrobinę emocji, nie bojąc się... nie zapomnij o tym.

— Ja też mogę stać się twoim przyjacielem — powiedział Calvin z udreńczonym wyrazem twarzy.

Ruby objęła go.

— Jesteś nim, Calvinie, ale przyjaźń z dziewczyną to co innego.

Wtedy dotarło do niej, że Calvin niepokoi się, czy nie pomięła mu krawata i kołnierzyka. Skinął głową, pogłaskał ją niezgrabnie po głowie i usiłował się odsunąć. Biedny Calvin. Czy nie potrafił zrozumieć? Razem z odejściem Noli straciła coś, czego nie można zastąpić.

Kiedy stanęła przed domem, w którym mieszkała, niemal nie zwróciła uwagi na siedzące na murze dziewczęta. Wymamrotała zdawkowe powitanie i weszła po betonowych schodkach. Potrzebowała samotności. W swoim pokoju rzuciła się na łóżko i schowała twarz w poduszce, oplakując utratę Noli. A może nie tylko to? Chciała znać odpowiedź. Zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki. Miała zapuchnięte i czerwone oczy. Skrzywiła się. Wyglądała tak brzydko; jak ten Calvin mógł ją kochać? Dlaczego ją kochał? „Ponieważ potrzebuje twojej siły. Jesteś twardsza i silniejsza od niego. Matkujesz mu, popychasz do działania i mówisz, że jest wspaniały. Oto, dlaczego.” Drgnęła i zerknęła przez ramię, w pewnej chwili nie wierząc, że te wyraźne słowa, to jej własne myśli.

Usiadła na brzegu wanny i oparła głowę na dłoni, tocząc dialog z samą sobą.

— Ale czy Calvin cię kocha? Czy naprawdę cię kocha, tak jak Paul Zachary kocha Grace?

— Tak twierdzi.

— A ty mu wierzysz?

— On by nie skłamał.

— A ty, Ruby? Kochasz Calvina?

— Ależ tak! Nie wychodziłabym za niego za męża, gdybym go nie kochała.

— Jasne, że byś wyszła. Zrobiłabyś wszystko, byle tylko uciec od rodziców. Wszystko.

— Już uciekłam i czuję się tu szczęśliwa. Nie muszę wychodzić za męża.

— Jasne, jasne. Ale gdybyś była mężatką, ojciec mógłby po ciebie przyjechać i zawlec cię do domu. Nadal ma nad tobą władzę. Przyznaj się, fascynuje cię delikatność Calvina. Lubisz odgrywać osobę silną, która potrafi pokonać wszystkie trudności. Lubisz się nim opiekować.

Lubisz udawać, że jest twoim bratem, ojcem, młodym wujkiem. Imponuje ci to, że ukończył college, choć z początku czułaś się przy nim gorsza. I podoba ci się to, że jest takim eleganckim porucznikiem bez grama zdrowego rozsądku. Zdrowy rozsądek to twoja domena. Chcesz przejść przez życie z kimś, kto do ciebie nie pasuje? Chcesz je zmarnować na dopieszczaniu Calvina za każdym razem, gdy ktoś zrani jego uczucia? To słabeusz, Ruby.

— Milcz! Zamknij się!

— Dobrze, już milczę. Tylko wytłumacz mi, dlaczego. Dlaczego go kochasz? Albo lubisz? Albo żałujesz? Wytłumacz mi.

— Cieszy mnie to, że jestem potrzebna. Lubię, kiedy mnie dotyka. Jest taki delikatny i dobry. Ojciec wyciągał do mnie rękę tylko po to, żeby mnie uderzyć. Kocham Calvina i chcę za niego wyjść.

Dość tego, zdecydowała, pora spać.

Następnego dnia skróciła przerwę obiadową, by napisać list do Grace Zachary. Wyśle go z pocztą admirała. Spojrzała na zegar, zostało dość czasu, żeby napisać do Opal i babci.

O czarnej zadzwonił telefon.

— Biuro admirała Query — powiedziała oficjalnym, urzędowym tonem.

— Ruby, mówi Calvin Santos.

Serce jej zabiło; była pewna, że chce jej powiedzieć, iż zmienił zdanie. Denerwowało ją, że zawsze przedstawiał się tak formalnie.

— Słuchaj, kochanie...

Tego „kochanie” też nie znosiła. Przecież ma własne imię, prawda?

— ...nie wiem, co się stało, ale nie polecę do Kalifornii wojskowym samolotem. Muszę skorzystać z linii cywilnej, więc możemy lecieć razem. Ustaliliśmy co innego, ale tak będzie lepiej. Wystarczy mi pieniędzy na tygodniowy pobyt w hotelu. To wspaniale, prawda? Jeszcze pięć dni. Chciałem pomówić z tobą, zanim kupię bilet. Zgadzasz się, prawda? — spytał niepewnie.

Przez chwilę brakowało jej tchu.

— Mhm — wymamrotała.

— Rozumiem — powiedział uszczęśliwiony Calvin. — Twój szef jest w pobliżu. Zadzwonię jutro wieczorem.

Ruby skinęła głową, zapominając, że Calvin jej nie widzi.

— Dobrze.

Pięć dni. Sto dwadzieścia godzin. Siedem tysięcy i sto minut. Czterdzieści trzy tysiące... — Pięć dni?! — wrzasnęła jak oparzona.

Admirał Query wystawił łysą głowę z gabinetu.

— Coś nie tak, Ruby?

— Nie, sir. Pomyliłam się. Zaraz to naprawię. Nie znoszę robić błędów. — Nikt nie jest doskonały. Nawet ja — oznajmił admirał. Nim Ruby zdążyła ochłonać, telefon zadzwonił znowu.

— Biuro admirała Query — warknęła.

— Ruby — odezwał się dziarski głos — czy ty i twoja przyjaciółka nie umówiłybyście się na podwójną randkę?

— Niestety, Andrew, Nola wróciła do Michigan. Ale możemy oboje wpaść po pracy na kawę jeśli masz ochotę.

— No pewnie. Nie masz dziś żadnych kursów? — Nie dziś.

— Co się stało, że jesteś taka zgodna? — zagadnął Andrew podejrzliwie. — Myślałem, że będziesz na mnie wściekła.

— Byłam, ale już mi przeszło. Słuchaj, to nie jest mój prywatny telefon. Spotkajmy się w

„Sadie” na K o wpół do szóstej. Czy to za wcześnie?

— Powiedzmy o szóstej i umowa stoi. Dostałaś kwiaty i czekoladki?

— Tak. Dziękuję. Przeprosiny zostały przyjęte. Nie musiałeś tego robić.

— Gratulacje, młody człowieku — włączył się do rozmowy ktoś trzeci. — Jeśli nie uszczęśliwisz tej dziewczyny, będziesz miał ze mną do czynienia. Najgorsza wojna to ta prowadzona na własnym poligonie, no, ale wy, lotnicy, coś o tym wiecie. Admirał Clark Query z marynarki wojennej.

— Co, do diabła...

— Muszę kończyć. Do zobaczenia o szóstej, Andrew — w głosie Ruby zabrzmiały nutki paniki.

Teraz musi mu powiedzieć. Nie wiadomo, jak zareaguje. Co zrobi z tą wiadomością? O Boże.

* * *

Andrew Blue zjawił się w „Sadie” za piętnaście szósta. Do miasta zabrał się z majorem jadącym do Arlington. Resztę drogi przebył taksówką. Pod kołnierzykiem czuł rozgrzaną skórę; miał wrażenie, że za chwilę eksploduje. Przez całe popołudnie myślał tylko o tym, co powiedział admirał Query. Nie trzeba było geniusza, by zrozumieć sens słów tego starego piernika — Ruby zamierzała wyjść za swojego żółtka. Gdyby nie zadzwonił, pewnie o niczym by się nie dowiedział. No tak, teraz wiedział już wszystko. Pytanie tylko, co z tym zrobić, jeśli w ogóle można coś zrobić? Czy zależy mu na Ruby na tyle, by wdawać się w tę awanturę? Żółtek miał nad nim wyraźną przewagę i dawno go już wyprzedził. Gdyby wiedział, dałby z siebie wszystko. Umiał wygrywać. Trener z liceum powiedział, że istnieją dwa typy ludzi: zwycięzcy i przegrani. Zwykle był zwycięzcą — w każdej dyscyplinie sportu w podstawówce, liceum i Annapolis. Zwycięzca od najmłodszych lat. Rodzice puchli z dumy, zwłaszcza stary, który — do pewnego momentu — nie pamiętał nawet, jak jego syn ma na imię. O tak, stary był z niego dumny, a stał się jeszcze bardziej dumny — o ile w ogóle to możliwe — gdy Andrew opuścił Annapolis jako oficer. Matka płakała, ale stary klepnął go po plecach i mruknął: „Podporucznik, jak James Cagney”. Matka polubiłaby Ruby, a Ruby odwzajemniłaby się tym samym. Oczywiście to nie miało większego znaczenia.

— Piwo — rzucił kelnerce. — Czekam na dziewczynę.

Zaczerwienił się, gdy kelnerka zrobiła znaczący grymas, ale wytrzymał jej spojrzenie. Naprawdę myślał o Ruby jak o swojej dziewczynie.

Żałował, że nie spytał Ruby o tego żółtka, ale nie śmiał ryzykować, by nie narażać swego ego. O co chodzi z tym lotnikiem? Wygląda na niedojdę, takiego jak te pedały w rajstopach i baletkach. Co ta Ruby w nim widzi? Jak mogła wybrać jakiegoś skośnookiego? Przecież on, Andrew, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i osiemdziesiąt pięć kilo samych mięśni. Pewnie dlatego, że ten konus zaproponował jej małżeństwo.

Andrew jęknął. Małżeństwo. Jeśli to prawda, musi zrobić to samo i modlić się, żeby poskutkowało. Z kobietami nigdy nie wiadomo.

Ale czy zależy mu na Ruby aż tak? Zasmarkane dzieciaki, śmierdzące pieluszki, psy, koty, przypalone kolacje i koniec wolności. Jeśli się na to zdecyduje, to jak, do kurwy nędzy, ma być zwycięzcą? Zakochać się można, ale nie trzeba się od razu żenić.

Kiedy Ruby pojawiła się w drzwiach, Andrew kończył już drugą szklanekę piwa. Przywołał kelnerkę pstryknięciem palców.

— Dwa razy to samo — powiedział tak głośno, by usłyszeli go cywile przy trzech najbliższych stolikach.

Uśmiechnął się ciepło i przyjrzał się Ruby. Czy sprawdzi się w roli żony oficera? Jeśli nad sobą popracuje, pewnie się nada. Jest ładna, choć nie piękna, ale ma oszałamiające oczy z gęstymi rzęsami. Sypialniane oczy. Dziś na jej policzkach widniały rumieńce — nie od różu. Po całym dniu pracy na jej białej, wykrochmalonej bluzce nie było widać ani jednego zagniecenia. Podobały mu się ręce Ruby. Zastanowił się, jak pisała na maszynie i czy była w tym dobra. Spytał o to, nie dlatego, że naprawdę go to obchodziło, ale żeby mieć o czym mówić.

Ruby uśmiechnęła się, ale jakby z przymusem.

— Około sześćdziesięciu słów na minutę. Bezbłędnie. A ty umiesz pisać na maszynie? Andrew oparł się o poręcz krzesła.

— Otóż umiem. Może cię to zaskoczy, ale potrafię też robić na drutach. Nasz trener z liceum kazał wszystkim chłopakom z drużyny robić na drutach. To rozwija mięśnie dłoni. Wydzierałem nawet chustę. Moja matka zarzuca ją na oparcie krzesła, kiedy na nim siada.

— W jakim kolorze?

— W jakim kolorze? — powtórzył Andrew głupio. Musiał się zastanowić.

— Zielono-żółta. To ważne?

— Nie. Po prostu dotąd nie mówiłeś o sobie.

— Tacy są komandos. Skryci — oznajmił, wypinając pierś.

— Lubisz czytać?

— Wszystko, co wpadnie mi w ręce.

— Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej.

— Wystarczyło spytać — powiedział cicho. — Sądziłem, że jeśli zacznę opowiadać ci takie rzeczy, pomyślisz, że się przechwalam. Chciałem, żebyś lubiła mnie za to, jaki jestem.

— Jak mogłoby mi się to udać, skoro cię właściwie nie znam? Przez te wszystkie miesiące dowiedziałam się o tobie tylko tyle, że lubisz czytać, umiesz robić na drutach i masz zbyt ruchliwe ręce.

— A ile dowiedziałas się o tym lotniku? — spytał kwaśno. — Wystarczająco dużo. Poświęcił sporo czasu, żebym go poznała.

— „Nie jestem tobą zainteresowana”. To twoje słowa. Przyznałaś nawet, że posługiwałaś się mną jako przykrywką do waszych spotkań. Jakbyś się poczuła... to był wredny numer — zakończył z godnością.

Ruby zaczerwieniła się.

— Wierni przepraszam. To ze względu na moją siostrę...

— Skoro o niej mówimy, chyba ją widziałem. Pracuje z tobą w Pentagonie, prawda? Musiałem zgłosić się do dowódcy. Ale ona mnie nie widziała.

— Do dzieła, Blue, bo przegrasz. Chłopaki radzili mu zadziałać przez siostrę.

— Amber pracuje w Pawilonie Marynarki.

Andrew skinął głową na kelnerkę. Tym razem nie strzelał już palcami.

— Dwie kanapki z sałatką z krewetek, dwie porcje sałatki ziemniaczanej i dwie z kapusty. Ja poproszę o następne piwo, a ta pani wypije piwo imbirowe. — Spojrzał na Ruby. Wyglądała na zaskoczoną. Może powinienem. Nie trać inicjatywy, upomniał się. — Zobaczyłem cię pierwszy. To powinno się liczyć. Czy to moja wina, że poszłaś do łazienki i spotkałaś tego... drugiego? Miałem wiele dziewcząt i, przyznaję, nic o nich nie wiem. Oczywiście chodziłem z nimi do łóżka, wszyscy faceci tak robią, ale to nic nie znaczyło. — Odchylił się, by lepiej obserwować wyraz twarzy dziewczyny. Blue, ty stary wyjadaczu, pochwalił sam siebie. Wyglądało na to, że Ruby nie wie, co powiedzieć. Andrew ujął jej dłoń; Ruby wyszarpnęła ją. Oczy Andrew posmutniały. — Dobry ze mnie chłopak. Moi rodzice tak sądzą. Jestem miły dla dzieci i psów. Byłem harcerzem. — Rany, nie reagowała na nic — Musisz chyba lubić mnie choć trochę, nawet

jeśli... miałem być przykrywką dla tego... drugiego. A przy okazji, kiedy ślub? — spytał cicho.

— Nie twój interes — odparła Ruby ze złością.

— Owszem, mój. W miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone.

— Nie znasz mnie. Nie możesz mnie kochać.

— To prawda. Nie wiem o tobie zbyt wiele. Nie chciałem cię ponaglać. Nie chciałem cię do niczego zmuszać i, na miłość boską, nie przypominaj mi o hotelu. Wtedy właśnie zrozumiałem, że... warto o ciebie walczyć i czekać na ciebie. Och, Ruby, zastanów się jeszcze raz nad tym, co chcesz zrobić. Nie decyduj się na gorąco, bo popełnisz największy błąd w życiu. Pewnie to już wkrótce, tak?

— Wyjeżdżam za pięć dni. Teraz możesz iść do mojej siostry i opowiedzieć jej wszystko. To właśnie zamierzasz, prawda? Tylko że to nic nie zmieni. Podjęłam już decyzję i jeśli zrobisz cokolwiek, żeby mi w tym przeszkodzić, znienawidzę cię na zawsze. A jeśli zależy ci na mnie tak, jak twierdzisz, powinno ci zależeć na moim szczęściu. I wiesz co? Nie mam ochoty na sałatkę z krewetek, a surówka z kapusty nie jest moim ulubionym daniem. Byłoby miło, gdybyś spytał mnie o zdanie, zanim złożyłeś zamówienie. — Sięgnęła do torebki po drobne i położyła na stole dolara i dziesięć centów. — Żegnaj, Andrew.

— Rzuciła cię, co? — zagadnęła go żująca gumę kelnerka. — Wy, z piechoty morskiej, jesteście wszyscy jednakowi. Mogłam ci powiedzieć, co zamierza twoja dziewczyna w chwili, gdy za nią zamówiłeś. Miała to wypisane na twarzy. — Cisnęła rachunek na stół i odpłynęła dumnie na swoje stanowisko.

Zmień taktykę, zalecił sobie Andrew. Wykorzystaj te pięć dni.

* * *

Ruby doznawała mieszanych uczuć. Wsiadła do trolejbusu i wrzuciła żeton. Przejechała dwa przystanki, po czym zerwała się z miejsca i wysiadła na wysepce tramwajowej, postanowiła wrócić do „Sadie”.

Niecierpliwie stukwała stopą w twardey beton, przyglądając się grupkom ludzi, którzy wylegli na wieczorny spacer. Musiała jakoś odnaleźć Andrew. Zacisnęła kciuki na szczęście, jak wtedy gdy była dzieckiem i spodziewała się najgorszego. Co robi, jeśli Andrew już wyszedł? Miał chytre spojrzenie. A to oznaczało tylko jedno: zamierzał iść do jej siostry. Ale po co? Tylko po to, żeby narobić jej kłopotów? Podejrzewała, że kłamał, mówiąc, iż uważają za kogoś wyjątkowego, ale miło było to usłyszeć. Pytanie, czy warto narobić sobie z tego powodu kłopotów?

Przed wejściem do „Sadie” Ruby wzięła głęboki oddech i zerknęła przez szybę do środka. Głośno wypuściła powietrze. Andrew siedział w środku z trzema dziewczynami, śmiejąc się głośno. Akurat w tej samej chwili podniósł głowę i dostrzegł Ruby. Dałaby głowę, że wyszeptał: „Cholera!” Odwróciła się i uciekła. Wskoczyła do nadjeżdżającego trolejbusu. Wrzuciła trzeci żeton, chwyciła bilet i zataczając się, ruszyła na tył pojazdu. Usiadła obok jakiegoś starszego pana, prowadzącego ożywioną konwersację z samym sobą. Poszła za jego przykładem i zaczęła mruczeć pod nosem. Przy rondzie Dupont zorientowała się, że mężczyzna rozmawia ze zmarłą żoną.

Andrew Blue szedł z pogardliwą miną przez kafeterię w Pawilonie Marynarki. W swoim mundurze rzucał się w oczy jak krosta na nosie debutantki. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Przyszedł tu z gównianą misją. Wiedział, że zachowuje się jak świnia, ale to także było mu obojętne.

Dochodziła dwunasta, pora, w której większość sekretarek jadła lunch. Rzucił okiem na tace z jedzeniem i zdecydował się na ser, szynkę i mrożoną herbatę. Zaanektował stolik na cztery

osoby.

Wszyscy mundurowi gapili się na niego, zastanawiając się pewnie, co tu robi. Durno ty, ludzie, zwykle durnoty, mruknął, zatapiając zęby w wyschniętej kanapce. Nie spuszczał oczu z wejścia.

Po trzech minutach w drzwiach ukazała się Amber Connors w towarzystwie koleżanki... Edny... Ellie... jakoś tak. Nie, Ethel. Właśnie, Ethel. Patrzył jak wybierały sobie posiłek, a kiedy zbliżyły się do jego stolika, wstał, prezentując całą wspaniałość munduru piechoty morskiej. Wiedział, że skupia na sobie spojrzenia innych. Na Boga, piechota morska kształtowała prawdziwych mężczyzn.

— Panno Connors — odezwał się na tyle głośno, by Amber go usłyszała. Z galanterią odsunął krzesła, pomagając usiąść dziewczętom. — Zabawne, że się spotykamy. A już myślałem, że przyjdzie mi zjeść w samotności.

— Co cię sprowadza do Pawilonu? — spytała Amber, kładąc serwetkę na kolanach. — Znasz już Ethel, prawda? — dodała grzecznie.

— Owszem, miałem tę przyjemność. — Jego uśmiech, ciepły i szeroki, zdawał się obejmować obie dziewczyny. Amber zatrzepotała rękami; Ethel oblała się rumieńcem.

Zaczęli rozmawiać o pogodzie, porach roku, nadchodzących świętach. Tę raczej niezręczną i wymuszoną konwersację Andrew zdołał skierować na Ruby.

— Naprawdę ją lubiłem i będzie mi jej brakować — oznajmił stosownie zasmuconym tonem.

Amber sięgnęła po sałatkę.

— Ach, dostałeś przeniesienie?

Andrew pogroził palcem.

— Ach, ty chytrusko. — Amber uśmiechnęła się, jakby ją skomplementował. Kolejna wieśniaczka. — Przecież mówię o Ruby. Kryjesz ją? Czy powiedziałem coś nie tak? Jesteś jej siostrą i w ogóle... Myślałem, że... Kurczę, chyba się wtrącam w nie swoje sprawy.

Ethel przestała żuć.

— Co ty wygadujesz? — zapytała Amber, odkładając widelec na talerz.

— No, Amber nie stawiaj mnie w takiej sytuacji. Przepraszam, jeśli powiedziałem coś, co... no, przepraszam — zakończył, zabierając talerz i serwetkę. — Muszę lecieć. Miło było spotkać was znowu. Chyba się już nie zobaczymy.

— Czeka — rzuciła Amber. W jej głosie brzmiała panika. — Wytłumacz mi, co przed chwilą powiedziałeś.

— Słuchaj, jestem w głupiej sytuacji. Skoro Ruby wychodzi jutro za męża... Myślałem, że mogłabyś... Rany, naprawdę nie chciałem cię zdenerwować. Takie rzeczy zdarzają się w każdej rodzinie — potrafił zagadywać dziewczyny. Uwielbiały sądzić, że mają go w garści. Uśmiechał się z zakłopotaniem, przestępował z jednej nogi na drugą. Zauważył, że Ethel nadal nic nie je. Twarz Amber poczerwieniała z wściekłości. — Życz ode mnie Ruby wszystkiego najlepszego i powiedz jej, iż mam nadzieję, że będzie szczęśliwa z tym... z tym... Filipińczykiem, czy kim on tam jest — rzucił Andrew na odchodne.

— Filipińczykiem? — zakrztusiła się Amber. — Wróć tu, Andrew! — rozkazała ostro.

— Nie mogę, już jestem spóźniony. Przykro mi to mówić, ale cóż... wygrał lepszy i nie ja nim byłem.

Amber odprowadziła go wzrokiem, podobnie jak wszystkie sekretarki w jadalni. Ethel zaczęła jeść, ale nie podniosła oczu.

Amber kilka razy głęboko odetchnęła. Ruby bierze jutro ślub? To chyba jakiś dowcip. No, ale ten komandos nie robił wrażenia dowcipnisia. — Boże! — jęknęła.

— Czy Ruby nie chciała...

— Nie, nie chciała — warknęła Amber. — Zawsze była podstępna zmiją. Pewnie planowała ucieczkę. Tuż pod moim nosem! Idę, Ethel. Muszę zadzwonić do domu. Nie, jeszcze za wcześnie. Ojciec wróci dopiero o czwartej, a matce nie mogę powiedzieć czegoś takiego.

— Amber, poczekaj — odezwała się Ethel prosząco. — Dlaczego chcesz im powiedzieć? Ruby najwyraźniej usiłuje utrzymać to w tajemnicy. Jeśli jest zakochana, dlaczego nie chcesz jej pozwolić być szczęśliwą? Gdyby chodziło o moją siostrą, nie pisnęłabym ani słówka. Lepiej zajmij się własnymi sprawami.

— Ruby jest moją sprawą — rzuciła wściekle Amber.

— Niezupełnie. Całkiem nieźle radzi sobie bez niczyjej pomocy. Pamiętam, jak wyglądała, kiedy przyjechała tu w lipcu. A teraz ma lepszą pracę, niż my obie razem wzięte. Chodzi na wieczorowe kursy. Kupiła sobie parę ładnych ciuszków i... Amber, ona po prostu chce być szczęśliwa, jak każda z nas.

Amber odepchnęła od siebie tacę. — Nic nie rozumiesz, Ethel. Mój ojciec...

— Wyrobiłam już sobie o nim własne zdanie. Skończyłaś dwadzieścia jeden lat, nie ma nad tobą władzy. Zanim zdecydujesz się donieść na Ruby, zastanów się dobrze, co robisz. Nangi jest... no, dobrze wiesz, kim jest. Nie możesz być aż tak niesprawiedliwa — Ethel nadziała na widelec liść sałaty, wepchnęła go sobie do ust i zaczęła metodycznie żuć, nie spuszczać oczu z Amber. — Zapomnij o tym, co powiedział Andrew Blue.

Amber odchyliła się na krześle. Nikt nie chciał, żeby Ruby stało się coś złego. Dlaczego? Jeśli posłucha Ethel, zdradzi ojca. Znienawidzi ją i zwali całą winę na nią, pewnie ją wydziedziczy. Właściwie miała wrażenie, że ojciec już jej nienawidził, tak jak nienawidził Ruby, matki i pewnie także Opal. Może nienawidził wszystkich kobiet? Kurczę, jak Ruby zdołała to wszystko zorganizować? Gdyby nie Andrew, nigdy by się nie dowiedziała. Mimo woli poczuła podziw dla przebiegłości siostry. Była także jeszcze inna sprawa. Jeśli Ruby naprawdę zamierza uciec i wyjść za mąż, odtąd stanie się problemem dla kogoś innego, nie dla niej. Amber wzięła tacę i uśmiechnęła się do swojej przyjaciółki, jedynej przyjaciółki.

— Jaki Andrew?

Ethel roześmiała się i wyszła za nią z jadalni.

Opal Connors biegła do babci, przyciskając kurczowo do piersi listy. Och, nie mogła się już doczekać, żeby przeczytać list siostry.

Spoważniała. Powinna napisać do Ruby. Powinna opowiedzieć jej o tym, że z każdym kolejnym dniem babcia oddycha z coraz większym trudem, że doktor przychodzi do niej co drugi dzień, czasami nawet codziennie, a także wspomnieć o pigułkach, które musiała brać. O tym, że stryj Hank wygląda, jakby się czegoś bał, a stryj John prawie nie opuszcza domu. Ostatnio zawsze któryś z nich był przy babci.

Ona także miała więcej obowiązków. Codziennie przed szkołą wstępowała do małego domku z polnych kamieni i zabierała listę zakupów, którą zostawiała w sklepie. W czasie przerwy na obiad odbierała zakupy i przynosiła je babci, potem przygotowywała kanapkę lub czarkę zupy i wracała do szkoły.

Po lekcjach wyjmowała listy ze skrzynki pocztowej, wracała do małego domku, przygotowywała kolację, wykonywała parę prac domowych, po czym wracała do własnego domu i własnych zajęć. Przychodziła znów po kolacji, by pozmywać naczynia i rozwiesić pranie. Robiła wiele rzeczy, które niegdyś wykonywała jej siostra. Ruby również prasowała i myła podłogę. W lecie nawet strzygła trawnik, jeśli stryjowie pracowali na dwie zmiany. Opal dziwiła się czasem, w jaki sposób jej siostra potrafiła podołać wszystkiemu.

Ona sama czuła się tym taka zmęczona i obolała. Może dlatego, że kryła przed siostrą stan babci? Tajemnice zawsze przyprawiały ją o zawroty głowy. Chciałaby móc zwierzyć się komuś ze swojego zmęczenia. Tak bardzo chciałaby mieć czas na skakankę i grę w kulki z dziećmi.

Bez tchu dopadła drzwi kuchni.

— Jestem już, babuniu! Mam listy od Ruby. Babuuunuu!

— Óóóó, Opal. Pani Matia, sąsiadka babci, przyłożyła palec do ust. — Twoja babcia jest w sypialni. Ona... miała wylew.

— Co to jest wylew?

— Wylew to... nie musisz wiedzieć. Babcia jest bardzo chora, więc wróć do domu i nie hałasuj już tak, słyszysz?

— Tak, proszę pani — szepnęła Opal. — Czy babcia umrze?

— Najprawdopodobniej — powiedziała sucho pani Matia. — Powiedz to rodzicom. Biegnij już.

Opal spojrzała na listy. Zostawić, czy może je zabrać i przeczytać wieczorem w łóżku? Stoczyła ze sobą zaciętą walkę, aż na jej czoło wystąpiły kropelki potu. W końcu zdecydowała, że zatrzyma swój, a zostawi ten, który przyszedł do babci.

— Proszę pani, czy może pani dać ten list babci? Stryjowie go jej przeczytają. Po listach Ruby babunia zawsze czuje się lepiej.

— Dam, a ty powiedz ojcu, że sąsiadka nie powinna opiekować się osobą, która ma synową. Powiedz mu, żeby przysłał tu twoją mamę. Muszę dbać o własną rodzinę. Zapamiętaj, co mówię, i powtórz ojcu.

— Tak, proszę pani. — Opal włożyła list Ruby do książki od historii.

Łzy toczyły się po jej policzkach, kiedy dotarła do zakładu kamieniarskiego. Żadna z nich nigdy tu nie przychodziła. Wspięła się po dwóch schodkach i weszła do biura pana Riley'a, właściciela. Było puste. Z wahaniem pchnęła drzwi, prowadzące do ponurego pokoju na tyłach budynku. Zgrzyt dłuta na kamieniu ranił jej uszy. Opal spojrzała na szerokie plecy ojca i jego

muskularne ramiona. Czy to on zrobi nagrobek dla babuni? Odczekała chwilę i nieśmiałym, piskliwym głosem powiedziała:

— Tato...

George Connors odwrócił się i zmierzył Opal wzrokiem, który przeraził ją śmiertelnie.

— Pani Matia powiedziała, że babunia miała... wylew i że najprawdopodobniej umrze. Kazała ci powtórzyć, że sąsiedzi nie powinni zajmować się babunią i że powinieneś przysłać mamę. — Odwróciła się i uciekła. Wiedziała, że czekają lanie za to, że odważyła się wejść do miejsca pracy ojca, ale teraz nie dbała o to, ponieważ miała list Ruby. Może go czytać przez całą noc, bez przerwy.

Przebiegła przez podwórko i popędziła do Grace Zachary, zajętej pielieniem kwiatowej rabatki.

— Cześć, Opal — roześmiała się. — Kochanie, co się stało? — Spytała, widząc łzy toczące się po policzkach dziewczynki.

Opal wyrzuciła z siebie jednym tchem to, co zdarzyło się w ciągu ostatniej godziny.

— A teraz on mnie zbije. Pani Matia kazała mi to zrobić. Tata zawsze mówi, że trzeba słuchać starszych. Musiałam mu powiedzieć, prawda?

— Oczywiście — powiedziała Grace kojąco, tuląc ją w ramionach. — Słuchaj, kochanie, wiem, że to zabrzmiało dziwnie... Nie zrozumiesz tego teraz, ale kiedyś zrozumiesz. Nic nie trwa wiecznie. Wkrótce dorośniesz jak Ruby i odejdziesz stąd. A na razie musisz robić to, co dla ciebie najlepsze. Jeśli kiedyś będziesz chciała z kimś porozmawiać, przyjdź do mnie. A teraz biegnij i wejdź do domu od tyłu, będziesz w swoim pokoju, zanim ojciec dotrze do domu. Pospiesz się — ponaglała Grace.

Opal wybiegła, ocierając oczy.

Siedziała skulona na schodach, czując się jak schwywane zwierzę. Zbije ją czy nie? Jeśli tak, chciała, żeby stało się to jak najszybciej. Normalnie już by to zrobił, ale może zmartwił się chorobą babci. Skrzywiła się. Ojciec nie martwił się niczym.

Zaczęła nasłuchiwać. Szkoda, że matka mówi tak cicho. Wydawało się jej, że w głosie ojca brzmiał gniew. Ale gdyby tak było, matka nie odzywałaby się wcale.

Rodzice zblizali się do schodów. Opal wycofała się bezszelestnie do swojego pokoju. Usłyszała głos matki:

— Przebiorą się.

— Nie ma potrzeby. Umierająca kobieta nie zwróci uwagi na twoje ubranie. Spiesz się, kobieto, zanim ta plotkarka zacznie o nas rozpowiadać.

Opal pochyliła się nad książką do historii. O czym on mówi? Babunia nie jest żadną plotkarką!

— Jeśli... jeśli twoja matka mnie spyta... To co mam powiedzieć?

— Nie będzie cię o nic pytać — oznajmił twardo George. — Postaraj się znaleźć pierścień, zanim moi bracia wrócą do domu. Teraz nikt ci nie przeszkodzi. I nie wracaj do domu z pustymi rękami.

Weszli na schody. Po co idą na górę? Ach, tak. Matka musi włożyć buty. O tej porze miała zawsze opuchnięte i zaczerwienione stopy. Pewnie będą ją boleć, kiedy wciśnie je w buty. A musi przejść piechotą całą drogę do domu babci. Chciała zapłakać nad matką, ale Ruby jej tego zabroniła. Nie, właściwie powiedziała, żeby nikt nie widział jej łez. Kiedy to sobie przypomniała, odechciało się jej płakać. Czowała tylko ulgę, że nie dostała lania.

Opal podbiegła do okna i zobaczyła ojca idącego ulicą, daleko przed matką, która ledwo szła, jakby lada chwila miała osunąć się na ziemię. Ojciec wracał do firmy kamieniarskiej Rileya. Opal zachichotała. Zaczęła tańczyć ze szczęścia. Po raz pierwszy w życiu została sama w domu. Mogła robić wszystko, na co miała ochotę; mówić to, co jej się podobało. Nawet kłąć! Ale nie

zrobiła nic. Nagle zrozumiała, że jedyne na co w tym domu miała ochotę, to przeczytać list od Ruby. Odpisałyby siostrze, ale skąd weźmie znaczek? Znaczki zawsze kupowała babunia. Może pani Zachary pożyczy jej chociaż jeden.

* * *

Mary Cozinsky miała świadomość zbliżającej się śmierci. Dziwiła się tylko, że trwa to tak długo. Chciała umrzeć i spotkać się z Mikelem, żeby mu wszystko opowiedzieć. Chociaż teraz nie mogła mówić, wiedziała, że w niebie odzyska głos. Bóg tego dopilnuje.

Oddychała z trudem; coś było nie w porządku z lewą stroną jej ciała. Straciła władzę w ręce i nodze. Pora odejść, opuścić ten świat. Nie żałowała niczego. Może tylko tego, że nie zobaczy już Ruby ani Opal. Opal przyszła tu dzisiaj, ale Adelaide Matia, ta stara zrzęda, nie wpuściła jej na górę.

Nie miała pojęcia, która to godzina. Prawie nie widziała, ale nie chciała już na nic patrzeć. Była sama. Później przyjdą jej dzieci, ale Ruby nigdy już nie zobaczy.

Jej umysł zaczął szwankować. Chwilami nie potrafiła skupić myśli. Ciszę w pokoju zmaćił jakiś hałas. Jej oddech? Nie, jakieś kroki. Znowu doktor albo Adelaide Matia. Ale głos należał do... dobry Boże, do Irmy, jej synowej. Paplała o czymś. Mary nie chciała jej słuchać. Ani jej, ani George'a. Czy George też przyszedł? Nie chciała, żeby wszedł do jej pokoju. Jaki George? Jaka Irma? Zaczęła się krztusić, nie mogąc odkaslnąć.

— Pomogę ci — odezwał się łagodny głos.

Czyjeś silne ręce dźwignęły ją do pozycji siedzącej, spiętrzyły poduszki pod jej głową. Kto to?

— Teraz powinno być trochę lepiej. Przyszedłbym wcześniej, ale nie wiedziałam — ciągnął łagodny głos. — Nie powinni cię tak zostawiać. Co za doktor zostawił cię tu samą?

Mary poczuła na twarzy delikatne dotknięcia. Ból palił ją w piersi jak rozżarzone żelazo. Nie ustępował. Gdybyż mogła zobaczyć... łagodny głos mówił teraz szeptem. Ktoś wygładzał koldrę. Hank i John też przyjdą.

* * *

Irma chciałyby spędzać z matką George'a więcej czasu, ale w swoim rozkładzie dnia nie miała na to ani chwili, a George... był temu przeciwny. Ale lubiła Mary Kozinsky, choć wiedziała, że starsza pani uważa ją za osobę słabą, bez charakteru. Amber powiedziała jej kiedyś, że teściowa nazwała ją wycieraczką. Cóż, nie mogła zaprzeczyć. Gorzej, stała się niewolnicą swojego męża. Inaczej ściągnęłaby na siebie jego gniew. Doświadczyła tego gniewu trzy razy. Mąż zawlókł ją wtedy do piwnicy i pobił do nieprzytomności. Nawet nie pamiętała, czym zasłużyła sobie na tak okrutną karę. Kiedy powoli odzyskiwała świadomość, poczuła duszny zapach węglowego pyłu. Leżała na klepisku z ubitej ziemi. Sprzączka szerokiego pasa, którym bił ją George, pokaleczyła jej ciało na plecach, piersiach, udach. Wszędzie, gdzie nie było widać. Czym aż tak zawiniła? Powinna zgłosić się do lekarza, ale wówczas całe miasto dowiedziałoby się o jej hańbie. To, że ją pobił, było straszne, ale o wiele gorsze było to, że tej samej nocy musiała uprawiać seks ze swoim oprawcą. Amber miała wtedy pięć lat, Ruby dwa.

Właśnie wtedy zrozumiała, że George jest zdolny również do tego, by skatować jej dzieci. Pojęła, że musi zrobić wszystko, absolutnie wszystko, żeby temu zapobiec. I, oczywiście, modliła się codziennie, w każdej godzinie pracy. Wylała tyle łez, że mogłyby wypełnić jezioro, ale nic się nie zmieniło. Bała się okazać miłość swoim dzieciom, gdyby się odważyła, George na pewno coś

by zrobił. Może by je zabił. Nie mogła ryzykować życia swoich klejnocików. Boże, jak ona je kochała. Były dla niej cenniejsze niż pierścień carycy, który miała odnaleźć. Nie zamierzała tego zrobić. Nie okradnie umierającej kobiety. Nie robi tego dla George'a ani nawet dla dzieci. A jeśli ma ją za to pobić, trudno.

Irma przysunęła krzesło do łóżka i usiadła tak, by w otwartych drzwiach widzieć korytarz. Ujęła dłoń teściowej i mówiła, nie wiedząc, czy starsza pani ją rozumie. Wreszcie mogła to z siebie wyrzucić. Ale nie miała złudzeń; to tylko chwilowa ulga. Kiedy wróci do domu, wszystko zacznie się od nowa.

W pokoju zrobiło się ciemno, a łagodny głos w końcu ucichł. W piersi Mary nadał się wielki balon, gotów pęknąć. Mikel już po nią przyszedł, ale chciał, żeby coś zrobiła. Co? Złocista jasność oślepiła ją, nie widziała jego twarzy. Wskazywał na coś. Pragnęła do niego podejść, pragnęła, by ta jasność ukoїła jej ból. Pragnęła u boku swojego Kozaka pogalopować przez stępy, gdzie spotkają tych, którzy odeszli wcześniej. Co?! — krzyknęła bezgłownie. Co mam zrobić, zanim przyjdę? Oczywiście, listy. Mikel wskazywał na stosik listów na komodzie. Zdobyła się na najwyższy wysiłek i zdołała wyszeptać: „Listy Ruby” A potem odeszła, młoda dziewczyna, zmierzająca tanecznym krokiem w stronę złocistego światła i ramion Mikela.

Irma zerwała się z krzesła. Opuchnięte stopy z trudem dźwigały ciężar ciała. Chwyciła się komody i zobaczyła leżące na niej listy. Jej spojrzenie wróciło ku łóżku. Łzy toczyły się po jej policzkach. Przeżegnała się. Delikatnie zamknęła otwarte, wpatrzone w nią oczy. Trzeba wezwać księdza. Powinna zrobić to wcześniej, ale zbyt długo słuchała rozkazów. Nigdy nie zdobyła się na własne zdanie. Teraz musi spełnić wolę Mary. „Listy Ruby”, jak wyraźnie to powiedziała. Tak ich dużo... gdzie je ukryć? Gdzie? Gdybyż mogła je przeczytać, wszystkie po kolei; pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek. Weźmie jeden, z samej góry. Ale resztę musi ukryć, zanim zjędzie się rodzina. Musi też wezwać księdza. Pochyliła się i pobłogosławiła teściową.

Ruszyła w stronę schodów tak szybko, jak pozwalały spuchnięte stopy. Nie zważając na przeszywający ból, szła dalej. Chwyciła się balustrady, żeby nie upaść. Sięgnęła po telefon i wykręciła numer plebanii. Drżącym głosem zawiadomiła o śmierci Mary. Potem zadzwoniła do George'a, który słucał w milczeniu, a kiedy skończyła, spytał, czy znalazła pierścień.

— Nie ma go w jej pokoju. Pani Matia była tu przez pewien czas, więc nie mogłam poszukać. Zrobię to teraz, zanim zjawi się ojciec Flavian.

Musi się spieszyć. George ma długie nogi; dotrze tu za parę minut. Trzeba ukryć listy. Wetknęła je za radio z orzechowego drewna. Przez pewien czas nikt go nie będzie włączał; nie robi się tego w takiej sytuacji. Złożyła starannie list, który zatrzymała, i wsunęła do kieszeni sukienki. Gdybyż tylko mogła zdjąć buty. To niemożliwe, przecież zaraz przyjdzie ksiądz. Ktoś powinien zatelefonować po przedsiębiorcę pogrzebowego, ale kto? To chyba nie należało do niej. A może jednak? Nie była niczego pewna. Weszła chwiejnie po schodach, zatrzymując się na chwilę przed lustrem w złotych ramach. Wyglądała strasznie. Bezbarwna i zmięta. Kiedyś miała śliczną cerę. Była niemal tak ładna, jak jej trzy klejnociki. Opal wyrośnie na piękność. Amber miałaby tyle uroku, gdyby tylko potrafiła być szczęśliwa. Pomyślała o Ruby. Urodę tej córki przysłonił wyraz bólu i gniewu, stale obecny na jej twarzy. „Zrobiłam to, żebyście mogły przeżyć” — szepnęła; zmierzając w stronę przestronnej, słonecznej sypialni, w której spoczywała jej teściowa. Gdyby mogła, w jednej chwili podążyłaby w ślad za Mary Cozinsky, tam, skąd nie ma powrotu.

Zamyśliła się. Dlaczego wybrała na męża George'a Cozinsky'ego? Kiedy za niego wychodziła, nie nazywał się Connors. Zmienił nazwisko później. Jak mogła być tak głupia? Powinna dostrzec, wyczuć, że ten człowiek jest gorszy od diabła. Był przystojny, czarujący i taki pobożny, że jej rodzice przyjęli go z zachwytem. „To dobry człowiek” — powtarzali ciągle, aż

zaczęła im wierzyć. Wszystkie jej przyjaciółki uważały go za dobrą partię; ona zresztą również. Był pewny siebie i wydawało się, że zależy mu na jej szczęściu. Razem chodzili na pikniki, pływali łódką, spacerowali i trzymali się za ręce w kinoteatrze. Wyznał jej miłość i poprosił ją o rękę. Poczwała skrzydła u ramion. Koleżanki zieleniały z zazdrości.

Rodzice wyprawili im wspaniałe wesele. Dostali mnóstwo prezentów. W podróż poślubną wybrali się nad wodospad Niagara. W czasie tego koszmarnego tygodnia przekonała się, jak brutalny jest w łóżku George Cozinsky. Po dwóch tygodniach od zawarcia małżeństwa zmienił nazwisko. Całe miasto szeptało na ten temat miesiącami. Troszczył się o nią, ale nigdy nie słuchał tego, co chciała mu powiedzieć. Troska ta zniknęła bez śladu, kiedy umarli jej rodzice. Jako ich jedyne dziecko odziedziczyła dom, a także cztery tysiące dolarów, z których nigdy nie zobaczyła ani grosza. Do dziś nie miała pojęcia, gdzie się podziały te pieniądze. Gdyby je miała, odeszłaby natychmiast. Wiedziała, że oszukuje samą siebie. Dokąd miałyby pójść, co robić? Cztery tysiące dolarów nie wystarczy do końca życia. Ani Amber, ani Ruby nie zechcą jej przyjąć. Najpierw musiałyby jej przebaczyć, a to przecież niemożliwe. Poza tym nie mogła zostawić Opal.

Inna dostrzegła w lustrze odbicie ojca Flaviana, stojącego u podnóża schodów.

— Proszę wejść, ojczu. To stało się tak nagle... Przepraszam, że nie wezwałam ojca wcześniej, ale...

— Nie martw się, Irmo. Stało się. Na pewno Bóg już ją do siebie przyjął. Mary była dobrą kobietą, a nasz Pan jest litościwy.

Irma zaczęła na korytarzu, nie mogąc się zmusić do towarzyszenia księdzu. Osłabła; musiała się wesprzeć na solidnej balustradzie. Rozejrzała się dokoła; co takiego miał w sobie ten dom, że jej dzieci tak go kochały? Wolała wierzyć, że chodziło o dom, nie o kobietę, która była matką jej męża.

Odwróciła się i zobaczyła braci George'a, Hanka i Johna. Spojrzeli na nią z nadzieją. Pokręciła lekko głową. Po chwili do domu wpadł George. Powstrzymała się przed włożeniem ręki do kieszeni. Kiedy ją mijał, w jego zimnych oczach nie dostrzegła ani jednej łzy. Ale nie oczekiwała, że będzie płakać.

— Sam wyjdę, Irmo, nie trudź się — powiedział ksiądz. Skinęła głową z wdzięcznością.

— Wszystkie rzeczy matki są w tamtej bielizniarce. Niedzielna suknia wisi w szafie. Kazała nam przysiąc, że nie ubierzemy jej w te fioletowe łachy, w których zwykle grzebie się zmarłych. Musimy ją umyć. Pójdziemy do łazienki na dole. Boże, Irmo, co się stało z twoimi stopami? — spytał John z przerażeniem.

— Nic. Puchną mi pod koniec dnia. W domu noszę zwykle kapcie, ale musiałam tu jakoś dojść.

John otworzył szeroko oczy.

— Z takimi nogami! George cię nie przywiózł?

— Nie. Byłem w pracy, jak wy. Nie przejmuj się nogami mojej żony — wycedził zimno George.

— Ktoś powinien. — Hank podprowadził bratową do krzesła. — John, przynieś kapcie mamy — rzucił, z trudem ściągając buty ze stóp Irmy.

Wyswobodzone z jarzma twardej skóry, wydawały się puchnąć jeszcze bardziej. Irma usiłowała powstrzymać łzy napływające do oczu. Och, za to również zapłaci, i to drogo.

— Jezu — szepnął John, nie mogąc oderwać wzroku od stóp Irmy. Nawet George wydawał się zdziwiony. — Posiedź tu, Irmo, umyjemy się, a potem przygotujemy mamę. Nie możesz tego robić. Odwieziemy cię do domu.

Nie protestowała. Nie było sensu.

— Jesteś bardzo głupią kobietą — powiedział George. — Myślałem, że masz więcej rozumu. Wyras obrzydzenia na twarzy męża przejął Irmę trwogą.

* * *

Opal kuliła się u szczytu schodów. Zaraz stanie się coś strasznego. Widziała, jak matka wysiada z samochodu wuja Hanka. Szła z ogromnym trudem. Opal położyła się na brzuchu i wyjrzała spomiędzy kolumnienek balustrady. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy ojciec uderzył pięścią matkę, aż zatoczyła się pod ścianę. Opal podpełzła do pierwszego schodka, wyciągając szyję. Pożałowała swojej ciekawości, kiedy zobaczyła otwarte drzwi piwnicy i ojca, wyciągającego pas ze spodni. Na razie usłyszała tylko słaby jęk. Wycofała się tyłem i wpełzła do swojego pokoju, ukryła twarz w poduszce.

Irma kuliła się na podłodze piwnicy. Jej głos brzmiał jak ochrypły skrzek.

— Dlaczego to robisz, George? Czym zawiniłam?

— Zrobiłaś ze mnie pośmiewisko przed moimi braćmi. Jutro całe miasto będzie gadać, że nie pozwoliłem ci iść do doktora i moi bracia musieli się tobą zaopiekować. Każdy sąsiad widział, jak wysiadasz z samochodu. I nie znalazłaś pierścienia, co kazałem ci zrobić. Jesteś jak twoje córki. Nigdy nie słuchasz tego, co mówię. — Smagnał pasem jedną z belek, podtrzymujących strop piwnicy. Uderzenie zabrzmiało w uszach Inny jak grzmot..

Usiłowała odczołgać się od męża. Złapał ją i dźwignął do góry. Trzymał mocno, w przeciwnym razie by upadła. Szarpnął za sukienkę. Cienki materiał rozdał się z łatwością aż do dużej, nazywanej kieszeni. George szarpnął jeszcze raz. List Ruby, tak pięknie złożony, wypadł na podłogę. George puścił Irmę tak raptownie, że upadła na wznak i uderzyła głową w beczkę z kiszoną kapustą.

Myślała, że jej mąż nie może już wpaść w większą wściekłość, ale teraz wydawało się, iż oczy wyjdą mu z orbit. Jego przystojna twarz nabrała potwornego wyrazu. Stała się sinoczerwona, a żyły na szyi nabrzmiały jak opite pijawki. Dobry Boże, co Ruby napisała w swoim liście?

— Wstawaj! — wrzasnął. — Nie zamierzałaś mi tego dać, prawda?

Irma zachwiała się, ale utrzymała równowagę. George pobije ją niezależnie od tego, czy powie prawdę.

— Nie, nie zamierzałam ci go dać.

Cios wymierzony w jej skroń był tak mocny, że poczuła, iż pęka jej bębenek w uchu. Upadła i zastygła bez ruchu.

George pochylił się i pomachał jej listem przed nosem.

— Przeczytam ci to, Irmo — powiedział łagodnie.

Wstrząsnął nią wewnętrzny dreszcz. Nie wiedziała, co było gorsze: jego szalejąca wściekłość, czy ten spokojny, złowróżbny ton.

Kochana Babuniu.

Mam teraz przerwę na lunch. Przed chwilą napisałam do Opal i pani Zachary. Dziś w biurze nie mam zbyt wiele pracy.

Posłuchaj, co się stało. Wiem, że nie zdradzisz sekretu. Opal też nie. Obedrę ją ze skóry, jeśli to zrobi. We wtorek wyjeżdżam do Kalifornii z Calvinem Santosem, pisałam Ci już o nim. Weźmiemy ślub tak szybko, jak się da, pewnie za jakiś tydzień. Jestem strasznie zdenerwowana. Nikt o tym nie wie, nawet Amber. Calvin pochodzi z Saipan. Jest o wiele przystojniejszy niż Nangi, ten Filipińczyk, z którym spotyka się Amber. Ona chyba go kocha, oboje patrzą na siebie takim wzrokiem...

Zaplanowaliśmy wszystko, do najmniejszego szczegółu, więc nie może się nie udać. Calvin jest niesamowity, kiedy chodzi o szczegóły. A najlepsze jest to, że ojciec może sobie wsadzić te swoje przeklęte pieniądze tam, gdzie słońce nie dochodzi. Nie zacznę nowego życia z długiem za coś, za co nie powinnam płacić.

Chyba miałaś rację mówiąc, że ojciec ma nie po kolei w głowie. Naprawdę go nienawidzę. Te słowa brzmią strasznie, ale w ogóle mnie to nie martwi.

Musiałam rozstać się z Andrew. Czuję się nieszczególnie, chociaż nie zachowywał się zbyt sympatycznie. Ciągłe pchał się z łapami, próbował mnie obmacywać. Calvin taki nie jest. Szanuje dwie sprawy — mnie i swój mundur. Śmieszne, co?

No, muszę kończyć. Szef wróci za chwilę, a wtedy mój czas będzie należeć do państwa. Wiem, że chcesz, żebym była szczęśliwa — I jestem. Uwierzysz? Wychodzę za mąż!!!

Opal wspominała, że nie czujesz się dobrze, ale z jej listu nie dowiedziałam się nic konkretnego. Mam nadzieję, że już Ci lepiej. Nie zapominaj brać tych pigułek na ciśnienie. Kiedy przyjadę do Kalifornii, napiszę do Ciebie. Jeszcze nigdy nie leciałam samolotem. Nie mogę się doczekać.

Opal, to wiadomość dla Ciebie. Podrzyj ten list, kiedy go przeczytasz babuni. I na razie nie odpisuj. Czekaj na mój następny list.

Kocham Was obie. Przekażcie stryjom pozdrowienia i powiedzcie, że za nimi tęsknię. Za wami też tęsknię, bardzo.

*Caluski
Ruby*

— Usłyszałaś, co pisze twoja córka? Usłyszałaś?

Lodowaty ton głosu George'a sprawił, że Irma zadrżała.

— Nic już nie możesz zrobić — jęknęła.

— Owszem, mogę.

Kopnął ją butem o okutym czubku prosto w zębra. Zemdląła, a on nie przestawał kopać. Długo, długo potem — nie wiedziała, ile czasu minęło — usłyszała głos wołający jej imię. Ktoś niósł ją na górę, trzymając w silnych ramionach. Usłyszała płacz Opal i przekleństwa miotane przez Grace Zachary. Pewnie to Paul ją niesie. Ktoś wydawał jakieś dziwne, jęklive dźwięki. Musi coś powiedzieć, musi im koniecznie coś przekazać. Dla Opal.

— Paul — szepnęła. — Zabierz mnie na górę. Grace i Opal... pomogą mi. Jeśli będę potrzebować doktora, sprowadźcie go tutaj... Dziękuję ci, Paul.

— Zrób tak, Paul — powiedziała Grace. — Jeśli wsadzisz ją do samochodu, coś noże się z nią stać. Opal, zadzwoń do doktora i powiedz mu... powiedz mu, że twoja matka spadła ze schodów do piwnicy. Pospiesz się, dziecinko.

* * *

Grace zaczekała, aż Opal umyje twarz i wyczyści zęby. Doktor Ashley wyszedł przed chwilą. Sprawa jest poważna, ale jeśli Irma będzie na siebie uważać, wyzdrowieje. Tak powiedział doktor. Mimo jego zapewnienia, Opal była wyraźnie przerażona. Może zechce porozmawiać, pomyślała Grace.

— Muszę zmówić pacierz, Grace. Nie przeszkadza ci to?

— Skądże. Natarłabym ci uszu, gdybyś tego nie zrobiła. — Uśmiechnęła się słabo. Łzy zakreśliły się jej w oczach, gdy Opal wyliczała osoby, za które się modliła.

— Czy mamie nic nie jest? Nie umrze, prawda? — dopytywała się, kiedy już wskoczyła do

łóżka.

— Nic jej nie jest, to znaczy wkrótce wyzdrowieje, ale musi leżeć. Twój ojciec powinien się nią zaopiekować. Podobno pojechał do Waszyngtonu, więc pewnie wróci jutro. Nie martw się. Posiedzę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

— Jutro są moje urodziny — powiedziała Opal sennie. W zeszłym tygodniu babunia kupiła dla mnie prezent. Nie zależy mi na prezentach, naprawdę, ale ciekawe, co to może być. Jak pani sądzi?

Grace przypomniała sobie, o czym sama marzyła w dzieciństwie.

— Może złotego jednorożca z wielkim brylantem na końcu rogu i w rubinowym naszyjniku. Ze szmaragdowymi podkowami na tylnych kopytkach, a opalami, prawdziwymi opalami na przednich.

Było już późno, kiedy Grace wymknęła się z pokoju Opal. Przed wyjściem do domu zajrzała jeszcze do Irmy.

— Dziękuję ci — szepnęła Irma.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Wrócę rano, żeby zrobić Opal śniadanie i wyprawić ją do szkoły.

U Zacharych światło paliło się przez całą noc. Radio grało cicho, a w ciepłej kuchni unosiły się piękne zapachy. Grace i Paul siedzieli przy stole, pili kawę i trzymali się za ręce. Koło czwartej rano ciasto ostygło na tyle, że można je było pokryć grubą warstwą lukru i przystroić różyczkami z cukru i różowymi świeczkami.

— No i co myślisz? — spytała Grace po chwili, przytwierdziwszy do maleńkiego pudełeczka ogromną czerwoną kokardę.

— Myślę, że ten głupi jednorożec to przy tym małe miki — roześmiał się Paul. — Zanieśmy to teraz. Weź jeszcze parę butelek oranżady.

— Na śniadanie?

— Cóż to za zabawa, jeśli nie pije się oranżady do tortu? Pospieszmy się, bo dobry stary George może wkrótce wrócić.

Przebiegli przez podwórko do domu Connorsów, chichocząc jak dzieci. Grace otworzyła cicho drzwi, przytrzymując je, by ciasto niesione przez Paula nie doznało uszczerbku. W drodze powrotnej Grace osunęła się na wilgotną trawę, pociągając za sobą Paula. Potoczyli się po zboczku małego pagórka, aż wreszcie zatrzymali na swoim podwórku.

— Co powiesz, kotku? Robiliśmy to wszędzie, czemu nie tu?

— Jeśli nie przeszkadza ci, że przemoczysz sobie tyłek, to mnie też nie! — Grace zsunęła majteczki.

Kochali się słodko i czule. Jeszcze nigdy nie zaznali takiej jedności. Potem zmęczeni, leżeli w swoich ramionach. Szepem napominali się, że trzeba wstać, wziąć prysznic i iść na przyjęcie.

* * *

Było dziesięć po siódmej. Lokatorki domu przy Kilbourne Place pochłaniały poranne przygotowania. Ruby, jeszcze w piżamie, poszła do kuchni po kawę i porcję płatków.

Kiedy u drzwi zadzwonił dzwonek, w mieszkaniu zapanował popłoch. Otworzyły się wszystkie drzwi, z których wyłoniły się postaci w szlafrokach i lokówkach. Dzwonek oznaczał gościa, a to z kolei oznaczało, że w salonie należy uprzątnąć z widoku wszystkie osobiste fatałaszkę. Ruby chwyciła swój zestaw do manicure i szal, Ethel przewróciła na bok stojącą suszarkę do włosów i wepchnęła ją za sofę. Jane przetrzepała poduszki i nogą wsunęła pod kanapę kilka wczorajszych gazet. Amber chwyciła dwie butelki po coca-coli, trzy kubki oraz

papierowe serwetki i uciekła z nimi do kuchni. Anna ułożyła porządnie magazyny. Sally wepchnęła do kieszeni dwie skarpetki nie do pary, zbierając przy okazji bambosze i dwa buty na lewą nogę.

— Trzy minuty! — wydyszała Ethel. — Za każdym razem osiągamy lepszy czas. Miała tak ponurą minę, że Ruby parsknęła śmiechem. Rzeczywiście, szło im coraz lepiej. Na początku miały się strasznie nieporadnie. Fajnie mieszkało się z tyloma dziewczynami. Każda z nich wiedziała, że jeśli nie będzie wypełniać swojej części obowiązków, to czeka ją wyprowadzka.

— Ten dom to istna menażeria — mruknęła Anna dobrotliwie.

— Która spodziewa się tak wcześnie gości? — spytała Amber, wychodząc z kuchni.

Dzwonek odezwał się znowu. I jeszcze raz.

— Pewnie ktoś się pomylił! — zawołała jedna z dziewcząt.

Dzwonek wciąż jazgotał. Amber podeszła do okna salonu i ujrzała wysoką postać przy drzwiach. Zatoczyła się, jakby miała zemdleć.

— Ruby, ojciec jest na dole! Dowiedział się! O Boże, Ruby, dowiedział się. Przysięgam na Boga, że mu nie powiedziałam. Możesz spytać Ethel. To nie ja, Ruby!

Twarz Ruby poszarzała, Amber była zbyt przerażona, by mogła kłamać. O Boże, co teraz?

— Może coś się stało w domu i dlatego przyjechał — powiedziała żałośnie. — Jak długo będziemy go tam trzymać? Pewnie obserwował dom. Wie, że jeszcze nie wyszliśmy. — Usiłowała myśleć racjonalnie, jej umysł pracował gorączkowo.

— Schowaj się, Ruby. Powiem... powiem mu, że wyjechałaś wczoraj. Nie chcę wracać do domu. Ty też nie. Co teraz zrobimy?

— Stawimy mu czoło. Ty nie musisz jechać, masz już dwadzieścia jeden lat. Powiem ci coś: ja też nie jadę. — Dopięła piżamę i ruszyła do drzwi.

— Poczekaj, Ruby! — krzyknęła Amber. — Proszę cię, poczekaj chwilę. Jeśli nie pojedziemy, on... Mama... Ruby, posłuchaj mnie, byłaś zbyt mała, ale ja pamiętam... mój Boże, ja pamiętam...

Ruby słuchała z otwartymi ustami o tamtym strasznym dniu. Przerazenie malujące się na twarzy siostry upewniło ją, że to szczerą prawdą.

Zadzwoił telefon. Ethel podniosła słuchawkę i wyciągnęła ją w kierunku Ruby.

— Jakaś Grace Zachary.

— Amber, chodź tu. Dziewczyny nie otwierajcie jeszcze. To nasz ojciec, a on jest... wredny — oznajmiła Ruby ze złością. — Amber, lepiej, żebyś tego posłuchała.

Stały blisko siebie. Kiedy Ruby odłożyła słuchawkę, obie rzuciły się do okna salonu.

— Boże, wygląda tak normalnie — załkała Ruby. — Babunia nie żyje, a on tu przyjechał. — Pewnie zażąda, by oddała pierścień. Dzisiaj były urodziny Opal. — Nangi wysiada z samochodu. Amber, spójrz na mnie. Słyszysz? Nangi wysiada z samochodu i, niech to wszyscy diabli, jest z nim Andrew Blue. Amber, na miłość boską, powiedz coś. Musisz mi pomóc.

— Co? Co mogę zrobić?

— Pora, żebyś popisała się swoim charakterkiem. Im dłużej będzie tam stać, tym gorzej. Dziewczyny muszą iść do pracy.

— Wpuść go — wychrypiała Amber.

Andrew, Nangi i George Connors weszli do środka. Nangi zajął miejsce u boku Amber. Andrew stanął na środku salonu. Dorównywał George'owi wzrostem i posturą. Ruby zauważyła, że zaciskał pięści. Gorąco zapragnęła, by znokautował jej ojca. Wszyscy na coś czekali.

— Zabierajcie rzeczy i nie guzdrajcie się! — rozkazał George. Amber automatycznie skierowała się do swojej sypialni. Ruby zastąpiła jej drogę. Z zadowoleniem zauważyła, że Nangi chwyta Amber za ramię.

— Nie. Nigdzie nie jedziemy — oznajmiła ochryple.

— Nie drażnij mnie, dziewczyno. Powiedziałem, żebyście zabierały rzeczy. Co to za czarnuch? — Wskazał Nangiego.

— On nie jest czarnuchem — stanęła w jego obronie Ruby. — Nie możesz zmusić Amber, jest pełnoletnia. A ja nie pojedę, ponieważ sobie tego nie życzę. Wiemy, co zrobiłeś mamie. Dzwoniła do nas Grace. Złamałeś mamie zebro, które przebiło jej płuca. Nie może się ruszać i coś się jej stało w ucho. Jeśli z tobą pojedziemy, to samo zrobisz z nami.

— Powiedziałem, żebyście się spakowały. Nie powtórzę tego. Jeśli chcesz, mogę wezwać policję. A teraz podaj mi nazwisko tego chłopaka, z którym zamierzasz uciec. No już, dziewczyno. Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Andrew Blue stanął obok Ruby. Oczy George'a zwęziły się.

— Wystawiłem cię na próbę, dziewczyno. Mam je tutaj. — Pokazał list, który napisała do babci. — Calvin Santos, taki sam, jak ten. — Skinął głową w stronę Nangiego.

Sięgnął po telefon. Podniósł powoli słuchawkę, nie spuszczać oczu z obecnych. Słuchali, kiedy kazał połączyć się z bazą lotnictwa w Andrews. Podał swoje nazwisko i adres przy Kilbourne Place. Zimnym głosem zażądał rozmowy ze zwierzchnikiem Calvina Santosa.

Ruby poczuła, że kręci się jej w głowie. Za chwilę miało się spełnić to, czego Calvin obawiał się najbardziej, a ona nie mogła temu zapobiec. Wybac mi, szepnęła. Spojrzała rozpaczliwie na Andrew, jej oczy błagały: „Zrób coś. Pomóż mi”. Była bezradna. Na twarzy Andrew Blue malowało się przerażenie. Drgnął, gdy George obracał w perzynę karierę Calvina.

— Chcę, żebyście coś zrobili, i to zaraz. Wasz żołnierz zamierza uwieść moją córkę i uciec z nią do Kalifornii. Moja córka jest nieletnia. Zajmijcie się nim, a ja zajmę się nią, słyszycie? Nie życzę sobie żadnych wykrętów. Poruszę niebo i ziemię, jeśli będę musiał. I oczekuję pisemnego sprawozdania, które macie wysłać do mojego domu w Pensylwanii. — Wyrecytował swój adres, wbijając w obie córki nienawistny wzrok. — I nie w przyszłym tygodniu, ani w następnym. Macie to zrobić jutro.

Ruby skuliła się, kiedy ojciec trzasnął słuchawką o widełki. Odwrócił się do Andrew.

— Kim jesteś? — warknął.

Andrew ruszył do ataku.

— Ja, proszę pana? Przychodzę tu co rano, żeby wyrzucić śmieci. I nie nazywam się. W ogóle. A jeśli chodzi panu po głowie pomysł, by na mnie gdzieś donieść, radzę się zastanowić.

Ruby wyprostowała ramiona. George cofnął się o krok. Ruby wiedziała, że nikt nigdy do niego tak nie mówił. Jego specjalnością było bicie kobiet. Przez całe życie unikał konfrontacji z innymi mężczyznami.

— Zdaje się, że pan już wychodzi — zauważył Andrew chłodno.

— Tak — dodał Nangi cichym, wyważonym głosem. — Radzę posłuchać porucznika. Opanowałem sztukę walki i potrafię zabić jednym ciosem.

Ruby otworzyła usta; to samo zrobił Andrew. Amber chwyciła Nangiego za rękę, a on mówił dalej:

— Chcę poślubić pańską córkę.

— Zasługuje na ciebie — warknął George. — Zawsze była do niczego. A co do ciebie... — zwrócił się do Ruby, ale nie dała mu dojść do słowa.

— Wiem, wiem, też jestem do niczego. Mam nadzieję, że się cieszysz, bo zrujnowałeś mi życie. Nie pojedę z tobą. Nigdy tam nie wrócę. A jeśli znowu podniesiesz rękę na mamę, zadzwonię na policję. Grace i Paul wiedzą, co zrobiłeś. Potwierdzą to. Opal też. Już się ciebie nie boję i nic ci nie jestem winna. Za to ty masz dług u Amber. Sześć tysięcy dolców i dopilnuję, żebyś je oddał. Być może zajmie mi to resztę życia, ale to zrobię.

Ruby wiedziała, że gdyby nie Andrew i Nangi, spakowałaby się i wróciła do domu. Amber również. Boże, były wolne. Wreszcie się uwolniły.

— Drzwi, proszę pana — powiedział Andrew, otwierając je szeroko.

Ruby miała ochotę się roześmiać. Zamiast tego zaniósła się gwałtownym szlochem. Amber również płakała.

Wszyscy czworo stali przy drzwiach, patrząc, jak George otwiera samochód.

— Ruby, nigdy go już nie zobaczymy! — zawodziła Amber.

Ruby poruszyła zmartwiałymi wargami. Dziwne, w ustach zupełnie jej wyschło.

— Wiem — szepnęła. Wyciągnęła drżącą rękę do siostry. — Jesteśmy wolne. Nie musimy się już nim martwić.

— A mama? Ruby, co z mamą?

— Nie wiem, Amber.

— Panie poruczniku, będę zaszczycony, mogąc pana zaprosić na śniadanie, jeśli nie ma pan innych planów — odezwał się cicho Nangi. — A w tym czasie moja dziewczyna i... i pańska... doprowadzą się do porządku.

Andrew spojrział na drobnego Filipińczyka i uśmiechnął się.

— Czemu nie, jeśli płacisz, chętnie skorzystam.

* * *

Ruby płakała nad babcią, Opal i Calvinem. Jego kariera i ich wspólna przyszłość legły w gruzach. Amber płakała nad sobą i matką.

— Ubiorę się i pójdę do kościoła Świętego Serca. Nie zdążę na poranną mszę, ale mogę, możemy... odmówić różaniec. Pójdiesz ze mną?

Amber kiwnęła żałośnie głową.

— Masz fajnego chłopaka, Amber. Naprawdę potrafiłby zabić jednym kopnięciem lub uderzeniem dłoni? — spytała Ruby tylko po to, by coś powiedzieć.

— Tak — potwierdziła Amber z dumą. — Wiesz, Andrew jest... może mogłabyś coś z niego wykrzesać. Ten drugi... Przykro mi. Nie tak to miało być.

— Wiesz, jak się czuję? Masz jakieś pojęcie?

— Nie — szepnęła Amber.

— Więc ci powiem. Jestem zupełnie pusta. Babunia odeszła i straciłam Calvina. Nawet gdybym mogła jakoś to naprawić, już za późno, żeby pojechać na lotnisko. Samolot pewnie właśnie startuje.

— Jutro, Ruby... Jutro możesz zatelefonować. Jutro możesz wyjaśnić wszystko Calvinowi. No, zresztą to pewnie on do ciebie zadzwoni, kiedy znajdzie się w Kalifornii. Wszystko się wyprostuje.

— Nie, on nie zadzwoni. Znam go. Myśli, że go opuściłam. To przeze mnie jego kariera legła w gruzach. Jak mu to wytłumaczę? — Zachwiała się.

— Co się stało? — spytała Amber, z troską podtrzymując siostrę.

— Pomyślałam o babuni — głos Ruby załamał się. Śmierć babci była tak strasznym ciosem, że nie mogła o tym mówić.

— Słuchaj, Ruby... Chyba nie mówiłaś serio, że nie spłacisz swojego długu? Przecież ojciec zemści się na mamie. Chcesz ją mieć na sumieniu?

— Chcę wiedzieć, w jaki sposób ty spłaciłaś swój.

— Nangi pożyczył mi pieniądze.

— Czemu mi o tym nie powiedziałaś? — spytała Ruby, wiedząc, że siostra mówi prawdę.

— Po co? Czy to by coś zmieniło? Teraz mamy go z głowy. Możemy robić, co się nam podoba.

— Tak, ale już jest za późno. — Boże, nigdy więcej nie zobaczy babci, nie znajdzie się w jej ramionach, w tych cudownych, bezpiecznych objęciach. Nigdy już nie zobaczy długiej skórki z obieranego jabłka. Nigdy już nie usiądzie z babcią na ganku. Straciła wszystko.

— Mama... — zaczęła Amber z wahaniem.

— Co znowu? — głos Ruby brzmiał, jakby dochodził z daleka. Zastanawiała się, co zrobią jej wujowie z wiklinowym fotelem babci.

— Ona...

— No co? Nigdy jej nie obchodziłyśmy. Zwłaszcza ja. Nawet się ze mną nie pożegnała. Czy pogłaskała mnie kiedy albo pocałowała na dobranoc? Czy rozmawiała ze mną? Jeśli się czegoś od niej nauczyłam, to tego, że aby przeżyć, trzeba walczyć. Mama nie walczyła. Powinna za pierwszym razem wezwać policję.

— Miasteczko, plotki... ojciec...

— Bzdury — warknęła Ruby. — Wierzysz w to, w co chcesz uwierzyć, a ja wiem swoje. Ciekawe, czy ubiorą babcię w tę straszną fioletową szmatę?

Zdała sobie sprawę, że nigdy się tego nie dowie. Zrozumiała też, że nie będzie już listów od Opal. Do oczu napłynęły jej gorące, gryzące łzy. Nie zaprosiła Amber do pokoju, wykluczając ją ze swojego życia.

* * *

Calvin Santos rozejrzał się po ruchliwym dworcu. Ruby spóźniła się — pięć minut”. Zsynchronizowali swoje zegarki co do sekundy, jak w wojsku. Wziął pod uwagę korki, niezliczonych taksówkarzy, kolejkę do łazienki w mieszkaniu Ruby i pogodę. Dodał nawet dwie pełne minuty na wypadek, gdyby Ruby postanowiła zjeść śniadanie w domu, zamiast czekać w kawiarni na kawę i maślaną bułkę.

Coś było nie tak.

Calvin zaczął się pocić. Pewnie jakoś dowiedziała się, że on i Nangi Duenas są dalekimi krewnymi. Nie powiedział jej o tym. Nie miał najmniejszego pojęcia dlaczego. Może Nangi mu zabronił; po prostu nie mógł sobie przypomnieć. Był na tyle głupi, że wtajemniczył Nangiego w swoje plany, ale kazał mu przysiąc na głowę ojca, wuja i wszystkich świętych, jakich mógł sobie przypomnieć, że nie powie o nich Amber. Może Ruby usłyszała rozmowę Amber i Nangiego. Pewnie uznała zatajenie czegoś takiego za niewybaczalny postępek. Wiedział, że okłamuje sam siebie. Z rozmysłem nie powiedział o tym Ruby, ponieważ wydawało się mu, że Nangi będzie go informował przez Amber o poczynaniach Andrew Blue. Niech to!

Ruby z jakiegoś powodu zmieniła zdanie. Gdyby miał zgadywać, pomyślałby, że Ruby uznała, iż na nianie zasługuje. W głębi serca wiedział, że kuzyn nigdy by go nie zdradził. Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Gdyby zadzwonił, gdyby ją usłyszał... Kiedy wypowie się już te słowa, nic ich nie cofnie. Po prostu nie zdołałby znieść takiego odrzucenia, to wszystko. Czuł się zdezorientowany, oszołomiony. Miał wrażenie, że patrzą na niego wszyscy podróżni. Musiał coś zrobić. Wydmuchał nos w białą chusteczkę, zalatującą chloroksem.

Był taki pewien, że Ruby przyjdzie. Chciało mu się płakać. Kochał ją. Naprawdę. Tak powiedział Nangiemu, a ten wyznał mu, że kocha Amber. Mieli się pobrać na wiosnę. Kiedy zwierzył się ze swego sekretu, Nangi klepnął go po plecach i powiedział coś o cichej wodzie. Poczul wtedy szczęście na myśl, że wreszcie kogoś ma.

Wszystko mu się zdawało. Ruby go nie kochała. Po prostu nie okazał się dla niej dość dobry. Do diabła z tym. Gdyby go naprawdę chciała, zadzwoniłaby. Nie wygłupiłby się aż tak.

Poczuł przeszywający ból straty. Znowu przywdział ochronny pancierz, tym razem jeszcze grubszy. Nigdy już nikomu nie zaufa. Ale Ruby pozostanie w jego sercu. Na zawsze.

* * *

Głos George'a brzmiał niemal normalnie. Irma wtuliła się w poduszki. Wrócił do domu przed chwilą, w samą porę, by porozmawiać z doktorem Ashley, który właśnie wychodził.

— Potrzebujesz czegoś, Irmo?

Pokręciła głową.

— Gdzie Opal?

Irma oblizła wyschnięte wargi.

— Twój brat zabrał ją do siebie. Nie mogła mi pomóc, więc pozwoliłam jej iść. Zajął się mną Grace Zachary.

— Jeśli była tam potrzebna, dobrze, że ją posłałaś. Ale nie chcę tu widzieć tej Zachary. Słyszysz? No, to skoro niczego ci nie trzeba, naostrzę kosiarkę i przysrżę trawnik, zanim zacnie padać.

— Dziewczynki... — szepnęła Irma, ośmielona jego zgodnym tonem.

— Ruby nie wyjdzie na razie za nikogo. Są nic nie warte, mają to po tobie. Spiknęły się z jakimiś cudzoziemcami, co wyglądają jak czarnuchy. Fi-li-pińczyki. Jeden z tych małych sukinsynów oznajmił, że zamierza poślubić twoją najstarszą córkę. Zadzwoiłem do zwierzchnika tego drugiego i powiedziałem mu do słuchu. Wydziedzyczyłem je. Nie przyjadą na pogrzeb i nigdy nie zepsują już powietrza w tym domu. Teraz mamy tylko jedną córkę. Wy, kobiety, jesteście nic nie warte. W głębi duszy wszystkie chcecie żyć tak jak ta wywłoka z sąsiedztwa. Szmaty. Wszystkie chcecie tylko jednego, co?

Irma zamknęła oczy. Zapragnęła natychmiast umrzeć. Kiedy znowu uniosła powieki, jej wzrok padł na podwórze. Widziała męża ostrzącego w szopie kosiarkę. Przyglądała się mężowi, myśląc o listach Ruby. Ciekawe, co w nich było. Okruchy i strzępy nowego życia Ruby, którymi chciała podzielić się z babką i siostrą. Opal nigdy nie pisnęła ani słowem, że Ruby do niej pisała. Boże, za co mnie tak karzesz?

Nagle zapomniała o czarnych myślach; zobaczyła, że jej mąż robi coś dziwnego. Odłożył ostrza kosiarki na warsztat. Przygładził włosy i podciągnął spodnie. Irma uniosła dłoń ku ustom. Patrzyła, jak George wychodzi z szopy i przekracza trawnik, wchodząc na teren Zacharych. Odkąd sięgała pamięcią, nigdy nie postawił nogi na ich terenie. A teraz wszedł do ich domu, znikając jej z oczu. Wiedziała, co zamierza zrobić. Zaczęła krzyczeć tak głośno, na ile pozwalało jej wyschnięte gardło, ale nikt jej nie usłyszał.

Na odgłos kroków na ganku Grace odwróciła się z promiennym uśmiechem od pieca, na którym gotowała galaretkę z ostatnich jesiennych winogron. Kiedy spostrzegła, że to nie Paul wszedł do domu, zastygła w pół gestu. Najpierw pomyślała, że Irmie się pogorszyło; potem, że George znalazł ten śmieszny medalionik, który podarowała Opal, i przyszedł go zwrócić. A gdy zobaczyła jego oczy już wiedziała, po co przyszedł.

— Wyjdź z mojego domu. I to już! — Machnęła ręką, w której trzymała łyżkę; galaretka rozprysnęła się po podłodze. — Paul będzie tu za chwilę. Zabije cię. Wiem, że to robi.

Boże, Paul zabrał psa do sklepu. Była w pułapce i wiedziała o tym. Walczyć, czy nie? Jeśli stawi mu opór, zrobi z nią to, co ze swoją żoną. Ale nie mogła mu pozwolić... nie mogła.

— Wywłoka! — wrzeszczał George. — Jezabel! Dziwka!

— Po co tu przyszedłeś, jeśli jestem taka? — spytała, usiłując dosięgnąć noża leżącego na suszarce. Obetnie mu jaja.

Za późno. George zauważył jej ruch. Szarpnął za ramiączka letniej sukienki Grace, obnażając jej piersi. Krzyknęła i zasłoniła je dłońmi, nadal trzymając w jednej z nich drewnianą łyżkę. Kiedy cofała się w poszukiwaniu jakiejś broni, potknęła się o stołeczek, na którym stawała, kiedy chciała zdjąć parafinę z górnej półki.

George zwałił się na Grace, rwąc na niej sukienkę i czerwone majtki. Jedną ręką przygwoździł ją do podłogi, drugą zaczął rozpinąć pasek.

Szarpnęła się, wiedząc, iż jej wysiłki nie mają sensu. Ale nie mogła się poddać temu sukinsynowi bez walki. Im bardziej się opierała, tym bardziej się podniecał.

Zachowywał się jak oszalone zwierzę. Jęknęła cicho z bólu, kiedy się w nią wdarł. Przez jedną straszną chwilę sądziła, że złączyli się na zawsze, że umrze na niej i nigdy się go nie pozbędzie. Kiedy wydał ostatni świński kwik podniecenia, wiedziała, że wreszcie się skończyło. Powlokła się do drzwi. Został na klęczkach, jedną ręką usiłując podciągnąć slipy, a podpierając się drugą, by nie upaść.

Grace przytrzymała się framugi drzwi. Do jej świadomości dotarło bulgotanie galaretki w emaliowanym rondlu. To ostatnie jesienne winogrona, ulubione przez Paula. Wytarła oczy ramieniem. Nie będzie czekać, aż Paul zabije drania.

Ruszyła tak szybko, że niemal upadła, sięgając po bulgoczący garnek. Oparzyła sobie ręce, czego w ogóle nie poczuła. George już stał, choć niepewnie. Z rozmachem chlusnęła w niego wrzącą galaretką, trafiając w krocze. Jego skowyt nie powstrzymał jej, chwyciła z suszarki patelnię i walnęła go nią w głowę. Dyszała, ale przestała się bać. Teraz to Ona kontrolowała sytuację. Przemknęło jej przez głowę, że to zwierzę może zdechnąć w jej kuchni.

— Nie porywaj się na to, na co cię nie stać — rzuciła wściekle. — Won z mojej kuchni i nie wracaj. Bydlę z ciebie, ale zajęłam się tobą, prawda, Georgie? Już nikomu tego nie zrobisz! — wrzasnęła histerycznie.

Patrzyła przez łzy, jak George wlecze się ku drzwiom. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała takich złych, pustych oczu. Słyszała, że potknął się na schodkach, słyszała jego przekleństwa. Roześmiała się i przestraszyła się tego śmiechu. Potem usiadła na podłodze i rozplakała się.

To, co się stało... Gdyby powiedziała Paulowi, zabiłby George'a. Poszedłby do więzienia i jej życie ległoby w gruzach. Plotkarze mówiliby, że sama się o to prosiła.

Nie mogła obarczać Paula takim brzemieniem. Już nigdy nie kochałby jej tak jak teraz. Za bardzo jej na nim zależało, żeby go okrywać wstydem.

Nic się nie stało, powtarzała sobie raz po raz, szorując podłogę w kuchni i schodki. Będzie musiała pogodzić się z plamami po winogronach. Mogła pogodzić się ze wszystkim, byle Paul niczego się nie domyślił.

* * *

Doktor John Ashley zamierzał właśnie zamknąć gabinet, gdy zadzwieczał dzwonek telefonu. Coś takiego, mruknął do siebie, kiedy przyjął zgłoszenie. George Connors robi galaretkę! Cały świat wiedział, że gotowanie nie należy do mężczyzn. Zaraz potem zadzwoniła Grace Zachary, zwracając doktora od drzwi. Oparzyła sobie rękę gorącym garnkiem. John Ashley zdołał przeżyć siedemdziesiąt lat, nie zakławszy ani razu. Niech mnie diabli, wysapał, ładując się do stareńkiego auta. Kogo odwiedzić najpierw? Grace czy George'a? Zarechotał złośliwie, postanawiając przyznać pierwszeństwo damie. Przez całą drogę chichotał, od czasu do czasu ocierając stare, łzawiące oczy.

George Connors nie zjawił się tego wieczora na nabożeństwie za duszę swojej matki, tak jak nie zjawił się trzy dni później na jej pogrzebie. Leżał w szpitalu, otoczony zespołem lekarzy, z których żaden nie był chirurgiem plastycznym. Robili co mogli, usiłując wyleczyć jego oparzenia i zrekonstruować penis.

Po miesiącu ordynator spojrzął na swoich kolegów i oznajmił:

— No, to trudno. Będzie sikać przez rurkę i dajmy już sobie spokój. Połóżmy go w separacie. Chyba nie chce mieć towarzystwa.

* * *

Policz wszystkie dobre rzeczy, jakie cię w życiu spotkały, Ruby Connors. Nawet codziennie. Trzeba sobie to powtarzać, to konieczne dla dobrego samopoczucia.

Tęskniła za Nolą i Calvinem, ale już nie płakała. Przestała też opłakiwać babcię. Po nieoczekiwanej wizycie ojca przysięgła sobie, że pokieruje swoim życiem i nie będzie oglądać się za siebie.

— Wszystko — powiedziała na głos — jest pouczającym doświadczeniem. — Spojrzała na swoje odbicie w podłużnym lustrze na drzwiach sypialni. — Zdaje się, Ruby, że wydorostałaś przez tę noc. — Przynęła się bliżej. — Tak, zgadza się. No, to jazda. — Odwróciła się i spojrzała na kalendarz wiszący na wąskiej ścianie. — Na mnie pora. — Zbliżało się lato jej życia. Uśmiechnęła się. Zrobiła krok, potem następny. — Nadeszła pora. Jestem gotowa. O, tak — powtórzyła znowu — jestem gotowa.

Ruby Connors weszła w lato swojego życia z wysoko podniesioną głową.

CZEŚĆ DRUGA
LATO

Ruby Connors przyglądała się domom, stojącym przy obsadzonej drzewami ulicy. Okolica była ładna, ale ani ona, ani same domy nie podobały się jej tak jak stary, trzypiętrowy budynek z cegły, stojący przy Kilbourne Place.

Lubiła jednak frontowy ganek numeru 1454 przy Monroe Avenue. Spędzała na nim letnie wieczory wraz z właścicielami domu, Reną i Brunem. Siedzieli na trzcinowych fotelach, rozmawiając o wszystkim i niczym. Ale to już nie było to. Nic już niebyło takie jak kiedyś.

Przez chwilę siedem schodków, prowadzących na ganek wydało się jej górą nie do zdobycia. Wyprostowała się i zaczęła się po nich wspinać. Uśmiechnęła się, widząc ręcznie wykonany znak ostrzegawczy, który ustawił tu Bruno: „SWIERZO MALOWANE”. Oczywiście miało to znaczyć „Świeżo malowane”, ale nie miała zamiaru go poprawiać. Bruno był bardzo dumny ze swojej kulawej angielszczyzny. Jak to możliwe, pomyślała, że obcokrajowcy kupują sobie dom, wynajmują go i żyją wygodnie z czynszu, który płacą im lokatorzy? Ona miała tyle samo pieniędzy, co dwa lata temu, kiedy Amber wyszła za Nangiego i wyprowadziła się do Saipan. Bruno i Rena mieszkali tu zaledwie od półtora roku, a już posiadali dwa domy i tym samym dwa źródła dochodu. Co dowodziło, że można dojść do wszystkiego, jeśli się tylko chce.

Drzwi zatrzasnęły się za nią. Korytarz prowadzący na piętro był wąski, zimny i mroczny. Jak zawsze. Przesunęła dłonią po jaskrawym zygżaku błyskawicy na tapecie. Rena uwielbiała jaskrawe kolory, uważała, że dzięki nim krew szybciej krąży w żyłach. Nie lubiła ospałych osób, ponieważ sama nie potrafiła usiedzieć w jednym miejscu. Przypominała Ruby ruchliwą wiewiórkę; miała pucołowate policzki i ciemne, błyszczące oczy.

Po lewej stronie znajdowały się schody, pomalowane lśniąca białą farbą. Malowanie należało do Bruna, Rena zajmowała się tapetami.

Ruby zdecydowała się na najmniejszy pokój, żeby go z nikim nie dzielić. Nie znała innych lokatorek, a choć mieszkaly pod jednym dachem, nie przyjaźniły się. To jej odpowiadało. Przyjaźń, prawdziwa przyjaźń, taka jak z Nolą, zawsze kończy się z bólem.

Zrzuciła buty i upadła na łóżko. Miała ochotę płakać, kopać i krzyczeć. To dziecinada, ale miała na to ogromną ochotę. Minęły dwa lata, a ona wciąż tęskniła. Och, gdzie jesteś, Calvinie? Łzy zapiekły ją pod powiekami. Wylała je ze złością. Niech cię diabli; ani razu nie zadzwoniłeś. Nie chciało ci się nawet wysłać pocztówki. Gdybyś naprawdę mnie kochał, dałbyś mi szansę.

Usiadła na łóżku po turecku. Właściwie nie można było powiedzieć, że miała tyle samo pieniędzy co dwa lata temu. Odziedziczyła po babci trzy tysiące dolarów. Ojciec nie zdołał jej ich odebrać. Próbował, ale wujkowie przechowali je dla niej, dopóki nie skończyła dwudziestu jeden lat. Widziała kopię testamentu. Amber i Opal dostały po sto dolarów. Ojciec odziedziczył nieco ponad pięćset dolarów, bo tyle zostało z jego części spadku po odliczeniu długu Ruby. Wszystko legalnie.

Jejku, jak wtedy płakała. Otwarcie i głośno, przez całe dziesięć minut. Mimo wszystko uznała, że dług jest długiem i powinien zostać spłacony, więc co miesiąc wysyłała do domu pieniądze. W pewnym sensie była chyba bogata. Z pewnością powodziło się jej lepiej niż dziewczynom, z którymi mieszkala. I lepiej niż Amber czy Opal. Miała pieniądze i pierścień carycy, stała pracą i dach nad głową. Była niezależna. I z wyboru cholernie samotna. Może dziś zadzwoni do Noli, żeby spytać jak się ma jej chrześniak. Nola nie kontaktowała się z nią od czterech miesięcy i Ruby zaczynała się niepokoić. Tak, zadzwoni do Noli, a ona podniesie ją na duchu i opowie o

dziecku. Łzy znowu napłynęły do oczu Ruby. Boże, dlaczego nie może być szczęśliwa? Calvinie Santos, nienawidzę cię. Pociągnęła żałośnie nosem. Dlaczego nie mogłeś mi uwierzyć, czemu nie potrafiłeś mi zaufać? W ogóle mnie nie znasz, ty żałosny... żałosny... ty... ty...

Wydmuchała nos. Babcia kazałaby jej zakasać rękawy, zabrać się do roboty i nie oglądać za siebie. A właśnie, że dziś się obejrzę, szepnęła, idąc do salonu, żeby zadzwonić do Noli. Musi porozmawiać z przyjaciółką teraz, nie o jedenastej, kiedy stawki za telefon były niższe.

Serce ścisnęło się jej ze strachu, kiedy w słuchawce odezwał się znużony głos pani Quantrell. Skurcz zmienił się w przeszywający ból, gdy dowiedziała się, że Nola wyjechała z dzieckiem do Europy.

— Do Europy — powtórzyła głosem ochryłym z przerażenia. — Dlaczego? Co się stało? Kiedy wyjechała?

Zmęczona kobieta wyjaśniła, że pan Quantrell zatelefonował do bazy lotnictwa i znalazł Alexa, który przyjechał do Vermont, poślubił Nolę i zabrał ją do Niemiec.

— Wszystko potoczyło się tak szybko, że ledwie mieliśmy czas ich spakować. Nola na pewno do ciebie napisze.

Burza w sercu Ruby powoli cichła.

— Czy Nola... jest szczęśliwa?

— Chyba tak, dziecko. Syn powinien nosić nazwisko ojca, a Alex... no cóż... ojcostwo jest trudne... — Nagle jej głos poweselał, zupełnie tak, jak to było w zwyczaju Noli. — Nola zwiedzi wszystkie słynne domy mody. Bardzo się cieszyła z tego, że zobaczy Francję. Chcesz, żebym jej coś przekazała, kiedy będę do niej pisać?

Oczywiście. Miała dla niej co najmniej dwieście wiadomości, ale nie czas po temu.

— Proszę przekazać... że życzę jej szczęścia i niech o mnie nie zapomina. Do widzenia. — Odłożyła słuchawkę i zaczęła płakać. Teraz już wiedziała, że, tak jak wszyscy, których kochała, Nola odeszła z jej życia.

— Ruby, Ruby... Och, kochanie, ty płaczesz. Co się stało? — spytała Rena, biorąc ją w objęcia.

Ruby zaczęła się zwierzać tej drobnej kobiecie o łagodnych oczach i kojącym głosie. Otworzyła przed nią serce tak, jakby to zrobiła wobec Grace Zachary.

Rena Musad była Egipcjanką. Dziś występowała w szmaragdowym hinduskim sari, pasujących do niego sandałach i przepasce na włosy, przystrojonej piórkami. Na jej szczupłych przegubach dźwięczały bransolety. Jest taka śliczna i egzotyczna, pomyślała Ruby, ocierając oczy. Na pierwszy rzut oka wydawała się krucha i delikatna... Dopiero, kiedy spojrzano się w jej czarne jak smoła oczy, dostrzeżęło się tę siłę, na której Bruno wspierał się dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rena należała do osób, z którymi trzeba się liczyć. Miała trzydzieści pięć lat, była smukła jak trzcina, a ważyła niewiele ponad czterdzieści kilogramów.

Kiedy słuchała zwierzeń Ruby, w jej oczach zagościł smutek. Na wieść o trzech tysiącach dolarów, klasnęła radośnie w ręce.

— Ty niemądra gąsko, te pieniądze muszą dla ciebie pracować. Twoja babcia zrobiła co mogła, by zabezpieczyć ci przyszłość. Chyba powinnaś kupić jakąś nieruchomość. Jeszcze porozmawiam o tym z Bninem. Wstydz się, Ruby. Jesteś taka mądra, czemu sama na to nie wpadłaś?

— Wpadłam. Dzisiaj, mówiąc szczerze. Dlatego zadzwoniłam do Noli. Chciałam jej pomóc, pożyczyć pieniądze, ale wyjechała. Chyba sama Opatrzność mi cię zesłała, nie sądzisz?

Rena nie miała pojęcia, czym właściwie jest ta Opatrzność. Pomachała przed nosem Ruby listami; bransolety zadźwięczały głośno.

— Masz tu listy od tego komandosa, który ciągle do ciebie pisze. Przeczytaj je, a ja pójdę na dół. Zrobię Bninowi kolację i porozmawiam z nim. Zadzwońię do pośrednika, który sprzedał nam ten dom, a także dwa inne. Jest uczciwy. Jeśli wszystko się uda, zapłacisz mi trzydzieści pięć dolarów, jako prowizję.

Ruby, oszołomiona kiwnęła głową. Rena tupnęła nogą, by podkreślić swe ukontentowanie. W paznokciu dużego palca u jej stopy tkwił brylant; a kostkę opasywały trzy złote bransolety, wysadzone rubinami. Ruby otworzyła usta.

— Noszę cały majątek na sobie. Bardzo kocham Bruna, ale zaczyna mi się amerykanizować. Nie można ufać mężczyznom. Nigdy. Zapamiętaj moje słowa. I pamiętaj, żeby nikomu nie powierzać swojego majątku. Wrócę później.

— Reno... poczekaj, co powiedziałaś? Czy twój majątek jest zapisany tylko na ciebie? Bruno nie ma nic przeciwko temu?

— Ma, ale jeśli chce dzielić ze mną łóżę, ma się z tym pogodzić. Jak powiedziałam, zaczyna się amerykanizować, ale jeszcze zostało mu trochę kultury. To, co należy do mnie, jest moje, a to, co należy do nas obojga, także jest moje. Po prostu. Bruno nie ma głowy do interesów. — Roześmiała się wesoło i odeszła. Bransolety brzęczały przy każdym jej kroku.

Ruby siedziała przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszała — bardziej po to, by odwlec otwarcie listów Andrew Blue niż z jakiegokolwiek innego powodu. Rozejrzała się po ogromnym salonie. Był wygodny, a dzięki Renie mienił się kolorami. Inne lokatorki go uwielbiały, ona właściwie też. Wielką, zbyt miękką sofę pokrywała cytrynowożółta narzuta z zielonym obrzeżem. Dywan miał odcień zielonych jabłek, o jeden ton głębszy niż obrzeże sofy; takim samym materiałem obito krzesła. W kącie stały dwa wiśniowe fotele i lampa z cytrynowym abażurem. Wieczorami rzucała ciepłe, przytulne blaski. Nola pochwaliby ten pokój. Cały dom był czysty, schludny i wesoły.

Pierwszy list Andrew liczył zaledwie półtorej strony. Ruby uśmiechnęła się, czytając go. Potem otworzyła następny. Andrew był dowcipny, musiała to przyznać. Na swój sposób ceniła jego listy, ponieważ przypominały jej, że jest ktoś, kto o niej myśli.

Andrew zjawił się w Waszyngtonie półtora roku temu, żeby się z nią spotkać. W głębi serca podejrzewała, że załatwił w Pentagonie jakąś sprawę dla swojego dowódcy, a z nią spotkał się przy okazji, ale miło było usłyszeć, że przyjechał z Północnej Karoliny tylko po to, by się z nią zobaczyć — nawet jeśli kłamał. Teraz napisał, że za kilka tygodni znowu przyjedzie. Och, Calvinie, gdzie jesteś?

* * *

Dziewczęta jak zwykle zjadły razem kolację. Sprzątanie zajęło im dokładnie dwanaście minut. Do Ruby należało pozamiatanie podłogi i wyniesienie śmieci na koniec alejki, gdzie Rena postawiła pojemniki. Były pomalowane na żółto i upstrzone jaskrawymi zielonymi i fioletowymi rombami. Z daleka rzucały się w oczy. W czasie Gwiazdki Rena obwiązała jeden z pojemników srebrno-czerwoną wstążką i postawiła za nim skrzyneczkę piwa dla śmieciarzy. Ruby słyszała kiedyś, jak żartują z barwnych kubłów, ale zauważyła, że obchodzili się z nimi niemal z szacunkiem.

Z uśmiechem wróciła do domu. Była w pół drogi do swojego pokoju, kiedy usłyszała wołającą ją Renę.

Kuchnia gospodyni przypominała do złudzenia remizę w Barstow. Było tu tyle drobiazgów, obrazków, figurynek i kalendarzy, że kręciło się od nich w głowie.

Bruno siedział za stołem, jego talerz stał na arkuszu szarego papieru. Zawsze jadł sam, ponieważ Rena nie mogła ścierpieć jego mlaskania i siorbania. Po co miała sobie psuć apetyt? Ruby uważała, że Bruno ma anielską cierpliwość. To Rena, a nie on, amerykańizowała się z każdym dniem.

Uśmiechnął się na widok Ruby, ukazując białe zęby i wrócił do kleistej papki, złożonej z liści winogron i ryżu. Kiedyś skosztowała jednego z wyśmienitych posiłków Reny i przyplącała to gwałtowną biegunką.

Bruno był niski, nie większy od swojej małej żony, ale za to o wiele od niej grubszy. Łysinę obnosił dumnie, niczym koronę. Jego ciemne oczy przypominały krople czekoladowego budyniu. Zawsze migotały w nich ogniki, nawet wtedy, gdy Rena wyprowadziła go z równowagi, co nie zdarzało się znowu tak rzadko. Nie jest przystojny, pomyślała Ruby, przyglądając się jego dołeczkom w policzkach, zakrzywionemu nosowi i podwójnemu podbródkowi. Jego dłonie fascynowały ją, wielkie jak baranie udźce, z palcami przypominającymi serdelki. Bardzo go lubiła.

— Siadaj, siadaj — rzuciła Rena, krzątając się po kuchni, dolewając mężowi lemoniady i sprząając mu talerze sprzed nosa, zaledwie zdążył je opróżnić. Talerzyk po chlebie i salaterka po sałatce stały już w zlewie.

Ruby przysiadła na brzeżku chromowanego krzesła, z siedziskiem z malinowego plastiku. Rena postawiła przed nią szklankę lemoniady i przystąpiła do rzeczy.

— Zapisałam tu wszystko. Nazwisko pośrednika, informacje o banku, w którym mamy hipotekę; wszystko, czego możesz potrzebować. Jutro o wpół do szóstej spotka się z nami i pokaże nam dwa domy. Bruno zgodził się wyremontować je za bardzo niewielką opłatą. Musimy sobie pomagać, a ja pomogę ci wszystko urządzić. Znowu za niewielką opłatą. I co sądzisz, Ruby? Nieźle, prawda?

— To stało się tak nagle — zająknęła się Ruby. — Raczej byłam zadowolona, że moje pieniądze leżą w banku. Ja... chodzi mi o to, że nie sądziłam... To dobry pomysł, ale może jeden dom, a nie dwa?

— Nonsens. Twoje pieniądze muszą na ciebie pracować. Jeśli wynajmiesz mieszkania, pieniądze zaczną płynąć do ciebie szerokim strumieniem i w mig zwrócą ci się wszystkie koszty. Za rok cena domów pójdzie w górę, a za dwa lata jeszcze bardziej. — Bransolety Reny zabręczały, kiedy machnięciem ręki podkreśliła słuszność swoich racji.

Ruby zauważyła, że Bruno również kiwa głową. Bruno nie był głupi, choć Rena czasem sugerowała coś innego.

— Dwa! — upierała się Rena twardo. — Mieszkasz sobie w moim domu, radzisz sobie jakoś i jeszcze udaje ci się oszczędzić parę dolarów po zapłaceniu wszystkich rachunków. Dwa! — powtórzyła. — Kto wie? Może te domy nie będą wymagać remontu ani nawet odnowienia. Rozpoviesz o tym w miejscu pracy i zanim się obejrzyz, będziesz miała własne sublokatorki. Za niewielką opłatą pozwolę ci skopiować moją umowę najmu.

Bruno beknął i poklepał się po brzuchu. Dźwignął się z krzesła i skłonił się nisko przed żoną.

— Wspaniały posiłek, gołabczko. — Uniósł jej dłoń do ust i ucałował głośno. Rena zachichotała. — Ach, kolejny pierścionek. Piękny! Ile kosztował?

Rena prychnęła, wydymając policzki. Ruby powściągnęła uśmiech.

— Moglibyśmy żyć przez dwa lata z pieniędzy za niego, gdybym zdecydowała się na sprzedaż.

— Jutro musisz kupić sobie taki sam na drugą rączkę, gołabczko.

Rena znowu była w ruchu, wycierając lśniący, malinowy blat stołu i wyrzucając zatłuszczony szary papier do śmieci. Kiedy talerze znalazły się w zlewie, klasnęła w dłoń. Bransolety zadzwoniły melodyjnie.

— A sio! Muszę pomyśleć o tapetach na ściany nowych domów Ruby.

Ruby kręciło się w głowie od zawrotnego tempa, jakiego nabrała cała sprawa. Szkoda, że nie ma z kim tego przedyskutować. Może mogłaby porozmawiać z Andrew, kiedy przyjedzie do Waszyngtonu, ale to miało nastąpić za parę tygodni. Ciekawe, czy udałoby się jej do tego czasu uniknąć decyzji. Nie wiedziała też, czy byłoby mądrze opowiedzieć mu o wszystkim. Pewnie nie. Żałowała, że rok temu nie zdecydowała się jednak na kurs handlu nieruchomościami. Musi pójść do biblioteki i sprawdzić, co tam mają. W bibliotece można znaleźć wszystkie ważne książki.

Za kwadrans dziesiąta znalazła się w swoim pokoju z naręczem książek, które poleciła jej bibliotekarka. Spojrzała na nie, a potem na listy Andrew Blue. Napisać do niego napisać, czy zająć się lekturą? Kiedy w grę wchodził Andrew Blue, zawsze się wahała, tak jak teraz. Doprowadzało ją to do szału.

Zerknęła na kalendarz. Znowu pomyślała o Calvinie. To nie powinno już tak boleć, minęło tyle czasu. Schowała twarz w poduszce. Powinien umrzeć, przebolełaby to tak, jak śmierć babci. Śmierć jest nieodwołalna... a... to coś... to coś między nimi... nadal nie istnieje, nie chce ustąpić.

Rzuciła listy Andrew Blue pod przeciwną ścianę. Zepchnęła książki na podłogę.

Wysunęła szufladę, w której trzymała pamiątki po Calvinie. W jednej chwili wszystkie kartki, notatki i zdjęcia znalazły się w koszu. Żałośnie mało jak na tak gorącą miłość. Po raz drugi tego wieczoru wyszła z koszem pełnym śmieci. Nie płakała. Teraz umarłeś, Calvinie, mruknęła, zamykając kolorowy pojemnik. Naprawdę nie żyjesz!

Wróciła do pokoju i napisała list do Andrew Blue. Jego radosny ton zupełnie nie przypominał dotychczasowych uprzejmych i bezbarwnych kartek. Przed zaklejeniem koperty przeczytała list jeszcze raz i dodała postscriptum — czeka na wizytę Andrew i zaplanowała coś na weekend. Nie seks, dodała w następnym dopisku. Wysłała list następnego ranka po drodze do pracy.

Z Reną i Halem Murdockiem spotkała się na rogu Trzydziestej Pierwszej i P. Jeszcze nigdy nie widziała nikogo, kto bardziej niż Hal przypominałby tłustego wieprza. Gadał półgębkiem w języku, którego Ruby nie rozumiała, choć podejrzewała, że jest to angielski. Mudrock nie spodobał się jej, a co dziwniejsze, Rena także go nie lubiła. Najwyraźniej przeczytały tę samą książkę; tę, której autor twierdził, iż nie trzeba lubić swojego pośrednika.

Po godzinie Ruby miała już za sobą wizytę w dwóch domach. Jeden z nich stał przy ulicy O i miał trzy sypialnie, wykończoną piwnicę i otoczone murem podwórko. Drugi znajdował się przy Poplar Street i został przerobiony na domek dwurodzinny. Czy Ruby załśniły — podobnie jak oczy Reny — kiedy pomyślała o czynszu, który mogłaby za niego otrzymać. Hal obnażył zęby, ostre jak u barrakudy.

W jego biurze, niewiele różniącym się od składu rupieci, Ruby przyjrzała się dokumentom, które jej wręczył. Spojrzała bezradnie na Renę.

— Zdamy do jutra. Adwokat panny Connors powinien je ocenić. Oczywiście to tylko zwykła formalność.

Hal zgodził się, ale Ruby uznała, że robi wrażenie zdenerwowanego. To wzmogło jej czujność.

— Może od razu powie mi pan, co nie gra z domem na Poplar Street — zasugerowała. — Z tym, który tak szybko opuściliśmy. I nie miał pan kluczy do piwnicy. To dość dziwne.

— Kiedy pada, zalewa piwnicę — mruknął Hal półgębkiem. — Nie mam klucza. Woda poczyniła straty.

— Więc koszty remontu powinny być wliczone w cenę, jeśli zdecyduję się ten dom kupić. Proszę porozmawiać z właścicielami i dojść z nimi do porozumienia. Jeśli nie, nie kupię też tego na ulicy O. Jutro możemy się spotkać o tej samej porze w pańskim... przytulnym biurze. Dziękuję za oprowadzenie nas po domach.

Kiedy znalazły się w trolejbusie, Rena spojrzała na Ruby i roześmiała się.

— Przytulne biuro? O co ci chodziło? I gdzie nauczyłaś się takiego... zdecydowania? Zdaje się, że dostaniesz te domy za znacznie niższą cenę, niż się spodziewaliśmy. Twoja oferta jest rozsądna. Kiedy kupiliśmy nasz pierwszy dom, byłam zupełnie zielona. Zapłaciliśmy tyle, ile od nas zażądali. Nigdy więcej nie popełniłam tego błędu. Będziesz potrzebować jedynie pompy do osuszenia piwnicy, a Bruno ci ją udostępni. Za niewielką opłatą. Jestem taka przejęta, Ruby. To takie cudowne stać się właścicielką domu. Na umowie wynajmu dopiszemy drobnym drukiem, że sublokatorzy są odpowiedzialni za wszystko.

— Wszystko?

— Wszystko. — Rena była zadowolona jak kotka trzymająca w pazurach pierwszą mysz. — Aha, widzę że nie czytałaś swojej umowy. Zapamiętaj sobie na całe życie, nigdy nie podpisuj czegoś, czego nie rozumiesz. Zawsze trzymaj na podorędziu dobrego prawnika, nawet jeśli kosztuje cię więcej, niżbyś sobie życzyła. Jeśli chcesz zarabiać, musisz inwestować... mądrze i z rozważą.

— Zapamiętam — mruknęła Ruby, zastanawiając się, co zawierała umowa, której nie przeczytała.

* * *

Nazajutrz ogarnęły Ruby zmienne nastroje — wybuchy szalonej radości, przeplatane atakami depresji prowadzącej do obezwładniającego strachu. W śnie nawiedziły ją demony o imionach Hal, Rena i Bruno. Czy aby nie napyta sobie biedy? Wciąż się zastanawiała, czy babcia zaakceptowałaby to, co robiła ze spadkiem. Wreszcie postanowiła się zdecydować. Z pewnością nie zbankrutuje, a jeśli coś pójdzie nie tak, sprzeda pierścień carycy i nadzieję na lepsze czasy.

Podczas burzy z piorunami złożyła swój podpis na przerywanej linii u dołu kartki. To czysta formalność, oznajmił Hal. Wyłożyła po tysiąc dolarów za każdy dom, a jeśli bank przychylnie rozpatrzy jej podanie o zaciągnięcie długu hipotecznego na cztery procent, za czterdzieści pięć dni stanie się właścicielką dwu nieruchomości. Dołożyła wszelkich starań, by ocenić koszty końcowe. Jeśli dopisze jej szczęście, nie naruszy oszczędności w wysokości dwustu trzydziestu trzech dolarów.

Przed dwoma dniami, kiedy wszystko już wskazywało, że kupi domy, powiesiła w pracy ogłoszenie. Dziś wieczorem zadzwoniło do niej osiem osób, chcących wynająć mieszkanie. Zanim tydzień dobiegnie końca, będzie ich pewnie tuzin. Teraz musiała powściągnąć nieco chciwość Reny.

Czuła się nieswojo, ale w głębi serca wiedziała, że jej napięcie ma niewiele wspólnego z kupnem domów. Andrew. Miał przyjechać nazajutrz. A może już dziś? Nie pamiętała tego dokładnie. Wiedziała tylko, że jutro ma randkę z przystojnym komandosem i że nie potrafi określić, co naprawdę do niego czuje. Działaj, Ruby, skończ z rym defetyzmem, daj Andrew szansę. Masz już dwadzieścia jeden lat, pora uporządkować życie osobiste. Zrób coś, żeby nie zostać starą panną.

Dziś kupiła sobie nową sukienkę. Świadomie czy nie, kupiła ją dla Andrew. To dobry początek. Jutro będzie radosna, zadowolona i życzliwa. Powie mu, że się cieszy z ich spotkania, że jest zachwycona jego towarzystwem i da mu do zrozumienia, że chciałaby częściej się z nim

widywać. Od jutra ona i Andrew staną się parą. Zamierzała się ustatkować, choć obiecała sobie, że nigdy tego nie zrobi, jednak los nie sprzyjał jej i Calvinowi Santosowi.

Ruby płakała tak długo, aż usnęła.

* * *

Andrew Blue splunął na szmatkę i zaczął nią glansować i tak już lśniące jak lustro buty. Był odpicowany i zapięty na ostatni guzik, i dumny z tego jak diabli. Gotowy na randkę z Ruby Connors.

Odkąd został przeniesiony do obozu Lejune, nie potrafił przestać o niej myśleć. Jeździł do Waszyngtonu na własny koszt, żeby się z nią spotkać. Za chińskiego boga nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego ciągle do niej pisze. Można by pomyśleć, że ją kocha. Ale to nie była prawda. Chociaż coś jednak do niej czuł. W przeciwnym razie po co pisałby do niej co dziesięć dni? A ona cóż mu odpisywała? Bzdury, cholerne ogólniki bez znaczenia. „Dzień jest słoneczny... admirał Query powiedział, że... dziś moja gospodyni kupiła sobie następny brylant... jutro będzie burza...” Głupoty. Chciał czegoś więcej, czegoś bardziej osobistego.

Nadal była małą wieśniaczką, ale kiedy widział się z nią ostatnio, nie wierzył własnym oczom. Zawsze wyjątkowo schludna i czysta, teraz ubierała się znacznie lepiej. W strategicznych miejscach zaokrągliła się przyjemnie, a jej nowa fryzura wydała się mu bardzo twarzowa. Ruby nosiła nawet kolczyki, małe złote cacuszka. Jak mawiało się w jednostce, stała się szykowną babką. Podobała mu się i miał świadomość, że podoba się też innym facetom. Widział ich spojrzenia. Nadal nie można było nazwać jej pięknnością, ale miała coś... Pragnął jej... od zawsze. Może tym razem będzie inaczej. Ton jej ostatniego listu zupełnie go zaskoczył. Może ta mała wieśniaczka wreszcie przeboleła katastrofę z żółtkiem i tym sukinsynem, jej ojcem. No, to by było coś.

Właściwie jechał do Waszyngtonu nie tylko, by spotkać się z Ruby. Realizował pierwszy punkt wielkiego planu. Jeśli się ożeni — powiedział pułkownik — będzie miał realną szansę awansu, oczywiście pod warunkiem, że nie podpadnie i będzie się starać. Za odpowiednie przysługi pułkownik był gotów w rewanżu szepnąć komu trzeba ciepłe słówko o Andrew. Miał takie znajomości, że mógł z powodzeniem spełnić obietnicę.

Andrew drgnął na myśl o owych odpowiednich przysługach, będących warunkiem umowy. Jeśli się to wyda, wyleją go z piechoty morskiej na zbitą mordę, a w dodatku zdegradują, okrywając hańbą. Kto by przypuszczał, że pułkownik piechoty morskiej, mający lada chwila stać się generałem brygady, ukrywa słabość do młodych dziewcząt? Andrew był oburzony, lecz zgodnie z zasadami milczał. Jeśli miałby być szczery wobec siebie, musiałby przyznać, iż nie odwrócił się od pułkownika głównie dlatego, że mógł mu on pomóc w karierze. W wojsku już tak jest, ręka rękę myje.

Jednak nie podobało mu się to, co robił dla pułkownika. Przeniesienie i awans, gdyby miały kiedykolwiek nastąpić, mogły go wyrwać ze szponów zwierzchnika. Musiał działać, a Ruby była początkiem, od którego wszystko miało się zacząć.

* * *

Jadąc z Quantico pożyczonym wozem, zastanawiał się, co powiedziałaaby Ruby, gdyby dowiedziała się, w jaki sposób pomagał swojej karierze. Zastanawiał się też, czy szybki awans na

kapitana robi na niej wrażenie. Dopiero dojeżdżając do mostu przy Czternastej, musiał przyznać, że cokolwiek robi, nigdy nie zaimponuje Ruby Connors. Nie miał pojęcia dlaczego.

Do tej pory powinien już znaleźć w swojej jednostce przyjaciela, ale tak się nie stało. Mógł, oczywiście, wychodzić z chłopakami do klubu oficerskiego na drinka czy piwko, ale nic ponadto. Był samotnikiem. Ruby mogła by to zmienić, zaprzyjaźniając się z żonami innych oficerów. Wizyty, rewizyty, w ogóle pełna stabilizacja. Małżeństwo i dziecko, jako uwieńczenie wszystkiego. Andrew parsknął szyderczo. Koniec z wolnością, ale Andrew był na to przygotowany. Kariera wymagała poświęceń. Gdyby tylko Ruby zechciała mu pomóc. Pod koniec roku mogliby wziąć ślub. Na Święto Dziękczynienia albo Gwiazdkę. W ten sposób nigdy nie zapomni o ich rocznicy.

Samochód majora sunął lekko, jakby unosił się w powietrzu. Kiedy się pobiorą musi kupić jakiegoś gruchota, którym mogłaby jeździć Ruby. Oczywiście trzeba będzie ją tego nauczyć.

Jezu! Planował, jakby ustalili już datę ślubu. Przecież Ruby mogła przekreślić jego marzenia jednym słowem.

Skręcił w Monroe; jego błękitne oczy za ciemnymi szklami okularów wypatrywały odpowiedniego numeru. Zauważył ją w tej samej chwili, kiedy zobaczył mosiężne cyfry, widniejące na białym frontonie domu. Huśtała się w bujanym fotelu i miała na nosie takie same okulary, jak on. Przebiegł go dreszcz. Jego dłonie, spoczywające na kierownicy, pokryły się potem. Oto wizja starości — ganek, bujany fotel i zwiędła kobieta. W ustach wyszło mu raptownie. Więc aż tak chce być kapitanem i uciec od pułkownika Lacklanda? Aż tak, mruknął pod nosem i zatrzymał samochód.

Podszedł do fotela i uniósł z niego Ruby.

— Nie życzę sobie widzieć cię w fotelu na biegunach, dopóki nie skończysz dziewięćdziesięciu trzech lat! — Uśmiechał się, ale w jego głosie nie było ciepła.

Ruby roześmiała się.

— Miło cię znowu widzieć. Czekałam na ciebie z niecierpliwością. Jak długo tu zabawisz?

Andrew odetchnął głęboko. Miło mnie widzieć? — pomyślał. Miał przed sobą nową Ruby, zupełnie inną osobę.

— Do jedenastej w nocy w niedzielę. Jeśli nie masz ciekawszych planów i dasz się uprosić, możemy zaszaleć. Za sześćdziesiąt dolarów. — Uśmiechnął się. — Oszczędzałem, żeby się przed tobą popisać.

Tak naprawdę dwa dni temu wygrał w kości czterdzieści sześć dolarów. Na razie nie kłamał, faktycznie, przez dwa dni oszczędzał.

— Skąd masz ten wóz? — spytała Ruby.

— Wiąże się z nim długa historia. Pewnie nie skończy się, kiedy go oddam. Samochód należy do pewnego maj ora z Quantico. Ten weekend miał być wyjątkowy, więc... do diabła, ukradłem go, ot co. Wypełniłem parę formularzy... może się nie wyda, jeśli major nie zaplanował sobie niczego na ten weekend. A jeśli on także chciał się spotkać z dziewczyną, można powiedzieć, że jestem załatwiony. Lepiej o tym nie myśleć.

Ruby zachichotała.

— Jeszcze nigdy nie byłam w więzieniu.

— Ani ja. — Uśmiechnął się.

* * *

Minęło czternaście godzin. Andrew zatrzymał swojego nasha przed domem przy Monroe Street.

— Świetnie się bawiłem, Ruby — powiedział cicho, przysuwając się do niej bliżej. Spodziewał się, że Ruby się odsunie, ale nie. Frapowała go ta zmiana.

— Ja też. Potrafisz być bardzo zabawny, kiedy nie jesteś taki nachalny i dominujący. Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, ale jeśli chcesz mnie pocałować, nie mam nic przeciwko temu.

— Kto powiedział, że chcę cię pocałować? — spytał przekornie.

Pół roku temu oblałaby się rumieńcem, słysząc taką uwagę. Teraz tylko wzruszyła ramionami.

— Twoja strata, poruczniku — rzuciła lekko, otwierając drzwi samochodu. — Hej, wracaj. Zawsze odprowadzam dziewczyny pod sam próg i tam je całuję.

Nie przewracam się po siedzeniach w samochodzie. Kiedy wreszcie do ciebie dotrze, że nie jestem taki, za jakiego mnie uważasz? Ruby uśmiechnęła się w ciemnościach.

— Teraz — powiedziała. Pochyliła się i pocałowała go w usta i w ułamku sekundy wyskoczyła z auta. Andrew jęknął, usiłując opanować niespodziewaną erekcję.

— Co się z tobą dzieje, Ruby? — spytał z rozdrażnieniem, kiedy dotarł na ganek.

— Nie rozumiem. Chcesz mnie pocałować, czy nie?

— Ruby, do diabła, przez dwa lata trzymasz mnie na dystans, a teraz raptem ci się odmieniło.

— Zamknij się, Andrew i pocałuj mnie wreszcie! — rozkazała.

Usłuchał. Kiedy już złapała oddech oznajmiła, że chce go znowu pocałować. Wbrew własnym chęciom odsunął ją od siebie.

— Nie ma mowy. Za chwilę znaleźlibyśmy się na tym fotelu, ty na moich kolanach i... o, nie. Zostawiam cię tutaj, całą i zdrową, tak jak przykazywała mama. Pora na mnie. Zobaczymy się jutro z samego rana. Wyszukuj się na cycuś glancuś i ruszemy w miasto.

— Co? Co to znaczy...?

— To stare indiańskie przysłowie. Na wysoki połysk, rozumiesz... — rzucił, przeskakując po dwa schodki naraz. — Do jutra.

Następnego dnia o szóstej wieczorem, po kolacji przy świecach, na którą wydał ostatnie pieniądze, Andrew poprosił Ruby o rękę. Nawet nie mrugnęła, nie odwróciła wzroku, nie udawała, że się rumieni. Pomyślała o tym, jaka to ulga przestać marzyć o Calvinie. Spojrzała na Andrew ponad płomieniem świecy i powiedziała spokojnie:

— To chyba dobry pomysł.

— Hm? Czy... czy to znaczy tak?

Ruby skinęła głową.

Andrew miał niepewną minę, ale ciągle się uśmiechał.

Odwzajemniła jego uśmiech, choć i ona czuła się niewyraźnie. Najchętniej uciekłyby z krzykiem.

— Kiedy? — spytała rzeczowo.

Andrew wzruszył ramionami.

— Czy wyznaczenie terminu to nie przywilej dziewczyny? — spytał nie mniej rzeczowo. — Zostawiam to do twojej dyspozycji. Ale pobierzemy się przed końcem roku, dobrze?

— Jasne. Zdaży urządzić oba domy i zaangażować Renę jako zarządzającą. To zajmie czterdzieści pięć dni, a na przygotowania do ceremonii wystarczy kilka.

— Gdzie zamieszkamy?

— Czekam na rozkazy. Nie martw się, dopilnuję, by znaleźć odpowiedni dom. Odłożyłem pewną sumkę, niezbyt dużo, ale wystarczy. Wyjedziemy gdzieś na weekend, a w podróż poślubną wybierzemy się później. Chyba będziemy musieli kupić sobie meble i takie tam. — Ruby skinęła głową. — Nie obrazisz się, jeśli nie dam ci pierścionka zaręczynowego? — Pokręciła głową. — Kupię ci go później — obiecał. Dwa lata temu przy grze w kości mógłby

przebierać w pierścionkach. Teraz dziewczyny były mądrzejsze. Nie oddawały już podarunków. Od dawna nie widział już, żeby facet puszczonej w trąbę rzucał przy grze pierścionej na stół.

— Czy zamierzasz... czy będziesz nosić obrączkę? — spytała Ruby nerwowo.

— No pewnie. Chcę, żeby całe wojsko wiedziało, że się ożeniłem.

Ruby nie uwierzyła, ale też i nie skomentowała zapewnienia Andrew.

— Chodźmy stąd — powiedział. — To wyjątkowy moment. Powinniśmy być sami.

Świece wypaliły się niemal do połowy. Ruby spojrzała na Andrew. Chciała zapamiętać ten wieczór. Powinna coś zabrać na pamiątkę. Pudełko po zapałkach, cokolwiek. Miała ochotę zdmuchnąć świecę i schować ją do torebki. Dopiero kiedy Andrew stłumił płomień świecy palcami, uświadomiła sobie, że powiedziała to na głos.

— To romantyczne, że chcesz ją zatrzymać. Ja wezmę zapałki. — Uśmiechnął się i pomógł jej wstać z krzesła.

* * *

— A może przespacerujemy się po przystani? Noc jest ładna, zbyt ładna, żeby dusić się w samochodzie. Chyba że chcesz pójść do kina?

— Nie, wolę spacer — powiedziała nieśmiało. Czy nie powinni rozmawiać o weselu, planować przyszłości, trzymać się za ręce, albo... Może powinna położyć rękę na jego udzie? Ocieplić jakoś atmosferę, gestem czy słowem. — Lubisz jesień?

— Tak. To moja ulubiona pora roku.

— Moja też. Uwielbiam chodzić po Rhode Island Avenue, pod sklepieniem kolorowych liści. Jest wtedy tak pięknie, że zapiera mi dech. Będzie mi brakować Waszyngtonu — powiedziała zdławionym głosem.

— To tylko miasto, Ruby. To nie dom.

— Mój dom... nie przypominał innych domów. Dla mnie to miejsce jest prawdziwym domem. Naprawdę będzie mi go brakować.

— Fajnie żyje się w armii. Ma się mnóstwo różnych znajomych. Zawsze wydarza się coś nowego i niezwykłego. Pomiedzy rodzinami wojskowych panuje prawdziwe koleżeństwo.

— Wiem — powiedziała, mając pełną świadomość, że ją oszukuje. — Chcesz... żebyśmy umówili się na randkę? Powinniśmy przedyskutować parę spraw. Na przykład, czy będziemy mieć dzieci od razu, czy zaczekamy? Czy będę mogła pracować? Czekają nas spore wydatki... meble i różne rzeczy. Przez ostatnie lata sama się utrzymywałam. Lubię mieć kontrolę nad własnymi pieniędzmi. Czytałam o małżeństwach, w których żona mogła zarabiać, ale mąż wyliczał ją z każdego centa. Musimy porozmawiać o pieniądzach, które nadal jestem winna ojcu. To mój jedyny dług, ale muszę go spłacić, więc chyba będę pracować. Masz coś przeciwko temu?

— Jezu Chryste, nie! Co to znaczy, że musisz go spłacić? Wydawało mi się, że powiedziałaś, że nie zamierzasz tego robić. Czyżbym się przesłyszała?

Nie spodobał się jej uszczypliwy ton jego głosu.

— Tak, tak powiedziałam, ale to dług... rodzaj honorowego zobowiązania. Dopóki go nie spłacę, dopóty tak naprawdę nie uwolnię się od przeszłości. Sądząc po twojej minie, lepiej żebyśmy porozmawiali o tym teraz.

Andrew zacisnął zęby.

— Ile wysyłasz mu co miesiąc?

— Dziesięć dolarów tygodniowo. Czterdzieści dolarów, z wyjątkiem miesięcy, które mają pięć tygodni. Zostało jeszcze bardzo dużo. Na razie spłaciłam tylko tysiąc dwieście dolarów. Nie

oczekuję, że spłacisz ten dług za mnie, ale też nie prosz, żebym zmieniła decyzję, bo tego nie zrobię.

— Pozwól, że o coś cię spytam, Ruby. A gdyby zostało nam tylko pięćdziesiąt dolarów do pierwszego, nawet gdybyś pracowała, czy nadal wysyłałabyś pieniądze?

— Nie wiem. Może wysyłałabym połowę sumy i ograniczyłabym wydatki. Muszę spłacić ten dług. Widzę, że nie rozumiesz, trudno. W każdym razie stawiam tę sprawę jasno, żeby nie kłócić się o to w przyszłości. — Teraz powinna powiedzieć mu o swoich dwóch domach. Może by się rozchmurzył. Był taki zły, taki zdenerwowany... Jednak nie. Domy należały do niej, stała się ich właścicielką, zanim Andrew poprosił ją o rękę. Zarobi na nich tyle; że spłaci swój dług, nawet jeśli nie będzie pracować.

— Twoje zmartwienie — powiedział Andrew, zamykając okno samochodu. — A ja zaczynam się martwić majorem. — Dotknął jej ręki. — Nie obrazisz się, jeśli już cię odwiezę?

Ruby przysunęła się bliżej Andrew.

— Ależ skąd — szepnęła. — To był piękny weekend. A ty masz przed sobą długą podróż. Zwykle jestem bardzo zajęta w niedzielę wieczorem, ponieważ przygotowuję się do następnego tygodnia. Muszę się pouczyć. — Zamilkła. Co za romans. Czowała ciężar na sercu. Coś było nie tak. — Jesteś pewien, że chcesz się ze mną ożenić?

— Co za idiotyczne pytanie? — warknął z rozdrażnieniem.

— Ponieważ — głos Ruby brzmiał dokładnie tak samo — nie wyglądasz na szczęśliwego. Ja... w żadnym z nas nie ma radości... nie powiedziałeś, że mnie kochasz. Dlaczego chcesz się ze mną ożenić?

Twarz Andrew poszarzała.

— Słuchaj, Ruby, jak dotąd nie prosiłem żadnej dziewczyny o rękę. Jeśli obowiązują jakieś zasady, to ich nie znam. Chcesz, żebym... zachowywał się jak facet, za którego mnie uważasz. Chcesz, żebym zdał z ciebie ubranie i mówił ci różne głupoty. Dobrze. Mogę zatrzymać samochód i zrobić to. Zachowuję się tak... powściągliwie, ponieważ sobie nie ufam. Nie prosiłbym cię o rękę, gdybym cię nie kochał. Proszę cię, żebyś dzieliła ze mną życie; obiecuję ci, że będę się tobą opiekował do końca twoich dni. Tak, jak trzeba w małżeństwie. Z pewnością będziemy mieć też złe dni, będziemy się kłócić i tak dalej, ale od chwili, w której zobaczyłem cię po raz pierwszy wiedziałem, że jesteś dziewczyną dla mnie. Minęło dwa i pół roku, a ja jestem przy tobie. Czy to nic nie znaczy?

Ruby poczuła łzy zbierające się pod jej powiekami. To wszystko brzmiało naprawdę dobrze. Ale za tymi słowami nie było żadnego uczucia. To tylko słowa.

— Dobrze — powiedziała cicho. — Teraz lepiej?

Pokiwała głową, bojąc się, że jeśli się odezwie, Andrew zorientuje się, jak bliska jest wybuchu.

— Postaram się przyjechać za parę tygodni i wtedy porozmawiamy konkretnie. Będę już wiedzieć coś więcej o moim przeniesieniu. Teraz oboje jesteśmy zbyt przejęci. A przy okazji, ja też nie słyszałem zapewnień miłosnych — rzucił uszczypliwie.

— Nie wychodziłabym za ciebie, gdybym cię nie kochała — powtórzyła jego własne słowa. Było to tak monstrualne kłamstwo, że omal się nim nie udławiła. Nigdy już nikogo nie pokocha. Nigdy, przenigdy.

— Cholera, pobieramy się! A niech mnie! — krzyknął tak głośno, że Ruby aż podskoczyła, a po chwili zachichotała; Andrew wiedział, co chce od niego usłyszeć.

Kiedy zaintonował „From the halls of Montezuma”, hymn piechoty morskiej, ona również podjęła śpiew — dobrze postawionym, czystym głosem, zagłuszając jego fałszywe zawodzenie.

Zamilkli w pół zwrotki, speszzeni jak dzieci przyłapano na jakimś figlu, kiedy Andrew zatrzymał się przed mieszkaniem Ruby.

Wyskoczył z samochodu i obiegł go, by otworzyć drzwi od strony Ruby. Skłonił się nisko, z rewerencją i podał jej ramię. Wbiegł ze śmiechem po schodach prowadzących na ganek. Andrew chwycił Ruby w ramiona i pocałował głośno. Kiedy ją puścił, nie mogła złapać tchu. Zauważyła z zadowoleniem, że Andrew dyszy jak po długim biegu.

— Jesteś kimś, Ruby Connors — mruknął Andrew, cofając się. — Za... zadzwonię albo napiszę do ciebie... nie... eee... nigdzie się nie wybierasz w ciągu najbliższych kilku tygodni, co?

— Mhm... — Uśmiechnęła się w ciemnościach. — To był miły weekend. Pewnie... będziemy się spotykać, kiedy tylko przyjedziesz.

— Możesz się założyć — rzucił Andrew, schodząc tyłem po schodach. Potknął się dwa razy, ale w ostatniej chwili złapał równowagę. — Dobranoc — powiedział cicho.

— Dobranoc, Andrew.

Ruby weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Właśnie zgodziła się wyjść za mężczyznę, którego nie kochała. Przez chwilę myślała o matce. Jeśli dziewczyna powinna radzić się matki, to teraz nadeszła taka chwila. Gdybyż Nola tu była... Teraz zgodziłaby się nawet na Amber. Boże, chyba jej odbiło.

Samotność ją przygnębiała. Mogłaby zdobyć się na trochę wysiłku i z kimś zaprzyjaźnić. Powinna chodzić na potańcówki, nawet jeśli miałyby tam iść sama. Ale ona zaszyła się w swojej samotni. Ruby różniła się od większości dziewczyn, które знаła w Waszyngtonie. Wszystkie rozmawiały w kawiarni o tym, jak bliskie są zaciągnięcia jakiegoś faceta do ołtarza. Teraz stała się taka sama: wychodziła za mąż kierowana innymi pobudkami, niż trzeba. Żałowała, że nie zna danych statystycznych na temat dziewcząt, które wyszły za mąż dla samego małżeństwa. Jak wiele tych związków zdołało przetrwać?

Niech cię diabli, Calvinie, to twoja wina. Za mąż wychodzi się raz w życiu. Religia zabraniała rozwodu. Na dobre i złe. W zdrowiu i chorobie. W bogactwie i nędzy. Ruby opadła z jękiem na kolana i otworzyła dolną szufladę bielizniarki. Trzymała tam jedyną kartę urodzinową, jaką dostała w tym roku. Od Amber. Była bardzo zdziwiona, dopóki jej nie przeczytała. Wtedy zrozumiała, dlaczego jej wredna siostrzyczka zdobyła się na ten gest. Napisała, że Calvin przyjechał do Saipan i nie spytał o Ruby. Potem został przeniesiony nad Morze Śródziemne. Amber donosiła też, że zaszła w ciążę i oczekuje narodzin dziecka w początkach grudnia. Dołączyła spis rzeczy, które przydałyby się dziecku.

Ruby zaczęła kołysać się do przodu i tyłu, zanosząc się płaczem. Amber ma dziecko. Amber ma męża. To więcej, niż mogła ścierpieć. To niesprawiedliwe! Jeśli nawet Amber jest szczęśliwa i kochana, dlaczego nie ona? Co zrobiła nie tak? Morze Śródziemne było na drugim końcu świata. Zatrzasnęła szufladę. Chciała wyrzucić karteczkę do kosza, ale nie zrobiła tego. To jedyna rzecz, jaką dostała od Amber. Wyśle prezent jej dziecku. Uśmiechnęła się. Ciocia Ruby Blue, tak właśnie napisze. Ruby Blue. Ciocia Ruby. Jak to pięknie brzmi.

Usiłowała zasnąć. Bezskutecznie. Dwa razy wstawała, żeby pójść do łazienki. Kiedy zegar stojący na bielizniarce wybił północ, nadal nie mogła zaznać spokoju. Wiedziała dlaczego.

Zwlokła się z łóżka i otuliła się szlafrokiem. Przeszła na palcach przez kuchnię w stronę tylnego wyjścia. Schodząc po drewnianych schodkach na podwórze, stąpała bezszelestnie, jak duch. Podniosła pokrywę śmietnika. Był pusty. Pamiątki po Calvinie zniknęły na zawsze.

Wróciła na ganek, rozmazując sobie łzy na policzkach. Usiadła na schodkach, niemal nie czując, jak mroźna jest noc. Zalewała się łzami, wycierając oczy i nos rękawem szlafroka.

Minęła chyba wieczność, zanim obok niej pojawiła się Rena. Ruby zaniósła się jeszcze gwałtowniejszym szlochem. Skuliła się jak przestraszone zwierzątko.

— Cśśś — szepnęła Rena, siadając przy niej — jeśli chcesz z kimś porozmawiać, jestem tu.

Ruby opowiedziała jej o oświadczeniach Andrew, o swoich uczuciach i o tym, jak wyrzuciła pamiątki po Calvinie. Płakała bez przerwy. Tak strasznie potrzebowała matki.

— Nadal kochasz tego młodzieńca. Nigdy nie zapomina się pierwszej miłości. Ja to rozumiem — powiedziała Rena miękko. — Chyba niewiele mogę pomóc. Przepraszam cię, Ruby. Zaraz wrócę. — Pojawiła się po chwili niosąc małą paczuszkę. — To chyba należy do ciebie. Zwykle nie sprawdzam zawartości pojemnika na śmieci. Takie mam zasady. Ale widziałam cię tamtej nocy. Wyglądałaś tak smutno, że powiedziałam sobie: „Musisz sprawdzić, co ta dziewczyna wyrzuca do śmieci”. Teraz cieszę się, że to zrobiłam. Nie jesteś gotowa, by porzucić tego młodzieńca. Musisz zrobić wszystko, żeby go znaleźć. Nie możesz wyjść do tego drugiego, dopóki istnieje choć cień nadziei. Rozumiesz, Ruby?

Ruby skinęła żałośnie głową.

— Wyjechał na koniec świata. Jeśli nie mogłam go znaleźć, kiedy był w Kalifornii, jak zdołam go odszukać nad Morzem Śródziemnym?

— Pracujesz dla marynarki, Ruby. Na pewno znasz kogoś, kto ci pomoże. Masz akta.

— Za każdym razem, kiedy zaczyna mi na czymś lub na kimś zależeć, tracę to. Tak było z Calvinem i babunią. Lubię Andrew i potrafię sobie wyobrazić, że jestem jego żoną i wychowuję jego dzieci. A jeśli nigdy go nie pokocham, przynajmniej będę mieć pewność, że los mi go nie odbierze — wyszlochała Ruby.

Rena zdawała sobie sprawę, że jest nędznym substytutem matki.

— Jutro rano przed wyjściem do pracy zadzwoń do matki. Chcę tego. Nieważne, że się poróżniłyście. Jestem pewna, że ona będzie znać odpowiedzi na twoje pytania. Matki pomagają córkom. Obiecuj mi, że do niej zadzwonisz. — powiedziała cicho.

Ruby skinęła głową. Rena nie знаła jej matki. Ale można było spróbować. Zgodzi się na wszystko, jeśli dzięki temu pozbędzie się tego przepełniającego ją, mdlącego uczucia.

Rena podniosła się energicznie.

— No, pora do łóżka. Zrobiło mi się tak zimno, że zaraz zacznę szczekać zębami. Chodź, Ruby, jutro czeka cię dzień pełen wydarzeń. Miejmy nadzieję, że skończy się tak, jak tego pragniesz. Sio, sio. — Zamachała rękami, jakby przeganiała stadko kurcząt.

Ruby wspięła się ociężale na piętro, ściskając paczkę w dłoniach. Nie zamierzała przyglądać się jej zawartości; wystarczyła jej świadomość, że ją odzyskała, kładąc się spać zrozumiała, że Calvin Santos właśnie powrócił z krainy umarłych.

Następnego ranka zaczęła, aż wszystkie mieszkanki domu wyjdą. Dopiero wtedy zeszła do salonu. Zamierzała zadzwonić do matki. Usiadła na cytrynowej sofie i spojrzała na zegar. Ojciec wyszedł do pracy o siódmej. Odczekała piętnaście minut, by dać matce czas na posprzątanie ze stołu. Opal jest jeszcze na górze, przygotowuje się do wyjścia do szkoły. Czas ciągnął się nieskończoność. Wskazówki jej timeksa wydawały się stać w miejscu. Kiedy wreszcie połączyła się z centralą, drżała jak listek na wietrze. Telefon zadzwonił siedem razy, zanim matka podniosła słuchawkę. Ruby odchrząknęła dwa razy, wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos.

— Mamo, tu Ruby. Muszę z tobą pomówić. Proszę, nie odkładaj słuchawki. Tylko słuchaj. Ojciec wyszedł, więc nie ma powodu, żebyś nie mogła mnie wysłuchać.

Owszem, był pewien powód. Ich rozmowy słuchała pani Millie, telefonistka z centrali. Irma o tym wiedziała.

— Mamo, wychodzę za męża. W grudniu. Zadzwoniłam, żeby cię o coś spytać. To dla mnie ważne. Czy kochałaś ojca, kiedy za niego wychodziłaś? Czuję coś do Andrew, ale to nie to, co do

Calvina. Ojciec zniszczył moją miłość. Czy to, co spotkało ciebie... spotka i mnie, kiedy wyjdę za Andrew? Mamo, powiedz coś, na miłość boską, jestem twoją córką. Nie mam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Wiem, że się boisz... Uciekaj stamtąd, weź Opal ze sobą. Wujek John zaopiekuje siewami... Mamo, jesteś tam? Niech cię diabli, pewnie nawet nie wiesz, że Amber jest w ciąży. Właśnie tak, urodzi w grudniu. Mamo, czy coś ci się stanie, jeśli powiesz choć jedno słowo? Mamo, proszę, pomóż mi ten jeden raz. — Cisza. — Babcia miała rację, jesteś słabeuszem bez charakteru. Mam nadzieję, że nigdy nie stanę się taka jak ty. Wołałabym się zabić. Do widzenia, mammo. — Z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widełki.

Ani słowa. Nie odezwała się ani słowem. Poczwała narastającą falę mdłości, zakryła usta dłonią. A jeśli ta plotkarka Millie coś wypaple i ojciec znowu pobije mamę? Boże, Ruby, to najgorszy idiotyzm, jakiego się kiedykolwiek dopuściłaś. Niemal ugięła się pod ciężarem poczucia winy.

Mogła liczyć tylko na siebie. Tak, jak zawsze. Podejmie decyzję, właściwą lub błędną, i będzie z nią żyć. „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Jej prywatny wyrok śmierci, jeśli zdecyduje się wyjść za Andrew.

* * *

Przez cały ranek pracowała pilnie, żeby pozbyć się wszelkich zaległości. O jedenastej spytała admirała Query, czy może trochę przedłużyć sobie przerwę na lunch. Trzy kwadransy później była już w Pawilonie Marynarki. Przypomniała sobie dzień, w którym zjawiała się tu po raz pierwszy z Amber. Ciekawe, czy ludzie, których wówczas poznała, nadal tu pracują. Zwykle osoby zatrudniane przez rząd pozostawały na swoich stanowiskach aż do emerytury albo do śmierci. Mało radosna perspektywa.

Kiedy Ruby się przedstawiła oczy Mabel McIntyre zalśniły.

— Pamięta mnie pani?

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Oczywiście, Ruby. Mogę ci mówić po imieniu? — Zmierzyła wzrokiem jej wełniany kostium i białą wykrochmaloną bluzkę. — Mam nadzieję, że szukasz pracy.

— Otóż, nie. Chciałam... chciałam panią o coś poprosić. Jeśli pani... nie może albo jeśli to wbrew... nie chcę pani narobić kłopotów, ale... to dla mnie bardzo ważne i... i... muszę znaleźć kogoś z lotnictwa — wyrzuciła z siebie. Zbladła, a jej oczy wypełniły się łzami. Miała wrażenie, że siwe, sprężyste loczki Mabel wyprostowały się czujnie. Przytyła, pomyślała Ruby, ale nadal ma najczystsza twarz na świecie. Spojrzenie Mabel zaniepokoiło ją; było pełne litości. Rozczarowałam ją, pomyślała Ruby przerażona.

— Nazwisko, stopień i numer jednostki — zażądała pani McIntyre. Ruby wyrecytowała dane z szybkością karabinu maszynowego.

— Proszę... proszę pani, to nie jest to, o czym pani myśli... to znaczy nie wiem, o czym pani myśli, ale na pani miejscu pomyślałabym... to nie tak... muszę się skontaktować z porucznikiem Santosem, zanim wezmę ślub.

— Nie wyglądasz na tak szczęśliwą, jak przystało na przyszłą pannę młodą — zauważyła Mabel.

Ruby skinęła głową.

— Chyba nadal jestem oszołomiona. To się stało... Andrew oświadczył mi się wczoraj, a ja się zgodziłam... ale...

— Chcesz się upewnić. Rozumiem, Ruby. Zrobię, co w mojej mocy. Czy mogę do ciebie zadzwonić?

Ruby zapisała jej numer telefonu.

— Do jutra powinnam, zdobyć tę informację.

— Nikomu o tym nie powiem — szepnęła Ruby.

— Ja też — obiecała Mabel. — Umówmy się, że to nasz mały sekret, dobrze?

— Dziękuję pani. Jestem bardzo wdzięczna za to, co pani dla mnie robi. Jeśli kiedykolwiek będę się mogła odwdziaczyć, proszę do mnie zadzwonić.

— Życzę ci szczęścia, Ruby. — Mabel pochyliła się ku niej. — Dobrze mi się przyjrzyj. Pracuję tu tak długo, że stałam się częścią umeblowania. Jestem starą panną. Całym moim dorobkiem jest małe mieszkanko w Arlington i dwa stare kocury. Pozwoliłam, żeby ten jedyny ode mnie odszedł, ponieważ... myślałam, że trafi mi się jeszcze ktoś lepszy. Nie trafił się. Zdobywaj to, czego pragniesz, i nie bój się. Radzę ci, kochanie, żebyś słuchała głosu swojego serca.

* * *

Ruby dotrwała jakoś do końca tego dnia.

Następny ranek powoli minął, a o drugiej zadzwoniła Mabel McIntyre.

— Ruby, może zadzwonisz do bazy lotnictwa w Clark? — poradziła na koniec. — Czy stary nadal grywa w szachy? Powiedz mu, że to oficer, który jest mistrzem szachowym, albo zmyśl własną bajeczkę. Musisz być przebiegła, potrafisz? Boże, co ja wygaduję. Cokolwiek postanowisz, życzę ci szczęścia — powiedziała i przerwała połączenie.

Ruby porządnie przepisała nagryzmołone pospiesznie informacje. Calvin Santos stacjonował w bazie lotnictwa w Clark na Filipinach. Został przeniesiony z Niemiec, a wkrótce czekało go kolejne przeniesienie do Yokota w Japonii. Miała nawet numer telefonu do bazy w Clark.

Spojrzała na wykaz stref czasowych — dwanaście godzin różnicy. Musi poczekać przynajmniej do siódmej, zanim zadzwoni na Filipiny. Boże, dlaczego się tak wygłupia? Gdzie jej godność?

Dwa i pół roku to dużo czasu. Gdyby chciał, skontaktowałby się z nią. Kariera jest dla niego ważniejsza, uządlił rozsądek. Nie można usprawiedliwić jego milczenia. Robi z siebie idiotkę, ale małżeństwo to zbyt poważna decyzja, musi mieć pewność, zupełną pewność!

Pomysł, który podsunęła pani McIntyre, był niemal genialny. Admirał już od kilku tygodni przygotowywał się do rozgrywki z generałem piechoty morskiej, cieszącym się sławą znakomitego szachisty.

Ruby wsunęła głowę do gabinetu przełożonego.

— Sir, mam dobrą wiadomość. Może uda mi się panu pomóc w sprawie tego pojedynku szachowego. Znajoma powiedziała mi, że w bazie lotnictwa w Clark na Filipinach jest pewien porucznik, prawdziwy wirtuoz szachów. Słyszałam, że ograł połowę armii. Może wie coś o metodzie preferowanej przez generała. Mogę zadzwonić do niego o siódmej i poprosić o pomoc. Chętnie zostanę po godzinach.

— Cholernie dobry pomysł! Co ja bym bez ciebie zrobił, Ruby? Wczoraj właśnie powiedziałem pani Query, że gdyby nie ty, to wszystko poszłoby w diabły. Do dzieła, Ruby!

— Tak jest.

Poniewczasie Ruby zdała sobie sprawę, że zapędziła się w ślepy zaułek. Jeśli nie znajdzie w lotnictwie żadnego szachisty, jak wytłumaczy to admirałowi? Boże, a co gdy sam zechce zadzwonić do Clark i zażąda od niej nazwiska tego arcymistrza? Jeśli admirał cokolwiek traktował serio, to właśnie szachy. Ruby jęknęła.

* * *

Dokładnie o siódmej wykręciła numer centrali w Pentagonie i zamówiła rozmowę. Czekając na połączenie, popijała oranżadę. Omal się nie udławiła, kiedy w słuchawce rozległ się głos z południowym akcentem:

— Baza lotnictwa w Clark, szeregowy Cummings.

— Sekretariat admirała Query w Pentagonie. Admirał chce rozmawiać z porucznikiem Calvinem Santosem — oznajmiła urzędowym tonem Ruby.

Nazwisko admirała podziało ożywczo na żołnierza po drugiej stronie linii.

— Proszę chwilę poczekać, zaraz znajdę porucznika. U nas jest dopiero siódma rano.

— Admirał Query mawia, że dobry żołnierz wstaje o piątej. Proszę się pospieszyć. Po kilku minutach głos z południowym akcentem oznajmił:

— Porucznik Santos wrócił do Stanów. Czy mam coś powtórzyć?

— Do Stanów! — pisnęła Ruby, zapominając o urzędowym tonie. — Gdzie?

— Nie mam pojęcia.

— Taka odpowiedź nie spodoba się admirałowi Query. Proponuję sprawdzić dokładnie, gdzie znajduje się porucznik.

— Musiałbym obudzić jego dowódcę... — zawahał się żołnierz.

— Być może to admirał Query powinien obudzić pańskiego zwierzchnika — powiedziała Ruby zimno. Uśmiechnęła się, słysząc jęk po drugiej stronie linii.

— On mi urwie jaja! Major Olivier powiedział, żeby go nie budzić, chyba że baza zacznie się palić. Proszę wybaczyć, zapomniałem, że rozmawiam z damą. Zaraz go obudzę, proszę zaczekać.

Ruby zaczęła zastanawiać się leniwie, co wojsko mogło zrobić cywilnemu pracownikowi, wykorzystującemu stanowiska zwierzchników dla własnych interesów. Była tak bliska odnalezienia Calvina. Był w Stanach! Może do niego zatelefonować, umówić się z nim... Serce ścisnęło się jej boleśnie. Wreszcie!

Kiedy zgłosił się major Olivier, Ruby jeszcze raz w imieniu admirała zażądała podania miejsca pobytu Calvina Santosa. Usłyszała wymruczaną pod nosem uwagę o cholernych oficjelach z marynarki, którym się wydaje, że mogą rozkazywać całemu światu, a potem:

— Porucznik Santos wyjechał do Stanów. Odmeldował się tydzień temu. Baza lotnictwa w Charleston w Południowej Karolinie. Czy to już wszystko, panienko?

— Tak. Dziękuję, majorze.

Przytuliła notatki do piersi z uczuciem absolutnej błogości. Calvin przyjechał do Stanów, jest w Charleston! Powinna zadzwonić teraz, czy poczekać do rana? Zakręciło się jej w głowie. Oparła się wygodnie na krzesło, zmuszając do wzięcia kilku głębokich oddechów. Miała wrażenie, że obudziła się z głębokiego snu.

Kiedy wykręcała drugi numer, promieniowała radością, która zgasła jak płomyk świecy na wietrze, gdy okazało się, że Calvin dostał przepustkę.

— Porucznik Santos nie był zobowiązany podać miejsca swojego pobytu. Jest gdzieś w Południowej Karolinie, to wszystko, co mogę powiedzieć. Czy admirał chce zostawić wiadomość dla porucznika Santosa?

Głos Ruby brzmiał martwo, kiedy podawała numer sekretariatu.

Przez całą drogę do domu powtarzała sobie: co ma być, będzie. Ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Calvin jej nie przebaczył i że nadal obarcza ją winą za ingerencję ojca. Mogłes napisać do mnie, Calvinie. List, kartkę, cokolwiek. Żebym wiedziała, że mnie nie znienawidziłeś.

Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi pokoju, zrozumiała, że to nie fair w stosunku do Andrew. Przyjęła jego oświadczenia, wobec czego miał prawo sądzić, że teraz czeka

niecierpliwie na ślub. Ani przez chwilę nie wierzyła, że w Charlestonie nie znali miejsca pobytu Calvina. Mimo to dała za wygraną i zadowolona się otrzymanymi informacjami.

Znowu poczuła wzbierającą falę mdłości. Musiała przestać się łudzić, i to jak najprędzej. Zbyt boleśnie zraniła Calvina, a ponieważ jest taki, jaki jest, nie zechce zaryzykować kolejnego rozczarowania. Niech cię diabli, Calvinie, niech cię wszyscy diabli! Dlaczego nie potrafiłeś mi zaufać? Dlaczego?

* * *

Dni ciągnęły się beznadziejnie. Jakoś zdołała je przetrwać, przez cały czas patrząc na kalendarz. Ostatniego dnia urlopu Calvina Ruby zarezerwowała w kościele Świętej Trójcy termin ślubu na 10 grudnia o trzeciej po południu. Wieczorem tego samego dnia zadzwoniła do Andrew i spytała, czy odpowiada mu ta data. Oświadczył, że załatwi sobie trzydniowy urlop. Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, po czym Andrew obiecał, że napisze do niej jeszcze tego wieczora. Ruby uśmiechnęła się, żeby zrobić przyjemność dziewczętom zgromadzonym w salonie. Cieszyły się jej szczęściem i chyba trochę jej zazdrościły. Poprosiła Renę, żeby została jej świadkiem, a ona wyraziła zgodę.

Jutro Calvin wróci na Filipiny. Właściwie, biorąc pod uwagę różnicę czasu, w Clark już było jutro. Całkiem możliwe, że Calvin właśnie w tej chwili trzyma w ręku jej wiadomość. Wydawało się jej, że od chwili kiedy zadzwoniła do bazy minęły wieki. Przynajmniej zyskała na tym jedną rzecz: poszła do biblioteki i wypożyczyła książkę o sztuce gry w szachy. Jej szef, kompletnie zielony i niedoświadczony gracz, wykuł na pamięć strategie, które dla niego przepisała, i wygrał z generałem piechoty morskiej, przekonany, iż to telefon Ruby uratował mu skórę. W podziękowaniu dał jej nawet bukiet róż.

Ruby nie spała przez całą noc. Leżała nieruchomo, nie mogąc opanować rozszalałych myśli. Wspomniała Barstow i rodziców, a także Opal. Zastanowiła się, jak się jej wiedzie, co porabiają Amber i Nangi. Pomyślała o tym, jak cudowna będzie dla nich pierwsza Gwiazdka z dzieckiem. Tego właśnie pragnęła dla siebie, prawdziwej rodziny wokół choinki, jakiegoś miejsca, w którym zawsze będzie mile widziana.

O piątej rano zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki, żeby przygotować się do pracy. Stres, w którym żyła przez ostatnie tygodnie, dał o sobie znać — zapadnięta twarz z sinymi podkowami pod oczami. Jak na przyszłą pannę młodą wyglądała nieszczególnie.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Wskazówki zegara wlokły się tak powoli, że miała ochotę krzyczeć. Za każdym razem, gdy rozlegał się dzwonek telefonu brała głęboki wdech, zanim odważyła się podnieść słuchawkę. Nie poszła na lunch do kafeterii; poprosiła jedną z dziewcząt o przyniesienie kanapki. Nie chciała opuszczać sekretariatu na wypadek, gdyby zadzwonił Calvin.

O szóstej wieczorem nadal siedziała na swoim miejscu. O wpół do siódmej zaczęła porządkować akta. O siódmej przepisała na maszynie prywatny list admirała i już na pierwszej stronie zrobiła jedenaście błędów. Zmięta go i wrzuciła do kosza na śmieci. O wpół do ósmej nakryła maszynę pokrowcem i starła z biurka wymaglinowany kurz. Przeciągnęła grzebieniem po włosach, umalowała usta i przypudrowała nos.

Calvin powinien zaraz zadzwonić. Na Filipinach było piętnaście po siódmej rano. Może pamiętał, że admirał Query jest jej szefem i domyślił się, że to Ruby zostawiła wiadomość. Ale czy odważyłby się nie odpowiedzieć na telefon admirała? Tak strasznie bał się wszystkiego, co mogłoby zaszkodzić jego karierze.

Dochodziła za dwie minuty ósma, kiedy Ruby, przygarbiona, jakby opuściły ją siły, zamykała za sobą drzwi. Weszła do windy. Gdyby jej drzwi nie zamykały się tak hałaśliwie, Ruby usłyszałyby dzwonięcie telefonu na jej biurku. Zanim umilkł, zadzwonił osiemnaście razy.

Wyszła na ciemną ulicę, z wdzięcznością myśląc o tym, że mrok ukryje jej wstyd. Jakąż była idiotką!

Następnego dnia wysłała kartkę do rodziców, informując ich o ślubie. Kiedy wrzucała ją do skrzynki, łzy toczyły się strumieniem po jej policzkach. Proszę, mamó, ciesz się moim szczęściem. Pomyśl o mnie czasami. A jeśli nie możesz, zdobądź się na trochę odwagi i daj popalić ojcu.

* * *

George Connors rzucił listy na stół kuchenny. Wzrokiem nakazywał żonie je podnieść. Nie zrobiła tego, nie przerwała obierania ziemniaków.

— Rozmawiałaś z nowymi sąsiadami, limo?

— Nie, George. Słyszałam, jak narzekają, że na tylnych schodach i kuchennym linoleum są plamy po winogronach. Mówili, że będą musieli wycyklinować schodki i wymienić linoleum.

— Było zniszczone? — Nie wiem, George.

— Od następnego tygodnia wrócę do pracy. Skończył mi się urlop. Potrzebują mnie.

— Oczywiście, George. Pan Riley powiedział, że jesteś najlepszym kamieniarzem, jakiego zna.

Oczy George'a Connorsa zwęziły się.

— Kto ci to powiedział?

— Ty, George.

— Ruby Connors wychodzi za męża, Irmo. Za komandosa. Przysłała kartkę.

— Zgadzasz się, George?

— Nieważne. Nie mam już córki o takim imieniu. Opal robi się krnąbrna.

— Pomówię z nią.

— Na stole leży list do ciebie od Grace Zachary.

Nóż ześliznął się z ziemniaka i zranił ją w kciuk.

— Przeczytałeś go, George?

— Nie, sądziłem, że sama mi go przeczytasz. Może powinniśmy go podrzeć i nie zwracać sobie nim głowy. Po co miałaby do ciebie pisać?

Irma spojrzała na strużkę krwi. Ujęła mocno nóż. Uniosła głowę.

— Może nie chce już utrzymywać niczego w tajemnicy. Może chce mi opowiedzieć, jak ją zgwałcił. A także zdradzić mi, że to ona oblała cię galaretką. Wiesz, że Amber jest w ciąży, George?

— Idź na górę i natychmiast wyszoruj usta mydłem. Już!

— Nie chce mi się. Nie podnoś na mnie ręki. Jeśli to zrobisz, zabiję cię, kiedy będziesz spać. Marchewka czy groszek?

— I to, i to. — George przysunął się do stołu. — Co powiedziałaś?

— Że cię zabiję. Lepiej, żebyś uwierzył. Twoi bracia staną po mojej stronie. I całe miasto, gdy opowiem, jak nas traktowałeś. Jesteś diabłem, George.

Chciał ją złapać za rękę, ale była od niego szybsza. Cofnęła się z nożem skierowanym w jego stronę.

— Mówię poważnie, George. A teraz idź zmienić bieliznę. Śmierdzisz sikami. Twój cewnik musiał się znowu zatkać. A ja przeczytam listy. Szkoda, że Grace cię nie zabiła. Modliłam się

przez całą noc, żebyś umarł. I obiecałam sobie, że cię zabiję. Kiedyś. Jeszcze nie wiem kiedy. Może w przyszłym tygodniu. Może jutro. Chyba powinieneś się przenieść do pokoju Ruby. Tak, przeniesiesz się do pokoju Ruby...

Georgie. No, Georgie, nie stój tak i nie gap się na mnie. Ściągnąłeś wstyd na nasz dom. Wstydz się, Georgie — powiedziała Irma, grożąc mu palcem. — Wstyd, wstyd, wstyd.

* * *

Mimo iż wilgotność powietrza wynosiła osiemdziesiąt procent, baza lotnictwa w Ciarce tętniła życiem. Calvin Santos poczuł coś w rodzaju elektrycznego wstrząsu. Otrzymał dwie wiadomości. Kiedy przeczytał je po raz pierwszy, krew uderzyła mu do głowy. Słabo pamiętał majora. Teraz przypomniał sobie, jak próbował dodzwonić się do Ruby, ale nie było jej w biurze i słuchawkę podniósł admirał. Calvin krzychał tak głośno, że omal mu nie pękły płuca, ale admirał — Ruby wspominała niegdyś, że miał kłopoty ze słuchem — chyba niczego nie rozumiał. Calvin zadzwonił jeszcze kilkakrotnie, ale nie powiodło mu się lepiej niż za pierwszym razem. Napisał dwa listy i wysłał je na Kilbourne Street, ale oba wróciły do niego z dopiskiem „Adresat nieznan”. Ten adresowany do Pawilonu Marynarki także do niego wrócił. Potem został przeniesiony do Niemiec. Zdobył się na jeszcze jedną rozpaczliwą próbę i napisał list na adres państwa Connorsów w Barstow, mając nadzieję — wbrew wszelkiemu rozsądkowi — że prześlą go Ruby. Bez względu na to, gdzie go przynosili, zawsze wlokła się za nim ta cholerna różnica czasu. Nie potrafił pojąć, dlaczego Ruby nie zostawiła nikomu swojego nowego adresu. Zupełnie przypadkiem zapamiętał miasto, w którym urodziła się Nola, i wysłał do niej list dla Ruby. Wszystko na nic.

A teraz Ruby zdołała go odnaleźć. Teraz, kiedy jest już za późno...

Zamówił rozmowę, zaciskając konwulsyjnie palce na słuchawce. Jak miał powiedzieć Ruby, że się ożenił? Ciągle w to nie mógł uwierzyć. Właściwie nawet nie chciał. Czekał na połączenie, zaczął myśleć o swojej niedawno poślubionej małżonce.

Eve Baylor była od niego starsza o siedem lat i pochodziła z Charleston w Karolinie Południowej. Poznał ją w klubie oficerskim w Charlestonie. Wpadła mu w oko, ponieważ wydawała się równie nieszczęśliwa, jak on. Najpierw się upewnił, czy aby ta nieciekawa dziewczyna nie podoba się innemu oficerowi. Zbierał się na odwagę przez trzydzieści minut. Potem poszedł do niej, z góry przekonany, że zostanie spławiony. Ale ona zgodziła się, by zafundował jej drinka. Była grzeczna, to wszystko. W trakcie godzinnej, wymuszonej rozmowy dowiedział się, że Eve nienawidzi mężczyzn i zrewanżował się wyznaniem, iż on nienawidzi kobiet. Żadne z nich nie dociekało dlaczego.

Ich zażyłość wynikała z obopólnej samotności. Eve jako nauczycielka, mówiła w sposób, który go irytował. Przejawiała też władcze skłonności, ale Calvinowi to nie przeszkadzało; była kimś, z kim mógł spędzać wolne chwile. Chciał jej opowiedzieć o Ruby, ale zawsze coś go przed tym powstrzymywało. Nigdy nie miał ochoty jej pocałować ani trzymać za rękę i współczuł biedakowi, który trafi z nią do łóżka. Co prawda spróbował kiedyś wykrzesać z siebie odrobinę romantyzmu i wyrecytował nawet kilka dość mdłych kawałów, ale nie zareagowała tak, jak się spodziewał. Doszedł więc do wniosku, że jest także sztywna i pruderyjna. Co więcej, należała do kościoła baptystów, a to go niepokoiło. Kiedy się dobrze zastanowił, niepokoiło go wszystko, co jej dotyczyło.

A jednak przez te wszystkie miesiące znosił jej wypowiedzi *ex cathedra*, władczy charakter i pruderię. Było mu z nią wygodnie, ponieważ go nie obchodziła. Proste.

Niedziela, w której zaprosiła go do domu rodziców na obiad, stała się dla niego przeżyciem, które zapamięta do końca życia.

Z wojskowego autobusu wysiadł o cztery przecznice przed domem Eve.

Jego widok pozbawił go tchu. Był piękny — ozdobny ganek i witrażowe okna. Otaczały go azalie i dęby liczące sobie co najmniej sto lat. Zaczął sobie wyobrażać, jak wygląda dzieciństwo w tak pięknym domu. Przejęła go taka tęsknota, że nie zauważył brakujących kamieni na podjeździe, łuszczącej się farby na werandzie ani przegniłej podłogi ganku. Olśniony witrażami w oknach, nie zauważył gnijących framug.

Mosiężny dzwonek przy drzwiach miał kształt klucza. Kiedy go pociągnął, zajazgotał wściekle. Calvin przyjrzał się przestronnej werandzie z zabytkowymi wiklinowymi meblami i zastanowił się, czy można na nich bezpiecznie usiąść.

Masywne dębowe drzwi jęknęły i Eve wprowadziła go do środka. Zalatywało eukaliptusem, kocimi sikami i maścią na bolące nogi. I to tak przeraźliwie, że Całym zaczął oddychać przez usta.

Z otworów wentylacyjnych nad podłogą buchały fale ciepła; w masywnym kominku z polnych kamieni huczał potężny ogień. Calvin miał ochotę zrobić w tył zwrot i uciec; stłumił jednak tę chęć i czekał, aż Eve przedstawi go swojej rodzinie. Spodziewał się, że już wspomniała o nim, więc zaskoczyły go ich osłupiałe miny. Ojciec Eve utkwiał w nim świdrujący wzrok. Calvin usiłował wytrzymać jego spojrzenie, ale mu się nie udało. Emerytowany pułkownik był ostrzyżony najeża. Surowy i fanatyczny, pomyślał Calvin.

Matka Evy też nie budziła sympatii. Sztywno wyprostowana, gładko uczesana, ale za to tak upudrowana, że jej twarz przypominała maskę. Patrzył na najbardziej niezyczliwe oblicze, jakie zdarzyło się mu widzieć. Kobieta miała na sobie niemodną, spłowiata fioletową suknię z wysokim kołnierzykiem, spiętym kameą, która ściągała uwagę na jej żylastą szyję.

Siostra Eve, Bea, była od niej starsza i tak do niej podobna, że mogłyby uchodzić za bliźniaczki. Jej twarzy także nie opromieniał uśmiech.

W salonie również płonął ogień w kominku. Eve wskazała mu krzesło i podała kieliszek wina, które rozlał, kiedy wielki czarny kot wskoczył mu na ramię. Irene, matka Eve, cmoknęła z dezaprobatą i rozkazała, by Bea „zajęła się tym bałaganem”. Eve jeszcze raz napełniła kieliszek, a Timothy, ojciec rodziny, patrzył na to wszystko, bez przerwy kręcąc głową. Calvin wiedział już, że nie wyszedł z tej próby obronną ręką.

Zapadła cisza, niezręczna aż do bólu. Eve nie wysiliła się, żeby ją przerwać. Siedziała bezwolnie, skrzyżowawszy nogi w kostkach i złożywszy dłonie na kolanach. Bea wpadła do pokoju z wiadrem i naręczem szmat i wytarła rozlane wino.

Po chwili, jakby na jakiś tajny znak, cała rodzina wstała i pomaszerowała gęsiego do jadalni, mrocznej i przygnębiającej.

W pomieszczeniu unosił się duszący, zatechły zapach, ale nawet on poddawał się odorowi maści i kociej uryny. Nikt nie zadał sobie trudu, by odkurzyć mahoniowy kredens i ogromny kryształowy żyrandol, wiszący nad stołem. Wizyta Calvina była im nie na rękę i wyraźnie to manifestowali. Eve wskazała mu miejsce obok siebie. Zamierzał pomóc jej odsunąć krzesło, ale nie dała mu takiej możliwości.

Calvin odważył się zerknąć na Irene odmawiającą modlitwę dziękczynną. Ledwie poruszała wąskimi ustami. Dziękowała Bogu za dary, którymi mieli się pożywić, ale mówiła to tak szorstkim i wrogim tonem, jakby chciała podkreślić, że nie zamierza się nimi dzielić z gościem. Co ja tu robię, do wszystkich diabłów?

— Nie rozmawiamy podczas posiłku — uprzedził Timothy Baylor głosem zdławionym wściekłością.

Calvin wiedział, że po jego wyjściu ten gniew skupi się na Eve.

Kiedy po obiedzie wstąpił do łazienki, podsłuchał, jak trzy kobiety rozmawiają o nim w kuchni. Ich głosy dobiegały przez wywietrznik. Słuchał i serce w nim omdlewało. Siostry wyzywały się wzajemnie od starych panien.

— Jeśli tylko jego potrafiłaś złapać, to na nic lepszego nie zasługujesz. Ściągasz na nas hańbę! Niczym się nie różni od czarnucha! — powiedziała zimno Irene. — Twój ojciec omal nie dostał zawału. Nie miałaś prawa przyprowadzać do domu kogoś takiego. Twój dziadziuś miał niewolników o takim kolorze skóry. Nie masz wstydu, Eve, jesteś zupełnie bezwstydna. Co pomyśla o nas sąsiedzi?

Calvin poczuł, że jego policzki płoną. Usiadł na muszli klozetowej, czekając, aż nogi przestaną się pod nim uginać. Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki nie wypuścił go z głośnym świstem. Eve mogłaby coś powiedzieć w jego obronie. Na miłość boską, przecież byli tylko znajomymi, nikim więcej. Co za ludzie z tych Baylorów? A Eve?

Położył już rękę na klamce, kiedy usłyszał, że Bea płacze.

— Mogłam wyjść za Jasona, ale nie podobał się wam, bo był kulawy. Powiedzieliście, że nie będzie przysparzał chluby rodzinie. Teraz ma własną rodzinę, postawił sobie dom i jest wiceprzewodniczącym banku w Charlestonie. Zrujnowaliście mi życie!

— Dostyc tego, panienko — rzuciła Irene ostro. — Nie będziecie obwiniać ojca ani mnie za to, że nie wyszłyście za mąż. Żadna z was nie potrafi utrzymać przy sobie prawdziwego mężczyzny.

Calvin trzasnął drzwiami łazienki i wypadł z domu jak burza. Dopiero na brukowanym podjeździe zorientował się, że Eve idzie za nim.

— Czy nadal jesteśmy umówieni do kina?

Calvin obrócił się na pięcie.

— Na miłość boską, dlaczego mi to zrobiłaś? Jeśli to jest ta południowa gościnność, możecie ją sobie oszczędzić!

— Nie odpowiedziałeś, Calvinie. Idziemy do tego kina czy nie?

— A co? Faceci stoją do ciebie w kolejce? — warknął.

— Tak, czy nie? — naciskała Eve.

— Ja idę. Jeśli ty też masz ochotę, spotkamy się przed kinem. Co innego mógłbyś powiedzieć, cholera jasna?

Następne miesiące wyglądały tak samo. Jeszcze dwa razy odwiedził dom Baylorów, nie potrafiąc sobie wyjaśnić, po co skazywał się na te tortury. Kiedy Timothy Baylor zwrócił się do niego per „chłopcze”, jakby mówił do niewolnika, Calvin zrozumiał, że nigdy nie odnajdzie swojego miejsca w tej rodzinie. Oświadczył Eve, że nigdy więcej nie przyjdzie do jej domu. „To nie” — brzmiała jej odpowiedź.

Po trzech miesiącach, pewnego ciepłego niedzielnego popołudnia w ulicznej kawiarence Calvin oznajmił Eve, że został przeniesiony na Filipiny.

— Wyjeżdżam w poniedziałek. Jeśli chcesz, napiszę do ciebie. — Spojrzał na Eve. Nadal nie znał tej dziwnej kobiety, jak dotąd łączyły ich jedynie wspólne posiłki i seanse kinowe. Może gdyby była ładniejsza, trochę młodsza, albo gdyby miała poczucie humoru, zdobyłby się na większy wysiłek. Jeśli musiałby jakoś podsumować ich dziwny związek, powiedziałaby, że są parą samotnych ludzi, razem zabijających czas. Zastanawiał się, czy będzie mu jej brakować. Potem zrobił coś, o co by się nigdy nie podejrzewał, coś tak szalonego, że w chwilę potem miał ochotę wyrwać sobie język. — Czy chcesz wyjść za mnie za mąż?

Na bezbarwnej twarzy Eve nie zagościł nawet przelotny uśmiech; w jej oczach nie pojawiło się żadne światelko, które dostrzegł, gdy pytał o to samo Ruby. Wydawała się rozważać jego oświadczenia jak jakiś handlowy układ.

— Nie mam nic lepszego do roboty. Chyba to dobry pomysł.

— Tak? — Calvin zakrztusił się z przerażenia. — My... myślałem, że... mówiłaś, że nienawidzisz mężczyzn. Ja jestem mężczyzną! — O Jezu, czy naprawdę powiedział to na głos?

— A ty powiedziałeś, że nienawidzisz kobiet. Przynajmniej coś nas łączy. Nie robię się młodsza — oznajmiła z brutalną szczerością. Chciałabym mieć dziecko. Nie idzie ci zbyt dobrze z kobietami, więc jeśli ja mogę zaakceptować ciebie, ty możesz zgodzić się na mnie.

— Ale twoja rodzina... — rzucił z rozpaczą.

— Nie będzie cię tutaj, więc czym się martwisz? To, co o tobie myślą, jest ich problemem, nie twoim.

Musi się z tego jakoś wykaraskać.

— Może poczekamy do mojego powrotu? Oboje się zastanowimy. To poważny krok. Nie chciałbym skłócić cię z rodziną. Jak zauważyłaś, nie jest mi łatwo zawierać znajomości z dziewczętami. A ty, jak powiedziała twoja matka w kuchni, nie umiesz utrzymać przy sobie mężczyzny — w ostatnich słowach zabrzmiała gorzko. Poczł skruchę, kiedy zauważył, że Eve drgnęła.

Eve Baylor bała się panicznie tylko jednego: staropanieństwa. Na Południu kobieta liczyła się dopiero wówczas, gdy jej nazwisko poprzedzano słówkiem pani. Mąż i dziecko czynili ją godną szacunku.

— Nie potrzebuję czasu do namysłu, Calvinie. Jeśli mówisz poważnie, to ja też. Możemy postanowić to natychmiast, zanim wyjedziesz. Chcesz, żebym się nawróciła na katolicyzm, prawda? — Calvin skinął słabo głową. — Więc pójdę na rekolekcje, kiedy wyjedziesz. Po twoim powrocie możemy wziąć cichy ślub. Rodzinie nic nie powiem dopóki... dopóki to się nie stanie. Pytanie tylko, czy mówisz poważnie?

Calvin odchrząknął. Teraz chodziło o jego honor. Czy mówił poważnie? Nie, do diabła! Problem tylko, jak wydostać się z tego impasu.

— Chyba tak, jeśli ty też myślisz o tym poważnie.

— A zatem postanowione. Wszystko załatwię, kiedy pójdę do kościoła, żeby zapisać się na rekolekcje, czy jak to się nazywa. Napiszę do ciebie.

— Przecież nie masz mojego adresu?

— Poczekam, aż mi go podasz. Dobrze się czujesz, Calvinie? Wyglądasz dość blado. — Nie, nic mi nie jest. Jestem zmęczony.

— Czy chcesz o czymś porozmawiać? Masz jakieś sekrety, z których chciałbyś się zwierzyć; ciężar, którego chcesz się pozbyć? — spytała zniecierpliwiona Eve.

— A powinienem? Nie przypominam sobie, żebyś mi się zwierzała.

— Twoja przeszłość jest twoją sprawą, a moja moja. Ale chciałabym, żebyś dał mi słowo, że nigdy mnie nie zdradzisz. Daj mi słowo honoru, jako oficer i dżentelmen.

Calvin wzruszył ramionami.

— Masz moje słowo. A ty, czy ty też mi je dasz?

— O mnie nie musisz się martwić. Naprawdę nienawidzę mężczyzn. Więc jeśli przyniesiesz mi wstyd, zatruję ci życie aż do końca twoich dni.

Calvin wzdrygnął się, mimo iż siedział w słońcu.

— Ponieważ naprawdę nienawidzę kobiet nie sądzę, żebyśmy mieli taki problem.

Wrócił do Charlestonu po sześciu tygodniach i poślubił Eve o czwartej po południu w niedzielę. Zakrystianka była drużną Eve, a kościelny drużbą Calvina. Rodzice i siostra panny młodej nie zjawili się na ślubie. Calvin uznał to za szczególne błogosławieństwo.

Po weselu wyjechali gruchotem Eve w podróż poślubną do Kolumbii. Miesiąc miodowy okazał się zupełną katastrofą, przynajmniej w odczuciu Calvina. Kiedy przypominał sobie noc poślubną, oblewał się palącym rumieńcem ze wstydu i upokorzenia.

Tego wieczora — niespokojny, lecz podniecony — nie tracił czasu na zdejmowanie piżamy i slipów, które kupił specjalnie na tę okazję, zsunął je tylko. W głowie kręciło mu się nieprzytomnie, kiedy zwałił się na Eve i niemal natychmiast przeżył orgazm.

— Myślałam, że wiesz, co robić! — zgrzytnęła Eve.

Ze wstydu i oszołomienia zapomniał o grzeczności.

— Nie wiedziałem, że tak wspaniale się na tym znasz. Sądziłem, że jesteś dziewicą!

— A ja sądziłam, że ty nią nie jesteś. Mężczyźni w twoim wieku powinni już to mieć za sobą! — wykrzyczała głosem ociekającym jadem. — Gdybyś coś jeszcze na siebie włożył, wyglądałbyś jak hokeista!

— Nie mówmy o moim stroju. Panny młode zwykle mają na sobie jedwabne koszulki. A ty w tej piżamie wyglądasz jak stara baba. Jezu Chryste, jak niby miałem... Przecież to noc poślubna, do cholery! — zachłysnął się gniewem. — Nie mogłem znaleźć... psiakrew!

— Owszem, znalazłeś i zaraz potem wystrześliłeś. A co ze mną? Stuk, puk i po krzyku? — rzuciła Eve, przesuwając się na swoją stronę łóżka.

— Jak to? Więc wszedłem do środka? — spytał głupio.

Chwilę później pożałował, że nie ugryzł się w język. Eve uderzyła go w twarz.

— Chcesz powiedzieć, że jestem taka szeroka... że nawet nie... och, ty wstrętne świnię! To ty jesteś za mały!

Calvin wdrygnął się. Była to ostateczna zniewaga, wymierzona w jego męską dumę. Miał ochotę udusić swoją żonę. Honor wymagał odwetu.

— A z kim mnie porównujesz? — warknął. — Ilu było przede mną? Proszę o liczbę i wymiary. Teraz rozumiem, dlaczego tak nienawidzisz mężczyzn. A ja, idiota, ożeniłem się z tobą! Cóż, można temu szybko zaradzić. Kiedy wrócimy do Charlestonu, wniosę pozew o rozwód! Jesteś tylko zasuszoną starą panną. Nikim więcej.

Nawet gdyby zastanawiał się przez kilka dni, nie wpadłby na nic, co bardziej by ją zraniło. W jej oczach pojawiły się łzy; skuliła się w kącie łóżka. To ona zadała pierwszy cios, dlatego więc nie miałby odpowiedzieć tym samym?

Rozwód podczas miesiąca miodowego! Nigdy by tego nie przeżyła. Stałaby się pośmiewiskiem całego Charlestonu. Porzucona po nocy poślubnej przez... przekłętą cudzoziemca! Rodzice... przyjaciele... nie mogła sobie pozwolić na głupią dumę. Z trudem rozpoznała własny głos, kiedy odezwała się pojednawczo:

— Calvinie, oboje jesteśmy zdenerwowani. Powiedzieliśmy... coś, czego nie chcieliśmy powiedzieć, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Przepraszam. Ja tylko... oboje spodziewaliśmy się, że... pewne sprawy... powinniśmy o tym porozmawiać wcześniej, wyjaśnić sobie, czego oczekujemy... To częściowo także moja wina. To, że sprzeciwiłam się woli rodziców okazało się dla mnie bolesnym doświadczeniem. Tu, na Południu, kobiety są wychowane inaczej. To, co powiedziałam, było wstrętne i bardzo tego żałuję. Chciałabym, żebyśmy oboje zapomnieli o tym, co się stało. Zrobię, co w mojej mocy, żeby wynagrodzić ci twoje... rozczarowanie. — Zaryzykowała krótkie spojrzenie na męża i wyciągnęła ostatniego asa z rękawa. — Dla ciebie porzuciłam swoją wiarę, a wiesz, że kościół katolicki zabrania rozwodów. Porzuciłam wiarę, Calvinie. Nie znam zbyt wielu kobiet, które zrobiłyby to dla mężczyzny. — Wyraz jego twarzy nie zmienił się. — Postawmy sprawę jasno. Jesteś inny. Nie jesteś biały, w przeciwieństwie do mnie. Pochodzisz z innego kręgu kulturowego, z innego kraju. To jedna ze spraw, które powinniśmy przedyskutować. Nie możemy udawać, że jesteś taki jak ja, bo to nieprawda.

Akceptuję ciebie, więc będziesz musiał zaakceptować mnie. Chcę spróbować jeszcze raz. Nie teraz. Jutro albo pojutrze. Kiedy zechcesz.

Gdyby uśmiechnęła się lub zmieniła ton głosu, pewnie by jej uwierzył. Skapitulował tylko dlatego, że wiedział, iż rozwód wykluczyłby go z Kościoła. Skinął głową, nie odważając się przemówić. Ich spojrzenia spotkały się. To Eve pierwsza odwróciła oczy.

Calvin wygładził kołdrę po swojej stronie i ułożył się do snu. Nie myślał o tym, co się wydarzyło, ani o prośbach żony. Jego myśli pobiegły ku Ruby Connors. Zastanowił się, jak wyglądałaby ich noc poślubna.

Pięć dni później wsiadł do samolotu lecącego na Filipiny, zostawiając żonę, która miała do niego dołączyć po upływie miesiąca.

Poślubienie Eve Baylor było największym błędem jego życia. Miał tego świadomość, podobnie jak Eve.

Calvin wrócił do rzeczywistości, kiedy telefonistka poinformowała go, że Pentagon nie odpowiada. Otarł pot zalewający mu oczy. Oczywiście. Przecież było już po ósmej wieczorem. Ruby pracowała często po godzinach, ale nigdy nie zostawała dłużej niż do siódmej. Telefonistka spytała, czy chce zostawić wiadomość.

— Nie, zadzwonię później.

Przez pięć minut wpatrywał się w czarny telefon. Gdyby zechciał, mógłby zadzwonić wieczorem, kiedy nie pełnił już służby. Co by to zmieniło? Kierował się odruchem, ale nie powinien już szukać kontaktu z Ruby. Był żonaty. Zaprzepaścił swoją szansę na szczęście.

Przepraszam, cię Ruby, szepnął. Bardzo cię przepraszam.

* * *

Dni nie różnią się od siebie, pomyślała Ruby, przyglądając się wystawom sklepów na Czternastej. Szukała rzeczy na swoją wyprawę. Miała już kilka sztuk bielizny, nocną koszulkę, nieprzyzwoicie przejrystą i drogą jak diabli. Kiedy włożyła na siebie czarną koronkę, spłonęła rumieńcem. Pokazała koszulkę Renie. Mała kobietka klasnęła radośnie w ręce i oznajmiła, że to zupełna dekadencja.

Pozostałe mieszkanki domu urządziły dla niej wieczór panieński i zaprosiły na niego kilka koleżanek z pracy, a także Renę. Ruby wiedziała, że zechcą dać jej jakiś prezent i taktownie wspomniała o kilku niezbyt drogich drobiazgach, których mogłaby potrzebować. Dziewczęta nie zarabiały zbyt wiele.

Zatrzymała się przed wystawą, na której zauważyła sukienkę odpowiednią na ślub. Była przerażająco droga, zupełnie nie na jej kieszeń. Ruby uśmiechnęła się do swojego odbicia w szybie. Wiedziała dokładnie, co powiedziałyby Nola. „Kup sobie beżową, prostą sukienkę i sama ją ozdób”. Ruby wpatrzyła się w kreację na wystawie i obliczyła w pamięci koszt perełek, koronki i maleńkich perłowych guziczków. Mogłaby to kupić za dwa, może trzy dolary. Oczywiście zanim naszyje je na sukienkę, zdąży zupełnie oślepnąć. Zakładając, że zdoła kupić sukienkę.

Pragnęła, by jej ślub wyglądał możliwie najwspanialej. Zapowiadał się całkiem niezłe. Rena zgodziła się wydać małe przyjęcie w swoim salonie, który swobodnie mógł pomieścić dwanaścioro gości. Dziewczyny obiecały przyrządzić dużo kanapeczek i innych przegryzek. Kiedy Rena zaproponowała, że kupi szampana, Bruno rozpromienił się z zachwytem. Ruby, znając skąpstwo Reny, nieco zdziwił jej szeroki gest. Nie była pewna, czy gospodyni nie poprosi jej w końcu o niewielkie wynagrodzenie.

Wróciła myślami do swoich dwóch domów. Na razie nie wyszły na jaw żadne ukryte wady. Zapłaciła za rozmowę z Saipan, zdołała kupić parę rzeczy na wyprawę ślubną i nadal miała siedemdziesiąt dolarów. Pomyślała także o licznych „niewielkich honorariach” dla Reny. Znalazła sublokatorów, którzy wprowadzą się dwa dni po podpisaniu umowy. Wszystko poszło tak gładko, że z trudem przychodziło jej w to uwierzyć.

Rena chciała wiedzieć, gdzie Ruby zamierza trzymać akty notarialne i czy poinformuje o tym przyszłego męża. „I jak będziesz spłacać hipotekę i zbierać pieniądze na czynsz?” — dociekała mała kobietka. Zdecydowały więc, że za niewielką opłatą Rena zajmie się tymi sprawami. Po odliczeniu wszystkich honorariów Reny, rat za domy i rachunków za światło oraz gaz zostawało Ruby sześćdziesiąt dolarów miesięcznie.

Zapamiętawszy te wszystkie operacje, wybrała się do banku i osobiście porozmawiała z dyrektorem. Poprosiła go, by wysyłał jej rodzicom czterdzieści dolarów pierwszego każdego miesiąca. Pozostałe dwadzieścia dolarów miało być odkładane na jej osobiste konto. Była bardzo zadowolona z siebie; wyglądało na to, że nie pożyczycy od Andrew ani centa. Wszystko było zupełnie uczciwe. To, co wydarzyło się w jej życiu przed dniem, w którym zostanie panią Blue, nie powinno interesować Andrew. Rena zgadzała się z nią. A także dyrektor banku.

Była tak pochłonięta swoimi myślami, że niemal przeoczyła sukienkę na wystawie sklepu „Kolekcja Helen”. Nawet przez szybę wydawała się tak tandetna, że prawdopodobnie rozpadłaby się po pierwszym praniu. Kosztowała osiem dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. A jednak miała dokładnie taki krój, o jaki jej chodziło: podniesiona talia i powiewna — choć nie zanadto — spódniczka. Zamknęła oczy i spróbowała ją sobie wyobrazić z perełkami i guziczkami. Jeśli nie przeladuje jej ozdobami — co, według Noli, było grzechem większości projektantów — stworzy kreację godną tak uroczystej okazji jak ślub.

W sklepie obciągnęła rąbek sukienki. Ciężar koralików wydłuży ją i napnie luźny materiał. Jeśli obszyje dekolt wstążką, stanik nie będzie wystawał. To samo zrobi z mankietami rękawów. Mile zaskoczył ją fakt, że sukienka była przeceniona o dolara. I wiedziała, co z nim zrobi. Nola powiedziała, że jeśli chce się przystroić głowę, wystarczy kupić tamborek do wyszywania i przymocować do niego piórka, wstążki i koraliki. Mały welonik z beżowego tiulu będzie idealny. Jeśli nie pomyliła się w obliczeniach, wydatki na ślubny strój wyniosą nie więcej niż dwanaście dolarów. Nola... Tak wiele się od niej nauczyła. Byłaby z niej dumna... z tego, jak sobie ostatnio radzi.

Westchnęła ciężko i wróciła do domu.

* * *

Zawarcie ostatecznej umowy kupna dwóch domów trwało dwadzieścia minut. Opuściła biuro prawnika z dwoma kompletami kluczy i dwoma czekami, opiewającymi na sto siedemdziesiąt osiem dolarów za rachunki i ubezpieczenie. Dorobiła od razu trzy komplety kluczy — dla Reny, banku i siebie. Potem udała się do banku i wręczyła urzędnikowi pakiet dokumentów, które dostała od prawnika. Uśmiechnęła się niewyraźnie, kiedy urzędnik pogratulował jej nabytku.

Na Pennsylvania Avenue zorientowała się, że na jej granatowym płaszczu osiadają płatki śniegu. Zawsze kochała śnieg, ale teraz zaczęła się modlić, żeby zmienił się w deszcz. Jeśli zacznie padać, będzie musiała odgarnąć go ze schodów i chodnika bądź zapłacić za to mężowi Ruby. Boże, zupełnie o tym nie pomyślała. Podobnie o zamiętaniu liści i stryżeniu trawnika. Znowu będzie trzeba płacić. Cholera!

Ciaśniej otuliła się wełnianym płaszczem. Zdjęła szalik z szyi i nakryła nim sobie głowę. Przyspieszyła kroku niemal do biegu. Jak to dobrze, że admirał Query dał jej dzisiejszego

popołudnia wolne. W przeciwnym razie musiałyby zapłacić Renie za przyjęcie mebli, które miały przyjechać z komisju.

Była już na ulicy Poplar, tuż przed swoim domem. Zaczęła biec; oczy jej zalśniły. Zatrzymała się dopiero przy schodach. Dom należał do niej. To pierwsza rzecz, która naprawdę do niej należała. Powoli, odwołując ten moment jak najdłużej, nacisnęła klamkę. Przeszła przez próg, pochłaniając wzrokiem widok pustych pokoi. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, klasnęła w ręce ze szczęścia i zaczęła tańczyć wokół salonu. Boże! — krzyknęła w upojeniu. To wszystko moje! Naprawdę moje! Nieźle, jak na głupią wieśniaczkę!

Nie przestawała się śmiać, chodząc po pokojach i meblując je w wyobraźni. Potem oprzytomniała. Gdyby tylko mogła dzielić z kimś swoje szczęście. Pomyślała o Andrew. Nie, on nie. Amber? Amber zadarłaby nos do góry i powiedziała coś przykrego. Oczywiście Nola, gdyby to było możliwe. Albo Calvin. Opal by się strasznie ucieszyła. Za dwa lata będzie mogła wyjechać z Barstow. Jeśli przyjedzie do Waszyngtonu, właśnie tu zamieszka. I nie będę od niej brać pieniędzy! — zanuciła Ruby. Wszystko układało się tak wspaniale. Dzięki babci!

Obeszła cały dom, zapalając światła we wszystkich pokojach. Spłukała obie toalety tylko po to, by usłyszeć bulgot spływającej wody. Wydał się jej najpiękniejszym dźwiękiem na świecie. Boże, nie mogę w to uwierzyć! — pisnęła, tańcząc po pustych pokojach. Jeszcze nigdy nie miała żadnej tajemnicy, a już na pewno nie tak wielkiej.

Po dwudziestu minutach przed domem zatrzymała się ogromna żółta ciężarówka z czerwonym napisem „Komis meblowy”. Ustawienie mebli zajęło dokładnie godzinę. Dziś postanowiła spać we własnym domu.

— Spotkamy się w domu przy ulicy O — powiedziała do szofera.

Przebiegł ją rozkoszny dreszcz, kiedy zamknęła drzwi swojego pierwszego domu. Nikt go jej nie odbierze. Nikt.

Popędziła na ulicę O. Obejrzała się przez ramię i dostrzegła wielką żółtą ciężarówkę, wyłaniającą się zza rogu. Przyśpieszyła. Musi dotrzeć do domu pierwsza, by w samotności przeżyć ten wyjątkowy moment otworzenia własnych drzwi.

Było już ciemno, kiedy wręczyła kierowcy pięć dolarów za wniesienie łóżek do obu domów.

Była ich właścicielką.

* * *

Teraz dni mijały szybko, a pogoda robiła się coraz gorsza, w miarę zbliżania się daty ich ślubu.

Andrew Blue przyjechał do Waszyngtonu w piątek po południu na dzień przed ceremonią. Rena i Bruno łaskawie pozwolili mu zająć wolną sypialnię — za niewielką opłatą. Ruby niemal wypaplała Andrew historię sławetnych „niewielkich opłat”, wiedząc, że by go tym rozbawiła. Ugryzła się w język, przerażona, jak łatwo zapomniała o swojej tajemnicy.

Ruby obserwowała kątem oka swojego przyszłego małżonka. Śmiał się i żartował z gospodynią i jej lokatorami. Był tak przystojny, że aż zaparło dech. Nagle zachichotała przypomniałszy sobie, że jej koleżanki zamierzały podczas przyjęcia zaśpiewać hymn piechoty morskiej. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała Andrew w innym stroju niż mundur. Przez głowę przebiegła jej niedorzeczna myśl; zaczęła się zastanawiać, czyjej przyszły mąż jest owłosiony.

Poczuła na sobie jego wzrok; lustrował ją bacznie. Uśmiechnęła się, ciekawa, czy zdała egzamin. Kiedy odwzajemnił jej uśmiech, zrozumiała, że jest zadowolony. Podniósł do góry kciuk. Wybuchnęła śmiechem, podbiegła do niego i, niewiele myśląc, uściśnęła. W pierwszej

chwili cofnął się zaskoczony, ale potem przytulił ją do siebie. Spojrzał na nią. Teraz to ona przeżyła chwilę zaskoczenia. Jego oczy były ciepłe, pełne sympatii.

— Jeszcze tylko dwadzieścia trzy godziny — szepnęła uwodzicielsko.

— Bezwstydnica — mruknął. A potem uniósł w górę ręce i krzyknął: — Zapraszam wszystkich na kolację!

Posiłek był przepyszny, a Andrew okazał się miłym, dowcipnym gospodarzem. Pod koniec wieczoru Rena zaczęła z nim flirtować, a dziewczyny zerkwały na nią zazdrośnie. Bruno doskonale rozumiejący żonę czarował swoje lokatorki, co chwila inną. Ruby patrzyła z rozbawieniem na to wszystko, a wychodząc z restauracji uznała, że wybrała odpowiedniego partnera.

W domu na Monroe Street Rena zaczekała, aż Andrew muśnie pocałunkiem policzek Ruby, po czym oznajmiła:

— Dosyć tego! Nie zobaczysz jej aż do jutra.

Aby wprowadzić swoje oświadczenie w czyn, złapała go za rękaw i niemal powlokła za sobą.

Na widok wystroju pokoju gościnnego Andrew cofnął się o krok, zamknął oczy, a potem jeszcze raz spojrzął na długie, wąskie pomieszczenie. Rany boskie, szepnął. Miał ochotę wyrecytować przysięgę lojalności albo odśpiewać hymn. Wszedł ostrożnie do pokoju i rozejrzał się. Czerwień, biel i błękit. Na łóżku leżała kapa będąca repliką flagi, a nad nim znajdowało się ściennie malowidło przedstawiające sztandar z trzynastoma gwiazdami. Po obu stronach łóżka stały dwa małe stoliki, przykryte czerwonymi obrusami z trzynastoma gwiazdami. Abażury lamp były niebieskie, obramowane na górze i dole szlaczkiem z identycznych gwiazd. Białą wiklinową bielizniarkę zdobił pasiasty bieżnik z czerwonymi, białymi i błękitnymi frędzlami. Andrew zasalutował służbiście i zakrył usta dłonią, tłumiąc wybuch śmiechu.

Rozebrał się do slipów, nie zapalając światła, i wśliznął pod kołdrę. Jutro o tej porze będzie już miał żonę, Ruby Blue. Zapadając w niespokojny sen, zastanowił się, czy kiedyś siew niej zakocha. Doszedł do wniosku, że jego uczucia nie mają tu nic do rzeczy. Da Ruby swoje nazwisko. Zapewni jej utrzymanie i zrobi tyle dzieci, ile będzie chciała. Czego jeszcze mogłaby pragnąć?

* * *

Ruby krążyła po swoim pokoju, zerkając na spakowane bagaże i ślubną suknię, wiszącą na drzwiach. Wreszcie nadszedł dzień jej ślubu. Poczowała obezwładniający skurcz paniki. Jeśli chciała, jeśli naprawdę pragnęła uciec, powinna to zrobić teraz. Mogła pójść do jednego ze swoich domów. Nikt oprócz Reny nie wiedziałaby, gdzie jej szukać, a Rena z pewnością by milczała. Jednak Ruby wiedziała, że się nie wycofa; dała słowo Andrew i postanowiła przetrwać to małżeństwo. Z czasem się w nim zakocha. Przysięgła samej sobie, że stanie się najlepszą żoną na świecie.

To, co teraz przeżywa, powiedziała sobie, to zwykła przedślubna panika.

Ślub będzie sympatyczny. Bez pompy, lecz sympatyczny. Tort upieczony przez Renę — za niewielką opłatą — jest wspaniały. Wieńczy go maleńka młoda para z plastiku. Bruno obiecał, że zrobi zdjęcia. Wywołają je, kiedy przeniosą się do bazy w Lejune.

Spojrzała na prezenty ślubne, zgromadzone przy drzwiach szafy. Rena miała je im później przesłać. Admirał Query z żoną ofiarowali nowożeńcom elegancki komplet pościeli, tak wytworny, że wprowadził Ruby w osłupienie. Wczoraj dostarczono go od Woodwarda i Lothrop. Mabel McIntyre podarowała przepiękne kryształowe świeczniki. Ruby podziękowała jej ze łzami w oczach i objęła ją tak mocno, że Mabel zaczęła błagać o litość. Ale najpiękniejszy prezent przysłała matka Noli.

Ruby uklękała, otworzyła pudło i zaczęła płakać. Wewnątrz znajdowała się patchworkowa narzuta. Pani Quantrell dołączyła do niej liścik, w którym pisała, że Nola zrobiła tę narzutę ze znoszonych dzieciennych ubranek. Na każdej łacie widniało wyhaftowane imię. Pani Quantrell sądziła, że Nola ucieszyłaby się, gdyby Ruby nakrywała tym patchworkiem łóżko swojego pierwszego dziecka. Ostrzegła też, że narzutę należy prać bardzo ostrożnie, ponieważ łatki były już przetarte. Podarunek zachwyił Ruby. Ale Andrew zupełnie go nie docenił, skrzywił się na widok narzuty, mówiąc: „A to co? Przecież to używane, na miłość boską”. Mężczyźni tego po prostu nie rozumieją. Chociaż Calvin by zrozumiał. Calvin znał wagę pamiątek rodzinnych. Łzy znowu napłynęły jej do oczu. Cholera, koniec z tym, w nowym życiu nie będzie miejsca na sentymentalizm.

Odłożyła narzutę na miejsce i wśliznęła się do łóżka. Spojrzała na wąski promień księżyca na suficie. Kiedy nad horyzontem pojawiły się promienie słońca nadal nie spała, ale nie wstała z łóżka. Wreszcie zapadła w drzemkę i obudziła się o wpół do pierwszej. W głowie szumiało jej od wspomnień. Czuła, że ma zatkany nos. Jakby złapała katar.

Rena spotkała ją w drodze do łazienki.

— Jest list do ciebie, Ruby. Od siostry.

Oczywiście Amber chciała zepsuć jej ten dzień. Ruby miała ochotę wyrzucić kopertę do kosza, ale po chwili postanowiła go przeczytać, czekając, aż wanna napełni się wodą.

Droga Ruby.

Kołyaska nadeszła w zeszłym tygodniu. Ładna. Nangi dziś ją złożył. Jeszcze jej nie przystroiłam, bo nie wiem, czy powinnam kupić niebieską czy różową pościel.

Nie jest tu tak łatwo kupować jak w Stanach. Brakuje rzeczy, które wydawałyby się nam niezbędne, ale teraz, kiedy mam już katalog, mogę zamawiać sobie wszystko, co zechcę. Dziękuję Ci, że mi go przysłałaś.

Dostałam list, w którym piszesz, że wychodzisz za Andrew Blue. Mam nadzieję, że go kochasz. Jeśli nie, Twoje małżeństwo nie ma szansy przetrwania. Oczywiście Ty nigdy mnie nie słuchasz.

Nangi dostał kartkę — a raczej zawiadomienie o ślubie — od swojego kuzyna Calvina. W zeszłym miesiącu ożenił się z jakąś kobietą z Południa, starszą od niego. Calvin jest teraz na Filipinach, a ona wkrótce do niego przyjedzie.

Widzisz, Ruby, on Cię nie kochał. W przeciwnym razie nie ożeniłby się z inną. Najwyraźniej Ty też go nie kochałaś, bo nie wychodziłabyś za Andrew. Załączam fotografię Calvina i jego żony; przysłał nam dwie odbitki. Uważam, że ta baba jest okropna. Nangi powiedział, że mogłaby uchodzić za matkę Calvina.

Przysłałabym Ci ślubny prezent, ale nie mamy tu nic wartego kupna. Napisz, co chciałabyś dostać, a zamówię to z katalogu.

Przyślij nam swój nowy adres. Dam Ci znać, kiedy urodzi się dziecko.

*Twoja siostra
Amber*

Ruby z powrotem włożyła list do koperty. Podniosła zdjęcie, które upadło na podłogę obok zlewu, zbliżyła je do światła i długo mu się przyglądała. Potem podarła je na drobne kawałeczki i spuściła z wodą.

Wykąpała się, ubrała, rozmawiała i nawet śmiała się, kiedy sytuacja tego wymagała. Tylko Rena wydawała się podejrzewać, że coś jest nie tak, ale taktownie nie zadawała pytań. Od czasu do czasu głąskała Ruby po ramieniu lub plecach.

Po wyjściu z kościoła nowożeńcy zostali obrzuceni ryżem. Goście zaczęli wyśpiewywać, fałszywie i niezbornie, hymn piechoty morskiej. Ruby uśmiechała się i uchylała przed ryżem tak, jak robią to wszystkie panny młode. Bruno pstrykał zdjęcia, a Ruby wciąż się uśmiechała.

Andrew tańczył i na oczach Ruby flirtował ze wszystkimi dziewczynami. Ona, w rewanżu, wirowała z Bninem, aż zaczęło się jej kręcić w głowie. Przekąski zostały pożarte, ciasto pokrojone i zjedzone, prezenty otworzone, a szampan wypity do ostatniej kropli. O siódmej wieczorem Rena ogłosiła, że przyjęcie dobiegło końca.

— Ustawcie się, panienki, Ruby będzie rzucać wiązanek! — rozkazała energicznie. Nikt się nie zdziwił, kiedy podskoczyła najwyżej i złapała wiotki bukiet białych róż.

— To chyba znaczy, że rozwiodę się z Bninem i powtórnie wyjdę za mąż — parsknęła śmiechem. — Jak myślisz Andrew? — spytała z udaną niewinnością.

— Nie uznaję rozwodów — oznajmił sucho Andrew.

— Wielka szkoda — powiedziała bez uśmiechu. — A Ruby?

Musiał przyznać, że nie wie. Ruby będzie mi wierna, na dobre czy złe, pomyślał. Wzruszył ramionami.

— Chyba powinienes to wiedzieć. Coś mi się zdaje, że nie znasz zbyt dobrze naszej małej Ruby.

— Znam ją wystarczająco dobrze — odparł Andrew, zirytowany obrotem rozmowy. — W małżeństwie, poruczniku, niczego nie można przewidzieć, Zapamiętaj moje słowa. No — klasnęła w ręce, aż tuzin jej bransolet zadzwieczał wesoło. — Jak ci się podobało wesele? Według mnie było wspaniałe.

— Tak, było wspaniałe. Ruby i ja bardzo wam dziękujemy. Zawsze będziemy pamiętać, co dla nas zrobiliście.

Państwo Blue pomachali swoim gościom i wsiedli do taksówki mającej zawieźć ich do apartamentu, który Andrew wynajął w hotelu „Ambassador”. Czekala tam na nich kolacja poprzedzająca to, co według prawa było już dozwolone i legalne.

W taksówce Andrew wziął Ruby za rękę i potarł nosem jej szyję. Ruby zaczerwieniła się gwałtownie.

— Mogę to robić; mogę robić wszystko, co tylko zechcesz. Teraz jesteśmy małżeństwem — szepnął jej do ucha.

— Jeśli na to pozwolę — również szeptem ostudziła jego zapały.

Andrew cofnął się, nagle pełen podejrzeń.

— A to co znowu?

— To znaczy, że jestem człowiekiem, nie przedmiotem, który posiadasz na własność. Nie zapominaj o tym.

Andrew przypomniał sobie słowa Reny. Jego żona była kimś więcej, niż się spodziewał. O, tak. Musiał wystąpić w obronie swojego głupiego miłosnego wyznania.

— Słuchaj, nie chodziło mi o to, że... wzięłaś to... zbyt poważnie. Jesteśmy małżeństwem, możemy robić, co nam się podoba.

— My. Ty i ja. Dwoje ludzi. To znaczy, że oboje musimy tego chcieć. Rozumiesz?

— Tę rozmowę możemy dokończyć w hotelu.

Ruby uśmiechnęła się i skinęła głową, ale zaniepokoił go wyraz jej twarzy.

— Co się stało, Ruby? Wiem, że coś cię dręczy. Wczoraj byłaś inna. Dzisiaj... coś się stało. Myślisz, że popełniliśmy błąd? Powiedz. Może, jeśli o tym porozmawiamy, jakoś rozwiążemy ten problem.

— Przepraszam. Nie wiedziałam, że to tak widać. Staralam się... chciałam, żeby to nie miało wpływu na nasz ślub. Sprawa rodzinna. Dostałam dziś list od Amber, to wszystko. Przepraszam — uściśnęła jego dłoń i położyła mu głowę na ramieniu.

— Tak już lepiej — mruknął Andrew, przesuwając dłonią po jej udzie.

* * *

— Jesteśmy na miejscu — odezwał się nagle.

Ruby wyprostowała się, a jej wpróprzymknięte oczy otworzyły się szeroko. Już? Za kilka minut, gdy Andrew zamelduje ich w hotelu i gdy bagaże zostaną wniesione do pokoju, znajdzie się z nim sam na sam w apartamencie dla nowożeńców.

Kiedy drzwi zamknęły się za boyem hotelowym, Andrew przyciągnął do siebie Ruby i uśmiechnął się do niej.

— Poczekamy na kolację, czy... już teraz pójdziemy do łóżka? — szepnął gorąco.

— Myślałam... myślałam, że zamówiłeś już kolację. Jestem głodna. Byłam tak zdenerwowana, że podczas przyjęcia nic nie jadłam. I nie widziałam, żebyś ty to robił.

Boże, skąd ta rozpacz w jej głosie?

— Denerwujesz się, tak? — spytał Andrew spokojnie.

Dlaczego nie miałby być spokojny, pomyślała Ruby. On to już robił; miał całe lata praktyki, podczas gdy ona jest... zupełnie niedoświadczona.

— Tak. Właściwie bardzo się denerwuję i jeszcze nie jestem gotowa... na to — powiedziała tak głośno, że jej głos odbił się echem od ścian.

— Dobrze, nie szkodzi. Zamówmy kolację, a zanim ją przywiozą, rozpakujemy się i wypijemy trochę wina. Jest wliczone w cenę pokoju. Możemy posiedzieć i porozmawiać. Mówiłem ci już, że wyglądałaś ślicznie? Teraz też wyglądasz ładnie, ale kiedy wyszłaś w tej fikuśnej sukience, niemal zwałaś mnie z nóg. Ten drobiazg chyba cię nieźle kosztował?

— Tak, zupełnie mnie zrujnowała — zachichotała Ruby.

— Jeśli wywołasz zdjęcia, chcę jedno na biurko i drugie do portfela. A to zrobione przed kościołem powieszysz w naszym mieszkaniu, dobrze?

Ruby poczuła się wzruszona. Skinęła głową. Właściwie nie spodziewała się po nim czegoś takiego.

— Szkoda, że Nola nie mogła przyjechać na nasz ślub — powiedziała z żalem.

— Słuchaj, Ruby, głupio mi jak cholera z powodu tego, co powiedziałem o tej narzucie. Nie wiedziałem... Ale skąd mam wiedzieć cokolwiek, skoro nic mi nie mówisz? Natychmiast wpadasz we wściekłość, a ja nawet nie wiem dlaczego. Możesz mi nie wierzyć, ale jestem tak samo wrażliwy, jak tamten.

— Andrew?

— Tak?

— Nie przeniosłeś mnie przez próg.

Przez chwilę wyglądał na urażonego.

— Nie zapomniałem — powiedział wreszcie. — To hotel, a nie nasz dom. To się nie liczy. Na miłość boską, sądzisz że zapomniałbym o czymś tak ważnym?

Może i mówi prawdę, pomyślała Ruby. Ale miał taką żalostną minę...

— Wolałabym, żebyś to zrobił tutaj — powiedziała otwarcie. — Ale trudno, teraz już za późno.

— Ruby, do cholery, chcesz zepsuć ten wieczór?

— Nie.

— Nie? I to już wszystko?

— Zadałeś mi pytanie, a ja odpowiedziałam. Mam recytować poematy? — warknęła i ukłękła, żeby dotknąć grubego, gołębioszarego dywanu. Naprawdę psuła ten wieczór, choć wcale tego nie chciała. — Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. — Zdjęła buty i zachichotała. — Cudowny. Wszystko tu jest takie ładne. Apartament dla nowożeńców to chyba coś wyjątkowego, prawda?

— Zdarli ze mnie tyle, że lepiej, żeby był wyjątkowy — mruknął Andrew pod nosem. A po chwili dodał: — A może wzniesiemy własny toast? Te u twojej gospodyni się nie liczą. Teraz jesteście tylko we dwoje. — Sprawnie otworzył butelkę szampana. — Za nas!

Ruby wypija musujący płyn jednym haustem i wyciągnęła pusty kieliszek do ponownego napełnienia. Andrew spojrział na nią z zaskoczeniem.

— To się pije powoli — mruknął.

— Czemu? — Ruby wychyliła następny kieliszek. — Kto tak powiedział?

— No... jeśli... jeśli to dobry szampan, powinno się go smakować. Skąd mam wiedzieć, do diabła, kto to powiedział? Pewnie jakiś znawca win.

— Skoro nie masz pewności, nie powinieneś w ogóle się odzywać. Wygląda na to, że nie podoba ci się mój sposób picia wina — obruszyła się Ruby, starannie wymawiając każde słowo. — Lubię pić jednym haustem. Smakuje mi. Zdaje się, że komandosi nie pozjadali wszystkich rozumów.

Andrew drgnął jak spoliczkowany.

— Nigdy nie twierdziłem, że wiem wszystko — powiedział ochryple.

Tym razem sama napełniła swój kieliszek, lecz nie wypija go od razu. Była ciekawa, czy jej oczy są tak zamglone jak zamglony był świat, który oglądała. Widać nie można pić szampana na pusty żołądek. Wskazała Andrew miejsce obok siebie. Usiadł ciężko i wychylił szampana jednym haustem.

— Opowiedz mi o naszym mieszkaniu. Jest ładne? Znasz już sąsiadów? Jakie meble kupiłeś?

— A może zaczekasz i sama się przekonasz? Nie mam pojęcia o urządzaniu domów. Są tam meble i takie tam. Trzy pokoje i łazienka, a także czwarty, tak mały, że nadaje się tylko na składzik.

— Nie mamy czego w nim trzymać.

Andrew w geście rozpaczy uniósł ręce ku niebu.

— Więc będzie stał pusty. Czy to ważne?

Ruby opróżniła kieliszek.

— Owszem, jeśli płacimy za pokój, którego nie używamy. A może nie przyszło ci to do głowy? Sądziłam, że komandosi myślą o wszystkim.

— Skąd ta nagła niechęć do komandosów? Nie rozumiem.

Ruby pominęła milczeniem jego pytanie.

— Powinniśmy słuchać teraz muzyki. Czemu o to nie zadbałeś? Jak na razie, to wszystko — machnęła ręką — nie wygląda zbyt romantycznie. Nie jesteś zbyt romantyczny, co? Muzyka by się przydała.

— Koniec, Ruby. Dość tego! — wybuchnął. — To pierwsze chwile naszego małżeństwa, do cholery, a ty tylko pijesz i bez przerwy mi dogadujesz. Jeśli uważasz, że popełniłaś błąd, już teraz mogę cię odwieźć na Monroe Street. Zdecyduj się, psiakrew.

Ruby z wysiłkiem wyprostowała ramiona.

— Przysięgam... i jestem... katoliczką! Nie... wiem... czy... popełniłam... błąd, czy nie! Już za... późno. Zapóznopóźnozapóźno!

Andrew wyglądał tak, jakby chciał przełożyć swoją żonę przez kolano, ale w tej samej chwili do drzwi zapukał kelner. Andrew patrzył, jak mężczyzna wyjmował talerze, serwetki, wstawiał drugą butelkę szampana do kubeczka z lodem, i jego gniew powoli opadał. Kelner skończył i wycofał się dyskretnie, cicho zamykając za sobą drzwi.

Jedzenie, pomyślała Ruby mętnie. Przypomniała sobie o domu. Niepewnie podeszła do stołu.

— Ja to zrobię — powiedział Andrew żywo.

Nałożył marchewkę, drobniutki groszek i małe białe kartofelki z zielonymi strzępkami mięty. Dwa różowe, cienkie plasterki wołowiny były soczyste i pyszne. Posmarował bułeczkę masłem i podał ją żonie z dwornym ukłonem.

Kiedy zamierzał usiąść, Ruby pogroziła mu figlarnie palcem.

— Nie zapomniałeś o czymś? — spytała, wskazując na pusty kieliszek.

— Masz już dość.

Ruby nie rezygnowała.

— Być może, ale chcę więcej... A może to ty wypileś za mało? Chyba nie przejmujesz się za bardzo? Ja na pewno nie. Więc skoro oboje się nie przejmujemy, to może należesz mi tego przeklętego szampana i pozwolisz mi się rozkoszować moją weselną kolacją? Mam nadzieję, że nie staniesz się jednym z tych mężów, którzy wszystko potrafią popsuć. Tego mam już dosyć na całe życie. Chyba o tym wiesz — mruknęła. Usiłowała nadziać marchewkę na masywny srebrny widelec, ale po kilku nieudanych próbach upuściła go i wzięła łyżkę do zupy. Zaniosiła się chichotem na widok obrzydzenia na twarzy męża.

— Powinienem ci teraz zrobić zdjęcie, naprawdę — powiedział kwaśno. — Co pomyślałyby o tym nasze dzieci, gdybyśmy je mieli?

— Na razie ich nie mamy. Powiem im prawdę. A ty co im powiesz?

— Co ty wygadujesz? — spytał Andrew z irytacją. Ruby walczyła z sennością.

— Prawda to prawda. Czy nie o to chodzi w piechocie morskiej? Honor, sprawiedliwość, semper... coś tam... będę rzygać... — jęknęła, zsuwając się z krzesła.

— O w mordę! — Andrew zerwał się na równe nogi i powlókł oblubienicę do łazienki. Przyklęknął, przytrzymując głowę żony. Pomiedzy spazmami Ruby bez przerwy powtarzała:

— Przepraszam, ty tego nie zrozumiesz. Przepraszam, ty nie możesz tego zrozumieć... — Potem wyprostowała się i spojrzała na niego oczami pełnymi łez. — Nie myślałam, że to aż tak zaboli. Strasznie cię przepraszam. — Nie wytrzeźwiała jeszcze, ale i tak wiedziała, że ją poniosło. Najchętniej uciekłaby i zaszyła się w jakimś ciemnym kącie.

Andrew wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Potem wrócił do łazienki po ręcznik. Delikatnie otarł jej twarz, szepcząc łagodnie:

— Ja też cię przepraszam, Ruby. Powinienem się domyślić, co czujesz. Już dobrze. Śpij, a jutro porozmawiamy. Musimy porozmawiać, teraz to widzę. Prześpij się na fotelu albo na podłodze, nieważne.

Ruby uniosła się z wysiłkiem i wyciągnęła ku niemu ramiona. Po jej twarzy toczyły się łzy. Chciała coś powiedzieć, pragnęła... Czego?

— Przepraszam... Nie możesz tego zrozumieć... chciałam... Próbowałam... To tak boli...

* * *

Andrew długo siedział na skraju łóżka, kołysząc Ruby w objęciach. Od czasu do czasu pocierał brodą o jej włosy. Tak lubił ten ich czysty, słodki zapach. Nagle poczuł potrzebę zaopiekowania się Ruby, taką teraz kruchą i delikatną. Jak niemowlę albo szczeniaczek. Nie

wiedział, co czuł do tej dziewczyny śpiącej w jego ramionach, ale było to coś, nad czym chciał się zastanowić. Wreszcie położył ją ostrożnie, pochylił się i pocałował w policzek.

Przez całą noc Andrew czuwał nad swoją śpiącą żoną. Za każdym razem, gdy westchnęła lub poruszała się przez sen, zrywał się z fotela i dopadał do łóżka, by odgarnąć jej włosy z czoła lub delikatnie pogłodzić po ramieniu. Żałował, że nie wie, co się stało. Chciałby to naprawić.

Spojrzał w okno, wstawał szary świt. Andrew postanowił wziąć prysznic i przebrać się w czysty mundur. Zerknął na zegarek, za cztery godziny powinni być na lotnisku. Zaniepokoił się na myśl, że może będzie musiał polecieć sam. Powtarzał sobie bez przerwy, że małżeństwo nie jest dla niego ważne. Ale potrzebował Ruby. Jak dotąd prędzej by skończył, niż to przyznał. Komandos potrzebuje tylko samego siebie, nie? Co za bzdura!

* * *

Na trzy godziny przed startem samolotu Andrew i Ruby usiedli w hotelowej jadalni. Na stoliku stał wielki srebrny dzbanek z kawą. Ruby, dręczona okropnym kacem, odezwała się pierwsza.

— Przepraszam cię za wczoraj. Nie wiem, dlaczego... zachowałam się... tak, jak się zachowałam. Wynagrodzę ci to.

— Dodaj dużo cukru i śmietanki — poradził Andrew, nalewając kawę. — Nic się nie stało.

— Owszem, stało się. Czemu nie zabroniłeś mi tyle pić? Nie jestem przyzwyczajona i nic nie jadłam. Wszystko popsułam.

— Chciałem cię powstrzymać, ale się uparłaś. Pewnie powinienem dać ci klapsa, ale to nie w moim stylu. Choć przyznaję, miałem ochotę. Jest jednak pewien problem. Czy nadal sądzisz, że nasz ślub był błędem? Jeśli tak, zjemy śniadanie i odwiezę cię na Monroe Street. Możemy wnieść wniosek o anulowanie naszego małżeństwa. Nie rozumiem wielu rzeczy, które powiedziałaś, a z reguły po pijanemu mówi się prawdę.

— Co ja ci nagadałam? — szepnęła Ruby.

— Właściwie zwymyślałaś mnie od ostatnich, jako osobę prywatną i żołnierza. A potem powiedziałaś, iż nie sądziłaś, że to tak boli. Mogłabyś mi to wyjaśnić?

Ruby łyknęła nieco kawy. Miała nadzieję, że utrzymają w żołądku.

— Cóż... nie pamiętam. Nie potrafię sobie przypomnieć, o co mi chodziło. Pewnie przepraszałam za to, że za dużo wypiałam. Co wyprowadziło mnie z równowagi? — spytała z wahaniem.

Andrew uśmiechnął się.

— Właściwie wiem, co się stało i biorę winę na siebie. Nie przeniosłem cię przez próg i wygarnęłaś do mnie z obu łuf. No i zaczęło się. Jeśli ktokolwiek powinien wyrazić swój żal, to na pewno ja. I tu wracamy do tego, co powiedziałem na początku: jeśli sądzisz, że popełniliśmy błąd, to jeszcze nie jest za późno, żeby rozwiązać nasze małżeństwo.

— To nie twoja wina, Andrew. Nie, nie chcę się Wycofać. Jeśli uważasz... jeśli sądzisz..., że to pomyłka...

— Nie, do diabła. Ale obiecaj mi, że nie będziesz się wyrażać z pogardą o piechocie morskiej ani w ogóle o wojsku. Jesteś częścią mnie i to, co robisz i mówisz, wpływa na moją pozycję. Musisz to zrozumieć.

— Oczywiście. Wczoraj... wczoraj minęło. Być częścią Andrew? Nie była pewna, czy się jej to podoba.

Siedziała przy oknie, ponieważ Andrew wołał miejsce z brzegu. Zapięła pasy. Serce stukało jej w rytmie, który zadowoliłby każdego dobosza. Stopy wparła mocno w podłogę samolotu, na

wypadek gdyby musiała się nimi „zaryć” w czasie lądowania. Ten termin, popularny wśród dzieci w Barstow, opisywał to, co robi się nogami, kiedy sanki zbyt szybko zjeżdżają po zboczu.

Ruby rozejrzała się. Żaden pasażer nie wyglądał na tak przerażonego jak ona. Zmęczeni podróżni, wojskowi, a nawet małe dzieci — wszyscy siedzieli spokojnie, jakby jechali na majówkę.

— Pomyśl, o ile szybciej podróżuje się samolotem niż autobusem czy pociągiem. Uspokój się, to lot znacznie sprawiać ci przyjemność — pouczył ją Andrew głosem pełnym wyższości.

Ruby nie cierpiała tego tonu.

— Wiesz co, Andrew, wydaje mi się, że mogę być niespokojna i zdenerwowana. Jeszcze nigdy nie leciałam samolotem. Nie żalę się, nie narzekam. Staram się, jak mogę. Czasami... i to jest właśnie taka chwila... muszę sama sobie radzić ze swoimi problemami. Poradzę sobie i ze strachem.

— Chciałem ci pomóc. W końcu po to ma się męża. Oczywiście jeszcze nie jestem nim w pełni... — szepnął. — Mam nadzieję, że ta noc będzie inna.

— Ja też — powiedziała cicho.

* * *

Dziwne. Nadal żyję, pomyślała Ruby, zstępując po schodkach samolotu.

— Poczekaj na mnie przy drzwiach. Wezmę nasze walizki. Pojedziemy do bazy taksówką. Jeszcze tylko chwila i będziemy w naszym domu.

Ruby powlokła się do wyjścia z hali, czując ściskanie w żołądku. Wszyscy naokoło uśmiechali się, szczęśliwi ze spotkania bliskich — rodziców, dziadków i przyjaciół. Jakaś starsza pani usiłowała przepchnąć przez drzwi ciężką walizkę. Ruby przytrzymała skrzydło drzwi i pomogła kobiecie przenieść bagaż do krawężnika. Starsza pani uśmiechnęła się do niej tak, że dzień wydał się jaśniejszy.

— Dziękuję, moja droga, jesteś bardzo miła.

Za plecami Ruby stanął Andrew.

— Zdaje się, że kazałem ci czekać przy drzwiach — syknął jej do ucha. — Co oznacza, że nie powinnaś się rzucać do pomocy tej kobiecie. Mówiłem ci, masz taką samą rangę, jak ja. Nie zapominaj o tym!

— To znaczy, że nie należy pomagać? — warknęła Ruby.

— Och, na miłość boską... Zapomnijmy o tym, Ruby.

— Dlaczego? Chcesz się tu kłócić? Jestem gotowa. Nie podoba mi się twoje zachowanie. Nie ma w tobie współczucia i zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle coś czujesz.

— Ludzie patrz! Przestań. Mam na sobie mundur.

Reprimenda odebrała jej chęć do życia. Pomachała starszej pani z żalną miną. Oczy piekły ją nieznośnie.

Do bazy dojechali w absolutnym milczeniu. Andrew siedział z kamienną twarzą, złożonywszy nieruchomo dłonie na kolanach. Ruby skuliła się w kącie, usiłując opanować żołądek skręcający się jej w bolesny guzeł. Czuła tętnienie w skroniach, coraz szybsze i szybsze. Chciała zapamiętać tę podróż, patrzeć, jak mijają kilometr po kilometrze. Chciała uskładać sobie zapasik wspomnień, które będzie mogła przekazać dzieciom. A teraz widziała tylko migające za oknem drzewa i potylicę kierowcy. Czuła się jak skrzywdzone dziecko. Dziecko potrzebujące miłości, współczucia i dobrego słowa.

Miała wrażenie, że upłynęły wieki, nim taksówka zatrzymała się przed bramą. Andrew pokazał przepustkę, a dyżurny kapral zasalutował mu zamasyście, Ruby otworzyła szeroko oczy

na widok męża, oddającego honory. Może i ona powinna zasalutować? Nie miała pojęcia, że wypowiedziała swoją myśl na głos. Zorientowała się dopiero wtedy, kiedy Andrew mruknął:

— To największa głupota, jaką od ciebie usłyszałem.

Jego spojrzenie, pełne najczystszej obrzydzenia, było niemal nie do zniesienia. Wzdrygnęła się wewnętrznie.

Nie takiego domu oczekiwała. Mdłości wzbierały w niej tak gwałtownie, że musiała zakryć usta dłonią. Andrew szedł przodem; ona ociągała się, patrząc na tandetne budynki, stojące w ciasnym szeregu. Całe otoczenie sprawiało przygnębiające wrażenie. Kilka uschniętych krzaczków stanowiło cały przepych przyrody.

— Będiesz tu stać przez cały dzień? — rzucił Andrew przez ramię — Myślałem, że chcesz żebym cię przeniósł przez próg!

Ruby ruszyła wbrew własnej woli. Wydawało się, że w oknie sąsiadującego domu poruszyła się zasłona. Chciało się jej płakać.

Andrew otworzył drzwi jednym szarpnięciem. Wrzucił walizki do środka i odwrócił się w stronę Ruby. Zaraz potem znalazła się w kwadratowym pokoju. Drzwi zatrzasnęły się głośno, a ona znowu stała na podłodze. Wciąż nie wierzyła własnym oczom. Zdławiła krzyk, rosnący jej w gardle. Nie może tu mieszkać! Nie chce tu mieszkać! Nie w tym brzydkim, tandetnym domu. Odarte z firanek okna były tak brudne, że nic przez nie nie widziała.

Weszła do kuchni, tak samo brzydkiej, jak reszta mieszkania. Już na pierwszy rzut oka piecyk wyglądał beznadziejnie. Lodówka powinna być biała, a ta tutaj miała szarozółty nalot. Ruby trzasnęła drzwiami tak mocno, że szyby w oknach zadrżały.

W łazience leżało linoleum, którego kolor wymykał się wszelkim określeniom, na dodatek popękane, miejscami wzdęte i dziurawe. Ruby otworzyła stopą drzwi szafki pod umywalką i uciekła z krzykiem na widok spłoszonego stadka myszy. Wpadła wprost w ramiona męża, trzęsąc się jak w febrze.

— Myszy! — wykrztusiła. — Całe gniazdo!

— Ustawimy pułapki. Słuchaj, muszę się zameldować. Wrócę za parę godzin. Może się tu rozejrzysz i coś zrobisz? Ekipa pewnie nie dojechała. Te domki zawsze aż błyszczą — oznajmił radośnie. — Wy, dziewczyny, znacie się na tym. Przyniosę coś do jedzenia, więc nie musisz martwić się o obiad.

Ruby oniemiała. Posprzątać! Niby jak? Dobry Boże, pomóż mi. Odpowiedź nadeszła parę minut później. Ktoś zadzwonił do drzwi.

Ruby rzuciła się ku nim w nadziei, że to Andrew wrócił, by jej pomóc. Kiedy jej oczom ukazała się uśmiechnięta twarz młodej kobiety, wstrzymywane dotąd łzy potoczyły się po policzkach.

Kobieta wyciągnęła ręce i Ruby rzuciła się jej w ramiona, łkając i pociągając nosem.

— Przepraszam — wykrztusiła. — To straszne, witać tak nowych znajomych. Ja tylko... to...

— To przerażające — roześmiała się sąsiadka ze szczerą uciechą. — A właściwie obrzydliwe — dodała, rozglądając się. — Dotarliście tu przed ekipą sprzątaczy. Nie martw się. Trochę wody, mydła, farby i wszystko będzie dobrze. Uwierz mi. — Uśmiechnęła się. — Nazywam się Dixie Sinclair, a ty chyba jesteś pani Blue. Mąż słyszał, że dopiero co się pobraliście — wyrecytowała jednym tchem.

Ruby uśmiechnęła się, nagle poczuła się nieco lepiej. Polubiła nową sąsiadkę.

Dixie była pulchna, lecz nie otyła i promieniowała taką radością jak żadna ze znanych Ruby osób. Jej oczy błyszczały, a sprężyste ciemne loczki otaczały kształtną główkę niczym aureola. Miała dużo uroku, a jej największy atut stanowił uśmiech; bez przerwy gestykulowała dla

podkreślenia wagi słów lub nadania im dramatyzmu. Wzrostem nie dorównywała Ruby; sięgała jej do ramienia.

— No dobrze — powiedziała rzeczowo. — Lepiej bierzmy się do roboty, a im szybciej rozbierzesz się z tych modnych ciuszków, tym wcześniej doprowadzisz dom do porządku. Przebieraj się, a ja wezwę dziewczyny. Do kolacji dom będzie błyszczeć. To nasz zwyczaj; zawsze tak robimy, kiedy w bazie pojawia się nowa żona. Połączymy nasze siły, a kiedy twój mąż wróci, pomyśli że to twoje dzieło. Tak tworzy się szczęście domowe. Oczywiście ten dom wygląda nieco gorzej niż inne. Ale tylko chwilowo.

Zjawiło się ich pięć. Przyszły z wiadrami, szczotkami, mydłem i proszkiem. Postawiły na środku dwa wielkie kosze na śmieci, które natychmiast wypełniły się po brzegi. W ciągu kilku minut Ruby zorientowała się, że Dixie ma niespożytą energię. Kierowała wszystkim i wydawała rozkazy, co nie znaczyło, że sama nic nie robiła.

— To dla nas wyzwanie! — pokrzykiwała, szorując podłogę w kuchni.

Ruby uśmiechała się od ucha do ucha. Co za wspaniałe dziewczyny. Nie dość że pomagały, to jeszcze zużywały własne środki czyszczące. Jej skrupuły rozwiła rudowłosa Monika, mówiąc, że Ruby bardzo szybko będzie miała okazję rewanżu — w domu o cztery numery dalej za dwa tygodnie miała pojawić się nowa rodzina.

— Musimy trzymać się razem — oznajmiła Christine radośnie. — Nawzajem pilnujemy sobie dzieci i załatwiamy sprawunki. Tylko tak możemy funkcjonować w chaosie armii. Powinniśmy ułatwiać życie naszym mężom.

— A oni czym się zajmują? — spytała Ruby ciekawie.

Wszystkie kobiety nagle posmutniały. Poczuła, że popełniła gigantyczny błąd. — Ja... chciałam... tylko... spytać... Dixie pośpieszyła na ratunek.

— Panowie grają w karty, piją piwko i martini. To niepisane prawo, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Są oficerami!

— Jestem tu nowa, więc jeśli popełnię jakąś gafę, przywołajcie mnie do porządku. Już teraz widzę, że bez waszej pomocy się nie obejdzę — stwierdziła Ruby ponuro.

— Możesz na nas liczyć. W armii zawiera się przyjaźnie na całe życie. Czasami silniejsze niż więzy krwi. Organizujemy fajne przyjęcia, zwłaszcza świąteczne, a wiosną i latem pikniki na świeżym powietrzu. Na ogół bywa świetnie, a niekiedy niemal idealnie.

— A czasami strasznie, kiedy cię przenoszą i musisz rozstać się z przyjaciółmi i znowu przechodzić przez to wszystko — uzupełniła Christine. — Jutro złożymy zamówienie na nowe linoleum dla ciebie. I wezwiemy malarzy. Ale to nie znaczy, że zaraz je dostaniesz. Jane umie robić pokrowce na meble i nauczy nas tego. Te... te meble, które przywieziono tu promem od razu nabiorą wyglądu, kiedy przykryjemy je perkalem. Za parę tygodni będziesz miała przytulne gniazdko. Zaufaj nam. Monika jest mistrzynią w szyciu firanek i zasłon. Złożyłyśmy się i kupiłyśmy używaną maszynę do szycia.

— Są i dobre strony — powiedziała Dixie z uśmiechem. — Choćby to, że cały rząd tych domków ma kuchnie wychodzące na wschód. Miło jest jeść śniadanie i popijać kawę w kuchni pełnej słońca.

* * *

Trzy godziny później Sue, jasna blondynka z Orlando na Florydzie, zawołała:

— Witaj w obozie Lejune, Ruby Blue!

Kobiety, wszystkie mniej więcej w wieku Ruby, zaczęły ją obejmować, obiecując dozogonną przyjaźń.

— Dziękuję wam. Cieszę się, że tu jestem — powiedziała i zdała sobie sprawę, że jest zupełnie szczerą. Podskoczyła, kiedy nagle rozległ się ostry dzwonek telefonu. Spojrzała na sąsiadki, otwierając szeroko usta. Wszystkie wybuchnęły śmiechem.

— Pewnie nawet nie wiedziałaś, że masz telefon? — spytała Monika.

Ruby pokręciła głową.

— No więc masz. To pierwsza rzecz, którą wnoszą do domu. Oficer musi mieć telefon. Ponieważ jesteś tu nowa, zakładam, że to twój mąż.

Ruby podbiegła do telefonu. Niemal się roześmiała, kiedy wszystkie uniosły palce do ust, nakazując sobie nawzajem milczenie.

— Co robię?... Hmm... sprzątam. Za dwie godziny? Nie, to nie problem. Wystarczą kanapki. Dobrze. Do zobaczenia.

Dixie klasnęła radośnie w dłonie.

— Świetnie. Więc możemy wypić u mnie kawę. I nie zjesz tych kanapek. Pożyczymy ci talerze, a obiad dla was już ugotowałyśmy. Dziś rano upiekłam chleb, więc go ode mnie dostaniesz. Monika zrobiła sałatkę. Dodaje do swoich sałatek wszystko, nawet małe kawałeczki chrupiącego bekonu. Christine przyrządza klopsiki i sos, za który można by się dać posiekać. Sue upiekła szarlotkę, a Gertie ma dla ciebie fasolkę z migdałami i cebulki w cieście, a także faszerowane ziemniaki. Zrzuciłyśmy się na butelkę wina, bardzo taniego, ale dobrego. Zapomniałam o czymś? — zwróciła się z pytaniem do pozostałych.

— Nie wiem, jak mam wam dziękować. Bez was to wszystko byłoby dla mnie katastrofą. Chyba... nie, na pewno pokocham to miejsce — wyznała Ruby szczerze z oczami pełnymi łez.

Kiedy kobiety zbierały szczotki, kubły i proszki, Dixie wzięła Ruby na stronę.

— Chyba zostaniemy przyjaciółkami. Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że jesteśmy z tej samej gliny, jak powiedziałyby moja mama.

Ruby objęła ją.

— Tak. To będzie wspinała przyjaźń.

* * *

Miała nakrycia, klopsy stały w czystym i ciepłym piekarniku, a sałatka i warzywa w lodówce. W niewielkiej, schludnej sypialence pachniało czystym płótnem i aromatyzowanymi świecami. Radio grało cicho. Ruby poczuła delikatny dreszcz podniecenia, kiedy przebierała się z roboczego ubrania w czystą sukienkę. Później wykąpie się, by jej ciało było czyste i świeże, kiedy po raz pierwszy... doświadczy... seksu.

Andrew pojawił się w domu dziesięć minut po jej wyjściu z łazienki.

— Rany! — wykrzyknął, uderzając się w czoło. — Wiedziałem, że jesteś dobra, ale nie zdawałem sobie sprawy, że utniesz dokonywać cudów. To niesamowite. Jak ci się to udało? Czy to obiad tak pachnie? No, jak tego dokonałaś?

— To sąsiadki! Są cudowne. Nigdy nie poradziłabym sobie o własnych siłach. Za parę dni nasz dom będzie wyglądać tak ładnie jak ich. Tu są klopsy i mnóstwo innych dobrych rzeczy. I szarlotka!

— Więc to chyba nie jest nam potrzebne? — rzucił na stół papierową torbę.

— Zjem je jutro na drugie śniadanie — roześmiała się. — Czuję się już lepiej. Wypiłam kawę z dziewczynami u Dixie.

Andrew uśmiechnął się szeroko. Zdjął krawat, a marynarkę powiesił starannie na oparciu krzesła. Wydał się jej przystojny, jak nigdy dotąd. Poczuła dreszczyk, który przechodził ją tylko w obecności Calvina.

Andrew otoczył Ruby ramionami i pociągnął ku sobie, całując lekko.

— Lubię się odprężyć po służbie. A to oznacza, że chcę, żebyś mi przyniosła kaptcie, dała drinka i papierosa. Jeśli ci się to nie podoba, powinnaś mi o tym powiedzieć właśnie teraz — w jego głowie pojawiły się kuszące nutki, od których zakręciło się jej w głowie.

— Poradzę sobie, sir. — Zasalutowała niemal równie zamaszycie, jak on salutował strażnikowi przed bramą.

— Ale nie dostaniesz już alkoholu — mruknął pod nosem, otwierając butelkę wina.

Przy obiedzie każde ich słowo, spojrzenie czy gest były podszyte seksem. Kiedy posiłek dobiegł końca, Ruby miała wrażenie, że zaraz eksploduje. Nawet Andrew nie był w stanie przeczytać gazety, którą przyniósł do domu. Nasłuchiwał szumu wody w kuchni, szcękania talerzy i sztućców, kroków Ruby na popękany linoleum. Pragnął jej i to natychmiast.

— Dość tego, Ruby. Możesz pozmywać jutro. Pora na coś innego.

Ruby odwróciła się ku niemu z rękami po łokcie w pianie.

— Ja... muszę wziąć kąpiel. Po tym sprzątaniu... Ty też się wykąpiesz? Zawsze mówiłaś, że po południu zaczyna ci się robić zarost. Może chcesz... się... ogolić... — paplała beładnie.

Andrew uśmiechał się.

— Pójdę pierwszy. Masz rację, faktycznie zarosłem. Będę za dziesięć minut — obrzucił ją pożądlivym spojrzeniem.

— To... to dobrze. Skończę tutaj i też wykąpię się w dziesięć minut. A nawet w pięć, jeśli puścisz wodę do wanny. — To brzmiało niezłe. Nawet przyzwalająco. Może określenie skłonna do współpracy byłoby bardziej na miejscu?

Piętnaście minut później stała w maleńkiej łazieneczce, ubrana w koronkową nocną koszulę. Każdy nerw w jej ciele był napięty do ostateczności. Jej ręka na gałce drzwi trzęsła się tak, że musiała położyć na niej drugą dłoń, by otworzyć drzwi. Będzie ją dotykać, wszędzie... Szarpnęła drzwi tak gwałtownie, że niemal straciła równowagę. Teraz już nie mogła się wycofać, nawet gdyby chciała. Długoletni nawyk kazał jej wyłączyć górne światło po wejściu do sypialni.

— Chodź do mnie — powiedział Andrew miękko i przesunął się, robiąc jej miejsce. Wśliznęła się do łóżka i natychmiast przykryła kołdrą. Czuła dotyk pościeli na niemal nagim ciele. Palił ją żywym ogniem, choć dygotała jak w gorączce. Właściwie chciała mieć to szybko za sobą, a jednocześnie pragnęła czuć, rozkoszować się, smakować to doznanie. Ukryła twarz na ramieniu Andrew i przywarła do męża całym ciałem. Zacisnęła powieki, kiedy poczuła na udzie jego wzwód. Miała ochotę z krzykiem wyskoczyć z łóżka. Andrew objął ją mocno. Nigdzie już nie ucieknie.

Mówił, właściwie szeptał słowa, które z trudem do niej docierały: jak słodki i czysty jest jej zapach, jaka jest ładna, jaką cudowną ma koszulkę i jak na nią zareagował, kiedy zobaczył ją wchodzącą do pokoju.

Dotykał ją, przesiewał jej włosy między palcami, muskał jej kark. Jego język był... wszędzie i nagle zorientowała się, że nie leży już na jego ramieniu. Ramiączka koszulki zsunęły się, obnażając piersi Ruby. Powinna coś zrobić, jakoś zareagować, ale jak? Otworzyła gwałtownie oczy, kiedy poczuła, że ściąga z niej koszulę. No, teraz powinna okazać chęć do współpracy; była niemal pewna, że to odpowiednia pora. Wydobyła z siebie piskliwy głos, który z trudem rozpoznała jako swój.

— Dobrze, jestem gotowa.

— Na co? — roześmiał się.

— Do tego!

— To niezupełnie tak — szepnął Andrew ochryple. — To wygląda raczej tak. Leżała bez ruchu, kiedy jej to pokazał.

— Oooochchch, zrób to jeszcze raz — westchnęła, zapominając o napięciu. — Mmmmm — jęknęła, oplatając muskularną nogę Andrew swoją zgrabną nóżką.

— Chcę cię kochać — szepnął łagodnie, niemal opiekuńczo.

Zastanowiła się, czy chodziło mu naprawdę o miłość, czy też chciał się z nią tylko kochać. Nagle stało się jej to obojętne, ponieważ krew tętniąca w jej żyłach przypominała o tym, jak bardzo go pragnie. Nie mogła odmówić sobie dotyku jego ciała. Przeczesła palcami jego gęste, płowe włosy. Pocałowała go, odkrywając smak jego słodkich, pachnących winem ust.

— Słyszałaś, co powiedziałem?

— Tak, tak, słyszałam — szepnęła, szukając jego miękkich warg. Przycisnęła się do niego zapraszająco.

Andrew odrzucił kołdrę, świadom jej płonącego spojrzenia, obejmującego jego ciało. Miała rozchyłone usta, oddychała szybko, spazmatycznie. Powiódł wzrokiem po jej jedwabistym ciele. Jęknęła, kiedy jego męskość przylgnęła mocno do jej miękkiego podbrzusza. Jego dłonie pieściły blade półkule jej pośladków.

Była bez reszty owdądnięta nowym i doznaniem. Leżała naga w ramionach męża. Pieściła jego plecy, zachwycona szczupłym, twardym i silnym ciałem. Słyszała i czuła dudnienie jego serca. Andrew całował jej kark, sunął wargami wzdłuż linii jej szyi. Jego usta trafiały wszędzie tam, gdzie mógł znaleźć i dać rozkosz. Dłonie Andrew wielbiły ją, a usta adorowały, przenosiły do świata namiętności i pożądania. Usłyszał jej westchnienie. Poczłł ruch bioder. Przywarła do niego, rozpaczliwie szukając zaspokojenia ich wzajemnego pożądania.

Andrew opadł na plecy, pociągając ją za sobą. Posłuszna instynktowi, usiadła na nim, wprowadzając go w siebie ręką. Nie spuszczała spojrzenia z jego twarzy, a on wpatrywał się w nią w oszołomieniu. Zobaczył w jej oczach ból, a potem zdumienie, słyszał jej urywany oddech. Ujął ją za biodra, kierując nią, by pomóc jej odnaleźć rytm, którego pragnęła. Jej ciało poddawało się jego dłoniom. Dziś znaleźli to, czego szukali i podzielili się tym ze sobą, wiedząc, że wszystko, czego potrzebują, znajduje się w nich.

Delikatny wiatr uderzał w kryształowo czyste szyby, odgradzające ich od świata na zewnątrz. Leżeli w swoich ramionach. Andrew zapadając w sen mruknął jeszcze:

— Niech mnie, kto by pomyślał?

Ruby nie zmrużyła oka przez całą noc. Wpatrywała się w sufit. Jak to możliwe, że mogła zrobić to, co zrobiła, w ogóle, zupełnie go nie kochając? I podobało się jej. Zapamiętaj to, Ruby. Podobało ci się i chciałaś jeszcze. Teraz także, w tej chwili, chciała to zrobić znowu, znowu poczuć te wybuchy fajerwerków.

Tuż przed świtem zapadła w drzemkę, zadowolona ze swego nowego życia. Jeśli to miała, powinna być zadowolona. Inaczej byłaby głupia. Zасыpiając, postanowiła stać się najlepszą żoną, jaką kiedykolwiek widziano w piechocie morskiej.

Następne tygodnie minęły jej jak sen. Pracowała z nowymi przyjaciółkami, robiła zakupy, gotowała ekonomiczne, pożywne posiłki i kochała się z mężem dwa razy dziennie.

Małe mieszkanko nabrało charakteru, kiedy nowe pokrowce znalazły się na starych, zniszczonych meblach, nagie drewniane podłogi zostały pokryte sześcioma warstwami wosku, polerowanego tuż przed powrotem Andrew do domu. W każdym kącie, na każdym parapecie stała zaszczepka rośliny w słoiczku po produkcie dla niemowląt. Gertie okazała się prawdziwym wirtuozem młotki i śrubokręta, kiedy instalowała w kuchni półki ze sklejki. Były pomalowane na biało, a teraz stały na nich wszystkie możliwe zioła. Ruby podlewała je troskliwie, tęskniąc za dniem, w którym zerwie pierwszy listek czy łyżkę i dodaje do potrawy. Żywiąc Andrew hamburgerami przyrządzanymi na dwadzieścia osiem różnych sposobów, zdołała zaoszczędzić pieniądze na zasłony. Miodowobrazowy materiał ocieplił nędzne mieszkanie i nadał mu

przytulności, na którą nie liczyła. Nawet Andrew to zauważył. W kuchni także były zasłony, jasnożółte z zielonym brzegiem, z szerokimi zakładkami i falbankami, maskującymi gnijące framugi. W sklepie, w którym kupiła materiał na zasłony i pokrowce, nabyła też torbę pełną ścinków. Teraz szła dywanik do przykrycia nowego, lecz brzydkiego linoleum.

Dwie szafki nad kuchennym zlewem mieściły w sobie wszystkie komponenty taniego obiadu. Ryż, makaron i gotowe sosy pozwalały przygotować posiłek za dolara. Doświadczyła, że jeśli zrobi gęstą zupę, będą ją jeść przez tydzień, oczywiście jeśli poda do niej grube kanapki i duży deser. Resztki z obiadu to osobny temat. Co miesiąc przyznawano nagrodę gospodyni, która opracowała przepis na posiłek złożony z resztek z obiadu, ale wcale na taki nie wyglądający. Nagrody były symboliczne, wykonywane własnym przemysłem. Zwykle siateczka wypchana suchymi liśćmi lub sosnowymi igłami i związana długą atłasową wstążką. Ruby postanowiła dostać jedną z takich nagród. Przygotowała potrawę z brukselek w kremie z zupy grzybowej na rozdrobnionym klopsie. Wszystko to posypane parmezanem i zapieczone w kokilkach, które Andrew pożerał jednym kłapinięciem szczęk. Kiedy udoskonaliła potrawę, rumieniąc ser aż do brązowej chrupkości, Andrew zjadł trzy dokładki. Według jego słów, potrawa wyglądała obrzydliwie, ale smakowała przepysznie.

Kiedy przygotowała zapiekankę na comiesięczny konkurs przepisów, z trudem zachowywała spokój. Bardzo pragnęła tej małej, siatkowej torebeczki z suchymi płatkami kwiatów — tak bardzo, że bała się, iż zacznie krzyczeć. I wygrała. Kiedy wręczyły jej nagrodę, pognęła do swojego mieszkania i włożyła siateczkę do szuflady z bielizną, ale wcześniej odtąńczyła szalony taniec wokół sypialni. Znalazła swoje miejsce. Polubiły ją.

Najbardziej zbliżyła się do Dixi — może dlatego, że mieszkała obok i zawsze była uśmiechnięta i w dobrym humorze. Ruby zauważyła coś, co ją zaciękało. Pulchna Dixie wydawała się niekiedy jakby przygaszona. Miała nadzieję, że kiedyś zaprzyjaźnią się na tyle, by się sobie zwierzać. Na razie wiedziała, że Dixie ma już dwadzieścia osiem lat, a mężatką jest od siedmiu.

Ruby zauważyła dziwne spojrzenia, jakim i inne kobiety obrzucały Dixie. Wyglądało to tak, jakby znały jakiś sekret, ale nie chciały się nim podzielić z Ruby.

Na tydzień przed Gwiazdką, kiedy pocztą przyszło małe, białe ozdobne zaproszenie od żony kapitana Everly'ego, ciekawość Ruby sięgnęła zenitu.

Natychmiast pobiegła do sąsiadki, ale Dixie nie otworzyła. Zapukała jeszcze raz, a potem zawołała. Obeszła dom, by zapukać do drzwi kuchennych i ze zdziwieniem zauważyła, że zasłony we wszystkich oknach były zaciągnięte. Wróciła do siebie, by zadzwonić do przyjaciółki, ale nikt nie podnosił słuchawki. Odczekała godzinę i spróbowała znowu — z tym samym rezultatem. Kiedy nie mogła już znieść napięcia, ubrała się i poszła do Christine.

— Na miłość boską, powiedz jej, Christine! — krzyknęła Monika z kuchni, gdzie plotły girlandy z zielonych iglastych gałęzi.

— Co? — dopytywała się Ruby.

— I tak się w końcu dowiesz — mruknęła Christine, stawiając kawę na piecyku. — Wiesz co, nie mówmy o tym, dobrze? To... to naprawdę nie nasz interes. Jedyne, co możemy, to być przy Dixie, kiedy będzie nas potrzebować. Nie mamy zwyczaju wtrącać się do czyjegoś życia, dopóki nie zostaniemy poproszone.

Ruby poczuła przyspieszone bicie serca. Dixie musi być chora i pewnie nie chce, żeby się nad nią litowały.

— Strasznie dużo mówicie, ale dalej nie wiem, na czym polega problem. Może mogłabym pomóc?

— Nawet nie próbuj — powiedziała kwaśno Christine. — Hugo nie lubi, kiedy ludzie wtracają się między niego a Dixie. Nasi mężowie są podobni. — Jej nijaka twarz posmutniała.

— Czy Dixie umiera? Czy jest poważnie chora? — spytała Ruby drżącym głosem, biorąc z rąk Christine filiżankę kawy.

— A skąd! — warknęła Christine, zaciskając usta w wąską, napiętą linijkę.

— No więc co jej jest, na miłość boską? Monika zrzuciła swoją girlandę na podłogę.

— No dobrze. Wiemy... to znaczy podejrzewamy, że Hugo bije Dixie. Fachowo, tak, żeby nie było śladów. Nie możemy nic poradzić. Kiedy... kiedy to się wydarzy, nie widzimy jej przez kilka dni. Zaszywa się w domu i zaszuwa wszystkie zasłony. Pukamy do drzwi i dzwoniemy, jak ty, a potem wracamy do domów. Przynajmniej wie, że... że o niej nie zapominamy. Hugo to... palant! — syknęła Monika z nienawiścią.

Ruby poczuła mdłości. Odstawiła filiżankę i przytrzymała się stołu, żeby nie upaść.

— Mój... ojciec... bił moją matkę — powiedziała z wysiłkiem.

— Wiedziałam, że nie powinnyśmy jej mówić. — Christine objęła drżące ramiona Ruby. — Oddychaj głęboko. Proszę cię, nie daj po sobie poznać, że wiesz. Dixie jest taka dumna. Gdyby sądziła, że któraś z nas wie, nigdy nie mogłaby spojrzeć nam w oczy. Musisz nam to przyrzec.

Ruby skinęła niepewnie głową. W drodze do domu drżała z zimna jak w gorączce. Musi się czymś zająć, żeby nie myśleć o przyjaciółce. Ciasto! Upiecze ciasto dla Andrew. Z czekoladą, takie, jak lubił. Przekroi je i przełoży czekoladowym puddingiem, z którego reszty wymieszanej z lukrem zrobi polewę. O tak, upiecze ciasto.

Mimo wszystko jej myśli wciąż krążyły wokół osoby Hugona Sinclair'a. Spotkała go, i to nie raz, i nie czuła do niego najmniejszej sympatii. Andrew też go nie lubił, ale nie traktował tak jak innych, za którymi nie przepadał. Pewnie dlatego, że obaj służyli w piechocie morskiej.

Hugo był niedelikatny, grubiański i arogancki, o tak. Jednak nie posądzała go o agresję. Jak mogła przegapić tę jego skłonność? Przypominała sobie, że jej ojciec też nie przypominał wcielonego diabła.

Zaczęła szukać w szufladzie trzepaczki do jajek, zastanawiając się, dlaczego nikt nie doniósł na Hugona do jego zwierzchnika. Skrzywiła się. Bo to sprawa prywatna. Dlaczego jej matka nikomu nie mówiła, że mąż ją bije? Czy dlatego, że nic by to nie dało? Bo się wstydziła? Nie miała odwagi? Chciałaby to wiedzieć. Nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić w sprawie Dixie, ale, na Boga, coś musi. Gdyby poruszyła ten temat w rozmowie z Dixie, ta zaprzeczyłaby wszystkimu, a ich przyjaźń można by uznać za niebyłą. Jednak musi być jakieś wyjście.

Zaczęła ubijać jajka. Oczywiście wyobraźni widziała Hugona Sinclair'a, zbitego na kwaśne jabłko. Jej umysł pracował gorączkowo, równie szybko, jak trzepaczka w jej dłoni. Gdyby tylko mogła z kimś porozmawiać, gdyby ktoś znał rozwiązanie problemów Dixie... Oczywiście Andrew To jedyna osoba, z którą może porozmawiać.

Wlała ciasto do formy i wsunęła je do piekarnika. Jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze wziąć szybką kąpiel, upudrować się i uperfumować, zanim Andrew wróci do domu. W trakcie pierwszych tygodni swojego małżeństwa zdążyła się już nauczyć, że może skłonić męża do wszystkiego, jeśli obieca mu jakieś nieprzyzwoite zabawy i spełni swoje obietnice. Hojnie i bez ograniczeń. Dla Dixie zrobi wszystko.

Kiedy Andrew godzinę później pojawił się w pachnącej kuchni, jego żona właśnie lukrowała jeszcze ciepłe ciasto, pachnące niemal tak pięknie jak ona. Przesunął ustami po jej słodko pachnącym karczku.

— Jeśli będziesz bardzo grzeczny, pozwolę ci wylizać miskę i trzepaczkę — mruknęła jak kotka.

— Przed czy po tym, jak wylizę... coś innego? — Zmierzył ją pożądlivym wzrokiem.

— Wybieraj — powiedziała śmiało. — Ale później, dobrze? Muszę z tobą o czymś porozmawiać. — Sięgnęła po zaproszenie na przyjęcie gwiazdkowe Alice Everly.

Andrew uniósł brwi.

— Ubierz się odpowiednio, żebyś nie wyglądała lepiej od niej. Pamiętaj o swojej randze.

— Wiem, wiem. Zrobiłam wszystko, co mi kazałeś, a nawet więcej. Mam tak mało czasu, że ledwie zdążam z kolacją. Kapitanową Alice zatrudniła mnie do pracy w gazecie, mam opisać jej podróż z misją dobroczynną. A wczoraj zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, iż chce — podkreślam, chce — abym namówiła inne kobiety do uczestnictwa w zbieraniu używanej odzieży, a w dodatku poleciła mi zorganizować zbiórkę używanych zabawek na jej gwiazdkowe przyjęcie. Nie musisz się martwić, że cię postawię w niezręcznej sytuacji.

— Już to zrobiłaś — stwierdził Andrew cierpko. — Dlaczego nie nazywasz jej po prostu panią Everly tylko kapitanową Alice? A jeśli ci się to wyrwie przy ludziach? Jak to będzie wyglądać?

— Niech cię. Nie jestem głupia, Andrew. Ona mnie wykorzystuje, żeby dobrze się zaprezentować przed żoną majora Cartera. A żona majora Cartera wykorzystuje Alice, żeby wypaść dobrze przed żoną pułkownika Mosesa, która z kolei chce się pokazać przed żoną generała Frankela. Wiem już, jak to wszystko działa.

— Skarżysz się?

— Tak. Ale tylko tobie. Jesteś moim mężem, Andrew. Czy nie mogę ci się pożalić? Słucham o twoich problemach, a czasami znajduję nawet ich rozwiązania. Teraz to ja mam problem, więc chciałabym, żebyś mnie wysłuchał. Usiądź, przyniosę ci piwo i kapcie. Proszę cię, to dla mnie ważne.

— Dobrze. Ale niech to nie będzie nic skomplikowanego.

Ruby poczuła się nieswojo. Andrew miał nie najlepszy humor. Może dziś nie powinna mówić mu o Dixie. Wymyśliłby co, a ten problem odłożył na potem, ale nie chciała tego robić. Dixie była dla niej zbyt ważna.

Przycupnęła u stóp Andrew i objęła kolana dłońmi. Opowiedziała mu o wszystkim, patrząc jak jego twarz czerwienieje, blednie, a potem wykrzywia się w grymasie nieprawdopodobnej złości.

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem. — Jego oczy pociemniały z gniewu. — Mówisz, że Hugo bija swoją żonę. Chcesz z tym coś zrobić, a wtedy zostanę zamieszany w tę sprawę. Rozniesie się po całej bazie w godzinę po tym, jak otworzysz usta. Ta historia, prawdziwa czy nie, znajdzie się w aktach Hugona, a chociaż nie lubię drania, nie sądzę, żeby można było rujnować czyjąś karierę tylko dlatego, że głupim babom coś się przywidziało. Zastanowiłaś się nad tym, co powiedziałaś? Czy choć przez chwilę pomyślałaś o konsekwencjach? Zabraniam ci sięw to mieszać.

Oczy Ruby błysnęły niebezpiecznie. Podniosła się i stanęła przed Andrew. Postanowiła zapamiętać ten wyraz niepokoju na jego twarzy. A więc admirał Query miał rację. Powiedział kiedyś, że ludzie którzy stoją, mają przewagę nad tymi, którzy siedzą.

— A więc to nieważne, że młoda kobieta jest maltretowana przez swojego męża? Ma tak żyć przez resztę swoich dni? Żaden mężczyzna nie ma prawa znęcać się nad żoną. I mam w nosie to, że jest w piechocie morskiej!

— I co z tego, że trochę jej przetrzepie skórę? Pewnie na to zasłużyła. Nie możesz dowieść, że ją maltretuje, na miłość boską. To nie twoja sprawa i z pewnością nie moja. Przestań się tym interesować. I to już!

Ruby pochyliła się nad mężem.

— A jeśli nie? — spytała miękko. — Podniesiesz na mnie rękę? Zbijesz mnie, bo uznasz że na to zasługuję? Jeśli zrobisz coś takiego, przygotuj się na niespodziankę, bo oddam ci ze wszystkich sił.

Andrew otworzył szeroko oczy.

— Histeryzujesz. Wszystko widzisz przez pryzmat swoich rodziców. Rozumiem to, ale tu mamy inną sytuację. Mówimy o zrujnowaniu kariery Hugona, a także mojej. Niech sami rozwiązują własne problemy. Działanie zostaw Dixie. — Wstał i wyprostował się. Teraz to on górował nad żoną. — I jeszcze jedno, droga pani. Jeśli będę miał ochotę cię zbić, zrobię to. To moje prawo. Jestem twoim mężem. Nie mówię, że zamierzam cię bić, ale mógłbym — dodał wojowniczo.

— Jeśli podniesiesz na mnie rękę, słusznie czy nie, będzie to ostatnia rzecz, której się wobec mnie dopuścisz — oświadczyła Ruby niebezpiecznie zimnym tonem.

— Niby co możesz zrobić?

— Odejdę. A przedtem doniosę na ciebie twojemu dowódcy.

Andrew parsknął gniewnie. Ta rozmowa zupełnie mu nie odpowiadała, to pewne. Wierzył w każde słowo, które wypowiedziała jego żona.

— A dokąd?

W kącikach ust Ruby pojawił się tajemniczy uśmiezek; pomyślała o swoich dwóch domach w Georgetown. Teraz miała zupełną pewność, iż dobrze postąpiła, nie mówiąc o nich mężowi.

— Mam parę takich miejsc. Tobie wystarczy wiedzieć, że mogę cię opuścić. A jeśli chodzi o odwagę, mam jej tyle samo co wy, w piechocie morskiej. Nie zastraszysz mnie, więc nawet nie próbuj.

W odpowiedzi popędził do kuchni i cisnął w lodówkę lukrowanym ciastem. Potem zrzucił ze stóp kaptcie, wbił nogi w buty i wypadł z domu, tak mocno trzaskając drzwiami, że omal nie wypadły z zawiasów.

Niech cię, szepnęła Ruby, zaczynając sprzątać. Czyżby naprawdę sądził, że ma prawo ją bić?

Zjadła samotnie kolację przy wspartej o cukiernicę książce z wojskowej biblioteki. Co chwila zerkała na kuchenny zegar. Wypiła dwie filiżanki herbaty i zjadła dziewięć ciasteczek i banana. Ostatnio jej apetyt przybrał zastraszające rozmiary. O dziesiątej rozebrała się do snu i narzuciła szlafrok. Usiadła w salonie z książką, czekając na męża. Jeszcze ze sobą nie skończyli, pomyślała.

Ale sprawy potoczyły się inaczej. Andrew wrócił na tuż przed północą, kompletnie pijany, z głupim uśmiechem rozlanym na twarzy. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie.

— No chodź, chodź do łóżeczka. Chcę się z tobą kochać — wybełkotał.

— Jesteś zalany, Andrew. To nie jest sposób na rozwiązywanie problemów. Musimy o tym porozmawiać, ale nie teraz. Pomogę ci. — Wzięła go pod ramię.

— Nie potrzebuję twojej pomocy, do diaska — warknął Andrew, chwiejnie zmierzając w stronę sypialni.

Powinna zostawić go w spokoju, ale nie zrobiła tego.

— Zawsze martwisz się, co pomyślą o tobie inni. A jeśli ktoś cię widział? Ludzie powiedzą, że wyszłam za moczymordę. Pamiętaj, mam ten sam stopień co ty. Nie podoba mi się, że pokazujesz się w tym stanie.

— Trudno — warknął znowu. — Chodź do tego łóżka!

Pół godziny później Ruby płakała w poduszkę, a Andrew, usatysfakcjonowany, chrapał. Zgwałcił ją, a ona leżała bezradnie, pozwalając, by pastwił się nad nią w pijackim gniewie. Znieważył ją.

To ich pierwsza kłótnia. W walce zawsze ktoś musi przegrać. I to jej przypadła ta rola, mimo całej przekory i buntu. Płakała cicho w poduszkę i nie mogła przestać.

Rano udała, że śpi i nie wstała, by zrobić Andrew śniadanie. Tylko tak mogła się obronić. Spodziewała się niemal, że mąż potrząśnie nią, żeby się obudziła, ale nie. I nie pocałował jej na pożegnanie. To był wyraz jego wrogości.

O wpół do dziewiątej Ruby zwlokła się z łóżka i natychmiast tego pożałowała. Zdążyła do łazienki w samą porę, zwymiotowała całą wczorajszą kolację. Wracała tam jeszcze pięć razy. Każda następna fala mdłości była bardziej gwałtowna od poprzedniej. Tymczasem Ruby powinna się ubrać i wyjść na spotkanie w klubie oficerskim. Później wraz z innymi kobietami miała pakować zabawki dla biednych dzieci. Jęknęła, gdy przypomniła sobie o jeszcze jednym spotkaniu w kościele garnizonowym w sprawie zbiórki żywności.

Chyba zadzwoni do Alice Everly i wszystko odwoła. Była chora. Nie wiedziała tylko, czy gorzej być chorą, czy też słuchać dezaprobowanego milczenia Alice po drugiej stronie. Nie, jednak musi tam pójść.

O wpół do szóstej, kiedy wracała do domu, czuła się, jakby cały dzień walczyła z huraganem. W mieszkaniu Dixie panowały ciemności, podczas gdy jej dom promieniał światłem; wokół framug mrugały kolorowe światełka. Miała ochotę kopnąć w drzwi Dixie, tak wielką ochotę, że aż na chwilę przystała. Obok Ruby przemknął kot, prychając na nią z pogardą.

Zimne, rześkie powietrze sprawiało jej przyjemność, mimo iż drżała pod jego tchnieniem. Zdawała sobie sprawę, że odwleka chwilę, w której w końcu stanie przed Andrew. Będzie zły również dlatego, że nie przygotowała kolacji. Co prawda zostawiła mu na stole wyjaśniający liścik, ale Andrew lubił powtarzać: „Rób co chcesz, bylebym na tym nie ucierpiał”. Nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby tego dokonać.

Ocknęła się z zamyślenia, usłyszawszy za sobą kroki. Odwróciła się i zobaczyła Hugona Sinclaira. Kiedy był tuż przy niej, zrobiła krok w tył.

— Pewnie jesteś duchem minionych świąt — powiedział wesoło. — Jak tam, Ruby? Nie widzieliśmy się od dawna. Widzę, że przygotowujesz się do Gwiazdki — dodał wskazując kolorowe światełka.

— Co z Dixie? — spytała, szcękając zębami z zimna. — W waszym domu jest ciemno.

— Pewnie znowu ma migrenę. Światło ją razi — mruknął dobrotliwie.

— Wczoraj pukałam do was i nikt mi nie otworzył — zgrzytnęła.

— Nie otwiera, kiedy ma atak.

— Nigdy nie wspomniała o migrenach.

— Czy to znaczy, że wy, dziewczynki, zwierzacie się sobie ze wszystkich sekrecików? Nie macie przed sobą tajemnic? — zmiana jego tonu była subtelna, Ruby bardziej poczuła, niż dostrzegła uważne spojrzenie Hugona.

— Jeśli masz jakiś sekret, możesz być pewien, że nadal pozostał sekretem. Dixie nie lubi się zwierzać. — Odwróciła się w stronę własnych drzwi i już z ręką na klamce rzuciła przez ramię: — A właśnie. Wczoraj w nocy usłyszałam wasze radio. Usiłowałam złapać tę samą stację, ale jakoś nie mogłam.

Zastanów się nad tym, chłopcze, pomyślała mściwie, otwierając drzwi. Blefowała, ale niech się pomartwi.

— Jestem w domu — powiedziała bez tchu.

— W samą porę — zawołał wesoło Andrew, stając w drzwiach kuchni. Miał na sobie fartuszek i zacierał radośnie ręce. — Przygotowałem dla szanownej pani cud sztuki kulinarnej, który przejmie panią dreszczem rozkoszy. Właściwie wyjąłem wszystko, co było w lodówce i wrzuciłem do jajecznicy. Wygląda ohydnie, ale dodałem dużo przypraw, żeby zabić ten... oryginalny smak. Zrobiłem herbatę i... kupiłem czekoladowe ciasto... za to, które wczoraj

rozwalilem. Przepraszam cię Ruby, naprawdę. Za wszystko. Nie miałem prawa... Powiedz, że się nie gniewasz.

— Nie gniewam się, Andrew. Jestem tylko zawiedziona. Dziękuję za kolację. Nie myślałam, że zajmie to tyle czasu, ale pani Everly ma własny sposób robienia wszystkiego. A poza tym zawsze powtarza żonom oficerów, że powinny podawać kolację dopiero o ósmej, ponieważ tak jest bardziej stylowo i światowo, cokolwiek by to miało znaczyć.

— Tak powiedziała?

— Owszem. Twierdzi, że tylko wieśniacy jadają o szóstej, piątej, czy nawet siódmej. Chcesz od teraz jeść kolację do ósmej? — spytała, wiedząc, że się zgodzi.

— Pewnie, czemu nie. Mogę coś przegryźć, czekając na posiłek. Słuchaj, a może jutro pójdziemy do kina?

— Przecież mamy jeść o ósmej, a ja mam spotkanie w sprawie zbiórki żywności. Gwiazdka za pasem, a pani Everly zadbała o to, żebym się nie nudziła. Pewnie gdybym musiała, jakoś bym się wykręciła. Poza tym chyba coś mi dolega.

— Pewnie to samo, co Dixie — powiedział Andrew wesoło. — Pójdziemy po świętach. A teraz zjemy kolację. Potem chciałbym, żebyś poszła do łóżeczka i poczytała sobie jakąś książkę. A ja tu posprzątam. Nie możesz się rozchorować, Alice Everly nigdy by mi nie wybaczyła, gdybyś zachorowała i nie mogła jej pomóc.

Ruby usiadła za stołem, powstrzymując się od ostrego komentarza, który miała już na końcu języka.

Jedzenie wyglądało dość apetycznie. Andrew nawet je przybrał pietruszką i spiralką wyciętą z marchewki. Uśmiechnęła się do męża z podziwem.

— Nieźle.

— Wczoraj powiedziałem mnóstwo rzeczy, których nie chciałem powiedzieć. Ty też. Wyszedłem wściekły i wróciłem pijany i... nie zachowałem się zbyt elegancko. Czy możemy o tym zapomnieć i zacząć od nowa?

Chciała wyjaśnić mu tyle rzeczy. Wiedziała, według jakich reguł toczy się gra, więc mówienie niczego nie zmieni. Skinęła głową.

Kochali się tej nocy dwa razy, a rano jeszcze raz. Za każdym razem udawała, że zbliżenie sprawia jej przyjemność i odgrywała orgazm.

* * *

Jakoś przetrwała święta i szereg przyjęć, ciągnących się przez cały karnawał. Święta — takie, jak ich oczekiwała — w ogóle nie miały miejsca. Uważała, że to przez jej zmęczenie, zachowanie Andrew i brak Dixie na wszystkich przyjęciach.

W drugim dniu nowego roku Dixie zapukała do drzwi Ruby, trzymając talerz świątecznych ciasteczek i prezencik. Wygląda normalnie, pomyślała Ruby, obejmując ją serdecznie i zapraszając do kuchni. Natychmiast nastawiła kawę, a kiedy w pomieszczeniu zaczął się unosić jej aromat, rzuciła się biegiem do łazienki. Kiedy wróciła, Dixie spojrzała na nią z uśmiechem.

— Kiedy termin? — spytała ciepło.

— Jaki termin? — wyjąkała ogłupiała Ruby.

— No wiesz, porodu. Czyż nie cudownie? Ja też jestem w ciąży. Dowiedziałam się na tydzień przed świętami. A potem miałam atak okropnej migreny, najstraszniejszy, jaki przeżyłam. Przeleżałam całe święta. Hugo nie chciał wychodzić beze mnie, ale wykopałam go za drzwi. Musiał iść, sama rozumiesz. Byłaś już u lekarza? Jeśli nie, może pójdziemy razem?

W myślach Ruby panował taki sam zamęt, jak w jej żołądku. Boże, ależ jest głupia. Kawa perkotała, a ona podeszła do kalendarza i otworzyła go na listopadzie. Potem odliczyła dni. Jak mogła okazać się taką idiotką?

— O Boże — jęknęła. — Gdybyś do mnie nie przyszła, myślałabym, że mam gripę, czy coś podobnego. Jestem w ciąży! — krzyknęła.

— Nie wiedziałaś? Więc gratulacje! — roześmiała się Dixie. — Mam nadzieję, że tym razem się uda. Poroniłam trzy razy. Co byś chciała, chłopca czy dziewczynkę?

— Chłopca. Ale dziewczynka też byłaby fajna. Och, wszystko jedno! — Przypomniała sobie każde słowo, wypowiedziane przez Dixie. — Hugo się cieszy?

— Bardzo. Byliśmy przenoszeni trzy razy i za każdym razem roniłam, kiedy tylko przyjeżdżaliśmy na nowe miejsce. Pewnie przez te przeprowadzki. To nic przyjemnego, tak się schylać i dźwigać tyle ciężarów. Ale tym razem chyba nie zostaniemy przeniesieni. Modlę się o to. Chciałabym urodzić chłopca, ale w gruncie rzeczy wszystko mi jedno, byleby dziecko było zdrowe.

— Dlaczego ciągle się przeprowadzacie? Wszyscy siedzą na miejscu przynajmniej przez rok, a przeważnie dwa, jak zauważyłam.

Dixie wzruszyła bezradnie ramionami.

— Przychodzi rozkaz i trzeba wyjechać, to proste. W ciągu ośmiu lat przeprowadzaliśmy się siedem razy. Przywykliśmy do tego.

Słowa Dixie zabrzmiały nieco dziwnie, ale Ruby postanowiła ich nie komentować. Działo się tu coś złego.

— Przejdźmy się — zaproponowała. — Dzień jest taki rześki i pogodny, spacer dobrze nam zrobi. Ostatnio ciągle wymiotuję. Ty też wyglądasz bledziutko.

Dixie pobiegła do domu po płaszcz.

Dziecko, szepnęła Ruby, kiedy została sama. Moje i Andrew. Ciekawe, czy Andrew się ucieszy. Musiała przyznać, że nie ma pojęcia. Kiedy powinna mu powiedzieć? Dziś czy po wizycie u doktora? Postanowiła poczekać, dopóki nie będzie wiedzieć na pewno.

Spacerowały dotąd, aż policzki Dixie zaróżowiły się, a ona sama zaczęła narzekać, że nie zrobi już ani kroku.

— Zdołasz dojść do domu? — zaniepokoiła się Ruby. — Możesz się o mnie oprzeć. Przepraszam cię, Dixie, nie miałam pojęcia, że zapuściłyśmy się aż tak daleko.

— Nic się nie stało, tylko musimy iść powoli. Nie znoszę, kiedy ta przeklęta noga daje o sobie znać.

— Co ci jest? — spytała Ruby bez ogródek. Jej przyjaciółka zeszywniała.

— Idiotyczna sprawa. Spadłam z kuchennego stołka i złamałam sobie biodro. Myślałam, że tylko się potłukłam i nie poszłam od razu do doktora, a kiedy już poszłam... oto rezultaty. Nie żałuj mnie, Ruby. Nie lubię, kiedy ludzie się nade mną litują.

— Ja nie... — Ruby zdołała przybrać odpowiednio oburzony wyraz twarzy — nie lituję się nad tobą. Po prostu sądziłam, że to moja wina, bo wyciągnęłam cię tak daleko. — Spadła z krzesła, a jakże, pomyślała. Raczej została pobita i nie chciała iść do doktora.

— Mam nadzieję, że zostaniemy tu przez pewien czas, teraz, kiedy się zaprzyjaźniłyśmy — powiedziała Dixie łągodząco.

— To, że jednocześnie zaszłyśmy w ciążę, zbliży nas jeszcze bardziej. Musisz mnie nauczyć robić na drutach, Dixie. Tak świetnie szydełkujesz i umiesz tyle innych rzeczy. Możemy robić sweterki, buciki i czapeczki. Och, Dixie, będziemy się doskonale bawić! Jak często miewasz te migreny? — spytała zniecka Ruby.

— O... to zależy... przeważnie od pogody — odparła Dixie. — Czasami mam migrenę, kiedy objem się słodyczami — mówiła zbyt szybko i unikała spojrzenia Ruby. — Albo kiedy mam okres... no, tym już nie muszę się martwić.

— Nie, chciałabym wiedzieć, czy jesteś chora raz na miesiąc, na sześć tygodni, czy na trzy miesiące? Moja dawna szefowa w Pentagonie miewała migreny co dwa tygodnie.

Dixie skurczyła się ze strachu.

— Czemu mnie wypytujesz? Jeśli już musisz wiedzieć... to co jakieś sześć tygodni.

— Kiedy będziesz miała następną, daj mi znać, a nie będę się dobijać do ciebie jak oszalała — rzuciła Ruby wesoło.

— Nie chciałam być niegrzeczna. Jestem zmęczona, to wszystko.

— Zaraz dotrzemy do domu. Zrobię nam herbaty i obie pocujemy się lepiej. Rany, marzę o samochodzie.

— Ja też. Byłoby mi o wiele łatwiej.

— Czy nie możemy jakoś sobie dorobić?

Dixie pokręciła głową.

— Nawet gdybyśmy mogły, nasi mężowie nie pozwoliliby nam pójść do pracy. Hugo po prostu mi tego zakazał. Żony oficerów nie pracują, Andrew ci nie mówił?

Ruby pokręciła głową.

— Nie znoszę skąpić każdego grosza. Robiłam to, kiedy żyłam na własny rachunek, ale wtedy nie było mi tak źle. Teraz muszę martwić się o Andrew, a wkrótce także o dziecko. Uważam, że powinnam mieć więcej pieniędzy pod koniec miesiąca.

— To błędne koło. Więcej pieniędzy możesz mieć tylko wtedy, gdy twój mąż awansuje. Ale wtedy musisz częściej wydawać przyjęcia, lepiej się ubierać, kupować lepsze mięso i tak dalej. Wybrałyśmy takie życie i ugrzęźłyśmy w nim.

— Może tak, może nie. Zastanowię się nad tym. Musi być jakiś sposób zarabiania pieniędzy, przeciw któremu nasi mężowie nie będą protestować. A jeśli nawet będą, to co? Pieniądze w banku i stek na stole są wystarczająco dobrymi argumentami.

— Nie mogę ci pomóc, Ruby. Hugo uparł się i nie pozwoli mi pracować. Boże, wreszcie dom. Muszę natychmiast usiąść. Nogi mi zmarzły na kość. Ruby, proszę cię, nie budź złego licha.

— Dobrze — zgodziła się Ruby. Nie miała zamiaru niczego budzić.

W trakcie następnych dni coraz wyraźniej czuła objawy ciąży. Poranne, popołudniowe i wieczorne mdłości nękały ją aż do pierwszego tygodnia lutego, po czym ku jej uldze ustąpiły, ale właśnie wtedy zaczęła tracić na wadze. Kiedy zjawiła się w wojskowej klinice, z zaskoczeniem przekonała się, że waży zaledwie czterdzieści pięć kilogramów. Wyglądała strasznie: blada, zmęczona, z ogromnymi sinymi podkowami pod oczami. Andrew, niezbyt poruszony, kilka razy zauważył, że Ruby wygląda jak śmierć na chorągwi. A tymczasem Dixie tryskała zdrowiem. Włosy miała gęste i lśniące, a oczy błyszczące jak gwiazdy. Promieniała szczęściem. Jadła więcej niż mąż i w czwartym miesiącu ciąży przytyła już sześć kilo; Ruby, zbliżająca się do trzeciego miesiąca, straciła trzy i pół kilograma i przyłapała się na tym, iż zazdrości Dixie.

Wyszły razem z kliniki, Dixie z buteleczką witamin, a Ruby z absolutną pewnością, że jest w ciąży. Był 13 lutego, dzień przed walentynkami.

— Co założysz jutro na tańce? — spytała Ruby, kiedy niespiesznie wracały do domu. Dixie roześmiała się.

— W nic już nie wchodzę. Monika dała mi ciążową bluzkę, białą — czerwona. Chyba głupio jest od razu zakładać ciążowe ubrania. Ludzie pomyślą, że obnoszę się ze swoim stanem — zachichotała. — Och, Ruby, tak bardzo będę kochać to dziecko. Będę je kołysać, tulić, całować i śpiewać mu wszystko, co umiem. Już teraz je kocham! — Pogłaskała brzuch. — Spytałam Hugo,

czy mogę postawić kołyskę w naszej sypialni, ale on uważa, że dziecko powinno mieć swój własny pokój, więc teraz urządzam w wyobraźni ten mały pokoik tuż obok naszego.

— Gdybym nie była taka wykończona, pewnie cieszyłabym się tak jak ty — powiedziała Ruby głucho.

— Naprawdę wyglądasz kiepsko. Powinnaś posiedzieć z uniesionymi nogami i odpocząć. Zrobię ci herbatę i przyniosę razem z korzennymi ciasteczkami, które wczoraj upiekłam. Żołądek już ci się uspokoił, więc możesz się pokrępić. I zjesz banana — dodała po macierzyńsku.

— Dobrze. Herbata, ciastka i banan. Brzmi świetnie.

— A drzemka też nie jest złym pomysłem — dodała Dixie, krzątając się po kuchni Ruby.

— Przestań się tak rządzić. Poza tym muszę napisać list do admirała Query i jego żony. Mówiłam ci, że za dziesięć dni przyjeżdżają do Północnej Karoliny? Mają dom w Chapel Hill, a admirał Query zna generała Frankela. Zjemy razem kolację. Tutaj. Wyobrażasz sobie? Generał Frankel i jego żona także się zjawia. Próbowałam się wykręcić, ale bez skutku. Boję się o tym powiedzieć Andrew. Będę musiała podać indyka. Pewnie dlatego jestem taka podrażniona i chora. Nie mam odpowiednich talerzy, eleganckiego obrusa, ani w ogóle nic. Wyglądam strasznie i jestem w ciąży. Koszmar — jęknęła Ruby.

Dixie postawiła filiżankę z herbatą na małym stolczku obok krzesła Ruby.

— Posłuchaj teraz. Obaj ci wielcy bonzowie byli niegdyś tacy sami jak Andrew. Ich żony były takie jak ty. To, że chcieli tu przyjechać świadczy o tym, że nie zapomnieli. Pewnie nie mogą się już doczekać tej wizyty. Posłuchaj mojej rady i nie zwracaj sobie głowy indykiem ani niczym droгим. Daj im to paskudztwo, za które dostałaś naszą nagrodę. Wino jest dość tanie. Jeśli zechcesz udawać kogoś, kim nie jesteś, przejrzą cię na wylot. Admirał i jego żona lubią cię taką, jaka jesteś. Bądź sobą, a wszystko pójdzie dobrze. Zaufaj mi, Ruby. No, a teraz odpocznij, a ja podzwonię i spróbuję pożyczyć od kogoś obrus, który jeszcze nie ma cer, a także komplet talerzy i niewyszczerbionych kieliszków. Pomagamy tu sobie wzajemnie. Wszystko pod kontrolą! — oznajmiła Dixie tryumfalnie.

Do zmroku cała baza wiedziała już, że u państwa Blue będą gościć wysocy rangą oficerowie. Kiedy wieść dotarła do Andrew, zdołał ukryć wstrząs i popędził do najbliższego telefonu. Ruby potwierdziła tę sensację.

— Jezu Chryste, powinnaś mi powiedzieć! — wybuchnął. — Skąd weźmiemy pieniądze na restaurację?

— Przyjmiemy ich u nas. Podam zapiekanekę z brukselki, tę która zdobyła nagrodę. Upiekę też chleb czosnkowy. Musimy kupić tylko wino. Admirał się wprosił, w dodatku z generałem. Umiałbyś odmówić generałowi? Hm? Chyba nie. Ale nie martw się. Państwo Query są bardzo mili. Będzie dobrze — obiecała Ruby drżącym głosem.

Kiedy Andrew pojawił się o wpół do szóstej w domu, zobaczył śpiącą Ruby.

W pierwszej chwili pomyślał, że coś się jej stało. Ruby nigdy nie spała w dzień. Nie miała na to czasu. To pewnie przez tę kolację. Teraz, kiedy już ochłonał, był raczej dumny, że jego żona ma tak wysoko postawionych przyjaciół. To przyjęcie nie mogło w żaden sposób zaszkodzić. Już raczej pomóc.

Ruby usłyszała ciche poszczekiwanie talerzy i sztućców, dobiegające z kuchni.

— Andrew, to ty?

— Owszem, chyba że przyjmujesz w tajemnicy jakiegoś innego faceta. Staralem się być cicho.

Ruby ziewnęła.

— Nie mogę uwierzyć. Zasnęłam! To dlatego, że... Andrew, mógłbyś tu przyjść? Chcę ci coś powiedzieć.

— Jest coś jeszcze? — spytał z udanym przerażeniem.

— Owszem. Byłam u lekarza. Jestem w ciąży. Tylko się nie denerwuj.

Andrew aż przysiadł.

— Dziecko! Nasze dziecko! Będę ojcem, a ty matką. Będziemy rodzicami, psiakostka.

— Czy to znaczy, że nie jesteś zły? — roześmiała się Ruby.

— Tak, do diaska. To znaczy nie, nie jestem zły. Będziemy musieli oszczędzać na wszystkim, ale damy sobie radę. A więc to ci dolegało! Dobrze się czujesz? Co powiedział lekarz?

— Kazał mi przytyć, ale nie więcej niż dziesięć kilogramów. Schudłam jakieś cztery, więc powinnam przytyć około czternastu. Od dawna nie czułam się tak dobrze.

— Myślisz, że to będzie chłopiec? — spytał Andrew dziecinnie.

— Lub dziewczynka. Są tylko dwie możliwości. — Jest zachwycony, pomyślała Ruby z ulgą. Dzięki Bogu. Teraz wystarczy, żeby i ona poczuła radość.

— Cieszysz się, Ruby?

— No pewnie. Nasz mały człowieczek.

— Mogę to jutro wszystkim powiedzieć?

— Udużę cię, jeśli tego nie zrobisz — roześmiała się.

— Uważam, że nie powinnaś się przemęczać. Prześlę pani Everly wiadomość, że na najbliższe miesiące ma dać ci wolne. Nikt nie może od ciebie oczekiwać, żebyś robiła cokolwiek ponad to, co sama zechcesz. Ja również. Chodź tu kochanie.

Ruby przytuliła się do męża. Rozmawiali długo, o wszystkim i niczym. Pieścili się, całowali i szeptali. Nie kochali się, nie musieli. Byli sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

Kiedy dużo później znaleźli się w łóżku, przytuleni do siebie, Ruby poczuła, że z kącika oka spływa jej samotna łza. Otarła ją ręką poduszki. To na pewno łza szczęścia.

* * *

Ruby wreszcie odzyskała apetyt. Wszystkie sąsiadki, bliższe i dalsze przynosiły własnego wypieku ciasteczka, suszone owoce, a także całe słoje pikli. Ruby pochłaniała to wszystko bez wyboru. W dniu proszonej kolacji brakowało jej tylko pół kilograma do prawidłowej wagi.

Państwo Query i Frankel mieli przybyć o siódmej. Dziewczęta stawiały się tłumnie w domu Ruby, niosąc ze sobą szmaty, szczotki ryżowe i miotły. W południe, kiedy zrobiły sobie przerwę, małe mieszkanko nie tylko lśniło czystością, ale pachniało przyjemnie cytrynową pastą do podłogi, której zapach mieszał się z leciutką wonią olejku sosnowego.

— Tuż przed pojawieniem się gości włóż te skórki pomarańczowe i laskę cynamonu w wywietrznik. Mieszkanie będzie pachnieć, jakbyś przesiedziała w kuchni cały dzień — powiedziała Sue z uśmiechem. — Odłożyłam skórkę z pomarańczy, które jadły dzieci.

— Patrzcie, co mam! — zawołała Monika, stając w drzwiach i wpuszczając do mieszkania podmuch porywistego wichru. — Trzymała prostokątny posrebrzany półmisek i pasujący do niego świecznik. — Dostałam je — oznajmiła dumnie — od Dolly Nevins, a ona od Sheili, która mieszka w Montezuma Drive, i wygrała to na jakiejś loterii fantowej. Podobno należały do żony emerytowanego pułkownika. Będą świetnie wyglądać na stole, na samym środku, rozumiesz. I co o tym sądzisz?

— Super. — Ruby uśmiechnęła się nerwowo. — Boże, chyba umrę.

— Ruby, jesteś sensacją na całą bazę. Mówi się tylko o twoim przyjęciu, i oczywiście, wszyscy bardzo, bardzo ci zazdrościmy. To życiowa okazja! Hej, a gdzie Dixie?

Serce Ruby zatrzepotało gwałtownie. Aż do tej chwili, w całym tym rozgardiaszu, nie zauważyła nieobecności przyjaciółki.

— Ja... ona... no wiesz, te jej migreny. Chyba znowu ją dopadło. — Zajęła się napełnianiem czajnika, kiedy rozlała wodę na wypastowaną podłogę, Christine pospieszyła z pomocą. Ich spojrzenia się spotkały.

— Będziesz jej miała wiele do opowiedzenia, kiedy... kiedy się pozbiera — szepnęła Monika dziwnym nieco zdławionym głosem.

Ruby z nienaturalnym ożywieniem zaczęła opowiadać o tym, jak przerobią składzik na pokój dziecienny.

* * *

Przed wieczorem każdy kąt lśnił czystością, a stół ugiął się pod srebrem i porcelaną, pozbieranymi po całej bazie.

— Jesteście niezwykle — wyjąkała wzruszona Ruby.

— Poczekaj, przyjdzie kolej i na ciebie! — zawołała Gestie przez ramię, wychodząc wraz z pozostałymi dziewczętami. — Powodzenia, Ruby, zadzwoń do nas, jak już pożegnasz gości, dobrze? Zapamiętaj wszystko, każde słowo, każdy gest. Wszystkie chcemy wiedzieć, jak się zachowywać w takich sytuacjach.

— Niczego nie zapomnę — obiecała.

O wpół do szóstej Ruby była już wykąpana, więc Andrew mógł bez przeszkód zająć się swoją toaletą.

Wybuchnęła śmiechem na widok miny męża. Jeszcze nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego. Miotał się bezradnie, narzekając, że buty nie są dość wypolerowane. Ruby pospiesznie naniosiła nieco wazeliny na czubki i tak lśniących butów.

— Gdzie się tego nauczyłaś? — zdziwił się.

— Od jednej z dziewcząt — zachichotała. — Ciągle ci powtarzam, że mamy swoje sposoby na to, byście wyglądali efektownie.

— Generał i admirał przy naszym stole! Chyba oszaleję. Czy na pewno... to żarcie, które im podasz, będzie odpowiednie na tę okazję?

— Uspokój się, Andrew, przez ciebie ja się denerwuję. Dobrze wyglądam?

— Pięknie. Naprawdę, kochanie. Wyglądasz świetnie. Przez ten tydzień w okamgnieniu wróciłaś do siebie. Czy... czy powinienem wspomnieć, że jesteś w ciąży?

— Chyba nie musisz. One się domyślą. Ich żony.

— Jak możesz być tak cholernie spokojna? Ja się boję nawet sięść, bo jeszcze pomnę sobie spodnie.

— Bez obawy — oznajmiła Ruby z wielką pewnością siebie, pamiętając, że spodnie wróciły właśnie z pralni. — Zaufaj mi.

— Zaufałem, i proszę, kogo przyjmujemy? — jęknął.

Ruby roześmiała się.

Państwo Frankelowie przybyli wojskowym samochodem dziesięć minut po Querych. Zaczęły się ucałowania, padanie sobie w ramiona, uściski rąk i grzmiące wybuchy śmiechu, słyszalne aż dwa domy dalej. Po wstępnych uprzejmościach całe towarzystwo oddało się wspominkom typu: „A pamiętacie, jak...!” Ruby odetchnęła — jej dostojni goście czuli się jak u siebie w domu. Byli przyjacielscy i swobodni.

— Chodź do nas, kochanie. — Janet Query wskazała miejsce na sofie pomiędzy sobą a żoną generała. — Mam nadzieję, że ze względu na nas nie natrudziłaś się zbyt. Nasi mężowie też kiedyś byli porucznikami, i wierz mi, żołądź wynosił wtedy jeszcze mniej.

Ruby uśmiechnęła się.

— Właściwie zamierzałam zrobić eleganckie przyjęcie, ale nasz budżet by tego nie wytrzymał, więc przygotowałam dla państwa moją nagrodzoną zapiekankę — powiedziała szczerze.

Arlene Frankel skinęła głową z aprobatą.

— Ciągłe się to robi? Ja zdobyłam nagrodę za pewną nieludzką mieszaninę z wołowiny, ale tylko trzecią. Wtedy nie byłam zbyt dobrą kucharką. Co wygrałaś, moja droga?

— Zechcą panie zobaczyć? — spytała ochoczo Ruby.

Wróciła po chwili, niosąc siatkową torebeczkę, nad którą obie panie rozpląnęły się w zachwytach.

— Nie uwierzysz, Ruby, ale po twoim wyjeździe admirał poczuł się zagubiony jak dziecko we mgle — powiedziała pani Query. — Żadna z sześciu sekretarek, które się przez ten rok przewinięły, nie wytrzymała porównania z tobą. Kiedy wracał do domu, zawsze gderał i w końcu przeszedł na emeryturę. Zepsułaś go, naprawdę. To on chciał cię odwiedzić. Oczywiście ja też, ale admirał chciał osobiście sprawdzić, czy piechota morska odpowiednio zajęła się jego dziewczynką. I tak jest, prawda, Arlene?

Ruby wstrzymała oddech. Co odpowie na to żona generała?

— Edwardzie, czy piechota morska zajęła się odpowiednio panią Blue?

Janet Query mrugnęła do Ruby, która siedziała z szeroko otwartymi oczami.

— Cholera, nie wiem. Młody człowieku, czy piechota morska zajęła się wami odpowiednio? — zagrzmał generał.

— Ależ tak, panie generale — zapewnił Andrew.

— Dobrze. To właśnie chciałem usłyszeć.

— Kiedy urodzisz, Ruby? — spytała Arlene Frankel tak naturalnie, jakby już wcześniej rozmawiały na ten temat.

— Za sześć miesięcy — wyjąkała zaskoczona Ruby.

— Cudownie — rozpromieniła się Janet Query.

— Będę oczekiwać cygara, poruczniku — huknął generał Frankel.

— Tak jest — wyprężył się służbiście Andrew.

— Zawiadomisz nas, Ruby? — spytała Janet.

— Właściwie chciałam prosić, żeby pani i admirał... Jeśli zechcieliby państwo... jak pani sądzi?

— Z radością — roześmiała się Janet. — Clark jeszcze nigdy nie był ojcem chrzestnym.

— Bardzo dziękuję, sir — wychrypiał Andrew.

— Cała przyjemność po mojej stronie, młody człowieku.

Kiedy usiedli do stołu, Ruby została zasypana komplementami za swoją zapiekankę i wszystko wydawało się zmierzać ku szczęśliwemu końcowi, kiedy nagle po drugiej stronie kuchennej ściany rozległy się gwałtowne hałasy i stłumiony krzyk.

Ruby poderwała się i natychmiast na powrót usiadła, przygwożdżona stalowym spojrzeniem męża. Zagryzła wargę, słysząc, jak Andrew wyjaśnia, że sąsiedzi lubią nastawiać radio na cały regulator.

Admirał spojrział na panią domu. Wiedziała, że nie uwierzył w ani jedno słowo Andrew.

— Wspaniałe przyjęcie, Ruby — zapewnił, najwyraźniej dla rozładowania atmosfery. — Co będzie na deser?

— Clark! — zganiła go żona.

Ruby roześmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

— Zrobiłam czekoladowe ciasto z nadzieniem z puddingu, pianki i orzechów. Mamy też... konserwowe owoce... — Nasłuchiwała czujnie odgłosów zza ściany; nie mogła się powstrzymać.

Janet Query zauważyła jej roztargnienie.

— Kto mieszka obok was, Ruby?

— Z której strony? — spytała Ruby sztywno.

Janet wskazała na kuchenną ścianę. Ruby miała ochotę wykrzyknąć wszystko. Trzasnęła drzwiami lodówki tak mocno, że butelki i puszki zabrzęczały przeraźliwie.

— Hugo Sinclair z żoną — powiedział szybko Andrew. — Na imię jej Dixie, prawda?

— Tak. Ona też jest w ciąży. — Odwróciła się, sięgając po deserowe talerzyki.

— Mili ludzie. Wszyscy tu są bardzo mili. Dzięki nim poczuliśmy się jak w domu. Ruby i Dixie szybko się zaprzyjaźniły, prawda?

— Prawda — mruknęła Ruby, krojąc ciasto na równe porcje. — Kawa będzie za chwilę.

— Znam Huga — wtrącił generał Frankel. — Znakomity oficer. Ma wkrótce awansować.

Admirał Query odwrócił się na krześle.

— Ruby, czy coś się stało?

— Słucham? Ach, nie, admirale. Chyba się przejadłam. To ciasto raczej sobie daruję. Słodczy mnie gubią — rzuciła lekko. Wiedziała, że nie zwiodła swojego dawnego szefa. Andrew będzie wściekły, pomyślała z niechęcią. — Dodałam cykorii do kawy, admirale. Tak, jak pan lubi — powiedziała, stawiając na stole talerz z ciastem.

Admirał Query spojrział na generała. Ale nic nie wskazywało na to, że zorientowali się, iż w domu państwa Blue coś się nie układa.

— Co za pychota! — zakrzyknął admirał z entuzjazmem. — Ruby, daj mojej żonie przepis!

Rozmowa ożywiła się. Paplali tak długo, że Ruby miała ochotę zacząć krzyczeć, wciąż nasłuchiwała i raptem złapała się na tym, że wbija wzrok w ścianę, modląc się, by odgłosy nie powtórzyły się znowu.

Po deserze generał i admirał postanowili zapalić cygara, a ich żony, nie zważając na protesty Ruby, pozmywać naczynia.

— Jeśli zamierzasz palić to śmierdzące cygareto, Clark, masz wyjść na zewnątrz — rozkazała Janet Query tonem, którym jej mąż używał w stosunku do podwładnych.

— To samo dotyczy ciebie — uśmiechnęła się Arlene. — Ruby jest w ciąży i dym jej szkodzi. No, ruszajcie.

Clark Query sięgnął po płaszcz.

— Poruczniku, może pan do nas dołączy? Muszę rozprostować nogi. Mały spacer po okolicy odświeży wspomnienia. Oczywiście, jeśli woli pan zostać z żoną, podczas gdy nasze panie bawią się w pomoce domowe, zrozumiemy to — ton generała wyraźnie sugerował, co Andrew powinien wybrać.

* * *

Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi Ed Frankel ponaglił starego przyjaciela.

— No gadaj, Clark, co się dzieje?

— Cholera, nie mam pojęcia. Chyba chodzi o sąsiadów naszych gospodarzy. Te hałasy, to nie radio, jak utrzymywał porucznik Blue. Odniosłem wrażenie, że ktoś wpadł na ścianę.

— Jezusie, chcesz byśmy... podglądali sąsiadów państwa Blue?

— Wyszliśmy sobie na przechadzkę. Jeśli nosisz okulary, pora je założyć — admirał Query nasadził na nos własne druciane oprawki; próżność nie pozwalała mu ich nosić na co dzień.

Teraz rozmazane kształty nabrały ostrości. Zasłony w oknach sąsiadów Ruby były zaciągnięte, ale przeświecało przez nie światło. Zupełnie możliwe, uznał, że wracając ze spaceru pomylił się i zapukał do drzwi obok. Zdradził swój pomysł przyjacielowi.

— Nikt nie byłby aż tak głupi — mruknął zrzędliwie Frankel.

— Owszem, ale kto ci to powie wprost?

— Wiem, o co ci chodzi. Sprawa może okazać się poważna.

— Ruby powiedziała, że ta kobieta jest w ciąży. A jeśli on ją bije? Chcesz mieć to na sumieniu? Gdyby to była moja jednostka, wywaliłbym tego drania tak szybko, że tylko by świsnęło.

— A nie przyszło ci do głowy, że może to naprawdę było radio? Nawet w wojsku obowiązuje zasada: „Mój dom jest moją twierdzą”, a co się dzieje w jego...

— Bzdura! W wojsku też trafiają się łajdacy. Przez całe życie wierzyłem swojemu nosowi, i ty też, chyba że się na starość zmieniłeś. Tutaj dzieje się coś złego, to jasne jak słońce. Powinieneś coś zrobić, to twój teren. Nie powiem już nic więcej.

— Problem w tym, że ten Sinclair ma zostać awansowany. Już napisałem hymn pochwalny na jego cześć, bazując na rekomendacji dowódcy. Jeśli masz rację, będę musiał się nieźle usprawiedliwiać.

— Wiem, Ed. Jak powiedziałem, to twój teren.

Chwilę potem o rozwoju sytuacji zdecydował ślepy traf. Drzwi Sinclair'ów otworzyły się z hukiem. Hugo zamarł w pół ruchu. Generał Frankel, popisał się przytomnością umysłu i zasalutował zamasyżcie. Sinclair, oddając honory, nie mógł natychmiast zamknąć drzwi.

Obaj starsi mężczyźni zajrzeli w głąb mieszkania, na podłodze w korytarzu dostrzegli jakiś kształt.

— Miły wieczór, poruczniku — zagaił Frankel. — Sam tu kiedyś mieszkałem — dodał niezobowiązująco i w ślad za admirałem podążył do salonu Ruby.

Goście zostali jeszcze przez pół godziny, zanim zdecydowali się wracać.

— Pamiętaj, Ruby, powiadom nas, kiedy już dziecko się urodzi — powiedziała Janet Query, tuląc dziewczynę do siebie i przy okazji szepnęła wprost do jej ucha: — Wszystko będzie dobrze. Zaufaj nam.

Ruby nie miała pojęcia, o czym mówi żona admirała.

— Zadzwoń do ciebie jutro lub pojutrze i zapiszę cię na mój kurs dla przyszłych matek — obiecała Arlene Frankel.

— Dziękuję pani. Czy znajdzie się też miejsce dla mojej przyjaciółki Dixie?

— Ależ oczywiście — potaknęła Arlene Frankel bez chwili namysłu.

* * *

Kiedy dwa dni później Ruby wracała ze sklepu, zauważyła, że spod mieszkania Dixi odjeżdża furgonetka. Postawiła zakupy i pobiegła do kierowcy, pytając dokąd wybierają się Sinclair'owie.

— Wczoraj dostaliśmy rozkazy, żeby ich przeprowadzić.

— Ale... czy to znaczy, że wyjechali?

— Ptaszyno, chętnie bym tu posiedział i pogawędził z tobą, ale mam kawał drogi do przejechania, a muszę wszystko dostarczyć na miejsce przed Sinclair'ami. Wiesz, jak to jest. Nie martw się, będziesz mieć nowych sąsiadów.

Ruby podeszła do drzwi i otworzyła je. Szła od pokoju do pokoju, a jej kroki odzywały się echem na korytarzu. Łzy napłynęły jej do oczu. Na ścianach maleńkiej klitki, która miała być

pokojem dzieciennym, widniały postaci z dzieciennych bajek. Przesunęła palcami po uśmiechniętym Piotrusiu Panu.

Dixie nie pożegnała się z nią. Dlaczego? Może zostawiła jej liścik pod drzwiami. Pobiegła do swojego mieszkania, zapominając o torbach z zakupami. Zaczęła łkać żałośnie, nie znalazłszy żadnej wiadomości. Przypomniała sobie o zakupach i wniosła je do domu. Ciągłe popłakując, włożyła produkty do szafki pod zlewem. Potem dzwoniła do innych sąsiadek. Kiedy zakończyła ostatnią rozmowę, wiedziała już, że coś było nie tak. Wszystkie wiedziały, że Dixie i Hugo wyjechali. Wiedziały i nic jej nie powiedziały.

Wyjechali.

Nadal płakała, skulona w kącie sofy, kiedy Andrew wrócił z pracy. Nie pofatygowwała się, by zapalić światło albo zacząć przygotowywać kolację.

— Nawet się ze mną nie pożegnała. Jak mogła mi to zrobić? — spytała płacząco Ruby, bijąc pięścią w poduszki sofy. — Wiedziałeś o tym? Jeśli wiedziałeś i mi nie powiedziałeś, nigdy ci nie wybaczę. Żony innych oficerów wiedziały od swoich mężów, więc nie kłam!

— Ruby, przysięgam, że nic nie zataiłem. Chodziły słuchy, że Hugo złożył podanie o natychmiastowe przeniesienie, ale u nas zwykle takie rzeczy ciągną się tygodniami. Miałem ci o tym powiedzieć dzisiaj. Po za tym to była wiadomość z czwartej, jeśli nie piątej ręki; podobno Hugo złożył to podanie, ponieważ został pominięty przy przydzielaniu awansów. Kochanie, wiem, że czujesz się rozczarowana. Przykro mi to mówić, ale ostrzegałem cię, żebyś się nie angażowała. Dixie nie okazała się osobą, za którą ją uważałaś. Czy przyjaciółka odjechałaby bez słowa. Ile czasu zajmuje napisanie karteczki albo zatelefonowanie?

— Nie chodzi tylko o Dixie. Wszystkie dziewczyny odnoszą się do mnie bardzo chłodno. I nie mów mi, że ponosi mnie wyobraźnia. W przypadku Dixie wierzę, że ten cholerny mąż mógł nie pozwolić jej się ze mną pożegnać. Jeśli był takim pewniakiem, a wszyscy tak twierdzą, to czemu przepadł?

— Kto wie — mruknął Andrew. — Może pierdnął nie tak jak trzeba?

Ruby otworzyła drzwi mieszkania i natychmiast je zamknęła. Nie zamierzała iść pod porywisty wiatr na drugi koniec bazy. Marzec przetaczał się nad światem w asyście ryczących huraganów. Ale nie było zimno, wiosna mogła nadejść lada chwila. Wczoraj Ruby zauważyła małe fioletowe krokusy, wychylające główki z grządek zaniedbanego ogrodu Sinclaire'ów. Oczywiście nie należał już do nich. Teraz w pokojach pomalowanych przez Dixie mieszkała rodzina Galenów.

Penny Galen miała własny samochód, kremowego desoto, który stawiał ją wysoko ponad Ruby i innymi kobietami. Nosiła też eleganckie ubrania i kosztowne dodatki. Jej dwoje dzieci, cztero — i sześciolatek, wyglądały jak żywcem wyjęte z kart katalogu Searsa, a słowo wspaniałe było najczęściej używane przez dziewczęta przy opisywaniu domostwa Galenów.

Penny Galen okazała się zwolenniczką długich paznokci. Raz na tydzień jeździła do New Bern, gdzie odnawiała ich świetność. Monika twierdziła, że kolor włosów Penny to platynowy blond. Christine głośno się zastanawiała, jakim cudem można cokolwiek zrobić, mając tak długie paznokcie. Cóż, Penny nie była jedną z nich. Podkreśliła to tego dnia, w którym zjawily się z propozycją pomocy przy sprzątanu. „Mam już pomoc” — oświadczyła z miną udzielnej księżnej. Pomocą okazała się pewna Polka w średnim wieku, która we wtorki i soboty przyjeżdżała z New Bern. Penny Galen już na wstępie oznajmiła, że jej tatuś to pułkownik. Kobiety, czerwone ze wstydu, opuściły dom pani Galen, przysięgając, że więcej tam nie wrócą.

Ruby dokuczała samotność. Sąsiadki nadal zapraszały ją na kawki i ciasteczka, ale nie było już tak jak niegdyś. Miała wrażenie, że ciągle uważają na to, co przy niej mówią. Wreszcie doszło do tego, że miała ochotę machnąć na wszystko ręką i zostać w domu, by czytać lub sprzątać. Zrobiła się płochliwa, zupełnie bez powodu. Lekarz twierdził, że nie ma w tym nic dziwnego, bo ciąża na każdą kobietę wpływa w inny sposób.

Andrew przyniósł do domu plotkę, że Dave Galen ma głowę pełną marzeń o wielkiej karierze.

— Nie mieszaj się — ostrzegł Ruby tym samym tonem, jakim kiedyś mówił o Dixie.

— Czy mam udawać, że w ogóle nie zauważam Penny? — spytała, choć w głębi duszy podzielała jego zdanie. — To niełatwe. Wbiłeś mi do głowy, iż mam twoją rangę i muszę być miła dla wszystkich, bo nigdy nie wiadomo, czy nie będziemy kogoś potrzebować. Powiedziałeś, że nie powinniśmy przysparzać sobie wrogów.

— Rób co chcesz, ale pamiętaj o Sinclaire'ach. Kiedyś to się na nas odbije. Czuję to. Ostatnio nie jestem specjalnie popularny.

Ruby spojrzała na męża. Oskarżył ją. Poczuli się strasznie.

— Wiem, że to moja wina — powiedziała, choć nie wierzyła w to nawet przez chwilę. Nigdy nie uwierzy, że w sprawie Dixie i Huga zrobiła coś nie tak, ale jeśli Andrew czuł się lepiej, winiąc ją za wszystko, niech tak będzie.

Dni wlokły się jeden za drugim. Skreślała je w kalendarzyku czerwonym ołówkiem, nie wiedząc, dlaczego to robi. Przybrała niepokojąco na wadze, ale nie przestała objadać się ciężkimi maślanymi i czekoladowymi ciastkami. Robiło się coraz cieplej, a kwietniowe deszcze rozmiękczyły ziemię, pozwalając przygotować ją do sadzenia roślin. Ogródkiem zajmowała się już o zmroku, kiedy miała zupełną pewność, że Penny Galen o tej porze podaje rodzinie wyszukany posiłek. Nadal spotykała się z innymi kobietami dwa razy w tygodniu, choć czuła się w ich towarzystwie obco. Tyle razy chciała spytać, w czym zawiniła, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, powiedzą, że się jej zdaje.

Wszystkie rozmowy krążyły ostatnio wokół posiedzenia w sprawie awansów, które wkrótce miały zostać ogłoszone. Żona Kenta Aldridge' a była tak pewna jego awansu, że zamierzała przygotować na tę okazję przyjęcie. Evelyn Aldridge nie należała do nieśmiałych osób. „Kent zasługuje na awans” — powtarzała bez końca. Żadna jednak nie wspominała o Hugonie Sinclair'rze. Ruby miała przynieść na przyjęcie sałatkę z dziewięciu rodzajów fasoli.

Podjeżdżała, że dziewczęta zazdroszą jej znajomości z żoną generała Frankela. Kiedy Ruby zaczęła uczęszczać na zajęcia w szkole rodzenia, znajomość ta nabrała rumieńców. Zaczęły się pogawędki przy herbacie, wspólne z Arlene Frankel wyprawy do sklepów i czasami powrót do domu służbowym wozem generała. Arlene uczyła ją nawet prowadzić samochód! Niemałą satysfakcję sprawił Ruby fakt, że ta snobka, Penny Galen, była kiedyś tego świadkiem.

Dziś Arlene Frankel wzięła Ruby na stronę i spytała, czy coś się stało. Ruby zaczęła mówić wbrew sobie, ale po chwili słowa potoczyły się jak lawina. Wyznała, że raptownie przybiera na wadze, Penny Galen ją nęka, a pozostałe dziewczęta traktują chłodno. I nie potrafi przeboleć, że Dixie wyjechała bez pożegnania, nie racząc nawet powiedzieć „żegnaj” czy „do zobaczenia za dwadzieścia lat”.

Oczy starszej kobiety posmutniały.

— Ruby, moja droga, życie w bazie nie zawsze jest łatwe, jak sama się przekonałaś. Ale jesteś twarda. Dasz sobie radę. Odważnie stawiaj czoło problemom, a jeśli ktoś niespodziewanie poda ci pomocną dłoń, przyjmij ją. Co do twojej przyjaciółki, to jej strata, że nie ceniła cię na tyle, by się z tobą pożegnać. Nie oglądaj się za siebie, moja droga, patrz tylko przed siebie. Przygotuj się na wszystko i pamiętaj, co jest dla ciebie najważniejsze. Ale jeśli chcesz, dowiem się, gdzie przeniesiono Sinclair'ów. Będziesz mogła napisać do przyjaciółki.

Ruby wyprostowała się.

— Nie, dziękuję pani. Tak jest lepiej.

— Grzeczna dziewczynka. Właśnie tak bym powiedziała. No, pora, żebyś zaczęła przygotowywać kolację. Mój kierowca zawiezie cię do domu. Jeśli będziesz miała jakieś kłopoty, dzwoń. I nie przejmuj się tymi rangami. Obiecay mi to.

Ruby skinęła głową. Miała swoją mentorkę.

* * *

Świt piętnastego kwietnia wstał pogodny, mimo iż prognoza przewidywała deszcz. Jest ciepło, niemal gorąco, pomyślała Ruby, mieszając sałatkę z dziewięciu rodzajów fasoli na przyjęcie dla Kenta Aldridge'a. Składkowa impreza miała się odbyć w klubie oficerskim. Przez ostatnie dwa dni Ruby przygotowała chorągiewki i transparenty, ale wspinanie się po drabinach zostawiła innym.

Zamknęła hermetyczne pudełko i potrząsnęła nim mocno. Gotowe. Teraz musi tylko pójść do sklepu po mleko i chleb, i będzie wolna.

Przeczesała krótkie, faliste włosy. Już otwierała drzwi, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

— Ruby?

— A kogo się spodziewasz? — warknęła z rozdrażnieniem. — Oczywiście, że to ja. Co się stało? — dodała z niepokojem.

— Musimy się natychmiast spotkać. Będę na ciebie czekał przed sklepem. Pośpiesz się! — w jego głosie brzmiała nieznana jej dotąd nutka.

— Właśnie wychodziłam. Dotrę tam za jakieś piętnaście minut.

— Nie zatrzymuj się i nie rozmawiaj z nikim, dobrze?

— Dobrze, dobrze, tylko odłóż słuchawkę, bo nie mogę wyjść z domu.

W okamgnieniu znalazła się na ulicy i natknęła na Penny Galen, siedzącą w samochodzie.

— Jadę do sklepu, podwieźć cię? — zaproponowała Pen.

Ruby zawahała się przez ułamek sekundy, i skinęła głową, Andrew nalegał na pośpiech.

— No, wszyscy przygotowują się do przyjęcia u Aldrige'ów — zagaiła Penny swoim słynnym tonem Penny Zarozumiańskiej, jak nazywała go Ruby.

— Sałatkę przygotowałam już rano, więc to znaczy, że jestem gotowa. Miło z twojej strony, że chcesz mnie podwieźć. Muszę się spotkać z Andrew.

— Powinnaś kupić samochód. No, ale skoro go nie masz, mogę cię podwozić na zajęcia pani Frankel. Wystarczy poprosić.

Ruby ugryzła się w język. Jasne, tylko tego jej brakuje. Zdobyła się na uśmiech.

— Muszę się ruszać. Powinam dużo spacerować. Ale dziękuję za propozycję.

— Mogę cię zabierać po zajęciach. Pewnie jesteś wtedy zmęczona. To żaden kłopot.

— Pani Frankel twierdzi, że powinniśmy jak najwięcej chodzić. Zastanowię się jeszcze. O, jest Andrew. Dzięki za podwiezienie, Penny.

Serce zabiło jej mocno, kiedy zobaczyła ceglaste wypieki na twarzy męża.

— Chodźmy na bok, żeby nas nikt nie słyszał — szepnął. — Siedzę po uszy w gównie. To ja dostałem awans, nie Kent Aldridge. Jezu, Ruby, wiesz, jak to wygląda?

— No to będziemy mieć na kolację sałatkę z fasoli — powiedziała Ruby, ledwie poruszając ustami. — A co z przyjęciem dla Kenta?

— Gówno mnie obchodzi. Jest coś jeszcze. Gotowa?

Ruby znowu poczuła łomot serca. Skinęła głową.

— Zostałem mianowany adiutantem Frankela. Mój poprzednik od pierwszego maja idzie na emeryturę. Frankel wyjeżdża do Korei, a ja razem z nim. Ruby, na rany Chrystusa, słyszysz? Widzisz, co się dzieje, kiedy się ma wysoko postawionych przyjaciół?

— Powiedzmy to wprost. Masz mi za złe, że dostałeś awans? Jeśli tak, możesz wszystko odkręcić. Nie przyjmiesz go. Powiedz im, że lubisz to, co robisz. Chociaż ja w to nie wierzę. Przegnałeś mnie przez pół miasta tylko po to, żeby mi oznajmić, iż to moja wina? Wypchaj się. — Ruby odwróciła się i pomaszerowała przed siebie. — Jeśli chcesz zjeść jutro śniadanie, kup sobie chleb i mleko. Wracam do domu.

— Ruby, zaczekaj. Nie obwiniam cię. Ale cała baza plotkuje tylko o tym, że wygryzłem stąd Huga i odsunąłem Kenta rzekomo dzięki twoim znajomościom. A do Korei muszę pojechać bez ciebie. Zostaniesz tu sama. Będiesz sama, kiedy urodzi się dziecko. Pomyśl o tym!

— I co z tego? Nawet gdybyś tu został i tak rodziłabym w samotności. Ty siedziałbyś w korytarzu, czekając na wiadomość, czy masz syna, czy córkę. Myślę, że dam sobie radę, kapitanie Blue. — Zasalutowała zamasyście.

Andrew uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Jesteś pierwszą osobą, która mnie tak nazwała. Muszę wracać. Dobrze się czujesz?

— Znakomicie, kapitanie. Do zobaczenia przy kolacji. Pamiętaj, jemy dziś sałatkę z dziewięciu rodzajów fasoli. Nie zapomnij o mleku i chlebie.

— Ruby, jesteś przed samym sklepem. Wejdz i kup.

— Nie. Muszę to wszystko przemyśleć. Nie chcę wpaść na kogoś, kto już wie o twoim awansie. To ja chcę zdecydować, w jaki sposób rozwiążę tę sytuację. Gratulacje, Andrew.

Kiedy tylko odwrócił się i ruszył w stronę kwatery głównej, spłynęło na nią otrzeźwienie. Cholera!, mruknęła. Co teraz? Ma zadzwonić do dziewczyn? A może poczekać i przekonać się, czy się do niej odezwą?

Telefon milczał, wpatrywała się w aparat, usiłując go zmusić, by zadzwonił. Wiedziała, że tak się nie stanie, ale miała nadzieję. Andrew wyjedzie do Korei i zostawi ją. Nie spytała, jak długo

go nie będzie. Czy wiedział? Pani Frankel wiedziała na pewno. Wypada zadzwonić i zapytać? Może pani Frankel sama zadzwoni z gratulacjami. To bardzo prawdopodobne. Andrew wyjedzie. Miała absolutną pewność, że da sobie bez niego radę, ale dopadnie ją samotność. Andrew wróci pewnie po roku. Rok to tylko dwanaście miesięcy, a dziecko wypełni jej czas bez reszty. Może nie będzie aż tak źle. Oczywiście trzeba się przyzwyczaić. Usiadła przy kuchennym stole. Telefon wciąż milczał. Przecież niczemu nie jest winna. Nie będzie się ukrywać! Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Evelyn Aldridge. Telefon zadzwonił siedem razy, zanim Evelyn odezwała się po drugiej stronie linii.

— Evelyn, tu Ruby. Proszę, nie odkładaj słuchawki. Andrew nawet nie wiedział, że znajduje się na liście wyznaczonych do awansu. Wszyscy, nie wyłączając Andrew, uważaliśmy Kenta za pewniaka.

— Łatwo ci mówić, Ruby Blue, ale wszyscy wiemy, po co ci... oficerowie zostali zaproszeni. Spryciara z ciebie, prawda? Zadzwoniłaś tylko po to, żeby mi zrobić przykrość. I udało ci się. Z trudem się opanowałam, kiedy weszłam, żeby zawiesić dekoracje w klubie oficerskim. Nikt ci tu nie ufa. Nikt! I jeszcze coś, co ciebie i twojego męża wprawi w doskonały nastrój: parę dni temu Dixie Sinclair straciła dziecko. Zastanów się nad tym, kiedy będziecie świętować awans należący się mojemu mężowi. I nie dzwoń do mnie więcej, dobrze?

— Nie, nie będę cię już niepokoić — szepnęła Ruby, odkładając słuchawkę.

Dixie straciła dziecko. Skąd wiedziały? Do oczu napłynęły jej piekące łzy, potoczyły się po policzkach. Co jest ze mną nie tak? Czy naprawdę jestem do niczego? Może ojciec miał rację. Dlaczego ja, dlaczego, dlaczego?

* * *

Andrew siedział przy barze w klubie oficerskim, wciskając swoje długie nogi pod stół. Miejsce obok zajmował jego zwierzchnik, podpułkownik Lackland. To on zaprosił Andrew, a takiemu zaproszeniu się nie odmawia. Pili czystą szkocką.

Ta mała, prywatna celebracja została specjalnie tak wyznaczona, by zbiec się z momentem, kiedy żony oficerów zdejmowały dekoracje przygotowane na uroczystość. Lackland był zimnym draniem i poczytywał to sobie za zaszczyt.

— I jak się czujesz, Blue? — spytał półgębkiem.

Nie mógł udawać, że nie rozumie.

— Nieźle, sir. Świat stanął przede mną otworem. — Wreszcie wyzwoli się od tego drania i nigdy nie pomyśli o tym, co dla niego robił. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jakie miał szczęście. Dzięki Ruby. Uśmiechnął się szeroko. — Dziękuję za drinka.

— Daleko nie zajdziesz — mruknął Karl Lackland. — Moja w tym głowa.

— Założymy się, sir? — Wstał, a potem pochylił się nad Lacklandem i z uśmiechem przeznaczonym dla obserwujących ich osób szepnął wprost do jego ucha: — Kiedy poczujemy się osamotnieni w tym zapomnianym przez Boga kraju, a generał zechce sobie pogawędzić, być może zabawię go, przytaczając naszą dzisiejszą rozmowę. Co oznacza, że nie boję się pańskich pogróżek. Jeśli ruszy pan choćby palcem, nie spodoba się panu to, co pan osiągnie. To pan powinien się martwić, nie ja. Po namyśle zdecydowałem, że zapłacę za swojego drinka — zakończył, rzucając na bar dwa banknoty.

Kiedy Andrew wychodził, w klubie zapanowała martwa cisza. Koledzy nie zostawią na mnie suchej nitki, pomyślał, zmierzając w stronę domu. Ale teraz miał to w nosie. Szedł powoli, myśląc o tym odległym kraju, Korei. Przynajmniej nie musi się martwić, że odstrzela mu dupę. Będąc adiutantem generała brygady miał to zagwarantowane. Jeśli okaże się niezbędny swojemu

zwierzchnikowi, będzie awansował jednocześnie z nim. Już teraz tęsknił do Korei i kawalerskiego życia. Ruby zaczęła go nużyć. Z jej świata wiało nudą. Jeszcze bardziej cieszył się z tego, że nie będzie patrzył, jak jego żona robi się wielka i gruba. Nie mógł znieść, że wstawiała pięć razy w nocy, by pójść do łazienki. Nie znosił jej grymasu, kiedy miała zgagę lub mdłości. Ominą go bezsenne noce z wrzeszczącym dzieckiem. Nie będzie musiał patrzeć, jak żona wyciąga cycek i karmi bachora. Uważał to za obrzydliwość, ale Ruby obstawała niezłomnie przy karmieniu piersią. Niech karmi; on nie będzie na to patrzeć. Kiedy wróci, dziecko stanie się już małym człowiekiem, nie stworzeniem, wymagającym opieki dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Był zadowolony, że zostawia ciężarną żonę. Żaden z tutejszych kawalerów nie poleci na nią, a kiedy urodzi już dziecko, będzie zbyt zajęta, żeby myśleć o innych mężczyznach. Zwolnił kroku, zdając sobie sprawę, że może tęsknić za Ruby. Cieszyło go, że należała do niego i że mógł z nią robić wszystko, czego zapragnął. Ruby reagowała przychylnie na każdą pozycję o każdej porze dnia czy nocy. Może zbyt przychylnie... Wstawiała razem z nim, robiła mu śniadanie, utrzymywała mieszkanie w nienaganej czystości i przygotowywała pożywienie i ekonomiczne posiłki. Wieczorem, kiedy siadali na wytartej kanapie, większość czasu spędzał z głową na jej kolanach bądź trzymając jej głowę na swoich kolanach. Czytali, każde sobie lub na głos. Mógłby za tym tęsknić. Za tym i za wspólnymi wieczornymi spacerami. Ale wątpił, żeby tęsknota za żoną odebrała mu chęć do życia. Przyspieszył kroku, kiedy w polu jego widzenia pojawiły się stojące w szeregu domki. Włożył ręce do kieszeni i zaczął pogwizdywać. Dobry nastrój nie opuszczał go aż do chwili, gdy otworzył drzwi i ujrzał głowę żony, widoczną nad wałkiem kanapy. Boże, jakże nie znosił tych płaczących, lamentujących bab. To już nie potrwa długo. Dziś mógł okazać miłosierdzie.

— Na pewno nie jest tak źle — mruknął kojąco, siadając obok Ruby.

— Dixie straciła dziecko.

— I dlatego płaczesz?

— Wygląda na to, że to moja wina. Evelyn Adridge tak powiedziała. Nigdy bym do niej nie zadzwoniła, ale chciałam się zachować odpowiednio, żebyś nie miał z mojego powodu nieprzyjemności. Nigdy więcej tego nie zrobię! Mam w nosie to, co sobie pomyślą. W nosie! — oznajmiła, starannie wymawiając każde słowo.

Jezu, jak dobrze, że zostawia za sobą to małe piekielko.

— No już, uśmiechnij się. Widzisz... może rzeczywiście Dixie jest jakoś źle zbudowana, no wiesz... w środku... i nie może donosić ciąży. To nie nasza wina i nie chcę, żebyś obwiniała się o coś podobnego.

Ruby uniosła raptownie głowę. Ona nie wini ciebie, tylko mnie, pomyślała. Wyswobodziła się z objęć męża i wstała.

— Co będzie na kolację?

— Sałatka z fasoli — odparła krótko.

— I tyle? Nawet nie wiedziałem, że mamy dziewięć różnych rodzajów fasoli — mruknął Andrew, zmierzając do łazienki, by się wykapać i zmienić ubranie.

Ruby nie płakała, kiedy żegnała się z mężem. Tego, co czuła, nie potrafiła nawet nazwać.

— Będę tęsknić, Ruby. I pisać! Niezbyt często, ale będę. Obiecuję.

— Ja będę pisać dwa razy w tygodniu — przyrzekła.

— Kiedy tylko dziecko pojawi się na świecie, niech zadzwonią na centralę wojskową i przekażą dla mnie wiadomość. Już wszystko uzgodniłem. Nie zapomnij, dobrze?

— Nigdy w życiu. Zabrałeś cygara?

— Są na samym dnie torby. Zaraz obok twojego zdjęcia.

Przy krawężniku czekał samochód. Kierowca, gładko wygolony starszy szeregowiec, wyskoczył na zewnątrz i zsalutował sprężysto. Andrew oddał honory, a żołnierz rzucił się, by zapakować torby kapitana do bagażnika.

— Zostań tutaj — powiedział Andrew cicho. — Chcę cię zapamiętać taką, jak teraz. Będę tęsknił. — Pocałował ją lekko w policzek. — Pisz!

— Na pewno! — stała w drzwiach, póki samochód nie zniknął jej z oczu. Ruby obeszła całe mieszkanie. Talerze po śniadaniu nadal stały ciągle na stole. Na podłodze w salonie leżały wczorajsze gazety. Łóżko jeszcze nie posłane, a mokry ręcznik Andrew wisiał na drzwiach łazienki. Uporządkowanie mieszkania zajęłoby jej godzinę, chyba że postanowiłaby wyczyścić łazienkę, którą zaświnił jej mąż.

Bez namysłu sięgnęła za płócienną zasłonkę po jaskrawożółty kubek i nalała do niego wody. Po czterdziestu pięciu minutach w łazience nie było śladu obecności mężczyzny. I tak już będzie przez najbliższy rok, mruknęła.

W kuchni podkręciła radio o jakieś dwa decybele. Może sobie wreszcie posłuchać muzyki i dziennika. Powodzenia, Ruby Blue, powiedziała, wznosząc w górę kubek z kawą. Przynależam, że będę do ciebie pisać, Andrew, i będę. Obiecuję też codziennie o tobie myśleć, a od czasu do czasu marzyć. Krótko mówiąc, będę dbać o nasze domowe ognisko.

Czego więcej można od niej oczekiwać? Czego więcej mogłaby od siebie wymagać?

Wiosna minęła i zaczęło się lato. Czas mknął jak rakieta. Ruby obserwowała, jak drzewa stają w pełnym rozkwicie i ocieniają pączki kwiatów, które posadziła od frontu i z tyłu domu. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Jeden ciepły, słoneczny dzień przechodził płynnie w drugi. Była szczęśliwa. Brakowało jej Andrew, ale nie aż tak, żeby miała płakać. Dotrzymała słowa; dwa razy w tygodniu pisała długie, dowcipne listy. Andrew odpisywał jej raz na trzy tygodnie.

Czytała mnóstwo książek — powieści, biografie i każdy możliwy poradnik o pielęgnacji niemowląt, wszystko, co mogła wyszukać w bibliotece. Kiedy nie czytała, chcąc nie chcąc, odrabiała pańszczyznę w Brygadzie Żon Kapitanów. Szybko spostrzegła, że może się od tego wykręcić, mówiąc o obrzmiałych stopach, mdłościach lub migrenach. W tym stanie uchodziło jej wiele. Przeważnie wykonywała papierkową robotę, wysyłała listy, prowadziła kartoteki i księgi rachunkowe; wszystko, czym mogła się zajmować w domu.

Apetyt jej dopisywał, może nawet za bardzo. W siódmym miesiącu ciąży ważyła już o dwadzieścia dwa kilogramów więcej. Zaczęła przestrzegać diety, choć w niedziele dawała sobie dyspensę i pożerała pół kilograma karmelków własnej roboty.

Teraz robiła wszystko dla dobra dziecka. Nieważne, czy nosiła chłopczyka czy dziewczynkę. Ważne, że dziecko będzie jej częścią i nigdy nie zechce od niej odejść. Nigdy, nigdy.

Pisała dużo listów — do matki Noli, Mabel McIntyre, Janet Query. Pisała także do sióstr, lecz tych listów nigdy nie wysyłała. Wieczorami przygotowywała pokój dla dziecka. Teraz w dawnym składziku malowała na ścianie postaci z bajek, tak jak zrobiła to Dixie. Kupiła już używaną kołyskę i fotel na biegunach, zdarła z nich kilka warstw farby i pokryła na nowo lśniącą białą powłoką. Dzisiaj usiądzie w fotelu i zacznie szyć kołderkę. Odnowienie pokoju zajęło jej dwa tygodnie, ponieważ bolały ją ręce i szybko się męczyła, ale w końcu przez to przebrnęła. Na środku pokoiku leżał dywan, który sama uplotła, tak kolorowy, że bała się, iż dziecko nie będzie mogło usnąć. Zrobiła go ze ścinków kupionych na wyprzedazy. Trudna rada, musiała ich użyć. Kiedy skończy kołderkę, zostanie jej już tylko zaszywanie podartych zasłon, które także dostała na wyprzedazy. Pokój będzie gotowy na przybycie dziecka.

Najpierw chciała postawić kołyskę w sypialni, ale kiedy w liście wspomniała o tym Andrew, stanowczo zaprotestował. „Nie, nie, nie! Dzieci muszą mieć własny pokój. Nie chcę, powtarzam, nie chcę dzielić sypialni z dzieckiem”. Ruby przemyślała to i doszła do wniosku, że Andrew ma rację. Ale co będzie, jeśli nie usłyszy płaczu dziecka? To, czego Andrew nie widział, nie mogło go urazić. Kiedy wróci, ona również wróci do sypialni.

Od wyjazdu męża zdołała odłożyć sto dwadzieścia pięć dolarów i zamierzała kupić sobie samochód, zwłaszcza że miała już prawo jazdy. Gorzej, iż o samochodach wiedziała tylko tyle, że jeżdżą dzięki benzynie. Napisała do admirała Query z prośbą o wskazówki dotyczące kupna. Zamiast jej odpisać, po tygodniu przyjechał osobiście i zabrała ją do Havelock, gdzie nabyła fordą. Sprzedawca twierdził, że poprzedni właściciel jeździł nim tylko w niedzielę do kościoła. Kościoła baptystów, uściślił. Admirał zajął pod maskę i orzekł, że faktycznie jest mało używany. Sprzedawca osobiście zmienił olej, dopompował koła i umył karoserię. Oznajmił, że samochód jest dla niej stworzony. A zatem, choć z trudem, wcisnęła się za kierownicę. Admirał Query zachowywał się wobec niej jak ojciec. Zaczęła myśleć nad jakąś miłą niespodzianką dla niego i pani Query.

Samochód otworzył przed nią świat. Mogła jeździć i oglądać rzeczy, o których dotąd tylko słyszała. Cieszyła się życiem i niespodziewaną niezależnością. I czuła się dobrze, chyba że

myślała, co by było, gdyby wyszła za Calvina. Zastanawiała się, kim się stał i co teraz robi. Amber nie pisała już od dawna, a w ostatnim liście też o nim nie wspominała. Ruby wiedziała, że powinna — jak mówił Andrew — odłożyć te myśli na półkę. Z początku wydawały się jej nieszkodliwe, ale pewnego razu przyłapała się na rozmowie z Calvinem. Musi z tym skończyć, zanim zupełnie straci kontakt z rzeczywistością.

* * *

Ruby siedziała na krześle z płóciennym siedzeniem, opierając stopy na drewnianej skrzynce. Po niebie przewalały się sine kłęby chmur, jakby nie mogły się zdecydować, w którą stronę chcą płynąć. W oddali błysnął piorun. Rzeźki wiaterek zmienił się w porywisty wicher. Tuż przed jej oczami niebo rozdarła potężna błyskawica. Najwyraźniej facet od pogody coś poplątał. Zapowiadał burzę na wieczór, a było parę minut po dwunastej.

Podeszła do drzwi. Wydawało się jej, że usłyszała samochód. Ostatnio Penny Galen z własnej inicjatywy przywoziła Ruby pocztę.

— Jesteś! Miałam właśnie zapukać. Dostałaś dziś jakiś kilogram listów — powiedziała Penny, podając jej korespondencję.

Penny wraca od fryzjera, pomyślała Ruby. Wyrzekłaby się swoich niedzielnych karmelków, gdyby mogła poznać przyczyny, dla których fryzjer godził się, by kobieta tak ładna jak Penny wychodziła z jego salonu, wyglądając, jakby wetknęła palec do kontaktu.

— Uciekaj do domu, ta wichura zniszczy ci fryzurę — rzuciła Ruby pospiesznie. — Dzięki za pocztę.

— Ruby, wszystko w porządku? Do porodu zostało ci parę dni. W razie czego dzwoń. Dave albo ja chętnie odwieziemy cię do szpitala.

Jej głos brzmiał tak szczerze, że Ruby skinęła głową. Ciemno jak w grobie, pomyślała zamykając drzwi. Zapaliła światło we wszystkich pokojach i rozsunała zasłony. Facet od pogody pomylił się co do pory, ale nie co do intensywności ulewy. Jak to dobrze, że dom jest betonowy. Deszcz zalewał okna i siekł w chodnik z taką siłą, że Ruby z listami w ręku skuliła się w kącie sofy. Po pięciu minutach światło zgasło, więc Ruby poszła po świece. Kiedy znowu opadła ciężko na kanapę, dyszała z wysiłku, jakby przeszła parę kilometrów. Otworzyła szeroko oczy, kiedy zobaczyła, że Amber zmieniła adres. Uśmiechnęła się na widok nazwiska Mabel McIntyre. Trzeci list był od Opal. W oczach Ruby zakręciły się łzy wzruszenia. W kopercie znajdowała się tylko jedna stroniczka, sprawnie napisana na maszynie.

Droga Ruby

Nie mogłam uwierzyć, kiedy pani McIntyre spytała mnie, czy jestem krewną panien Connors. Dała mi Twój adres. Rety, Ruby, nie liczyłam na to, że jeszcze będę mogła z Tobą porozmawiać. I w dodatku wyszłaś za mąż, strasznie się cieszę. Omal nie umarłam, kiedy usłyszałam, że Amber ma dziecko, a ty jesteś w ciąży. Zostałam ciocią, a nie miałam o tym pojęcia! Wierzę, że jesteś szczęśliwa. Wiem, że Amber nie jest; ona tego po prostu nie umie. Z początku bardzo często pisała do domu, ale ojciec odsyłał jej listy. Po paru miesiącach przestała. Proszę, napisz, co u niej słychać i czy ma synka, czy córeczkę.

Grace i Paul wyprowadzili się do Pittsburgha. Paul awansował. Ludzie mówili, że Grace była w ciąży, ale może to tylko plotka. Ludzie nigdy nie lubili Zacharych. Ja ich kochałam. Grace bardzo pomagała mamie. Mnie też.

Mama czuje się dość dobrze. Chyba miała łzy w oczach, kiedy wyjeżdżałam, ale może mi się zdawało. Nie pocałowała mnie na pożegnanie, a ojciec, no cóż, po prostu wsadził mnie do pociągu i odszedł. Nie będę za nimi tęsknić i z pewnością nie będę tęsknić za Barstow.

Mieszkałam w YWCA, tak jak Ty, a potem razem z czterema innymi dziewczętami przeprowadziłam się do prawdziwego mieszkania na Connecticut Avenue. Ruby, jest tak super, że nie potrafię tego wyrazić. Świetnie się bawimy. Wszystkie jesteśmy fletuchami i nie potrafimy ugotować nawet wody na herbatę, ale dobrze się nam żyje.

Mam chyba chłopca. Mój szef jest majorem, a jego brat mieszka w Annapolis. Przyjechał na 4 lipca i szef mi go przedstawił. Nazywa się Bill Barton i ukończył szkołę z trzecią lokatą. Pisuje do mnie i w ogóle. W mundurze wygląda sztywnie. I dobrze całuje. Aspiranci mówią na swoje dziewczyny laleczki. Słyszałaś kiedyś coś tak głupiego? Bardzo go lubię.

Pewnie nie wiesz o wypadku ojca, więc Ci powiem. Może Cię to nie interesuje, ale muszę skończyć tę stronę. To się zdarzyło parę lat temu, kiedy wrócił z Waszyngtonu. Mama powiedziała, że poszedł pomóc w czymś Grace, a wielki garnek pełen wrzącej galaretki z winogron spadł na niego z kuchenki, wprost na brzuch i między nogi. Jejku, jejku, jejku. Długo leżał w szpitalu i miał jakąś operację, która się nie udała. Teraz musi nosić jakiś przyrząd, żeby móc siusiać. Nikt mi o tym nie powiedział. Widziałam kiedyś, jak mama myje to coś i poskładałam wszystko razem. I jeszcze śmiesznie chodzi. Nadal jest podły. Czasami nie odzywa się przez tydzień. Ale Ciebie pewnie to nie obchodzi.

Co to było za piekło, kiedy odczytano testament babuni. Napisała, że Twój dług jest umorzony, ale wiem, że nadal wysyłasz pieniądze. Ja też. Nie wrócę już do domu, nawet na święta. Kupię mamie prezent, ale ojcu nie.

Stryjowie John i Hank naprawdę za Tobą tęsknią. Pożegnałam się z nimi. Dom bez babuni jest inny. Stryj Hank powiedział, że zamierzają go sprzedać. Czy to nie straszne?

To już wszystkie nowiny. Och, tak za Tobą tęskniłam. Po Twoim wyjeździe płakałam co noc. Też zostawiłam Biblię w pociągu. Chcesz usłyszeć coś naprawdę głupiego? Tęsknię nawet za Amber.

Proszę, odpisz! Nie zrywajmy ze sobą kontaktu. Jeśli masz adres Amber, prześlij mi go, żebym mogła do niej napisać. Mam dwie siostry i chcę znać miejsca ich pobytu. Kocham Cię, Ruby, i myślę o Tobie codziennie.

Twoja siostra
Opal

Ruby otarła oczy. Ja też za tobą tęsknię, szepnęła. Kiedyś ci powiem jak bardzo.

W liściku Mabel McIntyre znajdowało się krótkie wyjaśnienie, że pozwoliła sobie dać Opal adres Ruby. Pisała, że czeka na koniec upałów i wiadomość o narodzinach dziecka.

List od Amber ciążył w dłoni Ruby niczym odlany z ołowiu. Ale może jest w nim zdjęcie jej siostrzenicy. Na fotografii zrobionej podczas chrztu dziecko było tak opatulone w becik, że niewiele dało się zobaczyć. Ruby poruszyła się na sofie, usiłując znaleźć wygodne miejsce. Jeśli cię położy, dostanie zgagi. Jeśli wstanie, rozboli ją krzyż. Jeśli nie zmieni pozycji, nie zdoła się wyprostować. Cholera, siedź spokojnie i otwórz ten głupi list, mruknęła pod nosem.

Burza szalała za oknami domu, ale Ruby zupełnie o niej zapomniała.

Droga Ruby

Nangi nęka mnie od kilku tygodni, pytając, czy odpisałam na Twój ostatni list. Wsiada na mnie, kiedy nie robię czegoś tak szybko, jak, według niego, powinnam.

W ostatnim liście pytałam Cię, co sądzisz o imieniu, które dałam dziecku, a Ty nie odpisałaś. Uważam, że Angela to śliczne imię. W domu mówimy na nią Angel. Nadal jesteś taka jak wtedy, gdy mieszkaliśmy w Barstow. To już skończone. Dorośnij, Ruby. Jeśli imię Ci się nie podoba, powiedz to.

Tutaj jest bardzo słonecznie i ciepło. Choć bywają dni, w których wszystko dosłownie paruje. Wystarczy, że założę dziecku pieluchę, Angel ma odparzenia, ale puder jej pomaga.

Dostałam list od Ethel. Kazała Ci złożyć gratulacje z powodu ślubu. Píše, że Andrew jest szatańsko przystojny i że ma nadzieję, iż jesteś szczęśliwa. Wychodzi za mąż w październiku za farmera z Montany.

Calvin w liście do Nangiego przysłał fotografię swojego synka. Przesyłam Ci ją, ale masz mi ją oddać. Nangi przepada za wklejaniem zdjęć do albumów. Ma takiego hopla na punkcie rodziny, że czasami mam ochotę na niego nakrzyczeć. A co do Calvina — wiem, że konasz z ciekawości, co u niego. Mogę Ci powiedzieć. Pewnie teraz już lata. No wiesz, jest jednym z tych uwodzicielskich lotników. Napisał, że nie ma zamiaru przez całe życie przekładać papierów na biurku, więc zdawał do Akademii Lotniczej i chyba został przyjęty. Nangi jest z niego bardzo dumny. Calvin nie pytał o Ciebie. Wspomniał, że jego żona jest dobrą matką. Osobiście uważam, że wygląda jak babka, a nie matka jego dziecka.

Znowu jestem w ciąży. Z początku nie mogłam w to uwierzyć. Nangi chodzi strasznie szczęśliwy. Chce mieć dziewięcioro dzieci, własną drużyną baseballową. Ależ jest śmieszny.

To już koniec wiadomości. Tutaj wszystko toczy się spokojnie, nie tak jak w domu.

Nie zapomnij napisać, kiedy urodzisz dziecko, i na pewno odeślij to zdjęcie, żeby Nangi mógł je wkleić do albumu. Muszę już kończyć. Angel dopomina się o popołudniowe jedzonko.

*Twoja siostra
Amber*

Ruby zbliżyła zdjęcia do świecy. Angel przypominała tłściutkiego barokowego amorka. Jest słodka, pomyślała Ruby. Odetchnęła głęboko i dopiero wtedy spojrzała na drugie zdjęcie. Dziecko wyglądało na jakieś dwa miesiące. Nie było słodkie i chyba nie było też zbyt czyste. Ruby przyglądała się przez pewien czas chłopczykowi, zastanawiając się, dlaczego ma tak najeżone włoski. Oczy Calvina. Ciemne włosy Calvina. Wydawał się taki drobnutki w swojej długiej sukience, spod której wystawała jedna maleńka stopka. Dziecko Calvina. Przez ułamek sekundy poczuła satysfakcję, że niemowlę nie jest zbyt urodziwe. Potem się zawstydziła. Ślepa miłość i lojalność wobec Calvina zwyciężyły. To na pewno śliczne dziecko i pewnie bardzo je kochasz, szepnęła. Do oczu napłynęły jej gorące łzy. Musi przestać myśleć o Calvinie i jego nowej rodzinie. Amber była tak samo podła jak niegdyś.

Należało wymienić świecę w świeczniku, ale Ruby nie miała siły, by się podnieść. Zdała sobie sprawę, że czuje się okropnie. To pewnie brak ruchu spowodował ten skurcz. Może powinna coś zjeść. Świeca zaczęła syczeć; Ruby wstała z wysiłkiem i zachwiała się. Zakręciło się jej w głowie. Poczłapała do łazienki, osłaniając ręką płomień świecy. Jeśli zgaśnie, otoczą ją kompletne ciemności, a ostatnio poruszała się tak niezdarnie. Nagle poczuła ciepłą wilgoć spływającą po jej nogach. Uniosła sukienkę. Cholera, mruknęła i niechcący zdmuchnęła świecę. Ciągle chciało się jej siusiu, ale światło było teraz najważniejsze. Powlokła się do kuchni i zapaliła nową świecę. Spojrzała na przemoczzone skarpetki i sandały. I w tej chwili spłynęło na nią olśnienie: w łazience odeszły jej wody. Cholera, wymamrotała znowu i kołyszącym krokiem podeszła do telefonu. Zamarła. W słuchawce nie było sygnału. Spojrzała za okno, na szalejącą burzę. Ogarnęła ją fala paniki. I co teraz? Przed oczami stanęły jej zdjęcia z „National Geographic”. Kobiety przerywały pracę w polu, by urodzić dziecko, zawiązywały pepowinę i

pracowały dalej. Zadrżała. Co robić? O Boże, Boże, uderzyła pięścią w dłoń. Czy odważy się pójść do Galenów w nadziei, że odwiozą ją do szpitala? Odpowiedź nadeszła w ułamku sekundy, kiedy cała kuchnia zatrzęsała się od eksplozji, a gałąź drzewa przebiła przegniłe framugi okna. Ruby krzyknęła, zdjęta przerażeniem, zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Poczowała przeszywający spazm bólu w podbrzuszu. Poród. Rozwarła zaciśnięte zęby i odetchnęła głęboko, po czym zgięła się, gdy nadeszła kolejna fala rozdzierającego bólu. Czuła pot, spływający jej po karku i między piersiami. Po raz pierwszy w życiu nie była w stanie zebrać myśli. Ma wytrzeć kałużę w łazience, czy zabić deską okno w kuchni? Ma się położyć, usiąść czy stać? Nawet gdyby zależało od tego jej życie, co wydawało się całkiem możliwe, nie potrafiła sobie przypomnieć, czego nauczyła się w szkole rodzenia. Strach ją sparaliżował. Objęła dłońmi brzuch. Czerń nieba rozdarła kolejna błyskawica. Pioruny waliły jeden po drugim, deszcz siekł w szyby, z taką siłą, że aż dźwięczały. Znowu skurcz. Powinna mierzyć odstęp między nimi, ale zegarek leżał na nocnym stoliku w sypialni. Od kilku dni nie nosiła go, ponieważ pasek uwierał ją w rękę.

Skurcz ustąpił, Ruby odetchnęła głęboko. Przerwa, ale jak długa? Musi coś zrobić. Trzymając świecę wysoko nad głową dokolebała się do sypialni po zegarek. Miała ochotę się rozplakać. Jeszcze nigdy nie była taka bezradna, nawet w Barstow, kiedy ojciec znęcał się nad nią za jakies przewinienie. Wtedy miała do dyspozycji siłę woli i rozum, ale rodzenie dziecka to coś innego niż znoszenie kary. Potrzebowała pomocy i to już. Znowu podniosła słuchawkę. Pewnie zerwało linię w całej bazie. Burza nadal szalała. Grzmoty były tak głośne, że Ruby zakryła uszy. To gorsze niż wszystkie znane jej koszmary. Usłyszała szum dobiegający z radia Andre w, działającego dzięki bateriom. Podreptała do kuchni. Zamierzała nastawić je na cały regulator. Miała nadzieję, że Galenowie usłyszą i zajrzą do niej, jeśli są w domu. Jakoś straciła poczucie czasu. Radio zachrypiało i umilkło. Pewnie baterie się wyczerpały, pomyślała rozpaczliwie Ruby. Dobrnęła do szafki, w której trzymała szczotkę. Potem zaczęła walić w ścianę, aż odłupała z niej kawał tynku, ale Galenowie nie zareagowali. Zanosząc się histerycznym płaczem, powlokła się do sypialni. Musiała się zastanowić, a do tego potrzebowała spokojnej głowy.

Pierwszy poród może być długi, wtedy zdażyłaby wezwać pomoc. Ta burza przecież kiedyś się skończy. Jednak równie dobrze może urodzić zaraz. Kiedyś będzie się śmiać na wspomnienie tego dnia. Kiedyś, kiedyś, kiedyś. A teraz jest teraz, Ruby Blue, i jeśli dziecko zechce wyjść na świat, robi to. Zapaliła ostatnie świece. Wyciągnęła z szafy wszystkie ręczniki i prześcieradła, by rozścielić je na łóżku. Z łazienki przyniosła miednicę z wodą i postawiła na nocnej szafce. Znalazła nożyczki do przecięcia pępowiny.

Zatoczyła się jak pijana, kiedy przeszył ją kolejny skurcz. Zdjęła mokre buty i skarpety, potem zsunęła spódnicę i majtki. Wpełzła na łóżko, jęcząc i płacząc. Pamiętała, że powinna mierzyć czas pomiędzy skurczami i oddychać w odpowiedni sposób, ale nie było przy niej nikogo, kto by odgarnął jej włosy z czoła, czy potrzywał za rękę. Nienawidzę cię, Andrew, nienawidzę. Nie tak to miało być, wyjęczała.

W samym środku skurczu, tak gwałtownego, że nie mogła złapać tchu, przypomniała sobie, że powinna się wygolić. Atak histerycznego śmiechu spowodował, że zapomniała o bólu.

Trzy minuty po piątej rano, kiedy ucichły ostatnie pomruki burzy, wyczerpana, lecz nie posiadająca się z radości Ruby tuliła do siebie dziewczynkę. Nazwała ją Marthą Mary, po swojej babuni.

* * *

Andrew Blue jęczał z rozkoszy pod dotykiem maleńkiej Koreanki.

— Lubisz, żołnierzu? Zrobię jeszcze, zobaczysz. Leż, to zrobię ci miło. Nazywała się Soong Lee i miała szesnaście lat. Prała i prasowała rzeczy Andrew, sprzątała jego kwaterę, a kiedy kończyła z tymi obowiązkami, nacierała mu plecy w śpiworze, jak to określał. Była tak doświadczona w sztuce miłosnej, że zawróciła mu w głowie. W porównaniu z nią Ruby przypominała kłodę. Soong Lee wyglądała jak elf; nagi, śniady elf o łagodnych, aksamitnych oczach. Robiła z nim tak cudowne rzeczy, że nie chciał, by przestała choć na sekundę. Wynosiła go na wyżyny rozkoszy, których istnienia nawet nie podejrzewał. Mógł tylko dyszeć i powtarzać bez końca: „Nie przestawaj. Jeśli zrobisz to z kimś innym, zabiję cię.” Mówił absolutnie poważnie. Za te wszystkie usługi płacił jej starszemu o rok bratu dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie i, jako dodatek ekstra — dwa kartony lucky strike’ów.

— Brat mówi, że ty płac mu dużo, albo ja idę. Wy żołnierze bogate. Ja za dobra dla ciebie, żołnierzu — oznajmiła nagle, przerywając pieszczoty.

Erekcja Andrew odeszła w zapomnienie.

— Zawarliśmy umowę. Jeśli twój brat zacznie brykać, skopię mu ten jego chudy tyłek. Możesz mu to powtórzyć.

— Nie powtarzam. Mój brat szef. On mówi, ja robi. Amerykańscy żołnierze zabili nasza mama i papa. Kim mówi płacisz. Nie płacisz, ja idę.

— Ile? — warknął.

— Trzy kartony papierosy. Trzydzieści dolary. Niedużo dla żołnierza, bardzo ważne dla Kim. Ty płacisz? — spytała niespokojnie.

Andrew uśmiechnął się. A co tam.

— Jeśli zapłacę, co dla mnie zrobisz?

Pokazała mu. A potem jeszcze raz i znowu.

Kiedy zapadł w głęboki sen, Soong Lee zerwała się błyskawicznie z łóżka. Jej aksamitne oczy spojrzały z pogardą na nagiego mężczyznę. Ty pieprzony żołnierzu, syknęła. W okamgnieniu ubrała się w szerokie spodnie i podkoszulek khaki, który wepchnęła za luźny pasek. Miała trzy, może cztery godziny na innego pieprzonego żołnierza i powrót tutaj, zanim ten Amerykanin się obudzi.

* * *

Ruby siedziała w fotelu na biegunach, kołysząc swoje nowo narodzone dziecko, kiedy w mieszkaniu pojawił się żołnierz. Zdołała wreszcie połączyć się przez telefon, pomoc nadeszła błyskawicznie. W szpitalu lekarz oznajmił, że obie są w dobrej formie. Sugerował, żeby przez kilka dni pozostały na oddziale, ponieważ dziecko przy porodzie narażone było na kontakt z mało sterylnym otoczeniem. Ruby nie sprzeciwiła się. Chciała się tylko wykapać, wyspać i dopilnować, by Andrew dostał wiadomość, iż jest ojcem malutkiej córeczki. Niestety, mógł zostać poinformowany dopiero za dwa dni. Priorytety, powiedziano doktorowi.

Kiedy ocknęła się z pochrzekającego dwudziestoczworgodzinne snu, z zaskoczeniem rozejrzała się po pokoju tonącym w kwiatkach, kartkach i podarunkach dla dziecka. Wybuchnęła płaczem i płakała jeszcze wtedy, gdy w drzwiach ukazała się żona generała z pluszowym misiem, oczywiście.

Arlene Frankel otoczyła Ruby ramionami i kołysała ją delikatnie, gładząc jej zmatowiałe włosy.

— Widziałam ją, Ruby. Jest absolutnie cudowna. Pozwolili mi ją pocałować. Możesz ją zobaczyć w każdej chwili, wystarczy przejść na drugą stronę korytarza. Jest piękna, Ruby. Przepraszam cię, że to się tak stało... to ręka boża. Wprost nie mogłam uwierzyć, kiedy się

dowiedziałam. Twój mąż będzie z ciebie dumny, bardzo dumny. A zanim zapomnę, wymieniono ci okno w kuchni. Moje biedactwo, musiałaś być strasznie przerażona.

Ruby pociągnęła nosem. Jak cudownie jest leżeć w czyichś ramionach, być obiektem zainteresowania i troski.

— Nie mam pokarmu — wyznała żałośnie.

— Karmienie butelką jest równie dobre. Odżywka dla niemowląt, syrop Karo i przegotowana woda, właśnie to je twoje maleństwo. Wypiła już całe sto dwadzieścia mililitrów. Powiedziano mi, że ze wszystkim sobie świetnie poradziłaś. Dzisiaj napiszę do generała, jaki z ciebie dzielny żołnierz. Oho, idzie pielęgniarka. Chyba pora na kąpiel. Wypocznij, Ruby, wpadnę jutro.

Cztery dni później Arlene Frankel odebrała Ruby wraz z dzieckiem ze szpitala. Nieco wcześniej kierowca przywiózł do mieszkania wszystkie prezenty. Kiedy drzwi zamknęły się za żoną generała, Ruby popędziła do kołyski i wyjęła z niej śpiącą dziewczynkę. Zaczęła okrywać jej główkę pocałunkami. Po godzinie położyła córeczkę w kołysce i z szybkością, o którą by się nigdy nie podejrzewała, rzuciła się do przygotowywania mleka. Właśnie odstawiła butelki do ostygnięcia, gdy dziecko poruszyło się i zakwiliło.

— Jesteś moja, tylko moja — szeptała Ruby, karmiąc córeczkę. — Nigdy cię nie opuszczę. Będę się tobą zawsze opiekować. Będę dla ciebie bardzo dobra. Tak cię kocham, mała Martho. I wiem, że ty też mnie nie opuścisz. Będę najlepszą matką na całym świecie. Chcę, żebyś kochała mnie tak samo, jak ja kocham ciebie. Nikt na całym świecie nie będzie cię kochał tak jak ja, nawet jeśli wyjdiesz za mąż. Ja zawsze będę kochać cię najbardziej.

Dziecko skończyło pić i beknęło cichutko. Ruby uśmiechnęła się. Była szczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu.

* * *

Andrew Blue brnął przez błoto. Potworna ulewa bębniła mu po plecach jak wodospad. Nienawidził tego zapomnianego przez Boga grajdołu. Było mu gorąco, wszędzie go swędziało. Podejrzewał, że jest zawszony, a to oznaczało długie leczenie. W tej chwili nienawidził wszystkiego, na co padło jego spojrzenie. Nawet Soong Lee. Prawdopodobnie to ona uszczęśliwiła go wszami łonowymi. Przez ostatnie cztery miesiące pieprzyli się niemal bez przerwy. Jezu, jak go swędziało.

Kopniakiem otworzył drzwi swojej kwatery. Soong Lee zaczęła się rozbierać. Przez chwilę na jego twarzy malował się wyraz obrzydzenia, a potem poczuł wzbierającą erekcję. To, w połączeniu ze swędzeniem, rzuciło go na łóżko. Pociągnął za sobą Soong Lee.

— No już! — jęknął. Kątem oka zauważył różowy świstek na szafce. Sięgnął po niego i przeczytał. — Niech to — mruknął i wytrysnął wprost w usta Soong Lee.

Na cztery miesiące przed pierwszymi urodzinami Marthy Andrew dostał rozkaz powrotu do Stanów wraz z generałem Frankelem. Zostali przeniesieni na Hawaje.

Wracał jako syn marnotrawny. Ruby powita go razem z dzieckiem i będą jedną szczęśliwą rodziną. Zmarszczył czoło, wyciągając z szafki na buty gruby plik listów. Było ich chyba ze dwieście. Ruby dotrzymała słowa i pisała dwa, czasami trzy razy w tygodniu. Każdy list, pełny nudnych szczegółów — pogoda, zdrowie i apetyt dziecka, miał kilka stron. Nawet gdyby dożył stu lat, nigdy nie zapomni przerażającej opowieści o narodzinach Marthy i o tym, przez co musiała przejść Ruby. Kiedy dotarł do akapitu opisującego, jak trudno było jej wyprzeć łożysko, zmiął list. Nie musiała mu opisywać tego obrzydlistwa. Tak, jakby naprawdę myślała, że chciał się dowiedzieć o zakrwawionych ręcznikach i skrzepach krwi, przypominających strzępy wątroby. Spojrzał na leżącą przed nim czystą kartkę papieru. Co tam nowego, Blue? Ruby ciągle narzekała, że nie pisze jej o sobie i że jego listy są zbyt krótkie. Ich córka gotowa pomyśleć, iż ojciec się nią nie interesuje. Andrew skrzywił się. Już widział, jak Ruby czyta jego jednostronicowe listy dziecku. Koszmar! Po godzinie list był skończony. Jak zwykle nie pisał w nim o niczym ważnym. Tęsknił, pragnął zobaczyć Marthę i wziąć ją na ręce. Wspominał, jak bardzo jest tu gorąco i że chce przywieźć Ruby i dziecku prezenty z Korei. Pochwalił się, że nie wykorzystał urlopu, by spędzić z nimi po powrocie każdą jego godzinę, każdą sekundę. Zapewnił, że nie może się już doczekać, by wziąć ją w ramiona. Podpisał standardowo: „kocham, Andrew.” Rzucił list na tacę z korespondencją do wysłania i zapomniał o nim.

Myślami wrócił do wydarzeń sprzed miesiąca. Wtedy to Soong Lee opuściła go w środku nocy. Oznajmił jej, że absolutnie nie zamierza wziąć odpowiedzialności za dziecko, które nosiła w łonie. Uderzył ją w twarz i powiedział, co może zrobić z tym alfonsiem, swoim braciszkiem. Od tej pory nie spotkał ani Soong Lee, ani jej brata.

Pogwizdywał, idąc w stronę dżipa zawsze gotowego do drogi. Lubił jeździć generalskim samochodem z chorągiewką z jedną gwiazdką. W przyszłym roku będą na niej widniały dwie gwiazdki, a na kołnierzu Andrew — liście dębu. Aby je zdobyć, musi tylko stać się niezbędnym dla generała i wymazać jakoś to powątpiewanie, które widział w jego oczach. Pearl Harbor to załatwi. Kiedy wróci do swojej małej rodziny, stanie się mężem idealnym, a wtedy...

* * *

Na tydzień przed urodzinami Marthy Ruby dostała list, w którym mąż donosił jej, że jego nieobecność przeciągnie się jeszcze o parę miesięcy. Został przydzielony do Wojskowej Grupy do Spraw Koreańskich, jako doradca koreańskiej piechoty morskiej. Zgłosił się na ochotnika, ponieważ widział, że generał tego od niego oczekuje. „Będzie ci się podobać nasze nowe miejsce pobytu” — napisał, dodając do tego całą linię wykrzykników. Ruby trzymała list w ręku i przyglądała się swojej jednorocznej córce, mozolnie wznoszącej chwiejną budowlę z jaskrawych klocków. Kiedy dziewczynka znużyła się zabawką, Ruby ułożyła córkę do drzemki. Mała wtuliła buzię w ręcznie szytą koldrę. Ruby uśmiechnęła się. Jej oczy były pełne miłości.

Odczytywała właśnie po raz drugi list Andrew, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołała, myśląc że to któraś z koleżanek.

— Szregowiec Wagoner — przedstawił się młody mężczyzna, zdejmując czapkę. — Czy pani Ruby Blue?

Skinęła głową.

— Mam dla pani wiadomość z dowództwa.

— Dziękuję, żołnierzu. — Jej dłoń zaczęła drżeć. Wiadomość była zwięzła. Ruby ma udać się do nowego miejsca zakwaterowania Andrew. Dokładnie za tydzień, w urodziny Marthy. — Niby jak mam tego dokonać? — szepnęła z niezadowoleniem. Nawet nie wie, gdzie mieli zamieszkać. Odwróciła kartkę i natychmiast otrzymała odpowiedź. — Hawaje! A mój samochód? Skąd mam wziąć na to pieniądze?

Siedem dni! To niemożliwe. Poza tym zamierzała wyprawić urodzinowe przyjęcie dla Marthy. Zaprosiła państwa Query. Niech cię diabli, Andrew. Nie wierzę, że wszystko wydarzyło się w ostatniej chwili, bo gdyby tak było, pani Frankel by mnie uprzedziła. Wpadła w popłoch, jeśli pojedzie na Hawaje, gdzie zamieszka? Hawaje, raj na ziemi, ale jeśli ktoś pomylił rozkazy, razem z dzieckiem wyląduje na ulicy. Słyszała budzące grozę opowieści o mylnie wydanych rozkazach.

Podniosła słuchawkę. Rzeczowym, oficjalnym tonem, który opanowała, pracując jako sekretarka admirała Query, wyjaśniła zaistniałe okoliczności i jednocześnie wyraziła swoje niezadowolenie z faktu, iż zostawiono jej tylko siedem dni na przeprowadzkę z jedenastomiesięcznym dzieckiem. Zasugerowała też możliwość pomyłki.

— A co z moim samochodem? Co mam z nim zrobić? — dodała.

— Pani Blue, jako żona wojskowego, jest pani zobowiązana zastosować się do rozkazów.

— Ach, tak, rozumiem, ale uważam, że to absolutnie nie do przyjęcia. Wyjadę stąd za siedem dni, bez problemu, ale do Waszyngtonu. Wam zostawię wytłumaczenie się przed moim mężem i generałem Frankelem. — Trzasnęła słuchawką tak mocno, że popielniczka Andrew spadła na podłogę i rozprysnęła się na kawałeczki.

Pułkownik Oliver Peters wypuścił głośno powietrze i zaklął paskudnie.

— To ta, co urodziła dziecko. Tak, podopieczna Frankela. Ma własny samochód. Mogę się założyć, że rzeczywiście pojedzie do Waszyngtonu. Zupełnie nie do przyjęcia, co? Pomyłka w rozkazach? Może i ma rację. Ta cholerna piechota morska niczego nie umie dopilnować. Kobiątka ma charakter. I co teraz? Jeśli mężuś jest adiutantem Frankela, lepiej o tym nie zapominać, ale jestem tylko posłuszny rozkazom, tak jak i wy.

— Nie truj — zarechotał rubasznie major. — Na miłość boską, Ollie, uruchom swoje znajomości. To przecież ogólnie przyjęte. Dziewczyna ma rację, pewnie rzeczywiście ktoś się pomylił.

— Rozkaz to rozkaz.

— Ja bym się nie podkładał — poradził major. — Baba może spakować manatki, wsadzić dziecko do samochodu i zrobić to, co powiedziała.

Peters uderzył pięścią w biurko.

— Jeśli tak, to nie należy już do armii. Jak ci się to podoba?

— Najwyraźniej ta pani już doszła do tego wniosku — mruknął nieśmiały podporucznik.

— Muszę to sprawdzić. Niech żaden nie opuszcza pokoju — warknął Peters, wychodząc wielkimi krokami z pokoju.

* * *

Było siedem minut po siódmej, kiedy pułkownik Peters zastukał ostro do drzwi Ruby. Otworzył szeroko oczy, gdy stanęła przed nim z rozespanym, złotowłosym dzieckiem w ramionach. Wyglądała zupełnie zwyczajnie. Dziecko też było słodkie.

— Tak? — spytała, najwyraźniej zaskoczona.

— Chyba już rozmawialiśmy, pani Blue. Pułkownik Peters. Jutro jeden z moich ludzi przyniesie pani bilety lotnicze. Ktoś wyjdzie po panią w Oahu i zawiezie do Pearl. Umieściliśmy panią w bazie. Pani samochód zostanie przewieziony statkiem. Proszę niczego nie pakować z wyjątkiem rzeczy osobistych, należących do pani i dziecka. Ekipa przeprowadzkowa zajmie się resztą. Jeśli cokolwiek ulegnie zniszczeniu, proszę to zgłosić, a otrzyma pani rekompensatę. Została pani potraktowana wyjątkowo, pani Blue. Proszę nie... przeciągać sprawy dłużej niż o dwadzieścia cztery godziny. Czy to do przyjęcia?

— Ależ tak... ale nie... tak, sir, to zupełnie co innego. Dziękuję.

— Cała przyjemność po mojej stronie... — Akurat, mruknął, siadając za kierownicą nowiutkiego samochodu, dla którego przymilał się, żebrał i oszczędzał przez długie trzy miesiące.

Ruby rozglądała się po swoim nowym mieszkaniu, tak czystym, że w pierwszej chwili oniemiała z wrażenia. Ciekawe, czy to dlatego, że jej mąż jest kapitanem, czy też ze względu na to, że po raz pierwszy sama postanowiła dochodzić swoich praw.

Prawie natychmiast po przyjeździe napisała do Opal, Amber i banku w Waszyngtonie. Potem wynajęła skrytkę pocztową, by jej korespondencja z bankiem nadal pozostała tajemnicą.

Nie dzwoniła do Frankelów. Umierała z ochoty, by dowiedzieć się czegoś o swoim mężu, ale to byłoby złamaniem zasad. Wcześniej czy później, zakładając, że pani Frankel wiedziała o przeprowadzce Ruby, sama do niej zadzwoni lub prześle liścik przez jednego z adiutantów.

Zameldowała się w bazie, odcierpiała obowiązkowe przyjęcie powitalne i zignorowała inne zaproszenia. Miała dziecko, które jej potrzebowało. Grzecznie, lecz stanowczo odrzucała zaproszenia na rozmaite herbatki. Chciała zwiedzić tę wspaniałą wyspę i dowiedzieć się czegoś o jej mieszkańcach. Pokochała plażę i migoczący błękit wody, podobnie jak Martha. Całe dni spędzała z córką na słońcu, pluskając się w wodzie i budując zamki z piasku. W ciągu tego miesiąca bawiła się jak nigdy w życiu.

Gwałtowne pukanie do drzwi obudziło Ruby. Spojrzała sennie na mały budzik na szafce nocnej. Kto dobija się tak wcześnie? Pobiegła do drzwi bosą, po drodze zawiązując pasek szlafroka. Pod nosem mruczała o egoistach, którzy zrywają ludzi o świcie. Otworzyła szeroko oczy, rozpoznając oficera od spraw zakwaterowania. Serce podeszło jej do gardła. Czuła, że nie spodoba się jej to, co za chwilę usłyszy.

— Proszę opuścić dom do południa. Zgodnie z tym rozkazem. — Machnął jej przed oczami czymś, co wyglądało jak trzecia odbitka rozkazu. — Pani nie powinna zajmować tego domu. Nastąpiła pomyłka. Przykro mi, ale niczego nie mogę zrobić. Dom został zarezerwowany dla pułkownika i jego rodziny. Oficer przydzielający kwatery pomylił się i dopiero teraz odkrył swój błąd.

— Nie rozumiem. Nie mam dokąd pójść. Wydałam wszystkie pieniądze na przeprowadzkę i nie dostałam jeszcze żołąd męża. Jak możecie mi to robić? Mam małe dziecko...

— Proszę pani, ja tylko przekazuję rozkazy. Do południa — przypomniał i odmaszerował.

Ruby zatrzasnęła drzwi. Boże, to niemożliwe! — jęknęła. Martha zakwiliła. Po raz pierwszy od narodzin Marthy zignorowała ją i pośpiesznie wykręciła numer kwatermistrzostwa. Po pół godzinie wiedziała już, że nie ma wyjścia. Musi się przeprowadzić. Tylko dokąd?

W tej chwili dysponowała dwudziestoma trzema dolarami i paroma centami. Wczoraj właśnie zapłaciła czynsz. Nie miała co liczyć na szybkie odzyskanie tych pieniędzy; będzie się to wlec miesiącami. Dwa dni temu zrobiła potężne zakupy. I co teraz? Bez lodówki wszystko się zepsuje w tym upale.

Po godzinie pakowania po policzkach Ruby potoczyły się gorące łzy. Jak mogli postąpić z nią w ten sposób? To niesprawiedliwe. Musi zostawić meble, naczynia i zabawki Marthy. Bagażnik samochodu pękał w szwach, a tylne siedzenie już było zawałone gratami. Ona i Martha ledwie się zmieszczą. Ogarnęła ją furia.

Dobrze wyniesie się, ale najpierw powie im do słuchu. Wpadła do budynku kwatermistrzostwa z Martha w ramionach i dała upust takiemu wybuchowi złości, że wszyscy zamarli. Kończąc swoją tyradę, zawołała:

— Powinniście się wstydzić! Idźcie wszyscy do diabła! — Wyjęła swoją wojskową przepustkę i podarła ją na strzępy. — Ot, co myślę o piechocie morskiej!

Zamierzała pojechać do miasta, a ocknęła się przy plaży. Poczowała się bardzo zmęczona i otępiała. Dzięki piechocie morskiej były bezdomne. Machinalnie pomogła wysiąść córeczce, która, piszcząc z radości, pobiegła truchcikiem na plażę, szybko przebierając nóżkami.

Gdy Martha bawiła się w piasku, Ruby usiadła, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Co teraz zrobi? Będę spać na plaży, w samochodzie? To jakaś koszmarna pomyłka. Wcześniej czy później zostanie naprawiona. Chociaż może nie przed powrotem Andrew, gdziekolwiek się podziewał. Czy Frankelowie pomyślą o niej? Teraz żałowała, że nie była miłsza dla innych kobiet i że nie przyjmowała ich zaproszeń na te cholerne herbatki i obiadki, ale to oznaczałoby, że musi wynająć kogoś do dziecka, a nie miała pieniędzy na takie luksusy. Ale czy te interesowne baby by jej pomogły? Wątpiła w to. „Możesz polegać tylko na sobie samej”. Słowa te usłyszała tak wyraźnie, jakby babunia stała tuż obok. Otarła łzy rękawem bluzki. Nie może tu tak siedzieć, musi coś zrobić.

Nie zważając na wierzganie i krzyki Marthy, Ruby otrzepała jej stopki z piasku i zapakowała z powrotem do samochodu. Ruby, jadąc autostradą Nimitz, postanowiła zatrzymać się przy pierwszym napotkanym kościele. Dobrzy księża się nią zajmą. Spuściła głowę, przypomniawszy sobie, że niemalże wyparła się Boga, zostawiając Biblię w pociągu. Jeśli miała zostać za to ukarana, to teraz nadeszła ta pora. Martha, zmęczona płaczem, zasnęła z paluszkami w buzi. Biedne... bezdomne dziecko.

Zahamowała ostro przed wysoką, smukłą świątynią. KATEDRA POD WEZWANIEM ŚW. ANDRZEJA. Kościół episkopalny, ale było jej wszystko jedno. To pewnie jakiś omen, znak. Wyglądało na to, że przejechała spory kawał drogi. Mętnie przypomniawszy sobie, iż mijiała Waikiki. Wiedziała, że musi coś wymyślić albo ona i Martha naprawdę spędzą tę noc na plaży.

Nie chciała budzić dziecka, ale nie miała wyboru. Na szczęście córeczka westchnęła tylko głęboko i dalej spała z główką na jej ramieniu. Martha robi się ciężka, pomyślała Ruby. Nie może odwlekać tej decyzji, musi ruszyć się z miejsca i pójść na plebanię.

Zarumieniona z wysiłku, córeczka naprawdę była ciężka, spojrzała błagalnie na mężczyznę w kolaratce.

— Ojczy, potrzebuję pomocy — szepnęła.

Ojciec Joachim zaprowadził ją do krzesła i zaproponował, że wezwie kogoś, kto zajmie się śpiącym dzieckiem. Ruby pokręciła głową.

— Obudzi się i zacznie płakać. Boi się obcych miejsc. — Opowiedziała mu o tym, co się stało. — Nie ma po co wracać i błagać ich albo walczyć. Ta pomyłka zostanie wyjaśniona, ale na razie potrzebuję dla Marthy spokojnego schronienia. Musi mi ojciec pomóc. Nie wiem, gdzie jeszcze mogłabym się zwrócić. Jeśli ksiądz pozwoli mi na telefon zamiejscowy, zadzwonię do mojego banku w Waszyngtonie i poproszę o przysłanie pieniędzy. Nie będzie to dużo, ale mogę płacić księdzu, dopóki... dopóki nieporozumienie się nie wyjaśni. Lada dzień powinnam też dostać żołąd Andrew. Czy ksiądz mi pomoże? — spytała bez tchu. Ma dobre oczy i spracowane ręce, pomyślała. Wygląda na miłego, delikatnego człowieka.

— Oczywiście, moje dziecko. — Uśmiechnął się, a mroczny pokój jakoś się rozświetlił. — Mamy tu mały budynek dla gości. Możesz zostać tak długo, jak ci się spodoba. Ale musisz też wziąć na siebie część obowiązków, gotowanie i sprzątanie. Dożywa tu swoich dni parę starszych osób, potrzebujących pomocy. Ten aniołek, którego trzymasz w ramionach, z pewnością ich rozweseli. Powiedzmy, że twoją kruszynę będzie niańczyć pół tuzina dziadków i babć.

Ruby odetchnęła z ulgą.

— Ile to będzie kosztować, ojczy?

— W dolarach i centach? Nic. Jeśli chodzi o uczucia i pracę, bardzo dużo. — Oczy zalśniły mu wesoło. — Chyba się na to zgodzisz? Widzisz, mam paru dość zamożnych parafian,

obdarzających mnie hojnymi datkami. Być może kiedyś, gdy zacnie ci się lepiej powodzić, przypomnisz sobie o Świętym Andrzeju.

— Przypomnę sobie, ojcze, przysięgam. To znaczy... chciałam powiedzieć... obiecuję.

— A zatem, Ruby Blue, przyjmuję twoją obietnicę. Według mnie — powiedział, a jego oczy zamigotały znowu — obietnica jest bardziej wiążąca niż podpisanie kontraktu. Jeśli przyjmujesz moje warunki, chodźmy. Później przyślę kogoś po twój samochód.

Ściany budynku pokrywały bujnie rozkrzewione pnącza. Sześciokątne okna i ciężkie dębowe drzwi nadawały mu wygląd domku z bajki. Jak okiem sięgnąć, rosły bujne kwiaty i wspaniałe hibiskusy. Trawniki były przyszyrzyżone i bardziej zielone niż szmaragdy. W oddali zaszczekał pies.

Ksiądz uśmiechnął się.

— To Joshua, strażnik naszego małego gospodarstwa. Niestety, jest już stary, ale bardzo lubi dzieci.

Wewnątrz budynek był równie ujmujący, jak na zewnątrz. Okazał się przestronniejszy, niż sądziła — znajdowała się tu kuchnia, salon i trzy sypialnie z rzędami łóżek i szafek, ale tylko jedna łazienka.

Na ścianach wisały barwne obrazki, najwyraźniej zostawione tu przez poprzednich gości. Na wiklinowych mebelkach leżały kwieciste poduszki. W kącie stało monstrualnie wielkie radio. Na wszystkich stolikach paliły się lampki, wykonane ze szklanych słoików, wyklejonych muszlami. Na podłodze o kamiennych płytkach leżały maty. Kuchnia była nowoczesna i czysta, podobnie jak łazienka. Stała w niej nawet pralka z wyżymaczką. Przez całe podwórko ciągnęły się sznury z praniem. To miejsce wydało się Ruby pałacem.

— Proszę wejść, a ja przedstawię panią współlokatorom. W dzień zwykle siedzą na zewnątrz ze szklaneczką ananasowego soku własnej roboty.

Joshua, spaniel w kolorze toffi, przytruchtał do Ruby i obwąchał jej stopy. Pochyliła się i podrapała go za jedwabistym uchem.

Ogród wydał się jej najpiękniejszym miejscem na świecie, przynajmniej z tych, które dotąd widziała. Cudowne, wonne kwiaty pyszniły się wspaniałymi barwami. Odetchnęła głęboko, rozkoszując się egzotycznymi zapachami. Ogród otaczał betonowy mur, pomalowany na biało. Do odpoczynku zapraszały białe altanki, oplecione winoroślą. Kobiety miały na sobie kolorowe, długie sukienki i sandały, trzej mężczyźni luźne bawełniane spodnie i koszule w kwiaty. Wszyscy byli starzy. Nie sposób uwierzyć, że mogli pracować tak ciężko, by utrzymać w porządku budynek i ogród. Na ich twarzach gościło przyjazne zainteresowanie. Jedna ze staruszek podała Ruby szklaneczkę soku ananasowego. Druga wyciągnęła ramiona do Marthy. Jeszcze inna skinęła z szerokim uśmiechem, wskazując miejsce przy stole. Ojciec Joachim popchnął Ruby w ich stronę.

— Przez pewien czas będą twoją rodziną, moja droga — powiedział z promiennym uśmiechem.

— Ojcze, jakim cudem ci ludzie są w stanie utrzymywać ogród i dom? Osoby w ich wieku nie powinny pracować tak ciężko.

— Nie mogę się z tobą nie zgodzić, ale ci ludzie, jak ich nazywasz, nie chcą jałmużny. Są dumni. Jeśli nie będą mogli pracować na swoje utrzymanie, odejdą.

— Ale dokąd? — spytała Ruby, wstrząśnięta.

Ojciec Joachim wzruszył ramionami.

— Nie wiem, a oni nie powiedzą. Większość — dodał, zniżając głos — umiera tutaj spokojnie we śnie.

Nagle Ruby poczuła, że ktoś wyjmuje Marthę z jej ramion. Zareagowała instynktownie i odebrała dziecko kobiecie, nazywanej Mattie, gdyby pastor jej nie powstrzymał. Martha z początku nieufna, potem rozchichotała się rozkosznie, bo Mattie połaskotała ją pod bródką. Pozostali otoczyli je, nie podchodząc jednak zbyt blisko, żeby nie przestraszyć dziecka. Joshua szczerknął aprobująco i polizał pulchne nóżki Marthy. Dziewczynka zanosła się śmiechem i zaczęła łapać język psa.

— Zdaje się — zauważył żartobliwie pastor — że Joshua znalazł wreszcie przyjaciółkę. On też stracił dom. Znalazłem go na ulicy parę lat temu. Był wygłodzony i ranny. Jest jednocześnie naszą maskotką i obrońcą. Nie skrzywdzi dziecka, nie trzeba się bać.

Ruby nie miała ochoty na kwaśny sok z ananasa, ale i tak go wypijała. Nie mogła obrazić tych promiennych ludzi.

— Teraz zostawię was samych. Obowiązki mnie wzywają. Jeśli będziecie mnie potrzebować, przyslijcie Joshuę. Wystarczy powiedzieć: przyprowadź ojca Joachima. Trudno w to uwierzyć, ale on naprawdę rozumie, co się do niego mówi.

— Ojciec... Jak mogłabym...

— Cśśś, dziecko, nie trzeba. Cieszę się, że nas znalazłaś. Jeśli będziesz chciała porozmawiać, przyjdź po kolacji na plebanię. Zawsze jestem do dyspozycji.

Ruby zajęła miejsce za stołem. Mattie wyciągnęła dłoń, a ona ujęła ją mocno. Neli, bliźniaczko podobna do Mattie, uśmiechnęła się, a dwa przednie złote zęby błysnęły w popołudniowym słońcu. Ruby uśmiechnęła się mimo woli, kiedy Martha próbowała złapać błyszczący ząb. Rosie roześmiała się głośno. Córeczka Ruby promieniała radością. Mężczyźni, równie starzy, jak kobiety, śmiali się i klaskali. Simon, zgięty wpół, o skórze koloru włoskiego orzecha, oznajmił skrzypiącym głosem, że Martha uwielbia, kiedy się do niej mówi: „Cześć, malutka”. Kało klasnął z zachwytem w dłonie. Widać było, że jest opóźniony w rozwoju. Wskazał na równiutkie i zadbane grządki, by podkreślić, że to jego dzieło. Zerwał się z krzesła i po chwili wrócił z nareczem kwiatów. Wyciągnął je w stronę Ruby, pokazując, że są przeznaczone dla niej, po czym dał je Neli, która natychmiast zaczęła pleść z nich girlandę. Peter, siwiuteńki jak gołąbek i bezzębny, skłonił się z uszanowaniem i spytał:

— Czy mogę potrzymać twoje dziecko?

Ruby skinęła głową.

— Stracił rodzinę, kiedy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor — szepnęła cicho Mattie. — Kocha dzieci. Jak my wszyscy, ale żadne z nas nie ma rodziny. Czy pozwolisz nam pokochać to dziecko jak własną wnuczkę?

— A czy ja też mogę być waszą wnuczką? — spytała Ruby zdławionym głosem.

Spojrzeli na siebie niepewnie.

Ruby wyciągnęła rękę w stronę Marthy.

— Obie potrzebujemy dziadków. Nawet, kiedy stąd wyjedziemy, będę tu wracać razem z Martha, obiecuję.

— Wrócisz?

Ruby skinęła głową ze łzami w oczach. Oparła łokcie na stole i uśmiechnęła się łagodnie. Piechota morska popełniła błąd, ale ona zrobiła to, co trzeba. Dopóki wszystko się nie wyjaśni, będzie mieszkać w najpiękniejszym miejscu pod słońcem. Wszystko w końcu układa się tak, jak należy, mawiała jej babcia. Dokładnie tak, jak należy.

* * *

Przez następne dni Ruby pracowała od wschodu do zachodu słońca, czyszcząc, myjąc, piorąc, prasując i gotując, a jej babcie i dziadkowie opiekowali się Marthą. Była tak zmęczona, że często zapadała w drzemkę, siedząc z innymi przy kolacji. Kało, który zajmował miejsce obok niej trącał ją łokciem i uśmiechał się, wskazując na widelec. Początkowo protestowali, gdy przejęła ich obowiązki, ale kiedy wyjaśniła, że w przeciwnym razie będzie musiała odejść, z radością odstąpili jej swoje zajęcia i zajęli się dzieckiem. Nie raz zdarzało się, że Nelie albo Rosie pomagały jej dojść do łóżka, gdzie zapadała natychmiast w twarde sen. Miała swoją rodzinę, tak jak i jej córeczka, i tylko to ją interesowało. Raz w tygodniu dzwoniła do kwatermistrzostwa, by sprawdzić, czy pomyłka została wyjaśniona. Odpowiedź brzmiała zawsze tak samo.

Nosiła się z zamiarem pojechania do bazy po korespondencję, ale instynkt podpowiadał jej, że listy na jej nazwisko odsyłano z adnotacją „Zwrot do nadawcy”, więc przestała zawracać sobie głowę długą podróżą. Poza tym miała zbyt wiele roboty i nie mogła wydawać pieniędzy na benzynę.

Kiedy zmieniła miejsce pobytu, chciała napisać do wszystkich i powiadomić ich, gdzie się znalazła, ale każdego dnia była tak zmęczona, że natychmiast zasypiała.

Wreszcie pewnego popołudnia przeliczyła drobne w portmonetce, zostały tylko dwa dolary. Zdała sobie sprawę, że mieszka w przytułku Świętego Andrzeja od sześciu tygodni. Nie mogła dłużej zwlekać z zadzwonieniem do banku w Waszyngtonie. Dwa dolary pójdą na rozmowę telefoniczną. Zganiła się za opieszałość. Kiedy Martha zdrzemnęła się po obiedzie postanowiła poszukać budki telefonicznej. Nagle zdała sobie sprawę z różnicy czasu. Powinna zadzwonić wcześniej rano, ponieważ bank zamykano o drugiej. Zrobi to jutro, zdecydowała. Po kolacji może zagnieść ciasto na cytrynowe bułeczki. Jeśli przyrządzi wcześniej sok z ananasa, nie będzie można powiedzieć, że uchyła się od obowiązków.

Spojrzała na kosz ze stertą prasowania. Wczoraj Peter skarżył się, że jego spodnie są zbyt sztywne. Dziadkowie i babcie nie lubili krochmalu, musiała o tym pamiętać. Przed jej przybyciem nie prasowali swoich rzeczy, ale teraz wszyscy zachwycali się gładziutkimi sukienkami, koszulami i spodniami. W głębi duszy Ruby podejrzewała, że uważają jej wysiłek za bezsensowny. W ciepłym i parnym powietrzu na ubraniach w ciągu godziny powstawało mnóstwo zagnieceń. Ale jej było to obojętne. Prasowanie należało do jej obowiązków.

Wiele rzeczy było wtedy obojętne Ruby Blue.

Następnego ranka, kiedy na trawie ciągle jeszcze perlily się krople rosy, Ruby ruszyła w poszukiwaniu budki telefonicznej, ściskając w ręku portmonetkę z pieniędzmi.

Dziesięć minut później Ruby zakończyła rozmowę, zupełnie zbita z tropu. Na jej koncie znajdowało się dziewięć dolarów. Kupiono pompy dla domu przy Poplar Street, ponieważ ulewa zalała piwnice, i nową lodówkę do domu przy O Street, ponieważ stara nie dała się naprawić. Część domu przy Poplar Street zawałiła się podczas tej samej ulewy. Dwa tylne schodki w domu przy O Street musiały zostać wymienione, w przeciwnym razie agencja ubezpieczeniowa nie zgodziłaby się odnowić polisy. Bruno nic nie zrobił, ponieważ dostał przepukliny i lekarz zabronił mu wysiłku. Chciała poprosić o pożyczkę, ale nie pozwoliła jej na to duma. Nie mogła też zadzwonić do Reny. Miała już dość kłopotów z powodu Bruna.

I tak jej się poszczęściło, ponieważ bank zgodził się zapłacić za rozmowę.

W połowie drogi zatrzymała się i wróciła do budki telefonicznej. Wrzuciła dziesięć centów i wykręciła dobrze sobie znany numer kwatermistrzostwa. Nic się nie zmieniło i nie czekały na nią żadne listy. Zmarnowała tylko pieniądze. Teraz miała już tylko dolara i dziewięćdziesiąt centów. Musi robić dobrą minę do złej gry. Dziadkowie i babcie wyczuwali zmiany jej nastroju. Jeśli była zwyczajnie zmęczona, uśmiechali się i próbowali jej jakoś pomóc. Trzy dni temu Rosie

zauważyła, że Ruby liczy swoje skromne zasoby. Obserwowała ją, kiedy płaciła mleczarzowi za mleko dla Marthy. Wyczuwali, że się martwi i ich twarze również wyrażały niepokój.

Dzisiaj wypadał dzień prania. Musiała także upiec chleb. Wtorek był zawsze dla Ruby najbardziej pracowitym dniem. Być może, gdyby była bardziej czujna i m — niej zmęczona, zauważyłaby, że przez kilka ostatnich dni Kało zniknął z przytułku tuż po obiedzie. Powinna spostrzec zadowolone miny pozostałych staruszków, ale to także umknęło jej uwagi. Martha kaprysiła, może dlatego, że ostatni uparty ząbek z trudem przebijał się przez dziąsło.

Ruby otarła łzy, nie dość, że zmęczona fizycznie, to jeszcze bliska załamania. Została teraz niemal zupełnie bez środków do życia. Fakt, że do tej pory mogła kupować mleko dla córeczki czynił jej położenie znośnym. Nie wątpiła, że ojciec Joachim chętnie dołączyłby mleko dla Marthy do spisu niezbędnych zakupów, ale nie mogła się zmusić, żeby go o to poprosić. Była matką Marthy i powinna zapewnić jej byt.

Na stole stały kwiaty, które Martha zrywała każdego popołudnia. Ruby zawsze stawiała je na stole w niskiej salaterce. Uwielbiała, kiedy Martha klaskała w rączki i wołała: „Kwiatki!” Dziś Ruby podała gulasz jagnięcy, rozgotowany na papkę, odpowiednią dla bezzębnych dziąseł. Staruszkowie lubili maczać świeży chleb w gęstym sosie. Nawet Martha przepadała za ssaniem skórki chleba.

Ruby zmuszała się, by rozmawiać wesoło i beztrąsko. Wiedziała, że nie udało się jej ich oszukać. Peter wstał i odniósł naczynia do zlewu. Inni nadal siedzieli, choć w dniu pieczenia chleba nie przewidywano żadnego deseru. Coś zaraz się stanie, pomyślała, zauważywszy porozumiewawcze spojrzenia staruszków. Siedziała spokojnie. Pewnie chcą jej opowiedzieć, jakiego figla spłatali dziś Martha i Joshua.

— Mamy dla ciebie prezent, panienko — oznajmiła Rosie, błyskając złotymi zębami. — Kało, daj prezent panience Ruby.

Kało obszedł stół i zbliżył się do niej. Uśmiechnął się, a jego oczy zalśniły chytrze, kiedy sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mały jutowy woreczek, własnoręcznie uszyty. Coś zabręczało w nim cicho, kiedy kładł go na stole. Spojrzała na staruszkę z wyrazem czystego zachwytu.

— To dla mnie?

Kało uśmiechnął się, pozostali również. Nawet Martha przestała bić łyżką w stół, zaciekawiona dziwną sytuacją. Ruby była pewna, że w woreczku znajdują się kamienie szczęścia. Opowiedziała niegdyś Kało, jak wyławiała je ze strumienia w Barstow. Odtąd codziennie przynosił jej najróżniejsze kamyczki, a chociaż nie były one kamieniami szczęścia, Ruby twierdziła, że nimi są.

Wytrząsnęła zawartość woreczka na stół i wybuchnęła płaczem.

— Na mleko Marthy — oznajmił Simon z satysfakcją. — Teraz zostaniesz długo.

— To uczciwe pieniądze — dodał Peter z zadowoleniem. — Nie jałmużna. Prezent dla Marthy.

— My starzy, nie głupi. My widzimy, jak liczysz pieniądze — powiedziała Mattie swoją najlepszą angielszczyzną. — I starczy na benzynę. Zabierzesz nas na plażę. Pochodzimy po wodzie.

Ruby wytarła nos.

— Tak, to więcej niż dość, ale skąd to macie? — Wskazała na stertę monet i pomiętych jednodolarowych banknotów.

— My robili girlandy i laleczki z trawy. Kało nosił je do Waikiki i sprzedawał turystom. Uczciwe pieniądze. Tylko twoje, panienko Ruby — oznajmiła uszczęśliwiona Nelia.

— Ale jak on tam docierał? To tak daleko! — spytała przerażona Ruby.

— Szedł — odrzekła Rosie z godnością.

Ruby znowu zaczęła płakać. Jak ten drobny, krzywonogi człowieczek zdołał przebyć tak daleką drogę i jak przy swojej awersji do rozmowy, potrafił wszystko sprzedać. Zerwała się z krzesła i objęła go mocno. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Potem obejmowała pozostałych, aż od tych uścisków zakręciło się jej w głowie.

— Ile to? — spytała Mattie.

— Wystarczy nawet dla króla — roześmiała się Ruby. — Albo dla królowej. — Przeliczyła monety, rozkładając je na małe stosiki. — Czterdzieści dwa dolary i dwadzieścia pięć centów. Panie na wysokościach, jak zdołam się wam odwdziżyć?

— Zostań. Pojedziemy samochodem, hę? — dopytywała się Rosie.

— No pewnie, że pojedziemy. Jutro. Żadnych zajęć, żadnego gotowania, niczego. Jutro jest święto w przytułku Świętego Andrzeja, ustanowione przez Ruby Blue.

— Nie jałmużna — podkreśliła Nellie, kiwając palcem.

Opuścili kuchnię; Joshua zamykał pochód.

Ruby wycierała właśnie ostatnie talerze, kiedy wszedł ojciec Joachim, w rękę trzymał list.

Wysłuchał opowieści Ruby, ale jego oczy były smutne.

— Nie wiem, co zrobisz, kiedy odejdziesz. Bardzo się przywiązali do ciebie i twojej córeczki. Wiedziałem, co robili, i dałem im moje błogosławieństwo. Być może ten list jest odpowiedzią na twoje pytania. Dziękuję ci, Ruby, za to, że byłaś tak dobra dla mojej trzódki.

— Ojcze, gdyby nie ty, Martha i ja koczowałybyśmy na plaży, nie mając dachu nad głową. Do tej pory pewnie już byśmy umarły z głodu. To ja powinnam ojcu dziękować. Musi mi ojciec uwierzyć, że nigdy o tym nie zapomnę i że jakoś zdołam się odwdziżyć. Może nie od razu, ale zrobię to.

— Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko. Pora na wieczorne nabożeństwo. Mam nadzieję, że w tym liście znajdziesz dobre wiadomości. Dobranoc, moja droga.

Ruby usiadła za stołem przy resztkach kawy, by przeczytać list męża.

Droga Ruby

Co mają znaczyć te cholerne bzdury o tej pieprzonej misji, w której mieszkasz razem z naszym dzieckiem. Jeśli tylko na tyle Cię stać, lepiej się wysil bardziej i nie pieprz, że to piechota morska wyrzuciła Cię z dzieckiem na ulicę. Piechota morska nie robi takich rzeczy. Pewnie zachowywałaś się tak, że musieli Cię wyrzucić i to właśnie naprawdę miało miejsce. Komu nastąpiłaś na odcisk? Pewnie zadartaś nosa i nie chciałaś się podporządkować. Tak było, co?

Lepiej, żebyś się wyprowadziła z tego zawszonego przytułku. Jak mogłaś być taką idiotką! Jak to będzie wyglądać? To, że pani Frankel nie skontaktowała się z Tobą, upewnia mnie, że speprzyła sprawę. I nie wierzę w te bzdury o pomyłonych rozkazach. Owszem, pewnie się pomylili, ale wyprostowali to w ciągu kilku dni.

Kiedy wrócę, lepiej, żebym Cię znalazł w bazie, nie w tej choliernej misji. Rusz dupę i zrób coś. Przyjadę za sześć tygodni. Jestem głęboko zawiedziony Twoim postępowaniem. Z wyjątkiem tej sprawy z Dixie miałaś dobry początek. Myślałem, że będziesz lepszą matką. Co w tym trudnego? Jeśli tylko zastanowisz się nad tym, co Ci się nie udało, zrozumiesz, jak wiele popełniłaś błędów. Armia ma dobrą pamięć. Urodzenie dziecka w domu jest tak idiotycznym wyglupem, że nigdy nie przestaną o tym mówić. A to, że podartaś swoją przepustkę, też do nas przyłgnęło. O takich rzeczach się nie zapomina.

Chciałem, żebyś była moją dumą, nie upokorzeniem.

Andrew

Ruby złożyła list i podarła go na drobne kawałeczki. To samo zrobiła z kopertą z nadrukiem poczty lotniczej. Nie uroniła ani jednej łzy, kiedy strzępki papieru sfrunęły do kosza na śmieci. Idź do diabła — warknęła. Nawet nie spytał o Marthę. Teraz nic na świecie nie zdołaloby zmusić jej do działania. Tutaj zaczeka na swojego męża, bez względu na wszystko.

* * *

Dwa tygodni później, przejęta niesmakiem do samej siebie, usiłowała połączyć się z panią Frankel. Telefon odebrał adiutant, który oznajmił, że generał wraz z żoną wyjechali do Stanów i wrócą dopiero po Świącie Dziękczynienia, najpóźniej do pierwszego grudnia. Nie wiedziała dlaczego, ale poczuła ulgę. Teraz mogła tu zostać. Przestała dzwonić do bazy. Mieli numer przytułku. Niech Andrew się z nimi użera. Niech sam się przekona, jak wspaniała jest ta jego piechota morską.

Nie odpisała mężowi, nie miała na to najmniejszej ochoty. Ciągle była na niego zła i tak miało pozostać jeszcze przez długi czas. Andrew powinien ją przeprosić za wiele spraw. Bardzo wiele.

* * *

Ruby szorowała podłogę w kuchni, kiedy za drzwiami zauważyła jakiś ruch. Spojrzała w górę. Andrew, wznosił się nad nią jak skała. Jego spodnie miały tak ostre kanty, że poczuła nieprzepatą pokusę, by wylać na nie wiadro wody. Przysiadła na piętach. Z rąk kapą jej brudna woda. Wiedziała, że wygląda okropnie. Wrogość, która wzbierała w niej od listu Andrew, wreszcie znalazła ujście.

— Zawadzasz mi. Muszę to skończyć. Idź stąd!

— Jak to, idź stąd? Wstań, Ruby. Wyglądasz jak sprzątaczką.

— Pomyłka. Nie wyglądam jak sprzątaczką; jestem sprzątaczką. A kiedy skończę tę podłogę, muszę wyszorować łazienkę, zdjąć pranie i ugotować kolację. Odejdź, przez ciebie zawali mi się plan dnia. Działam według harmonogramu. Powinieneś to rozumieć. Służysz w piechocie morskiej.

— Kazałem ci się stąd wynieść! — wybuchnął.

— Chyba zauważyłeś, że cię zlekceważyłam? Nie traciłam czasu na odpisywanie, bo nie miałam zamiaru się przenosić. Znalazłeś dla nas dom?

— Na miłość boską, przyjechałem trzy godziny temu. Myślisz, że jestem cudotwórcą?

— Ja też nim nie jestem? — odcięła się.

— Pojedziemy do hotelu. Weź dziecko.

— Dziecko ma na imię Martha, a może zapomniałeś? W tej chwili śpi i nie obudzę jej. Kiedy znajdziesz dla nas przyzwoity dom, dopiero wtedy zastanowię się, czy stąd odejść. Ale nie wcześniej. Mogłeś przysłać mi jakieś pieniądze. O ile wiem, w Korei nie ma specjalnie wiele okazji, żeby je wydawać. Miałam zebrać na ulicy?

— Daj spokój, Ruby, dopiero wróciłem. Pozwól mi odpocząć. Nie widzieliśmy się tak długo, nawet nie pamiętam już, ile to miesięcy. Chcę mojej żony i dzie... Marthy. Boże, co się z nami dzieje? Myślałam, że się ucieszysz na mój widok.

— Z jakiego powodu? Żeby usłyszeć, że okryłam cię hańbą? Dziękuję, ale nie. Idź już, zanim powiemy sobie coś, czego nie będziemy mogli zapomnieć. Muszę skończyć tę podłogę.

— Nie wyjdę stąd bez ciebie i dziecka. Idziemy!

— Przedstawiłam ci już moje warunki — oznajmiła niezłomnie. — Albo się zgodzisz, albo koniec z nami. — Zanurzyła szmatę w wiadrze i chlusnęła wodą na podłogę. — Przesuń się!

— Niech cię cholera, nie będziesz mi rozkazywać. — Andrew ruszył do drzwi, wściekły jak wszyscy diabli.

— Hej, poczekaj! — zawołała za nim. Zamachnęła się i chlusnęła w niego brudną wodą. — Teraz możesz już iść. Chcę cię jeszcze uprzedzić, że mogę w ogóle do ciebie nie wrócić. Zastanawiam się poważnie nad wyjazdem z Martha do Waszyngtonu. To moje ostrzeżenie. Decyzję podejmę w zależności od twojego zachowania i mam nadzieję, że względu na nas oboje, że zmieni się ono na lepsze. Czekaam na przeprosiny, twoje i piechoty morskiej. Zamknij za sobą drzwi.

— Daj mi kluczyki od samochodu. Nie wrócę w tym stanie do bazy.

— Samochód nie działa. Nie mam pieniędzy na naprawę. Poza tym należy do mnie, i nie zapominaj o tym.

— Zapłaciłaś za niego moimi pieniędzmi. W połowie należy do mnie. Pożałujesz tego! Piękne powitanie! — wrzasnął na odchodnym.

Ruby naląła wody do wiadra. Nie czuła nic, a powinna. Nie chciała go przytulić ani pocałować. Nawet nie chciała pokazać mu Marthy.

Andrew zjawił się ponownie dopiero po dwóch tygodniach. Wyglądał na skruszonego, ale wiedziała, że to stan przejściowy. Zdołał nawet uronić łzę, kiedy został przedstawiony swojej córce, a ona nie chciała do niego podejść. Uciekła do Mattie, która wzięła ją na ręce i przytuliła do obfitej piersi.

Kiedy opuszczała Świętego Andrzeja, Ruby czuła takie dławienie w gardle, że z trudem wykrztusiła:

— Będę tu przyjeżdżać w każdą środę. Obiecuję.

Staruszkowie obdarzyli ją zażawionymi spojrzeniami i drżącymi uśmiechami. Joshua zawył, podchodząc do Andrew. Ruby zastanowiła się obojętnie, czy ugryzie jej męża. Ale pies uniósł bezczelnie nogę i obsusiał pięknie odprasowaną nogawkę spodni Andrew. Ruby nie mogła się nie roześmiać. Staruszkowie uśmiechnęli się i nawet Martha zachichotała, chcąc dołączyć do ogólnej zabawy. Tylko ojciec Joachim zdołał powściągnąć uśmiech.

— Dziękuję ojcu za wszystko. Wrócę tu.

W samochodzie Andrew wreszcie otworzył zaciśnięte usta.

— Masz tu nie wracać. Słyszysz?

— Wypchaj się. Nigdy więcej nie popełniaj tego błędu i nie mów mi, co mam robić. Nie jestem twoją niewolnicą.

— Czy to dziecko może się przestać drzeć? Ryczy, odkąd wsiedliśmy do samochodu.

— Nie zna cię. Wtargnąłeś w jej życie. Dzieci nie lubią zmian. Minie kilka dni, zanim się do ciebie przyzwyczai. Nie możesz okazać odrobiny zrozumienia?

— A to zabawne. Kiedy to ja poprosiłem, żebyś mnie zrozumiała, oblałaś mnie wodą. Brudną wodą.

— To nie to samo i dobrze o tym wiesz. Nie mam ochoty się kłócić, więc lepiej, nie odzywajmy się do siebie. Nadal jestem na ciebie zła.

— Ha! — parsknął.

Przedrzeźniła go; ostatni pokaz niezależności. Kiedy znajdą się w bazie, będzie musiała stać się na powrót posłuszną żoną, jeżeli chciała, żeby jej małżeństwo miało jakąś przyszłość. Martha powinna mieć ojca. Ruby wątpiła jednak, by ona potrzebowała męża. Ale na razie miała go, czy się to jej podobało, czy nie.

* * *

Mieszkanie w Pearl City było ponure i ciemne, ale przynajmniej czyste. I stały w nim ich meble. Piechota morska wysiliła się przynajmniej na tyle. Ruby nie zauważyła żadnych zniszczeń.

Położyła Marthę do łóżeczka, a Andrew poszedł po zakupy. Martha ciągle płakała, wołając po imieniu babcie i dziadków. Ruby ze wszystkich sił pragnęła ukoić jej rozpacz, ale obietnica soku, ciasteczka czy cukierka nie odniosła spodziewanych rezultatów. Martha była już tak duża, że potrafiła przejść ponad szczebelkami łóżeczka. Namowy Ruby spełzły na niczym. Andrew wrócił obciążony zakupami i z groźną miną wszedł do pokoju Marthy. Wziął córkę na ręce i położył do łóżeczka, ale przedtem dał jej klapsa.

— Nie wolno ci wychodzić z łóżeczka. Nawet o tym nie myśl. Kiedy powiem, że możesz wstać, matka po ciebie przyjdzie. Rozumiesz?

Martha załkała jeszcze rozpaczliwiej.

— Powiedz: tak jest — nakazał Andrew. — I wyjmij palec z buzi — dodał, chwytając rączkę dziecka.

Martha zakrzuszyła się łzami, usiłując wyszarpnąć rączkę z dłoni ojca.

— Jeśli powiesz tak jest, pójdziesz spać.

— Dostyc, Andrew, śmiertelnie ją przestraszyłeś. Powiedziałam, dostyc! — krzyknęła Ruby.

— Widzę, że nie wiesz, co to dyscyplina. Nie będziemy się tak bawić. Pójdzie spać, kiedy powie tak jest, nie wcześniej. Powinniśmy przyuczyć ją już teraz. Rozpuściłaś ją jak dziadowski bicz. Idź do kuchni. Ja się nią zajmę.

— Andrew, na miłość boską, to tylko dziecko. Nie rozumie tego.

— Rozumie dość, żeby się drzeć. Rozpuściłaś ją. Nie martw się, nic jej nie będzie.

Minęła długa chwila, cała wieczność. Martha przestała płakać. Andrew wrócił do kuchni z tryumfującą miną.

— Powiedziała. Wystarczy trochę cierpliwości. Pobryka jeszcze przez kilka dni, a potem będziemy mieli spokój.

— Nienawidzę cię za to. I co osiągnąłeś? Teraz Martha prześpi kolację i obudzi się, kiedy nadejdzie pora snu. Jesteś brutalny.

— Moje dzieci muszą znać mores.

— Co się z tobą stało? Nie byłeś taki, zanim wyjechałeś do Korei. Martha nie jest twoim żołnierzem. Ja też nie. To tylko dziecko. Nie wybaczę ci tego.

— Lepiej się postaraj. A ze mną nic się nie stało. Martha nie jest już niemowlęciem. Chodzi i mówi, więc jest już małą osobą, czyli małym żołnierzem. Wszyscy oficerowie traktują tak swoje dzieci. Zastanów się, Ruby. Mówię to absolutnie poważnie, więc nawet nie próbuj podważać mojego autorytetu. Jeśli to zrobisz, dziecko będzie miało dwa razy gorzej.

Ruby odwróciła się do niego plecami. Nałożyła na talerz jajka na bekonie i podała go Andrew. Ona sama nie tknęła jedzenia. Andrew odsunął krzesło od stołu.

— Chodźmy do łóżka. Czekałem już zbyt długo.

Ruby poczuła mdłości. Seks był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Jej mina musiała zdradzić to, co myślała, bo Andrew chwycił ją za ramię i zawlókł do sypialni.

Godzinę później wyszła z sypialni, by wziąć prysznic. Czuła się jak ofiara gwałtu. Usiłowała się uśmiechać, reagować. Starła się coś poczuć, a kiedy nie znalazła w sobie namiętności, którą budził w niej niegdyś mąż, znieruchomiała i poddała się jego żądzy. Udała orgazm.

W ciągu trzech następnych dni Ruby straciła świadomość, kim jest. Andrew zagarnął jej samochód, umyślnie utrudniając wyprawy do przytułku świętego Andrzeja. Kiedyś

zapropnowała, że będzie odwozić go do pracy, ale zorientował się, o co jej chodzi. Bez przerwy znajdował jakieś wymówki. Zdeterminowana, pojechała do przytułku autobusem, przesiadając się aż trzy razy i wróciła dopiero o ósmej wieczorem, za co zrobił jej dziką awanturę. Nie przejęła się.

Nie starała się już go uszczęśliwić. W ciągu pierwszego tygodnia zorientowała się, że to niemożliwe. Wciąż rozmyślała nad powrotem z Martha do Waszyngtonu. Napisała do banku, Reny i Opal, prosząc o radę. Opal natychmiast zaproponowała, że przyśle jej pieniądze, które zaoszczędziła, nie musząc płacić za czynsz i Ruby zgodziła się. Zebrała właśnie sumę wystarczającą na bilet lotniczy do Waszyngtonu, kiedy okazało się, że jest w ciąży.

Nosiła dziecko przez siedem miesięcy, pewna, że coś jest nie tak, ponieważ nie czuła żadnych ruchów płodu. Dziecko — chłopiec — narodziło się martwe. Ruby pogrzyżała się w depresji. Odwołała podróż i odesłała siostrze pieniądze.

Kiedy tylko mogła wyrwać się do przytułku świętego Andrzeja, pomagała swoim przyjaciołom. Wściekłość Andrew dawała się znieść, ponieważ po długim dniu spędzonym w przytułku Ruby była zawsze szczęśliwa i zadowolona z siebie.

Półtora roku później znowu zaszła w ciążę. Zaraz potem zostali przeniesieni do Kalifornii. Zawsze to bliżej Waszyngtonu niż Hawaje, pomyślała.

Płakała gorzko, żegnając się ze wszystkimi, których pokochała. Przysięgła, że nigdy ich nie zapomni i obiecała, że zrobi wszystko, co zdoła, żeby im pomóc. Zamierzała dotrzymać tej obietnicy.

Martha miała cztery lata, kiedy urodził się jej braciszek, pulchny chłopczyk. Andrew junior, w skrócie Andy. Andrew poświęcał swojemu synowi całą uwagę i zupełnie zapomniał o córce. Ruby przyjęła to z ulgą. Na szczęście Andy był dobrym dzieckiem. Głównie spał.

Pokochała Kalifornię, podobnie jak Martha. Wszystko jakoś wydawało się prostsze, kiedy na niebie świeciło słońce. Nie czuła euforii, ale to, co uważała za lato swojego życia, budziło jej zadowolenie. Andy miał dwa lata, kiedy Andrew znowu awansował, nadal pozostając pod rozkazami generała Frankela. Jako żona majora, musiała brać aktywny udział w życiu towarzyskim. Teraz mogła sobie pozwolić na opiekunkę do dzieci, nowe ubrania i własny samochód. Nadal nie była szczęśliwa, ale czuła się zadowolona.

* * *

W dniu siódmych urodzin Marthy Ruby otworzyła drzwi, sądząc, że pukają do nich goście córeczki. Zamiast bandy siedmiolatków na schodach stała jej siostra Opal.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę. Właśnie dostaliśmy przeniesienie do Miramar. Powiedziałam mężowi, że muszę cię odwiedzić, a jemu nie pozostało nic innego jak pojechać beze mnie. Jest wspaniały, Ruby, polubisz go od pierwszego wejrzenia! — zawołała Opal, porywając siostrę w ramiona. — Boże, jak dobrze cię znów widzieć. Strasznie za tobą tęskniłam. Listy to za mało, rozumiesz chyba. A skoro mówimy o listach, Amber nie pisała do mnie od roku. Kiedy ostatni raz dostałam od niej wiadomość, miała siedmioro dzieci. Jak to w ogóle możliwe?

Ruby roześmiała się, uszczęśliwiona.

— Jeśli mam ci to tłumaczyć, lepiej wnieś sprawę o rozwód. Boże, Opal, tak się cieszę. Słuchaj, musisz mi pomóc. Martha nie może usiedzieć na miejscu. Chce natychmiast otwierać prezenty. W końcu o to chodzi na tych przyjęciach, rozumiesz.

— Ja też nie przyszedłam z pustymi rękami.

Po przyjęciu, kiedy Martha zajęła się prezentami, a Andy jeździł na rowerku, zaczęły rozmawiać, śmiejąc się i płacząc na przemian.

— Co u mamy? — spytała Ruby z wahaniem.

— Nie wiem. Zaprosiłam ich na ślub, ale nie przyjechali. Powinnaś poznać moich teściów, są cudowni. Prawdziwi rodzice, rozumiesz. Śmieją się, dużo ze sobą rozmawiają, opowiadają dowcipy. Ojciec często klepie Maca po plecach, a matka bez przerwy go do siebie tuli i całuje. Mac udaje, że go to zawstydza, ale to nieprawda. Wiesz, kiedy dzwoni do rodziny, zawsze mówi im obojgu, że ich kocha. Nie udało nam się w życiu, co?

— Ofiary — powiedziała Ruby ze smutkiem. — Tak, jak mama.

— No dobrze, chcę usłyszeć o majorze Blue i Calvinie — powiedziała Opal chytrze. — Wszysciuteńko. Nie pomijaj ani jednego szczegółu. Musimy nadrobić parę lat. Przysięgnij, nie opuścisz ani słowa!

— Dobrze, dobrze. Lepiej usiądź wygodnie. Widzisz, było tak...

* * *

Po trzech godzinach Opal zawołała:

— Chcesz mi powiedzieć że nigdy nie miałaś żadnej wiadomości od Calvina?! Jak to możliwe?! Myślałam... to znaczy, przecież kochałaś go całym sercem. Twoje małżeństwo nie wygląda na najszcześniejsze na świecie. Może spróbujesz znowu się z nim skontaktować? Dodaj nieco pieprzyka swojemu życiu. Odważ się! — Oczy Opal załśniły demonicznie. — Ja bym to zrobiła.

— Naprawdę?

— Mhm. Życie jest zbyt krótkie, żeby cierpieć. Rób wszystko, dzięki czemu możesz być szczęśliwa. Pomyśl o naszym ponurym dzieciństwie. Już do nas nie wróci, czego zresztą żadna z nas nie chce. Ale powinniśmy sobie je jakoś wynagrodzić, nie sądzisz?

— Ale... — Ale co?

— Jestem mężatką — dokończyła niezręcznie Ruby.

— Możesz się rozwieść, jeśli tylko zechcesz.

— Boję się... boję się, że nie potrafię utrzymać żadnego związku. Wszystko zawsze się psuje. Tylko w schronisku świętego Andrzeja, gdzie harowałam jak wół, byłam naprawdę szczęśliwa. Dlaczego? Czułam się tak, jakbym dopiero wtedy zaczynała rozumieć, kim jestem. I nagle bum! Przenieśli nas i znowu nie wiem, kim jestem. Rozumiesz coś z tego?

— Owszem. Masz fioła, jak my wszystkie — zachichotała Opal.

— Czy ty nigdy nie bierzesz niczego poważnie?

— Staram się. Miałam dość powagi w Barstow. Uwielbiam się wygłupiać. Chyba się zaraziłam od Maca.

Ruby spojrzała na siostrę. Miała wielkie błękitne oczy i miękkie złociste loki. Śliczne małżeństwo, nosiła pewnie rozmiar trzydzieści cztery. Mimo zadziorności słów, chyba jeszcze nie rozprawiła się z dzieciństwem. Była zbyt podekscytowana, zbyt dużo paliła i już teraz wypija cztery drinki.

— Zdaje się, że jesteś niespokojnym duchem — zauważyła Ruby.

— No, owszem. A co tam u tego, jak mu tam, Calvina?

Ruby roześmiała się.

— A więc...

Ruby miała wrażenie, że traci cząstkę samej siebie, kiedy Opal zbierała się do wyjazdu po czterech dniach pobytu. Czuli się cudownie; ploteczkom i wspomnieniom nie było końca. Ojciec ciągle sikał przez rurkę; nikt nie słyszał o Grace, odkąd wyprowadziła się do Pittsburga. Rena miała teraz po cztery dziurki w każdym uchu, wciąż swoje ciało uważała za najpewniejszą skarbonkę. Stała się prawdziwym gigantem handlu nieruchomościami. Była właścicielką dwunastu domów. Z trzech siostr Connors Opal opuściła Barstow najmniej skrzywdzona. To, że teraz jest szczęśliwa, biło jej z twarzy. Ruby nie raz poczuła ukłucie zazdrości, kiedy z nią rozmawiała. Obiecały sobie, że raz w tygodniu będą do siebie dzwonić, a co dwa pisać. Na lotnisku połały się gorące łzy. Ruby z dziećmi u boku wpatrywała się w samolot niknący w chmurach.

W drodze powrotnej zawiozła Marthę do koleżanki. Kiedy ze śpiącym na tylnym siedzeniu Andym jechała do domu, cieszyła się, że nie będzie Andrew. W soboty nigdy go nie było. Ani w niedziele. Ani w większość nocy. Mieszkała z Andrew pod jednym dachem, jadali czasem przy tym samym stole i bardzo rzadko ze sobą sypiali. Od powrotu Andrew z Korei ich małżeństwo zaczęło chylić się ku upadkowi. Ruby uznała, że to jej wina. Nie miała dla męża żadnych uczuć, oprócz nienawiści.

Andrew Blue do życia rodziny wprowadził wojskowy dryl. Sporządził dzieciom grafiki i w soboty, przed wyjściem na mecz golfa z przyjaciółmi, uroczyście je sprawdzał. Kiedy po raz pierwszy to zrobił, Ruby straciła ze zdumienia mowę. Mąż narysował na nich tępym ołówkiem nieforemne gwiazdki. Martha żyła teraz pod presją gwiazdek. W obecności ojca drżała jak w febrze. Pragnęła nagrody w postaci roweru, ale ta na razie ją omijała. Andrew oznajmił, że musi mieć cztery gwiazdki z rzędu, miesiąc nienagannego zachowania. Raz była już bliska sukcesu, gdyby nie jedna, zabłąkana pod łóżkiem skarpetka. W swoich staraniach o rower dziewczynka przeżyła zawód już sześć razy.

W zeszłym miesiącu Ruby zrobiła mężowi awanturę. Martha zasługiwała na ten cholerny rower. A Andrew miał niemal tryumfującą minę, kiedy patrzył na swoją córkę i mówił jej, że ma zacząć jeszcze raz. W obronie córki nie tylko nakrzyczała na męża, ale popchnęła go tak, że zatoczył się przez całą kuchnię. Roześmiał się tylko, zabrał kije golfowe i wrócił dopiero o wpół do czwartej nad ranem, cuchnąc alkoholem.

Jeszcze raz zadała sobie pytanie, dlaczego pozostawała w tym pozbawionym miłości małżeństwie. W rozmowie z Opal tłumaczyła, że nie chce odbierać ojca dzieciom. Opal zrobiła minę pełną niesmaku i powiedziała, że zachowuje się nie lepiej niż ich matka. I musiała przyznać siostrze rację.

Andrew miał kochanki, jedną po drugiej. Na twarzach żon innych oficerów widziała wyraz politowania, ale było jej obojętne, z kim się zadawał, dopóki zostawiał ją w spokoju.

Andy obudził się, kiedy zatrzymała samochód na parkingu. Wygramolił się i na pulchnych nóżkach pobiegł na podwórko za domem, gdzie stał rozklekotany rowerek. Chłopczyk głośnym krzykiem oznajmił, że go naprawi. Ruby uśmiechnęła się pobłaźliwie. Andy był taki... zdrowy. Andrew jeszcze się za niego nie zabrał.

W korespondencji znalazła listy z banku, od Amber i... Dixie. Wiadomości z banku okazały się szokujące. Irma i George Connorsowie skontaktowali się z bankiem (ponieważ właśnie z niego dostawali co miesiąc czeki) i poprosili, by przekazać Ruby ich żądanie. Oczekują, że kupi im dom na Florydzie, ponieważ pani Connors cierpi na ostry artretyzm, a pan Connors przeszedł

już na emeryturę. Ruby zaczęła się histerycznie śmiać. Rzuciła list na podłogę i przejrzała inne dokumenty. Jeden, z nagłówkiem ambasady francuskiej, był ofertą zakupu domu przy Poplar Street za trzy razy wyższą sumę od tej, którą wyłożyła. Notatka banku, przypięta do oferty informowała Ruby, że ambasada wpłaciła na jej konto pokazną zaliczkę. Jeśli Ruby nie przyjmie oferty, pieniądze zostaną zwrócone. Drugi formularz dotyczył odnowienia umowy najmu domu przy O Street. Bank sugerował, by nie odnawiać umowy, której aktualność akurat wygasła, ponieważ lokatorzy zalegali z płatnościami, a stawki za czynsz w Waszyngtonie rosły. A ambasada mogła płacić dwa razy więcej. Porada banku była tak zaskakująca, że zakręciło się jej w głowie: „Jeśli zdecyduje się pani spełnić życzenie rodziców, doradzamy przyjąć ofertę ambasady”.

Ruby usiłowała zapanować nad emocjami. Swój dług spłaciła rok temu. Nie jest nic winna swoim rodzicom. Co, do cholery, robili z pieniędzmi?! Dostali od swoich córek osiemnaście tysięcy dolarów. Jeśli sprzedadzą dom w Barstow, będą mieli aż nadto pieniędzy na kupno domu na Florydzie.

— Naprawię, mamusiu! — zawołał Andy, pociągając ją za spódnicę. W pulchnej piąstce trzymał czerwony plastikowy śrubokręt.

— Świetnie, kochanie — powiedziała, tuląc go do siebie. — Mamusia musi przeczytać listy. Napraw rowerek, żeby mógł jeździć, dobrze?

— Naprawię! — zakrzyknął chłopczyk i zaatakował rowerowe kółko.

Ruby otworzyła list Amber. Prawdopodobnie dostała podobne ultimatum od rodziców i chciała się poradzić, co robić.

I znów Ruby przeżyła szok. Stracili wszystko podczas tajfunu. Saipan zostało praktycznie zdmuchnięte z powierzchni ziemi. Nangi poprosił o pomoc Calvina, który uruchomił jakieś swoje wojskowe znajomości i zdołał ich sprowadzić do Waszyngtonu. Wynajęli małe mieszkanie w Arlington, ale było im tak ciasno, że Amber nie mogła tego znieść. Krótko mówiąc, chodziło jej o pożyczkę w wysokości pięciuset dolarów. Calvin pożyczył im dwieście, żeby mogli jakoś związać koniec z końcem. Jeśli Amber znajdzie odpowiedzialną opiekunkę do dzieci, będzie mogła wrócić do pracy. Nangi szukał zajęcia. Za to, co przez miesiąc wydaje się w Waszyngtonie, w Sapan mogliby utrzymać się przez rok. „Wiem, jak się zarabia w piechocie morskiej. Wiem też, że lubisz oszczędzać, Ruby. „Nic ci się nie stanie, jeśli mi pożyczysz pięćset dolarów. Oddam ci”. Ruby zgmiotła list w dłoni. Jeszcze czego, mruknęła. Amber nie wspomniała o liście rodziców, co mogło oznaczać tylko jedno: nie kazali jej sobie pomagać. Nie chciała nawet myśleć o tym, że Calvin łoży na utrzymanie jej siostry.

Sięgnęła po list Dixie. Drżącą ręką wygładziła pojedynczą kartkę.

Droga Ruby.

Wyobrażam sobie, jakim zaskoczeniem będzie dla Ciebie ten list. Wybacz mi, że nie pożegnałam się z Tobą. Chciałam, bardziej niż to sobie wyobrażasz. Chciałam im też napisać, ale zbyt się wstydziłam. Codziennie myślałam o Tobie. Byłyśmy takimi dobrymi przyjaciółkami. Teraz już wiem, że musiałaś słyszeć plotki o Hugonie. Tak, to prawda. Nieraz chciałam Ci się zwierzyć, ale nie pozwalała mi na to duma. Bałam się, że zobaczę litość w Twoich oczach. Byłaś dla mnie siostrą, której zawsze pragnęłam. Nigdy nie obwinałam Cię o to, że Hugo nie dostał awansu. Kiedy Andrew został kapitanem, naprawdę się ucieszyłam. Chciałam do Ciebie napisać, ale Hugo obserwował mnie czujnie, jak jastrząb. Bałam się. Wreszcie awansował w tym roku na kapitana i oboje wiemy, że wyżej już nie zajdzie. Oczywiście zwala winę na mnie. Ale już mnie nie bije; wie, że jest obserwowany. Nie kocham go. Boję się go. Odeszłabym od niego, ale nie mam gdzie się podziać.

Jesteśmy teraz w Quantico i chyba Hugo dosłuży tu do emerytury. Twierdzi, że wówczas zamieszkamy w Rumson w stanie New Jersey. Rok temu kupił kawałek ziemi i mówi, że wybudujemy tam nasz dom.

Dzięki Tobie, Ruby, zdobyłam się na odrobinę odwagi. Wynajęłam skrytkę pocztową i chciałabym, żebyś wysyłała listy na ten adres, jeśli zdecydujesz się do mnie pisywać. Pracuję na pół etatu. Hugo zabiera mi pieniądze tak szybko, że nawet nie mam okazji ich przeliczyć. Czasami mu się sprzeciwiam, tylko po to, by posłuchać brzmienia własnego głosu. Jestem głęboko przekonana, że to armia uczyniła go tym, kim się stał. Był innym człowiekiem, zanim nie dostał się w tryby wojskowej maszyny.

Proszę Cię, napisz do mnie długi list. Chcę wiedzieć, co się działo, kiedy wyjechaliśmy. Czy dziewczęta tęskniły za mną chociaż troszeczkę? Tak dobrze czułyśmy się ze sobą, kiedy sprzątałyśmy to szczerze gniazdo, do którego się wprowadziliście. Ciągle o tym myślę.

Pora iść do pracy, więc muszę kończyć. Niebawem, prawda? Ja i praca zawodowa. Kiedy Hugo zrozumiał wreszcie, że koniec z awansami, nagle pozwolił mi pracować. Chcesz usłyszeć coś jeszcze? Mam nadzieję, że zaczniesz mnie zdradzać. Wtedy wreszcie zostawi mnie w spokoju. I tym optymistycznym akcentem kończę.

*Kochająca
Dixie.*

Ruby wydmuchała nos i otarła oczy. Ten cudowny list wymiół z jej pamięci wspomnienie dwóch poprzednich. Siedem lat do emerytury. Rumson w New Jersey. Powtarzała te słowa bez końca, jak litanię. Wiedziała już, gdzie chce zamieszkać po przejściu męża na emeryturę, a jeśli Andrew nie zgodzi się pojechać do Rumson, uda się tam sama. Jeszcze siedem lat. Siedem lat.

Nalała sobie szklankę mrożonej herbaty i zebrała przybory do pisania. Potem dołączyła do swojego syna, bawiącego się na podwórku. Najpierw napisała do Amber. W liście wyraziła ubolewanie z powodu, iż nie ma, niestety, żądanej sumy. Życzyła siostrze szczęścia w nowym miejscu zamieszkania, dodając, że wszystko z pewnością jakoś się ułoży. Dołączyła najnowsze zdjęcie Marthy i Andy'ego. Pisząc list do banku starannie dobierała słowa; jeszcze bardziej uważała, pisząc do rodziców. Poinstruowała bank, by sprzedał dom przy Poplar Street i pokrył należność za dom na Florydzie. Prawo własności miało opiewać wyłącznie na jej nazwisko. Rodziców zawiadomiła, że mogą mieszkać w domu na Florydzie do końca swoich dni. Mieli płacić sto dolarów miesięcznie czynszu. Ta decyzja nie podlegała dyskusji. Ruby szczerze wierzyła, że ojciec ją odrzuci, choć właściwie było jej to absolutnie obojętne.

Sumienie zakłuło ją, kiedy wrzucała listy do skrzynki pocztowej. Mogła zaproponować Amber dom przy O Street do czasu, aż siostra stanie na nogi. Mogła też wysłać jej pięćset dolarów, ale nic nie zawdzięczała Amber. Ani jednej rzeczy. Jednak przez całe popołudnie gryzła się z powodu listu do Amber. O wpół do siódmej zadzwoniła do San Diego, by spytać Opal o zdanie. Kiedy przeczytała jej list od Amber, Opal się roześmiała.

— Wiesz, że to robisz, chcesz tylko, żeby przyznała ci rację. Na twoim miejscu tak bym postąpiła. Rety, musiałaś się świetnie bawić, odpisując ojcu. Wreszcie się odegrałaś!

— Myślisz, że to o to chodzi... żeby się odegrać? — spytała Ruby przytłumionym głosem.

— No pewnie. Właściwie jeśli się zastanowić, to podwójny cios. Dasz naszej drogiej Amber po nosie, a jednocześnie jej pomożesz. Nie wiem, czy ojciec zdaje sobie sprawę, że trzymasz go krótko przy pysku. Zrób to, Ruby. Uważam tylko, że wyznaczyłaś im zbyt niski czynsz. Zastanów się nad tym!

— Niepokoi mnie twój sposób myślenia — powiedziała Ruby surowo. — Gdzie się tego nauczyłaś?

— Od mojego lotnika. — Opal po raz drugi wybuchnęła śmiechem, potem spoważniała. — Dzięki temu staniesz się lepszym człowiekiem. Zrób to. Przyczyny się nie liczą. Słuchaj, mój mąż zaraz wróci, a chociaż chętnie pozwala mi cię odwiedzać, kiedy przekracza próg tego domu, mój czas należy wyłącznie do niego. Kocham cię, Ruby. Napiszę do ciebie. Oho, chyba słyszę samochód Maca; prowadzi tak samo jak lata. Na razie!

Ruby napisała nowy list do Amber; zajęło jej to godzinę. Nie czuła uniesienia, kiedy wrzucała go do skrzynki. Widocznie mogła przeżyć tylko jedną chwilę uniesienia dziennie i wykorzystała już swój przydział, kiedy czytała list Dixie.

Po tygodniu otrzymała list od Amber, w którym siostra zrugła ją za to, że nie zmusiła lokatorów, by wynieśli się o miesiąc wcześniej. Oznajmiła, że nie będzie zależna ani od banku ani od jakiejś egipskiej przybłędy. Ruby w odpowiedzi kazała siostrze brać, co jej dają, albo się odczepić. Amber nie odpisała, ale bank poinformował Ruby, że siostra wraz z rodziną wprowadziła się do domu natychmiast po opuszczeniu go przez poprzednich lokatorów.

Niemal jednocześnie z wiadomością, iż państwo Connorsowie zgodzili się na jej warunki, nadszedł list od ojca. Podarła na drobne kawałeczki tę epistołę, ociekającą jadem.

Nikt, nawet Andrew, nie mógł jej przygnębić, skoro znowu miała przyjaciółkę. Pisała do niej dwa razy w tygodniu i dzwoniła z budki telefonicznej. Obie były zdecydowane ukrywać swoją przyjaźń. Mężczyznom po prostu nie można ufać. Ruby ciągle pamiętała ostatnią rozmowę z Dixie; wyznała jej, że w tajemnicy wypełnia co roku zeznania podatkowe i trzyma w sekrecie swoje interesy. Dixie zachichotała i powiedziała, że gdyby miała poważne kłopoty, zgłosiłaby się po pomoc do Ruby.

Uszczęśliwiona Ruby stała się bardziej wyrozumiała dla męża. Wydało się to Andrew tak podejrzane, że oskarżył ją o romans i jeszcze częściej znikał z domu. Ruby niemal tego nie zauważyła. W tym okresie życia liczyły się tylko jej dzieci, Dixie i Opal.

Było ponure, burzowe popołudnie. Deszcz bębnił o szyby, drażniąc uszy Ruby. Dzisiaj drażniło ją wszystko. Doktor Ainsley, psychiatra z bazy, przeraził ją śmiertelnie. Boże, co on mówił?! Martha wymaga stałej terapii. Jednak niewiele to pomoże, jeśli Andrew nie zacznie z nim współpracować. Leczenie potrwa całe lata. Wyglądało na to, że Martha walczy o akceptację ojca. Lekarz zasugerował też, że jeśli Ruby wie na pewno, iż Andrew nie podejmie żadnego wysiłku, by zmienić stosunek do córki, powinna poważnie pomyśleć nad odejściem od męża. Kiedy przedstawiła Andrew sugestie doktora Ansley'a odparł, że Martha powinna dobrze dostać w skórę, a on nie ma zamiaru wysłuchiwać tych psychologicznych bredni.

Ruby zaczęła palić. Dzięki temu miała czym zająć ręce. Papierosy koily jej rozdygotane nerwy. Były dla niej tym, czym dla jej córki był kocyk. Kocyk stanowił odrębny problem. Andrew wydarł go z rąk siedmioletniej Marthy, kiedy po raz pierwszy zmoczyła się w nocy. Ruby rzuciła się wtedy na Andrew jak wściekła. Złapała ze stołu rzeźnicki nóż i rozkazała mężowi oddać córce kocyk i nigdy więcej go nie dotykać. Chciał ją uderzyć, ale wysunęła przed siebie długie ostrze noża. W oczach miała żądzę mordy. Teraz wątpiła, czy odważyłaby się go zranić; nienawidziła przemocy. Ale Andrew najwyraźniej wierzył, że jest zdolna do wszystkiego.

Przynajmniej miała nad nim jakąś władzę, chociaż tak naprawdę straciła swoją siłę, stała się słaba i uległa. Zauważyła nawet, że zaczyna się denerwować romansami męża. Ponieważ za swój obecny stan chciała zrzucić na kogoś winę, wybrała Calvina.

Zaburzenia psychiki Marthy nie były jedynym problemem Ruby. Od trzech lat rodzina Amber mieszkała w domu przy O Street, a ostatni list Reny zawierał hiobowe wieści. Hipoteka zadłużona, ponieważ Amber od pół roku nie płaci czynszu. Bank zagroził przejęciem domu. Nie dość na tym, zarówno budynek, jak i posesja wyglądały niczym po przejściu wandali. Zniszczone framugi i gzymsy, wybite szyby, drzwi do piwnicy wyrwane z zawiasów, zapuszczony trawnik, kwiaty i krzewy uschnięte.

Ruby wybuchnęła płaczem, zakrywając twarz dłońmi. Poderwała głowę, kiedy poczuła na ramieniu delikatny dotyk czyjejs dłoni.

— Co się stało? — spytał Andy drżącym głosem. Nigdy jeszcze nie widział matki płaczącej; ten widok go przeraził. — To przeze mnie? Jeśli tak, powiedz, to się poprawię.

— Mam zły dzień, słoneczko. Czasami mamusi robią się płaczliwe i wszystko im przeszkadza. To nie ma nic wspólnego z tobą ani Martha.

— To przez tatę? — dopytywał się Andy. — Wiesz, mamusiu, on ma w sobie demony. Nie takie prawdziwe, ale... Kiedy ludzie zachowują się tak jak tata, to znaczy, że nie dają sobie rady. Nauczyłem się tego na lekcji religii. Nie bój się taty, on tylko wygląda tak groźnie.

Ruby wpatrzyła się w swojego siedmioletniego syna. Stał się ładnym, krępyim chłopczykiem o jasnych loczkach i niewiarygodnie błękitnych oczach. Na jego nosku widniał mały archipelag piegów. Ostatnio największą jego zgrzyzotą był szczerbaty uśmiech.

— Kiedy zrobiłeś się taki mądry? — spytała figlarnie. — Naprawdę dodałeś mi otuchy. Chłopczyk wzruszył ramionami.

— Jesteś moją mamą. Zawsze będę dla ciebie dobry, żebyś mogła być ze mnie dumna.

— Och, Andy, ja już jestem z ciebie dumna. Kocham cię nad życie. I Martha też.

Odezwał się telefon i Andy rzucił się, by go odebrać. Dzwonił jego kolega... Chłopczyk zaczął paplać z ożywieniem o puszkach, przywiązanych do rozciągniętej między domami żyłki. Ruby uśmiechnęła się. Andy jest radosny i szczęśliwy, a ona dopilnuje, żeby taki pozostał.

Martha też znajdzie swoje miejsce. Ruby zrobi wszystko, by jej w tym pomóc. A teraz musi rozwiązać problem Amber.

Wyjechała o siódmej. Mijając się z Andrew w drzwiach, powiedziała coś o rodzinnym kłopotcie, starannie unikając patrzenia mężowi w oczy. Choć on by i tak niczego nie zauważył. Śmierdział alkoholem. Poszedł za nią aż na parking, nie przestając wyrzekać: jest tak samo stuknięta, jak jej stary i za kogo się właściwie uważa, żeby ot tak sobie wyjeżdżać?

Ruby zatrzasnęła bagażnik. Spojrzała na pijanego męża z obrzydzeniem. Dzięki Bogu, wysłała Andy'ego na noc do przyjaciół. Martha także spała u koleżanki.

— Kim jestem? Twoją żoną, o czym chyba zdążyłeś już zapomnieć. Jestem osobą, która po tobie sprząta, kiedy rzygasz jak kot i nie trafiasz do miski. To ja urodziłam ci dwoje cudownych dzieci, które uparłeś się zniszczyć. To ja gotuję, sprzątam i chodzę na te pieprzone zebrania, żebyś mógł piąć się w górę. To dzięki mnie znalazłeś się tu, gdzie jesteś. Długo nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz już to wiem. Jak myślisz skąd? Powiedział mi to lekarz Marthy. To ty masz problemy. My jesteśmy normalni, ty nie. Staralam się, mój Boże, jak się starałam. Dałam z siebie wszystko i jeszcze trochę. Teraz już mi nie zależy. Kiedy wrócę, będziemy musieli poważnie porozmawiać. Nie możemy być już małżeństwem, ze względu na dobro dzieci. Odchodzę. Chcę, żebyś to przemyślał przez weekend. Myśl cały czas i nie pij. Mówię poważnie, Andrew. Odchodzę.

— Po moim trupie! — wybuchnął.

— Skoro się upierasz... — warknęła. Boże, po co z nim rozmawia? Kiedy wytrzeźwieje, nie będzie pamiętał ani słowa.

— Nie odejdziesz. Mam dostać awans. Zabiję cię, a nie pozwolę ci odejść.

Ruby wsiadła do samochodu i opuściła okno.

— Nie strasz mnie, Andrew. I nie zapominaj, co przydarzyło się Hugonowi. To samo może przydarzyć się teraz tobie, i to za moją sprawą. Zrobię wszystko, żeby nasza córka wyzdrowiała. A teraz zjeżdż mi z drogi, bo cię rozjadę. — Ruszyła tak gwałtownie, że samochód szarpnęła i omal nie odgryzła sobie języka.

Jadąc na północ trasą 95, cały czas do siebie mówiła. Nie czuła zmęczenia. Była na najwyższych obrotach. Zupełnie opuściła okna, a radio nastawiła na cały regulator.

O szóstej wieczorem skręciła w wąską dróżkę za domem Reny na Monroe Street. Dopiero teraz poczuła znużenie. Jechała non stop całą dobę. Uśmiechnęła się na widok kubłów na śmieci. Stare, metalowe ustąpiły miejsca wielkim i masywnym pojemnikom z plastiku, ale nadal zdobiły je kwiaty i wstążki. Zobaczyła białego cadillaca i otworzyła szeroko oczy. Rena porastała w piórka.

Po pięciu minutach Ruby znalazła się w objęciach jej drobnych ramion. Bruno czekał niecierpliwie na swoją kolej.

— Och! Jak dobrze cię widzieć. Tak za wami tęskniłam. O, nowe brylanty! — roześmiała się na widok kolejnego kamienia, osadzonego w paznokciu małego palca Reny.

— Co tam brylanty. Wejdz do środka. Jesteś zmęczona. Kiedy wyjechałaś? — spytała Rena, krzątając się po kuchni, otwierając i zatraskując szuflady, podczas gdy Bruno mocował się z opornym korkiem butelki wina.

— Wczoraj, około siódmej wieczorem. Jestem zmęczona, ale chciałam tu być jak najszybciej — powiedziała tonem samousprawiedliwienia.

— I słusznie. Ta twoja siostra... jest strasznie niewdzięczna. I niegrzeczna, a jej dzieci to dzikusy. — Maleńka kobietka uniosła ręce ku niebu, dając do zrozumienia, że ich zachowania nie sposób opisać.

— Jedz, jedz. Co do okruszka! Jutro pójdziemy do twojego domu i wydusisz pieniądze z tej niewdzięcznicy. Niech zapłaci za szkody. Bruno wszystko naprawi, za niewielką opłatą. Ten koci smród... nie wiem, czy kiedykolwiek się go pozbędziesz... co za niewdzięczność.

— Szkoda, że nie zawiadomiłaś mnie wcześniej — mruknęła Ruby, wgrzyzając się w smakowitą kanapkę z kurczakiem.

Rena wmusiła w nią drugą kanapkę, a sama wypila dwa kieliszki wina. Posiłku dopełnił kawałek ciasta z bananowym kremem, jeszcze ciepłym.

— Kto mieszka na górze? — spytała, Ruby, zapalając papierosa.

— Taka wstętna para z Alabamy. Uwierzysz? Mieli czelność zmienić zamki w drzwiach, żebym nie mogła wejść i sprawdzić stanu mojej własności. Pozwali mi do sądu, a sędzia kazał im dać mi klucz. Chcę ich eksmitować. Mówią, jakby mieli kluski w gębie. W zeszłym tygodniu oznajmili, że zmienią tapetę. Wyfruną stąd natychmiast, jak tylko wygaśnie umowa!

Ruby westchnęła. Była tak zmęczona, że ledwie słyszała, co mówi Rena.

— Zaspasz na siedząco, mała. Chodź, Bruno właśnie dał mi znak, że zmienił pościel. Ruby powlokła się korytarzem, wspierając się na ramieniu Bruna. Usiadła na łóżku. Bruno zdjął jej buty i przykrył ją kocem.

— Śpij, Ruby — powiedział łagodnie. — Jutro moja żona pomoże ci ze wszystkim się uporać.

* * *

Patrząc na dom przy O Street, Ruby nie wierzyła własnym oczom. Westchnęła. Dzwonek u brudnych i odrapanych drzwi wisiał na pojedynczym drucie. Nawet mosiężna skrobaczka do butów była zabłocona i poczerniała. Rena taktownie milczała. Ruby zapukała do drzwi. Musiała się cofnąć przed wypadającą hordą rozkrzyczanych dzieci. Potem w drzwiach ukazał się pies, obwąchał buty Ruby i Remy i zbiegł po schodkach.

Rena wepchnęła Ruby do środka. W salonie pracował trzynastocalowy telewizor, a z kuchni dobiegały dźwięki muzyki. Rena miała rację, przyznała w duchu Ruby, usiłując oddychać przez usta. Smród kociej uryny był tak przenikliwy, że łyzy stanęły jej w oczach. Przeszła chwiejnie między zabawkami i ubraniami, zaścielającymi podłogę.

Ruby ze zgrozą patrzyła na dziury w ścianach, brudne firanki i zasłony, plamy na beżowym dywanie, zniszczone i brudne meble. Akwarele wisiały na ścianach krzywo, przez co cały pokój wyglądał jak pijany. Ruby wzdrygnęła się.

Z piętra dobiegł płacz niemowlęcia. Ruby osłupiała. Amber nie wspomniała, że urodziła następne dziecko.

— I znowu jest w ciąży — szepnęła Rena.

Ruby poczuła zawrót głowy. Siłą woli zmusiła się do spokoju. Poradzi sobie z tym tak, jak radziła sobie ze wszystkim innym.

— Czy Nangi pracuje? — spytała szeptem. Gdzie podziewa się Amber? Z pewnością nie sprząta, pomyślała ze złością.

— Tak. Bruno sprawdził to osobiście. Twoja siostra powiedziała mi, że odkładają wszystkie pieniądze na powrót do Saipan.

— Tego już za wiele — warknęła Ruby. — Amberrrr!!! — wrzasnęła ze wszystkich sił. To nie mogła być Amber; ta niechlujna, zaniedbana ciężarna kobieta ze ścierką do naczyń w dłoni nie mogła być jej siostrą. Ta kreatura nie mogła być tą pedantyczną dziewczyną, dbałą o każdy szczegół stroju. Dziecko na górze znowu zaczęło płakać. Amber spojrzała bezmyślnie na Ruby. Nie przywitała się z nią.

— Co tu robisz?

— To mój dom, zapomniałaś? Drzwi były otwarte, więc weszliśmy. Pukałam.

— Powinnaś je za sobą zamknąć — warknęła Amber, zatrzasnąwszy drzwi nogą. Ruby skrzywiła się. Kątem oka uchwyciła jakiś ruch na schodach. Odwróciła się i zobaczyła Nangiego w jasnym garniturze i białej koszuli. W rękę trzymał aktówkę z wężowej skóry.

— Ruby?

— Tak. Zdaje się, że znacie już Renę. Muszę z wami porozmawiać. Przykro mi, jeśli spóźnisz się przez to do pracy.

— Mogę to nadrobić później. Czy coś się stało? Amber, podaj naszym gościom kawę. Proszę, siadajcie — powiedział, wskazując im zapadniętą kanapę.

Jasne, on sam nie odważy się na niej usiąść, pomyślała Ruby. Miałyby na garniturze kocią i psią sierść. Pokręciła głową.

— To nie potrwa długo. Otóż bank, który ma moją hipotekę, powiadomił mnie, że nie płaciliście czynszu przez ostatnie pół roku. Zamierzają odebrać mi ten dom. Mieliście płacić tylko dwieście dolarów miesięcznie, a to więcej niż uczciwa propozycja. Myślałam, że dzięki temu zdołacie trochę sobie odłożyć. Nie wiedziałam o następnym dziecku — machnęła ręką ku sufitowi — ani o tym, że Amber jest znowu w ciąży. Nie chcę stracić tego domu, więc musimy coś postanowić.

— Co? Chcesz nas wyrzucić, tak? — jęknęła Amber.

— To jedna z możliwości. Druga to ta, że uregulujecie zadłużenie i zaczniecie dbać o dom. Przekazałam go wam w doskonałym stanie. A teraz spójrzcie tylko... Kot i pies mają zniknąć.

— Proszę cię o wybaczenie, Ruby — zaczął Nangi, otwierając aktówkę. — Myślałem, że Amber ci płaci. Byłaś hojna ponad miarę. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdybyś nam nie pomogła. Mówiłem Amber niedawno, że powinniśmy ci płacić co najmniej trzysta dolarów miesięcznie. Poprzedni lokatorzy powiedzieli nam, że płacili ci pięćset dolarów. Tym bardziej doceniam to, co dla nas zrobiłaś.

Ruby poczuła, że serce zaczyna bić jej mocniej; zakręciło się jej w głowie. Patrzyła bez słowa, jak Nangi wypisuje czek.

— Przyjmij moje najszczerze przeprosiny. Od tej pory będziemy płacić czynsz w terminie i w wysokości trzystu dolarów. Czy to cię satysfakcjonuje?

Skinęła bezmyślnie głową, patrząc na sumę widniejącą na czeku. Tysiąc dwieście dolarów. Dobry Boże, więc jednak nie jest tak źle. Nangi uklonił się nisko.

— Miło było cię znowu zobaczyć, Ruby. Przykro mi, że nastąpiło to w takich okolicznościach. Za parę tygodni spotkam się z Calvinem. Czy pozdrowić go od ciebie?

— Tak, pozdrów go. — Musiała spytać, musiała to wiedzieć. — Gdzie mieszka? Jak się ma jego rodzina?

— Ma dwóch udanych synów. Jest już pułkownikiem. Mówi, że dostawał nadprogramowe awanse, co chyba znaczy, że awansował bardzo szybko. Stacjonuje w Kolorado. Zawsze o ciebie pyta, ale nigdy nie mam mu nic do powiedzenia. Amber twierdzi, że do niej nie piszesz.

— Powiedz mu... powiedz, że często o nim myślę. Możesz mu też powiedzieć, że również mam dwoje dzieci, a stacjonujemy w Pensacola. Powiedz... że chciałabym się z nim kiedyś spotkać. Życz mu szczęścia i pogratuluj awansu. Mój mąż też ma dostać srebrne dębowe liście.

— Na pewno mu to powtórzę. Czy może masz jakieś zdjęcie z dziećmi? Dzięki Bogu spytał o to.

— Chyba tak — szepnęła i zaczęła szperać w portfelu.

Plik fotografii wypadł jej z rąk i rozsypał się po podłodze. Uklękli, żeby je pozbierać. To Nangi podniósł stare zdjęcie, na którym ona i Calvin uśmiechali się do obiektywu aparatu. Udał,

że nie widzi łez kręcących się w oczach Ruby. Podała mu lśniąca fotografię, na której siedziała z dziećmi na sofie. Zdjęcie zrobiono dawno temu, kiedy stacjonowali w Kalifornii.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Nangim, Amber natarła na nią z furją:

— Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. To miały być pieniądze na powrót do Saipan. Nie zmieniłaś się ani na jotę; nadal jesteś podła. Niech cię szlag!

Ruby miała ochotę ją zabić.

— Lepiej posprzątaj tu trochę. Poproszę Brana, żeby naprawił co się da. Jeśli chodzi o zwierzęta, za bardzo się pospieszyłam, możesz je zatrzymać, ale wykastruj kota. A przede wszystkim siebie doprowadź do porządku. Woda i mydło nie kosztuje wiele, a jeśli cię nie stać, chętnie zapłacę. I wbij sobie wreszcie do głowy: nie muszę nic dla ciebie robić.

Na górze dziecko znowu zaczęło krzyczeć. Amber miała zakłopotaną minę. Ruby nigdy nie podejrzewała siostry o wrażliwość. Kiedy zobaczyła, że oczy Amber wypełniają się łzami, odwróciła się do Reny.

— Wracaj do domu. Zostanę tu przez pewien czas i... pomogę siostrze.

— Co się stało? — spytała Ruby łagodnie po wyjściu Reny, prowadząc Amber do zapadającej się kanapy.

— Boże, nie mam pojęcia. Te dzieci, jedno po drugim... Saipan... tam jest tak gorąco... nikt nie sprząta... Zawsze byłam zmęczona, zawsze w ciąży... Rodzice... ciągle brak pieniędzy. Kiedy tu wróciliśmy, nie mogłam się pozbierać. Przepraszam cię, że tak zaniedbaliśmy dom... znajdę jakiś sposób, żeby zapłacić za remont... naprawdę. Nie mam tylko sił, by utrzymać dzieci w ryzach, a Nangi pracuje do późna. Nie jest łatwo wychowywać taką gromadkę. Boże, nawet nie wiem, czy wystarczy nam pieniędzy na opłacenie lekarza, który będzie odbierał poród. Dobrze, że Nangi dał ci pieniądze. Jestem tylko tak strasznie zmęczona...

— Naprawdę chcesz wrócić na Saipan? — szepnęła Ruby.

— My tu nie pasujemy. Chyba to widać.

— Byłaś tam szczęśliwa? — spytała Ruby z ciekawością.

— Tak. Tam nikt nas nie gnębił. Nangi nie daje tego po sobie poznać, ale w pracy źle go traktują. Nie tak jak innych. Dostaje najgorszą robotę i zawsze to on zostaje po godzinach, chociaż mu za to nie płacą. Będziesz się śmiać. Nangi uważał, że dokonuję cudów, oszczędzając te pieniądze. Nie wiedział, że nie płaciłam czynszu. Jest cudownym mężem. Nigdy nie narzeka, że źle prowadzoniem: Nie wiem, jak spojrzę mu w oczy, kiedy dzisiaj wróci z pracy. Nie wiem, jak to wyprostować.

— A ja wiem.

* * *

Ruby wysłała Amber na górę, żeby się przebrała i zajęła się dzieckiem, a sama bez chwili wytchnienia szorowała, myła i zamiatała. Kiedy uznała stan kuchni za znośny, otworzyła wszystkie okna w domu. Odkurzenie salonu i jadalni zajęło jej godzinę. Przez następną zbierała śmieci i wynosiła je na zewnątrz. O pierwszej zawołała Amber. Zmierzyła ją krytycznym wzrokiem.

— Ciągle niedobrze. Wróc na górę i nałóż na twarz więcej podkładu. I znajdź jakieś pończochy. I na pewno masz jakąś lepszą ciążową sukienkę. A przynajmniej lepiej wyprasowaną.

Amber wybuchnęła płaczem.

— Dobrze już, dobrze. Dość tych tez. Nie musisz się spieszyć. Doprowadź się do ładu. Ja wychodzę; muszę coś załatwić. Kiedy wrócę, chcę cię zobaczyć uśmiechniętą.

Wsiadając do taksówki, zastanowiła się, czy dobrze postępuje. Postanowiła już, że jeśli nie będzie w stanie utrzymać domu, sprzeda pierścień carycy. Teraz nadeszła odpowiednia pora. Jeśli się jej poszczęści, może dostanie za niego jakieś pięć tysięcy dolarów. Może nawet wytarguje sześć tysięcy pięćset. To wystarczy na opłacenie podróży do Saipan dla rodziny Amber. Nawet zostanie jakaś sumka na odremontowanie domu, dzięki czemu można będzie go znowu wynająć.

Sklep jubilerski skrzył się blaskami drogich kamieni. Mężczyzna, który zbliżył się do Ruby, wyglądał tak surowo i nieprzystępnie, że miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec.

— Czy mogę pomóc? — spytał nosowym głosem.

— Być może — odparła chłodno. — Chciałabym sprzedać pierścionek.

— Nie skupujemy używanych rzeczy. Prowadzimy sklep. Proszę spróbować w lombardzie — wycedził, mierzając ją wzgardliwym wzrokiem.

— Nie jest to coś, co można zastawić — powiedziała lodowato. Otworzyła torebkę i podeszła do lady, gdzie położyła pierścionek na kawałku czarnego aksamitu. Uśmiechnęła się, kiedy mężczyzna z wrażenia aż wytrzeszczył oczy. Z zaplecza sklepu wyłoniło się jeszcze dwóch mężczyzn.

— Proszę wymienić cenę, a jeśli będzie godna zastanowienia, rozważę ją. Jeśli nie, pójdę gdzie indziej. Potrzebuję pieniędzy od ręki. Może być czek.

Jeden z mężczyzn wziął pierścionek i skierował się na zaplecze.

— Nie, nie, nie. Proszę obejrzeć go tutaj. Nie chcę stracić go z oczu.

Mężczyzna zachnął się, ale usłuchał. Ruby czekała, niecierpliwie tupiąc stopą. I czemu się tak guzdrze? Spojrzała na zegarek. Jeśli się pospieszy, może zdąży zrealizować czek w banku. Przerwała szeptaną naradę po drugiej stronie lady.

— Muszę to wiedzieć już teraz. — Wyciągnęła rękę po pierścień.

— Jaka jest pani cena? — spytał pierwszy mężczyzna.

Serce zatrzepotało jej w piersi. Nie chciała wymienić żadnej sumy w obawie, że mogłaby zażądać zbyt mało. Jeśli zechce zbyt wiele, wezmą ją za idiotkę.

— Powiedziałam już, że czekam na propozycję. Jeśli uznam ją za rozsądną, zgodzę się.

— Sześć tysięcy pięćset.

Pokręciła głową. Jak myślała. Powinna wyrazić zgodę, ale może, jeśli się potarguje, wywalczy trochę więcej.

— Siedem.

Znowu pokręciła głową.

— Osiemdziesiąt.

Z satysfakcją dostrzegła pot lśniący na czołach mężczyzn. Znowu pokręciła głową i zrobiła ruch, jakby chciała zabrać pierścień.

— Dziewięćdziesiąt.

Ciągle kręciła głową z ręką zawieszoną w powietrzu. Zaraz. Powiedział dziewięćdziesiąt, nie dziewięć. Krew uderzyła jej do głowy.

— Sto tysięcy. Tylko tyle możemy dać.

Zatoczyła się jak pijana. Dostała szklankę wody, którą łapczywie wypijała.

— A zatem, proszę pani, nasza ostateczna oferta wynosi sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Mogę przygotować akt sprzedaży, jeśli cena pani odpowiada.

— To mi wystarczy, panowie — oznajmiła Ruby głosem należącym do jakiejś obcej osoby. Teraz nie mogła myśleć o tej sumie. Z trudem powstrzymywała śmiech. Jeden zawrót głowy podniósł cenę pierścienia o dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Och, babuniu, czy zdajesz sobie sprawę, co dla mnie zrobiłaś?

Wpadła do banku na pięć minut przed jego zamknięciem.

— Chcę wypłacić dziesięć, nie, dziesięć i pół tysiąca dolarów. Muszę zrobić parę sprawunków. Jutro spłacę dług hipoteczny. A tymczasem proszę to przelać — podała czek Nangiego — na moje konto. — Wypadła z banku jak błyskawica.

Dochodziła piąta, kiedy obładowana pakunkami wysiadła z taksówki przed domem na O Street. Czekali na nią. Dzieci stały w rzędzie, poważne i przestraszone, z niemym pytaniem w oczach. Trudno uwierzyć, że to ta sama rozwrzeszczona horda, która dziś rano omal nie zwała jej z nóg. Amber przedstawiła je po kolei, a Ruby uściśnięła każdemu rączkę. Ku jej zaskoczeniu był tu mały George, Inna i Opal, a niemowlę miało na imię Ruby. Pies siedzący na końcu rzędu również podał jej łapę. Ruby zachichotała, a dzieci wybuchnęły śmiechem. Co za szkoda, że do tej pory nie poznała tych śniadych, czarnookich berbeci. Tyle brzuszków do napełnienia, tyle ubranek i bucików.

Ruby zwróciła się do Angel, najstarszej z rodzeństwa.

— Chcę przez chwilę porozmawiać z waszą mamą, więc co powiecie na lody i cukierki? Macie tu dziesięć dolarów. I kupcie też coś do picia. Sio! — Roześmiała się, kiedy dzieci wypadły galopem przez drzwi.

— Co to? — spytała Amber, przekładając niemowlę z jednego biodra na drugie.

— W jednej torbie są steki i coś tam na obiad, świąteczny obiad, który razem ugotujemy. W innych nowe sukienki ciążowe, bielizna i buty. Znam twój numer, bo raz pożyczyłam od ciebie pantofle. A tu — podała siostrze kopertę — jest dziesięć tysięcy dolarów. Wystarczy, żeby wrócić do Saipan. Kiedy wszystko się wyprostuje, wyślę wam jeszcze pięć tysięcy, na dobry początek. Jeśli zaczniesz płakać, wyjdę — zakończyła ochryple.

Amber pociągnęła nosem i podała jej małą Ruby.

— Skąd...jak...?

— Pewnie powinnam skłamać, że to oszczędności, ale niespecjalnie mi to wychodzi. Sprzedałam pierścień carycy. Babunia dała mi go, kiedy wyjeżdżałam do Waszyngtonu. Chciała, żebym go miała, o was nie wspomniała. Również Opal dostanie ode mnie pewną sumę. Uważam, że tak będzie uczciwie.

Proszę, pomyślała błagalnie, niech mnie nie pyta, ile za niego dostałam.

— Ile za niego dostałaś? — spytała Amber.

— Dawali mi siedem, ale się wytargowałam. Dwanaście i pół. — Niech Bóg mi wybaczy, że zapomniałam wspomnieć o dodatkowych zerach. Z zapartym tchem czekała na odpowiedź Amber.

— Dziwne, że aż tyle. — Wzruszyła ramionami. — Zawsze myślałam, że ten pierścionek jest nieprawdziwy, że to jakiś żart. Dajesz mi większą część pieniędzy. Dlaczego?

— Bo więcej potrzebujesz. Babunia powiedziała, że zrozumie, kiedy nadejdzie pora, żeby go sprzedać. Chyba właśnie nadeszła. Przywiozłam go z sobą. Zdawało mi się, że możecie mieć kłopoty finansowe i nie chciałam stracić domu. Powiedzmy, że obie tego potrzebowałyśmy. Amber, jaka ona śmieszna i słodka. Dlaczego jej włoski tak sterczą? — spytała, łaskocząc maleńką siostrzenicę pod bródką. Niemowlę zakwiliło radośnie.

— Opadną, kiedy zaczniesz chodzić — w głosie Amber słychać było wyraźne rozdrażnienie. — Chcesz powiedzieć, że moje dzieci wyglądają śmiesznie?

— Nie. No, może trochę. Wyglądają inaczej. Czy to dlatego źle się tu czujesz? To twoje dzieci i na pewno kochasz je tak samo, jak ja moje, ale nie możemy udawać, że nie są inne.

— Gdybyś wyszła za Calvina, miałybyś podobne dzieci. Czy to aż takie straszne?

— Nie — powiedziała Ruby zgnębionym głosem. — Przepraszam, że w ogóle zaczęłam o tym mówić. — Przytuliła do siebie dziecko tak, że aż pisnęło. — Ucieszyłam się, że nazwałaś dzieci po mnie i Opal. Zajmę się Ruby, a ty wystrój się dla Nangiego i zacznijmy przygotowywać

obiad. Zadzwoń do Nangiego, żeby powiedział tym... swoim pracodawcom, gdzie sobie mogą wsadzić tę robotę. Wracacie... do domu. No, Amber, zrób to. Czy mogę posadzić Ruby na podłodze w kuchni?

— No pewnie, skoro ją wyszorowałeś. Za chwilę wracam. Jezu, mam nadzieję, że włosy mi zdążą wyschnąć. Nangi będzie... on jest dobry. Nigdy, przenigdy nie narzeka. Przypomina w tym Calvina. Calvin nie jest szczęśliwy — rzuciła przez ramię.

Ruby miał ochotę przywołać ją z powrotem i spytać, dlaczego Calvin nie jest szczęśliwy. Chciała wiedzieć o wszystkim, o każdym szczególe. Może powiedzą coś przy obiedzie.

— Amber! — krzyknęła. — Zawołaj mnie, kiedy skończysz rozmawiać z Nangim. Muszę zadzwonić do Andrew.

Obiad nie przypominał sceny rodem z zoo, czego się Ruby spodziewała. W obecności ojca dzieci prezentowały nienaganne maniery. Nie pytane, milczały. Ruby zauważyła, że nie umiały kroić mięsa, a pieczone ziemniaki budziły ich zdziwienie.

Amber roześmiała się.

— Przeważnie jemy ryż, ale nie mogłaś o tym wiedzieć. Zwykle gotuję coś w jednym garnku. Są do tego przyzwyczajone. To dla nas prawdziwa ucztą. Od dawna nie jedliśmy steków.

Ruby nie mogła oderwać oczu od Nangiego. Przypominał jej trochę Calvina. Nangi widział łzy w jej oczach i zdjęcie, które nadal nosiła w portfelu. Dobre wychowanie nie pozwoli mu wspomnieć o Calvinie.

— Szkoda, że Ruby tu nie będzie, kiedy przyjedzie Calvin. Zawsze to miło spotkać się z przyjaciółmi — oznajmiła nagle Amber.

Ruby nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

— Wiem, że będzie z tego powodu zawiedziony — powiedział cicho Nangi.

— Po co przyjeżdża do Waszyngtonu? — spytała Ruby, siląc się na obojętny ton.

— Ma coś do załatwienia. Chodzi o jakiś kurs dla pilotów czy coś takiego. Calvin nie lubi wdawać się w szczegóły. Powiedział, że będzie tu przez tydzień. Zwykle zatrzymuje się u nas, ale teraz, kiedy możemy wrócić do Saipan, chyba nie zaczekamy na jego przyjazd. Złożyłem już wypowiedzenie, tak jak radziłaś. Może zadzwonimy do niego po obiedzie? Będiesz mogła z nim zamienić parę słów. I tak miałem do niego dzwonić. Chyba że wolisz z nim nie rozmawiać?

Ruby zdołała jednocześnie przewrócić szklankę z wodą i wsadzić łokieć w talerz jednego z dzieci. Pieczony ziemniak wystrzelił jak z procy i wylądował na talerzu Nangiego, opryskując masłem jego śnieżnobiałą koszulę. Ruby usiłowała coś powiedzieć, ale język zupełnie jej skołowaciał. Amber uratowała sytuację, podrywając się, by wytrzeć rozlaną wodę, i wykrzykując:

— No pewnie, że Ruby chce porozmawiać z Calvinem! Tylko powiedz mu, kto mówi, bo nie kojarzy przecież jej nazwiska. Naprawdę, Nangi, czasami muszę myśleć za ciebie.

— No... chyba... to znaczy... — Ruby powoli odzyskiwała mowę. Cóż złego w rozmowie ze starym przyjacielem? Nie zdradzała Andrew, nie była nawet nielojalna. Calvina i ją dzieliły dziesiątki kilometrów.

— Zadzwonimy z piąterka. Będzie spokojniej — wyjaśnił Nangi.

Ruby przysiadła na brzeжку łóżka i nerwowo wygładzała fałdy spódnicy. Nangi rozmawiał z Calvinem w ich ojczystym języku. W końcu odłożył słuchawkę i szepnął:

— Powiedziałem, że ktoś chce się z nim przywitać. Będę na dole. — Cicho zamknął za sobą drzwi.

— Halo, Calvin? Tu Ruby. Jak się masz? — Cisza w słuchawce sprawiła, że na jej policzki wypełził rumieniec. — Calvinie, jesteś tam?

— Tak, tak, jestem — ten sam głos, który zapamiętała. — To... Nie wierzę... Jak ci się wiedzie?

— Żyję jakoś. Często o tobie myślę. Chciałam... chciałam się z tobą skontaktować. Dzwoniłam, pisałam... a potem Nangi powiedział, że się ożeniłeś. Myślałam... czekałam na ciebie... — Cholera, zaczęła płakać. Czemu zachowuje się jak egzaltowana nastolatka?

— To moja wina. Byłem zbyt dumny. Nangi wyjaśnił mi, co się wtedy stało, ale było już za późno. Usiłowałem się z tobą spotkać, kiedy wróciłem do... To moja wina.

— I moja — dodała cicho. — Jesteś zdrowy? Jesteś szczęśliwy?

— Tak. Nie. A ty?

— Tak. Nie. Zmarnowaliśmy dużo czasu.

— Myślę o tobie codziennie... nawet, kiedy latam... Wtedy najlepiej, jestem zupełnie sam. Czasami marzę... Nangi przekazuje mi wieści o tobie. Zawsze go o ciebie pytam. I zawsze, gdy się czegoś o tobie dowiaduję, czuję się świetnie przynajmniej przez tydzień.

Ruby przycisnęła mocno słuchawkę do ucha. Nie chciała uronić ani słowa.

— Calvinie... Ja... — Łzy spływały jej po policzkach, głos grzązł w krtani. — Muszę kończyć, bo zrujnuję Amber. Ja... och, dlaczego mi nie zaufałeś, czemu nie wierzyłeś we mnie? Niech cię diabli! Zrobiłam wszystko, co mogłam. Chciałam zabić w sobie uczucie do ciebie i... i nie udało mi się... Zrobiłam wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Wysłałam za męża z niewłaściwych pobudek i wegetuję w tym małżeństwie. Wszystko przez ciebie! — Rzuciła słuchawkę na widełki. Nie będzie się ośmieszać i obnażać krwawiącego serca. Poszła do łazienki i opryskała twarz zimną wodą. Przeczesała włosy palcami. Musi wyjść z tego domu, zanim wybuchnie płaczem.

— Dziękuję ci, Ruby — powiedziała Amber, całując ją szybko w policzek.

— Wszystko w końcu się ułoży — szepnął Nangi, biorąc Ruby w objęcia. Skinęła żałośnie głową, unikając jego wzroku. Pocałowała i przytuliła każde dziecko. Uśmiechały się nieśmiało.

— Są piękne, Amber. — Naprawdę tak myślała.

Wsiadła do samochodu i obejrzała się za siebie. Amber była szczęśliwa. Dzięki niej, Ruby. Opal także była szczęśliwa. Na Boga, nie będzie płakać, nie będzie.

Martha i Andy obserwowali z głupimi uśmieszkami, jak ojciec krząta się bezładnie wokół kuchenki. Andy trącił łokciem siostrę i szepnął:

— To już trzeci raz, jak jemy jajka i galaretkę z winogron, a jeśli się razem wymieszają, jajka robią się zielone. Nie lubię zielonych jajek, a ty?

— Uwiiieelbiam — mruknęła Martha. — Uwielbiam nawet czarne grzanki taty. Pozwolił mi nakryć do stołu — oznajmiła z wyższością.

— Błę! Nigdy nie lubiłaś nakrywać do stołu. Ciągłe jęczałaś i wykręcałaś się, jak mogłaś.

Martha wzruszyła ramionami. Nie odrywała oczu od ojca. Bardzo dobrze, pomyślał, w ciągu tych kilku dni ojciec poświęcał więcej uwagi siostrze niż jemu. Andy uwielbiał Marthy. Cieszył się, wiedząc, że śmieje się i żartuje z tatą. Dziś po szkole ojciec pocałował ją w policzek, kiedy pokazała mu wielką, czerwoną szóstkę na klasówce z matematyki. Była zdolna, najzdolniejsza w całej klasie. Wszyscy tak mówili. „Tylko tak dalej, a dostaniesz stypendium na Harvardzie albo w Princeton” — pochwalił tato. Martha uśmiechnęła się od ucha do ucha. Powiedziała, że chciałaby kiedyś pójść do Princeton, ale Andy miał nadzieję, że tego nie zrobi, bo musiałyby wyjechać i nie miałyby już siostry.

— Idź umyć ręce, Andy — rozkazał ojciec.

Andy podreptał do łazienki. O rety, strasznie nie lubił zielonych jajek. Myjąc ręce, doliczył do sześćdziesięciu pięciu, tak jak nauczył go ojciec. Jeśli wróci do kuchni choćby o sekundę wcześniej, zostanie to zaznaczone na jego grafiku, przypiętym do drzwi szafki. Wytarł starannie ręce, a potem zaczął przeskakiwać z jednej nogi na drugą. Doliczył w ten sposób jeszcze dwadzieścia sekund, na wszelki wypadek.

Usiadł na swoim miejscu, złożył ręce i czekał, aż ojciec zmówi dziękczynienie. Spojrzał na jajka i górę galaretki z winogron. Jajka miały zielone brzegi. I nie było bekonu ani kiełbasy. Lubił bekon i kiełbasę, nie znosił jajek. Tost wyglądał jak papa, którą kiedyś robotnicy kładli na dachu. Jeśli go zje, w mleku zaczną pływać czarne okruszki. Nie znosił czarnych okruszków w mleku. W ogóle nie podobała mu się ta cała kolacja. Odetchnął głęboko i wyrzucił z siebie:

— Nie chcę tego jeść. Bardziej mi smakuje, kiedy mama przyrządza jajka. Trzeba wcisnąć guzik na tosterze, wtedy grzanki nie będą wyglądały jak... papa.

Andrew odłożył widelec i spojrzał na syna.

— Czy dobrze słyszałem? — spytał tonem zwykle zarezerwowanym dla Marthy.

— Tak — powiedział Andy wyzywająco.

— Jeśli kolacja jest dobra dla twojej siostry, jest dobra również dla ciebie. Czy jajka lub grzanki są niesmaczne, Martho?

— Och, nie — powiedziała Martha z pełną buzią. — Bardzo dobre. Mama robi gorsze — skłamała. Nagle zapragnęła udusić braciszka, którego przecież gorąco kochała. Teraz ojciec zmieni się i już nie będzie tym kochanym, łagodnym tatusiem, jakim stał się po wyjeździe mamy. — On jadł ciastka! — wypaplała i natychmiast się znenawidziła, bo w oczach brata zobaczyła zawód. — No, może ich nie jadł, ale na nie patrzył. Ja nie zjadłam ani jednego.

— Andy, jadłeś ciastka przed kolacją?

— Tak. Cztery. I cieszę się, bo teraz wyślesz mnie do łóżka bez kolacji, więc byłbym bardzo głodny, gdybym ich nie zjadł. Nie obchodzi mnie to. Ta kolacja jest wstrętna! — zakończył, wbijając widelec w ostygłe już jajka.

— Powiedz, co właściwie jest tu nie tak — zaproponował spokojnie Andrew.

Andy przełknął kulę, która utkwiała mu w gardle.

— Mama zawsze dodaje bekon i kiełbasę, a grzanka jest taka brązowa i żółta, a w mleku nie pływają te takie czarne. I nie lubię, jak mam na talerzu galaretkę. I nie widzę żadnego deseru.

— To dlaczego nic nie powiedziałeś, kiedy zacząłem przygotowywać kolację? Skoro nie wiem, co robi wasza matka, jak mogę ją naśladować? — Jego oczy spoczęły na pustym talerzu Marthy. — Zdaje się, że... mnie oszukałaś, prawda?

Martha miała przerażoną minę. Przecież ona zje nawet błoto, jeśli ojciec jej każe, pomyślał Andy. Czyżby tego nie wiedział?

Nagle kuchnia zatrzęsała się od śmiechu Andrew.

— No dobrze, dzieci, spróbujmy zrobić taką kolację, jaką robi wasza matka. Martho, przynieś bekon, Andy, rozbij jajka. Ja tu posprzątam. Martho, możesz zjeść coś jeszcze, czy jesteś najedzona?

Wpatrzyła się w ojca wielkimi oczami pełnymi podziwu.

— Mogłabym zjeść trochę bekonu, a jeśli dostaniemy deser, to też znajdę miejsce.

— A więc do dzieła! Na trzy wrzucamy wszystko do miski.

Ojciec jest fajny, pomyślał Andy, wrzucając do miski jajka wraz z odpryskami skorupki. Mama miała rację. Nie karze się za mówienie prawdy. Jejku, chciałby, żeby się pospieszyła i wróciła już do domu.

— Kiedy mama wróci?

— Dziś w nocy. Zrobi wam rano śniadanie.

— Tylko nie jajka — mruknął Andy.

Andrew roześmiał się głośno, trącając Marthę i mrugając do niej.

— Och, tatusiu! Kocham cię! — zawołała, obejmując go w pasie.

Andy spojrział na zatłuszczone bekonem ręce siostry i ojca, który nadal miał na sobie mundur. Nagle zdał sobie sprawę, że cisza, która zapadła po wybuchu Marthy, przedłużyła się nadmiernie. Ojciec wciąż milczał.

— Ty, głupia! Kocham cię! A ty mnie? — spytał Andy, wycelowując w siostrę ociekający widelec, którym rozbełtywał jajka.

Andrew spojrział na syna w sposób, do którego Andy nie przywykł. To było miłe spojrzenie.

— Hej, proszę mi się tu nie przezywać. Siostra to siostra, i nie jest głupia. Kocham was. Ciebie, Martho, i ciebie, Andy. Chyba powinienem to mówić częściej, ale myślałem, że o tym wiecie. Podejrzewam, że nie jestem najlepszym ojcem. Ale postaram się, co wy na to?

— Fajnie — wymamrotał Andy.

Rany, ależ był głodny. Po co to gadanie? Jego ojciec był naprawdę taki sam, jak ojciec Billy'ego i nie musiał obiecywać, że będzie lepszy. Był już wystarczająco dobry. Zresztą, co tam. Ojciec i tak nigdy nie dotrzymywał obietnic. Tak, jak wtedy, kiedy miał z nim iść na mecz piłki nożnej. Czekał na niego tak długo, że stracili połowę meczu. Ale Martha mu wierzy, dziewczyny są takie głupie. No, ale jest szczęśliwa. Oczywiście jej błyszczą i wygląda tak idiotycznie, że chętnie by ją walnął.

* * *

Andrew obracał w dłoniach butelkę piwa. Pastwił się nad nią od trzech godzin i piwo było już zupełnie ciepłe. Mógł sobie wziąć inne z lodówki, ale nie chciało mu się wstać. Poza tym nie powinien być w kuchni, kiedy Ruby zatrzyma samochód na podjeździe. Jeśli zostanie tu, gdzie jest, zaskoczy ją, więc miałby nad nią przewagę. Dołoży wszelkich starań, by zmusić ją, do zrobienia tego, co chciał. Zgoda z dziećmi to pierwszy krok. Wiedział, że Martha nie śpi i czeka

na matkę. W ciągu ostatnich dwóch godzin chodziła trzy razy do łazienki. To lepsze, niż gdyby zmoczyła łóżko.

Skronie rozsadzał mu pulsujący ból. Zaczynał się martwić, że ten ból ustępuje pod wpływem alkoholu, a nie aspiryny. Przyszło mu na myśl słowo alkoholik. Odsunął je od siebie. Od czterech dni właściwie nie pił alkoholu. Jedno czy dwa piwka dziennie nie mogły zmienić tego, kim był, a był komandosem. W piechocie morskiej nie tolerowano alkoholików.

Rozparł się na poduszkach sofy. Od tygodnia żył w ciągłym strachu. Zaczęło się wtedy, gdy dotarła do niego plotka, że generał Frankel nie dostanie trzeciej gwiazdki. Podobno uważano, że jest na to za stary. Raczej niewesoła wiadomość, ale kiedy usłyszał w kantynie drugą plotkę, omal się nie porzygał. Miał przejść pod rozkazy innego dowódcy, którego dobrze znał, bo kiedyś pod nim służył. Dowódca ten miał być wysłany do Wietnamu. O nie, zbyt wiele tyłków musiał całować, żeby teraz dać się tak wystawić i wylądować w jakiejś zaplutej azjatyckiej dziurze. Po cholere ma się żonę ze znajomościami, jeśli nie można jej wykorzystać w grze?

Ruby i Arlene mówiły sobie po imieniu. Jeśli Ruby szepnie jej jakieś słówko, jej i Querym, to może zdejmą z Andrew łapy i zostawią go w kraju. Cóż to takiego poprosić? Będzie dla niej miły i obieca jej wszystko, co zechce. Miał asa w rękawie. Ruby zrobi dla Marthy wiele, bardzo wiele.

Zdał sobie z tego sprawę przed pięcioma dniami, kiedy żona, wkurzona jak wszyscy diabli, leciała do samochodu. Postraszyła go odejściem, a nigdy nie rzucała słów na wiatr, to już wiedział. Wtedy właśnie usłyszał dzwonek alarmowy. Powiedział sobie, że pora zarządzić odwrót i przegrupowanie wojsk... Tak, należało grać Marthą.

Ruby dotarła do domu tuż przed północą. Tylko w salonie paliła się lampa. Najwyraźniej wszyscy już spali. Odetchnęła z ulgą. Na razie ominie ją rozmowa z Andrew. A może leży w łóżku, ale nie śpi i czeka na rozmowę, którą zapowiedziała. Była zmęczona, ale nie tak jak wtedy, gdy przybyła do Waszyngtonu. Gorący prysznic postawi ją na nogi, ale najpierw musi zajrzeć do dzieci. Boże, jak ona za nimi tęskniła. Tylko na nie zerknie.

Była w połowie korytarza, kiedy usłyszała głos męża z salonu. A jednak na nią czekał. Wyprostowała ramiona. Właściwie równie dobrze mogą porozmawiać teraz. Odwlekanie rozmowy tylko ją rozstroi. Zajrzała do salonu.

— Czy mogę cię prosić o herbatę?

— Pewnie. Chcesz coś zjeść?

Chciała, ale kulinarne umiejętności Andrew pozostawiały wiele do życzenia.

— Może ciastko — rzuciła przez ramię.

Andy spał mocno, rozrzucając ramiona. Nogawki piżamy podwinęły się mu powyżej kolan. Okryła go kołdrą. Nie poruszył się, kiedy pocałowała go w policzek. Kocham cię, szepnęła.

Martha była śpiąca, ale nadal czuwała.

— Mamusiu, mamusiu! Dobrze, że wróciłaś. Posłuchaj tylko! Tatuś był taki miły. Całował mnie, przytulał i przeproszał. To cudowne! Wiem, że tatuś mnie kocha! Powiedział, że trudno mu o tym mówić, ale że powinnyśmy o tym wiedzieć, bo jest naszym ojcem. On się naprawdę stara. To znaczy, że będzie lepszy i miłszy dla ciebie, prawda?

Ruby skinęła głową, bo co innego mogłaby zrobić.

— To był najlepszy dzień mojego życia. Lepszy niż dwie Gwiazdki razem wzięte. Teraz już się nic nie stanie, prawda?

— Prawda, kochanie. Pora spać, jest późno. Jutro idziesz do szkoły. Porozmawiamy przy śniadaniu.

— Mamusiu, nie rób jajek, dobrze? Zrób owsiankę. Andy chce i ja też. I bez grzanek. — Martha schowała się pod kołdrę i objęła poduszkę. — Tata położył mnie do łóżka i pocałował na dobranoc. Zobaczysz, na pewno nie zmoczę dziś łóżka. Po prostu wiem.

— Ja też to wiem, maleńka.

Ruby zgarbiła się. Stopy ciążyły jej jak odlane z ołowiu, kiedy krok po kroku zbliżała się do salonu. I Andrew. Dla Marthy to, co się wydarzyło, graniczyło z cudem. Ruby jeszcze nigdy nie widziała córki tak szczęśliwej, ale przypuszczała, że to jej przyjdzie za to zapłacić.

— Witaj, kochanie. Jak podróż? Jesteś zmęczona? — odezwał się cicho Andrew, podając żonie filiżankę herbaty. — To powinno ci pomóc. Wybacz, ale nie ma ciastek. Dzieci wszystkie zjadły.

— Jestem zmęczona, a podróż miałam dobrą. Mam nadzieję że dawaliście sobie beze mnie radę — powiedziała ze znużeniem.

— Bawiliśmy się świetnie. Dzieci chyba mają dość jajek na jakiś czas, ale nikt nie umarł z głodu. Ta podróż to najlepsze, co mogło się nam wydarzyć. Martha i ja naprawdę się do siebie zbliżyliśmy. To dobre dziecko. Może rzeczywiście zbyt wiele od niej wymagałem. I od Andy'ego też. Zakładałam się z tobą o pięćdziesiąt centów, że przestanie moczyć łóżko — oświadczył wesoło. — Jesteś zbyt opiekuńcza, Ruby. Zawrzyjmy mały układ. Ty dasz mi spokój, a ja się wycofam. Umowa stoi? — Potarł nosem o jej kark. — No?

— Spróbuję. Ostatnio nie zachowywałaś się najlepiej. Skąd mam wiedzieć, że będziesz traktował Marthę... przyzwoicie?

Andrew wyprostował się.

— To wstrętne. Zawsze traktowałem to dziecko przyzwoicie. Może surowo, ale przyzwoicie. Dzieci muszą być wychowywane w dyscyplinie. Zanadto im pobłażasz. Jak możesz oczekiwać, że staną się niezależne?

Ruby wzdrygnęła się.

— A miłość? Kiedy, z wyjątkiem ostatnich dni, zbliżyłeś się choćby na metr do swojej córki? Nigdy, oto odpowiedź. Czego chcesz? Wiem, że coś się za tym kryje, więc możesz mi to powiedzieć od razu. Postawmy sprawę otwarcie, zanim złamiesz serce naszej córce.

Głos Andrew nabrał szorstkich tonów. Nie znosił, kiedy Ruby tak go przyszpilała. Niech ją wszyscy diabli.

— Usłyszałem plotkę, że Frankel ma iść w odставку. Jeśli się tak stanie, nici z awansu. Oznacza to również, że będę miał innego zwierzchnika, mianowicie tego, pod którym służyłem poprzednio. To prawdziwa szuja. Lubi małe dziewczynki. Naprawdę małe, takie jak Martha. Nie mogę być znowu podwładnym Lacklanda. W końcu zabiję skurwiela. A to znaczy, że chcę, byś poszła do żony generała oraz Querych i przemówiła w mojej sprawie. Mógłbym to zrobić osobiście, ale jeśli ty się tym zajmiesz, będzie to wyglądało zgrabniej. Lubią cię i szanują. Są twoimi przyjaciółmi. On ciągle ma wpływy. Jeśli odmówisz, będę musiał pojechać z tym draniem do Wietnamu. Pamiętasz, jak było, kiedy wyjechałem do Korei? Masz teraz dwoje dzieci. Nie będzie ci łatwiej.

— Małe dziewczynki, takie jak Martha? — szepnęła Ruby. — Dlaczego nie powiedziałeś jego zwierzchnikowi? Co z ciebie za mężczyzna? Wiedziałeś... wiesz... i ciągle nic nie robisz? A więc ja to zrobię. — Wyszarpnęła rękę z jego błagalnego uścisku.

— Zajmę się nim, nie martw się — powiedział przerażony Andrew. — Nawet nie myśl o tym, żeby wtykać nos w nie swoje sprawy, tak jak z Hugonem i Dixie. Właśnie dlatego, wierz lub nie, musiałem wyjechać do tej dziury w Korei.

W głosie Andrew brzmiała wrogość, której dotąd nie słyszała. Kłamał; wszystko brzmiało fałszywie. Zesztywniała.

— Nie miałam nic wspólnego z Hugonem i Dixie. I wiesz o tym. To, co mówisz, jest tak straszne, tak... niewiarygodne, że nie mogę siedzieć beczynnienie.

— Powiedziałem, że ja się tym zajmę!

Ruby upewniła się, że nie usłyszała wszystkiego, zbyt gwałtownie protestował.

— Chcę, żebyś pogadała z żoną generała i z państwem Query. Zrobisz to?

— Nie mogę. Pani Frankel powiedziała nam kiedyś, żebyśmy nigdy, pod żadnym pozorem nie prosiły jej o pomoc w sprawach naszych mężów. Pod żadnym pozorem. I uprzedziła, że jeśli to któraś zrobi, w aktach jej męża pojawi się wielka krecha. Bądź wdzięczny za to, co masz. Odpowiedź brzmi: nie. A co do Querych, admirał leży w szpitalu. Jest bardzo chory i nie będę go nękała twoimi problemami. Sam się babraj w tym bagnie — powiedziała ze złością.

— Więc chcesz, żebym pojechał do Wietnamu z tym zboczeńcem, tak?! — wrzasnął Andrew.

— Nie, tego nie chcę. Idź do dowództwa i powtórz to, co mi przed chwilą powiedziałeś. Jeśli piechota morska jest tak wspaniała, jak twierdzisz, wyrzucą go.

Żołądek Andrew skurczył się boleśnie.

— Nie mam szans, jeśli mi nie pomożesz, i dobrze o tym wiesz. Musisz to zrobić. To rozkaz, do cholery, i masz go wykonać! — Jego oczy zatrzymały się na drzwiach pokoju Marthy.

— Ty gnido, postługujesz się własną córką! Wiedziałaś, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. To gra, tak? Więc będziesz musiał grać dalej sam, bo ja nie przyjmuję twoich reguł. Dosyć. Odchodzę.

— Spróbuj, a nigdy nie zobaczysz dzieci. Powiem wszystkim, że jesteś nieodpowiedzialna i że się puszczasz. W bazie znajdę mnóstwo facetów gotowych zełgać za marne pięć dolców. Proponuję ci układ, ja co coś dam i ty mi coś dasz. Tak to działa.

— Jesteś chory. I zły. Jak mogłam być taka głupia, żeby uważać, że jesteś...

— ...miły? Jestem miły. Spytaj, kogo zechcesz.

— Twoich kumpli? Może raczej ich żony?

— Od nich usłyszysz same komplementy — wyszczerzył zęby.

Ruby poddała się. Nie pozostawało jej nic innego. Wiedziała, że Andrew mówił ze śmiertelną powagą.

* * *

Od trzech dni usiłowała się dodzwonić do Arlene Frankel, w końcu jeden ze służących oświadczył, że pani wyjechała. Ruby dziękowała Bogu. W domu Querych na Chapel Hill również nikt nie podnosił słuchawki. Ruby nie zgodziła się niepokoić admirała w szpitalu.

Andrew ze swojej strony dotrzymywał umowy. Patrzył, jak Martha jeździ na wrotkach i rowerze, które kupił jej za to, że przez cztery dni z rzędu nie zmoczyła łóżka. Grał z dziećmi w monopol. Martha promieniała, a Andy zajmował się własnymi sprawami, popatrując ukradkiem na matkę, kiedy sądził, że go nie widzi. W kwestiach dotyczących ojca był podejrzliwy. Czuje, że stanie się coś strasznego, buczał w nocy, wtulając twarz w poduszkę.

Czwartego dnia Andrew stracił cierpliwość.

— Zwodzisz mnie! Będę stał obok ciebie. Dzwon — rozkazał Ruby. Spełniła polecenie, bez rezultatu. Andrew wypadł gniewnie z pokoju. Ruby westchnęła z ulgą.

Szóstego dnia doszła do wniosku, że żona generała jej unika. To samo podejrzewała odnośnie pani Query, ale nie wspomniała o tym Andrew. Ze względu na Marthę ciągle dzwoniła, modląc się, żeby służący wciąż odpowiadał tak samo.

Pod koniec dziesiątego dnia Andrew stał się nie do wytrzymania. Ruby postanowiła już nie zawracać sobie głowy dzwonieniem.

— Przecież jest w tej cholernej bazie, sam ją widziałem! — wściekł się Andrew następnego wieczora.

— To ci powinno dać do myślenia — warknęła Ruby. — Chcesz nas oboje ośmieszyć?

— Dzwon do admirała — rozkazał.

Postuszenie wykreśliła numer. Telefon zadzwonił dwadzieścia razy, zanim odłożyła słuchawkę. Dni wlokły się jeden za drugim. Rozpoczął się nowy miesiąc. Od przyjazdu Ruby z Waszyngtonu minęło dwadzieścia trzy dni.

Andrew wpadł w środku dnia do kuchni.

— Ten bydlak po prostu pożegnał się i miał jeszcze czelność życzyć mi awansu! — wrzeszczał. — Zostawił mnie na lodzie. Wie, co się ze mną stanie. Nie chciało mu się o mnie walczyć. Bo i po co? Odchodzi. Ma mnie gdzieś, a jego żona olewa ciebie.

Ruby stała przy zlewie, myjąc warzywa. Poczula taką ulgę, że miała ochotę śpiewać.

— Przykro mi, że się nie udało. Admirał jest zbyt chory, żeby ci pomóc, nawet gdybym się do niego przebiła.

— Ale masz przyjaciół!

— Nie oceniam ich po tym, co mogą dla mnie zrobić. Bądź wdzięczny, że w ogóle coś zrobili. Mogłeś latami czekać na awans. Proszę, bądź im wdzięczny, dla dobra nas wszystkich.

— Łatwo ci mówić. Ty nie jedziesz do Wietnamu. Pieprz się! — ryknął Andrew, trzaskając drzwiami.

Ruby schowała twarz w dłoniach. Co teraz? Zaryzykować i wyjechać? A może poczekać, aż Andrew wyjedzie do Wietnamu?

W ciągu trzech tygodni Ruby znalazła się na krawędzi załamania nerwowego. Nie mogła jeść; i tak szczupła, schudła siedem kilo. Oczy miała podbite sinymi kręgami. Wyglądała niemal jak szkielet. Unikwała patrzenia w lustro. Teraz chciała tylko, żeby Andrew wyjechał, zanim Martha na tym ucierpi. Miał się zameldować w porcie w ciągu niespełna dwunastu godzin. Postanowiła wysłać dzieci z domu — Marthę na wycieczkę harcerską, a Andy'ego na zawody pływackie YMCA. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Martha znowu moczyła się w nocy i zbyt długo przesiadywała w samotności, wpatrując się w ściany swojego pokoju.

Zamierzała jeszcze raz przemówić mężowi do rozsądku. Nie chciała rozstawać się z nim w nienawiści. Jednak on potrafił mówić tylko o tym, jak bardzo go zawiodła, kiedy potrzebował pomocy.

Chciałaby go kochać i chciałaby, żeby on ją kochał. Choćby odrobinę. Tyle straconych lat, pomyślała smutno. Może teraz nadeszła chwila, by sprawdzić, czy można jeszcze coś naprawić. Będą daleko od siebie; będą mieli czas do namysłu.

* * *

Nie ukrywała zaskoczenia, kiedy Andrew wszedł godzinę później do kuchni i nalał sobie kawy. Usiadł przy stole obok Ruby, ogrzewając ręce o kubek.

— Myślałam o naszych lepszych czasach. Zastanawiałam się, co się popsulo — powiedziała cicho.

— I doszłaś do jakiegoś wniosku? — spytał równie cicho.

— Chyba tak. Zmieniłeś się od powrotu z Korei. Byłam zła i urażona. Winiłam cię za wszystko, co mi się nie udało. Dużo przesłam, ale przetrwałam. Nie pozwoliłeś mi się do siebie zbliżyć. Nie interesowałeś się Martha. Wiem, że tak gwałtowne przestawienie się na odgrywanie roli ojca nie jest łatwe. Martha wymagała wiele ode mnie... od nas obojga. Byłam nadopiekuńcza, przyznaję. Przez bardzo długi okres miałam tylko Marthę. Naprawdę się starałam. Nie wiem, czy ty też. Nie wyglądało na to. Irytowały cię pieluchy, płacze, troska, którą otaczałam nasze dziecko. Próbowałam to zrozumieć. Nie potrafiłam natomiast pojąć, dlaczego nie chciałeś, żebym wracała do przytułku. Walczyłeś ze mną jak wściekły. Ale i tak wracałam, bo

to było dla mnie ważne. Nie chcę, żeby ten dom wyglądał jak pole bitwy. Nasze dzieci powinny liczyć się najbardziej, a tak nie jest. Jeśli ktoś musi wziąć na siebie winę, biorę ją całą. Jestem strzępem człowieka. Nie mogę tak dłużej. Doszłam do punktu, w którym nie mogę już sobie pomóc, a skoro nie panuję nad własnym życiem, jak mogę opiekować się dziećmi? Musimy zawrzeć pewne porozumienie i zacząć od nowa. Zapomnijmy o wszystkich strasznych rzeczach, które sobie powiedzieliśmy, o wszystkich groźbach i spójrzmy w przyszłość. Ja spróbuję, jeśli ty też. Jedyną alternatywą jest rozwód — zakończyła bezbarwnie.

Andrew siedział zgarbiony. Stanął przed czymś nieuniknionym, więc po co walczyć? Miał pojechać do Wietnamu i było całkiem prawdopodobne, że nie wróci żywy. Jeśli nawet przeżyje, nie chciał, by spotkał go taki sam los, jak innych, którzy wrócili z dalekiego kraju i odkryli, że żona i dzieci odeszły. Od ponad dwóch tygodni nie wypił ani jednego drinka i zastanawiał się nad swoim życiem. Wszystko, co powiedziała Ruby to prawda, przerażająca prawda. Nie wiedział, czy jeszcze może jakoś wynagrodzić dzieciom to, co zrobił. Słowa tym razem nie wystarczą. Ruby nie przyjmie obietniczek czy pięknych opowieści, ale na razie tylko tyle mógł jej zaproponować.

— Masz rację — jego ochrypy głos przypominał krakanie. — Nie chcę tego przyznać, ale jak zwykle masz rację, we wszystkim. Nie powinienem cię zmuszać do interwencji. Zachowałem się jak bydlę. Nie myślałem o tobie, zajmowałem się wyłącznie sobą. Przepraszam. I miałaś rację co do Korei. Zmieniłem się. Zmieniłem zasady. Chyba już to wiesz. Przepraszam jest takim wyświechtanym słowem. Zwłaszcza kiedy się mówi je tak często jak ja. Zrozum, jestem przerażony. Korea to pestka. Tu... to coś zupełnie innego. Jeszcze nigdy się tak nie bałem. Komandosi nie powinni znać strachu, ale ktoś, kto tam jedzie i twierdzi, że się nie boi, jest kłamcą. Co do mojego dowódcy, to, co ci teraz powiem, jest chyba... straszne, ale masz prawo wiedzieć. Skłamałem, kiedy mówiłem o tych małych dziewczynkach. On lubi młode dziewczęta, ale takie koło szesnastki, dziewice. Pomagałem mu... Nie mogę... na niego donieść, bo on... Nie jestem z tego dumny, Ruby, w gruncie rzeczy się tego wstydzę. To dlatego nie chciałem znów trafić pod jego rozkazy. Boję się go bardziej niż całego Wietnamu. Jeśli mu zaszkodzę, zaszkodzę również sobie. Chcę odsłużyć te dwadzieścia lat i zmyć się. Jeśli możesz to znieść i jeśli masz na to ochotę, po powrocie zacznę od nowa. Osiedlimy się w prawdziwym mieście; kupimy dom, a ja zdobędę jakąś pracę. Będziemy mieli moją emeryturę, a jeśli zechcesz, również możesz iść do pracy. Finansowo damy sobie radę. Co ty na to?

Po policzkach Ruby potoczyły się łzy. Słyszała już takie obietnice.

— A dzieci?

— Jeśli ruszymy teraz z kopyta, zdążymy zawitać na obóz harcerski i na pływalnię, w samą porę, by zobaczyć, jak Andy pływa delfinem. — Dotknął jej ręki.

Nie miała pojęcia, czy postępuje słusznie. Musiała spróbować, ze względu na dzieci. Martha będzie bardzo szczęśliwa. Andy uśmiechnie się i pomacha im ręką. A co do niej — lepsze to niż rozstanie w nienawiści.

Andrew Blue spojrział na kieszonkowy kalendarzyk i skreślił kolejny dzień. Jeszcze trzydzieści trzy i wyjedzie z tej piekielnej dziury, z tego szamba, do którego spływały nieczystości całego wszechświata. Codziennie myślał o Ruby i dzieciach. Każdy dzień zbliżał go do daty powrotu do rodziny.

Miał cholerne, skurwysyńskie szczęście. Dwa razy omal nie oberwał na nocnym patrolu. Stracił trzech dobrych żołnierzy, których uznawał za przyjaciół. Takich facetów chciałby poznać po powrocie do domu. Z takimi mógłby wypić piwko i nie musiałby udawać, że jest kimś lepszym. Oczywiście to, że się z nimi zaprzyjaźnił, było błędem. Teraz odeszli. Boże, nic go na to nie przygotowało. Dave Harkness wyleciał na minie. Nie zostało z niego nawet tyle, żeby można go było rozpoznać. A potem Bic Nexus dostał prosto w gardło od snajpera. Andrew trzymał w ramionach konającego Charlie Duveliera. Mówił do niego, opowiedział mu o Ruby i dzieciach, o szkole, o czasach, gdy grywał w football. Płakał jak dziecko, kiedy Charlie wydał ostatnie tchnienie. Musieli mu go odbierać przemocą. Przez kilka dni miał na sobie jego krew. Gdyby Charlie nie szedł przed nim, to on dostałby tę kulę. Boże, jak się wtedy modlił. Złożył obietnicę Bogu, aniołom i wszystkim świętym, każdemu z osobna. I zamierzał jej dotrzymać.

Postanowił też, gdyby to nawet miała być ostatnia rzecz, którą robi w życiu, donieść na Lacklanda. Nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy Ruby, kiedy opowiedział jej o swojej przeszłości. Opędził się od robactwa, które go oblaźło. Nienawidził tego cholernego kraju, tego smrodu, upału, wojny, umierania. Charlie, Bic i Dave oddali życie i opuścili swoje rodziny w obronie tego zapomnianego przez Boga skrawka ziemi. To nie w porządku. Nic tutaj nie było w porządku. Chciałby móc zebrać wszystkich żołnierzy Wietkongu i ustawić ich w szeregu. Strzelałby ze swojego M-16, tak długo, aż zatłukłby wszystkich. Cholerne sukinsyny. Codziennie usiłował wyjść cało z tego bajzlu i jeszcze uratować życie swoich ludzi. Codziennie myślał o swojej przeszłości i o tym, w czym zawinił. Myślał o dniu Sądu Ostatecznego, kiedy odpowie za swoje grzechy. Chciał jeszcze mieć szansę naprawienia wszystkich błędów. Może to jego piekło, pomyślał, kara za całe zło, które wyrządził innym. Lackland widział, że zaszła w nim zmiana i zaczął się niepokoić. Mógł stać się niebezpieczny. Andrew, na wszelki wypadek, zwierzył się ze swoich obaw młodemu porucznikowi. Poklepał kieszeń, w której przechowywał listy od rodziny. Znał je na pamięć, a kiedy bał się tak jak teraz, przypominał sobie ich treść.

Parne powietrze rozdarły strzały snajpera. Jeden, dwa, trzy. Na głowę Andrew posypały się liście, kiedy jego ludzie odpowiedzieli ogniem z automatów.

— Trafiłem drania! O Jezusie, rozwaliłem mu łeb! — krzyknął histerycznie Stanapopolus.

— Chcesz dostać medal? — warknął inny głos.

— Chcę, kurwa, chcę. O Jezu, niech pan tu spojrzysz, sir.

Andrew podszedł bliżej i spojrział w kierunku, który wskazywał Stanapopolus!

— Dostał za drugim strzałem, sir. — Lackland!

— Tak, prosto w tył głowy. Czysty strzał. Nie cierpiało.

— Szkoda — mruknął Andrew. — Sir?

— Szkoda, że go trafili. Miał przed sobą całe życie — powiedział Andrew szorstko. — Wiecie, co robić — dodał, zrywając z szyi Lacklanda plaketkę identyfikacyjną.

— Miał sześcioro dzieci, wie pan?

— Nie, nie wiedziałem... Słyszałem, że był rozwiedziony.

— Tak, dwa razy. Dzieci miał z pierwszą żoną. Pokazywał mi ich zdjęcia. Był dobrym żołnierzem. Dzieci powinny wiedzieć, że ich stary był w porządku. Napisze pan list do jego rodziny?

— Jesteście pewni, że miał sześcioro dzieci?

— Tak. Sześć małych łebków. Widziałem fotografię. Stały wszystkie, odszykowane i na baczność. Był chyba z nich strasznie dumny. Co zrobić z listami, sir? Ma dwa w kieszeni.

Andrew wyciągnął rękę. Później, kiedy nadeszła jego kolej na drzemkę, przeczytał jeden z nich. Zaczynał się tak samo, jak listy od jego dzieci.

Kochany Tato!

Modlimy się za Ciebie co wieczór Mama dała nam specjalny kalendarzyk i skreślamy dni, które zostały do Twojego powrotu. W tym tygodniu przypada moja kolej do napisania listu, a wszyscy chcą, żeby Ci coś od nich przekazać. Jamie dostał dwie gwiazdki za dyktando. Abbie sama naprawiła koło roweru. Powiedziała, że Ty ją tego nauczyłeś. Carrie zrobiła ciągutki, takie jak lubisz — z pianką, orzechami i masłem fistaszkowym. Mamci je zapakowała i Ci wysłała. Powiedziała, żebyś podzielił się z kolegami. Stan jest znowu miotaczem. Ostatnio to dzięki niemu wygrali, ale trener nie ma go kim zastąpić. Wszyscy mamy wietrzną ospę. Maty Ann dostała pracę w piekarni. Co wieczór przynosi do domu babeczki. O mnie na końcu. Jestem trzeci w klasie. W zeszłym tygodniu dostałem odznakę z emblematem naszej klasy. Szkoda, że Cię nie było na zakończeniu roku, ale rozumiem to. Wszyscy chcemy, żebyś na siebie uważał. Tęsknimy i pozdrawiamy Cię gorąco.

Pod listem podpisało się każde dziecko. Andrew złożył ostrożnie kartkę i wsunął ją do sfatygowanej koperty. Zwróci ją rodzinie Lacklanda wraz z resztą jego dobytku. Gdyby postąpił tak, jak zamierzał, zniszczyłby miłość i wiarę sześciorga dzieci. Lepiej o tym zapomnieć. Nie pozbędzie się poczucia winy, ale stanie się lepszym człowiekiem. Niech wina, którą miał na sumieniu, stanie się jego karą. Skinął głową. To wydawało mu się odpowiednią decyzją.

— Poruczniku! — Tak jest.

— Proszę zapomnieć o wszystkim, co mówiłem. Nie można krzywdzić rodziny tego człowieka. Proszę mi dać oficcerskie słowo honoru, że wszystko zostanie między nami.

— Daję słowo, sir — powiedział porucznik, salutując słuźbiście.

Kiedy Andrew Blue wrócił z Wietnamu, rodzina czekała na niego na lotnisku. Uśmiechali się i machali gwałtownie rękami, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę.

Andrew nie mógł od nich oderwać oczu przez pełne trzy minuty. Martha była kopią Ruby; z daleka wyglądały jak siostry. Andy przerósł siostrę — kończył jedenaście lat. Wydawał się taki dorosły. Ruby pisała, że wziął sobie do serca rolę jedyne go mężczyzny w rodzinie! Ruby także się zmieniła. Trochę przytyła, ale nie wyglądała z tym źle. Miała też inną fryzurę — miękką i wijącą się. Wyglądała bardziej dojrzała, kobieco, nie mogła już uchodzić za dziewczynę. Jego rodzina. Zaczęło go dławić w gardle. Cieszyli się na jego widok. Niech to, on też się cieszył. Ruszył biegiem, przeskoczył ogrodzenie i złapał ich w objęcia.

Wszystko układało się tak, jak należy. Teraz cieszył się, że co tydzień pisał do każdego z nich z osobna. Wiedział wszystko o odcisku na małym palcu Marthy i o tym, że strasznie podobał się jej pierwszy sportowy biustonosz. Wiedział, że Andy bał się, kiedy został pałkarzem w Małej Lidze, i że modlił się za niego co noc. Ojciec powinien wiedzieć o takich rzeczach. Ale o Ruby nie wiedział nic nowego. Och, pisała do niego obowiązkowo, dwa razy w tygodniu, ale nie wspominała o sobie. Zawsze kończyła zapewnieniem, że za nim tęskni i że czeka na jego powrót. Tylko tyle.

— Mamy indyka, żeby uczcić twój przyjazd! — paplała Martha, uradowana. — Ja zrobiłam nadzieję. Mama mówi, że jest dobre.

— Nie mogę się doczekać domowego jedzonka — powiedział Andrew, przygarniając ją do siebie. — A ty, bracie? Co zrobiłeś? Powiedz, że szarlotkę! — dodał, burząc synowi włosy.

— No coś ty, tato, faceci nie gotują. Nakryłem do stołu.

— To dobrze. Zwykle ja to robiłem.

Ruby uśmiechnęła się ciepło. Niepokój, który narastał w niej od miesiąca, ustąpił. Andrew okazywał dobrą wolę; dzieci promieniały. Teraz byli prawdziwą rodziną. Przytuliła się do męża, wdychając zapach jego wody po goleniu. Był przystojny, jak zwykle. Poczwała, że go pragnie. Pewnie jej spojrzenie zdradziło ją, bo Andrew szepnął:

— Ja też nie mogę się doczekać.

Roześmiała się, uszczęśliwiona. Zauważyła, że puścił oko do Marthy i szturchnął Andy'ego w ramię.

Wszystko było cudowne. Zmówiła modlitwę, by trwało wiecznie.

I trwało. Przez jakiś czas.

* * *

Minęły dwa lata i dwa miesiące. Armia spakowała dobytek państwa Blue i wysłała ich do Rumson w New Jersey, jechali wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Martha przez całą drogę paplała o stypendium w Princeton, na które liczyła. Kiedy zamilkła na chwilę, Andy rozpoczął długą dyskusję o samochodach. Czy dostanie własny wóz, kiedy będzie mógł już prowadzić? Andrew bez przerwy potakiwał, wpatrzony w piaszczystą drogę. Piasek jest równie zdradliwy, jak lód, powiedział. Ruby uśmiechnęła się. Nigdy jeszcze nie była bardziej szczęśliwa.

Naprawdę mieli kupić dom, z piętrem i piwnicą. I garażem, i podwórkiem, na którym będą rosły drzewa. W miłej, spokojnej okolicy, niezbyt oddalanej od domu Dixie.

Z błyszczącymi oczami Ruby Blue weszła w jesień swojego życia, pewna, że jej szczęście będzie trwać wiecznie.

CZEŚĆ TRZECIA
JESIEN

Andrew Blue siedział za kierownicą nowego buicka special, nie odrywając oczu od zaparowanych okien knajpki „Nóż i Widelec”, w której przed chwilą jadł śniadanie. Jadał tu śniadania od pięciu lat. Kelnerki mówiły mu po imieniu; właściciel klepał go po ramieniu, kiedy płacił rachunek. Rutyna. Oto, jak wyglądało jego życie.

Powinien coś zrobić. Bezczytność nie leżała w jego charakterze. Wiedział, że kelnerki obserwują go przez zaparowane okna. Ta myśl poderwała go do działania. Wycofał samochód z parkingu przed knajpą i objechał ją, stając za ciężarówkami dostawczymi. To będzie ciężki dzień, pomyślał rozdygotany.

Aż do tej chwili nie zauważył, że jest mroźno. Dopiero teraz zobaczył parę, unoszącą się z ust kierowców dźwigających skrzynki sałaty i jajek. Włączył ogrzewanie. W twarz uderzyła mu fala cuchnącego powietrza. Wyłączył grzejnik i opuścił okno. Zimne powietrze koło jego świeżo wygoloną twarz. Na czoło wystąpił mu pot. Andrew zastanowił się po raz kolejny, odkąd zwiłkł się z łóżka, czy nie jest chory.

Zapalił papierosa i wypuścił dym przez okno. Boże, jak nienawidził New Jersey. Nienawidził tej knajpy i sklepu, w którym powinien już teraz zabierać się do inwentaryzacji kosiarek i narzędzi ogrodniczych.

Miażdżąc ustami papierosa, z oczami zaczerwienionymi od dymu, zaczął wyliczać rzeczy, których dziś nienawidził: praca, życie rodzinne, obowiązki, ten grat, w którym siedzi, kelnerki, Ruby, Martha, szef przypominający mu ostatniego dowódcę w piechocie morskiej, New Jersey, a zwłaszcza Rumson, dom na Ribbonmaker Lane, przeredzające się mu włosy, problemy z zębami, rosnący brzusek, wiek i hazard. Te dwie ostatnie były najgorsze. Ruby rozwiodłaby się z nim bez mrugnięcia okiem, gdyby dowiedziała się, że jest hazardzistą. Z drugiej strony, wydawało się Jej nie przeszkadzać, że jej mąż za moment skończy pięćdziesiąt lat. Pięćdziesiąt lat, do cholery! I co zdążył osiągnąć? Dom obciążony długami hipotecznymi po sam dach! Zaciągnął drugi kredyt i przeznaczył te pieniądze na hazard. Istniało duże prawdopodobieństwo, że stracą dom w ciągu najbliższych miesięcy, jeśli nie zjawi się w banku z gotówką w garści. Przepuścił nawet pieniądze na studia Andy'ego W sierpniu, kiedy nadejdą rachunki, Ruby dowie się, że na koncie syna nie mają pieniędzy. Podsumował długi — siedem i pół. Po plecach zaczęła mu ściekać strużka potu. Zaczął drzeć, nie z zimna, lecz z lęku. Był winien Stanowi trzy tysiące dolców i jeszcze dwa bookmacherowi z Asbury Park. Zaczynali go osaczać. Nie bał się tak nawet w czasach, gdy siedział w wietnamskiej dżungli.

Zerknął na roleksa na ręce, jedyną naprawdę wartościową rzecz, jaką posiadał. Nie należała do niego prawem kupna, nawet na niego nie zasłużył. Zabrał go małemu śmierzącemu Wietnamczykowi, nie znającemu chyba wartości zegarka. Czasem czuł się nieswojo, nosząc zegarek zabitego oficera. Rolex przyciągał spojrzenia, kiedy Andrew rzucał kości lub opierał ramię o bar. Może, gdyby go odczyścił i wypolerował, mógłby zastawić go w lombardzie, a otrzymane pieniądze wepchnąć w gębę tym rekinom. Miałby czas na zastanowienie. Tylko że to nie miało sensu. W żaden sposób nie zdobędzie pieniędzy, które pozwoliłyby mu utrzymać dom i zapłacić za studia Andy'ego.

Pięćdziesiąt lat! Jezu, a co będzie, gdy Ruby dowie się, że pożyczył pieniądze z ubezpieczenia na życie? Znowu zaczął się pocić. Dłonie też mu się trzęsły. Zauważył to ostatnio, zapalając

papierosa. Był ciekaw, jakie ma w tej chwili ciśnienie. Pewnie jak stąd do nieba, mimo iż co rano brał pigułki, które popijał w knajpie sokiem pomarańczowym.

Powinno zrobić jedno — i to przed czterema laty i dziewięcioma miesiącami. Powinno pójść do firmy Sears i poderżnąć gardło swojemu szefowi. Alvin Denister, facet o oczach jak łebki od szpilek, obiecał mu, że zostanie kierownikiem całego sklepu po roku pracy. „Zacznie od działu ogrodniczego, będziemy cię awansować co sześć tygodni”.

Alvin też służył w piechocie morskiej, więc Andrew mu uwierzył. „Kosiarki idą” — powiedział Alvin. „Podobnie jak maść do drzewek i nawozy”. Skończyło się na tym, że sprzedawał krowie łajno. Powinno rzucić tę robotę, ale nie tak łatwo znaleźć inną pracę, a wypłata nie była aż tak kiepska. Ruby trzymała kasę, płaciła rachunki i jeszcze zdołała zaoszczędzić tyle, że wysłała Marthę do college’u Renssealera. Kiedy obliczył koszt jej nauki, miał ochotę zamordować córkę, a także Ruby, która tak ograniczała budżet dla tego niewdzięcznego dziecka, byle tylko mu dogodzić.

Nieważne, że Martha ukończyła naukę z najwyższym wyróżnieniem. Nie przyszedł na uroczystość, bo miał robotę. Towarzystwo zieleni miejskiej wysłało swojego przedstawiciela, który zamówił tuzin kosiarek, a także maszyny zdmuchujące opadłe liście. Zarobił wtedy parę ładnych tysiączków i kupił córce zegarek od Gucciego. Owszem, podziękowała, ale zegarek nigdy nie nosiła.

Andrew wcisnął się głębiej w siedzenie. Znalazł się w gównie po pachy i nie miał gdzie szukać ratunku. Z wyjątkiem Ruby. Ruby znajdzie jakiś sposób, żeby z tego go wyciągnąć. To nawet sprawiedliwe. Gdyby nie ona, nigdy by nie utknął w tej śmierdzącej dziurze i nie musiałby się zajmować tą odmóżdżającą robotą.

Tak łatwo przyszło mu przejąć książeczki czekowe. Wystarczyło powiedzieć wojskowym tonem: „Ja sobie z tym lepiej poradzę i koniec dyskusji”. Najpierw ukrócił wysyłanie czeków do przytułku św. Andrzeja. Co piątek wydzielal jej pieniądze na jedzenie i benzynę, a także zabierał jej wypłatę ze sklepu z kartkami pocztowymi i upominkami, w którym pracowała na pół etatu. Pamiętał, że miała łzy w oczach, oddając mu rachunki na spłatę hipoteki oraz książeczkę czekową. Całe to barachło poniewierało się teraz w bagażniku jego samochodu. Ruby ostatnio interesowała się tylko Dixie i Andym. Ten dzieciak to oddzielny problem. Andrew spodziewał się, że niedaleko spadnie jabłko od jabłoni i tak było, tylko że chłopak wdał się w matkę, nie w niego. Miał zasady moralne i poczucie sprawiedliwości takie jak Ruby. Pracował przez całe liceum; zimą w supermarkecie, a latem na budowie. Wysokość sumy na jego koncie była zadziwiająca. A co zdziwiło go jeszcze bardziej to to, że chłopak zapłacił gotówką za swój pierwszy samochód, ubezpieczenie i podatki. Opłacał także połowę czynszu, chesnego i wyżywienia na Uniwersytecie Rutgers. W książeczce bankowej chłopca widniało tylko jego nazwisko. Ruby otworzyła dla niego osobne konto, kiedy miał osiem lat, ale wszystkie pieniądze przepadły dzięki jego ojcu. I dzieciak mi przebaczy, pomyślał Andrew z irytacją, bo był taki jak Ruby.

Pięćdziesiątka na karku. Teraz pójdzie już z górki. Pół wieku. Szlag by to trafił!

Andrew wycofał samochód i zaczął manewrować pomiędzy skrzynkami mleka i kubłami na śmieci. Jeśli zawróci, pojedzie do Ausbury Park i lombardu lub sklepu jubilerskiego, by przekonać się, czy zdoła spieniężyć roleksa. A może powinien przejechać przez autostradę, wrócić do domu, wyznać wszystko Ruby i mieć nadzieję, że jakoś mu się upiecze. Zastanawiał się przez całe pięć sekund, czekając na zmianę świateł.

Pojechał do domu. Naprawdę szczerze kochał swojego roleksa.

* * *

Ruby odwiesiła ścierkę do naczyń do wyschnięcia i odstaąpiła o krok, oceniając wygląd swojej lśniącej czystością kuchni. Podobały się jej te zielone rośliny i miedziane garnki. Od masywnego dębowego stołu i krzeseł, które polerowała codziennie, bił blask. Maty w czerwonej szachownicy, obrębione delikatnymi frędzelkami pasowały do zasłon w oknach i na drzwiach kuchennych. Wszystko zrobiła własnoręcznie. Dywaniki przy zlewie i lodówce uplotła pierwszej zimy, kiedy wprowadzili się do domu. Wszystko, co znajdowało się w domu zostało kupione na raty. Ruby wprost pękała z dumy, kiedy policzyła, ile zaoszczędziła.

Zaczął się cudownie. Andrew dostał pracę niemal natychmiast. Zgodził się też na jej pracę w sklepie z upominkami. Tym samym, w którym zatrudniona była Dixie. Oszczędzała, upiększała dom i zdołała wysłać Marthę do college'u, który sama wybrała. Idylla trwała trzy lata czy coś koło tego. Potem wszystko zaczęło się psuć. Andrew narzekał na szefa i zbyt długi dzień pracy. Znała już te objawy, ale zbyt Pochłonięta przyjaźnią z Dixie, dziećmi, prowadzeniem domu, który pokochała, nie zwróciła na nie baczniejszej uwagi.

Andrew oddał się od niej. Całe soboty spędzał z kolegami ze sklepu. W niedzielę albo przesypiał cały dzień, albo brał nadgodziny. Ot, łatwe, wygodne życie i żadne z nich nie narzekało. Czasami szli z sobą do łóżka, ale namiętność między nimi wygasła, a oni nie starali się jej ożywić. Byli dla siebie mili, od czasu do czasu w przelocie całowali się w policzek lub głaskali po ramieniu.

Ruby uznała ten stan za zadowalający. Według Andrew, wiało przeraźliwą nudą.

Ruby spojrzała na kuchenny zegar. Miała dokładnie dwadzieścia pięć minut do chwili, kiedy będzie musiała wyjść z domu i podwieźć Dixie do pracy. Teraz się umaluje, wyszczotkuje włosy i napisze liścik do Andrew, zawiadamiający go, że w lodówce jest zapiekanka, na wypadek gdyby wrócił przed nią do domu.

Dwadzieścia minut później zamknęła kuchenne drzwi. Zostawiła podniesione żaluzje, więc słabe zimowe słońce mogło opromieniać rośliny na parapecie. Właśnie wtedy zobaczyła męża wjeżdżającego na podjazd. Serce zabiło jej mocno. Andrew nigdy nie przyjeżdżał w porze lunchu. Nigdy nie wracał rano. Nigdy nie wyglądał tak jak teraz — zaniedbany i wyczerpany. Może jest chory. Serce znowu zabiło jej mocno. Coś było nie w porządku, i to bardzo. Wiedziała, choć nie zamieniła z nim jeszcze ani słowa, że jej życie znowu się zmieni. Już dawno w sprawach dotyczących Andrew, nauczyła się ufać swojemu instynktowi.

Otworzyła drzwi w tej samej chwili, gdy Andrew ujął za klamkę z drugiej strony.

— Co się stało? — spytała z niepokojem.

— Zostało trochę kawy?

— Nie, już wymyłam dzbanek. Wiesz, że lekarz pozwolił ci tylko na jedną filiżankę dziennie. Ciśnienie ci skoczyło? Byłeś u lekarza? Czy to dlatego jesteś tak wcześniej? — Rzuciła okiem na kalendarz wiszący na lodówce, ale na dzisiejszy dzień nie przypadła wizyta u lekarza.

— W ciągu pięciu sekund powiedziałas dwa zdania twierdzące, trzy pytające i jeszcze spojrzałaś na kalendarz — zauważył Andrew kwaśno. Uśmiechnął się, by osłabić ironię dźwięczącą w jego głosie. Opuścił rękaw na roleksa.

— Wypiję sok. Jest świeży? Ruby skinęła głową.

— Proszę — postawiła przed nim szklanę. — Przepraszam, że teraz z tobą nie pogawędzę, ale dzisiaj jest moja kolej i muszę podwieźć Dixie do pracy. Jeśli sienie pospieszę, spóźnimy się, a pani Harris tego nie lubi. — Miała już płaszcz w rękę i naciskała na klamkę drzwi prowadzących do garażu, kiedy Andrew odezwał się znowu:

— Muszę z tobą pomówić, Ruby. Nie później, teraz. Cholera, dlaczego myślała, że się wywinie?

— Nie możesz poczekać do wieczora? Pani Harris poprosiła specjalnie Dixie i mnie, żebyśmy przyszły wcześniej i pomogły jej w inwentaryzacji. Obiecałam, a Dixie czeka.

— Zawsze masz jakieś zajęcie. Dla mnie brak ci czasu. A może chcę pogadać o cenie wieprzowiny albo o pogodzie? Twoim obowiązkiem jest mnie wysłuchać. Gdybyś zarabiała fortunę w tym podłym interesie, mógłbym to jeszcze zrozumieć, ale dostajesz grosze. Pora, żebyś zajęła się czymś na serio. Na przykład handlem nieruchomościami czy czymś takim.

— I po to przychodzisz do domu w środku dnia? Chcesz, żebym wzięła cały etat? Jeśli tak, możemy o tym pogadać wieczorem. Naprawdę muszę już iść.

— Dixie może się przespacerować. Zadzwoń, że po nią nie przyjedziesz. Kiedy skończymy rozmawiać, nie będzie ci się już chciało pracować. Niech powie tej starej kłepie, że zachorowałaś. Dixie dobrze kłamie, chyba pamiętasz?

Ruby nie spodobał się wyraz jego twarzy. Zadzwoiła do Dixie.

— Andrew jest w domu i chce ze mną porozmawiać. Przepraszam cię, Dixie, powiedz pani Harris, że się spóźnię.

Rzuciła płaszcz na dębowe krzesło. Siadła, sztywno wyprostowana, splatając przed sobą ręce.

— Niedługo stracimy dom. I nie mamy na czesne Andy'ego. To tyle.

Ruby poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Nie poprosiła męża, by powtórzył to co powiedział. Słyszała doskonale. Nie miała pojęcia, dlaczego czuje taki spokój. Wiedziała, że powinna jakoś zareagować. Żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Stracą dom. Jakaż była głupia, sądząc, że będzie mieszkać w tym cudownym, starym domu na Ribbonmaker Lane już do końca życia! Oczy zaczęły ją piec, kiedy pomyślała, jak ciężko Andy pracuje w college'u. Od pierwszego dnia pracy przeznaczyła swoją pensję na naukę syna. Powinno wystarczyć z nawiązką. Nagle wcale nie miała ochoty dowiedzieć się, co się stało z tymi pieniędzmi. Wstała i zaczęła niezgrabnie wkładać płaszcz. Była już przy drzwiach garażu, kiedy Andrew odezwał się znowu.

— Nie spytasz o przyczynę?

Pokręciła głową.

— Niech to, Ruby, jakie to do ciebie podobne.

Wychodziła już, kiedy krzyknął:

— Wszystko przegrałem!! Nie spłacamy hipoteki od dziesięciu miesięcy! Jezu, Ruby, powiesz coś, czy nie?

Usiadła za kierownicą. Wyjechała jak w transie, zamknęła drzwi garażu i znowu wsiadła do samochodu. Podjechała pod sklep z upominkami, a łzy płynęły po jej policzkach. Zaparkowała obok sfatygowanego mustanga Dixie.

Tak po prostu. Jest szczęśliwa i czuje się zadowolona z siebie i świata, podśpiewuje sobie w domu, w który włożyła tyle pracy i serca, by stał się przytulnym gniazdkiem dla jej rodziny, a w następnej minucie wszystko to traci. Zadłużenie... Nie ma pieniędzy na college dla Andy'ego. Przegrał je. Nawet za milion lat nie wymyśliłaby, że mąż szastał ich krwawicą. To nie mogło dziać się naprawdę, nie mogło. Cholera, po co przyjechała do tego sklepu? Nie będzie mogła się skoncentrować na cyfrach i żmudnej inwentaryzacji. Do diabła z tym, mruknęła, zmieniając hałaśliwie biegi. Wycofała samochód z parkingu.

W pośpiechu wjechała na róg trawnika i staranowała swoje wypieszczone krzewy róż. Nawet tego nie zauważyła. Trzasnęła drzwiami tak mocno, że jedna z szyb wyleciała i rozprysnęła się na kawałki. Szkło zatrzęszczało pod jej stopami, kiedy maszerowała do kuchni, drąc się na całe gardło:

— Ty draniu! Ty żalony, śmierzący draniu! Ukradłeś nasze pieniądze. Ukradłeś pieniądze naszemu synowi. Czy w ogóle masz pojęcie, jak ciężko pracował, żebyś nie Musiał płacić całej sumy? Jak mogłeś? Co z ciebie za człowiek? Wytrwałam przy tobie mimo tych wszystkich romansików, picia i tego twojego cholernego egoizmu. Teraz żądam rozwodu i to natychmiast. Idę do prawnika. Koniec z tym! Mam dość!

Andrew pobladł. Słowo rozwód nie mieściło się w jego obecnym słowniku. Rozwód nie pomoże mu w niczym. Jego głos nabrał tak wazeliniarskich tonów, że aż sam się tym zdziwił.

— Nie wygaduj bzdur, nie rozwiedziemy się i wiesz o tym. Usiądź spokojnie i zastanówmy się razem, jak wybrnąć z tego bałaganu. Przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię. Dostałem nauczkę. Jeśli tylko wywinę się bookmacherom, przysięgam, że przestanę grać. Przestałem pić, kiedy mnie zwymyślałaś, pamiętasz? To też mogę rzucić. Wymyśl coś, Ruby. Jesteś taka dobra w znajdowaniu rozwiązań.

— Mylisz się — powiedziała Ruby lodowato. — Wniosę sprawę o rozwód. Okradłeś naszego syna. Żałowałaś pieniędzy, które wysyłałiśmy na czesne dla Marthy. Nigdy jej nie pogratulowałaś. Dziwię się, że nie poprosiłaś jej o pożyczkę. O Boże, zrobiłaś to, widzę to w twoich oczach! Co z ciebie za mężczyzna? To nasz dom, a ty go przegrałaś. Jeśli pomogę ci się z tego wybronić, jeśli nadal będę twoją żoną, okażę się nie lepsza niż moja matka. Nie pomogę ci, Andrew. Sprzedaj zegarek, skoro już o tym mówimy, sprzedaj te drogie kije do golfa i kartę członkostwa w tym snobistycznym klubie. Sprzedaj wszystko, co wpadnie ci w ręce. Samochód też. Możesz jeździć rowerem Andy'ego. Koniec z nami!

— Nie mamy pieniędzy na rozwód — rzucił przebiegle. — Nie możesz odejść, nie masz się gdzie podziać.

Ruby zaczęła się śmiać. Śmiała się i śmiała. Andrew skurczył się w sobie. Nie przestawała się śmiać. Potem mu powiedziała. O domu w Georgetown i o zwrotach za nadpłacony podatek.

— A więc sam rozumiesz, że mam się gdzie podziać. Mogę tam pojechać, kiedy mi się zechce. Wiele lat temu, dla wszelkiej pewności, przepisałam dom na ich nazwiska. Dom, w którym mieszkają moi rodzice, także jest zapisany na nich. I cieszę się z tego, gdybym zrobiła inaczej, znalazłbyś jakiś sposób, żeby obrócić to na moją niekorzyść.

Na twarzy Andrew widniała czysta zgroza.

— Ty zmij! Wypruwam sobie żyły w tym parszywym sklepie, a tymczasem moglibyśmy mieć o tyle łatwiejsze życie! Zwroty za podatek! Doniosę na ciebie do urzędu podatkowego. To nielegalne!

— Owszem, legalne. Tak legalne, że aż śmieszne. Mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, Andrew. Kiedy to ja trzymałam kasę, udawało mi się nawet odkładać po parę dolarów, a nikomu nic nie brakowało. Chciałam wziąć pełny etat. Błagałam cię, żebyś pozwolił mi pracować w tej firmie adwokackiej, ale odmówiłeś. Powiedziałeś, że chcesz, aby w czystym domu czekał na ciebie obiad. Zrobiłam tak, jak chciałeś. A teraz zwalasz winę na mnie. Gnida! — wrzasnęła z twarzą wykrzywioną wściekłością.

— Powinnaś na siebie spojrzeć, właśnie teraz. No to co, że popełniłem błąd. Jesteś moją żoną, powinnaś myśleć, jak mi pomóc, a nie mnie straszyć. Zachowujesz się, jakbym kogoś zabił. Właśnie przyznałaś, że masz własny dom, więc możesz go sprzedać i wszystko będzie dobrze. Przesadzasz — oznajmił ze zgorszeniem. — Nie mogę uwierzyć, że zapłaciłabyś za sprawę rozwodową, zamiast przeznaczyć pieniądze na uwolnienie mnie od tych rekinów. Jesteś nieodrodną córką swojego ojca, niech ci Bóg wybaczy. Nawet nie licz na to, że zapomnę, iż nie powiedziałaś mi o tych domach. Nie wybaczę ci tego. — Jego głos pałał świętym oburzeniem. Andrew wyglądał, jakby się wstydził... za nią.

Dzięki skrzętnemu gospodarowaniu miała ładną sumkę. Mogła spłacić hipotekę. Miała wiele możliwości, ale Andrew nie dowie się o żadnej. Nie tym razem, pomyślała mściwie. Wiedziała już, co zrobić z tą sumką, zamierzały razem z Dixie rozkręcić interes.

— Mam to w nosie. I dalej chcę się rozwieść. — Na jakiej podstawie? — parsknął szyderczo.

— Nie kocham cię. A ty nie kochasz mnie. Taka podstawa wystarczy.

— Ale nie w sądzie. — Nie wiedział, czy aby na pewno. — Ten dom jest w połowie mój. Nie możesz mnie wyeksmitować. Poza tym nie mam pieniędzy i nie mam się gdzie podziać. Spłacisz rachunki i będziesz mi płacić pensję. — Roześmiał się szyderczo, żeby dać jej do zrozumienia, co sądzi o tym pomysle. — No, to kiedy zobaczę pieniądze?

Ruby odwróciła się do niego plecami i poszła do łazienki. Zamknęła drzwi na klucz. Usiadła na brzegu wanny i oparła głowę na dłoniach. Powiedziała to głośno. Powiedziała mu wprost, że go nie kocha. Do diabła z nim! Potem zaczęła płakać. Opłakiwała swoje marzenia. Usłyszała, że drzwi kuchenne otwierają się i zamykają. Opryskała twarz zimną wodą i spojrzała w lustro nad umywalką. To żalosne stworzenie to nie może być ona! Znowu przysiadła na krawędzi wanny; przesunęła stopą po perłowszarym dywaniku obok nóżki w kształcie zwierzęcej łapy.

Jak długo będzie tu tkwić? Powinna się rozzłościć — i była tego całkiem bliska — ale to, co teraz czuła, bardziej przypominało poczucie winy. Nie dostrzegła oznak nadciągającej katastrofy, a jeśli je dostrzegała, to podświadomie postanowiła je ignorować, bo jej życie toczyło się gładko i bez przeszkód i nie chciała tego zmieniać. Powinna się domyślić, kiedy Andrew przejął kasę. A ona poczuła ulgę, że pozbywa się irytującego obowiązku i będzie miała więcej czasu dla siebie.

Wydmuchała nos w papier toaletowy. Spłukała klozet tylko po to, by usłyszeć jakiś dźwięk w pustym domu. Wyprostowała ramiona, wstała i poszła do kuchni. Ani śladu obecności Andrew. Zamknęła oczy, modląc się, żeby wszystko okazało się złym snem.

Robiła kawę, kiedy zadzwonił telefon. Sięgnęła odruchowo po słuchawkę i wybuchnęła płaczem, usłyszawszy strapiiony głos Dixie.

— Zaraz będę — powiedziała przyjaciółka. — Nastaw się na jałowy bieg, póki nie przyjadę. Razem damy sobie jakoś radę.

Ruby zaniósła się jeszcze gwałtowniejszym szlochom. Czemu tak jest, pomyślała, że tylko kobieta potrafi znaleźć odpowiednie słowa.

Pulchne ramiona Dixie okazały się zaciszną przystanią, a jej cichy głos działał jak kojący balsam. Ruby piła kawę, od czasu do czasu wstrząsana czkawką.

— Posłuchaj, Ruby. Właśnie wyleciałam z pracy. Ty też. Pani Harris uznała, że nic nie jest ważniejsze od jej inwentaryzacji. Powiedziałam, gdzie ją sobie może wsadzić. To ty jesteś ważna. I ja też. Powtarzałaś mi to tyle razy, że w końcu uwierzyłam. Miałaś powody, żeby płakać, odbębniłaś to, więc zajmijmy się naszym problemem. Nie mamy już pracy, zatem pora zacząć działać. Jeśli chodzi o Andrew, nie zawiodłaś, powtarzam, nie zawiodłaś. Mój Boże, nikt nie zdołałby dokonać więcej. To dzięki tobie rodzina się nie rozpadła. Nie jesteś taka jak twoja matka. Musisz w to uwierzyć, bo przepadniesz. Twoja sytuacja jest zupełnie inna. I miałaś rację, trzymając w tajemnicy sprawę domów. Gdyby Andrew wiedział, pewnie przegrałby wszystko. Hazard jest nałogiem. Ale to nie twoja wina. I możesz coś zrobić, jeśli się tylko przygotujesz. Nie myśl, że nie masz wyboru. — Ale...

— Żadnych ale. Nie sądzę, żeby mogło być gorzej niż teraz. Dosięgnąłeś dna. Teraz możesz się już tylko odbić, chyba że chcesz się nad sobą uzalać.

— Czuję się tak strasznie winna — jęknęła Ruby.

— Dlaczego, na Boga — w głosie Dixie zadźwięczały nutki irytacji. — A gdybyś nie miała domów w Georgetown, a gdybyś nie miała domu na Florydzie, gdybyś nie mogła spieniężyć tego pierścienia? Gdybyście... naprawdę mieli stracić ten dom, nie mieli czym zapłacić za światło i

gaz, gdyby zabrakło wam najedzenie? Zapomniałaś już, jak na Hawajach zostałąście z Martha bez dachu nad głową? A gdyby Andy naprawdę nie mógł wrócić jesienią na uczelnię? Żadna z tych rzeczy nie będzie mieć miejsca, bo rozegrałaś wszystko jak należy i pójdiesz dalej. Bez Andrew. Jesteś odważna, Ruby, więc to wykorzystaj. Jak ci się podoba taka przemowa? — spytała wesoło. — Hugo dostanie zawału, kiedy mu powiem, że straciłam pracę. A co tam, przynajmniej się upewni, że jestem do niczego, co zawsze mi powtarza. Wiesz co? Już się tym nie przejmuję. — Zachichotała.

Ruby pociągnęła nosem.

— Boże, co ja bym bez ciebie zrobiła?

— Czy to znaczy, że lubisz mnie tak samo jak Nolę?

Ruby otworzyła szeroko oczy.

— Tak samo? Na miłość boską, Dixie, przewyższasz Nolę o tyle, że... skąd ci to przyszło do głowy?

— Zawsze byłam o nią zazdrosna. Myślałam, że nigdy jej nie dorównam. Chciałam być twoją najlepszą przyjaciółką.

Ruby przytuliła ją do siebie.

— Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie. Nola była... Nolą. Przez wszystkie te lata nie wysiliła się, żeby... Przecież, aby napisać liścik, wystarczy parę minut. Rozmowa telefoniczna kosztuje tylko parę dolarów. Nie wiem, dlaczego tak się zachowała. Robiłam, co mogłam, żeby nie stracić kontaktu z panią Quantrell. Twoją przyjaźń cenię jak największy skarb. Myślałam, że o tym wiesz. Dzień, w którym dostałam od ciebie tamten list, był jednym z najszcześniejszych w moim życiu.

Teraz Dixie wybuchnęła głośnym płaczem.

— Mamy to za sobą. Teraz możemy zastanowić się nad moim problemem — powiedziała Ruby z ożywieniem.

Dixie zaczęła szukać papieru i ołówków w szufladzie.

— Czuję się, jakbym miała w głowie maszynę do liczenia, więc możemy operować w granicach paruset dolarów. Mamy dość jak na początek.

Dochodziła czwarta po południu, kiedy Dixie usiadła wygodnie na krześle i wgrzyła się w lśniące czerwone jabłko.

— Muszę przyznać, że nie wiem, czy na twoim miejscu zdobyłabym się na taką hojność wobec sióstr. Albo rodziców.

— To był dług honorowy — mruknęła Ruby. — Babcia dała pierścionek mnie, ale chciałyby, żebym podzieliła się z siostrami.

— Amber dostała lwią część. Ciekawe, gdzie tu sprawiedliwość? — prychnęła Dixie.

Ruby wzruszyła ramionami.

— Wychowanie dzieci to kosztowna sprawa. Amber ma ich jedenaścioro. Pensja Nangiego ledwie wystarcza. Opal ma własny dom. Babcia mawiała: „Kiedy coś dostajesz, dziel się z innymi, w przeciwnym razie stracisz wszystko”. Jeśli z czegoś mogę być dumna, to z tego, że spłaciłam ojca i zapewniłam rodzicom spokojne schronienie. Jeśli nie rozumiesz, nie przejmuj się. Ja też tego nie rozumiem.

Dixie roześmiała się.

— To te pory roku? Co mamy teraz?

Ruby oparła podbródek na dłoni.

— Schyłek lata — powiedziała poważnie. — Lada dzień nadejdzie jesień. Czas, w którym małżeństwo jest już ustabilizowane, dzieci są duże, a ty możesz wrócić do pracy, by zapewnić sobie byt, gdy nadejdzie zima twojego życia. Jesień to pora wielkich wydarzeń.

— Może masz i rację. — Dixie uśmiechnęła się filuternie. — Może poznasz męczyzną swoich marzeń. — W tej samej sekundzie pożałowała, że nie ugryzła się w język. W oczach jej przyjaciółki pojawiły się łzy. — Ruby, przepraszam cię, kochana... Nie chciałam... Nie, właśnie że chciałam. Kiedy się uwolnisz, będziesz mogła robić wszystko, o czym zamarzysz.

— On jest żonaty. Nie należę do kobiet, które... Calvin jest taki jak Nola. Nie są ludźmi, za których ich uważałam.

— Skoro tak mówisz — mruknęła Dixie.

— Tak mówię — syknęła Ruby przez zaciśnięte zęby.

Później, kiedy Dixie już poszła, Ruby uświadomiła sobie, że musi powiedzieć o wszystkim dzieciom. Najpierw zadzwoniła do Marthy.

— Czy coś się stało, mamó? — spytała córka z niepokojem. — Nigdy nie dzwonicz o tej porze. Nie pracujesz już?

— Dzisiaj straciłam pracę. Nie miałam pojęcia, iż jestem tak usystematyzowana, że dzwonię o określonej porze.

— Przykro mi, mamó, wiem, jak bardzo lubiłaś swoją pracę. Rozmawiałam wczoraj z Andym i czuł się dobrze, więc zostaje tato. Dzwonicz, żeby powiedzieć mi coś konkretnego, czy tak w ogóle, żeby porozmawiać o tym, co ci się nie podoba?

— Chyba i to, i to. Wystąpię o separację. Na razie się nie rozwiedziemy, chyba że ojciec tego zażąda. To ja... podjęłam tę decyzję...

— Powiesz mi dlaczego? — spytała Martha cicho.

— Tak, ale nie chcę cię zdenerwować.

— Kiedy chodzi o tatę, nie tak łatwo mnie zdenerwować. Nie jestem już dzieckiem. Powiedz, co zrobił, że cię do tego doprowadził.

W czasie relacji Ruby parę razy słyszała cichy okrzyk córki, ale pewnie się jej wydawało.

— To mnie nie dziwi — stwierdziła Martha. — Uważałam, że to wręcz śmieszne, kiedy zadzwonił do mnie i spytał, czy mogę szybko skombinować skądś osiemset pięćdziesiąt dolarów. Nie bój się, mamó, nie dałam mu tych pieniędzy. Zadzwoniłam do Andy'ego i spytałam go, czy nie wie przypadkiem, po co tacie te pieniądze. Andy powiedział, że ojciec gra na wyścigach i robi zakłady.

— Przepraszam cię, córeczko. Nie wiedziałam o tym. Wszystko to mnie trochę oszołomiło. Chyba zbyt długo żyłam w swoim własnym światku.

— Nic ci nie jest, mamó?

— Nie, kochanie. Nie martw się o mnie.

— Powiedz ci coś? Jesteś najbardziej pozbieraną osobą jaką znam.

— Dziękuję, Martho — powiedziała Ruby z dumą.

— 1 jeszcze jedno. Nie daj się zastraszyć tacie. Postaw mu się. Jestem po twojej stronie. Andy też. Kocham cię. Na razie.

Ruby uśmiechnęła się. Dobrze wiedzieć, że dzieci ją popierają. Wykręciła numer syna.

— Cześć, mamuś! Jak leci! — rozległ się grzmiący głos Andy'ego.

— Czasami dobrze, czasami nie za bardzo. To jeden z tych dni, co to są nie za bardzo, Andy. Wnoszę o separację z twoim ojcem. Chciałam, żebyś to wiedział. Twój ojciec wyprowadzi się z domu, pewnie wieczorem. Spakuję go, jak tylko skończę z tobą rozmawiać.

— Co zrobił tym razem? Opowiedziała mu.

— Dobrze się czujesz, mamuś?

— Świetnie. No, niezupełnie, ale sobie poradzę. Dzisiaj straciłam pracę i zaczynamy z Dixie rozkręcać interes.

— Mam przyjechać? Będę za czterdzieści pięć minut.

— Absolutnie nie! Andy, nie pożyczaj pieniędzy ojcu. Czy to prawda, że jest hazardzistą?

— Chyba tak. Podejrzałem go o to. Kilka razy słyszałem jego rozmowy telefoniczne. Każdy czasem się zakłada, ale kiedy przegrywa się dom... Zrób, co musisz, mamus. A jeśli potrzebujesz pieniędzy, to mam trochę oszczędności...

— Andy, nie. Poradzę sobie. Kiedy sprzedam dom w Georgetown, wszystko się wyprostuje. Przymknij, że nie będziesz się o mnie martwić.

— Proszę bardzo. Kocham cię, mamus. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować albo jeśli zechcesz po prostu pogadać. Jestem dobrym słuchaczem. Bądź twarda. To najlepsza rada, na jaką mnie stać.

— Kocham cię, Andy. Zadzwoń za parę dni.

Zaprzagnęła nagle obecności psa. Zwierzęta są lojalne i potrafią kochać bez zastrzeżeń.

W ciągu niespełna godziny spakowała osobiste rzeczy męża w torby od Gucciego. Nabył je bez jej wiedzy, ponoć za jakąś piękną wygraną podczas zawodów golfowych. Wyniosła torby na korytarz. Spojrzała na pokój, którego mieli już więcej ze sobą nie dzielić. Wyglądał tak, jakby Andrew nigdy w nim nie spał.

Kiedy znosiła pierwszą torbę, była zgarbiona. Za drugim razem podniosła głowę. Za trzecim wyprostowała się. Kiedy po raz czwarty schodziła po schodach, po jej policzku potoczyła się samotna łza.

Andrew nie dostrzeże walizek, póki nie wejdzie do salonu. Nie będzie wiedział, że nie spędzi tej nocy w domu. Prawdopodobieństwo, że nie przyjmie propozycji Ruby, równało się zeru. Nikt nie odrzuca ostatniej deski ratunku. Jutro zmieni zamki we wszystkich drzwiach.

Czas włókł się bezlitośnie. Wybiła ósma, potem dziewiąta, dziesiąta, jedenasta. W końcu przestała wpatrywać się w zegar i zaczęła krążyć po kuchni. Za dwadzieścia pierwsza za oknem rozbłyły reflektory buicka. Ruby odetchnęła głęboko i włożyła ręce do kieszeni szlafroka, żeby ukryć ich drżenie. Zacisnęła pięści. Była gotowa.

— Proszę. — Andrew rzucił na stół papierową torbę pełną weksli i rachunków. — Są twoje.

— Pod jednym warunkiem — powiedziała spokojnie.

Andrew roześmiał się szyderczo.

— Nie stać cię na stawianie warunków. Zatrzymałaś zwrot podatku, podrobiłaś mój podpis, zabrałaś pieniądze, które były naszą wspólną własnością, spłacałaś ojca, tego szaleńca, pieniędzmi, które by mi się przydały. O nie, to ci się nie uda. I nie zapomniałem o świętym Andrzeju.

— Nigdy nie podrabiałam twojego podpisu. Jeśli twój adwokat chce zobaczyć pokwitowanie zwrotu podatków, może się skontaktować z moim — zaproponowała wyważonym tonem. — Nie masz nade mną przewagi. Jeśli chcesz opłacić prawnika, który to potwierdzi, proszę bardzo. To twoje pieniądze.

Andrew parsknął wściekle i zaczął krążyć po kuchni.

— Mam dla ciebie propozycję. Może zechcesz jej wysłuchać?

— Raczej nie. Dawaj pieniądze, które przede mną schowałaś i spłać te rachunki, zanim stracimy dom. Nigdy nie podejrzewałem, że możesz być taka podstępna.

„Bądź twarda” — powiedział Andy.

— Jeszcze raz cię proszę, żebyś wysłuchał mojej propozycji. Jeśli tego nie zrobisz, zostaniesz w tym domu, a ja wyniosę się do Waszyngtonu.

— Jesteś wyjątkową suką, wiesz o tym? Dobrze, więc jak zamierzasz mi wynagrodzić te wszystkie lata, kiedy mnie okłamywałaś? — Słuchał jej ze zwężonymi oczami, na przemian błędąc i czerwieniejąc. Podniósł rękę.

Ruby skamieniała. Teraz zrozumiała, co czuła matka.

— Jeśli mnie uderzysz, klnę się na Boga, pożałujesz. Proszę, nie bądź taki jak mój ojciec.

Ręka Andrew opadła bezwładnie. Obliznął wargi, a potem uderzył pięścią w ścianę. Spojrzał z zadowoleniem na kawałek tynku, który odłupał się i upadł na podłogę.

— Masz rację, Ruby. Jak zwykle' — dodał gorzko. — Podpiszę wszystko, co chcesz, ale...

— Ale co? — spytała zimno.

— Ale wydaje mi się, iż wiele tracę. A tobie zostaje całkiem sporo. I nie zapominajmy o tym, że knułaś za moimi plecami przez te wszystkie lata. Powinnaś mi to wynagrodzić. Mogę ci narobić w sądzie kłopotu. Ale, jak sama powiedziałaś, po co się na to wszystko narażać i opłacać prawnika, który powie nam to, co już wiemy? Chcę części pieniędzy za dom na Florydzie, w którym mieszkają twoi rodzice, oczywiście, jak już opuszczą ten padół. Zatrzymam moją emeryturę. Andy zarabia na sobie. Nie naciągniesz mnie na płacenie jego czesnego. A jeśli zechcesz prowadzić jakiś interes z tą kuternogą — dodał chytrze — muszę mieć w nim udział. Oto moje warunki.

Zakręciło się jej w głowie. Była przygotowana na żądania, ale te przeszły wszelkie oczekiwania. Skinęła głową, wiedząc, że prawdopodobnie popełnia największy błąd w życiu. Właściwie to już drugi. Pierwszym było poślubienie Andrew.

— Dobrze — powiedziała ochryple. — Jutro pójdę do adwokata i poproszę go o sporządzenie dokumentów.

Andrew uśmiechnął się. Teraz może być już miły, pomyślała, nawet czarujący. Minęła druga w nocy, kiedy wreszcie ustalili warunki, satysfakcjonujące ich oboje. Jeśli interes okaże się dochodowy, Andrew będzie otrzymywał raz na pół roku półtora procent zysku. Ruby zobowiązała się płacić składki na ubezpieczenie samochodu, a ponadto po sprzedaży domu na Florydzie, wypłaci Andrew pięć procent uzyskanej sumy.

— Dobrze, a teraz podpisz parę czeków — zażądał. — Na spłatę moich długów.

— Nic z tego — warknęła. — Dostaniesz je jutro, kiedy podpiszesz umowę i ani na sekundę wcześniej. Twoje bagaże stoją w salonie. Jutro mogę wpaść po ciebie do sklepu. Możemy też spotkać się u prawnika o piątej. Jeśli coś się zmieni, zadzwonię do sklepu.

— Chryste, jest trzecia rano. Gdzie mam się podziać o tej porze?

— Na parkingu przed sklepem Searsa albo przed knajpą — poradziła mu z całą bezwzględnością. — Wynoś się! Ale już!

— Na Boga, odbiło ci, jak twojemu ojcu. Lepiej uważaj, bo też tak skończysz.

— A to co ma znaczyć? — rzuciła wściekle.

Andrew roześmiał się.

— Trafiłem w czuły punkt? Sama się domyśl.

Poczuła w gardle dławiący ucisk. Kiedy wreszcie wydobyła z siebie głos, przypominał słaby skrzek.

— Andrew... Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

— Potrzebowałem żony. Byłaś dziewicą. I byłaś wolna.

Jeśli kiedykolwiek żywiła jakieś złudzenia co do swojego małżeństwa, w tej chwili rozwiały się bezpowrotnie. Aż do tego momentu, do ostatniej sekundy, zgodziłyby się wieść takie życie jak dotychczas. Przystając na tę odrobinę szczęścia, którą mogła w nim znaleźć. Patrzyła przez łąki na oddalające się światła buicka Andrew, aż zmieniły się w dwa czerwone punkciki w mroku nocy. Niemal w tej samej chwili w stojącym na ulicy samochodzie ktoś nacisnął klakson. Ruby zmarszczyła brwi, a potem wyskoczyła na zewnątrz.

— Dixie! — krzyknęła.

— O rety, omal nie zamarzłam. Siedzę tu od północy. Pomyślałam, że może będę ci potrzebna. Hugo jest nieobecny dla świata, a mnie się nie chce spać. W porządku?

— Nie, tak, do cholery, nie wiem... — Ruby zaczęła płakać.

— Chodźmy do domu. Nic nie jadłaś, prawda? Zrobię jajka i kawę, a ty mi wszystko opowiesz. Po kolei — rozkazała Dixie.

Żadna z nich nie zauważyła wschodzącego słońca. Ruby mówiła przez całą noc, a Dixie słuchała.

^Potem Ruby spojrzała na papierową torbę, którą zostawił Andrew. Kopnęła ją, a po chwili nad nią kucnęła.

— Muszę to przejrzeć. Mam przecucie, że Andrew nie powiedział mi o wszystkim. Lepiej jedź do domu, bo Hugo się wścieknie. Wróc, kiedy pójdziesz do pracy. Ja wezmę prysznic i przejrzę to wszystko. Nie mogę podjąć żadnej decyzji, dopóki nie zorientuję się, jak bardzo jesteśmy zadłużeni.

— Dobrze — zgodziła się Dixie. — Ale pamiętaj, co powiedział ci syn. Bądź twarda. Dasz sobie radę. Będę przy tobie. Razem jakoś wybrniemy.

Ruby płakała pod prysznicem i ubierając się. Płakała, schodząc po schodach. Wreszcie zdołała się opanować. Zatelefonowała w kilka miejsc i nagryzmoła parę notatek. Potem zaczęła snuć plany.

Kiedy dostanie pieniądze, przede wszystkim wyśle duży czek do przytułku Św. Andrzeja na Hawajach. Zamierzała tam pojechać; może zabierze też Marthę, jeśli córka zechce z nią pojechać. I spotka się z panią Query. Zrobi wszystko, czemu sprzeciwiał się Andrew. Wszystko, co było dla niej ważne. Znajdzie też Mabel McIntyre i pomyśli, czym mogłaby sprawić jej radość.

Uniosła żaluzję w kuchennym oknie. Na dworze był chyba mróz. Zastanowiła się, gdzie spędził tę noc Andrew.

Uważaj, świecie. Teraz moja kolej, szepnęła.

Przez cały styczeń i część lutego Ruby nie potrafiła dojść do ładu z samą sobą. Załamała się i nie chciała wychodzić z domu. Twierdziła, że na dworze jest za zimno. Kiedy spadł śnieg, utrzymywała, że boi się jeździć w niebezpiecznych warunkach. Dixie robiła jej sprawunki na mieście i przynosiła zakupy.

Na dzień przed Walentynkami, kiedy śnieg prawie już stopniał, a drogi były przejezdne, Dixie wpadła do kuchni Ruby z obwiązanym wstążeczką pudełkiem czekoladek i oznajmiła tonem nie noszącym sprzeciwu, że sześć tygodni użalania się nad sobą w zupełności wystarczy.

— Albo się wreszcie pobierasz do kupy, albo wyjdę i więcej mnie nie już nie zobaczysz! — postawiła ultimatum. — Możesz otworzyć listy, zanim podejmiesz decyzję.

Ruby wiedziała, że Dixie mówi śmiertelnie poważnie. Pora wziąć się do siebie. Doszła zresztą do takiego samego wniosku.

— Opanowałam już sytuację, Dix. Obudziłam się dziś rano i zrozumiałam, że przez te półtora miesiąca udało mi się jedynie nabić sobie ogromny rachunek za gaz. Będę go spłacać do sierpnia.

Zadzwoił telefon.

— Odbiorę! — powiedziała Dixie, unosząc się z krzesła. — Nie, zaraz. Sama odbieraj własne telefony. Ja posiedzę i zjem jedną z tych przepysznych czekoladek, które tak rozsądnie dla ciebie kupiłam.

Po chwili Ruby była z powrotem.

— Właśnie zgodziłam się sprzedać dom w Georgetown brazylijskiemu dyplomacie. Sprawa jakiś czas trwała, chociaż facet tak się zapalił, że od razu chciał kupować. Jednak Rena radziła, żeby go nieco wytrzymać. Boże, wreszcie mogę swobodnie oddychać — oznajmiła Ruby, wkładając do ust czekoladkę z karmelem. — Czuję się, jakby ktoś zdjął mi z pleców wielki głąz.

— Czy to znaczy, że możemy wreszcie usiąść i zacząć planować rozpoczęcie tego interesu, na który się porważyliśmy w swojej głupocie?

— Otóż to — potwierdziła Ruby, sięgając za siebie po gruby notes pełen notatek. — Najpierw musimy zdać sobie sprawę, że jesteśmy kompletnie zielone, nie mamy czego sprzedawać, nie mamy też klientów, ale za to mamy bardzo ograniczony kapitał. Nie sądzę, żeby bank udzielił nam pożyczki, bo nigdzie nie pracujemy. Pewne jest, że potrzebujemy pieniędzy na życie, około siedemdziesięciu pięciu dolarów tygodniowo, więc to, co będziemy sprzedawać, musi przynieść nam sto pięćdziesiąt dolarów zysku, czyli sześćset na miesiąc. Może powinniśmy się jakoś ograniczyć. — Ruby zmarszczyła czoło.

— Ja potrzebuję tylko dwudziestu ośmiu dolarów tygodniowo. Hugo jest zadowolony z tego, co zarabiam w sklepie. To ile wypada? — spytała Dixie z niepokojem.

— Jeśli ograniczę się do sześćdziesięciu dolarów, a ty dwudziestu ośmiu... — Ołówek śmigał po papierze. — Otrzymamy trzysta dwadzieścia pięć dolarów na miesiąc. Teraz dużo lepiej.

Dixie pochłonięła ostatnią czekoladkę. Wytarła usta i jęknęła.

— Nie powinnam tyle jeść, ale były takie pyszne! Te słodczye mnie gubią — oznajmiła z uśmiechem pełnym szczęścia.

— Nasz interes — ciągnęła Ruby, wyrzucając puste pudełko do kosza — czymkolwiek będzie, w żadnym razie nie powinien wymagać wielkich nakładów. Możemy działać w kuchni albo w garażu. Problem tylko w tym, że nic nie potrafimy. — Uniosła ręce. — To prawda, Dixie. Przez te wszystkie lata byłyśmy matkami i żonami. Praca na pół etatu w sklepie z pamiątkami nie przygotowała nas do prowadzenia interesów. Oczywiście musimy sprzedawać coś, co same

zrobimy, ale nie mamy fachu w rękach, a nawet gdybyśmy miały, to chałupnictwo jest zbyt pracochłonne, a ludzie nie płacą za to, ile się ktoś natyra. Jaki stąd wniosek?

Dixie wzruszyła ramionami.

— Taki sam jak przed chwilą. Nie umiemy nic robić i nie mamy nic, co mogłybyśmy sprzedawać.

— Nie możemy się dołować. W ten sposób przegramy, zanim jeszcze zaczniemy działać. Myśl.

— Sama myśl. Ja idę do łazienki. Telefon dzwoni. Ruby uśmiechnęła się, spojrzawszy na kalendarz.

— To Andy. Dzwoni w każdy poniedziałek, z samego rana. Potrzebuje kolejnej paczki. Chcesz się założyć?

— O, nie. Ty lepiej znasz swojego syna.

— Dzisiaj ją wyślę — powiedziała Ruby do słuchawki, zanim Andy miał okazję się odezwać.

— Właśnie to w tobie lubię, mamuś. Uprzedzasz moje życzenia. Słuchaj, żarcie w stołówce jest tak podłe, że chciałem cię o coś prosić. Przyślij mi podwójną ilość tych twoich pysznych ciasteczek. Sprzedam je, a za te pieniądze będę jadał na mieście. Idziesz na ten interes?

Ruby poczuła, że serce bije jej tak gwałtownie, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

— Powtórz to, Andy — powiedziała zduszonym głosem.

— Co? To, że chcę więcej ciastek, czy że chcę jadać na mieście?

Ruby roześmiała się ze szczęścia.

— Andy, naprawdę potrafiłbyś sprzedać te ciastka?

— No pewnie. W zeszłym tygodniu sprzedałem trochę, dlatego już mi się skończyły. Sprzedawałem po dziesięć centów za sztukę. Wystarczyło na kawałek pizzy i colę. Jedna dziewczyna prosiła, żebyś zrobiła ciasteczka z masłem orzechowym. Powiedziałem jej, że twoją specjalnością są makaroniki z rodzynkami i ciastka z czekoladą. Przyślij trochę tych z masłem. Jej ojciec jest lekarzem i daje jej spore kieszonkowe. Zrób to, mamuś, uważam, że pomysł jest super. Muszę lecieć. Nie chcę się spóźnić na wykład. Kocham cię.

— Och, Andy, ja też cię kocham. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Zadzwoń wieczorem, kochanie. Pa. Dixieeee! Będziemy sprzedawać ciastka! — Ruby powtórzyła przyjaciółce rozmowę z synem.

Oczy Dixie zabłyśły.

— Uwielbiam piec ciasteczka. I jeść też. Przepis twojej babci, tak? Ruby skinęła głową.

— Zastanówmy się, Blachy do pieczenia, naczynia, drugi piecyk, może nawet dwa. Sears. Andrew da nam je na kredyt. Cały garaż piecyków. Oczywiście nie od razu. Miksery od Searsa. Względnie niewielka inwestycja. Możemy piec ciastka wcześniej rano albo późno w nocy i sprzedawać do południa. Andy będzie je rozprowadzać, dopóki interes się nie rozkręci. Młodzież uwielbia ciastka domowej roboty. Za rozsądną cenę. To jest to, Dix! Czujęto w kościach. Ten chłopiec jest taki mądry. Gdyby nie zadzwonił, dalej byśmy gryzły palce. Jego najlepszy przyjaciel, Jeff Larsen, studiuje w Princeton, a Princeton jest całkiem blisko Rutgers. Możemy dostarczyć ciastka Jeffowi po drodze. Monmouth College też leży nieopodal.

Dixie, zachwycona, klasnęła w ręce.

— Będziemy je pakować w papierowe torebki, na razie szare, ze wstążeczką. Opakowanie jest równie ważne, jak sam produkt. Kiedy zaczniemy na tym zarabiać, wydrukujemy na torebkach nazwę naszej firmy. Tylko że nie mamy żadnej nazwy — dokończyła żałośnie.

— Ależ mamy. U nas w Barstow była pewna kobieta. Nazywała się Constance Sugar i robiła pyszne czekoladowe ciasteczka z orzechami. Co powiesz na „Ciasteczka pani Sugar”?

— To się uda, Ruby, prawda? Naprawdę nam się uda!

— Pokaż mi kogoś, kto nie lubi domowych ciasteczek. Zbijemy majątek!

— Zaczniemy od razu. Zorientujemy się, ile to kosztuje. Wrócę do domu i będę piec we własnej kuchni. Zanim Hugo wróci, przyniosę ci to, co upiekę. Mam sześć blach i dwie półki w piekarniku, tak jak ty. To zajmie nam sporo czasu. I musimy zrobić zakupy. — Spuściła wzrok, zażenowana. — Przykro mi to mówić, ale potrzebuję pieniędzy. Mam tylko trzy dolary i muszą mi starczyć do czwartku, do wypłaty Hugona. Powinnam kupić chleb i mleko.

— Ja też nie mam pieniędzy, ale odłożyłam na rachunek za światło. Mogę go nie zapłacić. Wypiszę ci czek.

— Jak sądzisz, ile ciastek upieczemy od tej chwili do jutrzejszego ranka?

— Setki. Może tysiąc.

— Boże! Mamy firmę!

Obie popatrzyły na siebie przez chwilę w milczeniu. Słowa nie były im potrzebne. Ruby przytuliła do siebie przyjaciółkę.

— Dziękuję ci, że jesteś, Dix. Dixie otarła oczy.

— Te ciastka szybciej ci się upieką, jeśli włączysz piekarnik! Uciekła, zanim Ruby zdążyła rzucić w nią ścierką.

Wróciła po dwóch godzinach, węsząc smakowite zapachy, unoszące się w kuchni.

— Nie wytrzymam — jęknęła. — Ile zrobiłaś?

— Potroiłam ilość składników i zrobiłam trochę większe ciastka, bo sprzedaje — moje studentom i nie możemy ich oszukiwać. Na razie jest ich ze sto dwadzieścia. Ostatnia partia dochodzi w piekarniku. Odliczymy od tego pięć lub sześć. Ja zjadłam trzy, a ty też kończysz już trzecie. Co przyniosłaś?

— Mnóstwo różności i jedną informację. Kierownik sklepu A & P poradził mi, żeby kupować wszystko hurtowo. Pani Harris ze sklepu z pamiątkami nie powie mi nawet, która godzina, więc o to, skąd bierze torebeczki i wstążki, spytałam jej kasjerkę. Obiecała, że zajrzy do dokumentów, kiedy pani Harris pójdzie do domu na lunch. Zadzwoń do nas wieczorem i poda nam nazwiska i numery telefonów. Dobrze się spisałam?

— Najlepiej, jak można. Oooo, kupiłaś kolorowe torebki. I wstążeczki! Bomba!

— Nie było już tych zwykłych, szarych. Są takie śliczne, lśniące i malutkie. W tym interesie jest pewna pułapka — oznajmiła nagle Dixie z ustami pełnymi ciastek. — Zrobimy się grube.

— A kogo to obchodzi, skoro będziemy bogate. Poza tym za trzy dni nawet nie spojrzymy na ciastka. Zaufaj mi.

Dixie opuściła dom na Ribbonmaker Lane, obarczona porcją surowego ciasta na makaroniki z rodzynkami. Ruby czuła takie uniesienie, że nic, nawet wizyta An — drew, nie mogłyby popsuć jej nastroju. Szeptła do siebie:

— Och, babuniu, znowu to dla mnie zrobiłaś. Gdyby nie twoje przepisy ze starego kraju, nigdy by mi się nie udało. Pewnie nade mną czuwasz. — Zamarła w pół gestu. — To prawda — szepnęła. — Za każdym razem, gdy potykam się i padam, kiedy wydaje mi się, że nie ma już dla mnie ratunku, dzięki tobie jakoś zawsze udaje mi się przetrwać. Jeśli dostajesz, musisz się dzielić. O to chodzi, prawda? — Spojrzała w górę, całkiem pewna, że zobaczy strumień białego światła. — No dobrze, nie dajesz mi żadnych znaków, ale i tak wiem. Dzisiejszy telefon Andy'ego, rozmowa o ciastkach... to się nie zdarzyło ot, tak sobie. Wszystko ma swoją przyczynę. — Jej głos stał się jeszcze cichszy. — Miło wiedzieć, że ktoś nade mną czuwa. Nie przestawaj, proszę, nie przestawaj.

Nie uważała, że zachowuje się głupio, kiedy, nie odrywając się od pieczenia ciastek, od czasu do czasu głąskała się po ramieniu. Przecież każdy wie, że na ramieniu przysiadła Anioł Stróż.

* * *

Była niemal północ, kiedy Ruby i Dixie wytarły miski i posprzątały kuchnię.

— Gotowe — westchnęła Ruby. — Boże, co za męczący dzień, ale czułam się lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Czy to nie piękne? — Wskazała rzędy obwiązanych wstążeczkami torebek. Jeśli wstaniemy o wpół do siódmej, dotrzemy do Rutgers o wpół do ósmej, nawet biorąc poprawkę na korki. O ósmej Andy ma zajęcia. Podrzucimy mu ciasteczka do akademika i pojedziemy do Princeton. Andy powiedział, że sprzeda ciastka pomiędzy wykładami. Wspomniał też, że ma pewien pomysł, ale musi coś sprawdzić. A teraz obliczenia. Kontroluj mnie, na wypadek gdybym się pomyliła.

O wpół do trzeciej obie podniosły zaczerwienione oczy znad notatników.

— Jeśli sprzedamy wszystkie ciastka, zarobimy... Boże, to niemożliwe — jęknęła Ruby. — Tyle pracy za czternaście dolarów, a przecież musimy same dostarczyć te ciastka! Jeśli będziemy sprzedawać je codziennie przez tydzień, zarobimy zaledwie siedemdziesiąt dolarów i padniemy z wycieńczenia!

— To przez te torebki i wstążki. Są ładne, ale płacimy za nie ceny detaliczne. Musimy znaleźć jakąś hurtownię i kupić większą liczbę. To obniży nasze koszty — powiedziała Dixie i dodała: — Miałaś rację, Ruby, nie mogę już patrzeć na ciastka.

— Nie do wiary. Oprawa kosztuje więcej niż treść. A to nie ostatni problem, z którym musimy sobie poradzić naprawdę szybko. Jajka też powinnyśmy kupować hurtowo, najlepiej w jakiejś kurzej fermie. Najwyraźniej zabrałyśmy się do tego zbyt pochopnie. To moja wina, Dix, przepraszam. Zwykle nie bywam aż tak impulsywna. Jeśli jesteś choć w połowie tak zmęczona jak ja, musisz być na mnie wściekła.

— Nie, i tak nie miałam nic do roboty. Ruby uśmiechnęła się.

— Dopiero się uczymy. Prawdziwym sprawdzianem będzie sprzedawanie tych ciasteczek. Idź do domu, Dix, prześpij się trochę. A właśnie, co powiesz Hugonowi? Zdziwi się, że wychodzisz o szóstej rano. Musisz mi pomóc załadować samochód.

— Przygotowałem już sobie grunt. Hugo pytał, po co mi tyle ciasteczek. Odparłam, że to dla kościoła i że robię je z powierzonych mi składników. Powiedziałam, że muszę je odnieść na plebanię rano, żeby zdążyć na kiermasz ciast i ciasteczek. Mogę przyjść. Dobranoc, Ruby.

— Uda nam się, Dixie.

— Wiem. Do zobaczenia rano.

* * *

Po wyjściu Dixie Ruby długo patrzyła na kolorowe torebki z ciastkami. Tyle pracy. I skąd skombinować pieniądze na następne składniki? Spojrzała na zegarek. W Kalifornii dochodziła północ. Wykręciła numer Opal. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki po drugiej stronie nie odezwał się radosny głos Opal. Ruby wyprostowała obolałe ramiona. Nigdy dotąd nie musiała nikogo o nic prosić.

— Opal, chcę prosić cię o przysługę. Dużą przysługę.

— Możesz prosić o wszystko. Przykro mi ze względu na Andrew, ale jeśli się coś nie układa, nic się na to nie poradzi. Teraz możesz sobie znaleźć nowego faceta. Hej, mogę cię umówić z kilkoma kumplami Maca. Są fajni, lubią się zabawić. Naprawdę sympatyczni goście. Co to za przysługa?

— Potrzebują pieniędzy. To pożyczka. Na krótko. Dziś zaproponowano mi kupno domu w Georgetown i zgodziłam się. Powinnam dostać pieniądze już wkrótce, pod koniec marca. Wtedy ci zwrócę. Potrzebuję trzystu dolarów.

Głos Opal zmienił się.

— To kawał grosza — w głosie Opal już nie było entuzjazmu. — Mogę ci najwyżej pożyczyć sto dolców. Kiedy nam oddasz? Nie wiem, jak Mac...

— Zapomnij o wszystkim — powiedziała cicho Ruby. — Przepraszam, że zadzwoniłam tak późno.

— Żaden kłopot. Pewnie powinnam zacząć oszczędzać, co? — W głosie Opal znowu pojawiły się wesołe tony.

Ruby nie zadała sobie trudu, by jej odpowiedzieć. Odłożyła słuchawkę. Nie będzie myśleć o pieniądzach, które dała siostrze na kupno domu. Po co doprowadzać się do szaleństwa?

Nagle przestała przejmować się późną porą. Otworzyła notesik z numerami i dzwoniła do wszystkich osób, które mogła poprosić o pożyczkę. Renę zostawiła sobie na koniec. Narysowała na papierze wielkie okrągłe zero, kiedy telefonistka z centrali powiedziała jej, że Rena wyjechała z kraju. Narysowała jeszcze jedno zero. Chciało się jej płakać. Przyjaciele. Miała już zamknąć notesik, kiedy jej spojrzenie padło na jego ostatnią stronę.

Grace Zachary. Wykręcając numer, pomyślała, że to dobrze, iż zawsze wysyłała im kartki na Gwiazdkę i Wielkanoc. Przynajmniej nie zerwała z nimi kontaktu.

Zaspana Grace oprzytomniała natychmiast, gdy Ruby się przedstawiła.

— Ruby, to naprawdę ty? Paul, wstawaj, to Ruby. W nosie mam godzinę, wstawaj. Podnieś drugą słuchawkę. Ruby, kochanie, jak się czujesz? Coś się stało, wiem to. Dziecko, Paul i ja bez przerwy o tobie rozmawiamy. Co się stało, Ruby, jak mogę ci pomóc?

Coś w niej pękło. Zaczęła bełzadnie opowiadać o wszystkim, jękając się i rozmazując płynące po policzkach łzy. Kiedy poprosiła drżącym głosem o pożyczkę, Grace i Paul spytali jednocześnie:

— Ile?

— Trzysta dolarów, jeśli możecie. Podpiszę zobowiązanie, wszystko, co zechcecie. Zapłacę każdy procent, jakiego sobie zażyczycie.

— W żadnym wypadku — obruszył się Paul. — Jutro z samego rana przyślemy ci czek. Zwrócisz te pieniądze, kiedy będziesz mogła. To nic pilnego. A teraz powiedz mi, w której hurtowni się zaopatrujecie. W ogóle nie zwracaj uwagi na to, co nagadał ten facet ze sklepu. Jestem kierownikiem sieci tych sklepów na wschodnią część kraju. Zadzwoń do niego i powołaj się na mnie. A oto, co ma dla ciebie zrobić. Weź coś do pisania, kochanie, i notuj. Jeśli uda ci się rozkręcić interes, będziemy twoimi klientami. Nie możesz skupiać się tylko na dzieciakach z college'ów. I na litość boską, pięćdziesiąt centów za tuzin to śmieszna cena. To powinno kosztować dolca. Zaufaj mi.

Ufała mu. Rozmawiali przez godzinę.

— Słuchaj Paula, Ruby — włączyła się Grace. — Wie, o czym mówi.

— Dobrze. Zwrócę pieniądze, jak tylko będę mogła. Dziękuję wam.

— Po to ma się przyjaciół. Idź do łóżka i spróbuj się trochę przespać. Jeszcze porozmawiamy, słoneczko.

Ruby odłożyła słuchawkę, przysiadła na kuchennym stołku i wzniosła oczy do nieba. Takie rzeczy zdarzały się zawsze, kiedy była na samym dnie. Nagle zrozumiała, że to nie zasługa babci. To ktoś inny. Wyższa Istota. Przypomniała sobie, jak zostawiła Biblię w pociągu. I tak dawno nie była w kościele.

Zamiast się położyć, powlokła się na piętro do łazienki. Wzięła prysznic i umyła włosy. Była przytomna jak nigdy.

Kto mógłby przewidzieć, że to Paul i Grace Zacharowie przyjdą jej z pomocą? Gdyby nie spojrziała na ostatnią kartkę notesu, pewnie poddałaby się przed samą metą. Roześmiała się i zaczęła podskakiwać pod kłującymi igiełkami prysznica.

Uśmiechała się, smażąc bekon i jajka. Nie mogła się już doczekać przyjścia Dixie. Chciała zobaczyć jej minę na wieść, że mogą kupować składniki jeszcze taniej niż w hurtowniach. Paul podał Ruby nawet nazwę firmy papierniczej. Powiedział, że zrobią dla nich takie torebki, jakie sobie wymarzą, jeśli wspomni właścicielowi, że Paul Zachary zastanowi się nad prowadzeniem interesów gdzie indziej. Oczywiście ten delikatny szantaż wchodził w grę, gdyby cena była zbyt wysoka. Ale powinna kupić kilka tysięcy sztuk. Ta myśl w ogóle jej nie zaniepokoiła, ani to, że będzie kupować mąkę w stu pięćdziesięciokilowych workach, a tłuszcz w dwudziestopięciokilowych pojemnikach. Produkty dostarczał hurtownik, więc transport również nie stanowił problemu. To samo dotyczyło jajek. Bezpłatny dowóz pozwoli jej zaoszczędzić czas. Jedynym problemem — i to sporym — było to, że hurtownikowi należało płacić z góry, gotówką lub czekiem. „Nowym firmom nie udziela się kredytu, zwłaszcza gdy są prowadzone przez kobiety” — powiedział Paul. No cóż, jakoś to przeboleje. Wkrótce będą ją błagać o współpracę.

* * *

Dixie i Ruby rozmawiały przez całą drogę do akademika Andy'ego w New Brunswick. Rozespany Andy wyszedł do nich ze zmierzwionymi włosami i w kapciach. Z nogawek dżinsów wystawała mu piżama. Potężne, muskularne ramiona otoczyły Ruby. Usiłował mówić szeptem, ale słycać go było nawet po drugiej stronie ulicy.

— Cieszę się że cię widzę, mamuś. Ja to wezmę. Wy przynieście te torebeczki. Zabierzemy wszystko za jednym razem.

— Przysięgam, że ten chłopak jest coraz przystojniejszy — oznajmiła Dixie. — I coraz większy. Pewnie ma już metr dziewięćdziesiąt.

— Metr dziewięćdziesiąt dwa — zachichotała Ruby. — Oczy ma jeszcze bardziej błękitne niż Paul Newman. Podobno wszyscy mu to mówią. Jest takim dobrym dzieckiem. I — dodała z dumą — doskonale się uczy. Będzie świetnym architektem.

— No dobrze, mamuś, postaw je tam. Ile powinienem za nie brać?

— Dolara za torbę — wyrzuciła z siebie Ruby, pamiętając słowa Paula. Dixie zakrztusiła się i zastygła z otwartymi ustami. — Wyślij nam pieniądze. Zadzwoń, kiedy będziemy miały następną partię. W tych małych, fioletowych są ciastka z magłem orzechowym. Dziękuję ci, Andy.

— Mamuś, dla ciebie wszystko. Jedź ostrożnie.

— Ty, Blue! — ryknął ktoś z korytarza. — Możesz się trochę przyciszyć? — Głos brzmiał dobrodusznie.

Andy wyszczerzył zęby.

— Jakoś mnie tolerują — szepnął.

Ruby przytuliła syna.

— Ile mogę zjeść? — spytał, ciągle szeptem.

— Te w zielonej torbie są dla ciebie i kolegi z pokoju. Musimy już uciekać. Zadzwoń! Andy skinął głową.

Kiedy jechały do Princeton, Dixie zachichotała radośnie.

— Będziemy miały cztery razy większy utarg! Dlaczego zdecydowałaś się brać dolara za torebkę?

— Bo rozmawiałam z Paułem Zachary. Ale, jeśli nie chwyci, obniżymy cenę do siedemdziesięciu pięciu centów. Dwadzieścia osiem dolarów za wczorajszą harówkę to o wiele lepiej niż czternaście. Mnie to zadowala. Mam takie dobre przeczucia!

Jeff Larsen, przyjaciel Andy'ego, stał na chodniku przed akademikiem wraz z dwoma kolegami. W okamgnieniu porwali z tylnego siedzenia pudełko z ciastkami. Tak samo jak Andy, Jeff nie zapomniał spytać:

— Które są moje i ile ich jest?

Jadąc trasą 22, wreszcie obie się odprężyły.

— Już dziś wieczorem będziemy wiedzieć, czy nasze ciastka są warte tyle, ile za nie żądamy. Coś mi mówi, że chłopcy sprzedadzą wszystkie.

— Ja też tak uważam. Jak sądzisz, na którą będziemy w domu? — spytała Dixie.

— Na trzecią. Jakiś problem? Dixie wzruszyła ramionami.

— Niepokoi mnie Hugo. Nadal pyta, co robię, kiedy i dlaczego, ale poza tym zachowuje się tak dziwnie, że nie wiem, jak reagować.

— I narzekasz? — uśmiechnęła się Ruby — Przecież zawsze mówiłaś, że o tym marzysz. — Wiem, ale coś tu jest nie tak. E, pewnie ponosi mnie wyobraźnia.

Ruby skinęła głową. Nie pozwoli, żeby Hugo zmącił jej radość tego dnia. Ani jej, ani Dixie, jeśli tylko będzie miała tu coś do gadania.

* * *

Abe Saltzer z hurtowni H & R był prawdziwym olbrzymem; wyższy niż Andy i o wiele bardziej w sobie nabity. Pod jego zaplamionym podkoszulkiem rysował się solidny brzuch, a płomienne włosy i równie gorejąca broda mężczyzny przykuły wzrok Ruby. Od dymu ze śmierdzącego jak diabli cygara, które Abe trzymał w zębach, w oczach zakręciły się jej łzy. Dłońmi jak bochny chleba machał w kierunku wielkich ciężarówek, usiłując patrzeć jednocześnie na nie i na Ruby.

— Ma tu pani jakąś sprawę, czy tylko zajmuje pani miejsce?

— Chcę złożyć zamówienie. Paul Zachary powiedział, że powinnam spytać o pana Saltzera. To pan?

— Tak było, kiedy wstałem z wyra. Paul, tak? Znasz Paula?

— On i Grace są moimi przyjaciółmi.

— Moja siostra wyszła za brata Paula — oznajmił Abe, przesuwając cygaro z jednego kącika ust do drugiego.

— O, to miłe. Brat Paula jest pewnie tak samo sympatyczny, jak on.

— Tak, tak, tak. Po co Paul cię przysłał?

— Powiedział, że ubiję tu dobry interes. Moja przyjaciółka, Dixie Sinclair, i ja, Ruby Blue, chcemy rozpocząć produkcję ciastek i zamierzamy kupować produkty w hurtowych ilościach. Paul wspomniał, że będzie pan je dowozić. O, proszę, zapisałam wszystko. Tak właśnie powiedział. Może pan do niego zadzwonić. — Ruby wręczyła mężczyźnie karteczkę.

— Powiedział to o mnie?

Wygląda na zadowolonego, pomyślała Ruby.

— Może ciasteczko? — zaproponowała Dixie. — Mam parę... — Sięgnęła do wielkiej torby i wyjęła z niej małą, żółtą torebkę pełną rozmaitych ciasteczek. — Myślałam, że możemy nie mieć czasu na obiad, więc wzięłam po dwa — szepnęła do Ruby.

— Nie daję kredytu — oznajmił Abe z pełnymi ustami. Ruby skinęła głową. — Dostarczam towar i sam rozładowuję. Wy opłacacie kierowcę, bo to pomysł Paula. Wchodźcie?

Ruby skinęła głową.

— Skąd wzięłyście tę torebkę?

Ruby otworzyła szeroko oczy. Małeńka cytrynowa torebeczka ginęła w łapie mężczyzny.

— Ze sklepu z upominkami. Kosztowała dziewiętnaście centów.

— Jest warta dwa. Trzy domy dalej mieszka facet, którego potrzebujecie. Hej, jeśli zechcecie, możecie dać kierowcy parę tych ciasteczek. Całe pudełko. Ja też się piszę na te z masłem orzechowym. Smakują jak ciasteczka mojej mamy.

— Dobrze. Umowa stoi. Ile?

— Zróbcie mi niespodziankę. Wejdźmy do środka. Dam wam numer konta, a kiedy będziecie chcieli złożyć zamówienie, po prostu zadzwońcie. Widzicie ten numer na końcu? To oznacza specjalne przywileje. Zawdzięczacie je szcudremu bratu mojego szwagra. Chcecie złożyć zamówienie już teraz, czy zaczekacie?

— Musimy obliczyć, ile będzie nam trzeba. Jak długo można trzymać mąkę?

— W szczelnym zamknięciu do końca świata. Masło i smalec po otwarciu należy przechowywać w lodówce. Jajka bierzcie z fermy. Nie znoszę przywozić jaj. Psie pieniądze. Jak się stłuką, robi się piekło na ziemi. Brązowe są najlepsze. Coś jeszcze? Aha, zamówienia składajcie z dwudniowym wyprzedzeniem, chyba że sytuacja jest wyjątkowa. Prowadzę biznes od wielu lat i trafiła mi się tylko jedna, kiedy Czerwony Krzyż wysyłał żywność głodującym.

Sumienie nie pozwoliło Ruby milczeć.

— Czy przy tej cenie coś pan z tego będzie miał? Nie chcemy jałmużny, jeśli nawet Paul był tak dobry, że umówił się z panem... to znaczy...

Abe aż drgnął. Potrząsnął głową; cygaro omal nie wypadło mu z ust.

— Nigdy więcej nie zadawajcie podobnych pytań, drogie panie. Co z was za kobiety interesu, skoro macie takie skrupuły?

— Uczciwe — oznajmiła Ruby z mocą.

— A więc, między nami, uczciwymi biznesmenami, tak, zarabiam na was, ale nje rozpowiadajcie tego każdemu, dobra?

— Dobrze. Będziemy w kontakcie. — Gotówka! — przypomniał Saltzer.

— Gotówka! — potwierdziła. — I ciastka.

— Tak, nie zapomnijcie o ciastkach.

— Bierze za to tyle co nic i jeszcze zarabia — powiedziała Dixie ze zgrozą. — Sklepy nas okradają, wiesz o tym?

— Już od dawna — mruknęła Ruby.

Czterdzieści pięć minut później wpadła na swój podjazd, rozjeżdżając te same róże, które zmasakrowała w styczniu. Nie zmartwiła się. Chciała tylko spać. Dixie doprowadziła ją do sofy, włączyła ogrzewanie i przykryła Ruby szydełkowym szalem. Ściszyła telefon i wyszła przez garaż, żeby nie zostawiać otwartych drzwi.

Garaż był ogromny. Dixie zamknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić tysiące kolorowych torebek z ciastkami, czekających na rozwieszenie. Uśmiechnęła się do tego widoku. Chętnie będzie miała w nim swój udział. Szkoda tylko, że nie dysponuje pieniędzmi, które mogłaby włożyć w to przedsięwzięcie. A mimo to Ruby chciała się z nią dzielić po połowie. Brak gotówki nadrobi pracą. Na tym Dixie się znała.

Kiedy tylko zdobędzie trochę pieniędzy, pójdzie do lekarza i poprosi o jakieś mocniejsze środki przeciwbólowe. Artretyzm, którego się nabawiła, dawał się coraz bardziej we znaki.

Rankiem z trudem zwlekła się z łóżka. Pomagała już tylko gorąca kąpiel, wspomagana kilkoma tabletkami aspiryny.

Stres i napięcie narastały. Przy Ruby żartowała z Hugona, ale czuła, że będzie miał dziś zły humor. Wyładuje go na niej, jak zawsze. Byłabym taka szczęśliwa, gdyby umarł, szepnęła. Chwilę potem żałowała tych słów. Hugo nie umrze, a ona go nie opuści. Łączyła ich jakaś chora więź. Chciałaby mieć charakter Ruby. Ona zawsze umiała wylądować na cztery łapy. To przedsięwzięcie, jeśli się rozkręci, dowodziło tej teorii. Nie było nic oprócz pomysłu, a już po chwili stały się właścicielkami firmy. Wszystko się uda, ponieważ Ruby tak powiedziała. Ta podjęta w ostatniej chwili decyzja, by za tuzin ciastek zażądać dolara, a nie pięćdziesiąt centów zapewniła im — zakładając, że sprzedadzą wszystkie ciastka — dwadzieścia osiem dolarów na głowę. Dokładnie tyle, ile zarabiała w sklepie z upominkami. Jeśli będzie ciężko pracować, tak jak Ruby, zdoła zgromadzić sto czterdzieści dolarów tygodniowo. Dwadzieścia osiem odda mężowi, a sto dwanaście odłoży do banku. Po miesiącu będzie miała czterysta czterdzieści osiem dolarów. Jeśli Ruby się zgodzi. Była głupia, mówiąc, że wystarczy jej dwadzieścia osiem dolarów. Ale Ruby jest uczciwa, uspokoiła nagły lęk. Jeśli będzie ciężko pracować, a pieniądze odkładać do banku, może w końcu uwolni się od Hugona. Ciekawe, jak to jest, kiedy się żyje na własny rachunek i nie trzeba się przed nikim tłumaczyć. To chyba raj? — pomyślała. Zamknęła drzwi garażu na klucz.

Nienawidziła powrotów do domu, gotowania kolacji dla męża, siedzenia naprzeciw niego przy stole. Nienawidziła milczących posiłków i milczenia po posiłkach, kiedy Hugo czytał gazetę. Zastanawiała się, czy Hugo byłby tym samym człowiekiem, gdyby poślubił inną. Może była zbyt prymitywna, za mało wykształcona. Może, może, może. Myślała o tym nieustannie. Próbowwała, starała się, zwłaszcza po wypadku, ale nie potrafiła ukryć swojej ułomności. Tyle razy nazywał ją przeklętą kaleką, że straciła rachubę. Czuła na sobie jego spojrzenie, kiedy krzątała się po domu, i widziała obrzydzenie w jego oczach. To on ją okaleczył i miał jeszcze czelność okazywać obrzydzenie. Obyś zdechł, warknęła. Tym razem nie czuła ani odrobiny wstydu. Ani odrobiny.

Hugo czekał na nią w kuchni. Skurczyła się ze strachu na widok jego miny.

— Gdzie byłaś?

Skłamać, czy nie? Dixie czuła się jak szczur zagoniony w ślepy zaułek. A jeśli poszedł do kościoła, albo — jeszcze gorzej — do sklepu z upominkami? I nagle, jak w olśnieniu, zrozumiała, że może się odwrócić na pięcie i iść do Ruby. Ruby użyczyłaby jej sypialni któregoś ze swoich dzieci. Ruby by jej pomogła. Dzięki Bogu za to, że istniała.

— Wysłałam — oznajmiła krótko. — Mogłes odgrzać kolację — dodała, idąc do lodówki. Nie zdjęła płaszcza. Wyjęła salaterkę z wczorajszym spaghetti i postawiła na stole. Następnie warzywa na sałatkę. Sięgnęła po nóż, ostry i zakończony szpikulcem. Ciągłe nie zdejmowała płaszcza. Odwróciła się z nożem w dłoni. Zaraz się stanie, pomyślała. Zaraz mi powie, że wie, że nie byłam w kościele i że straciłam pracę. Zabroni mi spotykać się z Ruby. Zacisnęła dłoń na trzonku noża. Zacisnęła też wargi. — Czy coś się stało? — spytała chłodno. Siła brzmiąca w jej głosie zaskoczyła ją, a także jej męża. To chyba przez ten nóż, pomyślała.

Hugo Sinclair, wysoki mężczyzna, byłby dość atrakcyjny, gdyby nie policzki obwisłe jak u buldoga i odpychający wyraz twarzy. Broda i wąsy także nie dodawały mu uroku. Ubierał się dobrze, o wiele lepiej niż Dixie. Ale teraz wygląda żałośnie, pomyślała. Nigdy jeszcze nie widziała go tak zbitego z tropu. Zadygotała ze szczęścia.

— Spóźniłaś się ponad godzinę. Kościół jest zamknięty, sklep też. Gdzie się pętałaś, do cholery? Wiesz, że lubię mieć kolację na czas.

— Mówiłam już, że wysłałam. Im dłużej gadamy, tym dłużej będziesz głodny. Chcesz bułkę?

— Ciągłe nie wiem, gdzie się podziewałaś! — wybuchnął. Nie spuszczał oczu z noża, który trzymała w dłoni.

— Pojeździłam sobie trochę. Wstąpiłam do Ruby, ale... była zajęta. Chcesz tę bułkę, czy nie?

— Nie, wystarczy chleb. Nie zdejmiesz płaszcza?

Dixie zastanawiała się nad odpowiedzią przez pół minuty.

— Nie. Podgrzeję ci kolację, co mogłeś zresztą zrobić sam, i znowu wyjdę. Coś ci przeszkadza? — spytała, starannie wymawiając każde słowo. Przeszkadzało mu, i to jak. Nigdy jeszcze nie wyszła z domu po zmroku.

— To zależy, dokąd idziesz i po co — jego głos stał się niemal łagodny. — Mamy mleko i chleb. Kościół jest zamknięty, poczta też.

— Idę do Ruby — odpowiedziała równie łagodnie. — Pomaga mi robić kołdrę. Dla twojej matki na Dzień Matki. — Nie wierzyła własnym uszom. Kłamała! — Zrobienie kołdry zabiera wiele czasu. Oczywiście, jeśli wolisz ją kupić, proszę bardzo. Twoja matka wspomniała, że jest jej potrzebna kołdra. — Machnęła groźnie wyglądającym nożem.

— Dobrze, dobrze, daj wreszcie tę kolację i nie marudź — powiedział Hugo z rezygnacją.

Dixie odwróciła się, nie wypuszczając noża z ręki.

— Nakryj do stołu i mógłbyś pozmywać. Ja nie mam czasu. — Chyba to miała na myśli Ruby, mówiąc, że o siebie należy walczyć. Dixie drżała, nie posiadając się ze zdumienia nad własnym męstwem. W ciągu ich całego pożycia małżeńskiego Hugo jeszcze nigdy nie nakrył do stołu ani nie pozmywał. Przez chwilę myślała, że odmówi. Czy Dixie zwęziły się tak samo, jak oczy Hugona. „Zastraszyć można tylko kogoś, kto na to pozwala”, przypomniała sobie zdanie przeczytane w poczekalni u dentysty. Na razie nie zrobiła żadnego ruchu, by włożyć spaghetti na patelnię. — I nie stawiaj talerza dla mnie. — Boże, naprawdę przeciągam strunę, pomyślała. Prowadzenie interesów może i uderzyło jej do głowy, ale czuła się zdolna stawić czoło wszystkiemu, nawet mężowi. Ciągłe w płaszczu, lecz bez noża w dłoni, wytrząsnęła spaghetti na talerz Hugona. Nalała mleko do szklanki i postawiła obok sałatki i chleba. Miała ochotę rozłożyć serwetkę i wetknąć ją pod brodę męża. — Coś jeszcze?

Po chwili była już za drzwiami. Ale nie miała dokąd pójść. Jeździła bez celu ulicami, dopóki nie zauważyła grupki kobiet, idących do katolickiego kościoła św. Judy. Wieczór gry w bingo. Zaparkowała samochód i rzuciła się w wir hazardu. Kiedy o dziesiątej wieczorem opuszczała piwnicę kościoła, miała przy sobie wygraną w wysokości siedmiu dolarów. Wygrała więcej, ale musiała się podzielić z czterema innymi kobietami, które obstawiły te same numery.

Zdecydowała się wracać obok domu Ruby. W kuchni paliło się światło. Dixie zatrzymała samochód.

— Jestem głodna — oznajmiła od progu. — Posłuchaj tylko, co... co zrobiłam. Jeszcze nigdy tego nie próbowałam. Z braku lepszego słowa — wzruszyła ramionami — dzisiejszy dzień jest dla mnie przełomowy. Chyba to dzięki temu nożowi. Uwierzysz? Hugo sam nakrył sobie do stołu! Powinnaś mnie wtedy widzieć, naprawdę mu się postawiłam! Boże, jakie to było wspaniałe uczucie!

— Spokojnie, Dixie. Nie chcę, żebyś ryzykowała. Trudno przewidzieć, co może strzelić do głowy twojemu mężowi. Uważam, że to cudownie, iż znalazłaś w sobie tyle siły, żeby się mu sprzeciwić i cieszyć się, że nasze przedsięwzięcie dało ci tę odwagę. Ale proszę, bądź ostrożna, żebyś później nie żałowała.

— To się nie zdarzy. Bez względu na wszystko zawsze będziemy przyjaciółkami. Jesteś dla mnie siostrą, której nigdy nie miałam. Gdybym kiedykolwiek miała wybierać między tobą a Hugonem, bez wahania...

— Nie, nie, nie mów tego. Nie musisz wybierać, więc w ogóle o tym nie myśl. — Rozległ się dzwonek telefonu. — Oho, Andy.

— Hej, mamuś! Mam dobre wieści! — Ruby odsunęła z uśmiechem słuchawkę od ucha. Dixie zachichotała, słysząc tubalny głos chłopca. — Sprzedałem wszystkie ciastka, z wyjątkiem jednej torebki, którą mój współlokator zeżarł przez pomyłkę. Mógłbym sprzedać jeszcze więcej. Razem z Zackiem zanieśliśmy je do siedziby stowarzyszenia studentów. Rozeszły się w ciągu godziny. Dziś po południu wysłałem ci pieniądze. Dzwoniłem do Jeffa, jemu zajęło to tylko czterdzieści pięć minut. Jutro rano wyśle pieniądze. Ale to jeszcze nie wszystko. Gotowa? Jeden z chłopaków z bractwa Fidzi kupił torebkę ciastek. Była z nim jego dziewczyna. W siedzibie bractwa Fidzi jest mały ganek. Facet powiedział, że można tam sprzedawać ciastka. Jego dziewczyna, która należy do jakiejś organizacji dziewczęcej, postara się o koncesję. Ona i jej koleżanki mogą sprzedawać ciastka przez trzy godziny każdego popołudnia. Faceci z bractwa chcą zamawiać ciastka dla swojej organizacji, a dziewczyny dla swojej. No i co ty na to, mamuś? Super, nie?

— Cudownie, Andy! Kiedy zamierzają zacząć?

— Jakoś w przyszłym tygodniu. Rozwiesimy ogłoszenia. Dopilnuję tego. Chcesz, żebym zadzwonił do Jeffa i poprosił go, żeby dał czadu, i zrobił to samo?

— Czy ja dobrze słyszę? Myślałam, że na studiach uczą mówić po angielsku. Owszem, poproszę Jeffa. To nie do wiary! — wykrzyknęła uradowana i zrelacjonowała Andy'emu rozmowę z Abem Saltzerem.

— Mamuś, fantastycznie. Słuchaj, mam następny pomysł. Znam parę dziewczyn w Douglass, nowych siódemek. Rzucają się na to z pazurami. Chcesz, żebym... im powiedział, żeby... no, żeby się zainteresowały?

— Czemu nie? — przytaknęła oszołomiona Ruby. — Co to znaczy: „nowe siódemki”? Andy wybuchnął gromkim śmiechem.

— Dziewczyny, które dopiero zaczynają studia, zwykle przybierają na wadze koło siedmiu kilo. My pomagamy im odzyskać dawną linię, a one trzymają się nas aż do drugiego roku. Potem znowu pojawiają się nowicjuszeki i mamy następną partię do obróbki. I jak, mamuś, zadowolona?

— Andy, jesteś brylantem. Chyba będziemy musiały ci dać jakiś procent od zysku. Jeśli „Pani Sugar” utrzyma się na rynku, zamówimy u ciebie projekt firmowego budynku. Pomyśl o tym, co?

— No pewnie, mamuś. Teraz zadzwonię do Jeffa. Porozmawiamy jutro. Kocham cię.

— Ja też cię kocham, Andy. — Ruby odwróciła się do Dixie. W jej oczach lśniły łzy. — Chyba wszystko słyszałaś?

Dixie przytaknęła.

— Aż kręci mi się w głowie. Ten chłopak jest niezwykły. No, to chyba działały? — powiedziała niepewnie.

— Na to wygląda — przyznała Ruby równie ostrożnie. — Wyrobimy się, Dix?

— Nie przy jednym piekarniku. Ani nawet przy dwóch. Potrzebujemy trzech albo pieca cukierniczego. Nie wiem, ile by to kosztowało. Pewnie dużo.

— Czekał. — Ruby sięgnęła po ołówek. — Nie musimy ruszać z tym natychmiast — Potraktujemy to jak ofertę handlową i zastanowimy się, czyjej sprostamy. Jutro pójdziemy do firmy zaopatrującej restauracje i sprawdzimy, ile kosztuje taki piec. Jesteśmy to sobie winne, ale nie sądzę, żebyśmy były w stanie upiec tyle ciastek, żeby je codziennie sprzedawać, nawet mając piec cukierniczy. Może trzy razy w tygodniu... Albo wynajmiemy kogoś, kto będzie rozwoził nasze ciastka. Wtedy będziemy musiały płacić za benzynę i amortyzację samochodów. Nie miałam pojęcia, że własny interes pociąga za sobą tyle komplikacji. Muszę zacząć myśleć również o ubezpieczeniu zdrowotnym. Ubezpieczenie Andrew już mnie nie obejmuje. Damy sobie z tym radę? — spytała Ruby z troską.

— Oczywiście. Z góry było wiadomo, że zanim się urządzimy, czeka nas praca dniem i nocą. Jestem na to przygotowana. Wiem, że martwisz się, czy wytrzymam, ale dam sobie radę. Nie opuszczę cię.

— Wiem o tym, Dixie. Mimo wszystko nie mamy po dwadzieścia lat i nie mieszkamy w obozie Lejune. Wtedy mogliśmy pracować bez wytchnienia. Teraz jesteśmy kobietami czterdziestoletnimi. Zaczynam słabnąć; ty też. Nie potrafię znieść więcej niż czternaście godzin pracy. I nie mamy pieniędzy. Pięćset dolarów od Grace i Paula nie wystarczy na długo, a nie mogę wziąć zastawu pod hipotekę domu, w którym mieszkają moi rodzice. Jeśli nasz interes padnie, nie będę miała za co żyć.

— Może uda się coś sprzedać na pchlim targu? U mnie na strychu poniewiera się parę gratów. U ciebie pewnie też. Być może dostaniemy za nie pięćdziesiąt lub siedemdziesiąt pięć dolarów. Opłacimy za to kierowcę i kupimy to, co jest nam potrzebne, żeby dalej piec.

— To jest myśl! Jeśli zgarniemy siedemdziesiąt dolarów, będziemy mogły opłacić wiele rzeczy.

* * *

Ruby przez kilka godzin zajmowała się dodawaniem, mnożeniem i dzieleniem. Gryzmoła i wyrzucała do kosza kolejne kartki papieru. Zateśkniła nagle za maszyną do liczenia. Wreszcie mimo wewnętrznego oporu wykręciła numer męża.

— Muszę z tobą pomówić, Andrew — oznajmiła cicho.

— Ruby! Na miłość boską, jest kwadrans po drugiej. Jeśli dzwonisz, żeby mi się powiedzieć, że dom się pali, trudno, to już twój problem. Zadzwoń jutro do sklepu.

— Andrew, porozmawiamy teraz. Muszę mieć piec cukierniczy, może dwa. Czy Sears je sprzedaje? Wiesz, gdzie dostanę je za godziwą cenę?

— Dzwonisz do mnie w środku nocy z tak głupim pytaniem?

— Pomyśl o swoim procencie od zysków. Dixie i ja zaczynamy produkować ciastka i dlatego musimy mieć te piece.

— Że co?! — wybuchnął.

— Słyszaleś, będziemy sprzedawać ciastka. Mamy zbyt wiele zamówień i nie możemy się wyrobić z naszymi piekarnikami. Słuchasz mnie, czy śpisz?

— Rozum ci odjęło. A ja chyba oszalałem, że cię słucham.

Ruby zacisnęła zęby i zmówiła krótką modlitwę.

— Mam zamówienia.

— Nie wierzę — warknął, ale robił wrażenie zaciekawionego.

— Dupek z ciebie. To się uda. Pomyśl tylko, jaki będziesz miał z tego zysk.

— Trzy procent — rzucił Andrew chytrze, teraz już zupełnie przytomny.

— Dwa — odparła zimno. — Jeśli dostarczysz mi dwa piece po cenach hurtowych.

— Cztery — syknął Andrew.

— Dwa i pół. To ostateczna propozycja. Dwa i pół procent to dobry interes.

— Kiedy zacznę dostawać swój udział? Kiedy będę mógł rzucić tę parszywą robotę?

— Kiedy będę bogata i sławna. I nie rzucaj pracy. Może mi się nie udać, ale nie dlatego, że nie dałam z siebie wszystkiego.

— I kto to mówi? Ta Ruby, która potrafi wszystko? Ta przemądrzała Ruby, z którą się ożeniłem? Nieee, przecież tamta Ruby zawsze zwyciężała. Ona potrafiła wszystko!

— Nigdy czegoś podobnego nie twierdziłam. — Łzy napłynęły jej do oczu. — To ty tak o mnie myślisz. To nie w porządku, Andrew. Staram się, więc daj mi szansę, dobrze? Jeśli odniosę sukces, też na tym skorzystasz. A to, że cię nie oszukam, chyba już wiesz.

— Dobrze. Kiedy chcesz dostać odpowiedź?

— Jutro rano, przed dziesiątą. Zadzwoń do kierownika magazynu, zanim pójdziesz do pracy i oddzwoń do mnie. I jeszcze jedno, zostawiłeś w garażu mnóstwo narzędzi i rupieci. Czy mogę sprzedać je na pchlim rynku? Potrzebuję pieniędzy na opłacenie kierowcy. Zapożyczyłam się wszędzie, gdzie mogłam.

— Nie pożyczłaś na moje nazwisko? — W głosie Andrew pojawił się ostry ton.

— Nie, tego bym nie zrobiła. Mogę to sprzedać, czy nie?

— Jak sądzisz, ile za nie dostaniesz? Te narzędzia to ostatni krzyk techniki.

— Zardzewiały krzyk. Dwadzieścia pięć dolarów, może trzydzieści pięć. Wystarczy, żeby opłacić kierowcę na parę dni.

— To żaden zarobek. Dobrze, ale jeśli dostaniesz za nie więcej, chcę część pieniędzy. Ufam, że mnie nie oszukasz.

— Jestem zaszczycona. Dobranoc.

— Ruby?

— Co?

— Nie spytasz mnie, jak się miewam?

— Dzieci mówią, że dobrze. To miło. Porozmawiamy rano.

Dopiero w połowie schodów zdała sobie sprawę, że on również nie spytał o jej zdrowie. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Lśniące nowością, brzydkie piece cukiernicze zostały włączone po raz pierwszy w domu na Ribbonmaker Lane 7 w wigilię świętego Patricka. Była godzina ósma rano. Czternaście minut później zostały wyłączone przez inspektora służb miejskich. Ruby i Dixie patrzyły oniemiałe na inspektora, który oznajmił, że ich działalność nie spełnia wymogów sanitarnych, obowiązujących w tym mieście.

— Poza tym — zakończył lodowato — nie mają panie zezwolenia na prowadzenie działalności handlowej w domu. To dzielnica mieszkalna. Nie jest przeznaczona do prowadzenia interesów. Piece powinny stać w pomieszczeniu zabezpieczonym ognioodpornymi ścianami i drzwiami. To wbrew przepisom — klepnął jaskrawopomarańczową tapetę za piecami. — Musicie zwinąć interes, drogie panie, i poczekać na zebranie rady miejskiej, które odbędzie się za dwa tygodnie. Proponuję, żebyście przynajmniej wniosły podanie o licencję. Za prowadzenie działalności gospodarczej w dzielnicach mieszkalnych grozi kara. Radzę zapłacić ją jeszcze dzisiaj — dodał, mierząc je krytycznym wzrokiem. — Życzę miłego dnia. Picie w pracy! — Inspektor westchnął dezaprobująco, żeby dać im do zrozumienia, co myśli o kobietach, siedzących o wpół do dziesiątej rano z kieliszkami w dłoniach.

— Zaraz, chwileczkę. — Ruby nie poznawała własnego głosu. — Nie wiedziałyśmy, że musimy mieć licencję. I co się panu nie podoba w moim garażu? Jest czysty. Sama go sprzątam. I radzę nie wyciągać pochopnych wniosków, w kieliszkach znajduje się piwo imbirowe.

— Nieznajomość prawa nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Baby do niczego nie potrafią się zabrać jak należy — mruknął.

— Wracaj pan! — wrzasnęła Ruby. — Twierdzi pan, że kobiety są głupie?

— Trudno to lepiej ująć — rzucił inspektor przez ramię, ignorując jej polecenie.

— Nie może pan wyłączyć pieców! — krzyknęła.

— Właśnie to zrobiłem. W tym mieście traktujemy prawo poważnie.

Na domiar złego pojawił się Andrew. Klasnął radośnie w ręce i zażądał, by pokazano mu pierwsze ciastka, upieczone w piecu.

— Zamknij się, Andrew! Milcz! — syknęła Ruby z furją. — Właśnie skończyliśmy działalność.

Andrew spojrział przez okno na odjeżdżający samochód służb miejskich.

— Powiniennem przewidzieć, że to bzdurny pomysł. Niczego nie potrafisz zrobić jak należy. Kupiłem te piece na własne nazwisko. I kto mi zwróci pieniądze! Nie mogę ich oddać. Są używane! — ryknął jak zraniony bawół.

— Nie ma w nich nawet okruszka. Zostały włączone i wyłączone.

— Są używane! — protestował dalej Andrew. — I kim jest ten chłopak? — Wskazał na młodego mężczyznę w trzyczęściowym garniturze.

Ruby wzniosła oczy ku niebu, słysząc wyjaśnienie młodzieńca, iż przyszedł w sprawie „Pani Sugar”. Dixie zaprowadziła go do kuchni. Wróciła po pięciu minutach blada i przestraszona.

— Chce zamówić pięćdziesiąt grosów ciastek dla kawiarni w Monmouth College. Dostawa co tydzień. Co to jest gros? — spytała znękany głosem.

Andrew wytrzeszczył oczy.

— Od cholery i trochę. I nigdy wam się nie uda tyle upiec.

— Nie zniosę tego twojego gadania, Andrew. Mówię poważnie! — Ruby spojrzała na męża. — Wyjdź stąd. Przeszkadzasz mi w prowadzeniu interesów.

— Ruby, nic nigdy ci się nie uda. Powinienem to przewidzieć, zanim dałem się wciągnąć w to kretyńskie przedsięwzięcie. Zaczynaj lepiej myśleć, jak spłacić te piece — warknął Andrew.

— Przypomnę ci to, co powiedziałeś, kiedy nadejdzie pora, by wypisać dla ciebie pierwszy czek. Potrącę ci tę sumę. Słyszysz, Andrew? Potrącę ci za każde wredne, przygnębiające słowo, które dzisiejszego ranka padło z twoich ust. A teraz wynocha. Ale już! To mój dom. Masz się z niego zabierać. Pogonię cię szczotką, jeśli natychmiast stąd nie znikniesz!

Andrew oparł się o ścianę.

— Ten dom jeszcze do ciebie nie należy. Nie masz do niego prawa, dopóki nie spłacisz całej hipoteki i nie oddasz mi pieniędzy. A właśnie, kiedy się tego doczekam? Dokładnie?

Ruby złapała długą drewnianą szufłę, którą miała wyjmować ciastka z pieca. Zamachnęła się nią.

— Posunąłeś się za daleko. Wynoś się! Zadzwoń do swojego adwokata, zadzwoń do mojego, ale precz stąd. Natychmiast!

Buick special Andrew przemknął drogą, wznosząc za sobą tumany kurzu.

W słodko pachnącej kuchni czekały na nią dokumenty rozpostarte na kuchennym stole. Były to dokumenty przyniesione przez młodzieńca z Monmouth College.

Pewnie umowy. A więc to poważna oferta. Na Boga, ona też zamierzała potraktować ją poważnie. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do młodego mężczyzny.

— Ruby Blue, współwłaścicielka „Pani Sugar”. Pewnie już pan poznał Dixie Sinclair. Zechce pan jeszcze raz wyjaśnić, z czym pan przyszedł.

Kevin Sandler poprawił okulary.

— Reprezentuję firmę dostawczą, zaopatrującą kawiarnię w Monmouth College. Płacimy siedemdziesiąt pięć centów za tuzin. Sami odbieramy towar. Torebki, aczkolwiek ładne, są zbędne. Ponieważ kupujemy w ilościach hurtowych, proszę ciastka pakować w skrzynki, które będziemy paniom zwracać. Dostarczamy także artykuły spożywcze dla Rutgers, Princeton, Panssealer, NJIT i paru innych college'ów. Rozszerzenie umowy na nie wszystkie jest tylko kwestią czasu.

— Dziewięćdziesiąt centów — rzuciła Ruby chłodno.

— Siedemdziesiąt siedem — skontrował, równie chłodnym tonem.

— Osiemdziesiąt pięć.

— Osiemdziesiąt. Dalsza licytacja nie ma sensu, pozwolono mi dojść tylko do tej sumy.

— Zgoda — przystała Ruby. — Ale nie możemy zapewnić dostawy przed pierwszym kwietniem.

— Nie szkodzi. Potrzebujemy nieco czasu na załatwienie formalności. Oto nasza umowa. Proszę ją pokazać swojemu adwokatowi. Będziemy w kontakcie. Czy mógłbym dostać jeszcze trochę ciasteczek? — spytał, zatrząskując aktówkę.

Dixie wręczyła mu dwie torby. Podziękował jej grzecznie i wyszedł równie cicho, jak się pojawił.

— Powiedział, że musimy sobie zamówić wizytówki — szepnęła Dixie. — I dał mi nazwisko drukarza. Ruby, co teraz?

— Nie wiem. Naprawdę. Przyznaję to z największą niechęcią, ale Andrew miał rację. Jestem głupia. Jak mogłam zapomnieć o czymś tak ważnym jak licencja?

— Więc ja jestem tak samo głupia, bo też mi to nie przyszło do głowy — jęknęła Dixie.

Ruby spojrzała na wielkie metalowe misy pełne surowego ciasta. Miesiły je przez parę godzin.

— Nie wyrzucimy tego, to pewne. Jedna z nas musi tu zostać i zacząć piec, a druga powinna rozpocząć starania o licencję. Masz jakieś pieniądze? Ja dysponuję tylko ośmioma dolarami.

— Ruby, wiesz, że nic nie mam.

— Ciągłe to powtarzasz. Słuchaj, oszczędzałam na wszystkim. Musisz zrobić to samo. Spójrz na mnie, Dixie. Nie mam już skąd wytrzasnąć ani grosza. Jestem splukana. Teraz twoja kolej. Przepraszam, ale tak jest. Zrób coś, bo będziemy musiały zwinąć interes.

— Co... co mam zrobić?

— Mówiłaś, że ty i Hugo macie konto w banku. To znaczy, że połowa tej sumy należy do ciebie. Jeśli chcesz, możesz pobrać te pieniądze; wystarczy wypisać czek. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale nie mogę dźwigać wszystkiego na własnych ramionach. To ja zadłużyłam się u Paula i Grace. Ja nie regulowałam własnych rachunków. Pieniądze za dom już się skończyły. I musimy mieć własnego adwokata. To ja płaciłam ci pensję, żeby Hugo nie zorientował się, co robimy.

— A kołdra? Jeśli nie będzie pieniędzy i nie dostaniemy ich przed otrzymaniem zezwolenia, skąd wezmę kołdrę? Hugo mnie zabije — wybełkotała Dixie.

— Pomyślałam już o tym. Zadzwoiłam do matki Noli i poprosiłam ją, żeby uszyła kołdrę dla ciebie. Obiecała przysłać ją do Dnia Matki. Zgodziła się poczekać na Pieniądze.

— Dobrze, zrobię to — odezwała się Dixie po długiej walce ze łzami. — Ile potrzebujemy?

— Co najmniej sto dolarów. Znajdziemy jakiś sposób, by wpłacić je z powrotem, zanim bank wyśle wam wyciąg z konta. Jeśli Hugo się dowie i zacznie się rzucać, powiedz mu, że ceny materiałów poszły w górę.

Dixie otarła oczy. Ruby wydmuchała nos.

— Przeżyjemy to — zapewniła. — Wstąpię do firmy prawniczej, tej na rogu Main Street. Ty weź pieniądze. Spotkamy się za pół godziny w ratuszu. Ja załatwię wszystkie formalności, a ty wrócisz tutaj, zabierzesz część ciasta i zaczniesz piec u siebie w domu. Ja upiekę u siebie resztę. Zgadzasz się?

Kiedy Dixie opuściła kuchnię, Ruby syknęła nienawistnie:

— Hugonie Sinclair, jeśli podniesiesz na nią choćby głos, własnoręcznie cię zamorduję.

Potem ukryła twarz w dłoniach. Zaczęła płakać, wstrząsana gwałtownymi dreszczami. Kto dał jej prawo zmuszać Dixie do okradania męża? A jeśli przyjaciółce coś się stanie? Ale przecież partnerzy muszą się dzielić po połowie. Biznes to biznes. A czas to pieniądz. A przyjaźń? A narażanie czyjogoś życia? Nie, przecież Dixie sama podjęła decyzję. Musiała ją podjąć. No pewnie, że musiała. Ruby poczuła wyrzuty sumienia. To ona ją do tego zmusiła. Sięgnęła po telefon. Wykręciła numer Dixie. Z bijącym sercem słuchała przerywanego sygnału. Kiedy wreszcie po drugiej stronie odezwał się zdyszany głos Dixie, powiedziała:

— Nie rób tego! Nie idź do banku. Wymyślę coś innego. Wróć tutaj po ciasto. Przepraszam cię, Dixie. Nie miałam prawa stawiać cię w takiej sytuacji.

W głosie przyjaciółki usłyszała wyraźną ulgę. Boże, kim zaczynała się stawać? Pora się wycofać i przemyśleć całą strategię. Krążąc niespokojnie po domu, wciąż zadawała sobie pytanie: skąd wziąć pieniądze? W końcu znalazła odpowiedź.

Pierwszy handlarz używanymi meblami, do którego zadzwoniła, powiedział, że może podjechać pod jej dom o czwartej po południu.

— Nie sprzedam tego za mniej niż pięćset dolarów. Jeśli cena panu nie odpowiada, proszę się nie fatygować. Oferuję stół z wiśniowego drewna, a także osiem krzeseł, plus cztery stołki. Wszystko w idealnym stanie.

Dixie długo nie mogła się uspokoić, kiedy odkryła, jakie rozwiązanie znalazła Ruby.

— Nie potrzebujesz mnie, Ruby. Sprawiam więcej kłopotu, niż jestem warta. Nie pomogłam ci, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś. Przepraszam...

— Ale chciałaś mi pomóc i tylko to się liczy. Jesteśmy przyjaciółkami, myślałam, że o tym wiesz. Kiedy pieniądze nam się zwrócą, zainwestujesz ich część w interes, skoro tak ci na tym zależy.

— Ale, Ruby, uwielbiałaś te meble... Tak mi przykro...

— Nie należy się przywiązywać do przedmiotów. Poza tym teraz mamy duże, puste pomieszczenie, w którym możemy przechowywać ciastka. Zapełnimy je od ściany do ściany! — Roześmiała się, żeby nie płakać.

Ruby wpłaciła pięćdziesiąt dolarów na konto kancelarii prawniczej „Spitzer i Spitzer”, która podjęła się przeprowadzenia postępowania o licencję! Ale najważniejsze było to, że przekonała się, iż przyjaźń z Dixie znaczyła dla niej więcej niż sprawy materialne, a nawet firma.

* * *

Dni, które dzieliły je do posiedzenia rady miejskiej, minęły w dzikim pośpiechu. Nadzorowały prace w garażu, mające go przystosować do wymogów bhp. Kładziono podłogę z białych kafelków. Przez dwa dni instalowano ściany i drzwi ognioodporne. Nawet stara lodówka lśniła świeżą warstwą białej emalii. Ruby zadzwoniła do inspektora następnego dnia po ukończeniu robót. Ku jej radości przykleił do ściany zatwierdzający znaczek.

— To jeszcze nie znaczy, że możecie włączyć piec. Ten znaczek tylko potwierdza, że wszystko jest zgodne z przepisami. Zanim znowu włączycie te piec, musicie uzyskać zgodę rady miasta. — Spojrzał na sztywno wykrochmalone firanki w drzwiach i oknach garażu. Prychnął pogardliwie. — Kobiety chyba sądzą, że wystarczy powiesić firaneczki i już wszystko gra.

— Żegnam, inspektorze. Jeszcze tylko dwa dni, Dix, i wracamy do interesów. Nasi prawnicy nie przewidują problemów.

Rada miejska wydała zgodę na dziesięciomiesięczną działalność „Pani Sugar”. W uzasadnieniu stwierdzono, że interes będzie się rozwijał, w wyniku czego ciężarówki dostawcze poważnie zakłócą ruch miejski.

— Proszę to potraktować jako dobry omen — radził pan Spitzer. — Członkowie rady miasta są biznesmenami, a jeśli oni uważają, że pani interes będzie miał powodzenie, to z pewnością mają rację. Dziesięć miesięcy to mnóstwo czasu, żeby znaleźć sobie inne miejsce. Będzie pani potrzebować parkingu i rampy. Pewnie trzeba będzie nabyć większe chłodnie, więcej pieców i półki. Innymi słowy, potrzebuje pani więcej przestrzeni. Uważam, że odniosła pani zwycięstwo. Mam nadzieję, że pani również tak sądzi. A moja żona, która uważa się za autorkę najlepszych wypieków w naszej rodzinie, twierdzi, że nigdy nie jadła równie dobrych ciasteczek, jak te. Moje gratulacje!

Ruby wróciła do domu jak na skrzydłach i przekazała wiadomości Dixie, ze zdenerwowania bliskiej szaleństwa.

— On ma rację, Dix. To nasze zwycięstwo. Ci ludzie widzą, że nam się uda. Możemy szukać nowego miejsca w weekendy. Teraz zaczniemy miesić ciasto dla Monmouth College. Termin pierwszej dostawy upływa za cztery dni. Znalazłaś kierowcę, który dostarczy ciastka innym klientom?

— Jest do naszej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. To emerytowany urzędnik miejski.

Następnego ranka piec poszły w ruch w pięć minut po ponownym włączeniu gazu. Obie kobiety pracowały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przysypiając na parę chwil co cztery godziny, dopóki nie zrealizowały zamówienia Monmouth College.

Kevin Sandler udał, że nie słyszy prośby o gotówkę. Ruby musiała przyjąć bardziej zdecydowaną postawę.

— Może być czek. Ponieważ nie dostaję towarów na kredyt, oznacza to, że sama również nie mogę go udzielać.

— To poważny problem, pani Blue. Szkoda, że nie powiedziała mi pani o tym, zanim podpisaliśmy umowę.

— Płacę gotówką i pan również. To nie powinno stanowić problemu. Sprzedawanie ciastek nie przypomina innych interesów. Ciastko zjedzone przepada bez śladu. Jeśli nie zapłaci się za nie zawczasu, później nie ma się ochoty wyrzucać pieniędzy. To leży w ludzkiej naturze.

— Dobrze. Przyjadę do pani dziś po południu z czekiem.

— Przykro mi. Te ciastka nie wyjadą stąd, dopóki nie dostanę czeku do ręki. Pański kierowca czeka. Co mam mu powiedzieć?

— Proszę mu powiedzieć — wysyczał Sandler — że specjalny posłaniec jest już w drodze z czekiem. Powinien dotrzeć za pół godziny.

Ruby uśmiechnęła się. Dixie też. Kierowca chrupał ciasteczka.

* * *

„Pani Sugar” nadal utrzymywała się na rynku. Trzy gospodynie domowe, zatrudnione na pół etatu piekły ciasteczka, zmieniając się co cztery godziny. Pod koniec trzeciego miesiąca Ruby i Dixie wynajęły pracownice na nocną zmianę, które piekły ciastka aż do wczesnych godzin rannych. Zatrudniły jeszcze trzech kierowców, ale ciągle jeszcze miały zbyt mało pracowników i pieców, by sprostać zamówieniom na słodkie dostawy.

Pod koniec piątego miesiąca nabyły jeszcze dwa piece cukiernicze i zatrudniły więcej pracowników. Po pół roku „Pani Sugar” przeniosła się z pękającego w szwach garażu do nowych kwater w śródmieściu. Ruby i Dixie nie piekły już własnoręcznie, ale mieszały ciasto; nie chciały zdradzić tajemnicy przepisu babci. Ich dzień wypełnił się ślęczeniem nad dokumentami, wizytami w kancelarii Joela Spitzera, rozmowami telefonicznymi i doglądaniem spraw dystrybucji. Dzięki Kevinowi Sandlerowi miały wyłączność na wszystkie college'e i uniwersytety w New Jersey, aczkolwiek musiały obniżyć cenę o piętnaście centów.

* * *

Przez rok każdy cent wpływający ze sprzedaży pochłaniały inwestycje. Pierwsze, zarobione na czysto pięć dolarów oprawiły w ramki i powiesiły w kuchni Ruby jako symbol sukcesu. Joel Spitzer przekazał „Panią Sugar” w ręce bardzo prestiżowej kancelarii „Fridman, Farren i Armenakis”, twierdząc, że nie jest w stanie sprostać zadaniu, lecz usilnie prosząc o dalsze przysyłanie ciastek.

Niebawem Fridman poradził im rozszerzyć działalność i zastanowić się nad sprzedawaniem koncesji. Wręczył im listę college'ów i uniwersytetów w rejonie Manhattanu. Ruby nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Dixie uśmiechnęła się błogo.

— Poproszę panie o zaliczkę — ciągnął Friedman. — Chciałbym paniom przedstawić mojego wspólnika, Alana Kaufmana. To on będzie się zajmował sprawami koncesji, jeśli wyrażą panie na to zgodę.

Ruby przyjrzała się układowemu Kaufmanowi i podjęła nagłą decyzję.

— Dobrze, ale nie od razu. Najpierw chcę zamknąć transakcję z pewną siecią sklepów. Mam tam przyjaciela...

* * *

Pierwszego maja przy pomocy Ruby Dixie wypełniła swoje zeznanie podatkowe, wynajęła skrytkę pocztową i sejf. Drugim wielkim wydarzeniem w tym dniu było zawarcie umowy z firmą przewozową, mającą dostarczać surowe ciasto do nowej siedziby „Pani Sugar”; trzecim — instalacja maszyn mieszających ciasto, co uwolniło Ruby i Dixie od ciągnącej się długo w noc ciężkiej pracy. Maszyny radziły sobie w ciągu dwóch godzin z tym, co im zajmowało osiem.

Po dwóch latach działalności „Pani Sugar” przeniosła się do przebudowanego magazynu o powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych w Asbury Park, który wynajęła z możliwością kupna. Teraz firma zatrudniała niemal sto osób, głównie gospodyń domowych, pracujących na trzy pełne zmiany. Samochody—chłodnie rozwoziły surowe ciasto do Nowego Jorku i Pensylwanii.

— Wyjeżdżamy do Nowego Jorku. „Pani Sugar” stawia — oznajmiła Ruby pewnego wieczoru. — Włożymy te eleganckie kostiumy, które w zeszłym miesiącu kupiliśmy u Bloomingdale’a. Zadzwońłam już do „Czterech Pór Roku” i zarezerwowałam stolik.

Oczy Dixie załśniły.

— Prawdziwa nowojorska restauracja! Jeszcze nigdy w żadnej nie byłam.

— Ani ja. Weź prysznic na dole, a ja wykąpię się na pięterku. Wszystkie twoje rzeczy są w dużej szafie.

— Czuję się, jakbym miała dwie osobowości. Chcę pojechać — powiedziała Dixie — ale muszę zrobić kolację dla Hugona. Może kiedy indziej.

— O nie, tak łatwo ci nie pójdzie. Powiem ci coś, pojedę z tobą lub bez ciebie. Przez ostatnie dwa lata pracowałyśmy na okrągło przez całą dobę. Druga rocznica nie powtórzy się już nigdy. Ja będę ją świętować! To moja noc! — zawołała beztrudno Ruby, wchodząc po schodach.

Z zapartym tchem czekała na odpowiedź przyjaciółki, wreszcie Dixie zawołała:

— Dobrze, dobrze! Jadę, ale muszę wrócić do domu i zostawić Hugonowi wiadomość. Wrócę, jak tylko wymyślę jakiś odpowiedni wykręt.

— Najlepiej każ mu się wynosić — mruknęła Ruby pod nosem. — Niech idzie w diabły i nie komplikuje ci więcej życia.

Zastanowiła się nad swoją radą. Znowu wtrącała się do życia Dixie. Miała właśnie zadzwonić do przyjaciółki i odwołać wyjście, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

— Jak to brzmi? — spytała roześmiana Dixie. — „Hugo, wybieram się z Ruby na kolację. Pewnie wrócę bardzo późno, bo jedziemy do Nowego Jorku. Przykro mi, ale będziesz musiał sam sobie zrobić kolację”.

— To prawda! — ucieszyła się Ruby.

— Owszem. Zmęczyło mnie już wymyślanie kłamstw. Będę za dziesięć minut.

— Zamierzałam właśnie do ciebie zadzwonić i wszystko odwołać. Nie chcę ci narobić kłopotów.

— Akurat. Nie będziesz obchodzić naszej drugiej rocznicy beze mnie. Jesteśmy zespołem.

Zespołem, który ma co świętować, pomyślała Ruby z radością, wchodząc pod prysznic. Miała więcej pieniędzy, niż potrzebowała. Musi się rozejrzeć za doradcą finansowym. Wszyscy byli zadowoleni, nawet Andrew. Andy chciał otworzyć własną firmę na spółkę z przyjacielem.

Minęło siedem długich lat, wypełnionych pracą od czternastu do szesnastu godzin na dobę, zanim „Pani Sugar” znalazła się w każdym miasteczku uniwersyteckim w Stanach Zjednoczonych. Ciasteczkowa pani, jak nazywano „Panią Sugar”, stała się popularna w całym kraju. Cena koncesji sięgnęła po pół miliona dolarów.

Pewnego śnieżnego dnia na dwa tygodnie przed Gwiazdką Ruby otworzyła drzwi i przywitała Marty’ego Friedmana, Alana Kaufmana i doradcę inwestycyjnego, Silasa Ridgely.

— O, proszę, wejdźcie. Jejku, ale pada... Nieważne, po co przyszliście, musicie poczekać na Dixie. Siadajcie... nie, nie tutaj, nie znoszę salonów, w kuchni. Zrobię wam kawę. Na stole jest trochę ciasteczek. Muszę się ubrać... chodzi o Andrew, tak? Nie, nie mówcie... Ktoś pochorował się po ciastkach i wytoczył mi proces. Zaraz wracam. Hm... kawa jest tam, w puszcze. Sześć łyżeczek, siedem filiżanek wody... Zaraz wracam — rzuciła, wbiegając na schody.

Cholera z tym Andrew, pewnie chce więcej. Ciagle mu mało? Mieszka na Hawajach w domu należącym do niej, jeździ mercedesem, którego mu kupiła, ona opłaca jego rachunki. I jeszcze ma te cholerne dwa i pół procent zysku. Zapłaciła nawet za tę jego dziką podróż do Europy z jakąś lalunią, chociaż o niej dowiedziała się już po fakcie. Zabiję cię, Andrew, po prostu cię zabiję, jeśli zechcesz ode mnie choćby jednego centa więcej. Mówię poważnie, przecież dostajesz tę cholerną emeryturę i nie dzielisz się nią ze mną, prawda? Niech cię cholera! Rozmyślała na gorze aż do przybycia Dixie. Boże, a może to nie Andrew, tylko Hugo. Hugo mógłby... O nie!

Kiedy weszła do kuchni, przede wszystkim spojrzała w oczy Dixie. Zobaczyła w nich strach. Najwyraźniej myślały o tym samym. Ruby stanęła u boku przyjaciółki. Spytała ochryłym głosem:

— Który to, Hugo czy Andrew?

Prawnicy roześmieli się, jakby powiedziała dobry dowcip.

— To na pewno nie dzieci, sana to zbyt przyzwoite — dodała Dixie równie ochryple.

— Drogie panie, wszystkie koncesje zostały sprzedane. Przyszliśmy, żeby złożyć wam gratulację. Zdobyłyście Fortune 500! — uśmiechnął się Marty.

— Osobiście zakończyłem wczoraj ostatnią transakcję — dodał Alan z uśmiechem. — Dobra robota, moje panie!

Silas Ridgely, surowy i chłodny, również zdobył się na uśmiech.

— To, że zainwestowałyście swoje dochody na dwadzieścia procent w ciągu tych ostatnich lat, pomogło wam wznieść się na sam szczyt. Ja także pragnę złożyć paniom gratulacje. Jak powiedział Alan: dobra robota!

Ruby przytrzymała się ramienia Dixie, żeby nie upaść.

— Mój... mój mąż w tej kuchni powiedział przed laty: „Masz zero szans”...

— Na waszym miejscu — stwierdził sucho Ridgely — jakoś bym to przeboleł. I odradzam wysłanie mu kwartalnego raportu finansowego. — Pozostali prawnicy potaknęli. — Wzywają nas obowiązki. Chcieliśmy jednak przekazać dobre wieści osobiście. Teraz zostawimy panie w spokoju; macie przed sobą długą rozmowę. Cóż możemy powiedzieć Oprócz tego, że się cieszymy?

— To zupełnie wystarczy — wyjąkała Ruby. Wymienili szczere, mocne uściski dłoni.

Dixie stała nieruchomo jak wykuta z kamienia, chociaż goście już wyszli.

— No, droga pani, pobudka. Mam nadzieję, że wszystko słyszałaś, bo ja nie pamiętam połowy z tego, co mówili. No co? — spytała zaniepokojona Ruby.

— Teraz będę musiała powiedzieć Hugonowi o wszystkim. I tak trudno uwierzyć, że dotąd udało się utrzymać tajemnicę. Jest święcie przekonany, że pracuję jako księgowa. Zadowolona się stoma dolarami co piątek. Jak mu wyjaśnię, że mam własne konto? — Dixie z trudem powstrzymywała łzy.

— Wiedziałaś, że ta chwila nadejdzie. Mówiłaś, i to nie raz, że kiedy staniesz się samowystarczalna, odejdiesz od niego. Mogłybyśmy rozmawiać o tym bez końca, ale nie chcę cię naciskać i wsadzać nos w nie swoje sprawy. Jednak dłużej nie utrzymasz tego w tajemnicy. Media uwielbiają takie rzeczy. Dwie gospodynie domowe... no, co ci tu będę tłumaczyć. — Cała radość zniknęła z jej oczu.

— Pójdę teraz do domu. Muszę pobyć sama i zastanowić się. Zepsułam tę chwilę, co? Przepraszam, Ruby. To... ciągle nie mogę pojąć... nie martw się o mnie. Ciesz się naszym sukcesem, dobrze? Przebaczysz mi?

— Nie mam czego przebaczać. Łączą nas interesy i niezniszczalna przyjaźń. Sama tak powiedziałaś, pamiętasz? Jeśli mogę pomóc... Dasz sobie radę, Dixie?

— Jakoś muszę — odparła. — Potrzeba mi trochę czasu. Nie mamy żadnych naglących spraw, prawda? Jeśli zrobię sobie wolny dzień... — zawiesiła głos.

— Możesz wziąć urlop na czas nieograniczony. Jesteśmy właścicielkami tej firmy. Ale nie wolno nam spocząć na laurach. Musimy się zastanowić nad wyjściem na świat, jak zaproponował Marty. To oznacza wiele podróży. Wyobraź sobie „Pani Sugar” w, powiedzmy, Grecji, Anglii, Paryżu... Boże!

— Tyle pieniędzy — powiedziała Dixie głucho.

— Zadzwoń do mnie, dobrze? — poprosiła Ruby, podając jej płaszcz.

Dixie skinęła głową.

Niełatwo było utrzymać Hugona w nieświadomości, ale, tak jak powiedziała, interesował się tylko piątkową wypłatą żony. Kiedy interesy zaczęły toczyć się siłą rozpędu, a one zatrudniły sprawnych pracowników, mogły kończyć pracę o szóstej, choć Dixie pracowała jeszcze w domu. W nocy, kiedy Hugo już spał.

Utajnione zeznania podatkowe nie zdradzały jej zarobków. Na wszystko znajdzie się sposób. To nie jej wina, że Hugo Sinclair jest głupim, chciwym potworem, pomyślała Ruby. Nie zmuszała Dixie, żeby oszukiwała męża. Nagle poczuła się winna. Tak strasznie zapragnęła pobiec za Dixie, że musiała przytrzymać się kuchennego zlewu. Dixie musi sama sobie poradzić, musi nauczyć się bronić. Cholera z tym!

Postanowiła zadzwonić do dzieci, Grace i Paula, siostr... może nawet do rodziców. Andrew. Tak, Andrew.

Sięgnęła po słuchawkę. Głos Andrew brzmiał przytomnie, mimo iż na Hawajach był środek nocy. Ruby niemal poczuła ciepły, pachnący wiaterek, wpadający do pięciokątnego pokoju. Zawsze, wracając myślą do Hawajów, wspominała przytułek św. Andrzeja.

— Siedzisz na balkonie, patrząc na ocean? — odezwała się cicho. — No, tak. Po co dzwonisz w środku nocy? — spytał podejrzliwie.

— Chcę połowę twojej emerytury — warknęła zirytowana. Usłyszała oburzone prychnięcie. Zignorowała je. — Przypominasz sobie, jak stałeś w kuchni, mówiąc, jakie mam szanse, żeby rozkręcić firmę? Pamiętasz, Andrew? — Znowu prychnął i znowu go zignorowała. — Powiedziałeś, że mam zero szans. Zero szans. Chcę... dzwonię, żeby... żeby ci podziękować. Za każdym razem, kiedy się załamywałam, za każdym razem, kiedy zaczynałam myśleć, że mi się nie uda, przypominałam sobie tamte dwa słowa. — W jej głosie słychać było zamyślenie. —

Pamiętasz, jak zrobiliśmy piętnaście tysięcy ciastek, żeby je wysłać do Rutgers i Princeton, po czym dowiedziałyśmy się, że wszyscy wyjechali na ferie wielkanocne? Oświadczyłeś, że skoro byłam tak durna, by tego nie sprawdzić, zasługuję na klęskę. Powiedziałeś, żebym stanęła na rogu ulicy i rozdała wszystkie ciastka. Zrobiłam tak i wiesz co? Do tej pory obie szkoły i same miasta są naszymi najpoważniejszymi odbiorcami. Za to także chcę ci podziękować.

— Nie rozumiem — warknął. — Przechodzisz jakiś kryzys czy co? Co to za dziękowanie?

— To dziękowanie jest za to, że dzięki tobie nie zrezygnowałam, nie ugięłam się... Pani Sugar” zdobyła dziś Fortune 500.

Kompletna cisza po drugiej stronie sprawiła, że na wargach Ruby pojawił się pierwszy tego dnia uśmiech. Odwiesiła słuchawkę. Mówiłam poważnie, Andrew, szepnęła. Dziękuję.

Następnie zadzwoniła do Opal, która podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku. Miała senny głos. Dochodziło południe.

— Cześć Opal, jak leci?

— Ruby? O rany, czemu dzwonisz tak wcześnie? Czy coś się stało? Nie czuję się dziś najlepiej. Mam kaca. Balangowaliśmy przez całą noc.

— Nic się nie stało. Chciałam się tylko podzielić z tobą dobrymi wieściami. Przynajmniej są dobre dla mnie i Dixie. Dziś zdobyłyśmy Fortune 500.

Kac. Balanga.

— Świetnie. — Opal ziewnęła rozziewającą. — Co to znaczy? — Ziewnęła znowu. — Wciąż natykam się na twoje ciastka. Kiedyś kupiłam trochę. Smakują jak te babuni. Mac twierdzi, że są za słodkie, ale zjadł wszystkie. Widzisz, chciałam nawet do ciebie napisać. Spotkałam tego faceta, w którym tak się zabujałaś, jak mu tam było... no, tego krewnego Nangiego. Jednego wieczora bawiliśmy się z Makiem w klubie oficerskim. Byłam troszkę wstawiona, więc nie skojarzyłam go, kiedy nas sobie przedstawiono. Jest generałem. Przypomniałam sobie dopiero następnego dnia. Patrzył na mnie przez całą noc i powtarzał, że przypominam mu kogoś. Pewnie ciebie. Coś jeszcze? Muszę kończyć, pęka mi głowa. Napisz do mnie. Uwielbiam dostawać listy, a tylko ty do mnie piszesz.

— Dobrze — szepnęła Ruby.

Nie będzie o tym myśleć. Wymaże te słowa z pamięci. Jest w tym specjalistką... Głos Nangiego dudnił, jakby dochodził z głębi beczki. Krzyczał. Ruby także wykrzyczała dobre wieści.

— Ruby, to cudownie! Gratulacje! Nie miałbym nic przeciwko sprzedawaniu twoich ciastek w Saipan. Dzieci je uwielbiają. Kupiłem je im, kiedy w zeszłym roku byłem w San Francisco. Jeśli zdecydujesz się rozszerzyć działalność na Azję, weź mnie pod uwagę.

— Mówisz poważnie?! — wrzasnęła.

— Jak najbardziej. Nie robię się młodszy, a dla odmiany miło będzie pracować dla siebie. Myślę, że Amber potraktuje ten pomysł przychylnie.

— A więc umowa stoi. Dziś moi doradcy zasugerowali wyjście na rynki światowe. Wspominali o Anglii i Francji. A Azja? Coś ci powiem, sprawdzę parę rzeczy i kto wie...

— Ruby, nie mam pieniędzy na kupno koncesji!

— Nie musisz mieć. Dam ci udział w zyskach i prawo kierowania całą operacją. Skontaktujemy się jeszcze w tej sprawie. Jak się miewa Amber?

— Dobrze, ale nie ma jej w tej chwili. Będzie jej przykro, że ominęła ją rozmowa z tobą. I wiem, że strasznie się ucieszy na wieść o twoim sukcesie.

Pora się pożegnać. Musi jednak spytać. Chce.

— Miałaś jakieś wiadomości od Calvina?

— Ma dostać drugą gwiazdkę, ale nie liczy na to specjalnie. Powiedział, że jest generałem mniejszości narodowych w lotnictwie. Był tu pół roku temu. Amber ci nie pisała?

— Nie!

— Pytał o ciebie, jak zawsze. Opowiedziałem mu ze szczegółami o twoim kwitnącym interesie. Nie mógł w to uwierzyć. Wspomniał, że... jego żona bez przerwy kupuje twoje ciasteczka. Wziąłem go na stronę i powiedziałem, że ty i Andrew żyjecie w separacji. Zaproponowałem, aby do ciebie napisał. Uważa... że cię zawiódł. Właściwie użył słowa: „zdradził”. Gdybyś chciała się z nim spotkać, musisz zrobić pierwszy krok. Chyba nie popełnię niedyskrecji, jeśli dodam, że mówił coś o rozwodzie. Rozgadałem się, nabiję ci rachunek...

— Przekaż Amber moje pozdrowienia. Dziękuję ci, Nangi, bardzo ci dziękuję — Będziemy w kontakcie.

O tym także nie myśl, nakazała sobie, wykręcając numer Grace Zachary. Cudowna, długa rozmowa podniosła Ruby na duchu. Odłożyła słuchawkę uszczęśliwiona.

Następnie zadzwoniła do Marthy, która była o tej porze w pracy. Odczekała, aż przywołają ją do telefonu.

— Czy coś się stało? — rozległ się wreszcie zaniepokojony głos Marthy. — Tata jest zdrowy, prawda?

— Nic się nie stało. Twój ojciec ma się świetnie, rozmawiałam z nim pół godziny temu.

— Zadzwoniłaś do niego w środku nocy? Mamo, jak mogłaś. To, że jesteście w separacji, nie znaczy... był zły?

— Nie. Siedział na balkonie. Odniosłam wrażenie, że miał towarzystwo. Rozmawialiśmy bardzo miło. Powiedziałam mu to samo, co chciałabym powiedzieć tobie. Dziś „Pani Sugar” zdobyła Fortune 500. I co teraz sądzisz o swojej matce?

Głos Marthy brzmiał zupełnie beznamiętnie.

— To świetnie, mamo. Jak przyjął to tato?

Ruby spuściła głowę. Zaraz potem uniosła ją wysoko.

— Bardzo dobrze. Rozmawialiśmy jak para cywilizowanych ludzi — ugryzła się w język. Chciała opowiedzieć córce o tylu rzeczach, dotyczących jej ojca... Martha ciągle walczyła o miłość i akceptację Andrew. Ruby miała nadzieję, że kiedyś dostanie od niego to, czego potrzebowała.

— Tato zaprosił mnie na Wielkanoc na Hawaje. I Andy’ego. Obiecał, że opłaci nam podróż. Nie mogę się już doczekać! — oznajmiła Martha głosem drżącym ze szczęścia. — Andy jeszcze się nie zdecydował. Chyba myśli, że to by cię zdenerwowało. Powiedział, że jeśli przyjedzie, sam sobie kupi bilet. — Głos Marthy posmutniał. — Andy powiedział też, że pieniądze na bilety pochodzą od ciebie. Oczywiście nie bezpośrednio. Andy jest wobec ciebie taki... opiekuńczy. Powtarzam mu ciągle, że aby przetrwać w świecie interesów, musisz zachowywać się jak barrakuda, a przecież świetnie sobie radzisz.

— Czy tak o mnie myślisz? Że jestem jak barrakuda? — szepnęła Ruby.

— Mniej więcej. Ale to miał być komplement, mamo. Czy rekin podoba ci się bardziej?

— Nie! — ucięła Ruby.

— Ładnie sobie poradziłaś z tatą. Pozbyłaś się go, spłaciłaś i jesteś na prostej. Na pasie szybkiego ruchu. Hej, to nie znaczy, że cię o coś obwiniam. To okrutny świat, zwłaszcza dla konstruktorów, o czym przekonuję się codziennie w pracy. Musisz zrobić wszystko, żeby przeżyć i nie dać się wykołegować. Tobie się udało i jestem z ciebie dumna.

— Nie zatrzymuję cię dłużej, Martho, nie chcę narobić ci kłopotów. Porozmawiamy za tydzień, dobrze?

— Cześć, mamo.

Ruby, ugodzona do żywego, zagryzła wargę aż do krwi. Barrakuda! Co za ohydne słowo. O tym także nie będzie myśleć. Wykręciła kolejny numer.

— Hej, mamuś, jak leci? — Głos Andy’ego dźwięczał radością. — Dzwonisz w środku dnia tylko wtedy, kiedy dzieje się coś dobrego. Co jest?

Ruby poczuła się natychmiast podniesiona na duchu, jak zwykle, kiedy rozmawiała z synem. Andy zawsze miał dobry humor.

— Mam dla ciebie wiadomość, która zwali cię z nóg. Lepiej usiądź.

— Już siedzę, mamuś. No dalej, dalej.

— „Pani Sugar” zdobyła Fortune 500.

Entuzjazm Andy’ego wybuchnął z taką mocą, że Ruby musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

— Mamuś, to tak, jak General Motors! Rany! Zabieram cię na kolację. Odszykuj się jak należy. Do najlepszej restauracji w mieście. Nawet się ogolę, a jeśli ci nie przeszkadza towarzystwo, przyprowadzę Nancy.

— Niczego nie pragnę bardziej. Wiesz, że ją uwielbiam.

— Dobrze! — zahuczał Andy. — To jesteśmy umówieni.

Andy zawsze potrafi znaleźć odpowiednie słowa, pomyślała, odkładając słuchawkę. Gdyby nie Andrew i Andy, nie siedziałaby tu, gdzie teraz. Nie wolno jej o tym zapominać. Nigdy.

Ostatni telefon. Spojrzała na numer rodziców. Wstrzymała oddech, słuchając sygnału. Ojciec podniósł słuchawkę po czwartym.

— Ojcie, tu Ruby. Chcę porozmawiać z mamą.

— Piele ogród. Czego chcesz, dziewczyno? Ruby zeszywniała.

— Chcę porozmawiać z mamą. I to zaraz. Proszę, zawołaj ją.

— Zadzwoń później, kiedy skończy. Ruby tupnęła nogą w kuchenną podłogę.

— Nie. Chcę z nią pomówić teraz. Idź po nią. Proszę.

— Rozkazuje mi, dziewczyno?

— Tak — powiedziała bezczelnie. Nie zdziwił jej trzask odkładanej słuchawki. Odczekała dziesięć minut, nie spuszczać oczu z zegara. Potem wykręciła numer po raz drugi. — Ujmę to inaczej. Albo sprowadzisz mamę w tej chwili, albo to ty, nie ona, wylądujesz na ulicy, gdy tylko połączę się z policją. Mówię poważnie.

— Zepsuta, niegodziwa suka. Telewizor nie działa.

— Mam to w nosie. Sprowadź mamę. — Czekala piętnaście minut. Wreszcie usłyszała głos matki, drżący i roztrzęsiony. — Mamo, tu Ruby. Dzwonię... żeby... żeby... — Nie mogła zmusić się do mówienia o swoim sukcesie; nie to było w tej chwili najważniejsze. — Mamo, czy chciałabyś... przyjechać tu i zamieszkać ze mną? A jeśli nie, może chciałabyś przenieść się na Hawaje? Bez ojca. Mam dom na Maui. Amber i Nangi mogą cię odwiedzać, to tylko pięć godzin drogi. Mac i Opal mogą przylatywać, kiedy tylko zechcą. Ja też będę wpadać. Wreszcie zobaczysz swoje wnuki. Mamo, dam ci, czego tylko zapragniesz. Na Maui jest przepięknie. Dom jest ładny. Widać z niego Pacyfik. Mogłabyś pracować w ogrodzie. Będiesz miała gospozię i kogoś, kto nauczy cię prowadzić samochód. Albo jeszcze lepiej, zaangażuję szofera, który będzie cię wszędzie wozić. Mamo, jesteś tam?

— Tak, Ruby. To bardzo wspaniałomyślna propozycja, ale twój ojciec potrzebuje mnie tutaj. Jeśli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić, daj nam prawa własności do tego domu.

Ruby drgnęła. Minęła długa chwila, zanim zdołała się odezwać.

— Nie zrobię tego. Gdyby chodziło o ciebie, nie wahałabym się ani chwili. Wiesz o tym dobrze.

— Właśnie o mnie chodzi.

— Nieprawda. To ojciec tego chce. To on cię zmusza, żebyś tak mówiła. Tobie nie zależy na prawie własności. Poproś mnie o cokolwiek innego, a dam ci to bez wahania. Ale nie ten dom. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń. O każdej porze. Do widzenia, mamó.

O tym także nie będzie myśleć.

Wykręciła numer Dixie, ale nikt nie podniósł słuchawki. Telefon zadzwonił siedemnaście razy, zanim zrezygnowała. W końcu zamówiła rozmowę zamiejscową.

— Proszę z Calvinem Santosem. Nazywam się Ruby Blue.

Napełniła kubek resztką czarnej jak smoła kawy. Wypiła ją jednym haustem. Ohyda.

— Ruby, Ruby, to naprawdę ty? — usłyszała głos Calvina.

— We własnej osobie. Wiem, że dzwonię niespodziewanie, ale dziś spotkało mnie coś dobrego i dzielę się tą radością ze wszystkimi. Nangi ucieszył się, mój syn również. To dla mnie bardzo ważne, ale... ale jestem tu sama... Och, Calvinie, potrzebuję kogoś, z kim mogłabym porozmawiać.

— Słucham cię, Ruby — powiedział łagodnie.

Zaczęła mówić, a on słuchał. Potem on mówił, a ona słuchała. Przez półtorej godziny. A potem obiecała, że przyjedzie do niego w piątek rano. Calvin.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła przetrząsać szafę. Nie miała nic przyzwoitego. Odrzucała jeden kostium po drugim. Nic! Psiakrew! Musi kupić sobie dokładnie wszystko. Co włożyłaby na siebie kobieta sukcesu? Coś stylowego, wyrafinowanego. Coś kobiecego. Coś niesamowicie wytwornego. Calvin to zauważy. Zawsze chwalił jej proste ubrania. Podobały mu się rzeczy schludne. A więc będzie dla niego schludna, miękka i kobieca. Przyszła jej pora! Minęło tyle lat, a magia nadal działała. Słyszała to też w głosie Calvina. Jeszcze tylko trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny, jeśli nie liczyć dzisiejszej nocy i piątkowego poranka. Po długich dwudziestu ośmiu latach znowu spotka się z Calvinem!

* * *

W tym samym czasie Dixie Sinclair przemierzała Ausbury Park. Cała zdrętwiała z zimna, a biodro tak ją bolało, że właściwie wlokła nogę za sobą. Rozejrzała się za ławką. Nie chciała wracać do domu. Bała się. Nie tego, że Hugo ją skrzywdzi, już nie. To, czego się bała, prześladowało ją od dawna. Parę razy chciała porozmawiać o tym z Ruby, ale coś zawsze ją powstrzymywało. Gdyby zwierzyła się Ruby, ta uznałaby jej słowa za zdradę. Powinna odejść w chwili, w której stało się jasne, że wszystko będzie już dobrze. Mimo to zgarniała ciągle pieniądze i milczała.

Wiedziała dokładnie, co powie jej mąż. Mogłaby to wszystko wyrecytować i oszczędzić mu wysiłku. Boże, dlaczego nie odeszła? Z łatwością utrzymałaby się z własnych pieniędzy. W każdej chwili mogłaby kupić sobie piękny dom.

Dzięki Silasowi Ridgely'owi zabezpieczyła się też na starość. Gdyby wniosła sprawę o rozwód, otrzymałaby go bez trudu. A jednak nie zrobiła tego. To nie Hugo był problemem, tylko ona. Owinęła się szczelniej płaszczem, o wiele za cienkim na tę pogodę. Hugo powie, że skróciła mu życie, że patrzyła, jak zaharowywał się na śmierć, a przecież mógłby zrezygnować z pracy i odpocząć. Zacznie od tego, że nazwie ją kaleką, potem oszustką i złodziejką. Wypomni jej każdy drobiazg, który go unieszczęśliwił. Powie jej, że mógłby jadać steki i rostbefy, zamiast zapychać się zapiekankami i hamburgerami. I, oczywiście, powie, że pieniądze powinny należeć również do niego.

Mewa usiadła na kamienistej plaży. Zaraz potem dołączyła do niej druga. Obie szukały jedzenia.

Wreszcie Dixie wyznała na głos, zupełnie jakby zwierzała się Ruby.

— Nie chciałam być sama. Hugo wypełniał mój czas, mogłam się o niego martwić. Musiałam przyrządzać mu posiłki, prać ubrania, sprzątać mu dom. Kobieta bez męża jest tylko połową kobiety.

Ale Ruby nie była połową kobiety. Ruby była najzupełniej kompletną osobą. Kiedy sprzedała meble, przez trzy lata obywatła się bez nich, i przetrwała. Nie martwiła się o obiady, sprzątanie, pranie. Ruby przeżyła rozstanie z Andrew. Jeśli jej się udało, czemu Dixie nie potrafiła tego zrobić? Teraz było już za późno. Nie mogła zostawić Hugo. To by było nie w porządku. Hugo umierał. I właśnie dlatego nie mogła mu niczego odmówić. Wszystkie pieniądze odkładała na konto w banku. Nie dała się nakłonić do żadnych inwestycji. Odrzuciła nawet propozycję kupienia biurowców na Madison Avenue w Nowym Jorku. Tym razem Ruby się rozżłościła: „A jeśli splajtujemy? Musisz w coś zainwestować”. Dixie trwała jednak w swoim ultrakonserwatyźmie. Tylko raz od niego odstąpiła: przed sześcioma laty wpłaciła ogromną sumę na polisę ubezpieczeniową Hugona. Ruby zrobiła to samo z polisą Andrew, ale za jego zgodą. Teraz czuła się jak sęp. Pięć milionów dolarów to mnóstwo pieniędzy. Nie miała pojęcia, co z nimi zrobi po śmierci Hugona. A on umierał. Z rakiem wątroby żyje się krótko. W najlepszym wypadku Hugo miał przed sobą rok życia. Tak powiedział doktor. To, co usłyszała, wpływało na jej wszystkie decyzje. Postanowiła nawet odwołać operację biodra w klinice Mayo. W obliczu nieuniknionego, zabieganie o własną kondycję wydawało się jej nie na miejscu.

Zrobiło się niemal ciemno. Musi wrócić do domu i porozmawiać z Hugonem.

by wstała razem ze wschodem słońca. Zjadła śniadanie i po raz pierwszy w życiu zostawiła brudne naczynia w zlewie. Dzisiaj wyjeżdżała firmową limuzyną do Nowego Jorku, gdzie zamierzała mszyć w obchód po sklepach.

Wróciła myślą do Dixie. Wszystko jest teraz jakies inne, ponieważ Dixie stała się inna. Zabolalo Ruby, że przyjaciółka nie powiedziała jej o chorobie Hugona. Widziała go ostatnio tylko raz, ale to wystarczyło. Jego skóra przybrała odcień głębokiej żółci. Stracił tak bardzo na wadze, że wyglądał jak szkielet. Potrafiła rozpoznać to szczególne piętno: Hugo umierał na raka wątroby.

Westchnęła i zaciągnęła suwak szarej flanelowej spódnicy. Może po powrocie powinna zadzwonić do Dixie. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wygląda jak za — stępowa, pomyślała z niesmakiem. Natychmiast przysięgła sobie, że nie kupi niczego szarego ani beżowego. Coś kolorowego, śmiałego i pięknego. Kolor z charakterem. I przy pierwszej okazji sprzeda szarego oldsmobile'a i kupi coś, na widok czego ludzie będą się oglądali. Pora wyjść z cienia i stanąć w pełnym słońcu.

* * *

Ruby wróciła do domu wieczorem, uginając się pod stertą pakunków od Bergdorfa Goodmana, Saksa, B. Altmana i Bloomingdale'a. Znowu zadzwoniła do Dixie, ale nikt nie podniósł słuchawki. Zasiadła więc w samotności nad zakupami i zaczęła rozrywać papier, wyciągać rzeczy, rozrzucać wokół torby i pudełka. Kiedy wszystko zostało odpakowane, Ruby z trudem łapała oddech. Po chwili sięgnęła po turkusową wełnianą sukienkę i przyłożyła ją do siebie, oglądając się przed lustrem ze wszystkich stron. Leżała idealnie, jakby uszyto ją specjalnie dla Ruby. Miała doskonałą linię i warta była swojej ceny, co do centa.

Ruby spojrzała na metkę. Nq sp. z o. o. Otworzyła szeroko oczy. Niemożliwe! A jednak takie inicjały nie zdarzają się często. Nq to na pewno Nola Quantrell! Gorączkowo wykręciła numer informacji w Nowym Jorku. Po chwili miała już nu — mer, o który jej chodziło.

— Nq, spółka z o.o., w czym mogę pomóc? — W słuchawce rozległ się nosowy głos telefonistki, zupełnie jak tej z Barstow.

— Chciałam rozmawiać z Nolą Quantrell — oznajmiła bez tchu.

— Jak połowa świata mody — mruknięła sarkastycznie telefonistka. — Może zechce pani zostawić swoje nazwisko i numer telefonu?

— Proszę przekazać pani Quantrell, że Ruby Blue z „Pani Sugar” chce z nią mówić możliwie najszybciej. — Podyktowała swój numer.

— To pani jest tą ciasteczkową panią? — spytała telefonistka.

— Owszem. Pani Quantrell mnie zna, więc proszę jej powiedzieć, że czekam.

Matka Noli nie wspomniała, że jej córka ma własną firmę. Teraz dopiero Ruby uświadomiła sobie, że pani Quantrell od jakiegoś czasu przestała przysyłać podziękowania za transporty ciastek, które Ruby co tydzień wysyłała na małą farmę w Michigan.

Telefon zadzwonił chwilę później. Ruby uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— Nie mów, że to ty jesteś tą sławną panią Sugar! — zakrzyknęła Nola. — Na miłość boską, Ruby, to naprawdę ty?

— Otóż właśnie. Nie mogę uwierzyć... nie, nieprawda. Zawsze wiedziałam, że będziesz kiedyś bogata i sławna. A dziś pomnożyłam jeszcze twój majątek. Chyba wykupiłam całą twoją kolekcję. Fantastyczne! Opowiedz mi o wszystkim, ale najpierw wyjaśnij mi, dlaczego się ze mną nie kontaktowałeś. Jak ma się twój syn i Alex?

— Alex i ja rozstaliśmy się ze sobą tuż po przyjeździe do Europy. Wysłałam za niego tylko ze względu na rodziców. Alex ma się dobrze. Prawdę mówiąc, jest moim partnerem w interesach. On zajmuje się sprzedażą ja projektuję. Z początku nie było mi łatwo. Potem poznałam parę osób, które zgodziły się mi pomóc, i udało się! Uwierzysz, że moje akcje są na rynku? NASDAQ.

— Mogę cię przebić, koleżanko. „Pani Sugar” zdobyła w poniedziałek Fortune 500. — Udała, że nie słyszy nutki zawiści w głosie Noli, kiedy ta jej pogratulowała. — Zamierzam rozszerzyć działalność na cały świat. Prawie już zaklepałam dla siebie rynek azjatycki. Mój Boże, jestem z ciebie taka dumna, ale nie przebaczę ci, że zerwałaś ze mną kontakt. Jak się czuje twoja matka?

— Chyba — dobrze — powiedziała Nola niedbale. — Teraz ma już gosposię, dopilnowałam tego. Ciągłe opiekuje się tymi sierotami, przynajmniej takie mam wrażenie. Co roku przychodzą nowe. Nie byłam tam... zaraz... od pięciu czy sześciu lat.

— Ale dzwonisz? — Nie podobało się jej to, co słyszała, nie podobała się jej ta cała rozmowa.

— Ciągłe nie mam czasu. Hej, co to, przesłuchanie? A ty dzwonisz do starych, odwiedzasz ich? O ile sobie przypominam, niezbyt się o to martwiłaś. Spłaciłaś ten głupi dług?

— Moja sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Owszem, spłaciłam ten głupi dług. Pewnie sierotki chodzą w ubrankach z twojej firmy, co? — spytała Ruby z ciekawością.

— Niezupełnie. Nie projektuję dziecięcych ubrań.

— Więc pewnie wysyłasz im materiały i takie tam, co?

— Nie. Robisz mi wyrzuty, że nie troszczę się o rodziców i te zasmarkane podrzutki?

Ruby poczuła gwałtowne bicie serca. Zabrakło jej powietrza.

— Myślałam, że kochałaś te brzdące. Co się z tobą stało?

— Nic. Wreszcie dorosłam. Nie muszę im poświęcać całego życia. Wysyłam im pieniądze.

— Czyżby? W zeszłym roku twoja matka żaliła się, że nie odzywasz się do niej. I mogę się założyć o co chcesz, że gdybym zadzwoniła do ciebie tylko jako Ruby Blue, nie pofatygowałabyś się, żeby oddzwonić. Zadzwoniłaś do pani Sugar, prawda? Miło się rozmawiało. Do widzenia. — Odłożyła słuchawkę.

Kolejny rozdział jej życia został zamknięty na zawsze, pomyślała ze smutkiem i zaczęła składać rzeczy leżące na łóżku. Jutro zadzwoni do Goodwilla i każe im to zabrać. Za nic nie będzie nosić strojów, projektowanych przez Nolę Quantrell. Dorosłaś, akurat, warknęła, upychając ubrania w plastikowym worku.

Potem zaczęła rozpaczliwie szlochać. Opłakiwała utratę cudownej przyjaźni, która przez tyle lat była dla niej cennym wspomnieniem.

Ruby długo w noc krążyła po domu na Ribbonmaker Lane. Położyła się spać po dzienniku o jedenastej, ale sen nie przychodził. Kilka razy dzwoniła do Dixie, ale ciągle nikt nie podnosił słuchawki. Północ przywitała w kuchni, robiąc sobie czarną herbatę z rumem i kanapkę z sadzonym jajkiem. Herbata smakowała jak pomyje, a kanapka jak guma. Posmarowała jajko ketchupem, co nie podniosło jego smaku. Wyrzuciła kanapkę, wylała herbatę i wzięła butelkę coca-coli. Zapaliła papierosa — zły nawyk, który pozwolił jej przetrwać trudne chwile. Jutro, właściwie już dzisiaj miał nastąpić punkt zwrotny w jej życiu — spotkanie z Calvinem. Niestety, nie zdołała zarezerwować pokoju w „Holiday Inn” ani „Guest Quaters”. Zirytowana niemożnością znalezienia lokum w pobliżu Pentagonu, zdecydowała się wreszcie posłużyć nazwą swojej firmy i wynajęła pokój w Mariotcie na nazwisko pani Sugar.

Tuż po wschodzie słońca Ruby zaparzyła dzbanek kawy i zjadła kawałek grzanki. Ręce trzęsły się jej tak, że z trudem udawało się jej utrzymać kubek. Grzanka smakowała równie wstrętnie, jak kanapka z jajkiem. Ten dzień należał do niej i nic nie mogło go zepsuć. Spojrzała na spakowaną torbę i uśmiechnęła się. Zobaczy się z Calvinem. Usiądą przy jednym stole i zaczną rozmawiać, bez końca. Będą patrzeć sobie w oczy i trzymać się za ręce. Spotkanie starych znajomych po długiej rozłące. Nie pozwoli, żeby rozmowa przerodziła się we wzajemne oskarżenia. To wszystko mają już za sobą. Chciała dzisiejszy dzień uznać za początek nowej przyjaźni z Calvinem. Jest teraz starsza i mądrzejsza.

Zaczęła się malować. Co Calvin o niej pomyśli? Jak bardzo się zmieniła? Nie była już młodą dziewczyną, ale i on się postarzał. Ręka jej drgnęła, kiedy malowała usta. Wytarła chusteczką czerwoną krechę. Serce zabiło jej szybciej, gdy usiłowała sobie wyobrazić wyraz twarzy Calvina, kiedy spotkają się już za parę godzin. Powinien mu się spodobać ten elegancki kostium z perłową broszką w klapie. Prezentowała się w nim jak prawdziwa kobieta sukcesu. Całkiem słusznie. Pasma siwizny na skroniach to oznaka dojrzałości, powiedziała sobie, podobnie jak cienkie zmarszczki pod oczami. Zawsze miała dobrą cerę. I chwiała Bogu, mruknęła.

Pachniała ładnie. Uwielbiała zapach „Nocturne”, perfum, które kupiła przed paru laty w St. Croix, kiedy zmusiła się do wyjechania na wakacje. Wciąż miała tę samą buteleczkę, teraz niemal pustą. Później, tuż przed spotkaniem z Alvinem wetrze jeszcze parę kropel perfum za uszami, żeby miał co wspominać. Zawsze mówił, że lubi ten jej waniliowy zapach. Zachichotała. Cóż to było za tandetne pachnidło sprzedawane niemal na litry. Kolejne wspomnienie.

Była gotowa. Bilet lotniczy spoczywał w jej torebce. Zabierała swoje najlepsze stroje — Jeśli Calvin zaproponuje kolację, włoży czarną sukienkę, pasującą na każdą okazję. — Ciekawe, jak Calvin wygląda w generalskim mundurze. Dowie się już za parę godzin. Teraz pozostawało tylko czekać na przyjazd Anthony’ego. Chyba że skorzysta z okazji i znowu zatelefonuje do Dixie. Sięgnęła po słuchawkę; w tej samej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyła. Za progiem stał szofer.

— Będę za chwilę.

Wykręciła numer Dixie. Zajęte. Wreszcie ktoś był w domu! Wykręciła numer jeszcze raz, i znowu. Na Boga, z kim Dixie rozmawiała tak wcześnie rano? Może źle odłożyła słuchawkę. A może coś się stało? Zadzwoniła na centralę, nie odrywając oczu od tarczy zegara. Zaraz się zaczną poranne korki. Boże, a jeśli się spóźni na samolot? Poprosić Anthony’ego, żeby wcisnął gaz do dechy to tak, jakby wymagać od zółwia, żeby gnał kłusem. Przełknęła ślinę. Nikt nie liczył się bardziej niż Dixie, nawet Całym. Poprosiła, by telefonistka z centrali sprawdziła aparat

Dixie. Telefonistka oznajmiła, że z podanego numeru jest prowadzona rozmowa. Zadzwoń do niej z Waszyngtonu, obiecała sobie Ruby, wkładając płaszcz. Jak tylko znajdzie się w hotelu.

* * *

Kiedy przyjechała, Calvin nie czekał na nią w lobby. Odbierając klucz w recepcji, spytała, czy nikt do niej nie dzwonił. Odpowiedź była przecząca. Ruby poczuła ulgę. Skorzystała z łazienki i poprawiła makijaż. Przesunęła koreczkiem od perfum za uszami. Gotowe. Ci, co czekają cierpliwie, dostają najlepsze kąski, pomyślała rozdygotana. Już niemal przy drzwiach przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Dixie. Podeszła do telefonu i zamówiła rozmowę. Czekając na połączenie, niecierpliwie przytupywała stopą.

— Numer jest zajęty — oznajmiła telefonistka.

— Dziękuję, spróbuję później.

Teraz. Teraz zejdzie do lobby i spotka się z Calvinem. Była spóźniona o trzy kwadransy. Proszę, niech tam będzie, powtarzała w myślach, idąc długim, wyłożonym dywanem korytarzem. Serce jej zamarło, kiedy zobaczyła, że jedyną osobą w lobby jest boy hotelowy. Powiedziała sobie, że Calvin się spóźnia, tak jak ona.

Podeszła do stoiska z pamiętkami. Rozglądając się nieuważnie wśród tandetach drobiazgów, jednocześnie obserwowała lobby. Kupiła kwadrat z przejrzystego plastiku, wypełniony monetami i zaczęła czytać wierszyki na kartkach okolicznościowych, kiedy zauważyła wysoką postać w ciemnobrązowym płaszczu i czapce uszance. Calvin? Czy to on? A gdzie mundur? Poczuli się zawiedziona, jakby oszukana.

Zrobiła krok naprzód i lekko uniosła rękę. Ich oczy się spotkały. Widziała, że bierze głęboki oddech. Ona zrobiła to samo. Potem uśmiechnęła się. Jego uśmiech był równie szeroki i radosny. Ona ruszyła naprzód, on też. Spotkali się w pół drogi

— Cześć, jestem Ruby Blue — powiedziała cicho.

— Poznałbym cię wszędzie — odezwał się łagodnie. — Wcale się nie zmieniłaś.

Ruby chłonęła chciwie jego widok. Calvin wyglądał na zdenerwowanego. Chciała mu powiedzieć, że on się zmienił — siwy, niemal zupełnie łysy i zbyt szczupły, chorobliwie wychudzony. Uśmiech, który rozciągał jego usta, nie znajdował odbicia w oczach. A powinien przecież szaleć z radości. Usiedli w hotelowej kawiarni.

— Dobrze cię widzieć, Ruby.

Jaki słodki jest jego uśmiech, pomyślała. Ale patrzy na mnie z takim skupieniem, jakby chciał nauczyć się mojej twarzy na pamięć. Poczuli nagły skurcz strachu.

— Nigdy nie sądziłam, że cię spotkam. Tak często o tobie myślałam. — Pochyliła się ku niemu. — Jesteś zdrowy?

Roześmiał się; przynajmniej wydawało się jej, że ten dźwięk jest śmiechem.

— Teraz już tak. Kiedy zadzwoniłaś, właśnie... wróciłem do pracy. Byłem w szpitalu. Wrzód żołądka, uwierzysz? Ja i wrzód żołądka. — Jego oczy rozszerzyły się, jakby sam nie mógł w to uwierzyć. — Komisja przydzielająca awanse zbiera się w marcu. Chyba nie mam na co liczyć. Bardzo zwracają uwagę na zdrowie kandydatów.

— Dobrze cię rozumiałam? — spytała Ruby. — Boisz się, że nie dostaniesz awansu, bo byłeś chory? Znam cię, Calvinie. Pewnie... chorowałeś od dawna, ale sienie leczyłeś. A jeśli się leczyłeś, chodziłeś do lekarza potajemnie, żeby nikt w wojsku się nie dowiedział. Mam rację? — Psiakrew, co to za spotkanie po latach? Miały być uśmiechy, trzymanie się za ręce i tęskne spojrzenia.

Calvin skinął głową.

— Zemdlałem w biurze i zawieziono mnie do szpitala im. Waltera Reeda. Operacja ponoć jest konieczna. Ale nie spotkaliśmy się, żeby dyskutować o moim zdrowiu. Powiedz mi, jak ci się wiedzie?

— Dobrze. No, właściwie... właściwie to dobrze. I właśnie, że chcesz porozmawiać o swoim zdrowiu i lotnictwie, bo wiesz, że możesz mi ufać, a nie zwierzyłeś się nikomu. Wysłucham cię, Calvinie. Przejdźmy przez to od razu. I przez wszystko inne, żebyśmy znowu mogli być po prostu Calvinem i Ruby, choćby przez chwilę. Dobrze?

Calvin odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Tym razem także jego oczy poweselały. W tej samej chwili ujął jej rękę.

— Nie rozumiem — powiedziała Ruby o wpół do piątej, kiedy pojawiła się nowa zmiana kelnerów. — Dlaczego z tym nie skończysz? Przez to wszystko nabawiłeś się wrzodów żołądka. Czy awans jest dla ciebie aż tak ważny? — spytała delikatnie.

— Tak. Popełniłem błąd, żeniąc się z Eve. Mogłem tylko rzucić się w wir pracy, żeby zapomnieć o wszystkim. To całe moje życie.

— A teraz wojsko obraca się przeciwko tobie. Powiedziałeś Nangiemu, że już nie awansujesz, że jesteś generałem mniejszości i tylko tyle zdołasz wywalczyć.

— Mogłem się mylić.

Ruby uścisnęła jego dłoń.

— Spójrz prawdzie w oczy, wiesz, iż miałeś rację. Uciekaj, Calvinie, zanim usłyszysz, że się nie nadajesz. W cywilu byś sobie poradził. Ale ty tego nie zrobisz, prawda?

— Pewnie nie. Wierzyłem, że uda mi się dojść do samego końca. Kiedy zdążyłaś nabrać tyle rozumu? — spytał żartobliwie.

— Przy pieczeniu ciastek. To zajęcie tylko dla rąk, nie dla głowy. Można przy nim myśleć. A ja spędziłam w ten sposób wiele lat.

— Myślałaś o mnie? — Głos Calvina zabrzmiał nagle bardzo nieśmiało.

— Częściej, niż powinnam. Zwłaszcza, kiedy mi się nie wiodło. Mój Boże, tak się starałam. A kiedy to nie wystarczyło, próbowałam jeszcze bardziej. Nangi wspomniał, że rozważyłaś rozwód. Czy to prawda?

— Powiedziałem tak kiedyś, gdy zaczęło być naprawdę źle. Czułem się tak, jakbym miał nie doczekać następnego dnia. Eve... przeszła na katolicyzm i traktuje naszą religię poważnie. To chyba dobrze. Natomiast naszego małżeństwa na pewno nie traktuje poważnie. Od samego początku. Nie znosi seksu. Nie lubi dzielić ze mną łóżka. Nie znosi prac moich rzeczy, nie znosi gotować tego, co lubię. A już zwłaszcza nie znosi koszarowego trybu życia. Parę lat temu powiedziała, że gdybym nie dostał pracy w Pentagonie, zabrałaby dzieci i wyjechała. Wiesz, że w wojsku rozwody są źle widziane. Nigdy mi nie pomogła, ani razu. Bez przerwy przeklina, narzeka i zrzedzi. Od rana do nocy.

— Więc trwasz w tym małżeństwie z własnej woli? — Poczula nagle współczucie dla nieznannej Eve.

— To paskudna egzystencja. Dużo podróżowałem, byle tylko nie siedzieć w domu. Właściwie każde z nas żyje na własny rachunek. Sam sobie gotuję i piorę, a śpię na połówce w piwnicy, którą przerobiłem na mój gabinet. Eve jest dobrą matką — zakończył słabym głosem.

Oczy Ruby zwilgotniały.

— To straszne, Calvinie — szepnęła. — Szkoda, że nie odważyliśmy się do siebie zadzwonić. Moglibyśmy utrzymać naszą... naszą... moglibyśmy rozmawiać, podtrzymywać się... wiesz, o co mi chodzi.

Calvin wyjął z kieszeni portfel.

— Widzisz? — powiedział, wyjmując pomięty, pożółkły kawałek papieru. Rozłożył go ostrożnie. — To różne numery telefonów, które miałaś przez wszystkie te lata. Nangi mi je dawał. Nie miałem odwagi, żeby z nich skorzystać. Chciałem, setki, tysiące razy. Czasami nawet zamawiałem rozmowę i odkładałem słuchawkę, zanim centrala zdołała nas połączyć. Zbyt się wstydziłem. — Odchrząknął. — Raz — ciągnął dalej ochryple — siedziałem całą noc przed twoim domem w Pensacola. Widziałem, Jak kłócisz się z mężem na parkingu. Przynajmniej tak to wyglądało. Odjechałaś z piskiem opon. Padał ulewny deszcz. Chciałem za tobą pojechać, ale zgubiłem cię na ulicy. Wróciłem, czekałem, ale tej nocy już się nie pojawiłaś. Wyjechałem z Pensacola, a ty następnego dnia zadzwoniłaś do mnie z domu Nangiego. Los chyba sobie z nas zadrwił — powiedział ze smutkiem.

Po jej policzkach potoczyły się łzy.

— Tamtej nocy pojechałam do Waszyngtonu. Coś ty robił w Pensacola?

— Byłem na szkoleniu. Chciałem zapukać do twoich drzwi i... — Wzruszył ramionami. — Pomyślałem o tym, co będzie dalej. Nie wiedziałem, jak byś zareagowała. Jak byś zareagowała?

— Nie wiem. Złamałaś mi serce, Calvinie. Przez pewien czas cię nienawidzi, łam. Teraz na mnie kolej, chcesz coś zobaczyć?

Skinął głową. Pokazała mu fotografię, którą nosiła ze sobą przez dwadzieścia osiem lat. Przyglądała się mu z uśmiechem.

— Naprawdę tak kiedyś wyglądałem? Byłaś taka ładna, Ruby. Nadal jesteś — dodał, oblewając się rumieńcem.

— Dziękuję ci — powiedziała nieśmiało.

— Słuchaj, muszę teraz wracać do biura, ale może moglibyśmy zjeść razem kolację. W hotelu jest bardzo sympatyczna restauracja. Proszę, zgódź się.

— Oczywiście, że się zgadzam.

Stali na środku lobby. Dookoła nich przechodzili ludzie. Calvin wyciągnął rękę. Miał nieprzenikloną minę, nie zdradzającą żadnych uczuć. Ruby poczuła się głupio, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z płonącymi policzkami do pokoju.

Zamykając za sobą drzwi, pomyślała, że Calvin musi przestrzegać pewnych zasad. W końcu był wojskowym, oficerem i nie wyglądałoby dobrze, gdyby pocałował ją w policzek, czy nawet pogłaskał po ramieniu. W lobby mógł być ktoś, kto go znał, ale to Calvin, nie ona, zaproponował, żeby spotkać się w hotelu.

Biorąc szybki prysznic i przebierając się w czarną sukienkę, zdała sobie sprawę, że jest rozdrażniona. Spotkanie wypadło dość blado. Calvin miał problemy. Czy warto się do nich mieszać? W końcu nadal był żonaty. Spojrzała w zaporowane lustro. Wyglądała, jakby wybierała się na pogrzeb. Może ta kolacja okaże się ich pogrzebem — jej i Calvina. Sięgnęła po szkarłatny szalik i przewlekła go przez wielką, złotą broszkę z perłą. Włożyła pasujące do niej kolczyki i dodała złotą bransoletę. Była gotowa. Reszta należała do Calvina.

Spojrzała na zegarek, jeszcze zdąży zadzwonić do Dixie.

Tym razem przyjaciółka odebrała telefon. Miała zdławiony głos. Przez głowę Ruby przemknęła obłądana myśl, że Hugo dusi Dixie.

— Dixie! Usiłuję dodzwonić się do ciebie od kilku dni. Zaczynałam się już martwić. Wszystko w porządku?

— Oczywiście, że tak — warknęła Dixie. — Byłam zajęta, to wszystko.

— Masz dziwny głos.

— Jeśli dzwonisz, żeby mi to powiedzieć, zmarnowałaś dziesiątaka. A teraz wy bacz, ale muszę kończyć. Czekam na telefon.

— Coś się musiało stać. Możesz mi to powiedzieć już teraz. No, jazda.

— Proszę bardzo. Idę na operację biodra i nie będzie mnie przez jakiś czas Hugo poprowadzi za mnie interesy. Przepisałam na niego moje prawo własności.

Ruby nie wierzyła własnym uszom.

— Akurat! Nie tak się umawialiśmy! — wybuchnęła. — Cieszę się, że idziesz na operację. Interes toczy się własnym torem. Nikt nie musi dbać o twoje zyski — To dlatego opłacamy tych wszystkich profesjonalistów. Chyba że mi nie ufasz... — Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź Dixie. Kiedy ją usłyszała, miała ochotę umrzeć.

— Hugo chciałby dokonać kilku zmian.

— Nie ma mowy, Dixie. Wszystko idzie jak po maśle. Hugo nie ma bladego jęcia o tym biznesie. Nie. Kategorycznie zabraniam. Poproś mnie o coś innego, ale nie o to. To nasza firma! Dlaczego to robisz?! — krzyknęła Ruby.

— Żeby bronić moich interesów.

— Przed czym?!

— Przed zewnętrzną ingerencją.

— Musisz się lepiej postarać. Postępuj jak ja, Dixie, nie po to wypruwałam z siebie żyły, pracując po szesnastu i osiemnastu godzin dziennie, żebyś teraz zwróciła się przeciwko mnie. Obiecałam Nangiemu przedstawicielstwo na całą Azję. Prawnicy już nad tym pracują. Pokonam cię, Dixie. Jeśli nie dałam własnemu mężowi prawa decyzji, to dlaczego myślisz, że twojego męża potraktuję inaczej? Parę procent zysku, proszę bardzo, ale nie pozwolę mu stać się moim pełnoprawnym partnerem. Zastanów się nad tym i porozmawiamy, kiedy wrócę.

— Zatrzymam produkcję. Nie ruszy z miejsca, dopóki się nie dogadamy.

— Naprawdę byś to zrobiła? — szepnęła Ruby z niedowierzaniem.

— Owszem.

Ruby otarła oczy chusteczką.

— Zrób to, co musisz, a ja postąpię tak samo — powiedziała zimnym głosem. — Do widzenia, Dixie.

W głowie kręciło się jej tak, jakby zeszła z karuzeli. Wytarła nos. Poprawiła makijaż. Uperfumowała się za uszami. Znowu wytarła nos i splukała toaletę. Swoją drogą ciekawe, dlaczego zawsze splukuje muszlę, kiedy ma kłopoty.

Musiła odetchnąć świeżym powietrzem, sięgnęła po płaszcz. Jeśli Calvin nie zechce z nią pójść, obejdzie się bez niego. Może powinna zostać teraz sama.

Omiotła lobby spojrzeniem, szukając Calvina. Wypadła na zewnątrz przez obrotowe drzwi. Nie oglądając się, popędziła w stronę okrągłego podjazdu. Zatrzymała się, kiedy usłyszała, że ktoś wykrzykuje jej imię.

— Idę na spacer, chcę oprzytomnieć. Pójdiesz ze mną? — spytała ochryple.

— Co się stało?

Ruby opowiedziała mu o wszystkim i dodała:

— Mówiłam poważnie. Będę z nią walczyć, Calvinie. — Nie rozumiem. Jak... dlaczego ci to zrobiła?

— A skąd mam wiedzieć, do cholery? Dlaczego ty mi zrobiłeś to, co zrobiłeś? Dlaczego Amber zawsze traktowała mnie jak pariasa? Dlaczego Nola o mnie zapomniała? To chyba ze mną jest coś nie tak, bo to ja zawsze dostaję kopa. I nie zapominajmy o Andrew. Czy za wiele wymagam, czy oni nie dbają o mnie? Osoba, z którą rozmawiałam przez telefon, to nie moja Dixie. To jakaś obca baba. Moja Dixie... prędzej odgryzłaby sobie język, zanim powiedziałaby coś tak paskudnego. Mój Boże, dwie w jednym tygodniu. Ja się w ogóle nie znam na ludziach.

— Nieprawda. Wybrałaś mnie dawno temu, minęło prawie trzydzieści lat i proszę, znowu jesteśmy razem. To jednak coś znaczy. — Roześmiał się cicho.

— Co? Wyjaśnij mi, co to znaczy. Chcę odpowiedzi, nie zagadek.

— Jesteśmy razem. Chcę cię zaprosić na kolację, Ruby, chcę siedzieć naprzeciwko ciebie, patrzeć ci w oczy i powiedzieć wszystkie te rzeczy, które powinnaś usłyszeć już dawno temu. Chcę ci powiedzieć, ile razy myślałem o tobie, ile razy o tobie śniłem. Chcę cię przeprosić i chcę, żebyś mi przebaczyła. Chcę z tobą być.

Ruby przytuliła się do Calvina. Pachniał ulotną nutką wody po goleniu i mięty. Zamknęła oczy, znużona, nie pamiętając, że stoją na środku mrocznej ulicy. Czuła się wreszcie na swoim miejscu. Jakby w ramionach Calvina znalazła niebo. Odepchnęła od siebie myśl o Dixie i Noli.

— A jeśli ktoś nas zobaczy? — szepnęła.

— Porozmawiamy o tym w środku, w ciepłe. Możesz już wrócić do hotelu?

Nie była gotowa, ale pozwoliła, by ją tam zaprowadził.

W restauracji położyła płaszcz na krześle i pochyliła się ku Calvinowi.

— Co dalej? — spytała.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że cię kocham. Nigdy nie przestałem cię kochać. Eve była... Eve jest... kimś, kto mieszka w moim domu jak niepożądany gość. Ona pewnie myśli o mnie podobnie. Nie chcę cię okłamywać. Nie potrafię. W sprawie mojego małżeństwa nie potrafię podjąć żadnej decyzji, dopóki moja przyszłość się nie sprecyzuje. Chcę to powiedzieć otwarcie. Musisz zrozumieć, że dopóki jestem wojskowym, nie mogę się rozwieść. Jeśli nie dostanę awansu, podejmę decyzję. Co nie znaczy, że Eve się z nią zgodzi.

— A twoje dzieci? Jeśli się rozwiedziesz, czy rozumieją?

— Nie wiem. Ted... Sądzę, że on zrozumie. Steve jest zupełnie inny. Chce być mechanikiem, nie zamierza studiować. Taki młody gniewny. Wiem, że pali trawkę. Chyba byłem dla nich zbyt surowy. A Eve znów zbyt im pobłażała. A więc, wracając do twojego pytania, po prostu nie wiem i raczej nie musimy się o to martwić.

— Czy my... czy my mówimy o... o romansie? — szepnęła Ruby. Skinął tylko głową; jego ciemne oczy się roziskrzyły.

— Jak to sobie wyobrażasz? Waszyngton nie leży opodal New Jersey. Potajemne spotkania w hotelowych pokojach... chyba bym tego nie zniosła. Zawsze bym się bała, że twoja żona, albo ktoś, kto cię zna, zapuka do drzwi.

— Chciałbym spotykać się z tobą jak najczęściej, i zrobię wszystko, żeby przyjechać w miejsce, które mi wyznaczysz. Co o tym sądzisz?

— Uważam — powiedziała ostrożnie — że to dobry pomysł, ale najpierw musimy trochę poczekać. Możemy do siebie dzwonić i pisać. Nie mogę uciec od problemów, o których mówiłam ci wcześniej. I muszę załatwić parę spraw zanim... zanim się zaangażuję. Bo to będzie prawdziwy związek, Calvinie. Przynajmniej dla mnie.

— Rozważna Ruby. Przyjaciele mają pierwszeństwo. Rozumiem to. Boże, ja się cieszę, że do mnie zadzwoniłaś. Nie chcę, żebyśmy się znowu pogubili.

— Ani ja, Calvinie.

— A więc nie masz nic przeciwko temu, żeby udać się do twojego pokoju i spontanicznie wskoczyć do łóżka?

Z gardła Ruby wyrwał się zduszony okrzyk. Calvin roześmiał się ze szczęścia.

— Zrobimy to, prawda? Spójrz mi w oczy, Ruby, i powiedz, że o tym nie myślałaś.

Niech go, oczywiście, że myślała.

— Nie wyszłam myślą poza nasze spotkanie — skłamała. — Nie możemy tak po prostu... A w ogóle nie podoba mi się, że omawiamy to jak jakieś interesy.

— Och, przepraszam — powiedział, natychmiast skruszony. — Siliłem się na lekkość. To nie najlepszy pomysł. Teraz mam na głowie inne sprawy. Ja tylko tak strasznie się ucieszyłem naszym spotkaniem.

— A ja to zepsułam. To ja powinnam przeprosić i przepraszam. Odnaleźliśmy siebie to jest ważne. Jak mówi mój syn, unosimy się na falach życia. Z radością spotkam się z tobą w Kansas City. Nikt tam nas nie zna i będziemy mogli robić, co nam się podoba. Ale piszmy do siebie, dobrze? Może będziesz mógł wynająć skrytkę pocztową?

— No pewnie, to świetny pomysł. W ten sposób ominę adiutanta, który otwiera moją korespondencję. Możesz też zadzwonić do mojego biura, ale pod innym nazwiskiem. Moja sekretarka jest osobą wścibską. — Namyślał się przez chwilę. — Paul Farano. Naprawdę znam kogoś o tym nazwisku. Kiedy do mnie zadzwonisz, przedstaw się jako jego sekretarka. Co o tym sądzisz?

Ruby roześmiała się niespodziewanie do samej siebie.

— Ależ to przebiegłe. Dlaczego nie nosisz munduru? Miałam nadzieję, że cię w nim zobaczę.

— Następnym razem, dobrze?

— Calvinie, a co do tej choroby... wiem, że to twoje zdrowie, ale operacja to poważna sprawa. Czytałam w czasopiśmie medycznym, że picie soku z kiszzonej kapusty leczy wrzody żołądka. Zanim podejmiesz decyzję o operacji, może spróbujesz tego sposobu? Jeśli chcesz, mogę ci przysłać ten artykuł.

— Dobrze. — Uśmiechnął się. — Choć picie soku z kiszzonej kapusty, moim zdaniem, może raczej zabić, niż uleczyć.

Ruby oparła łokcie na stole.

— Komu wierzysz, mnie czy jakiemuś lekarzowi, który studiował medycynę długie lata? Byłeś u cywilnego specjalisty?

— Zastanawiałem się nad tym. Mam trzy diagnozy, wystawione przez wojskowych lekarzy.

— Przez parę tygodni pij ten sok, a potem idź do cywilnego specjalisty — poradziła.

Skinął głową. Potem widelcem zaczął rozgrzebywać ryż na talerzu.

— Czym się zajmę, jeśli będę musiał odejść? Nie jestem już młodzieniaszkiem. Kto zatrudni mężczyznę w moim wieku? — Na jego twarzy pojawił się smutek i niepokój.

Ruby uśmiechnęła się.

— Po pierwsze, zaczniesz spędzać ze mną wiele czasu. A poza tym będziesz mógł robić mnóstwo rzeczy. Calvinie, masz cały Waszyngton do swojej dyspozycji. Możesz być konsultantem, na przykład u Lockheada lub Boeninga? A może zajmiesz się polityką? Jeżeli nic ci nie przyjdzie do głowy, możesz pracować w sieci Fast-foodu.

— Tak po prostu?

— Właśnie tak to się robi. Skończysz z wojskiem i znajdziesz pracę. A co na to twoja żona? — spytała ciekawie. Zastanawiała się, jak wygląda ta Eve.

— W zasadzie nie rozmawiałem z nią na ten temat. Ona nienawidzi lotnictwa tak, jak ty nienawidziłaś piechoty morskiej. Nie ma w sobie zbyt wiele współczucia, chyba że chodzi o dzieci.

— Dokąd pójdziemy jutro? — spytała z ożywieniem, żeby zmienić temat.

— Jutro? — powtórzył ogłupiały. — Jutro jest sobota.

— Wiem. To znaczy, że masz dzień wolny od pracy, tak? No, to co będziemy robić? Chciałabym pojechać do Mount Pleasant i być może spotkać się z Reną i Bninem. Mieszkałam u nich, kiedy wyprowadziłam się z Kilbourne Place. Czemu tak na mnie patrzysz, Calvinie? Źle się czujesz? — spytała przerażona.

— Nie, nie, nic mi nie jest. Tylko że w soboty zwykle robię pewne rzeczy, Przez te wszystkie lata nabrałem określonych nawyków i jeśli teraz zacznę je zmieniać, Eve domyśli się, że coś się dzieje. Proszę, Ruby, spróbuj to zrozumieć.

— Ależ rozumiem — zapewniła podejrzanie spokojnym głosem. — Myślisz, że przyleciałam do Waszyngtonu tylko po to, żeby zjeść z tobą obiad i kolację? Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałeś, ale zasugerowałeś, że spędzimy razem ten weekend. Najwyraźniej źle cię rozumiałam.

— Wyjaśnijmy to sobie teraz, zanim powiemy coś, czego będziemy żałować. Zdaje się, że to moja wina... i przyznaję, źle to wymyśliłem... chodzi mi o twój przyjazd. Sądziłem, że będziesz chciała wracać do domu i zajęć. Myślałem, że porozmawiamy, postanowimy coś i się rozjedziemy. Przykro mi, Ruby.

— Jak na kogoś, kto zastanawiał się nad rozwodem, zanadto się martwisz tym co i kiedy masz zrobić. A może tak tylko fantazjowałeś, Calvinie? Niezupełnie cię rozumiem.

— Eve i ja zachowujemy pozory. Możemy nie odzywać się do siebie tygodniami, ale zawsze weekendy spędzamy razem i robimy co trzeba, dla dobra rodziny.

Ruby zamrugła powiekami. Wysłuchiwała już tych gorzkich słów. To kolejne zerwanie. Trzecie w tym tygodniu. Złapała płaszcz i torebkę. Osłupiały Calvin spojrział na dwudziestodolarowy banknot, który rzuciła na stół.

— Za mój obiad — warknęła, zanim wybiegła.

Dogonił ją, kiedy otwierała drzwi swego pokoju.

— Ruby, poczekaj.

— Nie spóźnisz się przypadkiem? Popełniłam błąd, przyjeżdżając tutaj. Zadzwoń do mnie, kiedy uporządkujesz swoje życie. Mam wrażenie, że zachciało ci się deseru po obiedzie. Ale ja nie jestem żadnym deserem. Dobranoc. Miło było cię spotkać. — Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Zsunęła buty z nóg i ruszyła do łazienki. Usłyszała, że Calvin woła ją stłumionym głosem. Potem zapukał cicho. Uchyliła drzwi. Spojrział na nią przez ogniwa łańcucha, który założyła, żeby nie mógł wejść do środka.

— O co chodzi? — spytała żałośnie.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że przyjdę rano i zabiorę cię na śniadanie. O dziewiątej, nie za wcześnie? Powiem Eve, że spędzę dzień ze starym przyjacielem. Muszę podjąć różne kroki, Ruby, dokonać wielu zmian. Porozmawiamy o tym jutro.

Zagryzła wargę. Zmusiła go do podjęcia decyzji.

— Dobrze. Zjem z tobą śniadanie.

— Do zobaczenia rano. Dobranoc, Ruby.

Było wpół do jedenastej, kiedy Calvin otworzył kuchenne drzwi swojego domu. Bardzo długo nie mógł trafić kluczem w zamek. Eve nigdy nie zostawiała dla niego światła. Zaklął pod nosem.

Włączył światło i rozejrzał się za kotem. Pewnie się gdzieś skrada albo sika na kanapę. Jezu, jak on nienawidził tego smrodu. Chciał wykastrować kota, ale Eve się nie zgodziła. Na zasypanym okruszkami stole piętrzyły się stosy brudnych talerzy. Toster nadal nie działał. Calvin nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jego żona ugotowała jakiś posiłek. Zwykle to on sprzątał dom, ale dziś nie zamierzał tego robić. Nie zamierzał też umyć kociej miski. Wyłączył światło.

Wszedł do salonu. Nie znosił widoku mebli w pokrowcach. Kocia sierść. Cały dom kręcił się wokół tego kocura. Teraz spał zwinięty w kłębek w rogu sofy. Eve siedziała przed telewizorem z otwartą gazetą na kolanach.

— Wróciłem — powiedział, głównie po to, by usłyszeć własny głos.

— Ja też — warknęła.

Calvin spojrział na swoją żonę, porównując ją z Ruby. Siwe włosy Eve prosiły się o grzebień. Pewnie wzięła prysznic, pomyślał. Na twarzy miała grubą warstwę kremu. Ruby pewnie też go używała. Eve nosiła w domu białe rękawiczki. Kiedyś spytał ją, dlaczego to robi, a ona wyjaśniła, że chce się pozbyć przebarwień. Dopiero później zaczął się zastanawiać, dlaczego miałyby mieć zniszczone ręce; przecież nie zwykła zmywać czy szorować podłóg.

Ręce Ruby były delikatne, z krótko obciętymi paznokciami, pociągniętymi bladoporóżowym lakierem. Eve wepchnęła sobie do ust garść orzeszków. Nawet z tej odległości widział kryształki soli, które osiadały na meszku nad ustami żony. Miał ochotę zwrócić jej na to uwagę. Eve była uzależniona od orzeszków i dietetycznej coli, którą pochłaniała całymi litrami. W bezsenne noce słyszał, jak żona drepcze do łazienki co pół godziny. Eve nie spała lepiej niż on. Teraz zastanowił się dlaczego.

Poprawiła się na niskim fotelu, jego ulubionym, na którym siadywała, kiedy Calvina nie było w domu. O ten fotel toczyła się wieczna wojna podjazdowa. To, które pierwsze do niego dopadło, zajmowało go przez cały wieczór.

— Coś ci nie pasuje? — spytała, choć w jej głosie nie było nawet cienia zainteresowania. Potrząsnęła puszką.

Pewnie jest już pusta, pomyślał Calvin. Eve zaczęła wygrzebywać z niej okruchy orzeszków.

— Nie. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie będzie mnie jutro w domu. Zjem śniadanie ze starym znajomym, spędzę z nim większość dnia.

Eve wzruszyła ramionami i znowu poprawiła się w fotelu. Spojrział na jej skarpetki. Miała pod nimi jeszcze jedne. Zawsze marzyły jej stopy. Strzepnęła jakieś paprochy z szlafroka, który miała na sobie. Calvin zmarszczył brwi. Mógł przysiąc, że szlafrok kiedyś był różowy. Dostała go na urodziny od Teda i Steve'a. Calvin przyznawał bez oporu, że nie zna się na kobietach, ale jeśli on potrafił o siebie zadbać, ona także mogłaby się na to zdobyć. Oczywiście nadeszła pora snu, a ludzie lubią, kiedy jest im wygodnie, ale Eve... Jego żona nie miała nic modnego. Nigdy. Nie chciał jej krzywdzić. Była starsza od Ruby. Może to dlatego.

— Eve, musimy omówić kilka spraw.

— Na przykład?

— Na przykład tę, że prawdopodobnie nie dostanę awansu. Stracę pracę. Mogę złożyć rezygnację i odejść w czerwcu, kiedy odśluzę swoje trzydzieści lat. Co o tym sądzisz?

Eve wzruszyła ramionami, nie odrywając oczu od telewizji. Kiedy Calvin stracił już nadzieję, że usłyszy choćby słowo, odezwała się:

— Chyba masz rację. Już raz zostałeś pominięty, więc nie mamy co liczyć, że tym razem potraktują cię inaczej. Musisz znaleźć pracę. Ja na pewno nie będę pracować. A twoja emerytura nie wystarczy na opłacenie rachunków.

— Może będziemy musieli się przeprowadzić. Utrzymanie domu jest kosztowne. Dzieci odeszły, nie potrzeba nam aż tyle miejsca.

— Ja się nie przeprowadzam. Powiedziałam ci to, kiedy tu zamieszkaliśmy. Wlokłeś mnie z jednego końca kraju na drugi, pozbawiając dzieci kolegów i wszystkiego, co lubiły. Zamknij pokoje, których nie używamy, wynajmij piwnicę. To twój problem — oznajmiła beznamiętnie.

Calvin pochylił się nad nią.

— Porozmawiajmy o rozwodzie.

Odwróciła się.

— Lepiej nie.

Westchnął.

— Nasze małżeństwo to farsa. Twój rodzice nie żyją, więc nie możesz się nimi zasłaniać.

— Jesteś katolikiem. Kościół zabrania rozwodów — przypomniała z jawną drwiną.

— Mogę po prostu odejść. Co byś zrobiła?

— Powtarzasz to od piętnastu lat i nie kiwnąłeś nawet palcem. Teraz też nic nie zrobisz. Twoja ukochana armia kręci nosem na rozwody.

— Zapominasz, moja droga, że prawdopodobnie odejdę do cywila. Nie zależy mi już na niczym, Eve. Jestem znudzony tą jałową egzystencją. Nigdy nie byłeś dla mnie żoną.

— A ty nie byłeś mi mężem — zripostowała.

— Czy kiedykolwiek mnie kochałeś? Czy zależało ci na mnie chociaż troszeczkę? — Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

— Nie.

— Więc po co za mnie wysłałeś, do stu tysięcy diabłów?! — ryknął. W jego głosie słychać było ból i wściekłość.

Eve roześmiała się.

— Bo tylko ty poprosiłeś mnie o rękę. Chciałam się uwolnić od rodziców i tej wariatki, mojej siostry, zanim skończę jak ona. Kobiety urodzone i wychowane na południu uważają, że bez męża, obrońcy, nie są prawdziwymi kobietami. Byłeś mi potrzebny. I wiedziałeś o wszystkim od samego początku. Nigdy nie robiłam z tego tajemnicy. Po co znowu przez to przechodzić? Potrzebowałeś żony. Zgodziłeś się na mnie, a ja zgodziłam się na ciebie.

— Mówiłem, że chcę rozwodu. Sprzedamy dom, pieniądze podzielimy po połowie. Każde pójdzie w swoją stronę. Odejdę tak czy tak. Nasi prawnicy załatwią wszystko. Możesz zatrzymać kota — rzucił przez ramię i wyszedł z pokoju.

Eve, odprowadzając Calvina wzrokiem, dostrzegła zapomniany orzeszek na stoliku i włożyła go do ust. Zmrużyła oczy.

— Nie będzie rozwodu — mruknęła i ruszyła do kuchni w poszukiwaniu nowej puszki z orzeszkami. — Nie po to znosiłam cię przez tyle lat, żebym teraz miała zostać sama lub wyłądować w jakimś przytułku. Wymyśl coś innego.

Następnego ranka, przy śniadaniu złożonym z szynki i jajek, Ruby Blue i Calvin Santos rozpoczęli swój pięcioletni romans. Znowu stali się młodzi i znajdowali się w jednym z najbardziej romantycznych miast świata; w mieście, w którym dawno temu się spotkali i w sobie zakochali.

Po śniadaniu ruszyli w sentymentalną podróż. Objechali cały Waszyngton. Udali się do Mount Pleasant, minęli dom na Kilbourne Place i skręcili w alejkę za domem na Monroe Street, by zobaczyć, czy kwieciste kubły na śmieci nadal stoją na swoim miejscu. Nie stały. Rena i Bruno mieszkali teraz w Arlington w Wirginii, we wspaniałym kolonialnym domu. Potem przejechali koło zoo. Oczywiście Ruby się zamgliły. Calvin odchrząknął.

— Chodźmy do parku — powiedział, skręcając ostro. — Chcę...

— Co? — spytała Ruby cicho.

— Nasze najszcześniejsze chwile przeżyliśmy w parku. Chodziliśmy tam na pikniki, całowaliśmy się. Rozmawialiśmy o przyszłości, snuliśmy marzenia, planowaliśmy, że spędzimy razem resztę życia, razem się zestarzejemy.

— Myśmy się już postarzel. — Roześmiała się. — Tak, chodźmy do parku. — Powinieneś wtedy wyciąć na drzewie nasze inicjały. Teraz moglibyśmy ich poszukać.

— Rzeczywiście — przyznał Calvin, biorąc ją za rękę. — Ale zrobię to teraz! — Zaparkował z piskiem opon. Wskoczył z małego samochodziku i otworzył drzwi po stronie Ruby.

Pobiegli po zamrożonej ziemi, śmiejąc się i krzycząc do siebie. Wreszcie Ruby padła bez tchu w ramiona Calvina. Jakie to cudowne, pomyślała, stać tutaj w ramionach Calvina. Wiedziała, że chce ją pocałować. Ona również tego chciała. Jego palce były miękkie i wrażliwe; ujął jej brodę. Usłyszała jego zduszone westchnienie. A może to ona westchnęła? A potem jego wargi dotknęły jej ust. Było tak, jak wtedy, gdy całował ją raz pierwszy, słodko i łagodnie.

— Zawłóknę cię teraz na swoje legowisko, gdybym je miał — powiedział po chwili.

— Ale ja mam — szepnęła.

— Wiem. O Boże, nigdy w życiu niczego nie pragnąłem tak mocno. — I co z tym zrobimy? — nadal szeptała.

— Nie wymyślimy wiele, jeśli tu zostaniemy.

— A zatem, generale, zaprowadzę pana do mojego legowiska i zrobimy to, co wyda się nam naturalne w tej sytuacji.

* * *

Calvin rzucił na krzesło swój płaszcz. Tuż za nim poleciał płaszcz Ruby. W gorączkowym pośpiechu pozbywali się garderoby. Jego koszula sfrunęła na podłogę, a chwilę potem jej sukienka. Sięgnęła ku klamrze jego paska. On rozpiął jej stanik. Popchnęła go na łóżko, zdyszana tak samo, jak on.

Jej palce przesuwały się po jego torsie, wolno, nieznacznie wolno zbliżając się ku pępki. Ruby uniosła się na łokciu i szepnęła:

— Pozwól mi, chcę to zrobić. Chcę doprowadzić cię do szaleństwa i powtarzać to tak długo, aż nie będziemy mogli wytrzymać. Leż.

Tak, jakby mógł się poruszyć. Był martwy, zawieszony w pół drogi do nieba. Kiedy miękkie dłonie Ruby przesunęły się w dół, wykrzyknął jej imię. W jaki sposób ten delikatny język i

równie delikatny oddech mogły niemal odebrać rozum? Nigdy nikt go nie lizał, nie smakował. A potem te dręczące, cudowne obrzędy skończyły się i Ruby usiadła na nim, patrząc mu głęboko w oczy.

— Chcesz, żebym to zrobiła, czy wolisz sam? — spytała bez tchu. Przetoczył się na nią i w chwilę potem eksplodował. Miażdżył ją swym ciężarem, ale nie mógł się ruszyć.

— Mój Boże, jak ja cię kocham — jęknął. Spojrzał jej głęboko w oczy, czekając na odpowiedź, której pragnął. Westchnął ze szczęścia, kiedy ją usłyszał. Panie na wysokościach, ona też go kocha! Chciałby jakoś móc zmierzyć, czyja miłość jest większa. Powiedział to na głos. Jej usta, przytulone do jego torsu, rozciągnęły się w uśmiechu. Potem obnażył przed nią swoją bezbronność. Słowa potoczyły się szybko: noc poślubna, kolejne próby kochania się z żoną, marzenia o Ruby. — Cśśś, nie płacz. To już przeszłość. Teraz jesteśmy tutaj. Jesteśmy razem — szepnął, zacieśniając uścisk.

— Nic na to poradzę, Calvinie. Nikt nie powinien móc zliczyć na palcach obu rąk wszystkich stosunków, jakie odbył przez trzydzieści lat. — Obróciła się w jego ramionach i oparła się na łokciu.

— Uśmiechnij się, Ruby. Proszę, nie lituj się nade mną. — Otarł jej łzy rożkiem prześcieradła. Uśmiechnęła się.

— Mam pomysł — mruknęła jak kotka. — Jeśli naprawdę się postaramy, od tej chwili aż do mojego wyjazdu, być może nadrobimy zaległości.

Skubnęła płatek jego ucha. Jej wilgotny, delikatny język i dłonie znowu ruszyły na podbój jego ciała.

Zasnęli, znów się kochali, wzięli prysznic i znowu się kochali. Świtało, kiedy Calvin usiadł na łóżku. Nagryzmołił na kartce parę słów i zostawił ją na telefonie. Wróci do dziesiątej. Odwiezie Ruby na lotnisko o piątej.

— Kocham cię — szepnął. Pochylił się nad Ruby i pocałował ją w policzek.

Pogwizdywał, idąc do samochodu i podczas dwudziestominutowej drogi do domu. Nadal gwizdał, wchodząc do kuchni. Jego oczom ukazały się te same brudne naczynia. Kot prychnął z wściekłością, bo jego miska była pusta. Calvin wszedł pod kłujące igiełki prysznica. Chciało mu się śpiewać.

— Ten wąsik, który się tak silisz zapuścić, wygląda głupio — oznajmiła Eve, kiedy w kuchni robił sobie kawę.

Wąsik spodobał się Ruby; jemu też się podobał. Jeszcze kilka dni i urośnie tak, że trzeba go będzie podcinać. Calvin zignorował uwagę żony. Zszedł do swego piwnicznego gabinetu. Włączył telewizor. W chwilę później zdał sobie sprawę, że ma dwie opcje: programy religijne lub kreskówki. Wybrał te ostatnie. Zaśmiewał się do łez, kiedy do pokoju weszła odświętnie ubrana Eve.

— Idę do kościoła, ty nie? — spytała, podtykając mu pod nos książeczkę do nabożeństwa.

— Nie — mruknął, obserwując jak stado myszy atakuje dużego, czarnego kota.

— Powinnaś sobie kupić nowy płaszcz — oznajmił wspaniałomyślnie. Była taka zaniedbana i niechlujna. — Takich już się nie nosi. — O, dobrze, rysunkowa mysz przywiązała rysunkowego kota do stołowej nogi! — Zaraz się spóźnisz. — Chciał, żeby się wyniosła i zostawiła go samego.

Eve odwróciła się na pięcie.

— Nie zapomnij, że dziś o czwartej gramy w brydża z Oliverami.

— Dziś nie mogę — rzucił i klepnął się po udzie, kiedy myszy zapaliły zapałkę pod podeszwą kota. Mam inne plany.

— Jakie plany? — zdziwiła się Eve. — W niedzielę zawsze gramy w brydża. Musimy zachowywać pozory.

— Mówiłem ci, że do miasta przyjechał mój przyjaciel. Zjem z nim śniadanie i obiad, a potem odwiezę go na lotnisko. Koniec dyskusji. — Kot uwolnił się i rzucił się w pogoń za myszami. Calvin dopił kawę i wyłączył telewizor.

— Więc ja też nie pójdę. Czemu mnie wczoraj nie uprzedziłeś? Teraz muszę zadzwonić i wszystko odwołać.

— To zadzwoń. Zawsze twierdzisz, że gram fatalnie. Ty grasz dobrze, więc powinnaś znaleźć sobie dobrego partnera, tym bardziej że w ogóle nie chcę grać. I nie ogolę się — oznajmił. Teraz, kiedy w jego życiu pojawiła się Ruby, wreszcie odnalazł w sobie odwagę, by sprzeciwić się Eve. Boże, jak on nie znosił tych niedzielnych brydżyków

— Nie możesz tak po prostu zmienić wszystkiego, tylko dlatego, że masz na to ochotę! — krzyknęła Eve.

— Tak? Zapomniałaś już, o czym mówiliśmy wczoraj? — rzucił lekko.

* * *

Ruby i Calvin spojrzeli na elektroniczny zegar. Calvin poprawił poduszki pod głową, Ruby ułożyła się wygodniej, składając głowę w zgięciu jego ramienia.

— Musimy się ubrać — szepnął Calvin.

— Smutno mi. Nie chcę wracać do domu. Nie mam do kogo.

— Ja też nie chcę — mruknął, odgarniając jej z czoła mokre włosy. Pachniała tak słodko. — Zadzwonię do ciebie jutro. Powiesz mi, kiedy będziesz mogła się wyrwać do Kansas City. O której mogę zadzwonić?

— Szósta, wpół do siódmej.

— Dobrze. Podczas przerwy obiadowej wynajmę skrytkę pocztową. Obiecuj pisać codziennie, nawet jeśli będziemy rozmawiać przez telefon?

— Obiecuję.

Trzydzieści pięć minut później zielony garbus zahamował z piskiem opon przed halą waszyngtońskiego lotniska.

— Musisz biec, Ruby, masz tylko dziesięć minut. Nic nie mów.

Skinęła głową. Potem, już na chodniku, odwróciła się i zawołała:

— Zapomniałeś wyciąć nasze inicjały na drzewie!

— Dla generała to pestka. Pojadę zaraz do parku i wytnę je służbowym scyzorykiem, który ofiarowały mi Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.

— Jest już ciemno.

— Mam służbową latarkę, ofiarowaną mi przez Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. Kiedy tu wrócisz, inicjały będą wyglądać tak, jakby czekały na ciebie od dwudziestu ośmiu lat. A teraz idź, zanim któreś z nas zrobi coś głupiego.

Pobiegła, a Calvin pojechał do parku Rock Creek i spełnił swoją obietnicę.

Był tak pochłonięty myślami, że kiedy wrócił do domu, ledwie zarejestrował, że na podjeździe pali się światło, a stół w kuchni jest nakryty. Na kuchence stał garnek spaghetti, jednej z jego ulubionych potraw. W salonie zastał Eve siedzącą na sofie.

— Możesz usiąść w fotelu — pozwolił jej wspaniałomyślnie. — Możesz zająć cały pokój.

Trudno było mu się nie uśmiechać, nie zdradzić, jak bardzo jest szczęśliwy. Przeżył weekend, którego nie mógłby zapomnieć. Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Drzwi od swojego gabinetu zamknął za sobą na klucz. Śmieszne, pomyślał. Przez te wszystkie lata po raz pierwszy zamknął te drzwi na klucz.

Ruby wycofała samochód z podjazdu i włączyła światła. Powoli zmierzchało. Zamierzała dopóty dobijać się do drzwi Dixie, aż ta wpuści ją do środka. Jeśli będzie musiała wybić szybę w drzwiach garażu przyjaciółki i włamać się tamtędy do jej domu, zrobi to. Nie zamierzała czekać ani minuty dłużej. Musi się dowiedzieć, co się dzieje z Dixie. Pięć dni bez ani jednego słowa oznaczało duże kłopoty. Dixie była jej winna przynajmniej wyczerpujące wyjaśnienie.

Nie musiała się włamywać. Drzwi kuchenne były otwarte. W półmroku Ruby początkowo nie zauważyła przyjaciółki siedzącej w kąci przy stole. Drżenie ramion Dixie zdradzało jej płacz. Ruby otworzyła szeroko oczy, widząc butelkę whisky i niską szklaneczkę. Coś musiało się stać. Dixie piła alkohol tylko ze szczególnych okazji.

Ruby zawahała się. Czy ma prawo ingerować w życie przyjaciółki? Zaczęła zmagać się ze sobą. Przecież w życiu liczy się głównie rodzina i przyjaciele. To coś, co się stało, miało związek z tą straszną rozmową przez telefon i wszystkimi złymi słowami, które wtedy padły. Musi to wyjaśnić.

— Hej — powiedziała cicho.

Dixie odwróciła się.

— Właśnie o tobie myślałam. Och, Ruby — załkała.

— Cśś... — Ruby objęła ją ramionami. — Cokolwiek się stało, a wiem, że się stało, razem sobie poradzimy. Co dwie głowy to niejedna. No, opowiedz mi o wszystkim.

— Hugo umiera. Kategorycznie nie zgodził się pójść do szpitala. Wczoraj w nocy zapadł w śpiączkę. Lekarz wpada tu dwa razy dziennie. Nie mogłam cię tym obarczyć. To... ta rozmowa przez telefon... to było straszne. Hugo... no, wreszcie mu powiedziałam, że jestem współwłaścicielką „Pani Sugar”. Gdyby nie był taki chory, zabiłby mnie na miejscu, wiem to. Brał jakiś nielegalny lek z Meksyku. Wydał niemal wszystkie pieniądze z naszego konta. Mam to w nosie. Nie chciał iść do wojskowego lekarza. Prawdopodobnie nie chciał wiedzieć, jak bardzo jest chory. Kiedy dowiedział się o moich pieniądzech, wpadł w furję. Powiedział, że mógł pojechać do Szwajcarii i Francji, do wszystkich miejsc, słynących z cudownych uzdrowień. Powiedział nawet, że chce jechać do Lourdes. Właśnie zajęłam się organizowaniem wyjazdu, kiedy zadzwoniłaś. Hugo zachowywał się, jak... Hugo. Potem zaczął mówić o swojej rodzinie, o tym, że jako jedyny nie odniósł sukcesu. Powiedział... powiedział, że ożenił się ze mną tylko po to, żeby ich upokorzyć.

Krew uderzyła Ruby do głowy. Z przyjemnością dopadłaby teraz Hugona i wydarła mu serce.

— Wiesz, co zrobił potem? Boże, nigdy w to nie uwierzysz. Zażądał mojego prawa własności. Potem zadzwonił do rodziny. Rozmawiał z nimi jak... jak kompletny wariat. Powiedział im... że jest współwłaścicielem „Pani Sugar”. Wykrzykiwał, że odniósł taki sam sukces, jak ci, którzy są słynnymi specjalistami od chirurgii serca, znakomitymi prawnikami czy właścicielami znanego sklepu z antykami. Potem oznajmił im, że umiera. Miał... taki straszny wyraz twarzy. Chyba po raz pierwszy przyznał przed samym sobą, że... że to już koniec. Potem... potem powiedział... że spisze testament i zostawi rodzinie swoją połowę firmy. Mój Boże, naprawdę tak powiedział! Chciał oddać wszystko, na co pracowałam przez te lata!

— To straszne... ale nie martw się. Wszystko naprawimy. No, umyj twarz. Przygotuj śniadanie, a potem zrobimy co trzeba.

Ruby poczuła przepelniającą ją potrzebę zaopiekowania się przyjaciółką. Kołysała Dixie w ramionach jak małe dziecko. Szeptala kojące słowa, gładziła jej włosy i plecy.

— Och, Ruby, co ja bym bez ciebie zrobiła? Jesteś jedyną dobrą rzeczą, jaka mnie spotkała. Przepraszam, że cię zdenerwowałam. Czasami... chciałabym umrzeć.

Ruby odsunęła ją od siebie.

— Nigdy, słyszysz, nigdy więcej nie mów mi takich rzeczy. Zrozumiałaś? — rzuciła ostro.

— Ja nie chciałam... Tylko czasami... Dobrze, zacznijmy od nowa. Ja miałam umyć twarz, a ty zrobić śniadanie. Naprawdę zgłodniałam. Wczoraj chyba nic nie jadłam. Nawet nie pamiętam. Poproszę o jedno jajko.

— Załatwione. Wszystko będzie dobrze. — Ruby była tego niemal pewna.

* * *

Poprawiła się na krześle, które wstawiła do pokoju chorego. Dixie drzemała; spały na zmianę. Ruby usiłowała skupić się na czymś, nie chciała słyszeć wyężonego oddechu Hugona. Kiedyś usłyszała o śmiertelnym tchnieniu; odgłosie, który wydaje konający w chwili zgonu. Była ciekawa, jaki to odgłos. Hugo oddychał jakoś inaczej, ale nie potrafiła określić, na czym polegała ta różnica. Poprawiła się znowu. Sukienka kleiła się do plastikowego siedzenia krzesła. Musiała iść do łazienki. Miała ochotę na papierosa i coś zimnego do picia.

— Co, co? — wymamrotała Dixie, budząc się gwałtownie.

— Nic. Idę do łazienki i wezmę sobie coś do picia. Nic się nie zmieniło. Chodźmy na dół, do kuchni. Będzie nam chłodniej.

Dixie skinęła głową. Podeszła do łóżka, sprawdziła kroplówkę, wygładziła pościel i ruszyła za Ruby.

Przez kuchenne okno wpadał chłodny wietrzyk. Ruby nagle zastanowiła się, dlaczego ani ona, ani Dixie nie zainstalowały w domach klimatyzacji. Czy trzymały się starych przyzwyczajęń ze strachu? Kiedyś o tym pomyśli.

— Powinniśmy zaangażować pielęgniarkę — powiedziała, otwierając butelkę napoju. — Jeśli jesteś choć w połowie tak zmęczona jak ja...

— Lubię tę porę — powiedziała Dixie cicho. — Dzień ma się ku końcowi. Jeśli nie był udany, to następny będzie lepszy. Słońce zachodzi, liście drzew szeleszczą. To ładny dźwięk, ten szelest, prawda?

Ruby skinęła głową.

— Dlaczego mówisz szeptem? — spytała, również zniżając głos.

— Nie wiem.

— Hugo jest nieprzytomny, nie słyszy nas — ciągnęła, nadal szeptem. — Właściwie dlaczego nie zaangażowałaś tej pielęgniarki? Jestem tak zmęczona, że nie pamiętam.

— Bo mam nierówno pod sufitem. Chcę osobiście dopilnować, żeby Hugonowi niczego nie brakowało. Nie chcę, żeby mojego męża myła jakaś obca osoba. Złożyłam przysięgę, że będę z nim, póki śmierć nas nie rozłączy i muszę jej dotrzymać. To głupota, ponieważ nie dokonałabym tego bez ciebie. Przepraszam, chyba nawet ci nie podziękowałam.

— Powinniśmy coś zjeść.

— Co?

— Płatki, zupę pomidorową...

Dixie pokręciła głową.

— Nie chcę. — Zamyśliła się na chwilę. — Nie sądzę, żeby Hugo dożył do rana. Oddycha jakoś inaczej.

— Zadzwońisz do jego rodziny?

Dixie odgoniła krążącą wokół niej muchę.

— W siatce na oknie jest dziura. Czy to nie dziwne, że mucha zawsze znajdzie dziurkę, choćby najmniejszą? Nie.

— Gdzie packa na muchy?

— Pod zlewem.

— Zastanawiałaś się już nad... musisz zadzwonić po pastora, iść do domu pogrzebowego i tak... dalej. Kupić... czy co tam mają... Giń!!! — wrzasnęła zniecierpliwiona, zamachnęła się packą. Chybiła o pół metra. — Gdzie zamierzasz... oplakiwać jego zwłoki? — Wzdrygnęła się na myśl o trzydniowym obrzędzie.

— Nigdzie. Usmażę go na wolnym ogniu. Ruby zakrzuszyła się papierosowym dymem.

— Co?!

— No wiesz, kremacja. Oddają ci prochy w takiej jakby puszcze czy czymś tam — wyjaśniła Dixie, ledwie poruszając wargami.

— Czy czymś tam? A potem? Co zrobisz z tą... puszką? Postawisz ją na kominku? O Boże, kiedy ci strzeliło do... kiedy to postanowiłaś?

— Dziś rano. Jeśli Hugo będzie leżał w jakimś miejscu, będzie miał grób, nigdy się nie pozbieram.

— Ale te prochy... ta puszka... też gdzieś będą... w jakimś miejscu. Oni gdzieś je przechowują. Widziałam to raz na filmie. Grób jest grobem. Jak można to zmienić?

— Właśnie, że można. Nie zachowam tych prochów, jak napisano, z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Żadnego grobu. Tylko tak mogę to skończyć. Znasz ten most po drodze do Point Pleasant? Zamierzam wyrzucić... rozsypać prochy nad wodą. Prąd zabierze je daleko stąd. Hugo... znajdzie gdzieś miejsce spoczynku, ale nie będzie miał grobu — ciągnęła z uporem. Nic i nikt nie odwiedzie jej od tego zamiaru.

— To nielegalne! O Boże, dzieci łowią tam ryby — wymamrotała wstrząśnięta Ruby. — A ten sosnowy zagajnik... Możesz tam go... rozsypać...

— Nie, tylko rzeka. Niech go zmyje z powierzchni ziemi.

— Ale jeśli cię ktoś zobaczy, jeśli cię złapią? Wyobraź sobie gazety! Wyobraź sobie! — powiedziała Ruby z cichą rozpaczą.

— Zrobię to po zmroku. Tylko my będziemy o tym wiedzieć. Ruby uznała, że pora się poddać.

— Dobrze, dobrze. Ale wiesz, że to największy idiotyzm, jaki zdarzył się w moim życiu. Żałuję, że zaczęłam o tym mówić. — Mucha wróciła. Ruby sięgnęła po packę i zamachnęła się gwałtownie.

— Chciałabym, żebyś poszła ze mną, kiedy nadejdzie ta chwila. Nie musisz wchodzić aż na most, wystarczy, że staniesz na czatach i dasz mi znak, jeśli... ktoś się pojawi. Zastanów się, Ruby, nie musisz odpowiadać od razu.

Na dobre i na złe. Nie, nie zrobi tego. Nawet dla Dixie. Kiedy zza horyzontu wyłoniło się wschodzące słońce, Hugo wydał ostatnie tchnienie. Ruby rozplakała się wbrew samej sobie. To chyba z ulgi, pomyślała.

— Wracaj do domu, Ruby. Muszę przez chwilę zostać z nim sama. Kiedy... kiedy go zabiorą... to będzie straszny widok. Nie chcę, żebyś na to patrzyła. Muszę zadzwonić w parę miejsc, pozatapiać różne sprawy. Dziękuję ci, że byłaś ze mną przez te wszystkie tygodnie. Nie dałabym sobie rady bez ciebie. Zadzwonię później, obiecuję. W niektórych sprawach możesz mi pomóc, a w innych nie.

Ruby zatrzymała się w łazience, żeby splukać toaletę.

* * *

Dwa dni później, 25 sierpnia drzwi siedziby firmy „Pani Sugar” po raz pierwszy od chwili jej założenia nie otworzyły swoich podwoi. Przyczyna: nabożeństwo żałobne za duszę Hugona Sinclaira’a.

Cztery dni po nabożeństwie dzień był duszny i nieznośnie upalny. Ruby odebrała telefon.

— Wzięłam to. Dziś w nocy — szepnęła Dixie. — Muszę przesytać... zawartość do czegoś mniej rzucającego się w oczy. Myślałam o słoiku po majonezie. Jak uważasz?

— Niby czemu nie? — warknęła Ruby, by zamaskować zgrozę — Może być słoik. Co zamierzasz zrobić z... urną i słoikiem... po wszystkim? — Dobry Boże, co ona wygaduje?

— Wyrzucę do pierwszego kubła na śmieci. Jak sądzisz, będzie padać?

— A co, wtedy nie pójdziesz?

— Pójdę. Która z nas poprowadzi? Pojedziesz ze mną, prawda?

Jeśli się zgodzi, a Dixie siądzie za kierownicą, to Ruby będzie musiała trzymać szczątki Hugona. Wzdrygnęła się.

— Ja prowadzę. Kiedy mam po ciebie przyjechać? — Niemożliwe. Właśnie zgodziła się uczestniczyć w tym koszmarze. To jej się śni. Obudzi się, gdy tylko odłoży słuchawkę. Musi zająć się czymś konkretnym, czymś, co zaabsorbuje jej myśli.

Pięć minut później siedziała już w samochodzie i jechała do centrum handlowego, gdzie kupiła czterdzieści jeden ręczników, dwie zasłony na prysznic i fioletowy kosz na śmieci. Kiedy wróciła do domu, wyrzuciła zakupy do śmietnika. Jej bielizniarka pękała w szwach, a prysznic był obudowany.

Złana potem wzięła trzy butelki piwa z zapasu, który trzymała na wypadek, gdyby odwiedził ją Andrew. Wyszła do ogrodu, zabierając po drodze otwieracz do kapsli. Opróżniła wszystkie trzy butelki. Poczowała w głowie przyjemny szumek. Zdrzemnęła się w cieniu sykomory. Godzinę później obudził Ruby odległy grzmot. Niebo przeszła błyskawica. Dzięki Bogu, może się ochłodzi. Jutro już na pewno zamówi sobie klimatyzację. Zostawiła butelki na trawie i powlokła się do domu, mamrocząc pod nosem:

— Nie chcę tego robić, nie mogę. Nie wiem, dlaczego się zgodziłam. Rozumiem, naprawdę rozumiem, przez co przechodzi Dixie. Ale na pewno można znaleźć inne rozwiązanie. Zrobię wszystko, wszystko, tylko nie to!

* * *

O wpół do dziewiątej wieczorem Ruby wysiadła ze swojego sportowego samochodu. Była tak rozdygotana, że z trudem trzymała się na nogach. Zapukała do drzwi i zawołała Dixie. Nie chciała wchodzić do środka. Nie chciała też stać na parkingu. Nie chciała być w pobliżu Hugona Sinclaira’a, a jednak wsiądzie z nim do samochodu. Wzdrygnęła się. Czuła gwałtowne bicie serca.

Dixie stanęła w drzwiach, trzymając w rękach błękitną jak niebo torbę po ciasteczkach pani Sugar.

— Na miłość boską, nie mogłaś... nie mogłaś włożyć słoika w coś innego? — Ruby czuła, że opuszczają ją siły. To niemożliwe. Ja tego nie robię. Nie stoję tutaj. To ktoś inny. Wszystko mi się śni i zaraz się obudzę.

— To stara torba. Nie robiłam ostatnio zakupów i nie mam żadnej reklamówki. Poza tym Hugo lubił błękit. Wydawało mi się, że tak będzie dobrze — powiedziała Dixie napiętym głosem.

— Zaraz zacnie padać — zauważyła Ruby. Omijała wzrokiem błękitną torbę. — Powiem ci to jeszcze raz, Dix: to nie jest dobry pomysł. Powinnaś wynająć łódź i — no wiesz. Boże, co będzie, jeśli... A może wsadzimy go do bagażnika? To mnie naprawdę denerwuje, jeśli jeszcze nie zauważyłaś — powiedziała ochryple.

— Nie będziesz mieć z tym nic wspólnego, Ruby. Tylko stań na czatach. Kiedy dasz mi znak, że nikt... nikt... zrobię to. Spięłam torbę spinaczem — dodała cicho.

— To dobrze, teraz nam nie ucieknie. Co za różnica? — jęknęła Ruby.

— Myślałam, że poczujesz się lepiej. Porozmawiajmy o czymś innym. Chcesz jechać do Saipan? Miałaś jakieś wieści od Calvina? Zamieszkaś w hotelu czy u siostry?

— Szkoda, że już tam nie jestem. Chciałabym być gdziekolwiek, byle nie tu. Calvin dzwonił wczoraj wieczorem. Powiedział, że nie może się doczekać. Spotkamy się w San Francisco, spędzimy ze sobą parę dni, potem pojedziemy na Hawaje j przez trzy dni... no, wiesz, a potem do Saipan. Zatrzymam się w hotelu. Calvin będzie miał oddzielny pokój. Amber dała mi do zrozumienia, że bym nie liczyła na to, że u niej zamieszkać. Nie chce patrzeć, jak schodzę na złą drogę. Kiedyś rozkwaszę jej nos.

— Spotkasz się z Andrew?

— Nie. No, może. Zadzwońię do niego z lotniska przed odlotem. Zdecyduję w trakcie rozmowy.

Nad nimi przetoczył się głuchy grzmot. Ruby zmrużyła powieki, kiedy niebo rozświetliło się i znowu pociemniało. Nie znosiła burz; przypomniały jej tę noc, kiedy urodziła Marthę, zdana jedynie na własne siły. Druga błyskawica przeszła niebo, zalewając jezdnię potokiem jaskrawego światła. Ruby zadrżała.

— Powietrze stoi — rzuciła Dixie z niezadowoleniem. — Od kilku dni jest duszno, jak jeszcze nigdy. Może po deszczu się ochłodzi? Jak sądzisz?

Ruby zwolniła.

— Zbliżamy się do mostu. Ty tu rządzisz. Co mam zrobić? — szepnęła. Zupełnie postradała zmysły, skoro zgodziła się na to szaleństwo. Coraz trudniej było jej oddychać.

— Znajdź boczną uliczkę i zaparkuj. Pójdziemy na piechotę. Przemyślałam to. Jeśli staniesz pod mostem, każdy patrol zatrzyma się przy tobie. Wiesz, jacy są policjanci.

— Czuję się jak kryminalistka. Nadal możemy... zmienić zdanie. — Ruby podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę.

— To znaczy, że nie idziesz ze mną?

— Ruszaj się — warknęła Ruby, wyszarpując kluczyki ze stacyjki. — Skończmy z rym wreszcie. — Boże, naprawdę zamierzała... pomóc.

— Nie sądziłam, że o tej porze będzie tu taki ruch, zwłaszcza w środku tygodnia — jęknęła Dixie.

Obok nich śmigały pędzące samochody.

Dixie wyprostowała się. Postępowała słusznie. Zrobiła jeden niepewny krok, potem drugi. Obejrzała się przez ramię na Ruby. W świetle latarni dostrzegła lśnienie potu na twarzy i szyi przyjaciółki. Ruby miała gwizdnąć, kiedy ruch na jezdni się uspokoi. Rozerwała torbę, klując się przy tym spinaczem. Oparła się o balustradę, niebieską torbę trzymała przed sobą. Samochody pędziły jeden za drugim, omiatając ją żółtymi światłami reflektorów. Zaczęła dygotać. Za parę minut Hugo odejdzie w niebyt. Jeszcze tylko parę minut. Odważyła się spojrzeć na Ruby, która podchodziła do niej powoli. Jeszcze raz wyprostowała ramiona.

Na gwizd Ruby wyjęła słoik. Zaczęła mocować się z zakrętką.

— No już!

Głos Ruby wydał się Dixie donośnym grzmotem, choć w rzeczywistości był ledwie szeptem.

— Nie mogę odkręcić wieczka! Zassało się! To przez tę sprężynę! — jęknęła Dixie rozpaczliwie.

Ruby znalazła się tuż obok niej, nie odrywając oczu od zbliżających się samochodów.

— Założyłaś sprężynę na słoik? — spytała z niedowierzaniem. — Jak pragnę zdrowia, po co?

— Żeby... żeby siedział spokojnie i nie... nie wysypał się. Masz, ty spróbuj — wcisnęła jej słoik.

Ruby cofnęła się o krok. Nie chciała dotykać tego słoja, a jednak to zrobiła. Sprężyna ześliznęła się z wieczka, i Ruby natychmiast przekazała słoik Dixie. — Wysypuj! — rozkazała.

— Szybciej, na Boga! — ponagliła ją spanikowana.

— Nie mogę — zakwiliła Dixie. — Chcę to zrobić, muszę to zrobić, ale...

— Więc wracamy. — Ruby odsunęła się natychmiast od balustrady.

— Dobrze, dobrze, już, moment.

Dixie podniosła pokrywkę i przechyliła słoik. Ruby wzięła głęboki oddech, chcąc krzyknąć: „W nogi!”. Prochy Hugona Sinclaire’a wzbity się w powietrze, porwane podmuchem wiatru i opadły na jej spoconą skórę.

Ruby wrzasnęła dziko, tracąc resztki kontroli.

— Zdejmij go ze mnie, Dixie, niech cię cholera! — krzyczała przeraźliwie. — O Boże, Boże, mam go we włosach, w oczach, połknęłam go! Słyszysz? Zrób coś! pomóż mi! — Zbiegła z mostu.

— Powiedziałaś, że już. Powiedziałaś, że już! — jęczała Dixie, biegnąc za przyjaciółką. Ruby potknęła się i stoczyła po brzegu do rzeki. Krzyki ustały na chwilę, ale potem rozległy się znowu, kiedy głowa Ruby ukazała się nad powierzchnią wody.

— Dostał mi się do nosa, czuję go! Nie zbliżaj się, bo cię zabiję. Przysięgam na Boga! — Z tymi słowami zanurkowała znowu.

* * *

Długo później Ruby wyczołgała się na brzeg i legła na nim jak bez życia, dysząc chrapliwie i nierówno.

— Nie zmuszałam cię do tego — zawodziła Dixie. — Chciałam, żebyś poszła ze mną i poprosiłam cię, ale nie zmuszałam. Powiedziałaś, że już, więc zaczęłam sypać.

— Jasne, zwał wszystko na mnie. Ten twój skurwysyn obsypał mnie całą, a teraz okazuje się, że to moja wina. Zjeżdżaj! O Boże, Boże, Boże! — Rozpłakała się i znowu zanurzyła w rzece.

Zaczął padać ulewny deszcz. Potoki wody łały się z przeszywanego błyskawicami nieba.

— Wyjdź z wody! — krzyknęła Dixie i wyciągnęła rękę.

Ruby ujęła pomocną dłoń. Wyszła na brzeg, nieświadoma szalejącej wokół burzy.

— Chcę do domu — jęknęła. — Do domu!

— Ja poprowadzę — powiedziała Dixie drżąc. Pomogła Ruby wsiąść, obiegła samochód; deszcz bębnił jej po plecach. Ruszając z miejsca, płakała równie rozpaczliwie, jak Ruby.

Zawsze wszystko psuła. Hugo twierdził, że jest głupia. Wiedziała, że Hugo przyłgnał mocno do Ruby. Ona również czuła go na sobie. Teraz nigdy się go nie pozbędzie. Był tam wszędzie. Już nigdy nie odważy przejechać przez ten most. Ruby straciła nad sobą panowanie. Dixie powinna teraz jej to wynagrodzić, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Spróbowała sobie wyobrazić, jak by zareagowała, gdyby obsypały ją prochy Andrew Blue. Aż ją zemdliło. Nic nie zdoła naprawić tej sytuacji. Nic.

* * *

— Jesteśmy w domu — powiedziała Dixie po dłuższej chwili. — Przyprawdę ci samochód jutro rano, chyba że chcesz, żebym z tobą weszła. Przepraszam cię, Ruby. Chętnie zamieniłabym się z tobą miejscami, gdyby to było możliwe.

— Nigdy więcej nie chcę widzieć tego samochodu — oznajmiła Ruby obcym głosem, wysiadając. — Wyrzuć go. Rób co chcesz, ale go tu nie przyprawdaj. Zostaw mnie. Nie chcę cię widzieć! — krzyknęła i pobiegła do domu.

Wpadła do łazienki i odkręciła wodę w prysznicu. Nie zwracała sobie głowy mydłem; oblała się szamponem i stanęła pod strumieniem wody. Szorowała się i tarła. Musiała wypłukać oczy, namydlić uszy, oczyścić nos. Włożyła palec do gardła i zmusiła się do wymiotów. Patrzyła, jak jej kolacja znika w odpływie prysznicu. Znowu polala się szamponem, odrzucając pustą butelkę. Płakała i zawodziła, prychając mydłanymi bańkami, bijąc pięściami w wyłożone kafelkami ściany. Kiedy woda ochłodziła, wyszła spod prysznicu i wytarła się. Poszła do sypialni po szlafrok. Trzęsa się tak, że nie mogła trafić rękami w otwory rękawów. W łazience uklękła nad muszlą i znowu wsadziła palec do gardła. Krztusiła się i dławiała, ale Hugo nie dał się wygonić. Wiedziała, że zachowuje się jak wariatka, ale nie obchodziło jej to. Dźwignęła się i zacisnęła pasek szlafroka tak mocno, że pisnęła z bólu. Kawa. Właśnie tego jej trzeba. Zeszła chwiejnie po schodach, przytrzymując się balustrady. Nasypała kawę, napełniła dzbanek wodą. Miała szkliste, nie widzące oczy.

Zadzwoił telefon. Dixie? Wyciągnęła drżącą rękę po słuchawkę. Telefonistka spytała, czy godzi się zapłacić za rozmowę.

— Zapłacić! — wrzasnęła. — Zapłacić! O, nie. Nie płacę za żadne rozmowy, dzisiaj, jutro i w ogóle. Koniec! — Trzasnęła słuchawką o widełki.

Pięć minut później, kiedy wlewała kawę do kubka, telefon zadzwonił znowu. Ruby znalazła się przy nim jednym skokiem, zerwała słuchawkę i ryknęła:

— Nie płacę, zrozumiano?!

Zabierała się właśnie do wyszarpięcia ze ściany przewodu, kiedy w słuchawce rozległ się wyraźny głos Andrew.

— I o co te krzyki?

Ruby zatrzepotała powiekami, Andrew. Opowiedziała mu o wszystkim, zachłystując się płaczem.

— Jezu — westchnął ze zgrozą.

— I co mam teraz zrobić? Bez przerwy przechodzą mnie ciarki. Nie mogę... o Boże, nie wierzę, że to mnie spotkało. Muszę skończyć. Chcę wziąć prysznic, woda się już chyba zagrzała.

— Ruby, mogę do ciebie przylecieć najbliższym samolotem. Jeśli złapię dobre połączenie, będę za jedenaście godzin.

Chyba się zmartwił, pomyślała. Zmartwił się o mnie.

— To niemądre. I co zrobisz, wyszorujesz mi plecy? Dzwoniłeś z jakiegoś powodu?

— Jeśli tak, już nie pamiętam. Idź pod ten prysznic. Zadzwoń później.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na dzbanek z kawą. Opróżniła swój kubek trzema haustami. Położyła ręce na stole, próbując opanować ich dygot. Wstrzymała oddech, cofnęła się i sięgnęła pod stół po puszkę wybielacza. Rozejrzała się po półkach w poszukiwaniu szamponu. Nie znalazła. Kiedy dzieci były w domu, zawsze trzymała w zapasie pięć lub sześć butelek, ale teraz rzadko go kupowała. Sięgnęła po proszek do prania i zaniósła go na górę razem z wybielaczem. Tym razem zaczęła się myć proszkiem do prania. Silny detergent penił się bardziej niż mydło. Całe ciało zaczęło ją piec i palić żywym ogniem. Miała wrażenie, że wypadną jej wszystkie

włosy. Podrygując z bólu, splukała pianę, wyszła spod prysznicu i wytarła się. O Boże!, łkała. Boże!

* * *

Siedziała na środku łazienki, kiedy usłyszała, że otwierają się kuchenne drzwi. Dixie?

— Hej, mamuś, jesteś tam?! — zawołał Andy i wbiegł pospiesznie po schodach. Rzucił się przy niej na kolana i chwycił ją w objęcia. — Ojciec do mnie zadzwonił. Kazał mi tu przyjechać, powiedział, że mnie potrzebujesz. Wiem o wszystkim. — Zaczął gładzić mokre włosy matki i szeptać uspokajające słowa.

Świt zastał ich na podłodze łazienki pogrążonych w głębokim śnie. Ruby ocknęła się i spróbowała rozchylić powieki, ale były zbyt spuchnięte. Twarz rozděła się jej jak balon i paliła żywym ogniem. Andy. Andy jest przy niej. Potem przypomniała sobie. Zaczęła wyzwać się z mocnego uścisku syna, dygocząc jak w febrze. Musiała wziąć prysznic.

— Mamuś? — mruknął zaspany Andy. — Czekaj, chcę ci się przyjrzeć. O Jezu! — Jego oczy napełniły się łzami. — Co do cholery... Coś ty wymyśliła?

Ruby westchnęła. Chciała wzruszyć ramionami, ale skóra zbyt ją piekła.

— Wzięłam... Oblałam się wybielaczem. Chciałam... starałam się... Muszę wziąć prysznic.

— Wzywam doktora. Możesz wstać?

— Jeśli mi pomożesz. On... on jest... wszędzie... Nie mogę... Wiem, że on... Boże, miałam otwarte usta... Zwymiotowałam... Och, Andy, co ja teraz zrobię? — Zaczęła płakać.

— Siedź spokojnie — rozkazał. — Zobaczą... Teraz sprawdzę, czy coś w tobie ugrzęzło.

— Nie... nie dotykaj mnie.

— Mamuś, zrobię to i koniec, więc siedź spokojnie — powiedział ze sztuczną wesołością. Dopiero kiedy rozgarnął jej włosy, dotarła do niego powaga sytuacji. Spojrzał z bliska na zaczerwienioną, pokrytą pęcherzami skórę głowy matki, usiłując dostrzec jakiegokolwiek śladu Hugona Sinclair'a. Sprawdził uszy matki, zajrzał jej do nosa i kazał otworzyć usta. Przycisnął jej język szczoteczka do zębów. Potem przykucnął przed Ruby. — Jesteś czysta, mamuś. Zmyłaś to.

— Andyyyy — jęknęła.

— Mamo, nigdy cię nie okłamałem. Położę cię teraz do łóżka. No chodź. Starła się, jak mogła, ale była tak słaba, że zataczała się i potykała. Poczowała, że syn unosi ją w górę i kładzie delikatnie na swoim łóżku.

— Zaraz wrócę.

Doktor Nick Palomo, stary kumpel Andy'ego, gwizdnął bezgłośnie.

— Zrób nam kawę, a ja dam twojej matce zastrzyk. Potem mogę spędzić z tobą siedem i pół minuty.

Andy zdążył wyjąć filizanki i postawić dzbanek z kawą na podgrzewaczu, kiedy jego kolega pojawił się w kuchni.

— No, dała sobie w kość, ale nic jej nie będzie. Zostawiłem na szafce maść, a także receptę, którą masz zrealizować. Po zastrzyku prześpi cały dzień. To dla niej najlepsze lekarstwo. Za trzy, cztery dni będzie jak nowa. Dwadzieścia pięć dolców, Blue, i żadnych czeków. — Roześmiał się. — Nabierałeś mnie, czy naprawdę... no, wiesz...

— Tak, naprawdę to zrobiły. To długa historia...

Ozdobny zegar na kominku wybił dwunastą w nocy. Ruby wyplątała się z kokona spowijających ją koców. Czowała się tak wypoczęta, tak pełna życia, tak pełna satysfakcji... Skuliła się na sofie, grzejąc się w ciepłe ognia. W palenisku trzaskało ogromne czereśniowe polano. Wydzielało z siebie żywiczną woń. Telewizor mruczał cicho od kilku godzin. Do Ruby docierały jedynie niewyraźne głosy. Dźwięk, nic więcej. Znowu otuliła się kocami. Polano pękło na pół i strzeliło snopem iskier, które odbiły się od ścian kominka. Ruby pomyślała, że Calvin powinien patrzeć razem z nią na ten ogień. Zadzwoił telefon stojący na stoliku obok sofy.

— Calvin! — krzyknęła Ruby. Omal nie spadła na podłogę, sięgając po słuchawkę. — Halo? — rzuciła bez tchu.

— Ruby, to ty? Masz bardzo szczęśliwy głos — odezwał się Andrew jowialnie.

— Andrew, już północ. Co się stało?

— Nic się nie stało. Chciałem tylko pogadać. Ty też tak czasami robisz. Ja cię nie przesłuchuję, kiedy dzwonisz. I nie ściga mnie żaden zazdrosny mąż. To było w zeszłym tygodniu. — Roześmiał się z własnego żartu.

Ruby skrzywiła się do słuchawki.

— O czym chcesz porozmawiać? — spytała ostrożnie. W przypadku Andrew wszystko mogło się zdarzyć. — Cieszę się, że dzwonisz. Też chciałam do ciebie zadzwonić. I też pogadać.

— O czym? — spytał podejrzliwie. — Mów pierwszy.

— W zeszłym tygodniu byłem w Miami i zdaje się, że zrobiłem dobry interes. Jeden z tamtejszych dużych hoteli chce wynajmować od nas narty wodne dla gości. To spore pieniądze. Porozmawiałem, z kim trzeba i okazuje się, że wynajęcie nart na pół godziny to sześćdziesiąt pięć dolarów. Zdaje się, że to nie koniec. Mam jeszcze na celowniku trzy lub cztery hotele. Ale muszę zamówić więcej nart. Potrzebuję też parę przyczep, jakiejś ciężarówki lub furgonetki i parę domków na plaży. Hotele nie zgodzą się na nic obscurnego. I co ty na to?

— Prosisz mnie o radę czy pieniądze?

— O to i o to — powiedział z prostotą. — Więc?

— Czy będziesz ich jedynym dostawcą nart? Jeśli tak, to oferta brzmi ciekawie. Zakładam, że to przemyślałeś. Ile?

— Przyślę ci dokumenty. Sam jeszcze nie wiem. Jak sądzisz, czy to dobry pomysł?

— A ubezpieczenie? — spytała wieczna realistka.

— To własność hotelu, oni się tym martwią. Ja tylko dostarczam rozrywek.

— Trudno uwierzyć, że będziesz naprawdę pracować. A przy okazji, czemu nie zapłacisz z własnych pieniędzy?

— No coś ty, przecież mnie znasz. Żyję ponad stan.

— Wiem, że to głupie pytanie, ale co będę z tego mieć?

— Moją polisę ubezpieczeniową — powiedział chytrze.

— Daj spokój, Andrew. To ja płacę składki. Zamierzałam sprzedać jutro pakiet akcji. Zamiast tego przepiszę je na ciebie, a tyje wykorzystasz, kiedy będziesz potrzebować pieniędzy.

— Dziękuję. I słuchaj, chcę ci powiedzieć coś jeszcze. Pewnie nigdy już się nie zdobędę, by to przyznać, ale kiedy zadzwoniłaś i powiedziałaś o Fortune 500, byłem oszołomiony. I jak Boga szczerze kocham, naprawdę się ucieszyłem. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, co to dla mnie znaczy. Kiedy dziękowałaś mi za to, że zachowywałem się jak bydlę, musiałem się nad sobą spokojnie zastanowić. I tak naprawdę zadzwoniłem do ciebie nie dlatego, żeby powiedzieć o

moich interesach, tylko żeby cię za wszystko przeprosić. I przykro mi z powodu tego numeru z Hugonem. Chcę się z tobą podzielić zyskami. Będę z tobą tak samo uczciwy, jak ty ze mną.

To nie może być Andrew, przemknęło przez głowę Ruby.

— Dziękuję ci. — Nie potrafiła znaleźć sensowniejszych słów.

— Znam ten ton. — Roześmiał się. — Zastanawiasz się, co to znowu wymyśliłem, ale mylisz się. Jesteś w porządku, Ruby, i rozbiję nos każdemu, kto będzie twierdził, że jest inaczej.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

— Dzięki, Andrew.

— W końcu po co ma się byłego męża — powiedział głębokim, ochryplym głosem.

— Nie jesteśmy rozwiedzeni. Co o tym sądzisz?

— Sądzę, co sądzę. Spytaj, kiedy będziesz bardziej poważna. Przedyskutujemy sprawę.

— Dobranoc. Śpij dobrze — szepnęła.

— Ty też, Ruby. Pozdrowienia dla dzieci.

Ruby dorzuciła do kominka następne polano i znowu owinęła się barwnym kocem.

Pozdrowienia dla dzieci. Potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć. Miły Andrew! Troskliwy i wrażliwy. I wzruszył ją, kiedy wspomniał o dzieciach. Chyba był szczęśliwy. Ich pełen wrogości związek powoli zmienił się na lepsze. Zniknęły stare urazy. Teraz stali się właściwie przyjaciółmi. W głębi duszy wiedziała, że mu się uda, ponieważ pomysł był tak samo zwariowany, jak jej przed wieloma laty. Cieszyła się, że pomogła Andrew.

Długo później, kiedy polana w kominku zmieniły się w żarzące się główne, Ruby pograżyła się w błogiej drzemce. Śniła o lesie, po którym biegał Calvin i na korze drzew wycinał inicjały. We śnie klaskała w dłonie, wołając donośnym głosem: „Jestem szczęśliwa! Jestem szczęśliwa!” A Calvin pracował jeszcze szybciej, mrużąc pod nosem: „I ja też, i ja też!”

* * *

Poniedziałek. Nowy dzień, nowy tydzień, pomyślała Ruby, zatrzymując samochód na parkingu. Siedziała przez chwilę nieruchomo, tak jak co ranka, i patrzyła na budynek projektu Andy'ego.

Siedziba firmy „Pani Sugar” mieściła się w długim, niskim i nieregularnie rozplanowanym budynku z cegielki, przypominającym domek z piernika. Na maszcie powiewała flaga, również według projektu Andy'ego. Była zrobiona z grubego płótna żaglowego. Widniało na niej logo firmy — czapka kucharska i wałek. Andy rozplanował nawet układ zieleni i doglądał jego realizacji. Wszystko razem miało swoisty wdzięk.

Na parkingu stały tylko samochody nocnych portierów, którzy wychodzili o wpół do ósmej, mijając się we drzwiach z personelem. To Dixie zaprowadziła tu zwyczaj wczesnego przychodzenia do pracy. Twierdziła, że ludzie chcą wracać do domu wcześniej, żeby zdążyć załatwić własne sprawy, zwłaszcza zimą, kiedy szybko robiło się ciemno. Ruby zawsze wstawiała skoro świt, więc z entuzjazmem poparła pomysł Dixie.

William, nocny portier, otworzył drzwi przed Ruby.

— Ogień się pali, kawa gotowa. Zimno dzisiaj, prawda? — powiedział z szacunkiem, uchylając czapki.

— Dziękuję, Williamie. Rzeczywiście, jest zimno. Pani Sinclair jeszcze nie przyszła?

— Jest pani pierwsza. — William zamknął drzwi na klucz. Dzień pracy miał się zacząć dopiero za czterdzieści minut.

Ruby poszła korytarzem w stronę dużych drzwi z napisem PREZES. Jej gabinet znajdował się po lewej stronie, Dixie — po prawej. Przedzielała je niska ceglana ścianka, na której stały ozdobne rośliny w miedzianych donicach.

Było to piękne pomieszczenie i Ruby czuła się w nim bardziej u siebie niż w domu na Ribbonmaker Lane. Uwielbiała swoje biurko z litego drewna, kominek z polnego kamienia, emanujący ciepłem i wielki miedziany kocioł, w którym bezustannie gotowała się wanilia i cynamon. William zawsze napełniał go świeżą wodą i przyprawami, kiedy rozpalał ogień. A wiosną i latem wstawiał do kominka ogromne, barwne bukiety.

Solidne dębowe fotele z siedzeniami w czerwono-białą kratę kusity, żeby na nich usiąść. Wkrótce na dębowym stole pojawią się talerze ze świeżymi ciasteczkami, które przynoszono tu trzy lub cztery razy dziennie. Przez gotyckie okno wpadało poranne słońce. Na niskim, szerokim parapecie leżały poduszki również w czerwono-białą kratę. Na prawo od kominka znajdowała się alkowa z małym telewizorem, stereo, lodówką i ekspresem do kawy, stojącym na przenośnym barku.

Dębową podłogę, tak lśniącą, że można było się w niej przejrzeć, częściowo przykrywał ręcznie robiony dywan, który Andy nabył od Amiszów.

Ale najwięcej radości przynosiła Ruby specjalnie zaprojektowana dla niej tapeta. Wzdłuż ścian maszerowały małe pulchne gnomy w fartuchach i czapkach kucharskich. Trzymały tace pełne ciastek i uśmiechały się szeroko, z zadowoleniem.

Ruby przeszła do części zajmowanej przez Dixie. Posmutniała, kiedy jej spojrzenie padło na płaski wiklinowy koszyk. Siedziała w nim rodzina szmacianych kotów, do złudzenia przypominających żywe. Kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, chciała wziąć jednego na rękę. Dixie popłakała się ze śmiechu. Wszyscy dostrzegali je i komentowali. Tym razem Ruby wzięła jedno z wypchanych zwierząt i przyjrzała mu się z bliska. Wydawało się jej, że czuje wodę toaletową Dixie. Położyła kota na miejsce i przesunęła palcem po jego ostrych jak szpileczki wąsikach. Zamrugła powiekami, usiłując powstrzymać wzbierające łzy.

Wróciła na swoją stronę pokoju i nalała sobie filiżankę kawy. Usiadła w fotelu i zaciągnęła się z rozkoszą pierwszym tego dnia papierosem. Chciała zastanowić się nad swoją rozmową z Andrew.

Usłyszała cichy dzwoneczek swojego prywatnego telefonu. Specjalnie wybrała taki sygnał, zamiast zwykłego, hałaśliwego jazgotu. Bardziej pasował do charakteru zacisznego gabinetu. Podniosła słuchawkę staroświeckiego aparatu, taki telefon stał niegdyś w kuchni babci.

Uśmiechnęła się promiennie, spodziewając się usłyszeć głos Andy'ego lub Marthy i oznajmiła:

— Witamy! Ciasteczek już nie ma.

— Nie dzwonię w sprawie ciasteczek — rozległ się przeciągły głos Calvina. — Dzień dobry, Ruby. Chciałem zacząć ten ranek od usłyszenia twojego głosu.

— Calvin! Cudownie. Przed chwilą o tobie myślałam — zniżyła głos do szeptu. — Śniłeś mi się.

— Mam nadzieję, że miło. Roześmiała się.

— Ach tak, *mon general*, byłam bardzo zadowolona. Gdzie jesteś, słyszysz jakieś hałasy?

Teraz to on się roześmiał.

— W Mariotcie. Samochód chyba sam mnie tu zawiózł. Muszę już kończyć, pora na mnie. Zadzwoń koło wpół do szóstej. Kocham cię — powiedział cicho.

— A ja kocham ciebie. Cześć.

Ten dzień zaczął się cudownie.

Jej sekretarka, Olga Peters, wsunęła głowę do pokoju, by obwieścić swoje przybycie.

— Widziała pani te wiadomości, które zostawiłam na biurku?

— Widziałam, ale nie czytałam. Jest coś ważnego?

— Pewien pan, nazwiskiem Conrad Malas, dzwonił osiem razy. Nie wyjawiał, czego chce. Wydusił tylko, że to sprawa osobista. Powiedziałam, że będzie pani dzisiaj, a on poprosił o spotkanie. Powinien wkrótce się zjawić. Mogę powiedzieć, że jeszcze pani nie wróciła, jeśli nie chce pani z nim rozmawiać. Nie wiedziałam, czy mam go umówić. Zachowywał się tak tajemniczo. Nie zostawił numeru telefonu, ale odniosłam wrażenie, że jest dość stary. Miał taki drżący głos.

Ruby wahała się tylko przez chwilę. Nie wiadomo dlaczego, nazwisko mężczyzny wywołało dobre przeczucia.

— Przyjmę go, Olgo. Czy Dixie dzwoniła?

— Tak, w czwartek i piątek. Chyba była zakatarzona. Nie przyszła jeszcze. I nie zadzwoniła.

— Pewnie źle się czuje. Ja też raczej nie spędzę tu całego dnia. Zamknij za sobą drzwi. Sekretarka uniosła brwi. Jej oczy zamigotały wesoło.

— Tak jest.

Ruby usiadła za biurkiem i przejrzała wszystkie wiadomości. Nic pilnego. Żałowała, że Dixie nie pojawiła się w pracy. Minęły już dwa tygodnie od śmierci Hugona. Ruby nie mogła zapomnieć tych wszystkich strasznych słów, które rzuciła w twarz przyjaciółce tamtej koszarnej nocy. Wtedy nie mogła się powstrzymać. Modliła się, żeby Dixie jej wybaczyła.

Zaczęła bębnić palcami w blat biurka, obserwując wskazówki zegara, zbliżające się ku godzinie dziewiętej. Niech to, zapomniała spytać Olgę, na którą zapowiedział się pan Malas.

Przemęczyła się przez następną godzinę, nie robiąc zupełnie nic. Czuła się, jakby oczekiwała na coś ważnego. Nie miała tylko pojęcia, co by to mogło być. Może to przez tę kawę. Odetchnęła z ulgą, kiedy Olga uchyliła drzwi.

— Przyszedł pan Malas. Bardzo mu zależy na spotkaniu z panią. Ma ze sobą papierową torbę, wie pani, taką lśniącą, jak te z piekarni.

— Wprowadź go — poleciła Ruby, coraz bardziej zaciekawiona.

Conrad Malas wyglądał jak kościsty Święty Mikołaj. Miał kędzierzawe włosy i brodę. Jedwabistą i delikatną, połyskliwą jak białe perły. Ruby wskazała mu jeden z foteli przy kominku. Korciło ją, żeby pogłodzić jego brodę.

— Kiedyś byłem tęższy — powiedział, jakby czytał w jej myślach. W jego wyblakłych błękitnych oczach zamigotały wesołe iskierki. — Wszyscy biorą mnie za tego słynnego dżentelmena. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać. — Przyjął kubek kawy. — Mojej żonie spodobałby się ten pokój. Teraz mieszka w domu opieki w Atlantic City. Nie pamięta już niczego, chociaż ma serce dwudziestolatki. Tak powiedział lekarz. — Jego mina świadczyła o tym, że starszy pan nie rozumie takiego obrotu rzeczy.

— To przykre. Czy chce pan, żebyśmy wysłali ciastka do domu opieki, w którym mieszka pańska żona? Możemy to zrobić, to nic takiego.

— O mój Boże, nie, to nie dlatego do pani przyszedłem. Chcę pani coś zaproponować. Proszę. — Podsunął jej torbę.

— Czekoladowe ciasteczka?

— Sam je upiekłem. Dzisiaj, o szóstej rano. Prowadziłem z żoną piekarnię z Atlantic City. Przez czterdzieści lat. To była taka sobie mała piekarenka, rodzinny interes, jak to mówią. Pomagali nam nasi synowie. Teraz mają własne rodziny i potrzebują więcej, niż mogą im zapłacić. Pracują w Nabisco — dodał gorzko.

Ruby skosztowała ciasteczko. Na ogół nie próbowała wypieków, które przynosili petenci. Wszyscy chcieli, żeby je produkowała. Zwykle grzecznie odmawiała, tłumacząc, że firma

zajmuje się pieczeniem tylko trzech rodzajów ciastek. Zjadła ciasteczko pana Malasa do ostatniej okruszyny i zajrzała do torby w poszukiwaniu następnego. Szkoda, że nie było tu Dixie.

— Pyszne! — powiedziała szczerze.

— Dziękuję. Na samym dnie jest inne ciastko. Proszę je skosztować.

Ruby wydobyła z torby owsiany makaronik z rodzynekami i włożyła go do ust. Uniosła brwi.

— Przecież to ciasteczko „Pani Sugar”!

— Tak, w pewnym sensie. Ale w Atlantic City nazywamy je ciasteczkami pana Malasa. Moja teściowa i matka robiły takie ciastka na Ukrainie. Kiedy przyjechaliśmy do Ameryki, chcieliśmy się stać Amerykanami, więc zmieniliśmy nazwisko, ale pragnęliśmy też zachować jakieś wspomnienie ojczyzny, więc założyliśmy naszą piekarenkę.

— Mój ojciec także zmienił nazwisko — powiedziała Ruby z namysłem, usiłując zorientować się, dokąd zmierza ta rozmowa. — Czym mogę panu służyć?

— Chcę pani sprzedać przepis na te czekoladowe ciastka. Przedyskutowałem to z moimi synami i zgodzili się. A mamuśka... mamuśka też by nie miała nic przeciwko temu, gdyby mogła jasno myśleć.

— Też tak sędzę — mruknęła Ruby.

Pan Malas czekał, a w jego jasnych oczach pełgało światło. Ruby uśmiechnęła się.

— A może zechce pan upiec partię tych ciastek w naszej eksperymentalnej kuchni?

— Z wielką chęcią. Przez partię rozumie pani tuzin czy dwanaście tuzinów?

— A może sześć tuzinów?

— Umowa stoi — zgodził się starszy pan, wychodząc w ślad za nią.

— To tutaj. — Ruby wskazała na lśniącą, białą kuchnię. Zawahała się, zanim spytała: — Dlaczego przyszedł pan akurat do mnie?

— Bo nie chciałem iść do tych innych. Oni robią takie twarde, suche ciastka i pakują je w celofan. A potem w pudełka. Moi synowie pracują w Nabisco. Nie sędzę, żeby robili tam czekoladowe ciasteczka. W ich wyrobach jest tyle konserwantów, że nie powinny być dopuszczone do sprzedaży. Nie potrafię wymówić nazw tego, co do nich dodają. Skoro nie mogę ich wymówić, nie chcę tego jeść. Inni także nie powinni — powiedział z przejęciem.

— Rozumiem. — Ruby uśmiechnęła się. Niech to, naprawdę wygląda jak Święty Mikołaj. Powiedziała to głośno.

— Jestem gotowy.

— A zatem proszę zaczynać. Muszę wrócić do gabinetu, więc zostanie pan sam. Ja zatelefonuję w parę miejsc. Proszę mi powiedzieć — dodała, obejrzawszy się przez ramię, pewna, że zobaczy za sobą osiem reniferów — czy mógłby pan pojechać do Nowego Jorku? Kiedy upiecze pan ciastka, naturalnie. Pojechałby pan naszym samochodem. Poproszę prawnika, żeby czekał na pana z odpowiednimi dokumentami.

— Rozumiem. Dobrze, mogę pojechać, ale najpierw zadzwonię do domu opieki i uprzedzę, że dzisiaj nie przyjdę. Ta kuchnia mi się nie podoba — oznajmił pan Malas, rozglądając się po antyseptycznym białym pomieszczeniu.

Ruby uśmiechnęła się.

— Mnie też, ale przepisy mówią, że ma być sterylnie czysta. Wszystkie składniki są świeże, kupione dzisiaj. Włączę piec. Proszę nie zawracać sobie głowy sprzątaniami, mamy od tego ludzi. Widzi pan ten brzęczyk? Proszę go przycisnąć, kiedy będzie pan gotowy. Przepraszam, ale kiedy kuchnia jest używana, drzwi zamykają się automatycznie. Czy to panu przeszkadza?

— Nie, miła pani.

Serce Ruby ścisnęło się, kiedy starszy pan wręczył jej swoje biedne okrycie. Przełknęła ślinę, widząc schludnie zacerowane dziury na łokciach jego swetra. Pan Malas musiał mieć niezwykłą wprawę w cerowaniu. Siedzenie jego spodni było tak samo wyświecone, jak jego buty.

— Musi pan włożyć ten... fartuch i czapkę — powiedziała, wskazując mu szufladę pod zlewem. — Przepisy — mruknęła. — A na ile pan wycenia przepis?

Starszy pan rozłożył ręce.

— Złożę panu uczciwą propozycję — obiecała.

Prawnicy oznajmili, że jej propozycja jest nawet zbyt uczciwa.

— Pół miliona! — zakrzuszył się Alan.

— Zwariowałaś! — krzyknął Marty.

— Macie rację. Uznajcie to za mój dobry uczynek na to dziesięciolecie. Głupia nie jestem. Pan Malas ma dwóch synów, którzy pracują na Nebisco. Jeśli zapłacę im zbyt mało, pójdzie do nich. Kto wie? Może zaproponują mu więcej niż ja. Nie będę ryzykować. Chcę mieć ten przepis. Wszyscy członkowie jego rodziny mają podpisać zrzeczenie się praw do tego przepisu.

— To my jesteśmy prawnikami — przypomniał jej Alan.

— Zgadza się — przyznała ze śmiechem. — Przepraszam, nie chciałam was pouczać. Ja tylko piekę ciasteczka.

Ruby przysiadła na krześle tuż przy kominku. Zadzwoiła do domu opieki i przekazała wiadomość od Malasa. Potem wykręciła numer Silasa Ridgely'a. Streściła mu wydarzenia tego dnia. Krzyczał głośniejszy niż obaj prawnicy.

— Tak się nie robi interesów! Najpierw dajesz swojemu mężowi małą fortunę na te narty, a teraz to! Nawet nie wiesz, czy wykorzystasz ten przepis. Naprawdę, nie rozumiem cię. I zanim spytasz, o szóstej wylatuję z Kennedy. Już skontaktowałem się z twoim mężem. Obiecał, że wyjdzie po mnie na lotnisko. Ruby, to nie jest korzystne posunięcie — pouczył surowo.

— To się dopiero okaże. Słuchaj, chciałabym, żebyś zapoznał pana Malasa z przepisami podatkowymi. Niech zrozumie, że jeśli od razu pobierze wszystkie pieniądze, zapłaci straszny podatek. Wyjaśnij mu wszystko, proszę. A, i jeszcze jedno, pomyśl, że ja się tu kulę przy ogniu, a ty wysiądziesz z samolotu na Hawajach i jakaś piękna dziewczyna zawiesi ci na szyi girlandę z kwiatów. No, to cześć.

Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, choć ręce trzęsły się jej od sześcioro wcześniejszych. Dzięki Bogu, wykończyła ten dzbanek. Dixie powinna już tu być. Gdzie się podziewała?

Kiedy wykręciła numer Sinclairów, jej nerwy napięły się do ostateczności. Odczekała dwadzieścia sygnałów. Gdzie ta Dixie? A może wcale nie siedzi w domu. Zadzwoiła do biura podróży, z którego usług korzystała ich firma, przedstawiła się.

— Chciałabym spytać, czy pani Sinclair wzięła już swój bilet. Sekretarka nie może sobie przypomnieć.

— Ach, tak. W piątek po południu. Zarezerwowała bilet na poranny rejs do Rochester. Chyba o siódmej. Mogę sprawdzić, jeśli sobie pani życzy.

— Nie, to niekonieczne. Dziękuję ci, Joan.

A więc Dixie zdecydowała się na operację. Co innego mogłaby robić w Rochester? Rozmawiały o tym godzinami, czuwając przy Hugonie. A jednak byłoby miło, gdyby powiadomiła ją o swojej decyzji. Ruby miała nadzieję, że operacja się powiedzie. Dixie musiała robić to, co jest dla niej najlepsze. Nie trzeba do niej dzwonić. To by ją tylko zdenerwowało. Ruby zapadła w krótką drzemkę. Śniła o Calvinie. Jej niespokojny sen przerwało pukanie do drzwi. Otworzyła je, nieco oszołomiona, i ujrzała Conrada Malasa, uśmiechniętego od ucha do ucha.

— Co mogę powiedzieć? — spytał.

— Nic, kupiłam od pana coś, co mógł pan sprzedać komuś innemu. Myślę, że w Nabisco dałoby panu tyle samo.

Malas pokręcił głową.

— Nabisco jest za duże i bezosobowe. To by już nie było to samo. Moja Inga polubiłaby panią. Zrozumiałaby to wszystko. Moja Inga zawsze lepiej się znała na rachunkach. Ja potrafię tylko piec ciastka.

Ruby udała, że nie widzi, jak wyblakłe oczy zachodzą łzami.

— Czy prawnik wszystko panu wyjaśnił?

— O, tak. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek zdecyduje się pani produkować moje ciastka, będę dostawać półtora procent zysku. Zapewniłem, że nie trzeba, ale on twierdził, że właśnie tak. Powiedział też, że może nigdy się pani nie zdecyduje, ale jeśli tak, a mnie i Ingi już nie będzie, pieniądze będą napływać na konta naszych synów.

— Właśnie tak. Tak jest sprawiedliwie.

— Więcej niż sprawiedliwie. Jutro opowiem o tym mojej Indze i może... może dostrzegę znak, niewielki znak, że zrozumiała. To się czasami zdarza.

— Mam nadzieję, że tak się stanie. Śnieg znowu zaczął padać. Naprawdę chce pan jechać do Atlantic City? Drogi są trudno przejezdne.

— Ten miły pan, który zawiózł mnie do miasta, wezwał dwóch pani pracowników i kazał im założyć łańcuchy na opony mojego auta. To wystarczy. Dziękuję pani za wszystko — zakończył uroczyście.

— Odprowadzę pana.

Kiedy wróciła, recepcjonistka powiadomiła ją, że dzwonił Paul Farano.

— Czego chciał? Zostawił wiadomość? — Nagle przypomniała sobie, że to pseudonim Calvina. — Czy powiedział, że zadzwoni jeszcze raz?

— Nie, nie powiedział.

— Czy prosił, żeby oddzwonić?

— Nie, nie prosił. Teraz już wychodzę, chyba że chce pani, żebyśmy została dłużej.

— Dobranoc, Mario.

— Dobranoc, pani Blue.

Entuzjazm opuścił ją bezpowrotnie. Dziś Calvin już nie zadzwoni. Chyba że spróbuje z domu, ale to mało prawdopodobne. Rozpogodziła się, przypominając sobie, że obiecała do niego pisać. Właśnie tym zajmie się po kolacji. Rozpali ogień, umości się na sofie i napisze do Calvina długi list. Humor natychmiast się jej poprawił. Na dworze sypał gęsty śnieg. Patrząc na wirujące płatki, była niemal szczęśliwa.

Po kolacji wzięła prysznic i przygotowała sobie wszystko, by wygodnie spędzić ten wieczór. Jednak nie mogła pogodzić się z tym, że nie wie, co dzieje się z Dixie. Zadzwoniła do kliniki Mayo, podając się za siostrę pani Sinclair.

Młody głos w słuchawce objaśnił ją, że pani Sinclair jest już po wstępnych badaniach. Jutro lekarze wyznaczą termin operacji.

— Czy mam jej coś przekazać?

— Nie, nic. Moja siostra chce przez to przejść o własnych siłach, więc wszyscy obiecaliśmy nie nękać jej telefonami.

— Niektórzy pacjenci tacy już są — potwierdził wesoły głos. — Jeśli zechce pani zadzwonić jutro, chętnie poinformuję panią o stanie zdrowia pani Sinclair. Nazywam się Dawn Baker.

— Dziękuję, panno Baker. Tak zrobię.

Ruby nie miała pojęcia, czy telefon poprawił, czy też popsuł jej humor. Spojrzała na pustą kartkę. Jak może pisać, skoro Dixie pochłaniała jej myśli? Dixie czekała poważna operacja. Ktoś

powinien z nią być, ktoś, komu na niej zależy. Ale może Calvin będzie wiedział, jak postąpić. Może właśnie o tym powinna do niego napisać?

Jej długopis śmigał po karteczce w linie. Pisanie o Dixie było łatwe. Czasami na żółty papier padała łza, zostawiając po sobie plamę. Ruby nie przejmowała się tym. Calvin to zrozumie.

O dziewiątej, kiedy zaklejała kopertę, zadzwonił telefon. Telefonistka spytała, czy zapłaci za rozmowę z Paulem Farano. Ruby otworzyła szeroko oczy. Płatny telefon! Uczucia, którego w tym momencie doświadczyła, nie potrafiła nazwać, ale z pewnością nie było miłe. Przyjęła rozmowę i odepchnęła od siebie nie zaadresowaną kopertą.

— Przepraszam, że dzwonię na twój rachunek, ale Eve zaczęłyby coś podejrzewać. Zwrócę ci pieniądze, kiedy się spotkamy — obwieścił Calvin konspiracyjnym szeptem.

— Myślałam, że nie przejmujesz się Eve, Calvinie. Co za różnica, że dzwonisz poza miasto? I tak nie wie, kim jestem.

— Myślałem, że już to uzgodniliśmy — wyszeptał. — Wiesz, że nie mogę ryzykować. Na razie to wszystko, co mogę zrobić.

Ruby z trudem rozróżniała poszczególne słowa.

— Mów głośniej, nie słyszę cię.

— Nie mogę, Eve jest w pokoju obok. Wyłącz telewizor.

— Nasza rozmowa nie sprawi mi przyjemności, jeśli będziesz... jeśli twoja żona jest w pobliżu. Może znajdziesz jakąś budkę telefoniczną blisko domu, dowiesz się, jaki ma numer, dasz mi go i będziemy dzwonić na zmianę o umówionych porach. Dlaczego nie zdecydujesz się na separację, tak jak ja z Andrew?

— Chciałbym, ale Eve się nie zgodzi. Mówiłam ci, jaka jest religijna.

Ruby poczuła pierwsze symptomy zbliżającej się migreny. Czekwała na ten telefon przez cały dzień. Nie tak to miało wyglądać. Powinna poczuć się kochana, pożądana.

— Strasznie boli mnie głowa — powiedziała i w tej samej chwili jej słowa stały się rzeczywistością.

— Nie jesteś szczęśliwa, prawda? Masz dość. Słyszę to w twoim głosie — szepnął Calvin.

— Nie, nie jestem nieszczęśliwa, tylko nie podoba mi się ta sytuacja. Myślałam, że nie będzie mi przeszkadzać, ale się myliłam. Nie, nie mam dość. Co to w ogóle znaczy? Kocham cię. Nie planowałam tej migreny, tak jakoś wyszło. Kiedy do mnie zadzwonisz?

— W piątek, po pracy. O wpół do szóstej, mniej więcej. Dobrze?

Ruby skinęła głową, po czym zdała sobie sprawę, że Calvin jej nie widzi.

— Będę czekać.

— Do tej pory zdążę sobie poukładać zajęcia. Będziemy mogli się umówić. Kocham cię, Ruby. Naprawdę. Śnij o mnie, dobrze?

— Dobrze — szepnęła.

— Co? Czemu szepczesz?

— Żebyś wiedział, jak to jest. Do widzenia, Calvinie.

Następnego ranka pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po ubraniu się, była rozmowa z kliniką Mayo. Ciągle nie mogła się pogodzić z tym, że Dixie wyjechała, nie uprzedzając nikogo. Pewnie śmiertelnie się bała, a mówienie o operacji tylko wzmogłoby jej obawy.

— Panna Baker? Tu Ruby Blue. Chciałam spytać o zdrowie mojej siostry, Dixie Sinclair.

— Operacja pani Sinclair została wyznaczona na jutro, na ósmą rano — oznajmiła wesoło młoda pielęgniarka. — To bardzo długa operacja. Proszę zadzwonić jutro po południu. Niech panią przełączą na blok operacyjny.

— Dziękuję. Tak zrobię.

Dixie musi konać ze strachu, pomyślała, odkładając słuchawkę. Jak może przetrwać to w samotności? W ułamku chwili Ruby podjęła decyzję — poleci do Rochester.

Zadzwoniła do linii lotniczych Northwest, zarezerwowała bilet na siódmą wieczorem do Minneapolis, gdzie miała przesiadkę do Rochester.

— Będzie pani na miejscu o jedenastej wieczorem — powiedział urzędnik. I dobrze. Spędzi w firmie cały dzień i wyjedzie po godzinach pracy.

* * *

Na lotnisku w Rochester stanęła o wpół do dwunastej. Dręczyły ją migrena, mdłości i strasznie chciało się jej do toalety. Kiedy uwolniła się od nacisków fizjologii, ruszyła na poszukiwanie postojów taksówek. Miała wrażenie, że na tym trzaskającym mrozie lada chwila wyzionie ducha.

Ciepłe wnętrze taksówki wydało się jej sauną.

— Do najbliższego hotelu, motelu czy czegokolwiek — jęknęła.

— To na nic — oznajmił kierowca, odwracając się ku niej.

— Dlaczego? Niech mi pan nie mówi, że w mieście z powodu targów wszystkie hotele są zajęte. Tylko nie to!

— Jest jeszcze gorzej. Tutaj pokój w hotelu rezerwuje się kilka miesięcy wcześniej. To przez pacjentów kliniki Mayo i ich rodziny.

— I co się zwykle robi w takich przypadkach? — spytała z irytacją. Cholera. Czemu jej to nie przyszło do głowy?

— Szuka się pensjonatów. — Wzruszył ramionami.

— Może mnie pan zawieźć do któregoś z nich? — Nie znam żadnego.

— Więc proszę jechać do kliniki. Spędzę noc w poczekalni.

— Może być — mruknął kierowca i ruszył między muldami zlodowaciałego śniegu. Nie podobały jej się ten śnieg, mróz, Minnesota, zmęczenie i miejsce, do którego wiózł ją taksówkarz.

W klinice było ciepło, ale nie tak jak w taksówce. Ruby osunęła się na krzesło ze skaju. Nie chciała patrzeć na innych ludzi, rozmawiających półgłosem lub płaczących. Zamknęła oczy; usłyszała, że ktoś odmawia „Zdrowaś Mario”. Miała ochotę krzyknąć, żeby przestał. Jak trwoga, to do Boga, stara prawda. „Już nigdy nie zrobię nic złego, jeśli mi pomożesz”. Czyżby ludziom wydawało się, że Bóg jest głupi?

Ruby przebiegła myślami własne życie. Tak często czuła obecność jakiejś siły, wskazującej jej odpowiedni kierunek i dającej nadzieję, kiedy jej potrzebowała. Nazywała ją Bogiem. I czasami rozmawiała z Nim, ale nie po to, żeby o coś prosić.

To ona Jemu zawdzięczała wszystko. Wciąż spłacała to, co uważała za emocjonalny dług. Fundowała stypendia, jako firma i osoba prywatna. Wpłacała datki dla biednych, jako firma i osoba prywatna. Przeznaczyła ogromną sumę własnych pieniędzy na Greenpeace i różne schroniska dla zwierząt w całym stanie. Osobiście dopilnowała, by kolejne gromadki sierot pani Quantrell dostały pieniądze na czesne w dowolnej szkole. To, że Nola odwróciła się do nich plecami, nie znaczyło jeszcze, że ona ma zrobić to samo. Zatrzaszczyła się również o rodziców Noli, ofiarowując im dwunastoosobowy bus, którym mogli przewozić dzieci. Dwa razy w roku przesyłała paki zabawek, ubrań, żywności i pościeli do trzech sierocińców w New Jersey. I, oczywiście, hojnie wspierała przytułek świętego Andrzeja. Tydzień temu zadzwoniła do nowego pastora, który zapewnił, że pamięta o niej w swoich modlitwach. Kiedy zrobiła coś dla innych, doznawała uczucia cudownej lekkości. Może powinna starać się bardziej, dawać więcej. Może powinna wrócić na łono Kościoła. Możemożemoże, pomyślała znużona. Nie mogła tego wiedzieć. Gdyby to było za mało, Bóg dałby jej jakiś znak.

Ze zmęczenia przysypiała. Powinna spytać w rejestracji, w której sali leży Di — xie. Może mogłaby ją odwiedzić. W środku nocy? Raczej nie. Otworzyła raptownie oczy. Rodzice i troje dzieci przesuwali paciorki różańców. Ich głosy szemrały cicho. Ruby zaczęła się zastanawiać mimo woli, za kogo się modlą. Za kogoś, kto wiele dla nich znaczy. W oczach rodziców lśniły łzy. Opuściła powieki. Nie chciała o niczym wiedzieć, nie chciała się mieszać do ich tragedii. Wyglądali ubogo, ale schludnie. Tyle zdążyła zauważyć.

Chcąc nie chcąc, musiała jednak wysłuchać ich historii. Ludzie siedzący obok rozmawiali o modlącej się rodzinie.

— To trzech najstarsi chłopcy Denzelów. Dwanaście, dziesięć i dziewięć lat. Byli w oborze z dziadkiem. Dwaj starsi doili krowy, a najmłodszy zbierał jajka. Dziadek przerzucał siano. Ogromna ciężarówka, z tych co to mają osiemnaście kół, wypadła zza rogu. Kierowca stracił kontrolę nad kierownicą. Uderzył wprost w stodołę. Wszyscy w stanie krytycznym i nie są ubezpieczeni — ubolewał jakiś kobiecy głos.

Ruby zerwała się, jakby coś ją ugryzło. Ruszyła przed siebie korytarzem, nie wiedząc, dokąd właściwie idzie. Rozejrzała się wśród sterylnej bieli w nadziei, że znajdzie jakieś krzesło. Nie trafiła na żadne, ale natknęła się na wielki kosz na śmieci. Siedziała na nim, oparta o ścianę, do szóstej rano.

Później obmyła twarz, przeczesała włosy i otrzepała ciemny sweter ze strzępków bandaża. Potem znowu włożyła płaszcz.

Poszła do kawiarni i zamówiła śniadanie. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobią Denzelowie. Dzieci są zawsze głodne. Czy mieli pieniądze na śniadanie? A może wrócili do domu? Śniadanie wyglądało apetycznie, nawet kusząco, ale ona nie mogła jeść. Skubnęła trochę grzanki i wypila kawę.

W kawiarni pojawiała się coraz więcej osób. Spojrzała przez szklaną ścianę Denzelowie zostali w poczekalni sami. Dwoje najmłodszych dzieci siedziało na kolanach rodziców.

Biedacy są zawsze dumni. W jaki sposób zaproponować im śniadanie? Zawołała kelnerkę i porozmawiała z nią przyciszonym głosem. Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową. Banknot przeszedł z rąk do rąk.

Dochodziła siódma, kiedy Ruby poszła do dyżurki, dowiedzieć się o stan Dixie.

— Dostała narkozę. Przygotowujemy ją do operacji. Przykro mi, ale nie mogę pani wpuścić. Jest pani krewną?

— Tak, siostrą. — Nawet nie mrugnęła.

— Pani Sinclair powiedziała, że nikt jej nie odwiedzi — stwierdziła pielęgniarka, wydymając wargi.

— Nie wiedziałam, czy zdążę.

— Na końcu korytarza jest poczekalnia z telewizorem i gazetami. Na pierwszym piętrze mamy kawiarnię. To będzie bardzo długa operacja. Szkoda, naprawdę szkoda, że nie przyjechała pani wcześniej. Pani Sinclair była taka przerażona.

— Czy mogę na nią spojrzeć, kiedy skończą ją przygotowywać? Może... może... albo proszę jej powiedzieć, że przyszałam. To bardzo ważne dla mnie... dla niej. — Patrzyła z bijącym sercem na zmieniający się wyraz twarzy pielęgniarki. Dobro pacjenta, przepisy, rozkazy doktora, życzenia pacjenta... Przepisy zwyciężyły.

— Powiem jej, że pani przyszała, jeśli jest przytomna. Tyle tylko mogę zrobić.

Ruby patrzyła na oddalającą się korytarzem pielęgniarkę i jednocześnie zastanawiała się, gdzie leżą dzieci i dziadek Denzelów. Nie potrafiła sobie wyobrazić choćby w przybliżeniu, przez co przechodziła ich rodzina. Czy modlitwa pomogła? Boże, gdybym mogła wiedzieć, szepnęła.

Z zadumy wyrwał ją głos pielęgniarki.

— Chyba zrozumiała wiadomość, chociaż narkoza zaczyna już działać. Poprosiła, żeby torebkę oddać pani. Oczywiście nie mogę tego zrobić. Rozumie pani? — Ruby skinęła głową. Pielęgniarka mówiła coś jeszcze, ale Ruby odwróciła się i odeszła.

Pisnęła ze strachu, kiedy na jej ramię opadła czyjaś ręka.

Był wysoki, metr osiemdziesiąt i chudy jak szczapa. Zniszczony stetson, zsunięty na tył głowy. Długa, pociągła twarz, obsypana chmarą piegów. Rude włosy, łagodne, piwne oczy w oprawie długich, jedwabistych rzęs. Spłowiałe džinsy, kowbojki i za duży sweter, przeraźliwie sprany, ale za to zdradzający przynależność właściciela do Klubu Harley–Davidsona.

Ruby nie miała pojęcia, kim jest ten zuchowaty chłopak, dopóki nie zobaczyła jego dłoni. Wtedy zrozumiała. Piękne dłonie o długich, smukłych palcach i krótko obciętych paznokciach. Ręce pianisty lub chirurga.

— Przepraszam — powiedział chłopak, cofając się o krok. — Nie chciałem pani przestraszyć. Nazywam się Kyle Harvey. Będę operował panią Sinclair. Czy pani nie nazywa się przypadkiem Ruby Blue?

— To ja. Tak, tak, jestem Ruby Blue. Nie wygląda pan na chirurga. Ile ma pan lat? Czy już pan robił takie operacje? Czy Dixie wyzdrowieje? Wygląda pan jak... Huckleberry Finn. O Boże, przepraszam, nie chciałam! Jestem zdenerwowana — jęknęła. — Nie wyspałam się. Nie ma wolnych miejsc w hotelach.

— Spróbuję odpowiedzieć po kolei. Mam trzydzieści sześć lat. Zrobiłem już wiele podobnych operacji. Mam mnóstwo dyplomów, które potwierdzają, że mogę wykonywać operacje, ale zdaję sobie sprawę, że najbardziej interesuje panią opinia pani Harvey. Moja matka twierdzi, że jestem najlepszy w swoim fachu. A porównaniem do starego Hucka czuję się pochlebiony. A chociaż lekarze, tak jak prawnicy, nigdy nie składają wiążących obietnic, istnieją wszelkie szanse na to, że pani Sinclair odzyska zdrowie. — Doktor Harvey rozchylił na moment koszulę.

Ruby spojrzała na kartkę przyklejoną przylepcem do skóry na jego torsie.

JEŚLI WSZYSTKO ZAWIEDZIE, OBIECUJĘ PRZECZYTAĆ INSTRUKCJĘ.

Ruby roześmiała się przez łzy.

— To taki żart dla pani Sinclaira. Roześmiała się. Naprawdę. Była nieprzytomna ze strachu. Chciałem, żeby zasnęła z uśmiechem na ustach. To dla mnie ważne. Mam nadzieję, że pani to zrozumie. — Ruby skinęła głową. — Powiedziała, że omal nie oszalała ze strachu, ale potem przyszła pielęgniarka z wiadomością, że pani przyjechała. Wtedy się uspokoiła. Siostra Adderly nie chciała wziąć odpowiedzialności za oddanie torebki, więc wziąłem ją na swoje nazwisko. Dixie kazała mi przysiąc, że ją pani oddam. Musimy ją tylko znaleźć. Ale nie naskarzy pani na mnie?

— Chyba nie. — Ruby pociągnęła nosem.

— Grzeczna dziewczynka — uśmiechnął się doktor. — No, to poszukajmy jej torebki. Kiedy Dixie się ocknie, będę mógł jej powiedzieć, że wywiązałem się z danego słowa. To będzie pierwsze; o co spyta, bo powiedziała to na chwilę przed zaśnięciem.

Zaczęli szukać torebki Dixie. Pielęgniarki chodziły wokół nich podejrzliwie. Wreszcie doktor podał jej torebkę, promieniejąc z dumy.

— Nie ma dla nas rzeczy niemożliwych, jeśli się tylko postaramy. Może usiądzie sobie pani w poczekalni? Znajdę panią, kiedy będzie po wszystkim. Niech się pani zdrzemnie na sofie. Ja spałem dwa dni bez przerwy, żeby się do tego przygotować — uśmiechnął się łobuzersko.

— Cieszę się, że pani przyjechała. Dixie potrzebuje przyjaznej duszy. Wczoraj mówiłem jej, żeby zadzwoniła do pani i wie pani, co mi odpowiedziała? — Ruby pokręciła głową. — Że pani tu przyjedzie. Że nie musi dzwonić. Czułem, że nie wierzy w to, co powiedziała, że to raczej jej marzenia, ale proszę — jednak pani przyjechała.

— Panie doktorze? — Tym razem spojrzała w twarz lekarzowi, w brązowe łagodne oczy, pełne troski, której nie zdążył zamaskować.

— Rodzina Denzelów... jak... jak się czują ich dzieci? Wie pan?

— Czasami, Ruby Blue — położył jej dłoń na ramieniu — dokonujemy tu cudów. W tym przypadku powinniśmy ich dokonać cztery razy. — Z jego głosu zniknęła wesołość. Na jej miejsce pojawił się beznadziejny wyraz bezbronności.

— Coś panu powiem, doktorze. Pomodłę się o jakiś cud. Co pan na to?

— Trzymam kciuki. Wracam za moment.

Moment okazał się dziewięcioma godzinami. Ruby wypełniała je sobie spacerami, piciem kawy i paleniem papierosów. Czuła się zapuszczona i brudna. Dwa razy przeszła się korytarzem, by sprawdzić, że rodzina Denzelów jeszcze nie opuściła szpitala. Dzieci spały na kanapach ze sztucznej skóry. Rodzice siedzieli przytuleni do siebie. Mąż obejmował ramiona żony. Ruby miała ochotę się rozplakać.

Poszła do kaplicy. Otoczyła ją cisza. Od zapachu woskowych świec zakręciło się jej w głowie.

— Albo zrobisz to z głębi serca, albo w ogóle — szepnęła.

Osunęła się na wyslizganą kościelną ławkę i ukryła twarz w dłoniach. Z początku nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, ponieważ już dawno się nie modliła.

— Boże — szepnęła. — Wiem, że od dawna się do Ciebie nie odzywałam. I nie mogę zagwarantować, że będę się teraz kontaktować z Tobą częściej. Ten zwariowany doktor powiedział, że potrzebuje poczwórnego cudu. Ja się na tym nie znam, ale Ty jesteś specjalistą w tej dziedzinie. Początkowo chciałam się pomodlić za Dixie, ale w głębi duszy wiem, że nic jej nie będzie. Jesteśmy z jednej gliny, ona i ja, i gdybym się o nią modliła, to tak jakbym prosiła o coś dla siebie. Wołałabym, żebyś dodał gazu i skierował swoją uwagę na tę małą rodzinę. Ja też się dołożę, jeśli i Ty coś zrobisz — potem zaczęła się modlić. Przypomniała sobie wszystkie modlitwy, których nauczyła się w dzieciństwie.

Wiele godzin później zmęczony doktor Harvey odnalazł ją, śpiącą z głową na ławce. Potrząsnął nią delikatnie. Wzdrygnęła się przestraszona. Objął ją więc; jego wrażliwe dłonie niosły ukojenie i spokój.

— Co z nią? — spytała na wpół przytomnie.

— Operacja się udała. Pani Sinclair jest na oddziale intensywnej terapii, w korytarzu, w którym rozmawialiśmy. Może ją pani odwiedzić rano, ale wolno pani tylko spojrzeć na nią przez szklaną szybę.

— Jest pan zmęczony — powiedziała cicho.

— Gdy miałem szesnaście lat i uczyłem się prowadzić samochód, ojciec kazał mi jeździć godzinami po torze przeszkód, który ustawił na naszym podwórku. Kiedy chciałem zrobić sobie przerwę, bo cały zeszywniałem i nie mogłem się skupić, nie pozwolił mi. Jeździłem tak długo, że niemal zemdlałem. Właśnie takie zmęczenie czuję teraz w tej chwili.

— Powinien się pan przespać — powiedziała, gładząc go po ramieniu. Oczywiście ona rozbudziła się na dobre i nie miała pojęcia, co by mogła z sobą zrobić.

Pożegnała się z doktorem, wzięła torbę podróżną i poszła do umywalni, gdzie umyła się pobieżnie. Zmieniła bieliznę i pończochy, włożyła świeżą bluzkę. Trzy razy umyła zęby. Odświeżona wróciła do całodobowej restauracji, gdzie zamówiła grzanekę z serem i filiżankę gorącej czekolady. Czekając najedzenie zaczęła przeglądać lokalną gazetę, zostawioną przez kogoś na stoliku. Wypadek Denzelów znajdował się w artykule na pierwszej stronie. Przeczytała go dokładnie, po czym zabrała się do miejscowych ploteczek, i porad Ann Landers i Heloizę. Dowiedziała się, że mielona kawa usuwa bez śladu, bez-śła-du, wszelkie brzydkie zapachy z lodówki czy zamrażarki. Heloiza twierdziła, że ocet zmieszany z sodą ma zdolność przetykania zatkanych zlewów. Każdy głupi zna sztuczkę z octem i sodą, prychnęła Ruby. Czytała dalej: odrobina pasty do zębów naniesiona na drewno zamaskuje wszelkie zarysowania. To także znała. Była ciekawa, kiedy słynna autorka porad znajdzie jakiś sposób, żeby usunąć nalepki z ceną ze szklanek i talerzy. Odłożyła gazetę.

Potem przypomniała sobie o torebce Dixie. Dlaczego przyjaciółka chciała jej ją podarować? Czy miała ją otworzyć? Rozpięła zamek błyskawiczny. Wewnątrz panował idealny porządek. Cała Dixie. W torebce Ruby można było znaleźć płataninę kluczy, papierów, kosmetyków, drobnych monet i banknotów. Opętana zbieranina. W torebce Dixie znajdował się portfel zawierający dwieście dolarów, portmonetka pełna dwudziestopięciocentówek, grzebień, szminka i mała puderniczka, a także zalepiona koperta, zaadresowana do Ruby.

Otworzyła kopertę paznokciem. Na widok arkusika papieru i banknotu, łzy stanęły jej w oczach. Musiała przeczytać dokument dwa razy, a potem jeszcze raz, zanim w pełni zrozumiała jego treść. Dixie sprzedała jej swoje udziały w firmie za pięć dolarów. Uczciwa, honorowa Dixie wyjęła z ramek banknot wiszący nad kuchenką i zastąpiła go swoim. Zadbana o jej interesy w jedynej dostępnej jej sposobnej wypadku, gdyby się już... nie spotkały. Ruby powstrzymała łzy. Nie rozplacze się.

Przyjrzała się ze zdumieniem maszynom, stojącym na oddziale intensywnej terapii. Dwie pielęgniarki, siedzące z oczami wbitymi w monitory, jadły wiśnie w czekoladzie. Kąciki ust Ruby zadrgały lekko, kiedy na końcu biurka dostrzegła lazurową torbę ciasteczek „Pani Sugar”. Odchrząknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę pielęgniarek.

— Czy mogę spojrzeć na panią Sinclair? Jestem jej siostrą. — Kłamstwo przychodziło jej z coraz mniejszym trudem.

— Tylko z daleka. Jeszcze nie odzyskała przytomności. Proszę stanąć przed łóżkiem. Jeśli się obudzi, zauważy panią. Doktor zrobił już obchód. Pani siostra czuje się dobrze.

Ruby przycisnęła twarz do szyby. Jak przeraźliwie blada wydawała się jej twarz Dixie, jak nieruchomo leżały jej ręce. Miała zamknięte oczy. Ruby obejrzała się na pielęgniarki, które opychały się właśnie ciasteczkami. Delikatnie zastukała paznokciami w szybę. Powieki Dixie zadrgały. Ruby zastukała znowu. Widziała, że przyjaciółka z trudem otwiera oczy. Zapukała jeszcze raz. Teraz Dixie lekko uniosła dłoń. Ruby miała ochotę głośno krzyknąć z radości. W porę przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Uniosła w górę kciuk, szeroko uśmiechnięta. Wymówiła bezgłośnie: „Będzie dobrze”. Dixie znowu poruszyła dłonią, dając jej znak, że rozumiała. Ruby sięgnęła do torebki Dixie i wyjęła z niej list. Uniosła go w górę i skinęła głową. Dixie uśmiechnęła się, po czym jej powieki opadły.

Ruby wróciła do pokoju pielęgniarek i spytała, czy może zostawić wiadomość dla Dixie. Musiała wracać do New Jersey.

— Będę bardzo wdzięczna, jeśli przeczytacie jej moją wiadomość, kiedy się obudzi. Widziała mnie, więc wie, że tu byłam.

Pielęgniarki zgodziły się.

— Powinnyście to chyba zatrzymać. — Ruby podała im torebkę Dixie, uboższą o list, który teraz spoczywał w jej własnej torebce. Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru pozbawić Dixie udziału w interesie.

Po drodze do windy znowu natknęła się na siedzących na ławce Denzelów. Chciała im coś powiedzieć, wyrazić swoje współczucie, ale nie odważyła się wtrącać. Ciekawe, gdzie była reszta ich rodziny, przyjaciele i sąsiedzi. Pewnie zajmowali się gospodarstwem. Ktoś musiał opiekować się dziewczynkami. Uśmiechnęła się do nich przez łzy.

Na dole rozejrzała się w poszukiwaniu kasy. Znalazła strzałkę z odpowiednim napisem. Podeszła do starszej kobiety w okularach w drucianej oprawie. Wyjaśniła, co zamierza zrobić.

— Jest pani bardzo hojna. To zdejmie z tej rodziny wielki ciężar. Nie muszę chyba mówić, że to dla nich prawdziwy problem. Ta suma na pewno zaspokoi ich wszelkie potrzeby. Co mamy zrobić z tym, co zostanie?

— Proszę dać Denzelom. Teraz jadę na lotnisko. Czy mogłaby pani się jakoś dowiedzieć... co...

— Oczywiście. To zajmie chwilę — i rzeczywiście, wróciła po paru minutach. — Na razie bez zmian. Żałuję, że nie przynoszę lepszych wieści, ale... czasami zdarzają się tu cuda.

— To samo usłyszałam wczoraj. Będę się tego trzymać — powiedziała z uśmiechem. W głębi duszy wiedziała jednak, że sytuacja zaczęła wyglądać bardziej optymistycznie.

Z lotniska zadzwoniła do biura Calvina w Pentagonie i przedstawiła się jako sekretarka Paula Farano. Głos Calvina brzmiał podejrzliwie. Wyjaśniła, gdzie jest i opowiedziała mu, jak czuje się Dixie.

— Czekałem na chwilę, kiedy będę mógł zatelefonować do ciebie. Drugi tydzień lutego mam wolny. Wyobrażasz sobie wspólne walentynki?

— Brzmi cudownie. Zarezerwuję pokój w hotelu, jak tylko wrócę. Jeśli zadzwonisz do mnie jutro, będę już coś wiedzieć. Jestem strasznie zmęczona. Mogłabym spać przez cały tydzień. — Jego głos był tak łagodny, tak kojący. Opowiedziała mu o doktorze Harvey’u i jego koszuli z nadrukiem klubu Harleya–Davidsona, a także o kartce, którą przykleił sobie na piersi.

Calvin klasnął językiem. Nie spodobało mu się.

— Ale Dixie się roześmiała. Ja też, choć nie chciałam się do tego przyznać. A właśnie, pijesz sok z kiszzonej kapusty?

— Wspomniałem o tym doktorowi, a on powiedział, że to zabobony — powiedział Calvin obronnym tonem.

— Słyszę coś w twoim głosie. Jesteś jakiś spięty. I żołądek znów ci dokucza. Mam rację? Zakładam się, że doktor, z którym rozmawiałeś, to chirurg, tak? — Żadnej odpowiedzi. — No myślę, że tak ci powiedział. Chce, żebyś trafił na stół. Nie mogliby napisać o soku z kapusty w czasopiśmie medycznym, gdyby to nie była prawda. Dla mnie nie jesteś pacjentem tylko kimś, kogo kocham. Nie wierzę w operacje, jeśli istnieje jeszcze jakaś inna możliwość. Poza tym jeśli poddasz się operacji, nie zobaczę cię jeszcze długo. Zastanów się nad tym.

— Dobrze. Kupię butelkę soku jeszcze dzisiaj, wracając do domu. Dostałem twój list. Przeczytałem go już pięć razy. Ja też do ciebie napiszę list i wyślę go jutro rano. Przez pół dnia i całą noc zastanawiałem się nad nami. Myślałaś o mnie choć przez chwilę?

Właściwie to nie.

— Oczywiście. Muszę kończyć, Calvinie, ludzie czekają w kolejce, a mnie się już kończą drobne. Zadzwoń jutro.

— Kocham cię, Ruby — szepnął.

— Nie znosiła tych szeptanych rozmów.

Calvin Santos ponownie zemdlął w swoim gabinecie i przewieziono go do szpitala marynarki wojennej w Bethesda, gdzie na tydzień przed ostatnim weekendem maja został poddany operacji. Rekonwalescencja przebiegała powoli ze względu na zły stan psychiczny chorego, jak twierdził doktor. Generała pominięto przy awansie. Personel szpitala dziwił się, iż wojskowy w jego randze nie miał gości.

Pierwszego lipca generał Calvin Santos przeszedł oficjalnie w stan spoczynku. W aktach osobowych Calvina słowa „ostra depresja” podkreślono dwa razy grubą krechę. Kiedy po raz ostatni przekraczał próg Pentagonu, towarzyszyła mu niezadowolona żona i dwaj synowie. Ich wspólne zdjęcie miało się ukazać w „Stars and Stripes” — była to jedyna przyczyna, dla której rodzina zgodziła się poświęcić mu swój czas.

Kiedy tylko wrócił do domu, zadzwonił do Ruby na jej rachunek i przeprosił za to, że nie pozwolił jej towarzyszyć sobie tego ostatniego dnia w pracy. Błagał o zrozumienie, prosił, by mu przebaczyła, jeśli go kocha. Zapewnił Ruby, że teraz rozważy sprawę rozwodu. We wrześniu przyjedzie do Saipan i spotka się tam z Ruby.

— Pragnę cię — powiedział zdławionym głosem.

Tego samego dnia Ruby udała się na lotnisko Newark, żeby odebrać Dixie. Czekala przy wyjściu z hali. W jednej ręce trzymała różę, a w drugiej torbę ciasteczek „Pani Sugar”. Obserwowała twarze przechodzących podróżnych. A może Dixie spóźniła się na samolot? Może się rozmyśliła? Może ciągle chodzenie sprawia jej trudność i pojawi się jako ostatnia? Tak naprawdę nie wiedziała zbyt wiele o zdrowiu przyjaciółki; tylko tyle, ile ta zgodziła się jej powiedzieć. „Zdrowieję. Lekarze są zadowoleni”. To wszystko, co zdołała z niej wydusić przez te pięć miesięcy. Wreszcie ją zobaczyła. Dixie była teraz wyższa. Trzymała się prosto. Jak strzała. Ruby uśmiechnęła się od ucha do ucha. Twarz Dixie jaśniała radością.

— Tra-ta-ta-ta! — zakrzyknęła tryumfalnie, unosząc ręce. — Nie, nie, zostań tam, gdzie stoisz! Przygotuj się!

— Jestem gotowa!

Dixie wzięła głęboki wdech i ruszyła sprintem, wpadając w ramiona Ruby. Łzy toczyły się po jej policzkach.

— Kyle powiedział, że mogę biegać, ale nie odważyłam się spróbować. Przez pewien czas nie będę tego jeszcze robić.

— Rety, Dixie, świetnie wyglądasz. Jestem taka szczęśliwa. A... czy to róż? Masz jaśniejsze włosy. Pięćęęęka sukienka! Nie wiedziałam, że w Rochester można dostać coś takiego.

— Tę sukienkę dostałam od Kyle’a. Sam ją wybrał. Powiedział, że to prezent na nową drogę życia. Jest taki cudowny, ale nie, to nie to, co myślisz. To tylko jeden z tych lekarzy, którzy naprawdę dbają o pacjenta. Żeni się we wrześniu. Dobrze, mogę iść. Chcę wracać do pracy. Opowiedz mi, co się działo. Czy Nangi pracuje dla ciebie w Azji?

— Tak. Poszło jak po maśle. Skończymy rozkręcać interes we wrześniu. Chcesz jechać ze mną?

— Nie, muszę być na tym ślubie — roześmiała się Dixie. — Co u Calvina. Jak ci się z nim wiedzie?

Ruby opowiedziała jej o dzisiejszym telefonie.

— Znam cię, Ruby. Zaczynasz się wahać? — spytała Dixie z troską.

— Dixie, nie uwierzyłybyś jak wygląda jego życie z żoną. Chyba się nienawidzą, ale on nie jest w stanie jej opuścić.

— To straszne. Dla niego i dla ciebie. W jakim jest stanie? Tak naprawdę?

— Mówi, że musi się jakoś odnaleźć.

— Pozwól mu przejść przez to tak, jak potrafi.

— Chciałabym tylko być razem z nim. Ale on nie umie rozstać się z żoną. Nie sądziłam, że jest tak... tak...

— Słaby? — podchwyciła Dixie. Ruby skinęła głową.

— Jest coś jeszcze?

— To wszystko. — Ruby włączyła migacz i wjechała na pas szybkiego ruchu.

— Dobrze, czyli mamy te dwa problemy. Podoba mi się ten samochód. Też taki chcę — roześmiała się Dixie, mając nadzieję, że rozweseli zgnębioną przyjaciółkę.

— Czeka na ciebie na parkingu przed firmą. Żółty, bo to twój ulubiony kolor. Ma opuszczony dach, rozumiesz.

— Ojej. I taką śmieszoną tablicę rejestracyjną?

— Tak. Jest na niej napisane: „Sugar 2”.

Dixie klasnęła w ręce z uciechą.

— Powinniśmy to zrobić już dawno temu. Nigdy więcej nie będę już jeździć kombi!

— Dobrze, Dixie. To twój dzień.

Po dwudziestu minutach Ruby zatrzymała samochód przed siedzibą firmy.

— Słuchaj, zaparkuję to cudencko po drugiej stronie, żeby nikt mi go nie rozbił. Wejdz do środka sama.

— Muszę się teraz nauczyć wszystkiego od nowa — powiedziała ze śmiechem. — Zatrudniłaś kogoś nowego? — spytała, wysiadając.

— Sześćdziesięcioletniego emeryta, który jest chętniejszy do podszczypywania niż niejeden dwudziestolatek.

— Mhm. Nie nadaje się. Chcę kogoś w typie Kyle’a Harveya.

— Trzeba go było poderwać, kiedy miałaś okazję! — zawołała Ruby, cofając samochód. — Dopóki nie padnie sakramentalne „tak”, wszystko może się zdarzyć. Pamiętaj, kto ci to powiedział.

— Dzięki.

— No idź, czekają na ciebie. Jeśli potrafisz zrobić wielkie wejście, postaraj się, bo taka okazja drugi raz ci się nie trafi. Więc Dixie zrobiła wielkie wejście.

* * *

We wrześniu Ruby wróciła z Saipan zła jak osa. Calvin nie dotrzymał obietnicy i nie spotkał się z nią, a ona nabawiła się potężnego zaziębienia, które usiłowała zwalczyć za pomocą inhalacji, rumowego ponczu i rosołu.

Wyzdrowienie zajęło jej siedem dni. Drzemała właśnie przed płonącym kominkiem, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła je, spodziewając się Dixie, ale jej oczom ukazał się posłaniec z telegramem. Pokwitowała odbiór. Kto, na miłość boską, mógłby przysyłać jej telegramy? Teraz dzwoni się, jeśli chce się komuś przekazać wiadomość. Potem przypomniała sobie, że siedem dni temu wyłączyła telefon i sekretarkę automatyczną.

Odczytała telegram i otworzyła szeroko oczy. Podeszła oszołomiona do telefonu i wykręciła numer Opal. Ojciec nie żyje. Nie żyje.

— Opal, tu Ruby.

— Twój telefon nie odpowiadał — rzuciła Opal ostro.

— Wyłączyłam go. Przez cały tydzień czułam się dość nieszczególnie i nie chciałam, żeby mi przeszkadzano. Kiedy to się stało?

— Dziś rano. Słuchaj, nie chcę tam jechać. Chyba nie muszę. A ty?

— Kto się wszystkim zajmuje? Mama?

— A skąd mam wiedzieć, do cholery? Może pora, żeby się nauczyła żyć na tym świecie. Co z tobą?

— A z tobą? Jeśli mama na nas czeka, chyba musimy się tym zająć. A zanim to powiesz, owszem, obiecałam już nigdy nie wracać do tego domu, ale nie twierdziłam, że nie przyjadę na ich pogrzeb.

— To hipokryzja. Nienawidziłaś ojca tak jak ja. Dlaczego niby miałabym tam przyjechać?

— Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać. Rób to, co ci się podoba. To, że nie spłaciłaś długu... czy dlatego nie chcesz jechać? — spytała Ruby spokojnie.

— Nie. Nie widziałam ich od dwudziestu lat. Oni nie chcieli nas widzieć. Mac powiedział, że nie muszę jechać, jeśli tak mnie to boli. Wyślę kartkę. Bóg mi wybaczy. Wyślij mi tylko moje pieniądze — warknęła Opal.

— A ja myślałam, że to Amber jest czarną owcą — mruknęła Ruby. — A właśnie, dodzwoniłaś się do niej?

— Tak, i nabiłam sobie rachunek. Zapłacę co najmniej pięćdziesiąt dolców. Uważam, że powinniście mi to zwrócić.

— Więc pewnie się nie spotkamy.

— Naprawdę jedziesz? — spytała Opal z niedowierzaniem.

— Owszem, jadę. Mam pozdrowić od ciebie Amber?

— Hipokrytki — rzuciła Opal kwaśno.

— No to cześć.

Ona pije, pomyślała Ruby. Zorientowała się już dawno temu. Próbowwała nawet rozmawiać o tym z siostrą, ale Opal kazała jej pilnować własnego nosa. To wyjaśniało te huśtawki nastroju, zgrzytliwość i lekkomyślność. Jej siostra jest pijaczką. Właściwie nic dziwnego. Przy takim dzieciństwie, jakie miały, to cud, że wszystkie trzy nie zapijają się na śmierć.

* * *

Ruby była bliska łez, kiedy matka otworzyła drzwi. W głowie wirowały jej dziesiątki słów. Matka spojrzała na nią, ona spojrzała na matkę.

— Wejź, Ruby. Na dworze taki upał. Zrobiłam lemoniadę, jest też ciasto czekoladowe. Zjesz kawałek?

Ruby przełknęła ślinę. Matka wypowiedziała cztery pełne zdania. Wszystkie skierowane do niej. Skinęła głową, bo głos uwiązał jej w gardle.

Był to ładny mały domek, lśniący czystością, schludny i zupełnie bezosobowy, tak jak ten w Barstow.

Irma usiadła naprzeciw Ruby, postawiwszy przed nią szklanekę lemoniady i ciasto.

— To stało się dziś rano. Umarł we śnie. Nie ma go już, więc nie musisz czuć się nieswojo. Dzisiaj jest nabożeństwo. Uznałam, że nie ma co zwlekać.

— Zadzwoiłaś do stryjów Johna i Hanka?

— Tak, ale nie przyjadą. Nigdy nie lubili twojego ojca, ale powiedzieli, że z szacunku dla mnie dadzą na mszę. To dobrzy ludzie, Bóg im wybaczy.

— To samo powiedziała Opal — rzuciła Ruby.

Irma przełknęła duży kęs ciasta. Popiła go lemoniadą.

— Czy to znaczy, że Opal nie przyjedzie?

Ruby skinęła głową.

— Skoro nabożeństwo zamówiłaś na dzisiaj, Amber też nie zdąży. Chyba powinnaś je przenieść na jutro. Z Saipan jest kawał drogi.

— Mogę to zrobić — oznajmiła Irma z powagą. — O tym nie pomyślałam. Dlaczego przyjechałaś, Ruby?

— Nie wiem. Dlaczego do nas zadzwoniłaś? — spytała. Zapaliła papierosa. Matka zmarszczyła brwi. — Poproszę o popielniczkę.

— Nie mam popielniczki. Dam ci spodek. Twój ojciec nie lubił dymu. Dzwoniłam, ponieważ tak należało zrobić. — Irma postawiła spodeczek przy talerzu Ruby.

— Niby dlaczego? Nie obraziłabym się, gdybyś zawiadomiła mnie po wszystkim.

— To moja chrześcijańska powinność — powiedziała Irma poważnie.

Ruby zaczęła kruszyć ciasto widelcem. Przypomniała sobie, ile kawałków tego ciężkiego, pożywnego ciasta musiała zjeść pod przymusem.

— Co teraz zrobisz, mamó? — spytała z ciekawością.

— Umrę. — W głosie Irmy nie było żadnych emocji.

Ruby spojrzała na matkę. Kiedyś była ładna i teraz też. No, ale dziecko zawsze tak myśli o swojej matce. Wyglądała na strasznie wyczerpaną. Ruby usiłowała sobie wyobrazić, jak matka zdoła żyć bez męża. Powiedziała to głośno.

— Teraz będzie inaczej. Tak, będzie inaczej. — Irma skończyła swoje ciasto i zaniósła talerzyk do zlewu.

Były sobie zupełnie obce.

— Myślałaś o mnie, kiedy wyjechałam? — spytała.

— Codziennie.

— A o Amber i Opal? O nich także?

— Codziennie.

Ruby zerwała się na równe nogi.

— Nie mogę w to uwierzyć! Nie wierzę! Mogłaś napisać do którejś z nas. Mogłaś zadzwonić, idąc do sklepu. Mogłaś coś zrobić, żeby nam pokazać, że o nas myślisz.

— Nie zmienię twoich poglądów, Ruby. Chcesz, żebym powiedziała, że mi przykro?

— Tylko, jeśli naprawdę jest ci przykro. Jestem już dorosła. Ludzie mówią, że im przykro, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć. W naszym przypadku to bez różnicy. Próbowалам... Za każdym razem mnie odpychałaś... Odpychałaś nas wszystkie.... Nawet nie wiesz, jak wyglądają twoje wnuki.

— Ależ wiem. Twoi stryjowie wpadali do nas i pokazywali nam zdjęcia. Twój ojciec na nie nie patrzył, ale ja tak. I pamiętam ich imiona.

— Jak to miło — mruknęła Ruby sarkastycznie.

— Nie powinnyśmy tak rozmawiać. W tym domu panuje żałoba.

Ruby prychnęła jak wściekła kotka i odepchnęła talerz z ciastem.

— Mam ci wiele do powiedzenia i zrobię to.

— Zawsze wiedziałam, że jesteś najsilniejsza z was trzech. Wiedziałam, że przetrwasz dzięki swojemu gniewowi. I miałam rację.

— Wstrętne — oznajmiła Ruby zwięźle.

— Prawda? — uśmiechnęła się Irma. — Za każdym razem, kiedy przeciwstawiałaś się ojcu, popychałam cię do działania, chociaż wiedziałam, że zostaniesz ukarana. Wszystkie te... bzdury z Biblią. Wtedy się upewniłam.

Ruby parsknęła śmiechem.

— Mamo, co ty opowiadasz?

Irma zachichotała.

— Zawsze wiedziałam, że to bzdury. Nie sama Biblia, ale to... do czego zmuszał nas twój ojciec. Ale teraz jesteśmy tutaj, a on... odczepił się od nas. — Znowu zachichotała.

Ruby nagle poczuła się jakoś dziwnie. Coś było nie tak.

— Wybaczam ci, Ruby. Jesteś usprawiedliwiona. Nie oczekuję, że zrozumiesz, jak to było ze mną i nie chcę o tym mówić. Czy możemy zacząć od nowa?

— Co to miałyby znaczyć? Trzydzieści lat to bardzo długo. Nie znam ciebie, a ty nie znasz mnie. Nie znasz moich dzieci. Nie mogę o tym tak po prostu zapomnieć. Przecież powinny mieć dziadków. Każde dziecko powinno ich mieć — powiedziała Ruby zdławionym głosem.

— Nie mogę zmienić przeszłości, Ruby. Dzisiaj jest nowy dzień. Mogę spróbować być matką.

W głosie Irmy było tyle smutku, że Ruby niemal się rozplakała. Tak bardzo chciałyby kochać tę kobietę przy zlewie. Czy to możliwe, że nigdy jej nie kochała, nawet jako dziecko? A może była tak głęboko zraniona, że pogrzebała wszystkie uczucia, a teraz nie mogła już ich wskrzesić? Przez jedną chwilę ogarnęła ją szaleńcza chęć powiedzenia czegoś błyskotliwego i okrutnego. Zaraz potem poczuła wstyd, który jednak nie powstrzymał jej od wyznania:

— Jesteśmy z Andrew w separacji. Mam romans z żonatym mężczyzną.

— Czujesz się szczęśliwa, Ruby?

— Nie wiem, co to znaczy. Wiem natomiast, że to, iż nie potrafię tak naprawdę niczego czuć, ma wiele wspólnego z tobą i ojcem. Tak bardzo się bałam, że skończę jak ty, iż nie odważyłam się pójść na całość. To twoja wina.

— To prawda — powiedziała Inna cicho. — Wszystko to moja wina. No dobrze, więc czy możemy razem spędzić te dwa dni?

— Jasne, czemu nie — mruknęła Ruby.

— Przebiorę się i wybierzemy się na kolację. Zawsze chciałam pójść do takiej restauracji w mieście. Nazywa się... „Wtorki u Ruby”. To będzie moja uczta. W kieszeniach twojego ojca są jakieś pieniądze. Weźmiemy je.

Ruby pomyślała o Hugonie.

— Dlaczego chcesz zabalsamować ojca? Czemu nie spalisz go na popiół? — spytała gorzko.

Inna odwróciła się i podeszła do Ruby. Ujęła twarz córki w spracowane dłonie.

— Dajmy temu spokój. To koniec, jego już tu nie ma. Sprawa jest zamknięta. Teraz rozumiała, dlaczego Dixie nie chciała żadnego grobu, miejsca spoczynku dla Hugona. Skinęła żałośnie głową.

Irma wróciła po dziesięciu minutach. Miała na sobie tak niemodną sukienkę, że Ruby aż się wzdrygnęła. Wyglądała jakoś nierealnie. Zaczyna mi odbijać, pomyślała.

— Nauczyłam się prowadzić — oznajmiła Inna dumnie, zasiadając za kierownicą forda galaxy, tak wypucowanego, że wyglądał jak nowy.

— Czy to samochód ojca?

Inna przytaknęła. Ruby zapaliła papierosa i omal nie wybuchnęła radosnym śmiechem, kiedy popiół rozsypał się po siedzeniu i podłodze. Znienawidziła ten samochód. I to, że w nim siedziała, i to, że przyjechała na ten pogrzeb.

Irma okazała się znakomitą kierowcą.

W restauracji Ruby pochyliła się nad stołem. Bujna, soczystozielona paprotka łaskotała ją w szyję.

— Jak się czujesz, wreszcie wolna i sama? Nie pytam z czystej ciekawości. To dla mnie ważne.

— Chciałabym zapalić i coś wypić. Whisky. Podwójną — powiedziała rzeczowo jej matka. — Boję się.

Dmuchięła dymem w stronę Ruby. Oparła się wygodnie. Znowu nabrała nierealnego wyglądu, jakby otaczała ją jakaś poświata, cienka pajęczynka. Niesamowite. Nigdy dotąd tak nie wyglądała. Ruby przestraszyła się, że coś złego dzieje się z jej oczami. Otworzyła szybko torebkę i wyszarpnęła z niej okulary, których nie nosiła z próżności. Wcisnęła je na nos. Matka wyglądała tak samo, choć teraz widziała ją znacznie wyraźniej. Piła whisky dużymi łykami, jak lemoniadę. Przez głowę Ruby przemknęła pewna myśl: może matka w tajemnicy pije i pali. A potem, zupełnie bez powodu, ni stąd ni z owad pojawiła się inna: choroba Alzheimera.

— Czy wiesz, kiedy przyjeżdża Amber?

— Nawet nie wiem, czy w ogóle przyjedzie. Dzwoniłam do Opal, ponieważ twój telefon nie odpowiadał. Mówiłaś, że Opal nie przyjedzie.

— Może w ostatniej chwili zmieni zdanie — powiedziała Ruby niepewnie. Inna jeszcze raz zaciągnęła się papierosem, wypalonym niemal do filtra, potem zdusiła go w popielniczce. Wypiła resztę whisky jednym łykiem. Ruby ledwie napoczęła swoje białe wino.

— Mamy mnóstwo miejsca dla was trzech. Zmieniłam pościel, jak tylko zabrali waszego ojca.

— Przepraszam, mamó. Nie zostanę pod dachem tego człowieka. Mijaliśmy po drodze hotel. Tam się zatrzymam. Możesz mnie podwieźć po drodze. Wynajmę samochód i zadzwonię do Nangiego. Spytam go, kiedy Amber przyjedzie. I odbiorę ją z lotniska. Pewnie bardzo chcesz ją zobaczyć.

— Nie bardziej niż siebie.

— Zawsze rozmawiałas z nią, nigdy ze mną. Nawet nie pożegnałaś się ze mną, kiedy wyjeżdżałam.

— Pożegnałam się w głębi serca. W głębi serca płakałam za tobą. Nie bądź okrutna, Ruby, proszę cię.

— Dobrze, nie będę. Czego ode mnie chcesz, mamó? Irma oparła się o blat stołu.

— Niczego. Chciałam tylko znowu zobaczyć moje trzy klejnociki. Przykro mi, że nie chcesz zostać w domu. Przecież należy do ciebie. Twojemu ojcu się to nie podobało. Myślał, że zdoła cię złamać, ale mu się nie udało. Zachowywał się okropnie, kiedy nie zgodziłaś się oddać mu domu. Cieszę się, że tego nie zrobiłaś.

— Przecież mnie namawiałaś. Powiedziałaś, że tego właśnie chcesz.

Irma zajadała z apetytem nowoorleańską potrawę. Oczy zaczęły jej łzawić od ostrych przypraw.

— Skłamałam — oznajmiła rzeczowo. — Co teraz zrobisz z domem?

Ruby przestała jeść.

— Nic. Czy to cię martwiło? Jest twój, dopóki go zechcesz. Będę ci wysyłać pieniądze. Jeśli chcesz przeprowadzić się do innego domu, proszę bardzo. Jeśli chcesz, możesz też zamieszkać ze mną. Moja oferta jest zawsze aktualna.

— Byłam bardzo zadowolona, kiedy dowiedziałam się, że to ty jesteś panią Sugar. Twój ojciec... nie ucieszył się. To przeczyło wszystkiemu, co kiedykolwiek powiedział na twój temat. Byłam taka dumna, że odniosłaś sukces. Matka jest zawsze dumna ze swoich dzieci.

Cholera, ciągle nic nie czuła do kobiety siedzącej z nią przy jednym stole. Usiłowała trzeć miejsce, w którym powinno znajdować się serce. Miała nadzieję, że coś się w niej obudzi, że wykrzesze z siebie jakieś uczucie, choć odrobinę emocji. To tylko obca osoba, przygodna znajoma. Musi postarać się bardziej.

— Chyba nie będę potrzebować tego domu zbyt długo. Za parę dni się dowiem. Czy to ci odpowiada, Ruby? Rety, to było dobre. Jeszcze nigdy nie jadłam czegoś tak dobrego.

Ruby zaczęła rozgrzebywać jedzenie na talerzu.

— Czy przygotowałaś już wszystko? Chcesz, żebym ci pomogła?

— Ojejku, skąd. Wszystko jest już gotowe. Zmieniłam pościel na wasz przyjazd, mówiłam już o tym?

— Tak. Chcesz deser, mamó?

— Czekoladowy Grom. Tak, poproszę deser i kawę. Ruby obserwowała pałaszującą matkę.

— Czy kiedykolwiek kochałaś ojca?

— Na początku tak, potem go znenawidziłam. Dlaczego pytasz?

— A teraz, czy nadal go nienawidzisz?

— Oczywiście, że nie. Jego już nie ma. Nie ma kogo nienawidzić. — Irma skończyła deser, dopiła kawę. — Ile mam zostawić napiwku? Już od dawna nie jadłam w restauracji. Więcej niż dziesięć procent?

— Zostaw piętnaście — powiedziała Ruby łagodnie. Patrzyła, jak matka odlicza skrupulatnie pieniądze. Resztę schowała do kieszeni. — Strasznie dawno nie miałam już pieniędzy w kieszeni — wyjaśniła z satysfakcją.

Ruby poczuła dławienie w gardle.

— Nie chcę, żebyś martwiła się o mnie — powiedziała Irma po drodze do hotelu. — Rozumiem i naprawdę cię nie winię. No proszę, już jesteśmy. Zadzwoń do ciebie, czy ty zadzwonisz do mnie? Powinnyśmy podjąć decyzję teraz, żebyśmy się nie pogubiły. Chcesz przyjść na śniadanie?

— Zadzwonię do ciebie jutro, mamó. Irma pomachała jej radośnie i odjechała.

* * *

Kiedy Ruby zanosila się rozpaczliwym szlochom, Irma zatrzymała samochód na piaszczystym skrawku plaży. Długo patrzyła na burzliwe fale. Daj mi tylko dwa dni, tylko o to proszę. Przysięgam, już nigdy o nic Cię nie poproszę. Zawarliśmy umowę. Miałaś się opiekować moimi klejnocikami. Oddałam je pod Twoją obronę. Nieźle Ci poszło z Ruby. Jestem zadowolona.

Obok niej przebiegła grupka młodych ludzi z deskami surfingowymi. Inna spojrzała na ich zdrowe, opalone ciała. Zapragnęła znowu stać się młoda. Czy kiedykolwiek śmiała się tak jak oni? Czy wyglądała jak oni? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie pamiętała nawet, czy jej własne dzieci wyglądały jak ci roześmiani chłopcy i dziewczęta. Jakie to smutne, pomyślała.

Za chwilę będzie ciemno. Przestraszyła się, że Ruby uznają za dziwaczkę. Żeby jeść kolację o tak wczesnej porze! Ruby jej nie wybaczy, widziała to w oczach córki. Nie winiła jej za to. Rozumiała, choć było jej smutno, że Ruby aż tak się stara. Musi pamiętać, aby jej powiedzieć, że to już nie ma znaczenia. A może już to powiedziała? Nie mogła sobie przypomnieć.

Jeszcze nigdy nie prowadziła samochodu z włączonymi światłami. Nigdy nie jeździła po szóstej w lecie lub po wpół do czwartej w zimie. George jej nie pozwalał. Ciekawe, czy miałyby wypadek. Jeśli pojedzie po tym pasie po prawej ręce i będzie patrzeć na tylne światła samochodu jadącego przed nią, nie powinno nic się zdarzyć. Nie była głupia, to George był głupi, że tak myślał.

Włączyła reflektory. Spodobały się jej snopy jasnego światła. Będzie dobrze. Spojrzała na paczkę papierosów leżącą na desce rozdzielczej. Trochę zakreśliło się jej w głowie, kiedy zapaliła jednego. Zaciągnęła się nim, tak jak Ruby. Kiedy go wypaliła, sięgnęła po następny. Nie obchodzi mnie twoje zdanie, George! — krzyknęła, mknąc prawym pasem.

Wjechała sprawnie do garażu, po czym postanowiła, że będzie przez całą noc oglądać telewizję. Wszystkie programy, które George uważał za grzeszne. A na śniadanie... a właśnie, że nie będzie żadnego śniadania. I weźmie sobie piwo... i papierosa. Piwo George'a.

Zachwycona swoim pomysłem Irma weszła do domu i poszła prosto do lodówki. Wyjęła butelkę piwa i pociągnęła z niej łyk, krzywiąc się niemiłosiernie. Jeszcze nigdy nie piła piwa.

— A widzisz, George? — powiedziała, wznosząc butelkę do góry. — Widzisz?

Pomarańczowo-brązowy wystrój pokoju działał Ruby na nerwy. Pokoje w hotelu są takie bezosobowe, zupełnie jak w domu, w którym mieszkali jej rodzice. W ciągu pięciu minut zdążyła się rozpakować i ustawić kosmetyki na toaletce w sypialni. Z walizki wyjęła dwie sukienki — czarną dżersejową z dekoltem w łódkę i jaskrawoczerwoną jedwabną, bez rękawów. W ostatniej chwili dorzuciła jeszcze czarny koronkowy szal na głowę. Strzepnęła go i powiesiła na zasłonce prysznic, żeby się wyprostował.

Teraz zostało jej już tylko zadzwonić do dzieci.

Najpierw skontaktowała się z Martha, wyjaśniając, gdzie jest i co się stało. Czekwała przez dłuższą chwilę na odpowiedź córki.

— Złapię samolot o siódmej rano z Filadelfii. Nie musisz mnie odbierać z lotniska. Wezmę taksówkę, tylko daj mi adres.

Łzy zakręciły się w oczach Ruby. To straszne. Dzieci powinny znać adres dziadków. To jej wina, to wszystko przez nią. Wyrecytowała adres i numer telefonu.

— Dobrze się czujesz, mamó?

— Tak. Jestem tylko trochę wstrząśnięta. Chyba spodziewałam się, że twój dziadek będzie żyć wiecznie. Prawdę powiedziawszy, nie czuję nic. Jestem za to na siebie zła. Chciałabym coś czuć.

— Nic z tego nie rozumiem. Może kiedyś mi to wyjaśnisz. Porozmawiamy jak dwie dorosłe osoby — powiedziała Martha twardo.

— Może kiedyś. Do zobaczenia, Martho. Kocham cię.

Po rozmowie z Andym czuła się jeszcze bardziej przygnębiona. Zareagował tak jak Martha.

— Przylecę pierwszym samolotem. Nie martw się, trafię, tylko daj mi adres. Zaraz potem zadzwoniła na recepcję i zamówiła podwójny dzin z tonikiem. Może jeśli się rozgrzeje, zacznie myśleć logicznie. A jeśli się upije, rozluźni się na tyle, żeby odkryć, co jest z nianie tak?

Następnie zadzwoniła do Saipan. Telefon odebrał Calvin. Bardzo w jego stylu — przyjechał tuż po jej wyjeździe. Był taki chłodny i napięty. Nie wiedziała, czy ma go przeprosić za to, że nie przyjmowała jego telefonów. W obecnej sytuacji uznała to za bezcelowe.

— Chyba wiesz od Nangiego, co się stało?

— Tak, i bardzo mi przykro. Chciałabym móc coś dla ciebie zrobić. Dlaczego nie przyjmowałaś moich telefonów? Co zrobiłem? — spytał żałośnie.

— Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się spotkamy — powiedziała ze znużeniem — Nie rozumiem, dlaczego nie przyjechałeś do Saipan, tak jak się umówiliśmy.

— Nie mogłem. Eve... Przepraszam cię, Ruby. Powiedziałem Eve, że zamierzam tu zostać przez dwa tygodnie. Muszę zacząć szukać pracy. Eve zaczyna coś podejrzewać.

Ruby zeszywniała.

— No nie — mruknęła — jeśli musisz mówić o Eve, powiedz mi, że od niej odchodzisz.

— Strasznie za tobą tęsknię. Wiem, że cię zdenerwowałem. Musimy... muszę z tobą pomówić. Jeśli nie przedyskutujemy tego na spokojnie, sytuacja się zaostrzy i nie będziemy mieli powrotu.

— Jest już wrzesień. Powiedziałeś, że weźmiesz rozwód, jak tylko przejdiesz do cywila. Wniosłeś sprawę?

— Właśnie o tym musimy porozmawiać. Słuchaj — dodał desperacko — zrujnujesz się. Ta rozmowa będzie cię kosztować majątek.

— Wcześniej jakoś się tym nie przejmowałeś. Co cię nagle napadło?

— Ruby, proszę... Odłóżmy to na później. Teraz jesteś zdenerwowana śmiercią ojca. Rozumiem to.

— Nie jestem zdenerwowana. Co u Nangiego? Może wiesz, o której przyjedzie Amber?

— Jeśli samolot się nie spóźni, powinna znaleźć się w Fort Lauderdale o dziesiątej twojego czasu, jutro. Wysłałem ci coś przez nią. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Nie mogę myśleć o niczym innym. O Boże, gdybyś tylko wiedziała, jak cię kocham...

Ruby uśmiechnęła się po raz pierwszy od kilku tygodni.

— Właśnie to chciałam usłyszeć. Ja też cię kocham, i to bardzo. Będę o tobie myśleć. Może mi się przyśnisz?

— Do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Nie pomyślała o nim i to nie jego zobaczyła we śnie. Śniło się jej, że matka zabrała ją na piknik pod śliwą na podwórku. Matka łaskotała ją kaczeńcem pod bródką i mówiła, że jest śliczna jak z obrazka. Nazywała ją swoim małym skarbem.

Ona sama zanosila się śmiechem, podobnie jak matka... dopóki nad ich głowami nie zamajaczył jakiś cień.

Ruby szarpnęła się, zasłaniając twarz ramieniem. Potem obudziła się złana potem. Zielone cyferki jej budzika informowały, że jest dwadzieścia po trzeciej. Cholera... Nie znosiła takich snów; zawsze kończyły się w najgorszym momencie. Przyśniły się jej ich setki, może nawet tysiące. Niektóre zostawały w pamięci, inne rozwiewały się bez śladu, gdy tylko się obudziła. Ten sen wracał do niej wiele razy. Nie potrzebowała sennika, by zgadnąć, co to za mroczny cień. To musiał być jej ojciec. Pewnie zrobił coś strasznego, tak potwornego, że wymazała to z pamięci. A to o matce — cóż, to z pewnością było marzenie. Które dziecko nie chciałoby się wybrać z matką na piknik i pić herbatę z maleńkich filiżanek w kwiatuszki? Od blaszanego serwisu, z prawdziwym imbrykiem i malutkimi łyżeczkami.

To tylko kolejny koszmar.

Padła, kiedy obudziła się znowu o wpół do ósmej. Miała nadzieję, że dzień będzie słoneczny, ponieważ wiedziała z całą pewnością, że czekają ją trudne chwile. Amber przyjedzie... no, nie wiadomo, w jakim nastroju. W głębi duszy wiedziała też, że i Martha może przysporzyć kłopotów, jeśli Andy jej nie powstrzyma. Nie miała pojęcia, dlaczego tak uważa. Po prostu miała przecucie.

Podeszła do dużego okna. Padało chyba przez całą noc; samochody rozbryzgiwały głębokie kałuże. Na plaży nie było żywego ducha. Znad morza nadciągała gęsta mgła. Ruby cofnęła się. Krople deszczu na szybie przypominały lzy. Włączyła wszystkie światła w pokoju. Musi pamiętać, żeby zarezerwować pokoje dla Marthy i Andy'ego. Amber będzie nocować w domu.

Stojąc pod klującymi kropelkami prysznic, zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Opal i przekonać ją, żeby przyjechała. Opal tak dobrze się zapowiadała. I tak się zmieniła. Ruby miała wrażenie, że wcale jej nie zna. Nie zna tej lekkomyślnej dziewczyny, opętanej manią podróży, martwiącej się o zachowywanie pozorów i kupującej masowo wszystko, co było modne. Kiedyś uważała ją za najnormalniejszą z nich trzech; teraz zmieniła zdanie. Teraz wiedziała już, że Opal jest chora, może nawet najbardziej. To smutne. Tak bardzo chciała mieć siostrę... Potem zawstydzila się, przypominając sobie, że próbowała kupić miłość Opal, dając jej dom, potem samochód na urodziny, wreszcie różne prezenty na Gwiazdkę i kolejne urodziny.

Nie chodziło o to, że Opal nie okazywała wdzięczności; wręcz przeciwnie, reagowała wybuchami entuzjazmu. Ale nie przyjeżdżała i nie zapraszała Ruby do siebie. Dzwoniła tylko z interesem — na przykład, żeby poprosić o pożyczkę, której nigdy nie oddawała. Nigdy nie pisała listów i notorycznie zapominała o urodzinach Ruby, choć wysyłała jej kartki świąteczne z Bangkoku, Singapuru, Hongkongu i Japonii. Nigdy nie dała jej żadnego prezentu. Do diabła z tym, niech Amber zajmie się Opal, w końcu była z nich najstarsza. Z tym postanowieniem Ruby wyszła spod prysznic.

O wpół do dziewiątej ciągle siedziała w hotelowej restauracji, wmuszając w siebie śniadanie. Nie pamiętała, czy to ona ma zadzwonić do matki, czy matka do niej. Wszystko jedno, weźmie taksówkę. Jeśli się postara, zdoła przyjechać na miejsce równocześnie z dziećmi. Kwadrans po dziewiątej wyszła z restauracji.

Dopiero kiedy usiadła za kuchennym stołem, przypomniała sobie, że miała wynająć samochód i przywieźć Amber z lotniska. Wzruszyła ramionami. Amber będzie musiała radzić sobie na własną rękę.

— Mamo, mam nadzieję, że ten boczek nie jest dla mnie. Już jadłam.

— Dzieci mogą być głodne. Nie, to nie dla ciebie — dodała matka po namyśle. Ruby zapragnęła nagle coś powiedzieć, sprawić jej przykrość.

— Miałam w nocy koszmar — rzuciła. — Śnił mi się już wcześniej. Czy ty śnisz, mamo?

— Nie. To strata czasu.

Ruby uniosła brwi, ale nie skomentowała słów matki.

— Czy zabrałaś mnie kiedyś na piknik pod starą śliwą? We śnie widziałam blaszany serwis w kwiatuszki, taki z imbrykiem. — Ramiona matki drgnęły. Ruby zmrużyła oczy. — Czy tak było, mamo?

— Raz. Zrobiłam maleńkie kanapeczki w sam raz na talerzyki. I piłyśmy prawdziwą herbatę z imbryka. Stryjek John dał ci ten serwis na urodziny. Zdaje się, że to babunia go dla ciebie kupiła. Były też łyżeczki.

— W moim śnie śmiałyśmy się. Łaskotałaś mnie kaczeńcem. Powiedziałaś, że jestem śliczna jak ten kwiatek i że jestem twoim małym skarbem — ciągnęła Ruby zdławionym głosem.

— Bo byłaś śliczna i byłaś moim małym skarbem — potwierdziła Irma, wycierając ręce w fartuch.

Ruby piła już trzecią filiżankę kawy, kiedy w drzwiach pojawiła się Martha. Natychmiast zaczęła rozmawiać z babką, jakby znały się od lat. Ruby przyglądała się temu w osłupieniu. Otworzyła usta, kiedy matka zaczęła wymieniać wydarzenia z dzieciństwa Marthy. Oczy Marthy lśniły radością. Ruby miała ochotę dać jej klapsa.

Potem był Andy. Rzucił się na śniadanie przygotowane przez babkę i ze zdziwieniem zaczął słuchać opowieści Irmy o jego pierwszym stłuczonym kolanie, pierwszej randce, pierwszej złowionej rybie. Odsunął od siebie talerz, poprosił o drugą szklankę pomarańczowego soku i rozparł się wygodnie na krześle. Jego szeroki uśmiech zgasł na widok ściągniętej twarzy matki. Natychmiast usiadł prosto. To nie z powodu miny matki w kuchni panowała tak napięta atmosfera; badawcze spojrzenia Marthy, rzucone na matkę, zapowiadały kłopoty.

— Chyba wybiorę się na spacer i spalę to śniadanko. Dobrze było, babciu.

— Lata praktyki w robieniu dużych posiłków — powiedziała Ruby uszczypliwie.

— Ja też z tobą pójdę. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek zjadł takie wielkie śniadanie. — Martha obrzuciła matkę podejrzliwym spojrzeniem i wyszła razem z bratem.

Zaraz potem pojawiła się Amber. Opal deptała jej po piętach.

— Patrzcie, kogo spotkałam na lotnisku — zawołała Amber, wskazując na siostrę. — Czeeeść, mamó! — dodała radośnie. — Jak tam zdrowko? Jejku, dobrze cię znowu zobaczyć! — Objęła matkę, kładąc jej głowę na ramieniu.

Jaka rozanielona, pomyślała Ruby. Opal dostosowała się do ogólnego tonu, ściskając i całując matkę i siostrę. Pomachała do Ruby.

— O której nabożeństwo? — spytała Amber. — Zrzucamy się na mszę, wieniec czy coś tam? Wszystko gotowe, czy też czekałyście na mnie, bo jestem najstarsza?

— Mama zajęła się wszystkim — odezwała się Ruby.

Opal nalała sobie kawy.

— O której jest pogrzeb? Muszę... jutro wieczorem jestem umówiona.

Irma krzątała się po kuchni, otwierając i zamykając lodówkę.

— Nie wiem, co zrobić na obiad — zatroskała się. — Na kolację upiekę indyka. Już się rozmraża. Dobra kolacja dla dzieci.

— Czemu nie powiedziałaś, że przywiesz dzieci? — syknęła Amber. — Ja też bym przywiozła moje.

Stara, dobra Amber. A ona miała nadzieję, że łącząca je więź przetrwa. Że też była taką idiotką. Poczwała wzbierającą wściekłość.

— Pomyliło ci się z bankietem. Dlaczego miałabym ci mówić, żebyś przywiozła dzieci? To ty jesteś ich matką. Moje dzieci same podjęły decyzję.

— Nabożeństwo jest o siódmej. Pogrzeb o dziewiątej. Macie coś przeciwko temu? — spytała Irma, obierając warzywa. Nie doczekała się odpowiedzi.

— Czy ojciec zostawił testament? — chciała wiedzieć Opal.

— Jejku, nie mam pojęcia. Marchewka czy groszek? — Kiedy znowu nikt jej nie odpowiedział, wrzuciła marchewki do lodówki.

— A polisa ubezpieczeniowa? — nalegała Opal.

— Nic o niej nie wiem. — Marchewki wróciły na stół. — Zielony groszek i marchewka stanowią miły kontrast, prawda? Zjemy je razem. Chciałybyście porozmawiać o ojcu, dziewczęta? Pójdę na patio i wypiję kawę. W ten sposób będziecie mówić, co wam się podoba, a ja was nie usłyszę. Tak chyba będzie dobrze, prawda?

Nie, nie będzie dobrze! — krzyknęła Ruby w myślach.

— Słuchaj no — odezwała się, mierzając palcem w stronę Opal — masz wycucie jak słoń w składzie porcelany. Na miłość boską, ojciec jeszcze nie ostygł. — Znowu przebiła palcem powietrze. — Ty jesteś najstarsza, uspokój ją — warknęła.

— Niby dlaczego? — syknęła Amber. — Sama jestem ciekawa. To, że ty jesteś bogata, nie znaczy jeszcze, że i my mamy forszę.

— Pieniądze nie mają tu nic do rzeczy. Mówcie ciszej. Matka nas słyszy. Ona... zachowuje się dziwnie. Musimy zdecydować, co zrobimy. Czy pozwolimy jej mieszkać samej? Ma chyba chorobę Alzheimera czy coś podobnego.

— Nie mam wolnego pokoju, jeśli do tego zmierzasz — powiedziała Opal kwaśno. — Jeśli ci się zdaje, że jej odbija, sama ją zabierz. Jeśli ją przygarne, będę musiała wziąć też ojca Maca, a on się moczy i śmierdzi jak skunks. Jest tu coś do picia?

— Ja mogę zabrać mamę do siebie, jeśli zechce zamieszkać w Saipan — oznajmiła Amber wspaniałomyślnie. — Ale obie musicie mi pomagać finansowo. Kiedy sprzedamy ten dom i podzielimy go, będzie nas na to stać. Nie powinnyśmy jej zostawiać samej. Zawsze miała ojca. Co niby teraz robi, pójdzie do pracy? — Wyras twarzy Amber świadczył, że pomysł wydaje się jej absurdalny. — Ale nie wygląda na to... o czym mówiłaś.

— Zabiorę matkę do siebie i żadna z was nie będzie musiała zapłacić ani grosza. Ale nie sądzę, żeby zechciała przyjechać. Prosiłam ją o to w styczniu i odmówiła — Proponowałam jej willę na Miami i też nie chciała. Jeśli o mnie chodzi, może tu mieszkać, jak długo się jej spodoba, a jeśli nie będzie mogła już o siebie zadbać, możemy jej wynająć opiekunkę lub pielęgniarkę. Starsi ludzie muszą czuć się niezależni.

— Ja za pielęgniarkę nie zapłacę. Nie śpię na pieniądzach — wycedziła Opal zimno.

— Ciągłe to powtarzasz, ale tak się zabawnie składa, że wiem, ile zarabia pilot i jaką rangę ma Mac. Nie cierpisz biedy.

— Życie w Kalifornii kosztuje fortunę — powiedziała Opal płacziwie. — Wiesz, że żyjemy ponad stan. Sprzedajmy dom, a Ruby niech weźmie mamę do siebie.

Ruby odetchnęła głęboko.

— Wczoraj twierdziłaś, że nie przyjedziesz, a jednak tu jesteś. Ciekawe, skąd ta zmiana?

— Cóż, droga pani Sugar, nie chciałam zostać wykolegowana. I musiałam zobaczyć na własne oczy, że drań naprawdę odwalił kitę. Chcę tyle, ile mi się należy, ot co. Ojciec spisał testament. Wiem to. Chcę moją część.

— Część czego?

— Tego domu, konta w banku, polisy. Powinna się uzbierać ładna sumka. Tobie ona niepotrzebna, więc ja podzielę się z Amber. To zapłata za nasze nędzne dzieciństwo.

— Suka! — syknęła Ruby.

— Zaraz, chwileczkę — włączyła się Amber zimnym głosem. — Zgadzam się z Opal. Kiedy żył, nie dał nam nic oprócz zgryzot i łez. A teraz, kiedy umarł... mamy do tego prawo. Chcę tego, co mi się należy, nic więcej.

— Nie wierzą! — Ruby uderzyła pięścią w stół. — Moje dzieciństwo wyglądało tak samo, jak wasze. Ale tam, na patio siedzi wasza matka, a nie jakaś przybłęda. Jesteście obrzydliwi!

— Wiedziałam, że tak to się skończy! — warknęła Opal.

— Właśnie! — przytaknęła Amber. — Jak tylko wsadysz gdzieś nos, zaraz wszystko psujesz.

Ruby zagotowała się z wściekłości.

— Owszem, pamiętam, że wtykałam nos w wasze sprawy, kiedy byliście w głębokim dołku. Czy wtedy coś popsułam? Mieszkałabyś w namiocie, Opal, gdyby nie ja. Jesteś mi winna tyle pieniędzy, że straciłam rachubę. Więc nie ważcie się mówić, że coś popsułam! Róbcie, co wam się podoba, ja mam to w nosie. I zapamiętajcie sobie, nie będę się już mieszać do waszych spraw.

Opal doskoczyła do niej i szarpnęła ją za ramię.

— Dobrze słyszysz? Narzekasz, że dałaś mi pieniądze na dom? Chcesz, żebym ci oddała to, co mi pożyczyłaś? Świetnie. Kiedy podzielimy się majątkiem ojca, zapłacę ci. Chcesz mojej krwi? Tylko powiedz, zaraz wykrwawię się do tego zlewu.

— Coś ty, ona by to sprzedała — wtrąciła Amber kwaśno.

Ruby zamknęła lodówką, z której wyjęła butelkę oranżady. Rzuciła siostrze mordercze spojrzenie.

W tej samej chwili pękły wszystkie tamy. Opal złapała ją za ramię.

— I co teraz powiesz?

Ruby upuściła butelkę. Zacisnęła dłoń w pięść i wymierzyła cios dokładnie w chwili, gdy Andy i Martha stanęli we drzwiach. Opal zatoczyła się do tyłu, zbijając Amber z nóg.

— Mamo! — zawołała Martha. — Co się stało? — Podbiegła do Opal, pomagając jej wstać.

— Nie mieszaj się. Andy, zabierz ją stąd. Ale już! — wrzasnęła Ruby z furją.

— Zwariowałaś! — krzyknęła Opal. — Złamałaś mi szczękę! I nos!

— I tak masz szczęście! — ryknęła Ruby, pieniać się z wściekłości — Powiedzmy to sobie od razu. Ojciec nie ma żadnego majątku. Ten dom należy do mnie. Żadna z was nie dołożyła się,

kiedy chcieli się tutaj przeprowadzić. Zadłużyłam mój dom w Georgetown, żeby mogli tu przyjechać. To ja ich utrzymywałam przez te wszystkie lata. Ja, nie wy. Dom jest mój. A co do pieniędzy, pozwól sobie coś przypomnieć. Amber i ja spłacałyśmy dług, więc mamy swój udział w tym, co zostało po ojcu. Ty się wymigałaś. A teraz chcesz nam odebrać część naszej krwawicy? Mowy nie ma. A co do polisy, zakłady kamieniarskie wypłaciły mamie tysiąc dolarów i wiesz co? Nie wystarczy nawet na pogrzeb. To my musimy za to zapłacić. Konto w banku... to sześćset czterdzieści trzy dolary. Chcesz z tego jedną trzecią? To mama po nim dziedziczy, nie my! Wbij to sobie do głowy, nie ma czego dzielić!

Odstąpiła o krok, nie mogąc złapać tchu. Amber powiodła spojrzeniem od Opal do Ruby. Miała otwarte usta, po raz pierwszy w życiu odebrało jej mowę.

Opal chwiejnie podeszła do stołu. Miała dziwny wyraz twarzy. Ruby widziała tę minę tyle razy w życiu, że rozpoznała ją bez trudu. Opal wyglądała teraz jak ojciec. Amber też to dostrzegła. Z cichym jękiem chwyciła się stołu, żeby nie upaść.

— Gdybym o tym wiedziała, nie wykosztowałabym się na bilet. Zapłaciłam tysiąc czterysta dolarów. Powinnyście mi to zwrócić — powiedziała.

— Akurat — parsknęła Ruby.

— Myślałam, że ten dom jest na mnie i Andy'ego — odezwała się Martha. — Jak możesz tak traktować własne siostry? Czy tatę też tak załatwiłaś? Boże, teraz wszystko rozumiem.

— Gęba w kubek, Martha — syknął Andy.

— Nie rozkazuj mi! — obruszyła się Martha. — Pewnie, że bierzesz jej stronę, zawsze byłeś jej ulubieńcem, jej pieścioszkiem! Nie widzisz, co się tu dzieje? Przez tyle lat wmawiała nam, że dziadkowie nie chcą nas znać. Nie była u nich od trzydziestu lat. Dziadek umarł, a ona się zachowuje, jakby nic się nie stało. Trzydzieści lat! I jak to wytłumaczysz?

Nagle, jak na komendę, wszyscy rzucili się na siebie. Krzyczeli, piszczeli, popychali się i bili, przewracali i tarzali po podłodze. W powietrzu fruwały powyrywane kępki włosów, a cała kuchnia aż się trzęsła się od przekleństw.

Andy podniósł się z podłogi. Siostra chwyciła go za kołnierz koszuli i pociągnęła do tyłu. Odepchnął ją. Złapał miskę zimnej wody, w której Irma zostawiła warzywa i chlusnął nią na walczące kobiety. Groszek i marchewka rozsypały się po całej kuchni. Zapadło milczenie, gorsze niż poprzednie krzyki.

— Dość! — ryknął Andy. Pomógł wstać matce. — O Jezu — mruknął. Jej twarz była umazana krwią, sączącą się z głębokich zadrapań. Andy wziął ścierkę do naczyń i wyprowadził matkę na dwór, gdzie Irma kołysała się spokojnie na bujanym fotelu. Martha została w domu, razem z ciotkami.

W tej bitwie nie było zwycięzców.

— Wiecie już, co chcecie na obiad? — spytała Irma wesoło.

Andy otworzył usta. Ruby westchnęła.

— Fasolkę — powiedział wreszcie Andy, przypominając sobie, co stało się z marchewką i groszkiem. Potem szepnął do matki: — Martha nie mówiła tego poważnie. Przestraszyła się. Niech to, ja też się przestraszyłem. Nie martw się o nią. Przemówię jej do rozsądku.

— Nie. Zostaw ją. Jest dorosła, może decydować za siebie. Jeśli tak uważała, miała prawo mi to powiedzieć. Obiecuj mi to. — Syknęła, kiedy dotknął ścierką do jej krwawiącego ucha. Amber szarpnęła kołczyk i rozdarła delikatne ciało.

— Mamuś? Powiesz mi, o co tu chodzi?

— Nie teraz, Andy. Proszę cię, nie teraz. Idź do domu, chcę porozmawiać z babcią.

— Dobrze, ale będę patrzeć przez okno. — Wszedł niechętnie do środka i zabrał się do sprzątnięcia kuchni.

— Przepraszam cię, mamó. Słyszałaś to wszystko?

— Na litość, cała okolica słyszała. Powinnyście nauczyć się mówić ciszej, dziewczynki. Nie musiałyście tak krzyczeć, jeśli nie chciałyście groszku z marchewką. Wystarczyło powiedzieć, że chcecie fasolkę.

Ruby uklękła przy matce, tak jak kiedyś przy babuni.

— Mamó — szepnęła — naprawdę nie wiesz, o co nam poszło? Może na to jeszcze za wcześnie, ale musisz zdecydować, gdzie chcesz mieszkać.

Irma kołysała się spokojnie.

— Tutaj. Zostanę tutaj.

— Dobrze. To dobrze. A więc postanowione? — Tak. Tutaj.

— Mamó — Ruby oblizała rozcięte usta — przez chwilę... na okamgnienie... zobaczyłam... Opal przestraszyła mnie... Jak to się stało? Jest taka jak ojciec. Amber też to widziała — skończyła Ruby żałośnie.

— Wiem — powiedziała Irma łagodnie. — Odeślij ją, Ruby. Wystarczy ci pieniędzy, żeby ją odesłać? Mam dwadzieścia dolarów, wyjęłam je z kieszeni George'a. Możesz je wziąć.

Ruby położyła głowę na kolanach matki i zaniosła się płaczem. Andy rzucił się ku nim biegiem. Irma machnęła ręką, odsyłając go z powrotem. Słońce stało już wysoko, kiedy Inna odezwała się znowu.

— A teraz zrobię galaretkę. Truskawkową. Zawsze ją lubiłaś. Kiedy zastygnie, wygląda jak rubin. Mam też cytrynową, jeśli wolisz.

— Może być truskawkowa, mamó — powiedziała Ruby, podnosząc się z betonu. Cała zeszywniała, wszystko ją bolało, a kolana miała poodgniatane od klęczenia. — A może wolałabyś wrócić do Barstow?

— To niezły pomysł. Nie wiem, czy wystarczy mi fasolki.

W głosie Ruby pojawiła się panika.

— To może zjemy kanapki. Z pastą z jajek albo z tuńczykiem.

— Świetnie! No, teraz się pobaw, a ja się tym zajmę. Za pół godziny wszystko będzie gotowe.

Ruby zostawiła matkę w kuchni.

— Widziałeś gdzieś moją torebkę, Andy? — spytała, kiedy wszedł za nią do salonu.

— Tę? — Machnął rękaw stronę wieszaka przy drzwiach.

Ruby skinęła głową.

— Przynieś mi ją — poprosiła.

Andy patrzył, strapiiony, na matkę szukającą książeczki czekowej. Wyprostowała ramiona i ruszyła po schodach. Pokręciła głową, kiedy chciał jej towarzyszyć.

Po dwudziestu minutach na schodach pojawił się mały pochód. Andy otworzył szeroko oczy, kiedy zobaczył siostrę, wychodzącą w ślad za ciotkami. Przez okno widział, jak wszystkie trzy wsiadają do taksówki. Co tu się działo, do pioruna? Co z nich za rodzina?

— Obiad gotowy — odezwała się Inna za jego plecami. Niemal podskoczył, kiedy babka wzięła go za rękę i zaprowadziła do kuchni. — Pasta z jajek. Seler naciowy i herbata — wyliczała Irma zachęcająco.

Andy spojrział na stół. Nogi się pod nim ugięły.

— Mm... muszę... umyć ręce. Po... poczekaj, babciu.

Popędził na górę jak strzała.

— Mamó! Gdzie jesteś, cholera jasna? — wychrypiał.

— Tutaj — odezwała się Ruby z łazienki.

— One... wyjechały! Nie będą na pogrzebie?

— Otóż to — syknęła Ruby przez zaciśnięte zęby. — Babcia to widziała?

— Nie mam pojęcia. Spłaciłaś je, tak?

— Tak. Wszystkie, oprócz Marthy. Tylko dlatego przyjechały. Dałam im to, czego chciały. Poprosiłam, żeby zostały. Nie zgodziły się.

Zeszli razem do kuchni. Gdyby Andy nie trzymał jej tak mocno, pewnie osunęłaby się na podłogę.

— Spóźniliście się. — Inna pogroziła im palcem, jakby karciała niesforne brzdące.

— Przepraszam — wymamrotała Ruby, siadając za stołem. Spojrzała na błękitny serwis w kwiatuszki i na maleńkie kanapeczki.

— Herbatki? — uśmiechnęła się Irma.

— Po... poproszę — wyjąkała Ruby unosząc mikroskopijną filiżankę. Na jej złoconym, łuszczącym się brzeżku widniały punkciki rdzy. Wzięła kanapeczkę wielkości znaczka pocztowego. — Amber i Opal wyjechały — powiedziała żałośnie.

— Wiem. Czy to ważne?

— Chyba nie — wymamrotała Ruby.

— Ja też tak sędzę. Ojciec nie dowie się o tym — powiedziała przekornie Irma.

— Chciałabym, żebyś pojechała ze mną i Andym... potem zdecydujesz, gdzie zamieszkasz.

— Dobrze — zgodziła się matka bez oporu.

— Grzeczna dziewczynka! — zagrzmiał Andy.

— Już nie jestem dziewczynką — powiedziała Irma nieśmiało.

— Chyba się przejdę. — Ruby wstała od stołu.

— Ty też idź, Andy. Ja tu posprzątam i zacznę przyrządzać indyka.

Przez długą chwilę szli w milczeniu. Dotarli do autostrady i leżącej za nią plaży. Ruby zdjęła buty, Andy poszedł za jej przykładem.

— Nie wiem, co mam zrobić — odezwała się wreszcie Ruby.

— Zawsze powtarzasz: „Jeśli nie wiesz, co masz zrobić, nie rób nic” — mruknął Andy.

— Chyba chcesz się dowiedzieć... nie znoszę o tym mówić... — Słowa, tak długo powstrzymywane, ruszyły wezbraną falą. Andy słuchał jej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. — I co ty na to? — spytała na koniec.

— Chcesz mojej rady, opinii czy czegoś w tym rodzaju? — Andy usiadł na w piasku. — Nie, nie. Chyba nie robiłam nic złego. A jeśli, to nie z rozmysłem. Opal ma rację co do jednej rzeczy. Być może okazałam się hipokrytką, przyjeżdżając na pogrzeb ojca. Ale przyjechałam dla twojej babci. Nie wiedziałam, że... jest chora. Przetrwam nabożeństwo i pogrzeb, bo muszę. Nienawidziłam go przez całe życie. Nadal go nienawidzę. Nie zamierzam zaprzeczać. Tam, w kuchni, nie rzuciłyśmy się na siostrę. Walczyłyśmy z ojcem. Tak właśnie było, czy chcemy to przyznać, czy nie. Usiłowałam im to wytłumaczyć, ale nie chciały słuchać. Nigdy się nam nie udało odegrać za nasze krzywdy, wiesz? Umarł, zanim zdążyłyśmy to zrobić. Każda z nas spodziewała się, że albo on poprosi nas o przebaczenie, albo my naprawdę damy mu to, na co zasłużył. Martha była tak... chciałam, żeby zrozumiała... Zwróciła się przeciwko mnie. Nie mogę tego znieść. Serce mi krwawi. Jak mogła?

— Martha to głupia klabzdra — mruknął Andy z niesmakiem. — Potrafi obrzydzić człowiekowi życie, jeśli się postara. Ale zmartwieje. Nie martw się o nią, mamus.

— Tak się cieszę, że jesteś ze mną. Chyba jeszcze ci nie podziękowałam, że mi pomogłeś przy...

Andy roześmiał się.

— To tylko dowodzi, że potrafisz przetrwać wszystko. I nie musisz mi dziękować.

— Wracajmy. I weźmy taksówkę, bo nogi mi odpadną.

Gdy Andy płacił kierowcy, Ruby obeszła dom, żeby wejść do niego od tyłu. Zatrzymała się jak wryta, kiedy przez kuchenne okno dobiegł ją śmiech. Matka musiała mieć towarzystwo.

— Dixie! Dixie, o Boże, to ty! — krzyknęła. — Och, Dixie, tak się cieszę! Jak... kiedy...? — Po jej policzkach potoczyły się łzy.

Dixie chwyciła ją w objęcia.

— Andy zadzwonił do mnie dziś rano. A jak się tu dostałam? Chętnie ci powiem. Wynajęłam samolot. Czułam się taka... zepsuta. Pieniądze mają niesamowitą władzę.

— Nie mów mi o pieniądzach — powiedziała Ruby z goryczą.

— Ucięłam sobie miłą pogawędkę z twoją matką. Umyłam warzywa, a ona zrobiła nadzienie do indyka. Wkrótce będzie gotowy.

— No dobrze, dzieci, teraz was opuszczę. Muszę się przygotować na wieczór. Nie włożę czarnej sukienki — oświadczyła Irma z nutką przekory w głosie.

— Ja będę miała czerwoną — uśmiechnęła się Ruby.

— Ja przywiozłam żółtą — zachichotała Dixie.

— Słyszałam, że twoja matka... — zaczęła Dixie, kiedy z piętarka dobiegł szum wody.

— Mówiła do rzeczy? — przerwała jej Ruby z niepokojem.

— Dixie skinęła głową.

— Na tyle, że zrozumiałam, co tu się działo. Teraz chcę wiedzieć, co dzieje się z tobą.

— Moje konto w banku uszczupliło się, ale to nieważne. Ważne jest to, że zdołałam spłacić moje siostry. Nie podziękowały mi, nie powiedziały ani słowa, nie obejrzały się za siebie. Walczyłyśmy do krwi, naprawdę. Wyrwałam któreś garść włosów. Pozabijałybyśmy się, gdyby nas Andy nie oblał zimną wodą. Moja córka... mówiła straszne rzeczy. Przysięgam, słyszałam jak pęka mi serce.

— Już się stało. Będziesz żyć dalej. To ich strata.

— Ale Martha...

— Martha jest dorosła. Podjęła decyzję pod wpływem chwili. Chciała zwalić na ciebie winę za rozpad twojego małżeństwa. Musi pozbyć się gniewu i tak właśnie to robi. Ona wróci, jeśli dasz jej trochę swobody.

— Ale to tak boli. Znowu zobaczyłam w niej Amber. A w Opal ojca. Boże, jaka ona jest pokręcona!

— Za sto lat nikomu nie robi to różnicy — oznajmiła Dixie beztrąsko.

— Za sto lat już nas nie będzie! — zaprotestowała Ruby.

— No właśnie. — Dixie poklepała japo nodze i zaniósła się śmiechem. — I wiesz co? — wykrztusiła. — Kazałam pilotowi, żeby na nas zaczekał!

— Nie!

— A właśnie, że tak. Fortuna, Ruby. To kosztuje fortunę. To jedna, jedyna taka rzecz, na jaką się odważyłam w całym życiu. Rozkoszowałam się każdą minutą. Tobie też się spodoba. To cudowne, że nas na to stać.

Ruby pokiwała głową. Świat zaczął wracać do normy. Miała przy sobie Dixie. I Andy'ego, i matkę. Teraz mogła przetrzymać jakoś to, co ją czekało, i pozostać przy zdrowych zmysłach.

* * *

Kondukt pogrzebowy George'a Connorsa składał się z czterech osób. Żadna nie uroniła nawet łzy.

W drodze powrotnej Irma odwróciła się do Ruby.

— Jak sądzisz, czy twój ojciec poszedł do piekła?

— Nie zdziwiłabym się.

— Ja też tak sędzę — powiedziała Irma radośnie.

Dixie zerknęła na Ruby. Ta wzruszyła ramionami. Andy objął babcię ramieniem.

— Napijmy się kawy — powiedziała Ruby, kiedy znaleźli się w kuchni. — Ja zrobię. Posiedź sobie na patio, mamó, a Dixie i ja obsłużymy cię, jak w restauracji.

— Zaraz do ciebie przyjdę, babciu, tylko zrzucę z siebie ten garnitur — dodał Andy.

— Dobrze — powiedziała Irma zgodnie. — Dodaj do kawy cynamonu. — Dobrze, mamó.

— 1 prawdziwej śmietanki.

— Dobrze, mamó.

— I weź tacę.

— Dobrze, mamó.

— I przynieś ciastka dla Andy'ego.

— Dobrze, mamó.

Irma usiadła w bujanym fotelu. To ładny ogród, pomyślała. Choć nie musiała specjalnie dbać o tę ostrą trawę, której tyle było na Florydzie. Zaczęła kołysać się w fotelu. Spojrzała w górę i potrząsnęła głową. Kiedy po raz drugi jej wzrok powędrował ku niebu, zaczęła mrużyć pod nosem.

— Nie, nie sędzę. Przestań się tak niecierpliwić, George, dopiero się tam znalazłeś. Niby dlaczego, wyjaśnij mi? — Westchnęła. — No dobrze, George, ale ja pójdę prosto do góry, nie w dół.

Andy wpadł biegiem do kuchni.

— O której odlatuje samolot, ciociu?

— O której zechcesz — rzuciła lekko. — Dziś, jutro, obojętne.

— Ja to wezmę — powiedział, odbierając im tacę. — Wy zajmijcie się dzbankiem.

Jego krzyk zmroził im krew w żyłach. Dixie i Ruby rzuciły się pędem na patio, słysząc brzęk tacy upuszczonej na cement. Ruby zasłoniła usta ręką; twarz Dixie śmiertelnie pobladła. Andy kręcił mechanicznie głową równie blady, jak Dixie.

* * *

Pogrzeb Irmy Connors odbył się w spokoju. Były na nim trzy osoby, płaczące łzami prawdziwego żalu.

* * *

Po człowieku powinno zostać coś więcej — pomyślała Ruby patrząc na kartonowe pudło, stojące u jej stóp. Spakowanie majątku matki zajęło jej czterdzieści minut. Łzy napłynęły do oczu Ruby. Rzeczy matki i blaszany serwis do herbaty. To wszystko, co chciała ze sobą zabrać.

Andy skinął na stewarda, który zaniósł ich bagaże do samolotu.

Ruby odwróciła się po raz ostatni.

— To dobrze, że wiem, gdzie jesteś. Będę tu wracać, mamó. Bardzo często.

Dixie spojrzała na kalendarz wiszący na ścianie kuchni. Od śmierci Hugona minęło pięć lat. Niemożliwe. Kiedy? I dlaczego teraz siedzi beczynn timer, czekając na nadejście świtu? Bo tak robi od śmierci męża, odpowiedziała sobie, a trudno jest się odzwyczaić od starych nawyków. Pomóż mi, Boże.

W kuchni było ciemno, ale to jej nie przeszkadzało. Mała lampka nad kuchenką zamigotała i zgasła. Dixie nie miała pojęcia, która godzina, ponieważ nie widziała zegara.

Oparła się na krzesło. Kubek zimnej herbaty stał przed nią na stole. Nie przepadała za herbatą, zwłaszcza za aromatyzowaną, ale Ruby twierdziła, że dzięki herbacie wszystko wygląda lepiej.

Tym razem nie miała racji. Dixie wyciągnęła rękę w stronę stołu. Jej palce trafiły bezbłędnie na ten koszmarny świstek, który dostała dziś po południu. Wynik badań. Okropne słowo: biopsja. Boże, za co mnie tak karzesz? Po tych wszystkich latach kalectwa... Potem ta niezwykła, granicząca z cudem operacja i znowu to. Wiedziała, że tym razem, kiedy obudzi się z narkozy, nie będzie miała jednej piersi.

Ten okres ich życia miał być najlepszy. Ruby tak powiedziała. „Wejdziemy w zimę naszego życia i dopiero teraz zaczniemy żyć. Możemy robić, co nam się podoba. Nie mamy żadnych zmartwień. Właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Możesz zacząć rozkoszować się życiem, możesz stanąć, wachać róże, podróżować, przestaniesz łapać przeziębienia i, nie wiadomo dlaczego, przestaną cię boleć stopy”.

Ruby była urządzona w życiu. Miała dwoje wspaniałych dzieci. Martha wkrótce się opamięta i przeprosi za wszystko. Ruby miała też Calvina, choć śledząc wyniki wyborów, Dixie zastanawiała się, czy Ruby znajdzie dla siebie miejsce w jego nowym życiu. W błędnym mroku kuchni pojawiły się pierwsze różowe blaski. Siedziałam tu przez całą noc, pomyślała Dixie. Gdzie jest Ruby? Usiłowała przywołać ją w myślach. Tak, jak tamtej nocy, gdy Hugo zapadł w śpiączkę. Ruby wtedy do niej przyjechała. A w klinice Mayo, gdy ze wszystkich sił przywoływała ją do siebie, przyjaciółka również usłuchała jej zaklęć. Ale teraz, gdy potrzebowała Ruby bardziej niż kiedykolwiek dotąd, nic się nie stało. Poproś ją, Dixie. Na tym właśnie polegał problem. Nie potrafiła prosić. Pycha, przypomniała sobie, jest grzechem śmiertelnym.

W kuchni było już zupełnie jasno. Dixie spojrzała na stosy dokumentów na stole. Jej fortuna. Zawdzięczała ją Ruby. Wzięła gruby plik obligacji państwowych. Na dołączonej do nich karteczce widniała notatka, mówiąca, iż w każdym pliku znajduje się pięćset obligacji o wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Miała pięć takich plików. Razem dwa tysiące. Dziesięć milionów dolarów. Mogła tę karteczkę schować do torebki. Taki paperek. Wyciągi z kont także wydrukowano na papierze cienkim jak łuska cebuli. Spojrzała na cyfry na pierwszej stronie każdego wydruku. Mnóstwo pieniędzy, trzystaście milionów dolarów. Pechowa trzynastka. A jeszcze polisa ubezpieczeniowa Hugona, a także jej własna polisa, o którą postarała się po operacji. Ruby na to nalegała.

Gdzie ta Ruby? Spojrzała na żółty telefon, wiszący na ścianie. Wystarczy zadzwonić, a przyjaciółka będzie tu w niespełna siedem minut. Nie tym razem, szepnęła Dixie. Nie tym razem. Jak szybko znalazło się dla niej łóżko w szpitalu! To dlatego, że... myślą, że umiera. Najpierw operacja, chemioterapia, potem może naświetlanie. „To zależy” — powiedział lekarz, ale nie powiedział od czego, a ona nie pytała. Miała zarejestrować się w szpitalu o dziesiątej, przejść przez parę badań, potem przygotowują ją do operacji i o siódmej rano znajdzie się na stole

operacyjnym. Spojrzała na zegar. Dokładnie za dwadzieścia cztery godziny pójdzie pod nóż. Kiedy w życiu nastaje zima, trzeba umrzeć. No cóż, wszystko zgodnie z planem. „Nawet nie myśl, żeby się wykręcić od operacji”. Dobrze pamiętała te słowa lekarza. Najpierw szok; potem zaczęła paplać nieskładnie o porach życia. Lekarz spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby nagle wyrosła jej druga głowa. Potem spytała, jakie ma szanse. Odparł, że nie może dać jej żadnych gwarancji i zaczął pleść różne androny. Ruby nazwałaby to klasycznym bajerowaniem pacjenta.

To zima mojego życia. Ruby, gdzie jesteś? Tak się ze sobą zgrałyśmy, jak możesz nie wiedzieć, że dzieje się ze mną coś złego? Jeśli nie przyszła, to może właśnie tak ma być? Może wyczerpała już u niej cały kredyt? Może zbyt często była jej ciężarem? Ruby zasługiwała na to, by przejść przez zimę swojego życia, nie musząc zmagać się z problemami Dixie.

Ruby zwykła mawiać: „Jeśli nie wiesz, co zrobić, nie rób nic”. A w przypadku Dixie oznaczało to, że ma uciekać. Ile tylko sił w nogach... Popędziła do piwnicy, w której trzymała kasę pancerną. W środku znajdowało się sześćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką. Zniosła pieniądze na górę i upchnęła je w nowej torbie. Znowu wróciła do piwnicy, niosąc dokumenty z kuchni i schowała je pod poduszkami starego bujanego krzesła. Wróciła ponownie do kuchni i spojrzała na świstek ze szpitala. Za dwie godziny ma się zgłosić w rejestracji. Podarła go na drobne kawałeczki i wyrzuciła do zsypu. Opróżniła lodówkę i zarzuciła pokrowce na meble. Zadzwoiła do linii lotniczych, na centralę telefoniczną i pocztę.

Ruby znowu opłakiwała stratę bliskiej osoby, tak jak wtedy, gdy umarła jej matka. Ale tym razem nie było kogo pogrzebać, nie było miejsca, które mogłaby odwiedzać i gdzie mogłaby mówić różne wzniosła kłamstwa... już nigdy... wszystko skończone... to koniec... *fini*.

Przy ogniu było tak miło i przytulnie. Właśnie dlatego go rozpałała, choć na zewnątrz było sześć stopni powyżej zera. Lubiła patrzeć na płomienie strzelające z czereśniowych polan. W mrocznym salonie tańczące jęzory ognia rzucały na ściany fantastyczne cienie. Ale Ruby nie dostrzegała ich dzisiaj. Dzisiaj siedziała tu, ponieważ nie mogła spać. Już od kilku miesięcy nie zaznała spokojnego snu.

Lista rzeczy, które zaniedbała, ciągnęła się w nieskończoność. Nie chodziła do pracy. Nie było takiej potrzeby. Nie rozmawiała z Dixie od... właściwie straciła już rachubę. Nawet nie wiedziała, gdzie podziewa się jej przyjaciółka. Zamknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni rozmawiała z Dixie. Chyba miesiąc temu. Zadzwoiła do niej, ale Dixie nie oddzwoniła, Ruby nie ponowiła prośby. Kiedy to było? Nie pamiętała.

Jej spojrzenie padło na notatnik leżący na stoliku. Zawsze trzymała go obok telefonu na wypadek, gdyby chciała coś zapisać. Zawsze lepiej jej się myślało, kiedy zobaczyła wszystko czarne na białym. Może właśnie to powinna zrobić — zapisać wszystko, co chodzi jej po głowie. Może pozbędzie się tego okropnego uczucia. Spojrzy rano na zapiski, wzruszy ramionami i powie sobie, że nie ma tu nic ważnego.

Otuliła się grubym szlafrokiem, podkuliła nogi. W oczach zakręciły się jej łzy. To od dymu, zawyrokowała. Polano trzasnęło, pękło i sypnęło snopem iskier, przypominających spadające gwiazdy. Uśmiechnęła się ze smutkiem, wspomniawszy sobie inny wieczór, który spędziła z Calvinem w swojej górskiej chatce w Poconos. Dwie godziny znosili drwa, ponieważ Calvin oznajmił, że przez całe trzy cudowne dni nie ruszą się z domu. A jednak z niego wyszli. Bawili się na śniegu, dokazywali jak dzieci, jeździli skuterami śnieżnymi Andy’ego i Marthy, ścigając się po białym pustkowiu, aż w obu pojazdach zabrakło benzyny. Wrócili na piechotę, zaśmiewając się do łez. Trzy razy dziennie delectowali się jagnięcymi kotletami, ponieważ było to ulubione danie Calvina. A kiedy nie gotowali posiłków, nie jedli ich lub nie dokazywali w śniegu, kochali się leniwie na stercie miękkich, żółtych koców. Nie oddałaby tego wspomnienia za żadną cenę.

Nie zmieniałyby też nic w ich ciągnącym się od pięciu lat romansie. Z Calvinem zwiedziła cały świat: Ziemię Świętą, Egipt, Grecję, większą część Azji. Jeździli w Austrii na nartach. W Paryżu zachowywali się jak prawdziwi kochankowie. Calvin kupił jej kwiaty, stokrotki, od ulicznego sprzedawcy, który uśmiechnął się do nich, bo byli zakochani. Nadal trzymała w paszporcie jeden zasuszony kwiatek. Kochali się w Nowym Orleanie, San Francisco i pod gwiazdami Miami.

Pod koniec piątego roku ich romansu dowiedziała się wszystkiego o Calvinie Santosie. Ruby otuliła się szczerzej ciepłym szlafrokiem, przypomniawszy sobie tę chwilę. Za zgodą Dixie ich firma zatrudniła Calvina jako konsultanta, podróżującego konsultanta. Do tej pory nigdy nie pozwoliła sobie pomyśleć o Calvinie jako o swoim utrzymaniu. Zawsze umiała jakoś usprawiedliwić całą sytuację przed Dixie i samą sobą, twierdząc, że nie odbiera niczego rodzinie Calvina i nigdy tego nie zrobi. Bierze jego miłość i namiętność, ponieważ Eve tego nie chce. Dorzuciła ogromne polano do płonącego ognia. Wystarczy aż do rana. Wróciła na sofę i znowu myślała o Calvinie. Podjął próbę kandydowania do Senatu Stanów Zjednoczonych, co mu się nie udało. Nie był do tego przygotowany ani duchowo, ani finansowo. Prawie nie spotykała się z nim przez cały rok, ponieważ otaczali go doradcy różnej maści, najwyraźniej nie mający pojęcia, co z nim zrobić. Zresztą Calvin nie chciał ich słuchać. Z początku dzwonił często do Ruby, referując jej najnowsze wypadki i prosząc o rady, które ignorował. Wreszcie, kiedy sprawy przybrały kiepski obrót, przestał dzwonić. Ruby obserwowała relacje z wyborów i oblała łzami jego przegraną. Teraz próbował znowu i tym razem wydawało się jej, że wygra. Usiłowała mu pomagać, zasilając jego fundusze na prowadzenie kampanii. Poza tym pożyczyła mu pokaźną sumę. Ale i tak wiedziała, że nowi doradcy Calvina uważają ją za zmorę swojego życia. Calvin obiecywał, że spotkają się, jak tylko znajdzie wolną chwilę. Miała ochotę zadzwonić właśnie teraz i powiedzieć mu... Co? Złamałeś mi serce? Wierzyłam w ciebie? Wierzyłam ci? Napisała to wszystko w liście, na który nie odpowiedział. Pewnie był zbyt zajęty, żeby pofatygować się na pocztę i sprawdzić, co leży w jego skrytce. Co z oczu, to i z serca. Nie pisała już od trzech tygodni. Dotąd pisała dwa, czasami nawet trzy razy w tygodniu, ale on nie odpisywał już od kilku miesięcy. Niech cię szlag, szepnęła.

Nagle zaczęła płakać. Kiedyś powiedziała sobie, że niczego nie żałuje. Ale to nie była prawda. Miała mnóstwo powodów do płaczu. Wszyscy przyjaciele odeszli. Paul umarł pierwszy, na atak serca. Grace, zupełnie zagubiona bez swojego ukochanego, wegetowała jeszcze przez parę miesięcy, po czym wzięła zbyt dużo pigułek nasennych. Potem Mabel McIntyre. Pewnego pięknego październikowego dnia Ruby zadzwoniła pod numer, który znalazła w książce telefonicznej i usłyszała, że numer został wyłączony. Wiedziała, co to znaczy. Mabel odeszła. Podobnie jak Quantrellowie. Boże, ile razy chciała odwiedzić ich w Michigan. Nie zrobiła tego. Rok, w którym wróciły do niej gwiazdkowe prezenty, był jednym z najtrudniejszych do zniesienia. Włączyła Quantrellów do swego życia. A teraz odeszli.

Nie było już Reny i Bruna. Rok temu Rena zadzwoniła do niej i powiedziała, że zabierają wszystko i wyjeżdżają do Egiptu. Pół roku później napisała do niej z rodzinnego kraju, zawiadamiając, że Bruno nie żyje. Na końcu długiego i beładnego listu wyjawiała, że ona także umiera i że ma przed sobą najwyżej trzy miesiące. Ruby zadzwoniła do niej natychmiast, mimo to za późno. Stryjowie także odeszli.

Teraz została jej tylko najbliższa rodzina i Dixie. Nadal nie miała kontaktu z siostrami i córką, choć od śmierci rodziców minęło już cztery i pół roku.

Zdradzona przez własną córkę! Wciąż czuła ten niewiarygodny ból; nawet nie podejrzewała, że coś może sprawić takie cierpienie. Interwencja Andrew nie wzruszyła Marthy. „Jest taka sama, jak ty, Ruby. Uparta niczym osioł. Nawet, kiedy opowiedziałem jej, jak cię zdradzałem i

jak wszystko przepuściłem, uznała, że cię kryję, bo mi pomagasz i nie chcę, żeby wszystko się na mnie skrupiło”.

Strzępy informacji o życiu siostr docierały do Ruby za pośrednictwem Andy’ego. Egzystencja Amber toczyła się utartym torem, a Opal mimo kuracji odwykowej nadal piła.

Pozostawała Dixie, która ostatnio zachowywała się jako dziwnie. Ruby nie wiedziała, co się z nią działo. Nie chciała się wtrącać do nie swoich spraw. Potrzebowała czegoś, co by zajęło jej czas, jakiego wyzwania. Sięgnęła po ołówek i notatnik i zaczęła pisać w pośpiechu.

Przewieźć mamę i ojca na cmentarz w Barstow. Spytać Amber i Opal o zgodę. Odwiedzić przytułek św. Andrzeja na Hawajach. Pojechać do Michigan na farmę Quantrellów. Lista ciągnęła się w nieskończoność.

Pielgrzymka. To o to chodziło. Musi udać się na pielgrzymkę. Jutro wybierze się do biura podróży i zarezerwuje bilety. Potem pójdzie do Nicka Palomo. Może da jej coś na te uderzenia gorąca. Pięćdziesiąt dwa lata, prawie pięćdziesiąt trzy. Pora zająć się własnym zdrowiem. Powinna schudnąć, dziesięć kilogramów przybyło jej niepostrzeżenie. I przestać palić. Powinna zrobić wiele rzeczy. Śmierć zaczynała ją przerażać. Może należy się zastanowić nad powrotem na łono Kościoła.

Chyba powinna się przeprowadzić. Nigdy nie udało się jej urządzić sypialni tak, jak chciała. Ale będzie mogła to zrobić, jeśli się przeprowadzi. Zmiana wystroju obecnej sypialni to nie to samo. Nie wiedziała dlaczego, ale tak czuła. Może dlatego, że ten pokój dzieliła kiedyś z Andrew. Może powinna wrócić do Barstow. Razem z rodzicami. Nigdy nie będzie sama... Zapadła w niespokojną drzemkę, z której ocknęła się o czwartej. Wstała, ubrała się i poszła prosto do samochodu.

Dom Dixie tonął w ciemnościach. Zwykle w kuchni paliła się mała lampka, ale nie tym razem. Podniosła doniczkę stojącą przy frontowych drzwiach, klucz zniknął. Na parkingu, pod skrzynką na mleko znajdował się jeszcze jeden. Ale i jego nie znalazła. Ruby zaczęła krążyć między frontowymi a kuchennymi drzwiami, pukając do nich na zmianę. Wreszcie wzięła spory kamień pomiędzy innych, okalających kwietnik i stłukła małą szybkę w drzwiach kuchennych. Sięgnęła do środka, zdjęła łańcuch i wcisnęła guzik na gałce. Włamanie. Miała to w nosie. W tej chwili wiele rzeczy straciło dla niej wagę. Nie miała pojęcia, jak się zachowa, jeśli pojawi się policja. „Cześć, chłopcy, to dom mojej najlepszej przyjaciółki. Mogę w nim robić, co mi się podoba”. „O tak, proszę pani, naturalnie. Proszę z nami”.

Lampka była włączona, uświadomiła sobie Ruby, przyciskając przełącznik. Żarówka się przepaliła. Otworzyła szufladę z różnymi różnościami, znalazła nową żarówkę i wkręciła ją. W kuchni rozbrzysnęło mdłe, żółte światelko. Lodówka opustoszała, zamrażarka też. Dopiero po dłuższej chwili Ruby zorientowała się, że obie zostały odłączone od sieci. Na półkach stały jedynie puszki z zupą. W całym domu nie było śladu Dixie. Ani jednej wstążki, ani granulki talku, nic. Wszystkie szafy ziały pustką, a meble przykryto pokrowcami. Ruby usiadła ciężko na sofie. Kiedy to wszystko się stało? I jak się stało, że ona nic o tym nie wiedziała?

Ruby rzuciła się do telefonu. Głuchy. Spojrzała na termostat w holu. Był nastawiony tak, żeby kaloryfery nie zamarzły. Co tu się działo? Gdzie Dixie? Ruby zaczęła się martwić.

Kiedy dotarła do domu, drżała na całym ciele. Podeszła prosto do kominka i dorzuciła do niego kolejne polano. Usiadła przy palenisku, czekając niecierpliwie, aż drzewo zacznie się palić. Serce biło jej szalonym rytmem. Nie mogła się skupić. Dopiero pod prysznicem zdołała podsumować całą sytuację. Straciła niemal wszystkich, nawet Calvina, jeśli ma być ze sobą szczerą. A teraz Dixie. Dixie odeszła. Ot, tak sobie. Nawet się nie pożegnała. Oto sposób na życie. Kiedy życie ci dokuczy, uciekaj. Dixie nie znosiła rozwiązywania problemów. I wszelkich zmian. Czyżby ją zaniedbała? Choć z początku udawały, że jest inaczej, ich przyjaźń zmieniała się

od tamtej nocy, gdy... od tego numeru z Hugonem. Przez pewien czas Dixie zachowywała się jak więzień wypuszczony wreszcie na swobodę. Popełniła każde szaleństwo, jakie przyszło jej do głowy, ale po paru tygodniach wróciła do dawnych przyzwyczajęń. Nigdy nie przeboleła śmierci Hugona. To o to tu chodziło. Ruby wyszła spod prysznicą, owinęła głowę ręcznikiem i otuliła się kosmatym szlafrokiem. Usiadła przed lustrem i przejechała szminką po ustach. Niech cię szlag, Dixie, i ciebie też, Calvinie. Do diabła z wami. Do diabła z „Panią Sugar” i do diabła z tobą, Martho. A wy, Amber i Opal, możecie mnie pocałować w tyłek.

Postanowiła zrobić sobie dobre i duże śniadanie. Wiedziała, że je dużo i niezdrowo, ale nie mogła się powstrzymać. I co mi zostało? — pomyślała żałośnie, popijając kawę z tłustą, kremową śmietanką. Postukała w blat stołu długimi paznokciami. Pomysł z pójściem do lekarza już dziś był głupi. Najpierw trzeba umówić się na wizytę. Dzisiaj zacznie organizować swoją podróż i poszuka Dixie. Nie może wyjechać, nie wiedząc, co się stało z przyjaciółką. A jeszcze wcześniej musi zadzwonić do szklarza, żeby wstawił szybę w drzwiach Dixie.

Ruby wrzuciła talerze do zlewu. Zerknęła na stertę brudnych naczyń, od kilku dni czekających na umycie. Wystarczy pięć minut, żeby je włożyć do zmywarki. Ale nie miała na to ochoty. Wzruszyła ramionami. Jedną z korzyści samotnego życia było to, że mogła robić, co jej się żywnie podobało, cholera jasna.

Kiedy wróciła do domu o czwartej po południu, miała tak kiepski nastrój, że wyjęła z lodówki kawałek sernika i pożarła go w okamgnieniu. Wybiegła z kuchni jak burza, wściekła na Dixie, wściekła na siebie. Krążąc po jadalni, zdała sobie sprawę, że z konkretnych spraw załatwiła jedynie wstawienie szyby. W biurze podróży oznajmili, że muszą mieć kilka dni na skoordynowanie wszystkich miejsc, w których chciała się zatrzymać. Powiedziała z niesmakiem, że wobec tego rezygnuje. Nie dowiedziała się o Dixie absolutnie nic. Na poczcie okazało się, że pani Sinclair nie zmieniła adresu. Ruby zatrzymała się przy domu przyjaciółki, żeby sprawdzić, czy coś jest w skrzynce, ale znalazła w niej jedynie ulotki i druki reklamowe. Oznaczało to tylko jedno — Dixie nie dała nikomu nowego adresu. Zatarła za sobą ślady. Dlaczego?

W przyprawie rozpaczy zadzwoniła do kliniki Mayo i poprosiła o rozmowę z doktorem Harveyem.

— Przykro mi — powiedział Kyle Harvey łagodnie, kiedy usłyszał, o co chodzi. — Nie miałem wiadomości od Dixie już od kilku lat. Poleciałem jej lekarza w Nowym Jorku.

Zrozpaczona własną bezradnością złapała brudne talerze i wrzuciła je do śmieci. Umyła ręce i zadzwoniła do swoich prawników w Nowym Jorku. Dixie nie kontaktowała się z nimi, nie było powodu. Szlag, mruknęła Ruby zwięźle. Zerwała opakowanie z batonika Milky Way i wpakowała go sobie do ust. Rozparła się w fotelu, usiłując zdławić w sobie wściekłość. Chciało się jej płakać. W zakamarkach świadomości odezwał się sygnał alarmowy. Za chwilę przepała się bezpieczniki. Moment i trzasa. Bezpieczniki czy nie, miała jeszcze coś do zrobienia. Zwlekała z tym wiele tygodni.

Z zaciśniętymi zębami zdjęła z widełek słuchawkę i wykręciła numer waszyngtońskiego biura wyborczego Calvina Santosa. W słuchawce rozległ się niemal dziecinny głos.

— Tu Gabinet Ovalny do generała Santosa — warknęła. A co tam, jak iść do pudła, to z fasonem.

— Gabinet Ovalny! — Głosik załamał się z wrażenia. — To tam, gdzie mieszka prezydent, prawda?

Życzę szczęścia. Jak można nie wygrać, mając do dyspozycji sztab takich fachowców?

— Tu generał Santos — usłyszała głos Calvina.

— Niestety, to tylko ja.

— O...

— I to wszystko?

— No, ja...

— Nie zapominaj, że rozmawiasz z prezydentem. Zadam ci parę pytań, a ty mów tylko tak lub nie.

— Dobrze... sir.

— Napisałam do ciebie coś z tuzin listów. Nie odpisałeś. I nie zrobisz tego, prawda?

— Niezupełnie. Byłem bardzo zajęty... sir.

— Przejdź do innego telefonu, żeby ludzie cię nie słyszeli. I niech ci się nie zdaje, że możesz odłożyć słuchawkę, bo jeśli to zrobisz, osobiście zjawię się w twoim sztabie.

— To niemożliwe. Tu jest tylko jeden duży pokój — Calvin zniżył głos tak, że Ruby musiała wyteżać słuch. — Za pół godziny wszyscy wyjdą, proszę wtedy zadzwonić.

— Calvinie?

— Tak?

— Gdybym zadzwoniła i powiedziała tej dziewczynce, kim jestem, podszedłbyś do telefonu?

— Nie mógłbym... sir, nie w tej chwili. Będę tu jeszcze przez godzinę.

— Do widzenia.

Oczywiście Calvina nie będzie, kiedy do niego zadzwoni. Jeśli zadzwoni. Ależ tak, zadzwoni, musi się przecież wtrącać do wszystkiego. Prawda bywa bolesna, ale tylko głupiec zamyka na nią oczy. Nie chciała przyznać, że się pomyliła co do Calvina. Z początku miała mnóstwo wątpliwości, ale odsunęła je od siebie. Wiedziała już dawno, że Calvin nie był człowiekiem, którego pragnęła. Jest słaby. Okłamuje ją. Nigdy nie było go przy niej, kiedy go potrzebowała. To ona go zawsze wyciągała z dołka. Nie kandydowałby do Senatu, gdyby nie ona. A teraz nie może się przyznać do kontaktów z Ruby. Ma nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach, bo to mięczak bez charakteru. Ale i ona nie była bez winy.

Jeśli Calvin oszukiwał żonę, to ona mu pomagała. Kiedyś Andrew powiedział: „Nie jesteś Bogiem, Ruby, nie jesteś nawet świętą, więc nie zrzucaj winy na innych, bo to ty zawsze zaczynasz”. Nie pamiętała już, o co mu chodziło, ale nie było to ważne. Rządziła wszystkimi niczym głównodowodzący. Zawsze sądziła, że to ona zna najlepsze rozwiązanie, a kiedy... Calvin... inni ludzie nie chcieli jej słuchać, obwiniała ich, a nie siebie. Właśnie o to chodziło Andrew.

Po policzkach Ruby toczyły się łzy, kiedy ponownie zadzwoniła do Waszyngtonu. Odczekała dwadzieścia sześć sygnałów, zanim odłożyła słuchawkę.

Z rozpaczliwą wyrazistością zdała sobie sprawę ze swojej samotności. Straciła wszystkie rezerwy, nie miała już skąd czerpać sił. A więc ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać nad dniami, które minęły, trwały i dopiero miały nadejść.

6 listopada 1984 roku. Tę datę Ruby zaznaczyła w swoim kalendarzu na czerwono. Wiedziała, że obserwowanie telewizyjnych relacji z wyborów jest czystym masochizmem. Jutro pójdzie do lekarza, którego powinna odwiedzić jedenaście miesięcy temu. Jutro też postawi przed domem tablicę „Na sprzedaż”.

Wiele miesięcy temu postanowiła zrezygnować z podróży do przytułku św. Andrzeja i innych miejsc, które zamierzała odwiedzić. Była zbyt zmęczona, a zresztą to już przestało mieć znaczenie. Postanowiła przybyć do Barstow jednocześnie z wozem pogrzebowym, którym do swego rodzinnego miasta wracali jej rodzice. Potem wsiądzie do samochodu i pojedzie prosto przed siebie, póki nie skończy się benzyna. Miejsce, w którym się zatrzyma, będzie jej nowym domem. W ciągu najwyżej pięćdziesięciu trzech godzin zniknie stąd, tak jak zniknęła Dixie. Oczy Ruby zaszkliły się na myśl o przyjaciółce. Trudno powiedzieć, które z nich zraniło ją bardziej — Dixie czy Calvin. Nie przeboleła też zdrady Marthy. Do tej pory nie żyła naprawdę; unosiła się na falach życia. Przeprowadzka wydawała się jej jedynym ratunkiem. Zbyt długo już przeciągała strunę. Opróżniła salaterkę popcornu dokładnie w chwili, gdy spiker oznajmił, że zwycięzcą jest Calvin Santos, kandydat z ramienia demokratów. Brawo, szepnęła i wyłączyła telewizor.

Ruszyła na górę niemal ośleplą od łez. Spokojnie, metodycznie spakowała walizki, dwie duże i jedną torbę. Z zaskoczeniem odkryła, jak niewiele rzeczy do niej należy. Andy był tu wcześniej. Miał taką smutną twarz, kiedy mu powiedziała, że może sobie zabrać z domu wszystko, co zechce. Resztę miała otrzymać Armia Zbawienia.

Bardzo się starała, żeby jej głos brzmiał beztrąsko i zarazem po macierzyńsku. Powiedziała mu, że będzie pierwszą osobą, którą zawiadomi, kiedy znajdzie dla siebie dom.

— Rozmawiałaś o tym z tatą?

— No pewnie. Przegadaliśmy parę godzin. Wiesz, co powiedział? — Andy pokręcił głową.

— „Rób, co ci się podoba. Spłaciłaś swoje długi i nikomu nie jesteś nic winna. Działaj! Dla odmiany zrób coś dla siebie”. — Roześmiała się z prawdziwą radością, zaskakując tym Andy’ego i siebie. — I dodał jeszcze: „Tylko dopilnuj, żebym dostawał pieniądze na czas”. Koniec cytatu.

— A Martha? Powiedziałaś jej?

— Owszem. Była oburzona, że sprzedają wasze rodzinne gniazdo. Usłyszałam od niej mnóstwo rzeczy, których nie chcę pamiętać.

— Ona się opamięta — szepnął Andy żałośnie.

— Zdradziła mnie, i to w najbardziej bolesnym dla mnie momencie. Teraz to już nieważne. Twój ojciec ma rację, Martha jest tak samo uparta, jak ja. Kto wie? Z czasem wszystko przestaje być ważne.

— A firma?

— Działa jak szwajcarski zegarek. — A ciocia Dixie?

Ruby wzruszyła ramionami.

— Nie okazała się osobą, za którą ją uważałam. To tyle.

— Byłyście jak siostry, i to syjamskie! — Andy machnął ręką z desperacją. — Kobiety!

Potem pożegnali się, wkładając wiele wysiłku w to, żeby się nie rozpłakać. Kiedy pojawiła się w prywatnej klinice Nicka Palomo, przez siedem godzin była poddawana badaniom.

— Chcę znać wyniki bez względu na to, jakie będą.

Wracając przejechała obok domu Dixie. Zatrzymała się przy nim, ale nie wyłączyła silnika. Patrzyła na dom przez pięć sekund, po czym zrobiła w jego kierunku nieprzyzwoity gest.

Z rozmachem wbiła w trawnik tablicę z napisem „Na sprzedaż”. Miała nadzieję, że Andy nie oszaleje od nadmiaru telefonów. Dopiero teraz zauważyła, że życie w tej okolicy nie stało tu w miejscu. Właściwie nie znała sąsiadów.

Zjadła szybką kolację i zaczęła segregować dokumenty, które powinna ze sobą zabrać. Reszta została złożona w wielkich kartonach, które Andy miał przechować na strychu swego domu. Jako ostatnie do pudła, które jechało z nią, powędrowały kalendarz z biurka i notatnik z adresami. Do zamykanej na suwak przegródki torebki włożyła już książeczkę czekową i plik czeków podróжных. Dziewiętnaście kart kredytowych spoczywało bezpiecznie w oddzielnej kieszonce. Za to, co miała w torebce, mogłaby żyć w luksusie do końca swoich dni, gdyby tylko chciała.

O wpół do dziesiątej położyła się i przespała twardo całą noc. Po raz pierwszy od ponad pięciu lat.

Ponieważ w domu nie było już jedzenia, zjadła samotnie na mieście, ucinając sobie pogawędkę z właścicielem restauracji. Potem pojechała do centrum handlowego, gdzie spędziła dwie godziny. Kupiła powieści Helen McInnes i Williama Goldmana. W sklepie z tanimi drobiazgami wypatrzyła ludowe ozdoby, które pachniały przypalonym popcornem. Następną godzinę przesiedziała nad hot dogiem, frytkami i koktajlem mlecznym. Postanowiła wrócić do domu. Czas, który został do umówionej rozmowy z Nickiem Palomo, mogła zabić, czytając jedną z nowych książek.

Punktualnie o czwartej zadzwonił telefon. Po kurtuazyjnej wymianie zdań Nick powiedział:

— A teraz proszę usiąść, pani Blue.

Ruby osunęła się na krzesło. Krew odplynęła jej z twarzy. A więc jednak nie bez powodu czuła się ostatnio tak paskudnie. Wzięła głęboki oddech, przygotowując się na rewelacje lekarza.

— Zanedbała pani swoje zdrowie. Wysokie ciśnienie, piętnaście kilogramów nadwagi, zastarzała infekcja nerek i początki choroby wrzodowej. Jednak te problemy da się usunąć odpowiednią dietą i lekami. To tyle dobrych wiadomości.

Ruby otworzyła szeroko oczy. Znowu wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić rozdygotane nerwy. Jak zniesie to, co za chwilę usłyszy?

— Zła wiadomość dotyczy wyników badań krwi. Proszę teraz o uwagę. Jest pani pierwszorzędną kandydatką do zawału serca. Nie przesadzam. Wie pani, co to takiego cholesterol?

— Mniej więcej — szepnęła Ruby.

— A więc poziom cholesterolu w pani krwi jest tak wysoki, że dziwię się, iż pani jeszcze funkcjonuje. Mam nadzieję, że panią przestraszyłem. Razem z lekami wysyłam pani parę ulotek. Proszę je przeczytać. Poziom HDL, LDL oraz trójglicerydów w pani krwi również należy kontrolować. Wie pani, o czym mówię?

Ruby pokręciła głową. Potem zdała sobie sprawę, że Nick jej nie widzi.

— Nie — powiedziała zduszonym głosem.

— Do jutra, jeśli przeczyta pani to, co wysłałem, będzie pani wiedzieć wszystko. Jest pani mądrą kobietą. Proszę tego nie lekceważyć. Opracowałam dla pani specjalną dietę i proszę jej przestrzegać bez żadnych odstępstw. I najważniejsze, musi się pani gimnastykować.

— Poczekaj chwilę, Nick, ktoś puka.

Poszła do frontowych drzwi na uginających się nogach i wpuściła posłańca ze szpitala. Potem wróciła do kuchni, niosąc torbę z lekami w dwóch palcach, jak coś śmiertelnie niebezpiecznego.

— Właśnie dostarczono mi przesyłkę ze szpitala — mruknęła do słuchawki.

— Dobrze. Jeszcze nie skończyłem.

— Czy ja umrę? — szepnęła.

Po drugiej stronie linii zapadła długa chwila ciszy.

— Zawsze istnieje taka możliwość. Teraz wszystko zależy od pani. Nie wolno się pani oszukiwać. Nie stać pani na taki luksus.

— Mam prośbę. Nie mów Andy'emu, dobrze?

— Oczywiście, że nie powiem. Czy ktoś z panią jest? Chce pani, żebym przyjechał?

— Przez całe życie byłam sama — powiedziała Ruby ze smutkiem — Nie, nie przyjeżdżaj. Zrobię wszystko dokładnie tak, jak mi zaleciłeś.

Ruby spojrzała na kalendarz na ścianie. Wyglądał jakoś złowroźnie, nie wiadomo dlaczego. Daty. Liczby. Z trudem opanowała płacz. Zbliżała się zima jej życia.

Śmierć. Umrzeć. Odejść. To inni umierają! Umierasz, gdy jesteś stary. Ile czasu mi zostało? Czy po prostu padnę i wyzionę ducha, a może odejdę we śnie? Czy będę walczyć o ostatni haust powietrza? Czy będę się dusić?

Torba z lekarstwami była ciężka. To pewnie te ulotki, buteleczki z lekarstwami nie ważą wiele. Zaczęła się bać, że umrze, jak tylko wstanie z krzesła. Nie mogła się poruszyć. Czy się odważy? Może powinna się oszczędzać. Kiedy nie wiesz, co zrobić, nie rób nic, a nic się nie stanie.

Jeśli umrę w tej kuchni, kiedy mnie znajdą? Wszyscy wiedzą że jutro wyjeżdżam. Nie mogę zadzwonić do Andy'ego. Mogę... to może jeszcze potrwać kilka tygodni. Będą musieli chyba zedrzeć tynki i podłogę, bo fetor rozkładającego się ciała jest nie do usunięcia.

Drżąc jak w febrze, zdołała dowlec się do zlewu i nalać sobie szklankę wody. Począpła do salonu. Skoro ma umrzeć, to woli umrzeć w wygodnym fotelu. Włączyła telewizor. Cisza ją drażniła.

Przeczytała wnikliwie instrukcje, rozpaczliwie starając się nie poruszać oczami. Nie powinna się wysilać. Kiedy weźmie pigułki, położy się i nawet nie skinie palcem. Już nigdy.

Zawał serca. Pyk! I koniec. Całe życie stanęło jej przed oczami, tak jak w powieściach. Usiłowała powstrzymać łzy. W kieszeni miała tylko jedną chusteczkę, i to zużytą. Kto przyjdzie na jej pogrzeb? Oczywiście Andrew. I Andy. Ale Martha, czy przyjdzie? Dixie pewnie nawet się nie dowie. I Calvin. Nie mogła już dłużej dusić w sobie łez. Andrew na pewno ją uczy jak się patrzy. Wieniec jak młyńskie koło i tak dalej. Pewnie wygłosi mowę pogrzebową. Wymyśl coś miłego, jęknęła słabo.

Więc po to pracowała przez całe życie? Żeby umrzeć, kiedy wreszcie jest na szczycie? Teraz mogła się już tylko modlić. Zapragnęła nagle mieć Biblię, którą porzuciła w pociągu. Albo różaniec. Złożyła ręce i zaczęła się modlić słabym, łamiącym się głosem, który z każdą chwilą nabierał pewności. Pomiędzy czwartym a piątym „Zdrowaś Mario” zapadła w drzemkę.

Kiedy się ocknęła, przerażona rozejrzała się po pokoju. Telewizor nadal pracował. Za oknami świtało. Jeszcze żyła. Udało się jej przetrwać całą noc. To musiało coś znaczyć. Może nadal miała przed sobą trochę czasu, by naprawić krzywdy, które sobie wyrządziła. Zmówiła cały różaniec i akt skruchy, przeżegnała się i wstała z fotela. Spojrzała w górę.

— Nie prosiłam o nic, tylko się modliłam. Zacznę od nowa. Uważaj na mnie, dobrze? Tamten wieczór... wczoraj... miał mnie skierować na inną drogę. Musiałam spać na samo dno, żeby się od niego odbić.

Wzięła prysznic i przebrała się w rzeczy, które odłożyła dzień wcześniej. Zrobiła sobie filiżankę herbaty, tylko po to, żeby się czymś zająć. Potem przeczytała jeszcze raz instrukcje Nicka Palomo. Zaznajomienie się z treścią ulotek zajęło jej godzinę. Poradzę sobie, mruknęła i popiła pigułki szklanką wody. Kiedy dotrze do Barstow, wpadnie do biblioteki i odbije na ksero

wszystko, co kiedykolwiek napisano o wysokim ciśnieniu, cholesterolu i tych innych rzeczach, o których nie miała bladego pojęcia. Kąciki jej ust zadrgały w uśmiechu, kiedy spojrzała na trzy buteleczki. Wczoraj nie zauważyła, że w jednej z nich znajdował się estrogen. Co tam, mruknęła z uśmiechem. Jeszcze żyje i jeśli będzie mieć tu coś do powiedzenia, pożyje przez pewien czas.

Nie obejrzała się za siebie, kiedy opuszczała dom przy Ribboumaker Lane. Pożegnała jesień swojego życia, wyjeżdżając z Rumson w stanie New Jersey. Już nie musi walczyć. Zima życia należy do niej. Może robić, co zechce. Czas pogodzić się z losem i zacząć od nowa.

CZĘŚĆ CZWARTA
ZIMA

W obskurnym biurze stały tandetne meble: aluminiowe krzesła ogrodowe i biurko z płyty paździerzowej, oklejone samoprzylepną tapetą, imitującą drewno. Tapeta odstawała na brzegach, a na środku wzdymała się i obłaziła. Na ścianach koloru musztardy wisiały przekrzywione reprodukcje. Wszystko było stare i okryte grubą warstwą kurzu, nawet mężczyzna siedzący przed Ruby. Tabliczka na drzwiach informowała, że biuro zajmował Angus Webster, członek Narodowej Rady Agentów Handlu Nieruchomościami. Angus Webster także wyglądał staro. Jak mumia, pomyślała Ruby. Za brudnymi szklami binokli majaczyły wyblakłe, błękitne oczy. Binokli, nie okularów — to słowo byłoby zbyt nowoczesne. Binokle przywodziły na myśl minione czasy. Webster, niziutki mężczyzna miał na głowie znoszoną czapkę baseballową, spod której wymykały się niesforne pasma włosów równie siwych, jak jego krzaczaste brwi. Kiedy mówił, w jego ustach błyskał złoty ząb.

— Lords Valley leży daleko od ubitych dróg. Ciekawe, jak pani tu trafiła? — Głos Angusa Webstera brzmiał jak chrzęst żwiru.

Ruby zakofyssała się na rozchwianym ogrodowym krzeselku.

— Czy to znaczy, że nie lubicie tu obcych?

— Ależ skąd — zaskrzypiał. — Ale obcy nieczęsto kupują tu domy. Mogę znaleźć jeden lub dwa, to wszystko.

— Chętnie zobaczę oba. Teraz, jeśli można.

Angus kiwnął głową, a czapka nieco się przekrzywiła. Miała zatłuszczony daszek, a za jej otokiem utknął zaschły listek, Bóg wie kiedy.

— Nie powiedziała pani jeszcze, jak znajduje Lords Valley — wytknął jej Angus, podnosząc się z trudem z trzeszczącego krzesła. A może to trzasnęły jego stawy.

— W tym samym czasie zabrakło mi benzyny i zepsuł się samochód. Na stacji Mobil wymieniono mi pasek klinowy i napełniono bak.

— Ma pani elegancki wóz. Tutaj nie widuje się takich. Jesteśmy prostymi ludźmi. Jeździmy furgonetkami — oznajmił, spluwając w sam środek spluwaczki. — Będzie pani musiała sobie sprawić coś z napędem na cztery koła.

Ruby skinęła głową i wzięła torebkę. Usiadła za kierownicą samochodu, takiego samego, jak ten, który sprzedała po koszarze na moście w Point Pleasant. Odczekała pięć minut, zanim Webster usadowił się swoim pojeździe i włączył silnik. Zauważyła, że u drzwi jego samochodu znajduje się schodek.

Podróż do pierwszego domu, który ewentualnie byłby na sprzedaż, trwała bite trzydzieści minut — po górkach, dołkach i nawet przez pole, bo tak było krócej. Ruby wlokła się daleko w tyle za niez mordowanym staruszką. Dwa razy wyrzuciła głowę w szybę, kiedy wjechała w wykroty tak głębokie, że mógłby się w nich skryć niedźwiedź.

Zabytkowa furgonetka zatrzymała się gwałtownie i Ruby omal na nianie wpadła. Pan Webster nie należał do zwolenników dawania sygnałów światłami.

— To właśnie to! — zawołał. Postawił obie stopy na schodku, zanim niezręcznie zeskoczył na ziemię.

Serce Ruby zabiło mocniej.

— Niezła rudera — zaskrzypiał Webster.

Serce Ruby znowu zatrzępotało.

— Powiedział pan, że są dwa domy.

— Powiedziałem, że może byłyby dwa, ale nic z tego. Ten drugi nie ma jasno określonego tytułu własności. Pewnie nigdy go nie będzie miał, a już na pewno nie za mojego życia. To wszystko, czym dysponuję. Do tego ładna parcela. Sto akrów. Na tyłach jest szambo. Ma pani własny rybny staw. Często widuje się tu jelenie.

Ruby otworzyła szeroko oczy. Dom wyglądał jak dworek z okresu wojny secesyjnej.

— W dachu jest dziura — zauważyła.

Webster prychnął pogardliwie.

— A z tyłu druga, większa. Mówiłem, że to rudera.

W czasach swojej świetności dom musiał być przepiękny. Miał ozdobny ganek i weneckie okna. Nad frontowymi drzwiami z litego dębu, jak twierdził Webster, znajdował się witraż.

— Siedem kominków, wszystkie z gzymsami z litego dębu. Schody w kiepskim stanie, ale również dębowe. Dąb jest obecnie wart fortunę. Cena jest godziwa.

— Kto jest jego właścicielem?

— Tacy jedni — powiedział Webster zwięźle.

— Dlaczego go sprzedają? Jak długo jest wystawiony na sprzedaż?

Webster wzruszył ramionami.

— Coś z pięć lat, może dłużej.

— Nie potrzeba mi stu akrów ziemi. To same lasy i góry.

— Dom i ziemia są razem. Cena jest godziwa.

— Remont domu będzie kosztował mnie dwa razy więcej niż on sam! — wybuchnęła. — Jeśli się w ogóle zdecyduję.

— Jest tu też stodoła, kurnik i koryta.

— Nie potrzebuję tego! — zaprotestowała drżącym głosem. — Ma pan tylko ten dom?

— Tak. Chce pani wejść do środka?

— Czemu nie. Skoro tu jestem...

— Szesnaście pokoi.

— Co? — zachłysnęła się.

— Nie licząc spiżarni, garażu, piwnicy i strychu.

— A ogrzewanie? — spytała, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Nie ma, to znaczy nie ma kaloryferów. Piece. Grzeją jak wszyscy diabli. Kominy są drożne. Niech pani stawia nogi tam, gdzie ja, bo podłoga się może załamać.

To szaleństwo, pomyślała Ruby. Nigdy w życiu nie kupię tego koszmaru. Andy by mnie zabił. Ale popatrzeć nie zawadzi.

Pokoje miały jakieś cztery metry wysokości. Na sufitach, u których wisiały przerdzewiałe żyrandole, widniały zacieki i plamy. Łazienki były staroświeckie i odstręczająco wielkie, większe niż sypialnia Ruby na Ribbonemaker Lane. Kiedy dotarła do „głównej sypialni”, jak określił to Webster, zamknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić ogień płonący na królewskim kominku. Łóżko miałoby baldachim i ręcznie robioną kołdrę, zawiesiłaby firanki z falbankami, postawiła toaletkę i położyła szmaciane dywaniki na dębowym parkiecie. Nie obyłoby się bez fotela na biegunach, wyściełanego intensywnie czerwonymi poduszkami. Dokładnie taki pokój obiecała sobie kiedyś mieć.

O nie, nie kupię tej ruiny. Nie ma mowy.

— Chciałabym zobaczyć kuchnię — powiedziała, idąc ostrożnie długim korytarzem. Podobała się jej ozdobna balustrada z małą kolumnką na końcu kręconych schodów.

— Wymaga remontu, jak wszystko.

Ma rację, pomyślała Ruby z lekkim przerażeniem, spojrzawszy na spękane linoleum, kuchenkę jak ze złego snu i jeszcze gorszy zlew. Brzydkie półki na ścianach zaczynały gnić.

— A to co? — spytała, wskazując na zardzewiałe urządzenie przy zlewie.

— Będzie pani miała tu źródlaną wodę. Trzeba ją pompować.

— O rany — mruknęła. Znowu zamknęła oczy i wyobraziła sobie kuchnię wyposażoną w sprzęt Searsa i Roebucka. Gotyckie okno z parapetem, na którym można siadać. Mogłaby postawić fotel przy tym kominku, a kosz z drewnem na ogromnym palenisku. Ten kominek z kamieni był przepiękny.

Tylko wariat kupiłby tę ruinę. Krzyknęła, dostrzegłszy kątem oka jakiś ruch.

— To tylko szczur — uspokoił Webster. — Parę kotów i po sprawie.

— Podłoga jest przegniła — wykrztusiła.

— Mmmm. I framugi też, na wylot.

Nie powinna nawet myśleć o kupieniu tego paskudztwa. Nie ma mowy. Andy by się jej wyparł.

— Chce pani zobaczyć piwnicę?

— Nie.

— Wszędzie jest mnóstwo drzew brzoskwiniowych, jabłoni i grusz.

— Lubię śliwy. Takie zielone renklody.

— Pewnie by się parę znalazło. Nie mam pewności. Chce pani zobaczyć zabudowania?

— Czemu nie.

Powinna to przewidzieć. Z zabudowań tylko kurnik oparł się zniszczeniom, ale jego widok był obrazą dla oczu. Musiałaby zupełnie zgłupieć, żeby się na to połakomić.

— Nie chcę stu akrów — powiedziała z uporem. — Gdzie ten staw?

— Woda pochodzi z naturalnego źródła. Naprawdę piękny. Można w nim pływać. Powiadają, że to dobre ćwiczenie. — Machnęła rękaw nieokreślonym kierunku. — Tam jest. Nie ma pani dobrych butów.

— Kto tu jest stolarzem? Kto remontuje domy? — pytała z czystej ciekawości.

— Bracia Semolina. Dobrzy fachowcy. Teraz się takich nie spotyka.

— Jeśli tacy dobrzy, to pewnie zapracowani? — Chyba jej odbiło, po co w ogóle o to pyta? Nie miała najmniejszego zamiaru kupować tego koszmaru. Absolutnie żadnego zamiaru.

— Mają czas. Wy, młodzi, zawsze się gdzieś spieszycie. Braci Semolina się nie popędza.

— Nie potrzeba mi stu akrów ziemi — powtórzyła po raz piąty, a może czwarty. Nie pamiętała.

— Słyszę, słyszę. Pięćdziesiąt.

— Nie.

— Trzydzieści pięć.

— Dwadzieścia pięć. Zaraz. Nie powiedziałam, że jestem zainteresowana. Ten dom powinien być rozebrany do fundamentów i przebudowany.

— Mmm. Lepiej, żeby bracia Semolina go wyremontowali. Chce pani kupić ten dom, prawda?

Ruby miała ochotę zaprzeczyć. Chciała zaprzeczyć, ale ku swemu zaskoczeniu usłyszała, jak mówi:

— Wezmę go, ale ma być tylko dwadzieścia pięć akrów. — Powinni ją zamknąć w domu wariatów. — Pod warunkiem, że remont zrobią bracia Semolina, a Sears i Roebuck zainstaluje urządzenia w kuchni.

— To im się nie spodoba. Nie zechcą dzielić się pracą z Searsem. — Webster splunął na odległość półtora metra i przekrzywił głowę, usiłując dostrzec, czy trafił w cel.

Usatysfakcjonowany, wdrapał się do samochodu. — Niech pani wsiada, możemy podyskutować, tutaj jest cieplej.

Ruby zaczęła przypominać sobie w popłochu, ile pieniędzy ma przy sobie w torebce.

— Jaka jest pani oferta?

— Oferta?

— No, ile zamierza pani ze mnie zedrzeć?

Ruby wyrecytowała cenę niższą od oferty wyjściowej o piętnaście tysięcy dolarów.

— Stoi. — Spisał umowę ogryzkiem ołówka na zmiętej kartce. Ołówek miał jakieś cztery centymetry długości i gumkę startą aż do metalowej obsadki.

— Czy nie powinniśmy spisać jakiegoś kontraktu? Czy mam coś podpisać?

— Nie ma potrzeby. Jestem człowiekiem honoru. Pani też wygląda na osobę, która dotrzymuje słowa. Możemy robić ze sobą interesy. Zobaczyłem to w pani oczach w tej sypialni na górze. To sypialnia mojej matki.

— To pański dom! — zdumiała się Ruby.

— Mhm. Mój i mojego brata, ale on jest słaby na umyśle. Zajmuję się jego interesami.

— Muszę wprowadzić się już teraz. Mogę panu płacić czynsz, dopóki nie zakończymy formalności.

— Nie ma takiej potrzeby. Ubijemy interes, jak tylko znajdziemy się w moim biurze. Tak załatwiamy tu sprawy. Jutro może pani przejąć prawo własności. Jak pani zapłaci?

— Gotówką.

— To zacyjny sposób załatwiania interesów. Zgadzam się.

— A bracia Semolina? Kiedy przystąpią do pracy? — Wszystko to działo się zbyt szybko. Jeszcze nigdy nie robiła interesów w taki głupi sposób. Ale nie pochwali się nikomu, dopóki klamka nie zapadnie. To jej przygoda. Właśnie tak na to spojrz.

— Jutro rano. A pani może się wprowadzić dzisiaj.

Ruby skinęła głową. Teraz potrzebuje tylko trochę jedzenia, spiwora i całego bagażnika środków do czyszczenia.

— Kiedy będę tu chciała wrócić, narysuj mi pan jakąś mapkę. Chyba bez tego nie trafię.

— Nie ma potrzeby. Dwa razy w lewo, górka, w prawo, w lewo i już.

— A to pole? — spytała oszołomiona.

— To ostatnie „w lewo”. Pola pani chyba nie przegapi.

A jednak je przegapiła. O szóstej wróciła do domu przy Sadowym Rondzie. Kiedyś dowie się, dlaczego ulica nosi tu nazwę ronda. W promieniu półtora kilometra nie było żadnego gospodarstwa. Przez dłuższy czas siedziała w samochodzie z włączonym ogrzewaniem. Wreszcie zdecydowała, że naznosi drewno do kuchni i przenocuje na podłodze w swoim nowiutkim spiworze.

Rozpaliła ogień, nie zdejmując z siebie płaszcza. Kiedy suche drewno chwyciło ogień i buchnęło płomieniem, zdjęła okrycie i zaczęła szperać w torbach w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Schrupała dwa jabłka i pomarańczę, a potem wypila pojemniczek bulionu, który nabyła w aptece. Z głodu chciało się jej płakać. Jednak myśl o rychłym pogrzebie była za bardzo przerażająca. Zjadła jeszcze jedno jabłko.

W pojemnej torbie znajdowało się wszystko, co dotyczyło jej problemu zdrowotnego. Miała jeść dużo łososia i innych ryb, mnóstwo fasoli i brokułów. Ze słodczy mogła sobie pozwolić jedynie na bezy. Zamierzała przestrzegać diety, którą zalecił jej Nick, i to co do joty. Co prawda zaniedbała ćwiczenia gimnastyczne, ale i temu da się zaradzić. Na początek parę razy wbiegnie i zbiegnie po tych schodach, a jutro, kiedy pojawią się bracia Semolina, pójdzie na spacer i

zwiedzi swoją dwudziestopięcioakrową posiadłość. Jeśli uda jej się naprawić starą kuchenkę, będzie mogła coś sobie ugotować.

Przygoda. Andrew dostanie zawału, pomyślała, wsuwając się do śpiwora. Zасыpiając, przypomniała sobie o szczurach. Latarki, które porozstawiała na całej podłodze, powinny je odstraszyć. Jutro kupi pułapki. W tej chwili jej jedynym zmartwieniem było zdrowie. Wydawało się jej, że czuła się lepiej. Być może to tylko pobożne życzenie. Zastanowi się nad tym rano.

Zapadła w głęboki sen bez marzeń. Obudziło ją ostre pukanie do drzwi, dokładnie o siódmej rano. Bracia Semolina uznali, że tak wcześnie rano konwenanse nie obowiązują. Otworzyli drzwi, weszli i przedstawili się. Ruby patrzyła na nich z otwartymi ustami. Byli równie starzy, jak Angus. Może nawet starsi. Trzęśli się ze starości.

— Ja jestem Dick, a to Mick, mój brat. Proszę nam powiedzieć, co trzeba zrobić — dodali zgodnym chórem.

Więc im powiedziała. Kiwali głowami, dopóki nie doszła do tego, że zamierza wezwać też Searsa.

— Nie ma potrzeby, paniusiu. Możemy odnowić kuchnię w dwa dni. Tak, że proszę siadać. W pół godziny naprawię tę pompę, a Dick podłączy e-leks-trycz-ność. Możemy napalić w tych tam piecach, tylko niech pani da drewno.

— Dobrze — zgodziła się Ruby. — Chcę, żebyście wyremontowali cały dom. Najpierw dach. — Boże, miała nadzieję, że dożyje do tego momentu. — Na razie wystarczy mi zdalna o użytku sypialnia, kuchnia i łazienka. Czy tak... może być, panowie?

Skinęli głowami. Zaczęła się zastanawiać, czy to bliźniacy. I dałaby ostatnie pięć dolarów, że byli spokrewnieni z Angusem Websterem.

— Znamy ten dom jak własną kieszeń. Bawiliśmy się tuz Angusem, jak żeśmy byli mali. Jesteśmy kuzynami. Wiemy, jak zrobić z tej rudery dom. Nie spodziewaliśmy się, że znajdzie się ktoś na tyle głupi, żeby to kupić. To będzie kosztować, paniusiu.

— Powinniśmy... porozmawiać o cenie.

— Nie ma się o co martwić, paniusiu. Kupujemy drewno prosto z tartaku. Damy pani wszystkie rachunki. Nie oszukalibyśmy żadnej kobity, nawet jeśli była pani na tyle głupia, żeby kupić ten dom. W swoim czasie był wspaniały. Właśnie tak.

— Róbmy... róbmy jeden pokój na raz.

— Właśnie to żeśmy chcieli zaproponować. Najpierw naprawimy te schodki z tyłu, żeby sobie paniusia nie połamała nóg. Mamy pełną ciężarówkę desek. A paniusia niech naznosi drev, to napalimy w piecach.

Ruby odrobiła z nawiązką swoją porcję ćwiczeń.

Bracia Semolina nie raczyli jej odpowiedzieć, kiedy oznajmiła, że wybiera się do Port Jervis, by zamówić różne rzeczy potrzebne w domu.

Przez resztę dnia wybierała meble. Kupiła zestaw kuchenny, o którym sprzedawca powiedział, że został wykonany przez braci Semolina i przetrwa wieki. Okrągły stół wspierał się na nodze w kształcie zwierzęcej łapy. Oparcia masywnych krzeseł pokrywały kunsztowne płaskorzeźby. Właśnie wtedy Ruby upewniła się, że powierzyła swój dom odpowiednim osobom. Kupiła też bajeczne łóżko z czterema kolumnkami i stołeczkiem służącym jako stopień. Gdyby spadła z tego wysokiego łóżka, połamałaby sobie wszystkie kości. Wśród sprzętów nabytych tego dnia znalazły się jeszcze podwójne szafki i dwa fotele na biegunach, jeden do sypialni, drugi do kuchni, pralka z suszarką, lodówka i kuchenka gazowa. Udane zakupy uczciła w najbliższej restauracji. Zamówiła łososia z rusztu, ryż, brokuły i wielką sałatkę z sokiem z cytryny. Potem pojechała do motelu, gdzie wynajęła pokój, wykapała się, zmieniła ubranie i ruszyła w drogę powrotną.

Dopiero jadąc do domu, wróciła myślami do Dixie, Calvina i własnego zdrowia. Teraz wiedziała już, jak sobie z radzić z tymi myślami — wystarczy tak się zająć, by nie stało na nie czasu.

„Projekt Blue”, jak nazywali swoje zadanie bracia Semolina, stał się dla nich wyzwaniem. Rozmawiali ze sobą przez cały kwadrans, zanim wreszcie zdecydowali, że muszą wezwać na pomoc posiłki, jeśli nie chcą przekroczyć terminu. Na remonty przeznaczali jedynie dwa tygodnie w roku. Przez resztę czasu robili meble. Przybyli więc Elias, Eggert i Eustace, kuzyni braci Semolina. Kobiety z rodu Semolina — Hattie, Addie, Erline i Delphine — przynosiły swoim mężczyznom obiady w koszyku i cmokały z zachwytem nad ich pracą. Kiedy koszyki się opróżniały i zostawały w nich tylko serwetki w czerwono-białą kratkę, codziennie prane i prasowane, kobiety peły grządki, zamiatały podwórze i rąbały drewno.

Praca posuwała się naprzód, a Ruby zabijała czas wyprawami do Port Jervis, kupując wszystko, co wpadło jej w oko. Każdy sprzedawca powtarzał to samo: „Dostawa za dwa tygodnie”. Ruby uważała, że to nieprawdopodobny termin, ale sprzedawcy nie podzielali jej zdania, kiedy informowała, kto zajmuje się domem. Nie mogła się już doczekać, kiedy dostanie swoje meble. Po raz pierwszy w życiu zdecydowała o wystroju domu należącego wyłącznie do niej. Nie musiała nikogo pytać o zdanie. Kiedy wszystko będzie gotowe, zaprosi Andy’ego na inspekcję, żeby wydał ostateczny sąd. Miała już światło, elektryczną pompę, a także prądnicę, na wypadek przerw w dostawie prądu. Mick powiedział, że to zdarza się tu często gęsto. W absolutnie pustym pokoju znajdował się też telefon z automatyczną sekretarką.

Ruby nie wierzyła własnym oczom. Klanowi Semolina położenie dachu zajęło jeden dzień, wyremontowanie kuchni drugi. Wycyklinowanie wszystkich podłóg nie zajęło nawet połowy dnia. Eggert powiedział, że kiedy się wie, co się robi, wszystko idzie jak po maśle. Kuzyni, którzy powoli zbliżali się do osiemdziesiątki, zawieszali nowe żyrandole. Kursowali po drabinach jak młodzieńcy. Elias stwierdził, że mają mocne nogi. Eustace, jedyny żonaty spośród nich, był hydraulikiem w tym małym zespole. Hattie podawała mu narzędzia, a on udroził wszystkie zlewy i umywalki, a także przywrócił do życia rezerwuary. Bez przerwy kłócił się z żoną, a Hattie częściej mówiła do niego „ty półgłówku” niż „kochanie”. Eustace nazywał ją swoim kwiatuszkiem. Nie budziło wątpliwości, kto w tej rodzinie nosi spodnie.

Ruby zastanawiała się, co by się stało, gdyby powiedziała, że nie lubi dębiny. Pewnie wszyscy opuściliby gromadnie jej dom, ponieważ twierdzili, że nie warto budować z czego innego. Tylko drewno dębu przetrwa właściciela. Ciekawe, o kim mówili?

— Hej, paniusiu — odezwał się Mick trzynastego dnia remontu. — Dziś pani nie będzie mogła nocować w domu. Dzisiaj kładziemy lakier na wszystkie parkiety i robimy nową podłogę w kuchni. Może pani wrócić jutro po południu. Chcemy, żeby nam pani wtedy zapłaciła.

— Naturalnie. O której?

— Po południu — powtórzył Mick półgębkiem.

— Musimy porozmawiać o stajni i zabudowaniach — dodał Dick.

Ruby czekała cierpliwie.

— Możemy się tym zająć w przyszłym roku. Remont potrwa dwa tygodnie.

Ruby skinęła głową.

— Dom jest jak nowy.

— Jest przepiękny — powiedziała szczerze. — Odwaliliście kawał wspaniałej roboty.

— Wiemy. To duży dom dla pani jednej.

— Chciałam kupić jakieś zwierzę.

— W dużym pokoju kiedyś były wielkie bale — padło pierwsze nie związane z pracą zdanie, na jakie zdobył się Mick.

Dużym pokojem nawał salon ciągnący się przez całą długość domu. Dwieście metrów kwadratowych. I cóż ona pocznie z tym wielkim, starym domem, kiedy ustawi już w nim meble? I kto go będzie sprzątał? Wypowiedziała swoje myśli na głos.

Mick tylko wzruszył ramionami.

— Będę w Holiday Inn, gdybyście mnie potrzebowali.

— Niby po co mielibyśmy paniusi potrzebować? — zdziwił się Dick.

— Nigdy nie wiadomo — mruknęła bez przekonania.

— Jutro o czwartej — odezwał się Mick.

Ruby spojrzała na Dicka, a może to jednak Mick?

— Nie było mowy o godzinie.

— Teraz jest. O czwartej.

— Dobrze.

* * *

Kiedy następnego dnia, dokładnie o czwartej, Ruby wróciła do domu, zastała na swoim odnowionym ganku braci Semolina i ich kuzynów. Była ciekawa, ile przyjdzie jej zapłacić. Przez wiele dni usiłowała wszystko podsumować. W pewnym momencie wyszło jej sto tysięcy dolarów; pewnie wtedy, kiedy zobaczyła dostarczoną furę drewna, a może w dniu, w którym pojawiły się nowe okna i drzwi. Nie była pewna, czy brali wszystko na rachunek, czy też, tak jak Angus, przypieczętowali transakcje uściskiem dłoni. Dzisiaj wyglądali jakoś inaczej. Ubrali się odświętnie, nawet Hattie miała na sobie sukienkę. Rany boskie, — jęknęła Ruby w duchu, to będzie kosztować raczej jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. Mick wręczył jej trzy komplety kluczy do nowiutkich zamków.

— Od frontowego, bocznego i tylnego.

— Drewno na resztę zimy jest przykryte na tylnym ganku. Tego na górze jest tyle, że starczy na tydzień.

— Napaliłem paniusi we wszystkich piecach, pod kuchnią buzuje aż miło — mruknął Eustace.

— Przyniosłam kolację — włączyła się Hattie. — I salaterkę cytryn.

— Chce się paniusia rozejrzeć po domu, zanim dostaniemy zapłatę?

Ruby skinęła głową. Włożyła lśniący mosiężny klucz do zamka ciężkich dębowych drzwi. Otworzyła szeroko oczy, zaskoczona blaskiem bijącym od podłóg, a potem widokiem plecionego dywanika, na którym stanęła.

— To ja go zrobiłam — oznajmiła Hattie. — Pod każdymi drzwiami jest taki.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję. — Przez następne dwadzieścia minut nie przestawała im dziękować. Zwiedziła wszystkie pokoje. Kuchnię zostawiła sobie na koniec. Na jej widok odjęło jej mowę; w oczach pojawiły się łzy. Zakończone łukiem okno wyglądało przepięknie, a któraś kuzynka, pewnie Eriane, bo kiedyś twierdziła, że ma dobrą rękę do roślin, przyniosła wspaniałą, bujną i soczystozieloną paproć, którą zawiesiła na ścianie. Na parapecie leżało kilka zielonych poduszek. W kuchni pojawił się solidny dębowy blat i dębowe szafki. Dałaby się za nie pokrajać. Dotknęła ich z uszanowaniem. — Jak tu pięknie — powiedziała cicho.

— Nie mówiliśmy nigdy, że nie znamy się na rzeczy.

— A to mój prezent — odezwał się Angus, wskazując masywny dębowy fotel na biegunach. — Należał do mojej matki. Mick i Dick naprawili go i teraz należy do pani. Oczywiście wtedy miał inną poduszkę. Podoba się pani? — spytał ochryple.

— Czy mi się podoba? Do szaleństwa! Jak mogę się wam odwdziaczyć?

— Zapłatą — powiedział Mick. Najwyraźniej konwenanse nie były tu w cenie.

— Z radością. — Otworzyła torebkę — Ile jestem wam winna?

Dick podał jej jakąś kartkę.

— To za drewno. Przyjmują czeki.

Ruby spojrzała na kartkę z niedowierzaniem i wypisała czek na siedemnaście tysięcy dolarów.

— A to za robociznę. Nie wliczamy w to rzeczy, które przynieśliśmy. To prezenty — oznajmił, podając jej następną kartkę.

Ruby otworzyła szeroko oczy. To niemożliwe. Pewnie zapomniał o jednym zerze.

— Czy to właściwa cena?

— No, paniusiu, my się nie targujemy. To ostateczna cena. Tyle sobie liczymy. Ani centa mniej.

— Nie o to mi chodziło. Myślałam...

— Nie jesteśmy tani. Nie pracujemy za darmo. Wykonujemy przyzwoitą robotę za przyzwoitą płacę. Coś się pani nie podoba?

— Ależ skąd. Myślałam, że cena będzie wyższa.

— O ile wyższa? — spytał przebiegle Eggert.

Ruby wzruszyła ramionami.

— Uczciwa praca za uczciwą zapłatę. To nasza stawka. Będziemy wdzięczni, jeśli zapłaci nam pani teraz. Chcemy już wracać.

Ruby odliczyła dziesięć tysięcy dolarów. Mick splunął na palce i przeliczył pieniądze.

— Za dużo, paniusiu — powiedział, zwracając jej plik banknotów.

Ruby patrzyła za nimi bezradnie. Andy nigdy w to nie uwierzy. Ona sama nie mogła w to uwierzyć. Nikt by nie mógł. Nikt.

Znowu obeszała cały dom, zapalając po drodze wszystkie światła. Odmierzyła przestrzenie, które miały zająć meble.

Dopiero, kiedy już zasypiała w śpiworze w kuchni, zaczęła się zastanawiać, co z sobą pocnie w tym, ogromnym domu. Jak powiedziała Scarlett, pomyślę o tym jutro.

Nazajutrz wstała razem z kurami. Napaliła we wszystkich piecach, dorzuciła drewno do kuchennego kominka. Przygotowała sobie codzienną porcję płatków z otrębami. Błonnik. Powinien oczyścić jej zapchane arterie. Zjadła płatki z wilczym apetytem, kończąc śniadanie bananem, jabłkiem i dwiema szklankami wody. Sprawnie przełknęła pigułki. Potem czekała, kołysząc się błogo w fotelu, aż temperatura w łazience będzie odpowiednia.

Pierwsza dostawa mebli miała nadejść o ósmej piętnaście. Tylko w sypialni położyła dywan, soczystozielony i gruby. O jedenastej mieli pojawić się dostawcy z firankami do okna w sypialni oraz ze zrobioną na zamówienie narzutą na łóżko i pasującą do niej zasłonką na toaletkę. Wymarzyła sobie, że będzie miała kiedyś taki pokój. I „kiedyś” właśnie dziś nadeszło. Wreszcie będzie mieć prawdziwie kobiecą sypialnię, pełną falbanek i ozdóbek. Zasłużyła sobie na nią.

Przez cały dzień krzyczała w kółko na tragarzy: „Tylko ostrożnie, nie porysujcie podłogi!”. Wbiegała i zbiegała po schodach, doglądając umeblowania sypialni i całego piętra.

O wpół do czwartej, kiedy spod jej domu odjechała ostatnia ciężarówka, Ruby klasnęła radośnie w ręce. Teraz dom należał do niej, kompletnie umeblowany, wyposażony w kilka telewizorów i aparatów radiowych. Obiad, potrawka z kurczaka, stał już na gazie. Radio grało cicho. Stół był nakryty dla jednej osoby nowymi talerzami i sztućcami. Teraz, kiedy już wszystko znalazło się na swoim miejscu, czym się zajmie? Drugie dni i noce jeszcze dłuższe. Spojrzała na wiklinowy koszyk stojący przy kominku. W każdym pokoju stał podobny, pełen książek, których nie miała czasu przeczytać. Sen, jedzenie, gimnastyka i czytanie. Jak wyrok. Może powinna zgłosić się na ochotnika do jakiejś pracy? Na wiosnę może zacząć uprawiać ogródek; zawsze lubiła grzebać w miękkiej ziemi. Zna się na ogrodnictwie. Może posadzi kilka krzewów róż.

Będzie miała ogród, taki prawdziwy, ze wszystkimi możliwymi warzywami, ponieważ wyglądało na to, że to one będą stanowić podstawę jej jadłospisu. Potem pomyślała o garderobie przy sypialni. Wyłożyła ją dywanem, ale nie wyposażyła w meble. Może powinna udać się do miasta i zamówić sprzęt do ćwiczeń. Na początek rowerek. Zajmie się tym jutro. Usiadła w bujanym fotelu i poczuła się jak staruszka.

To tylko chwilowe, mruknęła. Znowu się pozbiera. Nie zamierza dać za wygraną. Przez pewien czas pomieszka tu sobie cichutko, wydobrzeje, a potem znowu wróci do życia.

* * *

A jednak tak się nie stało. W spiżarni zainstalowała wielką lodówkę. Wypchała ją po brzegi rybami, kurczętami i mrożonymi warzywami. Był to pierwszy rok, w którym przechowywała w zamrażarce własne warzywa i owoce. Czuli się jak prawdziwa gospodyni. Zamrażarka oraz zapasy wszelkich kasz i mąk eliminowały potrzebę odwiedzin w mieście. Wstąpiła do trzech klubów książki; co miesiąc zamawiała w każdym jakiś tuzin nowych publikacji. I godzinami oglądała kanał TV-800, kupując wszystko, co migało na ekranie. Kiedy zaś nie wykręcała numeru 800, czytała, co tylko wpadło jej w rękę. Bez wyboru. I spała. Rano ćwiczyła na swoim sprzęcie, pedałując zawzięcie i chodząc na specjalnym przyrządzie po sześć kilometrów dziennie. Czasami przemierzała swoją posiadłość ale kiedy dwa razy skręciła kostkę, wpadając w kretowisko, uznała, że sprzęt jest znacznie bezpieczniejszą metodą utrzymywania kondycji. Lekarz, którego polecił Nick Palomo, przyjemnie ją zaskoczył wynikami badań, ostrzegając jednak, że nie powinna spocząć na laurach. Uznawszy, że jeszcze nie umrze... przynajmniej nie natychmiast, zaczęła eksperymentować z przepisami, by potrawy nabrały nieco smaku.

Nie była szczęśliwa, ani nieszczęśliwa. Żyła. Kiedy w dniu swoich pięćdziesiątych czwartych urodzin wybuchnęła płaczem bez żadnej konkretnej przyczyny, stało się dla niej jasne, że musi coś zrobić. Zmarnowała cały rok i wszystko, czym mogła się pochwalić, to piwnica pełna rzeczy, których nawet nie rozpakowała, oraz setki książek. Na stole w jadalni leżał stos listów, nawet na nie nie spojrzała od sześciu czy siedmiu miesięcy. W tym roku będzie samotnie obchodzić swoje urodziny. Andy wyjechał gdzieś na wycieczkę, a Martha... Cóż, Martha ciągle się na nią gniewała. Może zadzwoni Andrew z życzeniami, jeśli nie zapomni. Ruby usiadła na łóżku. Zrobi sobie tort i pojedzie do miasta po prezent. A co, do cholery, czemu nie? Zaczęła płakać. Płakała cały ranek. Była zła. Na siebie. Stała na środku pokoju, podparła się pod boki i wrzasnęła na całe gardło: „Wszystkiego najlepszego, Ruby!” Potem znowu zaczęła pochlipywać, wycierając nos chusteczką.

Właśnie zamierzała wyjść, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. Tak długo zastanawiała się, czy go odebrać, że dzwonienie ustało dokładnie w tej chwili, w której podniosła słuchawkę. Wzruszyła ramionami. Wyłączenie automatycznej sekretarki było jej najlepszym pomysłem w życiu.

W Port Jervis wstąpiła do cukierni i kupiła najbardziej kaloryczne ciasto, ozdobione górą bitej śmietany. Potem nabyła dwa pudełka świeczek. Ponieważ zaraz obok znajdował się sklep sportowy, weszła do niego i kupiła sobie w prezencie buty marki Reebok. Zignorowała dziwną minę ekspedienta, kiedy poprosiła, żeby opakował pudełko w ozdobny papier. Ostatnim przystankiem była miejscowa księgarnia, w której wydała na książki siedemdziesiąt dwa dolary.

Wracając do domu ranę rowerem, kupionym parę miesięcy temu, postanowiła zadzwonić do braci Semolina i poprosić ich o wyremontowanie zabudowań. Jeśli szczęście jej dopisze, może dadzą się przekonać — a raczej ubłagać — i zrobią dla niej szafy biblioteczne do jednego z pokoi na dole. Mogła mieć teraz własną bibliotekę, o której marzyła przez całe życie. Jadąc przez polne

wertepy zaczęła znowu uważać się nad sobą. W oczach zakręciły się jej łzy. Naprawdę chciała kiedyś zostać sama. Ale teraz, gdy minął cały rok, pragnęła mieć kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Przyjaciela, powiernika. Sama się do tego doprowadziła. Pozwoliła sobie na depresję. Większość dni przeżyła jak w transie. A dzięki walium mogła nie zdawać sobie sprawy z własnego, żalosego położenia. Strach przed śmiercią nie odstępował jej ani na krok, jak wierny pies. Może umrzeć na tym pustkowiu i nikt się o tym nie dowie. Dodała gazu, aż ziemia bryznęła spod kół samochodu. Nie podobała się jej osoba, którą się stała, nie podobała się sobie za brak inicjatywy. Kiedyś miała charakter i odwagę. Co się z nimi stało? Na Boga, pora się otrząsnąć. Dość już nurzania się we własnym smutku. Wystarczy.

Zahamowała tak gwałtownie, że tort leżący na tylnym siedzeniu spadł na podłogę. Cholera! Ale i tak nie zamierzała go zjeść, więc co za różnica?

Pewnie siedziałyby bez ruchu aż do zmroku, gdyby telefon znowu się nie rozdzwonił.

— Czego?! — ryknęła w słuchawkę.

— To tak się odbiera telefony? — usłyszała urażony głos Andrew.

— Czego chcesz? — warknęła.

— Osa wpadła ci do majtek, czy wreszcie dobrały się do ciebie wiewiórki? Mam zadzwonić później? Chcę ci tylko złożyć życzenia.

— I tyle?

— No dobrze, zastanówmy się, co jeszcze? Jak się miewasz? Dzieci odzywały się do ciebie? Czy na tym zadupiu macie listonoszy? Powiedziałas, żebym nie dzwonił, więc nie dzwoniłem. To dlatego tak się rzucasz, czy chodzi o to, że jesteś starsza o rok?

— Już byś się zamknął. Ostatnio niezbyt mi się wiedzie.

— Chcesz o tym pogadać? — spytał Andrew z nieco większym współczuciem. — Zawsze twierdziłaś, że trzeba wyrzucić z siebie to, co boli.

— Chcę. Nie chcę. No, nie wiem. To jakieś szaleństwo. Oto ja, bardzo bogata kobieta, sama na bezludziu. Dzień wypełnia mi jedzenie, sen, zamawianie chłamu z *TV-Shopu* i czytanie. No, i jeszcze ćwiczę. Schudłam piętnaście kilo. Jestem teraz szczupła. Łykam walium jak aspirynę. Nie mam przyjaciół. Zmarnowałam kawał czasu.

— No, to zrób z tym coś. Pokaż, jak wygląda w praktyce to wszystko, o czym zawsze prawiłaś mi kazania? To przykre, że matka moich dzieci jest tak żaloseną istotą. Kiedy do tego doszło?

— Świnia! Jak śmiesz! — wrzasnęła.

— Łyknij sobie walium — poradził jej Andrew. — Przestań!

— Coś mi się zdaje, że masz ostry atak wściekizny — roześmiał się. — Ruby, na miłość boską, po co komu pieniądze, jeśli się ich nie wydaje? Rób z nimi to, co sprawi ci przyjemność. Idź do miasta, kup sobie nowe ciuszki, wróć do pracy. Zrób coś ze sobą, kobieto! Pewnie potrzeba ci mężczyzny — zakończył.

— Wystarczy. Nie potrzebuję twoich rad!

Andrew nie zamierzał zrezygnować z nagłej przewagi.

— Ten pętał cię wyrolował? Usiłowałem cię ostrzec, ale mnie nie słuchałaś. Gdzieżbyś tam zechciała, przecież to ty pozjadałaś wszystkie rozumy.

— Nie wiem, co dalej. — Rozpłakała się nagle. — Masz rację, absolutną rację.

I nienawidzę cię za to.

Głos Andrew zmienił się, teraz brzmiał w nim nutki troski.

— Czasami trzeba wstać, otrzepać się i powiedzieć: do diabła z wami! A potem ruszyć dalej. Zawsze potrafiłaś... pozbierać wszystko do kupy i iść dalej. To inni przegrywają. Nie ty. Ty, nigdy. Naprawdę. Życzę ci wspaniałych urodzin. Trzymaj się, kochanie.

Kochanie. Nigdy w życiu tak do niej nie mówił. Dopiero teraz, kiedy znalazła się we własnym małym piekiełku, kiedy skończyła pięćdziesiąt cztery lata. Miała ochotę zadzwonić do niego i posłać go do wszystkich diabłów.

Zmusiła się do zjedzenia obiadu. Potem zabrała się do czytania listów zajmujących już teraz niemal cały stół. Przez całe miesiące żyła jak w próżni. Żeby nawet nie przejrzeć listów? Zupełnie jej odbiło, to nie podlega dyskusji. Zaczęła sortować korespondencję. Wkrótce pokój przypominał pchli targ pod koniec ruchliwego dnia.

Dom w Rumson został sprzedany, ale o tym już wiedziała. Natomiast nie wiedziała, że w liście znajdował się czek na dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Przeleżał pół roku na stole w jadalni.

American Express wysłało jej siedem ostrzeżeń. Straszili, że wytoczą jej proces o niepłacenie składek. W oczach zakręciły się jej łzy, kiedy odkryła, że za towary z TV-800 zapłaciła szesnaście tysięcy dolarów. Przejrzała rachunki z innych kart kredytowych, odkładając je na kupki — pierwsze ostrzeżenie, drugie, trzecie, wreszcie pisma od prawników. I na końcu pisma mówiące, że jej karty straciły ważność. Wszystkie z dziewiętnastu organizacji chciały ich zwrotu. Zapomniała też o rachunkach za prąd i gaz. Można by za tę sumę kupić tyle książek, że wystarczyłyby jej na rok. Sześć listów od Greenpeace, trzy z klubu Sierra i dwa z organizacji walczących o prawa zwierząt. Ruby uniosła brwi, natrafiwszy na zaproszenie ze złoconymi brzegami na pokaz kolekcji Noli Quantrell. Miał się odbyć w Nowym Jorku. Spojrzała na datę nadania. Tydzień temu. Na odwrocie zaproszenia widniało pismo Noli.

Byłabym szczęśliwa, gdybyś pojawiła się na tym pokazie. Chcę, a właściwie muszę Cię przeprosić. Jeśli będziesz miała czas, może zjadłybyśmy razem kolację i porozmawiały. W zeszłym roku przesłałam załamanie nerwowe. Spotkało mnie coś, co wyłączyło mnie z gry na siedem miesięcy. Jeszcze nie wróciłam w pełni do siebie, ale życie toczy się dalej. Pragnę zobaczyć na widowni przyjazną twarz. A jeżeli to coś dla Ciebie znaczy, przepraszam za to, co powiedziałam Ci wtedy, przez telefon. Chciałabym Ci to wytłumaczyć. Mieszkam na Manhattanie. Zadzwonisz do mnie?

Nola.

Nola żałuje tego, co zrobiła, pomyślała Ruby. Spojrzała na numer telefonu. Czy warto jeszcze raz zaryzykować? Odłożyła zaproszenie na stosik „spraw do załatwienia”. Rozerwała kopertę z Saipan. Nadawcą był Nangi.

Droga Ruby!

Mamy zaszczyt zaprosić Cię do Saipan na naszą rocznicę ślubu. Przyjadą wszystkie nasze dzieci. Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyś zechciała nas odwiedzić wraz z Andym i Marthą. Będą też Cahin i Eve. Właściwie niemal się wprosili. Zrozumiemy, jeśli uznasz, że to Ci nie odpowiada. Chcę skorzystać z okazji i powiedzieć Ci, jak bardzo wstydzę się za Calvina. Oznajmiłem mojemu kuzynowi, że nigdy mu nie wybaczę takiej nikczemności. Nie pisuję już do niego, a kiedy dzwoni, nasze rozmowy są krótkie i pełne goryczy. Calvin nie jest szczęśliwy. Za każdym razem pyta o Ciebie. Przestałem się nim przejmować. Boli mnie, że tak się co do niego pomyliłem.

Bądź zdrowa, Ruby, i pisz do nas. Amber przesyła Ci pozdrowienia.

Nangi.

Ruby spojrzała na datę nadania listu — cztery miesiące temu. — Do diabła z rocznicami. Do diabła z tobą, Calvinie, mruknęła, zabierając się do reszty listów. Kiedy zostały już tylko dwa, wstrzymała oddech. Proszę, niech któryś z nich będzie od Dixie albo od Calvina... Oczywiście zawiodła się. Jeden z listów został wysłany przez ochotniczą straż pożarną w Rumson, a drugi przez jej sekretarkę, która życzyła Ruby wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Przez następną godzinę wypisywała czek i rachunki. Napisała też krótki liścik do Nangiego. Zaproszenie od Noli zostawiła sobie na deser. Odpowiedzieć?

Jakiś wewnętrzny głos kazał się jej zastanowić. Jeśli jeszcze raz nadstawi karku, straci głowę. Z drugiej strony przyjaźń to zbyt cenna rzecz, żeby z niej rezygnować. A Nola kiedyś była jej przyjaciółką. A jeśli znowu spotkają zawód? Pomyślała o Dixie. Nie, nie myśl o Dixie, nakazała sobie. Zrób coś. Najpierw pójdzie do Angusa Webstera i załatwi to, co radził jej Andy, kiedy kilka miesięcy temu po raz pierwszy zobaczył ten dom.

— Kim są ci bracia Semolina, mamuś? Chcę ich zaangażować, teraz, zaraz. Zapłacę im, ile zechcą. Jezus, jeszcze nigdy nie widziałem takiej roboty. Wiesz, za ile poszedłby ten dom?

Nie miała zielonego pojęcia.

— Za pół miliona, z pocałowaniem ręki. Dwadzieścia pięć akrów ziemi, rany boskie. He za to zapłaciłaś? — Oczy omal nie wyszły mu z orbit, kiedy usłyszał cenę. — Za coś takiego moi klienci oddaliby własną matkę.

Nie odrywając oczu od stawu, tłumaczył Ruby, jak można upiększyć teren, wycinając krzewy i sadząc rośliny tak, żeby wyglądały, jakby rosły tu od zawsze, tak jak chciała natura.

— Ale popełniłaś jeden błąd. Powinnaś kupić sto akrów. Jeśli jeszcze nie jest za późno, złóż temu facetowi ofertę.

Chciała to zrobić, naprawdę, nawet zaplanowała sobie, że pojedzie do Angusa w tydzień po wizycie Andy'ego, ale TV-Shop, dobra książka i przytulna kuchnia kazały jej o tym zapomnieć.

Kiedy Ruby uściśnie dłoń Angusa Webstera, pomyślała, że Andy będzie zadowolony. Nie miała najbledszego pojęcia, co zrobi z takim szmatem ziemi, ale skoro jej syn powiedział, że tak trzeba, to trzeba.

Gdyby nie myślała o Andym, pewnie zwracałaby większą uwagę na drogę. Nagle uświadomiła sobie, że skręciła w złym miejscu. Droga była wąska, a w głębokich koleinach po obu jej stronach rosły gęste krzaki. W żaden sposób nie mogła zawrócić.

Musiała dojechać do jakiegoś rozwidlenia lub zakrętu. Po przejechaniu dalszych dziesięciu kilometrów dostrzegła tablicę z napisem „Schronisko dla zwierząt”. Uniosła brwi. To dobry pomysł! Kupi sobie psa. Wreszcie będzie miała towarzystwo. Kogoś, kto będzie na nią patrzył z uwielbieniem, kto pokocha ją bez zastrzeżeń, kto będzie na jej widok merdał ogonem, kto jej wysłucha, ale nie będzie chciał sam mówić. Najlepszy przyjaciel człowieka. Wytresuje go i nauczy kochać Neila Diamonda i Chucka Mangione. Będzie mu dawać steki i witaminy. Odpowiedzialność. Pies zmusi ją do wczesnego wstawania, zajmowania się nim, częstszego wychodzenia z domu. Zjechała po stromym zboczu wprost na zwirowany podjazd przed schroniskiem.

* * *

Arthur Bidwell, znany miejscowym jako Biddy, obserwował zielonego range rowera, hamującego tak gwałtownie, że żwir pryskał spod jego kół. To wskazywało na to, że pani siedząca za kierownicą samochodu naprawdę zamierza kupić psa. Ci, którzy sami nie wiedzieli, czy na pewno chcą wziąć na siebie taką odpowiedzialność, jechali powoli i ostrożnie.

Biddy wyglądał jak gnom. Miał coś z metr czterdzieści wzrostu i niemal tyle samo w obwodzie. Szeryf mawiał, że Biddy przypomina mu księżyc w pełni, a to z powodu okrągłej twarzy i trochę wytrzeszczonych oczu. Nieustannie stulone usta Biddy'ego przywodziły na myśl pączek róży. Ale przede wszystkim uszy jak dwa półksiężyce, przyklejone po obu stronach głowy, nadawały mu ten wygląd gнома.

Wszyscy kochali Biddy'ego, choć bywał kąśliwy i uszczypliwy. Całe miasto wiedziało, że zwierzęta są pod dobrą opieką. Agatha Penny założyła schronisko dla bezdomnych zwierząt i dawała pieniądze na jego utrzymanie. Co miesiąc wysyłała Biddy'emu czek pokrywający wydatki na weterynarza, jedzenie dla zwierząt, pensję dla niego i jego pomocnika, chłopca z zespołem Downa. Układ sprawdzał się świetnie, ale Agatha umarła.

Całe miasto żyło w przeświadczeniu, że Agatha sypia na pieniądzach. A tymczasem ledwie wystarczyło na pokrycie kosztów pogrzebu. Trzeba było sprzedać jej dom jakiemuś cwanemu agentowi handlu nieruchomościami z Harrisburga. Biddy i jego podopieczni zostali zdani na własne siły.

Biddy starał się, jak mógł. W każde sobotnie popołudnie stawał w Stroudsburgu na ulicy i zebrał. Dwa szympany, jego nieodłączni towarzysze, robiły różne sztuczki, choć nie było to nic niezwykłego, bo starość zaczynała już dawać się im we znaki. Czasami zebrali tyle pieniędzy, że starczało na tydzień. Czasami on i Mikey musieli zadowalać się karmą dla psów. Mikey był przybłądą, jak wszyscy podopieczni Biddy'ego. Biddy nie miał nic przeciwko temu, że musi się odżywiać żarciem dla psów, ale serce mu się krajało, kiedy musiał je dawać Mikeyowi, którego darzył równie gorącym uczuciem, jak swoje zwierzęta. Od przyszłego tygodnia mieli się przenieść do szopy, w której mieszkały zwierzęta, ponieważ przemądrzały gość, nabywca domu Agathy, powiedział, że usunie przyczepę i zrobi na jej miejscu ta-Ra-sę widokową. A to oznaczało, że dziewięć psów, siedem kotów, czternaście królików i dziesięć innych najróżniejszych stworzeń miało się pomieścić w budzie, przeznaczonej dla dwudziestu pięciorga zwierząt.

Biddy przyglądał się w zadumie, jak Ruby Blue brnie z chrzęstem przez zwirowany podjazd. Znal ją. Wszyscy tutaj ją znali. Mówili, że to odludek. Nie lubiła ludzi. Pewnie parszywie się z nią obeszli, pomyślał Biddy. Rozumiał to. Sam był odludkiem. Mikey też.

Znalazł go sześć lub siedem lat temu śpiącego w rowie. Było to po święcie strażaków, największej uroczystości w całej okolicy. Mały, jak myślał o chłopcu Biddy, lepił się od brudu i sików. I nie potrafił mówić ani chodzić jak trzeba. Szeryf powiedział, że chłopiec ma zespół Downa. Szeryf to w ogóle mądry człowiek, ale nie aż tak, żeby znaleźć tego, kto porzucił Mikeya. Doszedł tylko do tego, że musiał to być ktoś, kto przyjechał na święto razem z objazdowym wesołym miasteczkiem. Odnalazł nawet pracowników miasteczka przez ich agenta, ale powiedzieli, że nie wożą ze sobą dzieci. Przez cały następny rok szeryf wysyłał listy gończe i rysopisy Mikeya, ale nikt się po niego nie zgłosił.

Agatha Penny zgodziła się łożyć na utrzymanie chłopca pod warunkiem, że Biddy się nim zaopiekuje. Biddy nie namyślał się długo. Mikey był niechcianym stworzeniem, jak większość zwierząt ze schroniska. Co za różnica, czy będzie w schronisku dla zwierząt, czy dla dzieci, powiedział Biddy szeryfowi. Grunt, że ma się gdzie schronić. Szeryf kazał mu położyć dłoń na Biblii i przysiąc na Boga, że zrobi wszystko, żeby dobrze zaopiekować się Mikeyem.

Biddy nie był uczony, choć czytał i pisał na tyle dobrze, żeby nie zginąć w życiu. Prawdę powiedziawszy, doszedł tylko do czwartej klasy podstawówki. Jego także nikt nie chciał; ludzie, którzy mieli się o niego troszczyć, ponieważ płacono im za to, nie dbali o Biddy'ego. Pieniądze wydawali na wódkę i karty. Kiedy skończył jedenaście lat, uciekł od nich. Zaczął pracować na torze wyścigowym. A potem trafił do Lords Valley i tu już został.

Ruby spojrzała na kartkę, przyklepioną do biurka. „Arthur Bidwell”.

— Pan Bidwell? — spytała niepewnie.

Biddy skinął głową.

— Chcę psa — oznajmiła bez dalszych wstępów.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Po prostu chcę. Zawsze chciałam, ale nigdy... nigdy się nie składało. Teraz nadeszła odpowiednia pora. Ma pan psy?

— Mnóstwo psów. Ma pani na myśli coś konkretnego?

— No... nie znam się na tym. Może suczkę? Taką, co... no, wie pan... żeby mnie pokochała.

Biddy poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej.

— Pies to duża odpowiedzialność, proszę pani. Wymaga wiele troski. Musi się pani przygotować na to, że trzeba po nim sprzątać, rzucać mu patyki, chodzić z nim na spacer. Psy potrzebują wiele ruchu. Wygląda pani na prawdziwą damę. Czy będzie pani sprzątać po zwierzęciu?

— Będę.

— Nigdy nie oddaję zwierząt w niepewne ręce. Taka dama jak pani... no, nie wiem. Pewnie będzie pani wyjeżdżać i zostawiać zwierzęta same. I kto się nimi zajmie?

— Nie będę wyjeżdżać — warknęła. — Myślałam, że chce się pan pozbyć tych zwierząt.

— Myli się pani — powiedział ochryple. — Nie chcę się pozbyć żadnego z nich. Kocham je — powiedział z mocą.

— Ja też potrafię kochać. No, więc co pan ma? — Jej głos brzmiał równie ochryple.

— Może znalazłoby się coś dla pani. Mikey, przyprowadź Sama.

Mikey przydreptał do nich ze wspaniałym spanielem. Ukląkł przy nim i zaczął masować mu brzuch. Pomrukiwał przy tym zabawnie do psiego ucha. Ruby spojrzała pytająco na Biddy'ego.

— Pies jest głodny. Nie mamy dla zwierząt dość jedzenia. Mikey masuje im brzuchy, żeby zapomniały o głodzie.

— Nie macie jedzenia? To nie jest państwowe... no, wie pan... Czy miasto nie płaci za opiekę nad zwierzętami?

— Nie, proszę pani. — Opowiedział jej o Agacie Penny. Oprowadził ją apo szopie, przemawiając do zwierząt po imieniu. Czasami przystawał, żeby pomasażować im brzuchy. — Nie wiem, co się z nimi stanie... — Ruby usłyszała historię o przeprowadzce i Mikeyu. Biddy spojrział żałośnie na jej łzy; nie chciał jej do nich doprowadzić.

Wypisała czek tak szybko, jak tylko mogła.

— Proszę z tym iść do banku w mieście. Pieniądze wypłacą panu od razu. Będzie pan mógł kupić jedzenie.

Biddy wspominał, jak bardzo boli go, że musi dawać Mikeyowi jedzenie dla psów. Ruby dostawiła do sumy na czeku jeszcze jedną cyfrę.

— Wezmę tego psa — powiedziała nieśmiało.

— Nie wie pani jeszcze jednego. Ten pies, Sam... będzie strasznie nieszczęśliwy bez swoich przyjaciół. Agatha wychowała ich razem i... nie zniosą rozdzielenia. Kiedy je dostałem, jazgotały jak wściekłe, dopóki Mikey nie połapał się, że chcą być razem. Nie może ich pani rozdzielić. To by nie było w porządku — powiedział Biddy błagalnie.

— Ile ich jest? — spytała z niepokojem.

— No, więc najpierw mamy Fred. Fred to suczka, Sam — piesek. Jest jeszcze Doozie, koteczka. Charlotte jest papugą i śpiewa. Na rozkaz — podkreślił z dumą.

— A... co śpiewa?

— Przeważnie hymn państwowy. Czasami „Czterdziestu chłopca na umrzyka skrzyni”. Może się zrobić troszkę hałaśliwa. Wtedy wystarczy nakryć jej klatkę. Wszystkie kochały Agathę Penny.

Serce Ruby zabiło z niepokojem.

— Czy to znaczy, że nie zechcą mnie... może potrafiły pokochać tylko jedną osobę? Może to jednak nie jest dobry pomysł?

— Ależ nie, pokochają panią, tak jak Agathę, jeśli odwzajemni pani ich uczucie. Te stworzenia są spragnione miłości! — wykrzyknął Biddy dramatycznie. — Mikey, przyprowadź resztę.

Ruby uklękała i pomasowała brzuch Sama, naśladując Mikeya. W ułamku sekundy smutne oczy psa podbiły jej serce. Polizal ją po twarzy, a ona roześmiała się cicho, uszczęśliwiona.

Fred okazała się puchatą kulką. Jej futerko było brudne i bez połysku. Tuliła się do Mikeya, który masował jej brzuch. Warknęła na Ruby, kiedy ta chciała podrapać ją za uchem.

— Jest głodna, to wszystko. Niech tylko da jej pani jeść, zakocha się w pani bez pamięci. Jak raz nakarmisz zwierzę, masz już jego serce.

Kotka zmierzyła ją sceptycznym spojrzeniem. Jej oczy mówiły wyraźnie: „Aha, mówisz, że dasz mi jeść. Najpierw chcę zobaczyć żarcie. Potem może ci trochę pomruczę”.

Papuga trzepotała dziko skrzydłami; w całej klatce fruwały pióra. Ruby chciała wiedzieć, dlaczego ptak nie śpiewa.

— Dziwnie się czuje. Nie lubi obcych miejsc. Kiedy powiesi pani jej klatkę na stałym miejscu, na przykład w oknie, będzie śpiewać dla pani z całego serca. Mam dla niej ziarno. Je malutko.

I tak Ruby opuściła schronisko z dwoma psami, kotką i papugą, która umiała śpiewać na rozkaz. Kiedy wszystkie zwierzęta znalazły się już w samochodzie, Biddy wsadził głowę przez okno. Musi zadać to pytanie. Nie może pozwolić odjechać tej kobiecie, póki się nie upewni.

— Czy będzie nas pani utrzymywać, jak Agatha?

Ruby zastanawiała się przez jakieś pół minuty.

— Tak. Tak, panie Bidwell. Będę przysyłać pieniądze pierwszego każdego miesiąca, może być?

Gdyby nie powiedziała do niego „panie Bidwell”, pewnie by jej nie uwierzył. Patrzył za nią oczami wilgotnymi jak oczy jego psów. Potem objął Mikeya i powiedział:

— Dzisiaj zjemy hamburgery, makaron i ser. Miej oko na wszystko, a ja zaraz wrócę z jedzeniem dla naszych przyjaciół. Masuj im brzuchy. Wyprawimy sobie ucztę!

Mikey uśmiechnął się do niego, doskonale go zrozumiał.

* * *

Psy miotały się po całym samochodzie. Doozie prychnęła wściekle w klatkę, demonstrując swoje niezadowolenie. Papuga darła sięjak opętana, wywrzaskując coś, co brzmiało jak „Czterdziestu chłopca na umrzyka skrzyni”.

Czyżby popełniła błąd? Wątpiła w to. Nic, nawet zapłacenie Conradowi Malasowi za jego przepis nie sprawiło jej podobnej przyjemności.

Choć starała się jechać powoli, psy czekały jak oszalałe i ślizgały się po podłodze za każdym razem, gdy dodawała gazu. W końcu zaczęły ze sobą walczyć. Kocica usiłowała dołączyć do bitwy, wysuwając łapki przez szczebelki klatki. Papuga darła się nadal. Wobec tego Ruby do niej dołączyła. O dziwo, zwierzęta natychmiast się uspokoiły. Ruby śpiewała dalej. A więc na tym polegał sekret, pomyślała.

Kiedy zahamowała przed domem, Sam od razu wyskoczył. Fred zaklinowała się między siedzeniami. Ruby wyswobodziła ją, za co została nagrodzona solidnym zadrapaniem na ręce. Papuga biła skrzydłami jak wiatrak. Menażeria z piekła rodem, westchnęła Ruby, wypuszczając kotkę. Od tego momentu mogła już tylko bezsilnie przyglądać się, jak całe towarzystwo pędzi po domu, niszcząc wszystko na swojej drodze. Zamarła ze zgrozy, gdy Sam przystanął przy ozdobnej nodze stołu. Kotka przycupnęła na podłodze w jadalni, po czym sobie ulżyła. Ruby pisnęła z rozpaczą. Fred załatwiła swoje potrzeby w progu pomiędzy jadalnią a kuchnią. Papuga wyrzaskiwała hymn narodowy, sypiąc wokół piórami. Jej klatka trzeszczała złowroźnie.

Ruby zapragnęła udusić Arthura Bidwella gołymi rękami.

Rozmrożenie kurcząt dla psów zajęło jej półtorej godziny. Dodała do miski sos i jarzyny z resztek potrawy. Metodycznie pokroiła mięso w drobną kosteczkę i rozgniotła jarzyny. Zwierzęta nie spuszczały z niej oczu. Poczua dławienie w gardle. Kiedy ostatnio widziały jedzenie? Odstawiła na bok gotowy pokarm dla psów i otworzyła dużą puszkę tuńczyka. Rozdrobniła go palcami, wymieszała z sosem i jarzynami i podgrzała.

Omam nie odgryzły jej ręki, kiedy stawiała miski na podłodze. Charlotte śpiewała na całe gardło, a pozostałe zwierzęta pożerały łapczywie swoje porcje. Skończyły, usiadły i spojrzały na nią wyczekująco. Co ma znaczyć to spojrzenie? — mruknęła. Jeszcze?

Ponownie napełniła miski. Charlotte śpiewała niezmordowanie.

Ruby poczuła oznaki nadchodzącej migreny. Po godzinie zarzuciła na klatkę ścierkę do naczyń. Leżąca przed kominkiem Fred, wsparta o grzbiet Sama, uniosła jedno ucho. Sam poruszył się przez sen. Między łapami Fred drzemała Doozie. Wyglądają jak precelek, pomyślała Ruby. Kąciki jej ust zadrgały w uśmiechu. Ciekawe, kiedy uznają ją za swoją panią? Kiedy zaczną na nią skakać, lizać ją po twarzy i rękach? Kiedy, jeśli to w ogóle możliwe, zajmie w ich sercach miejsce pani Agathy Penny? Poczua skurcz niepokoju. A jeśli to niemożliwe? Może pani Agatha Penny była osobą, której nie da się zastąpić?

Pojechała do miasta z nadzieją, że najedzone zwierzęta będą spać co najmniej przez godzinę. Zatrzymała się w sklepie z artykułami dla zwierząt, gdzie kupiła trzy wiklinowe koszyki z jasnoczerwonymi filcowymi poduszkami oraz kuwetę. Nabyła też trzy smycze, trzy obroże, zabawki, gryzaczki, kocimiętkę i zestaw szczotek.

W supermarkecie wzięła zapas puszek dla psów oraz wielką torbę suchej karmy za łączną sumę pięćdziesięciu dolarów. Za jedzenie dla kotki zapłaciła dwadzieścia pięć dolarów. Stojąc w kolejce do kasy, przyjrzała się zawartości swojego koszyka. Rodzina. Jej nowa rodzina. Odpowiedzialność. Troska. Miłość. Zwierzęta będą ją kochać. Bez zastrzeżeń. Do końca życia. A ona odwdzięczy się im równie wielkim uczuciem. Należą do niej. Nigdy jej nie porzucą i nikt ich jej nie odbierze. Ludzie. Ludzie potrafią tylko zadawać ból. Sprawiają ci zawód. Łamią ci serce. Idź do diabła, Dixie, niech cię szlag. Idź do diabła, Calvinie, idź do diabła, Nolu. Kto niby was potrzebuje? Kto?

Ze sklepu poszła do księgarni i zaopatrzyła się w dwa poradniki dotyczące hodowli psów i kotów. Wzruszyła ramionami, gdy ekspedientka spytała, jakiej rasy są jej pieski. W ostatniej chwili poprosiła jeszcze o książkę na temat hodowli ptaków. Jeśli ma zasłużyć na miłość swojej nowej rodziny, musi dać z siebie wszystko.

— Może chciałaby pani przeczytać książki Jamesa Herriota? — spytała sprzedawczyni. — Są wspaniałe, oczywiście, jeśli lubi się zwierzęta.

— Czemu nie? — mruknęła Ruby.

Do listy zakupów doszły *Wszystkie stworzenia małe i duże* oraz *Nie budźcie zmęczonego weterynarza*.

Kwadrans później Ruby wiedziała już, że nie należy zostawiać zwierząt bez opieki. W każdym pokoju coś zbroiły. Kiedy je wreszcie znalazła, otworzyła usta i zamarła ze zgrozy. Sam ściągnął narzutę z połowy łóżka. Leżał na jednej poduszce, Fred na drugiej. Kotka spała na kominku, pomiędzy fotografią Andy'ego z pierwszą złowioną przez siebie rybą a zdjęciem Marthy, jadącej po raz pierwszy na dwukołowym rowerku. Zwierzęta zignorowały ją zupełnie.

— Wynocha! — krzyknęła, zaciskając pięści.

Psy szczeknęły. Kotka prychnęła. Żadne nawet nie drgnęły.

— Słuchajcie no. Nie obchodzi mnie, czy pani Penny pozwalała wam sypiać na łóżku, czy nie. Na moim nie będziecie się wylegiwać. Wynocha! — Kiedy nadal nie zareagowały, zaklęła brzydko i wypadła z pokoju. Zbiegła po schodach jak burza.

Poczuła coś dziwnego, nieokreślonego. Wydawało się jej, że wystarczy, by się tylko otworzyła, a zrozumie coś ważnego. Wrażenie to minęło chwilę potem. Serce zabiło jej mocno. Nie wiedziała dlaczego.

* * *

Wciąż się dziwiła, że tak niewielkie zwierzęta mogą brudzić w domu z taką częstotliwością i w takich ilościach. I jak starsza pani nadszała po nich sprzątać?

Ruby przez pięć dni starała się włożyć im obroże, żeby móc wyprowadzić je na spacer. Nie chciały do niej podejść. Nie chciały też zbliżyć się do drzwi. Porozkładała gazety na całej podłodze w nadziei, że może od czasu do czasu skorzystają z jednej z nich. Omijały je bokiem. Wkrótce skończyły się obie butelki emulsji do czyszczenia i niemal galon wybielacza. Nowe legowiska stały puste. Zabawki w czerwonym koszyku leżały nietknięte. Kuweta stojąca w spiżarni była w użyciu, ale na tym kończyły się dobre wieści. Zwierzęta zgadzały się jedynie, by je karmiła. Nic więcej.

Przeczytała wszystkie możliwe poradniki. Chwytała się najróżniejszych sposobów. Nic nie skutkowało. Zadzwoiła do Arthura Bidwella i oznajmiła, że będzie musiała oddać mu zwierzęta.

— Staralam się, ale one mnie nie akceptują. Jestem już zmęczona sprzątaniami po nich. Jeśli nie znajdzie pan jakiegoś sposobu, naprawdę będę musiała się z nimi rozstać.

— Do tej pory powinny już przywyknąć. Uwielbiają wychodzić na spacer. Zwłaszcza Fred. Umie nawet zdejmować smycz z wieszaka. Przynosi ją, kiedy chce wyjść. Może boją się, że przyprowadzi je pani do mnie. Nie lubią klatek. Żadne zwierzę nie lubi klatki. Aha, właśnie sobie przypomniałem: Agatha zwracała się do nich jakoś tak... zaraz, żeby nie poplątał... Fred to śliczny paczuszek, Sam — śliczna mordeczka, a Doozie — słodka ślicznotka. Niech pani spróbuje, może się uda. Są po prostu przestraszone, dałbym za to głowę.

— Chyba mnie nie lubią. — Chciało się jej płakać. Nikt już jej nie lubił, może z wyjątkiem Andy'ego.

— To nieprawda. Zwierzęta są mądre. Boją się, że zostawi je pani. Jak się pani zdaje, dlaczego wybrały akurat pani łóżko? Miały przecież tyle innych. To musi coś znaczyć.

Ruby rozpogodziła się nieco.

— No dobrze. Dam im jeszcze parę dni.

— A jak tam Charlotte?

— Znam już na pamięć cały hymn. Mówi to panu coś? Biddy pozwolił sobie na cichy chichocik. Odłożył słuchawkę.

Ruby wróciła do sypialni, która nie należała już do niej i, czując się przy tym jak kompletna kretyńka, zaczęła wołać na nie imionami nadanymi przez Agathę. Fred otworzyła jedno oko, ale nie okazała większego zainteresowania. Sam machnął raz ogonem, ale również ją zignorował.

Doozie uniosła głowę na znajomy dźwięk, po czym znowu wtuliła pyszczek w puszyste łapki. Sposób okazał się do niczego. W oczach Ruby pojawiły się łzy.

— Myślałam, że zostaniemy przyjaciółmi, że mnie polubicie. Nie mam nikogo, tak jak wy. Pani Penny odeszła. Wiem, że ją kochaliście. Czy nie możecie pokochać i mnie, choćby odrobinę? — spytała złamanym głosem. — Pan Bidwell nie mógł was utrzymać. Spałyście w klatkach. Byłyście brudne i głodne. Teraz sypiacie na poduszkach, jecie steki i kurczęta. Nie wtykam wam nosów w kałuże, które po sobie zostawiacie. Chyba zachowałam się wobec was przyzwoicie? Przez całe życie starałam się postępować jak należy i co mnie spotyka? Wszyscy mnie zdradzili. Wy też robicie mi to samo.

Psy spojrzały na nią. Kotka wskoczyła na oparcie fotela na biegunach. Nie spuszczała z niej wzroku, a jej nastroszony ogon zaczął bić niespokojnie na boki.

— Chyba nie proszę o zbyt wiele? Nigdy dotąd nie miałam psa ani kota, więc może robię coś nie tak. Nie rozumiecie? Muszę mieć kogoś, kto by mnie pokochał, komu by na mnie zależało. Nie wiem, jak to się stało, ale przegrałam życie. I wiecie co? Mam to w nosie. I was też mam w nosie. — Wytarła łzy rękawem bluzki.

Sam przysunął się do Fred i trącił nosem jej puszysty karczek. Doozie patrzyła nieruchomym wzrokiem na znekana kobietę.

— Koniec z tym, rozumiano? Koniec! Jestem zmęczona sprzątaniami po was. Mam dość! — wrzasnęła na całe gardło. — Starałam się jak mogłam! Gotowałam dla was! Szlag by was trafił, gotowałam wam prawdziwe jedzenie! Puszki dawałam tylko raz na jakiś czas! Kupiłam wam zabawki, nowe legowiska, smycze! I jak mi się odwdzięczacie? Śpicie w moim łóżku, psiakrew! A ja muszę nocować w pokoju dla gości! Ale koniec z tym! Zabierajcie się z mojego łóżka! Wracacie do pana Bidwella! Proszę bardzo, możecie mieszkać w śmierdzących klatkach, guzik mnie to obchodzi! Niewdzięczne potwory! Nienawidzę was! Mieliście być moimi przyjaciółmi, a wiecie, kim jesteście? Egoistami! Jak zresztą wszyscy, których znałam. Chcecie tylko brać. Dość! Wynocha stąd! Ale już! Nie chcę was więcej widzieć! Słyszeliście, psiakrew? Jesteście tacy sami, jak Nola, Dixie i Calvin. Oni się mną nie przejmowali, o nie! Zrobiłam wszystko, poświęciłam wszystko, żeby być ich najlepszą przyjaciółką. Właściwie niemal... myślałam za nich. Zawsze służyłam im pomocą, a czy oni mi pomagali? O, nie! Ciągłe... sprawiali mi zawód. Spodziewałam się... oczekiwałam... — O, do diabła, to wcale nie ich wina! To wszystko przez nią! Wciąż czegoś od nich oczekiwała. Jeśli nie mogli sprostać jej wymaganiom, jeśli nie umieli się do niej dostosować, miała pretensję. Tak jak teraz do zwierząt. Zwalą winę na wszystkich z wyjątkiem siebie! Andrew miał rację, pomyślała. Była głupia, że tego nie dostrzegła. A teraz... będzie płakać... jak nie wiem co...

Ruby osunęła się na kolana, wylewając gorzkie łzy; jej ramiona dygotały konwulsyjnie, jak w febrze. Teraz zwierzęta zwróciły na nią uwagę, ale ona tego nie zauważała. Psy podpełzły na brzeg łóżka. Spojrzały na siebie, a potem na kotkę, która czujnie obserwowała wszystko z oparcia fotela. Jak na komendę skoczyły na Ruby, zbijając ją z nóg. Zaczęły ją lizać, trącać łapami, ocierać się o nią, wpychać się pod jej dłonie, domagając się pieszczot.

Ruby znowu stała się dzieckiem, krztuszającym się ze śmiechu, turlającym się po podłodze, krzyczącym i chichoczącym. Doozie mruczała rozkosznie. Psy poszczekiwały cicho. Ruby znowu zaczęła płakać. Zwierzęta odstąpiły od niej na krok, przysłuchując się dziwnym dźwiękom, a po chwili zaczęły delikatnie zlizywać jej łzy, ostrożnie trącać łapami i nosami.

— Dobrze, możecie zostać — powiedziała przez łzy. Wytarła głośno nos. Zwierzęta usiadły w równym rzędku, jak na musztrze. To musi coś znaczyć, pomyślała w popłochu. Ale co? — Chcecie iść na spacer? Bo ja chcę. Przyniesiecie smycze.

Doozie wyprzedziła oba psy i przyniosła swoją smycz w pyszczku. Fred długo nie mogła się zdecydować, czy woli smycz zieloną, czy czerwoną. W końcu stanęło na czerwonej. Sam musiał wziąć to, co zostało. Jeszcze raz ustawiły się w rzędzie.

— Wy małe szatany — mruknęła Ruby. — Umiąłyście to robić od samego początku. Kazałyście mi przejść przez piekło!

Wyszła dumnie przez kuchenne drzwi, prowadząc na smyczach dwa kundły i dachowca. Czuli się jak dama oprowadzająca po Park Avenue swoje rodowodowe pieszczołki. Zwierzęta kroczyły jak na paradzie, nawet kotka. Wszystkie załatwiły swoje potrzeby w rekordowo krótkim czasie. Chciały wracać. Doozie wygięła grzbiet w pałąk. Sam podkuł ogon pod siebie.

— Dobrze, wracajmy. Spisałyście się na medal. Powtórzmy to po kolacji. Dziś zapraszam was na ucztę. Będzie wątróbka i boczek. A z tobą, Doozie, podzielę się moim łososiem.

Dałaby głowę, że widziała, jak Fred kiwa łbem.

Po powrocie zwierzęta poszły prosto do czerwonego koszyka. Ruby przyglądała się, uśmiechnięta od ucha do ucha, jak Doozie i Sam czekają, aż Fred wybierze sobie zabawkę.

— A więc to ty tu rządysz — roześmiała się. — Teraz już wiem, do kogo mam się zwracać.

Zerwała z klatki ścierkę do naczyń.

— Czterdziestu chłopów...

Ścierka wróciła na swoje miejsce.

— Jutro zaczniesz się uczyć nowej piosenki.

Podśpiewując radośnie, zabrała się do przygotowywania uczy dla swojej nowej rodziny.

Świat wrócił na swoje miejsce.

* * *

Następnego ranka zadzwoniła do swojego adwokata.

— Alanie, wynajmij najlepszego prywatnego detektywa w kraju. Cena nie gra roli. Niech znajdzie Dixie. Powiedz mu, żeby zatrudnił najlepszych współpracowników.

— Ruby... Jesteś tego pewna?

— Tak. Kiedyś ci to wytłumaczę. Nie teraz. Pamiętasz ten czek, który Amber odesłała po śmierci moich rodziców? Złóż go do depozytu. Amber musiała tak postąpić, to było dla niej ważne. Przełomowe. Trzeba to docenić. Szkoda, że tak długo nie mogłam spać się do działania. Napiszę do niej, gdy tylko uporządkuję inne sprawy.

— Hej, Ruby, czyżbyś zaczynała nowe życie?

Ruby uśmiechnęła się promiennie.

— Właśnie. Dziękuję, że powiedziałeś to głośno.

— Co jeszcze sobie zaplanowałaś?

— Wyszukuję się jak lalka i pojedę na pokaz mody. Zaprosiła mnie bardzo dawna i bardzo mi droga przyjaciółka.

— Świetnie. Zrobię to, o co prosisz. A przy okazji, proponuję, żebyś włączyła automatyczną sekretarkę. Będą do ciebie dzwonić prywatni detektywi i chyba nie chcesz przegapić któregoś raportu?

— Masz rację. Dziękuję ci za wszystko. — Odłożyła słuchawkę bardzo z siebie zadowolona.

Jakoś nie mogła podjąć ostatecznej decyzji. Pokaz kolekcji Noli zbliżał się z każdym dniem. Naprawdę chciała się na nim pojawić, znowu zobaczyć Nolę. Mogłyby porównać swoje załamania nerwowe. Nigdy nie nazwała wprost tego, co przeżywała przez ostatnie półtora roku. Lekarz także nie spieszył się z definicjami. Załamanie brzmiało tak... poważnie. Kiedy przeżywa się załamanie, nie ma się nad sobą kontroli. Po prostu podwinęła pod siebie ogon i uciekła. Sądziła, że to bardzo szlachetne, iż chce lizać swoje rany w samotności. Że nie naraża innych na znoszenie ataków melancholii i depresji. Teraz nie była już tego aż tak pewna. Ale przynajmniej zdołała zmienić swoje nastawienie do świata i zrozumieć samą siebie. Spotkanie z Nolą mogłoby jej pomóc stać się dawną Ruby. Chociaż nie, wcale nie chce być dawną Ruby. Ale i tak miała ochotę spotkać się z Nolą.

Usiadła przy stole w kuchni i nagryzmoliła krótki liścik. Pisała gorączkowo, a kiedy skończyła, przeczytała go kilka razy, żeby upewnić się, czy zawarła w nim to, co chciała przekazać przyjaciółce.

Droga Nolu!

Dziękuję za zaproszenie. Przyjadę na pokaz, będę przyjazną twarzą w pierwszym rzędzie na widowni. Ubiorę się w błękitną sukienkę, zaprojektowaną przez Nią, a uszytą przez Hattie Semotina. Wszystko Ci wytłumaczę, kiedy się spotkamy.

Tęskniłam za Tobą. Nie trzeba żadnych wyjaśnień. To ja muszę się przed Tobą usprawiedliwić, jeśli zechcesz mnie wysłuchać.

Powodzenia! A może należałoby raczej powiedzieć: złam nogę czy coś w tym rodzaju? Uznajmy, że to powiedziałam. Niecierpliwie czekam, żeby Cię znowu uścisnąć.

Twoja Ruby.

Została jej jeszcze jedna nie załatwiona sprawa. Wydarła kartkę z notatnika. Skreśliła parę słów, zlecając wytoczenie sprawy Calvinowi Santosowi za uchylanie się za zwrotu długu. Dołączyła kopie zrealizowanych czeków i listy, w których Calvin obiecywał zwrócić pieniądze. Zasluguje na to, mruknęła. Ale chyba nie zasługuje na cios w plecy. Napisała drugi list. Siódma wersja wreszcie ją zadowoliła.

Drogi Calvinie!

Zamierzam wytoczyć Ci sprawę. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Wierzyłam, że spłacisz dług, kiedy tylko poprawi się Twoja sytuacja finansowa. Na pewno po prostu o tym zapomniałeś, więc jeśli zwrócisz mi pieniądze w ciągu, powiedzmy, najbliższego miesiąca, będziemy mogli uniknąć sądu. Przykro mi, że tak się stało. Chętnie przyznaję, że to moja wina. Zbyt wiele oczekiwałam od naszego związku. Kiedy nie sprostałeś moim wymaganiom, nie zachowałeś się tak, jak tego oczekiwałam, uniosłam się gniewem. Krótko mówiąc, dwa razy złamałeś mi serce, wtedy, w Waszyngtonie, i po wyborach. Obiecywałeś, że się rozwiedziesz. Cóż, pewnie wszyscy mężczyźni w podobnych sytuacjach tak mówią, a wszystkie kobiety wierzą.

Chciałabym, żebyśmy wyrównali ze sobą rachunki tak, byś mógł spojrzeć mi w oczy, jeśli się kiedyś spotkamy. To chyba kwestia honoru.

Życzę Ci wszystkiego, co dla Ciebie najlepsze.

Ruby.

Przeczytała list dwa razy, po czym na dole strony i kopercie dopisała swój adres i numer telefonu. Skontaktowała się z Federal Express i poprosiła o dostarczenie trzech listów. Urzędniczka powiedziała, że listy trafią do adresatów do dziesiątej rano następnego dnia. Ruby postanowiła iść za ciosem. Zadzwoiła do Marthy. W biurze poinformowano ją, że córka wyjechała na urlop. Ruby nie chciała zostawić wiadomości.

Teraz mogła już działać. Wykręciła numer Andy'ego. Uśmiechnęła się, jak zawsze, na dźwięk jego głosu.

— I jak tam dzika banda? — spytał ciepło.

— Doszliśmy do porozumienia. Ani jednego incydentu, a Charlotte uczy się dziś nowej piosenki.

Andy roześmiał się tubalnie. Nie z powodu papugi, ale dlatego, że w głosie matki znowu brzmiała dawna radosna nutka. Pożałował, że nie może jej — do siebie przytulić.

— Słuchaj, Andy, ta ziemia... Mam pomysł. Czy do drugiego krańca mojej posiadłości można dociągnąć jezdnię?

— Nie widzę przeciwwskazań. Bo co?

— Jak sądzisz, mógłbyś przyjechać w ten weekend i rzucić na to okiem? Bracia Semolina pracują nad budynkami gospodarczymi. Powinni skończyć lada dzień. Chcę wybudować duże schronisko, które mogłoby pomieścić więcej zwierząt. Myślę też o rezerwacie przyrody. I o małym domku dla dozorczy. Właściwie dla dwóch dozorców.

— To będzie trochę kosztować, mamuś. Ile zamierzasz poświęcić na ten cel?

— Ile będzie trzeba. Poproszę pana Bidwella i Mikeya, żeby się z tobą spotkali. Mogą podsunąć ci parę pomysłów. Chcę, żeby to było takie... takie... azyl dla nich i zwierząt. Taki, jakim dla mnie jest mój dom.

— Rozumiem — powiedział Andrew cicho. — Może być w sobotę? A zrobisz mi to ciasto z ananasami, to odwracane do góry spodem?

— No pewnie. Może nawet ozdobię je bitą śmietaną, kto wie.

— To rozumiem. No, to do roboty.

— Znajdziesz czas, żeby zająć się tym projektem?

— Mamuś, jestem panem swojego czasu. Mam własną firmę, pamiętasz? A storo jesteśmy przy temacie, co słychać w twojej firmie?

— Nie mam zielonego pojęcia. Chyba dobrze — zaśmiała się beztrudno.

— Dixie się nie odezwała?

— Nie, ale wynajęłam prywatnego detektywa, żeby ją znalazł.

— Cudownie. Wołają mnie, mamuś. Kocham cię.

— Ja też cię kocham. — Odłożyła słuchawkę. — Wy też go pokochacie — oznajmiła drzemiącym zwierzętom.

Otworzyła teczkę, w której trzymała projekt podarowany jej przed laty przez Nolę. Pozwoliła otoczyć się wspomnieniom. Przeszłość.

Dwie godziny później Hattie Semolina brała miarę z Ruby.

— Uszyje mi to pani przez tydzień?

— Czemu nie?

— Czy to będzie kreacja?

— Wszystko, co szyję, jest kreacją.

— Tkanina musi... musi być wyjątkowa. To bardzo ważne. Ta sukienka musi być jedyna w swoim rodzaju.

— I będzie. Szyję tylko takie. Niech się pani nie wierci.

Już wychodziła, kiedy Hattie powiedziała:

— Panna Quantrell będzie zadowolona z mojej pracy.

— Zna pani Nolę? — spytała zaskoczona Ruby.

— Umiem czytać. — Hattie wskazała na podpis Noli pod projektem.

Ruby uśmiechnęła się. Sukienka trafiła w dobre ręce. Była tego pewna jak niczego dotąd.

* * *

Ruby zerwała się z łóżka. Dzisiaj jedzie do Nowego Jorku. Zarezerwowała pokój w Plaża. Weźmie prysznic, zrobi makijaż, ubierze się w kreację projektu Noli. W chwili spotkania chciała wyglądać najlepiej, jak można. Boże, ależ była podekscytowana! Ruszała się szybciej niż zwykle. Wyprowadziła psy na spacer, nakarmiła je i zjadła śniadanie. Ubrała się w spodnie i pulower. Wyglądała na tyle dobrze, że mogła się pokazać w lobby hotelu Plaża. Wynajęła nawet limuzynę, która miała zawieźć ją na pokaz kolekcji.

Punktualnie o drugiej weszła na salę pokazową na Seventh Avenue. Pomaszerowała wprost do pierwszego rzędu. Jakiś młody mężczyzna wskazał jej miejsce na samym środku.

— Nola życzy sobie mieć panią w zasięgu wzroku — szepnął. — Nie wiem, czym mam się bardziej zachwycać. Panią czy tą sukienką... — W jego oczach malował się autentyczny podziw.

Kurczę, to było fajne.

— A teraz, panie i panowie... panna Nola Quantrell! — ogłosił młodzieniec donośnym głosem.

Wszyscy zaczęli klaskać; Ruby najgłośniej.

I oto zjawiła się Nola w sukience wyglądającej jak mnóstwo chusteczek do nosa, pozszywanych pod dziwacznymi kątami. Wygląda wspaniale, pomyślała Ruby. Pokaz przebiegał sprawnie. Nola zapowiadała kolejne kreacje. Ruby rozejrzała się ukradkiem. Wiele osób robiło pospieszne notatki. To chyba dobrze; pewnie zamierzają coś kupić. Podniosła kciuk do góry. Nola odwzajemniła ten gest.

— A teraz, panie i panowie, mój ostami model. Zamierzałam państwu pokazać coś zupełnie innego, dopóki... aż do rozpoczęcia tego pokazu, kiedy... Chwileczkę.

Ruby zmarszczyła brwi, patrząc, jak Nola zbiega ze sceny. Czy coś się stało?

Poczuła na swoim ramieniu dotyk lekki jak piórko.

— Chodź ze mną, Ruby — szepnęła Nola. — Nie mogę uwierzyć, że zachowałeś... Boże, za chwilę się rozbeczę.

— Ani mi się waż — mruknęła Ruby, idąc za Nolą.

Przyjaciółka zaprowadziła ją na sam środek wybiegu. Objęła jej ramiona.

— Proszę państwa, oto Ruby Blue. Tym, którzy jej nie znają, wyjaśnię, że Ruby Blue jest współzałożycielką firmy „Pani Sugar”, słynącej z pysznych ciasteczek. — Na widowni zapadła cisza. — Wiele lat temu, kiedy dopiero marzyłam o projektowaniu, jedynie Ruby wierzyła we mnie, nikt inny nie dałby trzech groszy. Powiedziała... że wie, iż kiedyś stanę się uznaną projektantką. Oto ona, panie i panowie, w sukience, którą zaprojektowałam dla niej tak dawno, że nawet nie wypada wspominać. — Nola odetchnęła i szepnęła do Ruby: — Wyprostuj plecy i idź powoli, a kiedy się zatrzymasz, skrzyżuj nogi w kostkach.

Oklaski nie milkły. Kiedy Ruby znowu stanęła obok Noli, wiele osób na widowni podniosło ręce w górę, dając znak, że chcą kupić sukienkę.

— Przykro mi, ta sukienka nie jest na sprzedaż — powiedziała Nola. — Dziękuję państwu za przyjście.

Nola przepchnęła Ruby przez tłum modelek i innych osób, kłębiących się za kulisami.

— Uciekajmy stąd. Teraz jesteś tylko moja, dziecinko. Mamy mnóstwo czasu do nadrobienia. Ruby, nie potrafisz... nigdy tego nie zapomnę... jak do diabła... Boże, jak dobrze cię widzieć.

Na środku Seventh Avenue dwie splakane kobiety padły sobie w ramiona.

— To chyba drugi najlepszy dzień w moim życiu — oznajmiła Nola drżącym głosem.

— I mój — dodała Ruby.

Żadna nie spytała, jaki był ten pierwszy dzień. To po prostu już się nie liczyło.

* * *

W apartamencie Noli usiadły na miękkich poduszkach na podłodze, trzymając w dłoniach kieliszki z winem.

— Opowiedz mi o wszystkim — poprosiła Nola. — Nie wiedziałam, czy zechcesz przyjść. Modliłam się o to.

— Długo się wahałam. Byłam wtedy inna. Zbyt wiele oczekiwałam od ludzi. Nie mogłam zaakceptować ich słabych stron. Nigdy nie byli dla mnie dość dzielni, silni, sprawiedliwi, dobrzy. Nigdy nie potrafili mi ostatecznie udowodnić, że mnie kochają. Jeszcze tego nie uporządkowałam, ale się staram. Wiem, że to częściowo przez moje dzieciństwo i rodziców. Nad tym też pracuję. Wygląda na to, że tylko wtedy czuję się spokojna, szczęśliwa i zadowolona, kiedy robię coś dla innych. Wszystko się wali, kiedy zaczynam wymagać od ludzi, żeby sprościli moim oczekiwaniom. Pragnę, żeby cały świat kochał mnie tak, jak ja chcę, a to nie zawsze jest możliwe. Wszystko to przyszło mi do głowy, kiedy... kiedy dostałam zwierzęta, które należały do kogoś innego i... nie polubiły mnie. Boże, tak bardzo się starałam, żeby się do mnie przekonały. Pozwoliłam im zapaskudzić cały dom. Gotowałam specjalne dania i dawałam im najlepsze kaski. A one nadal nie chciały nic dla mnie zrobić. Potrzebowałam kogoś, kto by mnie kochał. I miałam im za złe, że mnie nie lubią. Zupełnie do mnie nie docierało, że są przerażone... Właśnie wtedy przyjrzałam się sobie tak naprawdę. Grzebanie we własnej duszy nigdy nie jest łatwe. Nie przegrywam tylko wtedy, gdy daję, nie spodziewając się niczego w zamian. Mam wtedy takie... Boże, nie umiem tego opisać. Po prostu jestem szczęśliwa. To dlatego tak lubiłam dawać prezenty sierotom twoich rodziców. Muszę ci wyznać, że uważałam twoich rodziców za wyjątkowych ludzi. I zawsze towarzyszyła mi myśl, że mogę skończyć jak moi rodzice, nie kochana i niezdolna do miłości. Nie mogłam się pozbyć tej myśli, nie odstępowała mnie ani na krok. Kiedy wydawało mi się, że zwracasz się przeciwko swoim rodzicom... nie... nie potrafiłam cię zrozumieć. Ale teraz chciałabym, żebyśmy były przyjaciółkami. Prawdziwymi przyjaciółkami, jak kiedyś. Jeśli zaczniemy od nowa, powinno się nam udać. To znaczy, jeśli chcesz.

Nola skinęła głową; oczy jej błyszczały. Ruby uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— A teraz opowiedz mi o Noli Quantrell.

— Nola Quantrell jest kłamczuchą. Okłamywała cię od samego początku. Nola, której tak naprawdę nie znałaś, nienawidziła sierot, życia na farmie, niedostatku, ciąży. Nie wiem, za kogo się uważałam, sądząc, że powinno mi się wieść lepiej. Możemy porozmawiać o poczuciu winy. To moje drugie imię. Tyle razy chciałam do ciebie napisać... ale wiedziałam, że nie zaakceptujesz osoby, którą byłam naprawdę. Pewnego lata nie mieliśmy do jedzenia nic, prócz kartofli, ogórków i boczku. Każdy dostawał po jednym plasterku. Czasami piekliśmy ziemniaki, czasami robiliśmy z nich puree. Czasami ogórki były ze śmietaną, innym razem z octem. Przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie wezmę ich do ust. Przez całe lato, Ruby. Mój ojciec stracił pracę. Nie dostał zasiłku. Zmyślałam bajeczki o tym, jak świetnie się nam wiedzie, a ty je kupowałaś. Wtedy nie mogłam już się zmusić, żeby powiedzieć ci prawdę. Cieszę się, że

przysyłałaś te rzeczy. Naprawdę. A moi rodzice też nie byli tacy wspaniali, jak ci się wydawało. Nigdy nie wybaczyli mi, że mój syn jest nieślubnym dzieckiem. To mój ojciec odnalazł Alexa. To rodzice zmusili nas do małżeństwa. Chcieli, żebym była kobietą godną szacunku. I chcieli się pozbyć mnie i dziecka. Nie miałam wyboru. Przynajmniej wtedy tak mi się wydawało. Teraz już wiem, że zawsze jest drugie wyjście, jeśli ma się dość odwagi, żeby z niego skorzystać. Wiele lat później, kiedy zaczęłam zarabiać, wysyłałam pieniądze do domu. Niechętnie, przyznając. Usiłowałam nie tracić kontaktu z dziećmi, ale kiedy jedno odchodziły, pojawiały się następne. W pewnym momencie nazbierało się ich dwadzieścioro jeden. Tak długo tego nie rozumiałam... Tych wszystkich dzieci, prostego życia, które dawało szczęście moim rodzicom. Jesteś taka, jak oni, Ruby. Ja byłam egoistką. Nadal jestem. Chyba już zawsze będę — skończyła Nola żałośnie.

— Nieprawda. Gdyby tak było, sprzedałabyś moją sukienkę i zdarła ją ze mnie już tam, na wybiegu — roześmiała się Ruby.

— Lepiej o tym pamiętaj — powiedziała Nola, pociągając nosem.

— Spieprzyliśmy sprawę, ot co.

— Gdzie się nauczyłaś takich słów?

— Od Andrew. Jeszcze nie wiesz, na co mnie stać.

— Jak się miewa Andrew?

— Świetnie. Teraz jesteśmy przyjaciółmi. Przy nim wiem, na czym stoję. Wskoczyłby dla mnie w ogień, gdybym go o to poprosiła. Bardzo długo nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jesteśmy wobec siebie uczciwi. A co u Alexa?

— Nie żyje. Długo go opłakiwałam. W ogóle nie powinniśmy się pobierać. Chodziło tylko o seks. Lepiej skończmy już na tym. Mam wspaniałego syna. Jesteśmy przyjaciółmi. Mieszka w Kalifornii. Właściwie to on zarządza moją firmą. Odwała kawał dobrej roboty.

— A co z tym załamaniem?

— Pewnego dnia nie mogłam podnieść się z łóżka. Nie chciałam podnieść się z łóżka. Tak długo nosiłam na swoich barkach ciężar winy, że w końcu stał się ponad moje siły. Chodzę do psychologa, i to od dawna. Muszę... Ruby, muszę ci coś powiedzieć. Nie pisałam o tym nikomu. Nawet lekarzowi... Ja też jestem sierotą. Nie jestem dzieckiem Quantrellów. Rodzice nie mieli własnych dzieci. Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do śmierci moich rodziców. Ojciec umarł pierwszy. Na pogrzebie matki było siedemdziesięcioro dwoje dzieci. Moja siostra, to znaczy dziewczyna, którą uważałam za siostrę, jest ode mnie starsza o cztery lata. Powiedziała, że pamięta dzień, w którym ojciec przyniósł mnie do domu. Nie byłam ich dzieckiem, Ruby. Nie byłam prawdziwa. Czułam się strasznie oszukana. Później usiłowałam tym wytłumaczyć swoje zachowanie, mówiąc sobie, że właściwie wiedziałam to od samego początku, ale to nie była prawda. Naprawdę myślałam, że jestem dzieckiem moich rodziców.

Ruby wyciągnęła do niej rękę. Nola położyła głowę na jej ramieniu.

— Chyba muszę o tym powiedzieć lekarzowi. Ty pracujesz nad własnymi problemami, a ja zajmę się moimi. Może będziemy do siebie dzwonić i porównywać, jakie zrobiłyśmy postępy? Wysłuchasz mnie, prawda?

— Tylko, jeśli ty wysłuchasz mnie. Zgubiłyśmy się trochę, ale na pewno nadrobimy stracony czas — zawyrokowała Ruby.

Andy siedział w prowizorycznym baraku w rezerwacie i studiował listę gości, mających przybyć na przyjęcie — niespodziankę z okazji urodzin matki. Wypruwał z siebie żyty, żeby ukończenie budowy zbiegło się z czasem z urodzinami. Zadzwoił już do wszystkich: prawnicy w Nowym Jorku, Silas Ridgely, Nola, ojciec, pracownicy z „Pani Sugar” i wszystkie osoby z notesika matki, który udało mu się podwędzić. Długo zwlekał z zadzwonieniem do Marthy, ale ojciec powiedział: „Nie pękaj, Andy zrób to i już „. A jednak nie był jej pewien. Nie był też pewien przybycia obu ciotek. Żadna z nich nie obiecała, że na pewno przyjedzie, ale żadna też nie odmówiła kategorycznie. Bracia Semolina wraz z całym kompletem kuzynów zjawia się na pewno. Włącznie z Angusem Websterem.

Teraz jego największym problemem było wyciągnięcie matki z domu na kilka dni przed przyjęciem, żeby mogli udekorować nową stodołę. Po głowie chodził mu pewien pomysł — pilny telefon z firmy z wiadomością, że wszyscy pracownicy ogłosili strajk. Tylko to zdołaloby skłonić matkę do mszenia się z miejsca. Smukłymi palcami bębnił w blat biurka stojącego w obskurnym baraku. Trudno uwierzyć, że minął już rok, odkąd pierwszy raz usłyszał o projekcie schroniska. Równie trudno było pamiętać, że matka ma pięćdziesiąt pięć lat.

Wrócił myślą do Biddy ‘ego i Mikeya. Do tego, jak w zeszłym tygodniu pokazali im ich domek. Biddy połykał łzy; Mikey płakał otwarcie. Nie mógł uwierzyć, że ma własny pokój. Andy’emu także zwilgotniały oczy. Dzisiaj dostarczono meble, a matka przez cały czas wisiła robotnikom nad głową, nadzorując każdy ich ruch. Parę godzin temu przemknęła jak torpeda, z psami wariującymi na tylnym siedzeniu i kotką przycupniętą na jej ramieniu. Tyłne koła rovera uginały się w sposób zdradzający, iż w bagażniku znajduje się potężny zapas żywności dla ludzi i co najmniej ćwierć tony jedzenia dla zwierząt. Niedawno powiedziała mu, strasznie przejęta, że urządziła pokój dla Mikeya. Zamówiła specjalnie dla niego robioną tapetę, przedstawiającą wszelkie możliwe zwierzątka, a także postaci z bajek: dwa zakochane pieski oraz Toma i Jerry’ego. Na samym środku sufitu skakała przez księżyc krowa o rozmarzonym spojrzeniu. „To na wypadek, gdyby Mikey nie mógł zasnąć” — wyjaśniła. W małej kuchni znajdowała się gazowa kuchenka z piekarnikiem. W salonie stało stereo, telewizor, magnetowid i kolekcja kaset z filmami. Szufłady i szafy kryły w sobie całą kolekcję ubrań: zimowe, ciepłe kurtki, flanelowe koszule, długie kalesony, ciężkie, wysokie buty i trzewiki. A także rękawiczki i czapki. Letnie ubrania były kolorowe i wesołe. Mikey i Biddy uwielbiali żywe barwy.

Andy zorientował się nagle, że się śmieje. Kiedy matka zabierała się do czegoś, szła na całość. Spojrzał na zegarek. Pora ruszać na spotkanie w domku. Powiedział Biddy’emu i Mikeyowi, że spotkają się w samo południe. Wydawało mu się, że słyszy klekot furgonetki Biddy’ego. Nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże mu nowiutki i lśniący pojazd, dostarczony na miejsce przed czterdziestoma minutami.

* * *

Tym razem płakali wszyscy. Mikey, z Samem pod lewą pachą, Fred pod prawą i Doozie balansującą na jego ramieniu, obszedł swój nowy dom. Łzy płynęły mu strumieniami po policzkach. Patrzyli od progu, jak rzucił się na swoje łóżko; potem dotknął nowego szlafroka, rozłożonego na poręczu krzesła. Uśmiechnęli się, gdy szturchnął palcem nowe trampki i kaptcie,

ustawione w rzędku przy nocnym stoliku. Roześmieli się, kiedy stanął przed swoim własnym lustrem, nadszedł poważnie, wskazał na swoje odbicie i oświadczył:

— Ja...przrzrz—tojny.

— No pewnie, że jesteś przystojny — uśmiechnęła się Ruby.

Mikey przytaknął gorliwie.

— Moje?

— Wszystko! — zgodziła się Ruby. Mikey wskazał na Sama, Fred i Doozie.

— Moje? — spytał, uśmiechając się przekornie.

— Nie ma mowy — zaprotestowała wesoło.

— Gg-hart — zapewnił ją Mikey, padając znowu na łóżko. Psy natychmiast wskoczyły na niego.

— Ładny mi żart. Chyba cię lubią. Pamiętają, jak masowałeś im brzuchy, kiedy były głodne. Nie zapomniały cię — powiedziała Ruby miękko.

— Nie zapomniały.

Słowa zabrzmiały tak wyraźnie, że Ruby aż uniosła brwi. Zmierzyła Mikeyowi żartobliwie włosy i pocałowała go głośno w policzek.

— Nikt nie zapomina rzeczy, które są naprawdę ważne.

— Waa-hne. Nie ma klaaa-teh.

— Masz rację, mały. Tutaj nie będzie żadnych klatek — włączył się Andy, klepiąc go po plecach. — Nieźle się spisałaś, mamus — dodał scenicznym szeptem.

— Chętnie się z tym zgodzę — przyznał Biddy ochryple. — Nie wiem, co powiedzieć. To zupełnie jak w bajce.

— Sądzi pan, że Agatha Penny by to zaakceptowała? — spytała Ruby z niepokojem.

— Bez wątpienia. Pani Blue, zawsze zwraca się pani do mnie tak oficjalnie. Wszyscy tutaj mówią mi Biddy. Nie sądzi pani, że pora, żeby i pani mnie tak nazywała?

Już miała się zgodzić, kiedy nagle zobaczyła wyraz jego oczu.

— Nie, nie mogłabym. Mam dla pana zbyt wiele szacunku. — Wiedziała, że tylko ona mówiła do niego „panie Bidwell”. — Mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony.

— Nie, nie. To mi się nawet podoba — uśmiechnął się mały człowieczek. Ruby odwróciła dyskretnie głowę, udając, że nie widzi łez lśniących w jego oczach.

— I co pan sądzi o drugim budynku, tym, w którym będziecie spędzać większość dnia? Andy spisał się na medal, prawda?

— O tak, z pewnością. Nie znałem się za bardzo na architekturze, dopóki Andy nie wyjaśnił mi, co zamierza zrobić. Spodobało się nam, i to bardzo. Wszyscy się tu zdziwią, kiedy zaczniemy działać.

— Wszyscy dziwią się już teraz — parsknął śmiechem Andrew. — Bracia Semolina i inni kuzyni przychodzą tu co najmniej raz na tydzień, żeby sprawdzić, czy robimy postępy. Powiedzieli mi, i to wprost, że, jak na miastowego, znam się na rzeczy, choć nigdy nie miałem młotka w ręce. To prawdziwy komplement.

Ruby uśmiechnęła się.

— Dobrze. No, to wracam do domu. Zrobię dziś dla was pieczeń, chłopcy, a mojej menażerii obiecałam cheeseburgery.

— Mamus — szepnął Andy — nie zapomniałaś o czymś? Stodoła — dorzucił, kiedy nie zrozumiała.

— A prawda, stodoła. Panie Bidwell, w stodole stoi coś, co może się panu przydać przy prowadzeniu schroniska. Jak sadsisz, spodoba się mu? — spytała, gdy Biddy otwierał ciężkie wrota.

— Oszaleje z zachwytu. Zwłaszcza na widok tego napisu na drzwiach. No, to naprawdę był dobry pomysł.

Biddy wyszedł na zewnątrz i spojrzał na Ruby i Andy'ego.

— Czy ten pojazd jest dla mnie i Mikeya? — spytał łamiącym się głosem.

— Tak jest. Chyba pasuje do tych nowiutkich budynków, prawda? Ponieważ nikt z nas nie zna nazwiska Mikeya, chyba... chyba nie ma pan nic przeciwko temu, że umieściłam jego imię na początku?

— To mi się podoba. Ładnie brzmi.

SCHRONISKO DLA ZWIERZĄT MIKEYA IBIDWELLA, LORDS VALLEY.

Andy rzucił mu kluczyki.

— Założyliśmy blokadę na pedał gazu i hamulec.

— Czuję się jak dzieciak, który dostał nowy rower. Mikey! — wrzasnął Biddy.

Andy i Ruby odprowadzili wzrokiem znikający za pagórką samochód.

— Właśnie zdałem sobie z czegoś sprawę — odezwał się Andy po chwili milczenia. — Większość ludzi daje, bo spodziewa się czegoś w zamian. Ty nie dostaniesz niczego.

— Mylisz się, Andy. Dostałam siebie.

Na przyjęciu pojawili się wszyscy, wszyscy przyjaciele, w których zwątpiła. Czteroosobowy zespół czekał w pełnej gotowości, by zagrać „Happy Birthday”, kelnerzy stali za długimi stołami, uginającymi się pod mnóstwem dań. Inni krążyli pomiędzy gośćmi, roznosząc drinki i przekąski.

Andy rozejrzał się wokół, zadowolony z siebie. Miejscowy właściciel kwaciarni udekorował wnętrze letnimi kwiatami i kolorowymi serpentynami. Na stole przy drzwiach wznosiła się góra pięknie opakowanych prezentów.

— Psy zaczynają się niepokoić. To znaczy, że mama jest już blisko — zwrócił się Andy do ojca. — Będzie wściekła jak wszyscy diabli, wiesz?

— Tylko przez chwilę. Przejdzie jej, kiedy tylko wszystkich zobaczy. Twoja matka...

— Jest jedyna w swoim rodzaju, prawda?

— Właśnie. Ciągłe jej to powtarzam. A ostatnio chyba zaczęło to do niej docierać.

— Strasznie się zdziwi na twój widok. Nie sądziłem, że Martha jednak przyjdzie, a tu proszę. I ciotki też są... Mam nadzieję, że obejdzie się bez niepotrzebnych fajerwerków.

— Nie pozwoliłbym na to — powiedział Andrew twardo. Andy uwierzył mu bez problemów.

— Teraz cicho! — zawołał, biegnąc ku bocznym drzwiom, które Fred i Sam usiłowali przegryźć. — Wprowadzę ją głównym wejściem, więc się przygotujcie.

Wymknął się na zewnątrz razem z psami i Doozie.

— Cześć, mamuś! Jak poszło? — zawołał ze sztuczną bez troską.

— Chcą mieć związek zawodowy. Nawet ze mną nie porozmawiali! Uwierzyłybyś w coś takiego? Po prostu odeszli! — wyszczała wściekła Ruby. — Firma jest zamknięta! To najgorsze urodziny w moim życiu!

— Dobrze, dobrze. Przykro mi cię o to prosić, ale możesz mi poświęcić minutkę? W stodole jest coś, co chciałbym ci pokazać. Zdaje się, że bracia Semolina sknocili robotę i dach... osiada.

— Co? — jęknęła Ruby.

— Przyjadą tu jutro, więc musisz to zobaczyć już teraz. Znasz ich, zjawiają się równo ze świtem.

— Jestem strasznie zmęczona, nie można tego odłożyć? — spytała błagalnie. — Raczej nie...

— Dobrze, ale to ty będziesz musiał się tym zająć. Ja mam na głowie te cholerne związki...

— Sto lat!

Była to najwspanialsza zabawa w jej życiu. Przepląkała jej większą część. Płakała, tańcząc z mężem, walcząc z Mickiem i Dickiem, i kołysząc się niezgrabnie z Mikeyem odzianym w nowy garnitur. Zachłysnęła się łzami, kiedy Martha spojrzała jej w oczy i powiedziała: „Przepraszam, mamu”. Pociągała nosem, gdy Nangi objął ją, a Amber pogładziła japo głowie. Ale nie uroniła ani jednej łzy, gdy Opal bezskutecznie próbowała spojrzeć jej w oczy. Pogłaskała siostrę po ramieniu i poszła wprost w objęcia Andrew.

— Wszystkiego najlepszego, Ruby.

— Dzięki. Dziękuję, że przyjechałeś. Dobrze cię znowu zobaczyć. Naprawdę. Naprawdę cieszę się, że cię widzę. Dobrze wyglądasz. Z iloma panienkami kręcisz?

— Miau.

Ruby przysunęła się do niego, patrząc mu głęboko w oczy.

— Więc on nadal działa? — szepnęła ochryple.

Andrew zaczął się śmiać, aż z oczu popłynęły mu łzy.

— Owszem, działa. A ponieważ będę tu nocować, może ci to udowodnić?

— Wielkie dzięki, nie. Co za jedna, ile ma lat?

— Trzydzieści trzy — powiedział bez wahania. — Smukła blondyna. A co u ciebie?

— Pustka.

— Tak nie można — ściszył głos. — Znam paru facetów, którzy nieźle by mu przywalili za to, co ci zrobił. Nie miał prawa tak cię potraktować.

— Wiedziałam, w co wchodzi. Zasłużyłam na to swoją głupotą. Ale wytoczyłam mu sprawę z powodu pieniędzy, których mi nie zwrócił.

— Nie oddał nam pieniędzy? — przeraził się Andrew.

— Spodziewałam się, że tak to ujmiesz. Owszem, jest mi winien sporą sumkę. Ale dam sobie z nim radę. — Andrew wyglądał naprawdę dobrze, opalony i szczupły; od chwili wyjazdu z Rumson chyba nie przytył ani grama. Jego skronie interesująco przyprószyła siwizna. — A niech mnie, nosisz tupecik! Jesteś aż tak próżny?

— To nie tupecik. Kazałem sobie zrobić ten bajer z przeszczepianiem włosów. Moich własnych, z potylicy. Kosztowało majątek. — Spowazniał na chwilę. — Chciałbym, żebyś była szczęśliwa. Naprawdę.

— Jestem szczęśliwa. Hej, to moja ulubiona piosenka: Zatańczmy.

Ruszyli do tańca przy dźwiękach „Blue Moon”. Uśmiechali się do siebie. Teraz jesteśmy przyjaciółmi, pomyślała Ruby. Przyjaciółmi, którzy akceptują się nawzajem takimi, jacy są naprawdę. Nie mieli pojęcia, że tańczą sami. Ocknęli się dopiero, gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki i wszyscy zaczęli ich okłaskiwać. Andrew uklonił się nisko, Ruby dygnęła.

— Przyjdę do ciebie później — szepnął Andrew.

— Lepiej nie. Te czworonożne potwory nie wpuszczają do mojej sypialni nikogo, nawet Andy’ego. Ale możemy się spotkać przy śniadaniu.

Była już w połowie sali, kiedy nagle wpadła na kogoś, lądując twarzą na wonnej piersi.

— Nola! — pisnęła. — Rany, ale przyjęcie!

— Owszem, owszem — roześmiała się jej przyjaciółka. — Coś mi się zdaje, że zaproszono pół świata.

— Brakuje dwóch osób, ale nie szkodzi. Przeżyję to jakoś. Co u ciebie?

— Same dobre rzeczy. Muszę zdążyć na samolot do Francji, który odlatuje o północy, więc wyjdę wcześniej. Wybacz. Mam przed sobą poważne zadanie. Zamierzam sprzedać moje udziały w firmie i chcę się zorientować, jak wygląda oferta francuska. Zaplanowałam to na długo przed twoim przyjęciem. Muszę iść, Ruby. Wszystkiego najlepszego i tak dalej. Zostawiłam prezent na stole. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

— Spodoba mi się, bez względu na to, co to jest — powiedziała Ruby szczerze. — Dziękuję ci, że przysłaś.

— Nie opuściłabym tego przyjęcia za żadne skarby. Mam nadzieję, że będę jeszcze na wielu twoich urodzinach. Pożegnaj ode mnie Andrew. Powiedział mi, że, jak na takie stare pudło, nieźle ze mnie laska. Uznałam to za komplement.

Ruby objęła przyjaciółkę i uścisnęła ją serdecznie.

— Uważaj na siebie. Zadzwoń, im szybciej, tym lepiej.

— Dobrze.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Nolą, Ruby poczuła na ramieniu dotyk czyjejś dłoni.

— Wszystkiego najlepszego, Ruby — odezwała się cicho Amber.

— Tak się stanie, jeśli mówisz szczerze.

— Pamiętam, jak powiedziałam ci kiedyś w YWCA, że nigdy nie będziemy przyjaciółkami. Wtedy mówiłam to z przekonaniem. I choć teraz bardzo się staram, nie potrafię wykrzesać z siebie żadnych uczuć. Ciągłe próbuję, bo Nangi jest strasznie zawiedziony moją postawą. On

bardzo cię lubi. Gdyby w Saipan był choć jeden psycholog, pewnie poszłabym do niego. Ale i tak wiem, na czym polega mój problem i żadna terapia nie pozwoli mi zapomnieć o dzieciństwie, nawet nie warto próbować. Nie chcę ci zepsuć przyjęcia, ale czułam, że muszę ci to powiedzieć. Nangi utrzymuje, że ci zazdrościsz. Może i tak. Ale nie sądzę.

— Ja też nie. — Jesteś, kim jesteś, podobnie jak ja. Ale dziękuję ci za uczciwe postawienie sprawy. To już zima naszego życia, wiesz?

— Co za bzdura — skrzywiła się Amber.

— Tylko dlatego, że nie chcesz w to uwierzyć. Teraz biorą już z naszej półki. Nikt przed nami nie stoi. Chyba obie musimy się pogodzić z tym, że umrzemy. Tak trzeba, kiedy przychodzi zima. Rodzice już odeszli. My jesteśmy następne jeśli się zastanowisz.

— Nie zamierzam — oznajmiła Amber cierpko.

— I dobrze — powiedziała Ruby lekko. — Pocałujemy się, czy uściśniemy sobie ręce? Amber pochyliła się i musnęła ustami jej policzek.

— To za Nangiego. Za to, że byłeś dla niego dobra. Za to, że dałaś mu szansę. To jest dla mnie naprawdę ważne.

— To mi wystarczy — powiedziała Ruby. I naprawdę tak było. — Cieszę się, że to sobie wyjaśniłyśmy.

— Ja też. Fajne przyjęcie. Jedzenie pierwsza klasa. Muzyka też.

— Więc idź się bawić! — uśmiechnęła się Ruby.

Zespół znowu zaczął grać „Happy Birthday”. Ruby pomaszzerowała w jego stronę, gdzie dołączył do niej Andy. Poprosił jednego z muzyków, żeby zagrał fanfarę.

Ruby powiodła wzrokiem po uśmiechniętych twarzach. Wszyscy zjawili się tu dla niej, wszyscy byli jej przyjaciółmi. Zauważyła, że Mikey i Bidy stanęli obok Andy’ego.

Zacząła otwierać prezenty. Płakała, śmiała się i dziękowała. Kiedy wreszcie zamierzała podnieść się ze skrzynki po pomarańczach, zbliżył się do niej Mikey, niosąc wielkie pudło po adidasach.

— Ghhe-ak.

Ruby zajrzała do pudełka. Jej oczy znowu wypełniły się łzami.

— Szczeniak, szczeniaczek! — zawołała, tuląc chłopca do siebie. — Czy ma jakieś imię?

Mikey pokręcił głową.

— Świetnie, więc jutro coś wymyślimy.

Mikey rozpromienił się, kiedy pocałowała go soczyście w policzek. Objęła Bidy’ego.

Kiedy ostatni gość opuścił przyjęcie i została tylko z rodziną, powiedziała:

— Jak to dobrze, że jesteście. Cieszę się, że znowu zebraliśmy się razem. Ostatnio... nie wiodło się nam najlepiej. Jesteśmy dla siebie wszystkim, co mamy, oczywiście z wyjątkiem Amber, która może się poszczycić cudownie liczną rodziną. To, co się zdarzyło... to już przeszłość. Nie możemy cofnąć się w czasie, by naprawić nasze błędy. Jeśli kogoś skrzywdziłam, przepraszam. Jeśli to możliwe, chciałabym, żebyśmy zaczęli jeszcze raz. Rety, zespół już się pakuje. Zatrzymaj ich, Andy. Chcę z tobą zatańczyć. Tylko my dwoje.

Słońce stało już nad horyzontem, kiedy cała rodzina zmierzała w stronę domu. Ruby szła, trzymając pod rękę męża i syna. Martha wyprzedzała ich i znowu wracała, zanosząc się śmiechem.

Ruby i Andrew siedzieli przy kuchennym stole, czekając aż zaparzy się kawa w ekspresie.

— I co? — odezwał się Andrew. — Zamierzasz spędzić resztę życia na tym zadupiu, w towarzystwie psów i kotów? — Miał taką minę, jakby nie wierzył, żeby ktokolwiek mógł jej to wyperswadować. Wygląda na zmęczonego, pomyślała. Chyba przez podróż i alkohol.

— W moim postępowaniu nie ma nic złego — powiedziała spokojnie. — A jeśli takie życie mi odpowiada? I co się stanie, gdy nie zechcę brać już udziału w wyścigu szczurów?

— Nic — mruknął. — Jeżeli nie uciekasz. I jeśli naprawdę tego chcesz. Tak długo znałem cię jako osobę, która nie może usiedzieć spokojnie na jednym miejscu, że trudno mi... zaakceptować taki stan rzeczy. Jesteś szczęśliwa?

— Jeśli potrafisz mi podać definicję szczęścia, z którą się zgodzę, powiem ci. Trochę spóźniłeś się z tą troską, nie uważasz?

— Zawsze się o ciebie martwiłem, tylko nigdy nie mówiłem o tym głośno. Rób to, co da ci szczęście. To moje motto.

— I moje — przyznała z uśmiechem. — Pysznic jest już chyba wolny. Rury przestały bulgotać.

— To cholernie ładny dom. Mogłabyś przygotować mi jakieś śniadanko, zanim wyjadę? Nie znoszę żarcia, które podają w samolotach.

— Już jedziesz? — spytała, zaskoczona.

Andrew zatrzymał się w pół kroku.

— No... tak. Wszyscy wyjeżdżamy. Martha... wracam razem z nią, podwiezie mnie na lotnisko w Newark. Twoje siostry... Andy chyba zabiera je na Kennedy. Myślałam... o rety, spodziewałaś się, że zostaniemy?

— No, skoro przejechaliście taki kawał drogi, sądziłam, że pobędziecie parę dni.

— Ci bandyci, moi pracownicy, zwialiby z kasą, gdybym dzisiaj nie wrócił. Ale jeśli chcesz, żebym został, zostanę.

— Nie, tak jest dobrze — wycofała się, usiłując nadrabiać miną. — Chcesz jajka na boczku?

— Wracam za piętnaście minut! — zawołał przez ramię.

Do kuchni weszła Martha. Objęła matkę, a potem podrapała psa za uchem.

— Tęskniłam za tobą, mamo.

— Ja za tobą też — powiedziała Ruby, wbijając jajka do wielkiej żółtej salaterki.

— To, co mówiłaś wczoraj, o tej przeszłości i tak dalej, było na poważnie?

— No pewnie. Chyba już wiesz, że zawsze mówię to, co myślę.

— Więc czemu czuję między nami jakieś napięcie?

— Minęło wiele czasu, Martho. Ludzie się zmieniają. Ale kocham cię i to się nigdy nie zmieni.

— Przebaczyłaś mi?

— Oczywiście. Myślałam, że nie będziemy o tym mówić. To niczemu nie służy. To już przeszłość.

— Chcę, żeby było tak, jak przedtem. Chcę, żeby wróciło to, — co było wczoraj — szepnęła Martha.

— To też już przeszłość, ale nadal mamy dzień dzisiejszy. Może będzie lepszy niż wczorajszy, jak sądzisz?

— Nie myślałam naprawdę tego, co powiedziałam wtedy, u babci.

— Wtedy tak myślałaś. Powiedziałaś to, co czułaś. Bardzo... bardzo długo uważałam, że mnie zdradziłaś. Ale już tak nie myślę. Proszę, nie płacz. — Ruby wzięła córkę w ramiona.

— Mogę tu wrócić?

— W każdej chwili. Nigdzie się nie wybieram. Zawsze będę tu na ciebie czekać.

— Mam najpierw zadzwonić?

— Nie, ależ skąd. Drzwi są otwarte. Nie musisz nawet mieć klucza — powiedziała Ruby, czując, że i jej oczy zaczynają wypełniać się łzami.

Wiedziała, że Martha nie będzie do niej często wpadać. I że zawsze najpierw zadzwoni. Przez chwilę miała ochotę powiedzieć, że serce nadal ją boli, ale się powstrzymała. Kiedyś i ono przestanie jej dokuczać, tego była już pewna.

— Spróbuję namówić tatę, żeby został ze mną przez parę dni. Jak sądzisz, jakie mam szanse?

— Marne — roześmiała się córka. — Uważa, że musi trzymać rękę na pulsie, inaczej go okradną. Pewnie ma trochę racji. Kiedy robi się interesy, jest się na łasce i niełasce innych. Ale twój ojciec to facet nieprzewidywalny, więc kto wie? Mogę z nim o tym pomówić?

— Naprawdę?

— Pewnie. Słuchaj, może wyprowadzisz psy na spacer? Na pewno nie chcesz śniadania?

— Na pewno. Mamo, czy to prawda, że ciotka Amber odesłała pieniądze?

Ruby uniosła brwi.

— Prawda. Ale to już się nie liczy, Martho, nie martw się tym.

Martha wyszła, podkradając po drodze dwa kawałki bekonu i dzieląc się nimi z psem.

W kuchni pojawił się Andrew.

— Świetna synchronizacja — pochwaliła go Ruby, wlewając jajka na patelnię. — Słuchaj... chcę cię poprosić o przysługę. Nigdy nie prosiłam cię o nic... o nic ważnego. Chcę, żebyś się zgodził, zanim usłyszysz, o co chodzi.

Andrew udał, że się namyśla.

— Chyba masz prawo do jednej przysługi. Dobrze. Ale lepiej, żebyś mnie nie prosiła o życie w celibacie czy coś podobnego.

— Chciałabym, żebyś spędził z Martha parę dni. Zrobisz to?

— Jeśli wynagrodzisz mi straty, które poniosę przez tych obiboków na wyspie.

— Możesz mi to potrącić z moich udziałów. Więc umowa stoi?

— Pewnie. I zapomnijmy o tym zwracaniu pieniędzy. To nasza córka. Tylko nie rób z tego wielkiej sprawy, dobrze?

— Dobrze. — Postawiła przed nim talerz. — Wiesz co, mogłabym popełnić morderstwo za te jajka.

— Chcesz połowę? — spytał z pełnymi ustami.

— A chcesz mnie wkrótce zobaczyć na marach? W jakim kolorze byłoby mi bardziej do twarzy, w fioletowym czy zielonym?

Andrew spojrzał na nią zaszepiony.

— A może mi wyjaśnisz, o co ci chodzi? — spytał zdławionym głosem. Opowiedziała mu o swojej chorobie. Słuchał jej z otwartymi ustami.

— Coś podobnego. Kretynka! Nie mogę uwierzyć, niewierze, że... dlaczego nie powiedziałaś mnie... albo Andy'emu... albo Marcie... Ja bym ci powiedział.

Ruby roześmiała się, uszczęśliwiona.

— Wtedy martwilibyśmy się we czwórkę. Zrobiłam to, co wydawało mi się najlepsze. Dla mnie. I udało mi się.

Andrew znowu zaatakował swoje śniadanie.

— Kiedy ostatnio byłaś u lekarza? Jesteś już zdrowa? — Odepchnął talerz od siebie.

Wyglądał na tak zmartwionego, że znowu się roześmiała.

— Prawie. Jeszcze pół roku i wyzdrowieję zupełnie. Teraz rozumiesz, że to dla mnie najlepsze miejsce pod słońcem.

— Mogłaś mi powiedzieć. Czym ty się tu zajmujesz, żeby zabić czas?

— Chodź, to ci pokażę. — Zaprowadziła go na dół, do biblioteki. — Przeczytałam każde słowo. Chodźmy dalej, musisz zobaczyć coś jeszcze. Ostrożnie, te stopnie nie są zbyt bezpieczne — powiedziała, zapalając światło w piwnicy.

— Co do diabła...

Zatoczyła dłonią wielki okrąg.

— Tym zajmowałam się niemal przez rok. Oglądałam telewizję i kupowałam wszystko, co ukazało się na ekranie.

— To wygląda jak jakiś magazyn. Nawet tego nie otworzyłaś.

— Wiem. Kiedy przywozili kolejną paczkę, zrzucałam ją do piwnicy. To taka terapia. Wydałam siedemnaście tysięcy dolarów. American Express unieważnił moją kartę. Podobnie stało się z innymi. Nie otwierałam listów przez sześć czy siedem miesięcy — obwieściła z dumą.

— Nie gadaj!

— Wszystkie te towarzystwa wytoczyły mi sprawy. Moi prawnicy się tym zajmują. Dwadzieścia pozwów. I co o tym sądzisz?

— Niech mnie diabli!

Zaczęli rozdzierać opakowania, poklepując się po plecach i zaśmiewając do łez.

— Możesz to zabrać i podarować swojej panience z Maui!

Oboje upadli na stosy kartonów i skręcili się w paroksyzmie śmiechu. Żadne z nich nie zauważyło, że na szczytcie schodów stoją dzieci oraz Amber i Opal i przyglądają się im jak parze wariatów.

Andrew ochłonął pierwszy i objął żonę za ramiona.

— Świetnie się spisałaś. Nie śmiałem się tak od lat — powiedział, całując ją lekko w policzek.
— Cieszę się, że przyjechałam.

— Ja też się cieszę. Może znowu się spotkamy? Powiedzmy, kiedy skończysz sześćdziesiąt pięć lat?

— Dobrze, ale u mnie.

— Jesteś gotowy, tato?

— Tak się zastanawiam, Martho, nie spędziłabyś paru dni ze swoim staruszkim?

— Z radością! — rozpromieniła się Martha.

— Ale — dodał Andrew, unosząc dłoń — to ja będę prowadzić twoją testarosę.

— Dobrze! — zgodziła się entuzjastycznie. — Pa, mamó. Cześć! — zawołała do swoich ciotek.

Ruby puściła do córki perskie oko. Martha wróciła do niej biegiem.

— Dziękuję ci, mamó — szepnęła.

Kiedy warkot ferrari Marthy ucichł w oddali, Andy przyciągnął matkę do siebie.

— Jesteś najlepsza na świecie, mamusiu.

Już nigdy więcej jej nie zobaczę, pomyślała Ruby przy pożegnaniu z Amber. I nie dbam o to.

— Do widzenia, Amber, do widzenia, Nangi — powiedziała, przytrzymując dłoń szwagra dłużej, niż to było konieczne.

Po chwili również Opal opuściła jej dom, machając beztrąsko ręką.

— Fajne przyjęcie — powiedziała na pożegnanie. Ruby stała na ganku. U jej stóp warowały psy.

— Wydaje mi się, oczywiście to moje prywatne zdanie, że właśnie pokonałam kolejną przeszkodę — poinformowała psy, otrzepując dłonie, by dać im do zrozumienia, co sądzi o tym ostatnim wysiłku. — Lubicie tę chwilę, gdy przyjęcie się kończy i zostajecie sami z górą brudnych garów? — Nagle podskoczyła, przypominając sobie szczeniaczka w pudełku po butach. — Boże, jak mogłam zapomnieć! — wrzasnęła, rzucając się przed siebie.

Szczenie spało zwinięte w kłębuszek, piękniejsze niż bukiet wiosennych kwiatów. Na twarzy Ruby rozlał się szeroki uśmiech.

* * *

Zadzwoił telefon. Ruby podniosła słuchawkę, wlewając jednocześnie do zmywarki płyn do mycia naczyń.

— Mówi Eve Santos.

Ruby wstrzymała oddech i odsunęła krzesło od stołu.

— Tak?

— Wiem wszystko o tej sprawie w sądzie — oznajmiła Eve Santos lodowato. — Mam też listy, które pisała pani do Calvina. Ogłoszę je, jeśli dalej będzie pani robić ten... cyrk. I na co pani liczy? Nie mamy pieniędzy. Na pewno nie takich, jakich domaga się pani adwokat.

Psy poderwały się czujnie i stanęły obok Ruby. Doozie wskoczyła jej na kolana. Obserwowały jej twarz, jej szeroko otwarte i nieruchome oczy.

— Teraz nie mam już na to żadnego wpływu. Nie powinna pani do mnie dzwonić. Jeśli ma mi pani coś do przekazania, proszę zrobić to przez adwokata.

— Chcesz mojego męża, tak? To o niego ci chodzi — powiedziała Eve z nienawiścią.

— Skąd ma pani mój numer telefonu?

— Z listu, który wysłałaś do Calvina. Nawet o nim nie wie. Otwieram listy, które dostaje do biura.

— Dlaczego? Czego się pani boi? Bo chyba nie mnie.

— Wiem o waszym związku już od dawna. Powiedziałam to Calvinowi. Powiedziałam, że wyjawię wszystko naszym dzieciom, jeśli zrobi coś głupiego.

Ruby odzyskała już przytomność umysłu.

— Czy przypadkiem nie upadła pani na głowę?

— Co? — syknęła Eve Santos.

— Proszę mnie nie straszyć. Jest mi doskonale obojętne, co pani powie i komu. Z radością wysłucham tego wszystkiego w sądzie. Wtedy ja również powiem to wszystko, co wiem o pani. Proszę o tym pamiętać, kiedy znowu przyjdzie pani ochota mnie postraszyć. Powinna to pani powiedzieć Calvinowi, nie mnie. A ja chcę jedynie zwrotu moich pieniędzy. Nawiasem mówiąc, pani mąż przyznaje się w jednym ze swoich listów, że je ode mnie pożyczył.

— Oddam ci twoje listy, jeśli ty oddasz mi jego. Och, Calvinie, z kim ty żyjesz?

— Przykro mi, nie mogę tego zrobić. Nie wejdę z panią w żadne układy.

— Wiem dobrze, kim jesteś. Myślisz, że pieniądze załatwią wszystko. Ale Calvina za nie nie kupisz.

— Ja też panią znam. I nigdy nie zamierzałam kupić pani męża. Chciałam jego miłości, to prawda, ponieważ powiedział, że może mi ją dać. Ale nigdy jej nie kupiłam. Chciałabym skończyć już tę rozmowę.

— Nigdy nie dam mu rozwodu. Nigdy go nie dostaniesz — wysyczała Eve głosem ociekającym jadem.

— Wie pani co? Myślę, że zasługujecie na siebie. Róbcie, co wam się podoba. Zobaczmy się w sądzie. I proszę do mnie więcej nie dzwonić. Aha, i proszę pozdrowić ode mnie Calvina. — Ruby trzasnęła słuchawką o widelki. Doozie prychnęła.

Ruby mamrotała pod nosem, zapinając zwierzętom smycze. Toczyła ze sobą zażartą dyskusję, wyprowadzając psy i wracając z nimi do domu. Bez przerwy odtwarzała w pamięci rozmowę. Powinna powiedzieć to, nie powinna mówić tamtego...

Do diabła z tym, orzekła wreszcie. Calvin i Eve Santos należą do przeszłości.

* * *

Nagle życie zaczęło pędzić naprzód w przyspieszonym tempie. Rok 1986 minął w okamgnieniu, 1987 — jeszcze szybciej.

Chryzantemy zniknęły, zastąpione przez ostrokrzew, co nieomylnie zwiastowało nadejście zimy i świąt.

Co się stało, że ostatnie dwa lata minęły tak szybko? Czasami miała wrażenie, że siedzi w samochodzie bez hamulców, pędząc w niewiadomym kierunku. Wiedziała tylko, że ciągle brakuje jej czasu. Od rana do wieczora miała pełne ręce roboty.

Kuchnia była ciepła i pełna porannego słońca, tak jak Ruby lubiła. Nie zmieniała w swoim domu nic; na stole stały cytryny, na kominku płonął ogień, psy podrzemywały, Charlotte śpiewała przez większą część dnia, a Doozie przesiadywała na lodówce. Ona sama, Ruby Blue, także się nie zmieniała. Ale Dixie nadal pozostawała nieuchwytna. Calvin przez pewien czas odwlekał rozprawę, ale wreszcie dał za wygraną i zapłacił. Była ciekawa, czy kiedykolwiek jeszcze o nim usłyszy. Jakoś w to wątpiła. I wątpiła, czyją to obchodzi. Ten dzień wygląda jakoś złowroźnie, pomyślała, wyglądając przez kuchenne okno i śledząc wzrokiem wirujące w powietrzu płatki śniegu. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego się jej tak zdaje. Zamierzała zadzwonić do Noli, żeby zaprosić ją wraz z synem na Boże Narodzenie. A może Andy i Martha zdołają przyjechać? Ale nie chciało się jej dziś z nikim rozmawiać. Tego także nie umiała sobie wytłumaczyć. Andy miewał się dobrze. Pracował nad projektem lodowiska dla hokeisty mieszkającego czterdzieści kilometrów od domu Ruby. Jeszcze nigdy nie widziała Andy'ego tak rozpromienionego. Hokej był zawsze jego najulubieńszym sportem. Martha także była zdrowa. Ruby dzwoniła do niej tego dnia. W liście od Noli też nie było żadnych złych wieści. Mimo to Ruby czuła, że zbliżało się coś złego. Coś, co jej jakoś dotyczyło.

Ponieważ nie wiedziała, co zrobić, zadzwoniła do Andrew. Wydawało się jej, że słyszy szum fali, pryskającej spod deski surfingowej. Andrew rozmawiał z nią z przenośnego telefonu, z którym sienie rozstawał.

— Tu Ruby. Chciałabym, żebyś przyjechał na święta. Może przyjedzie też Nola z synem. Co ty na to?

— Przyślij mi bilet, a będę cały twój. Pierwsza klasa. Tak, chętnie znowu zobaczę śnieg. Dzięki za zaproszenie! Będę niecierpliwie czekać. Czy coś się stało?

— Nie, skąd. Myślałam tylko, że zechcesz spędzić Boże Narodzenie z rodziną.

— Masz dziwny głos.

— No, nie wiem. Dziś jest taki dziwny dzień. Czuję... czuję, że coś się stanie. Co prawda, pada śnieg, ale ja go uwielbiam. Może zacynam...

— Dziwaczec na starość? — podchwycił Andrew i roześmiał się. — Zrób sobie drinka i powiedz na głos wszystko to, co cię trapi. Ja tak robię. Muszę kończyć. Czekają na mnie ważni klienci. Dzięki za zaproszenie.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Miała ochotę porozmawiać jeszcze, ale Andrew już się rozłączył. Kochała śnieg od zawsze. Może gdyby wyszła na spacer, jej myśli uspokoiłyby się i zdołałaby pozbyć się tego poczucia zagrożenia. A może powinna wrócić do salonu i dokończyć pakowanie prezentów? Zdecydowała się na spacer.

Wróciła po dwóch godzinach. Nogi bolały ją porządnie, ale i napięcie nieco opadło. Powiesiła płaszcz i zaczęła przygotowywać kawę z wanilią i orzechami laskowymi. Uwielbiała jej zapach. Psy zerwały się na równe nogi, kiedy usłyszały wizg młynka do kawy. Zaniósła parującą

filiżankę do pokoju. Zwierzęta nadeptywały jej na pięty. Choinka stała już na miejscu, ale jeszcze nie była ubrana. Ruby przyniosła ozdoby.

O piątej po południu w salonie unosiła się balsamiczna woń. Na kominku płonął ogień, choinkowe lampki migotały, jemiola i potężny wieniec, przyozdobiony ogromną jedwabną kokardą, świadczyły o tym, że do domu przy Sadowym Rondzie zawitały święta. Ruby otrzepała teatralnie dłonie, zamknawszy ostatnie pudło po ozdobach. Wszystko zrobiła sama. Po raz pierwszy od lat czuła nastrój Bożego Narodzenia. Podśpiewywała pod nosem, z magnetofonu płynęły dźwięki kolędy, psy baraszkowały w stercie papierów i bibułek, którą zostawiła na środku pokoju. Doozie uwięzła na dobre w splątanej czerwonej wstążce. Ładnie opakowane prezenty piętrzyły się wysoko pod choinką, sięgając jej dolnych gałęzi i otaczając ją szerokim kręgiem. Dwie sterty prezentów czuwały jak strażnicy po obu stronach drzwi wejściowych. Do jadalni z trudem można się było wcisnąć, podobnie jak do pokoju, który nazywała biblioteką. Wszędzie setki, a może nawet tysiące prezentów. Kupowała je całymi dniami i pakowała nocami. Miała prezenty dla wszystkich: Mikeya, Bidy'ego, braci Semolina i ich kuzynów, swoich dzieci i Andrew. Psy także miały własny stosik, podobnie jak Doozie.

Piekła ciasta już od kilku dni i w domu unosiły się aromaty tak kuszące, że chodziła po pokojach, wdychając je i uśmiechając się do siebie. Charlotte śpiewała refren „Jingle Bells”. Ruby weszła do kuchni, niosąc stertę pomiętych papierów do wyrzucenia. Dzwonek u drzwi zabrzmiał w chwili, gdy wyciągała z szafy odkurzacz. Doozie wygięła grzbiet w pałąk. Sam szczechnął, przemykając z kuchni do salonu, a stamtąd pod drzwi wejściowe. Z głębi gardła Fred dobiegał złowieszczy warkot. Do drzwi dzwonił jedynie Rob Frazier, drwał.

Ale to nie mógł być Rob, nie przy tej pogodzie.

Dzwonek odezwał się po raz drugi.

— Dobrze, dobrze, już idę. Zostańcie! — rzuciła psom.

Dzwonek odezwał się po raz trzeci. Charlotte podjęła przerwany śpiew. Ruby otworzyła drzwi, święcie przekonana, że ujrzy za nimi Roba Frazier.

— Dixie! — W głowie miała kompletną pustkę. Zatrzasnęła drzwi. Doozie niknęła, krążąc wokół nóg Ruby. Sam położył uszy płasko po sobie. Fred nadal warczała. Numer Piąty przedzierała się ku nim przez sterty bibułek po ozdobach świątecznych. Ruby patrzyła, jak szczenię przykuca i siusia. Dzwonek hałasował bez przerwy. Znowu otworzyła drzwi.

— Proszę, Ruby, mogę wejść?

— Po co?

— Bo chcę z tobą pomówić.

— Ostatnio jakoś wszyscy chcą ze mną mówić. A ja nie chcę rozmawiać z tobą. Zjeżdżaj stąd, Dixie. Nie chcę na ciebie patrzeć ani cię słuchać.

Cały gniew i ból, nagromadzone przez wszystkie te lata, wyzwoliły się nagle. Zupełnie zapomniała o prywatnym detektywie i duchowej przemianie, której dokonała w sobie w związku z Dixie.

— Więc stanę pod twoimi drzwiami i zamarznę, bo nie zamierzam stąd odejść, dopóki się ze sobą nie rozmówimy.

— Jak wolisz — syknęła Ruby i zatrzasnęła drzwi po raz drugi. Zwierzęta zaczęły się niepokoić, wyczuwając rozterkę swojej pani.

Ruby wiedziała, że emocje wymykają się jej spod kontroli, tak jak tej nocy, kiedy została obsypana prochami Hugona Sinclair'a. W głębi serca zawsze wierzyła, że Dixie wróci, ale logika podpowiadała jej, że już nigdy w życiu nie zobaczy dawnej przyjaciółki. Ileż razy wyobrażała sobie tę scenę w różnych wariantach, od tego, w którym chwyciła Dixie w objęcia i mówiła: „Cokolwiek to było, wybaczam ci”, aż do: „Precz z moich oczu, nie chcę cię więcej

widzieć”. Pomyślała mściwie, że Dixie powinna odpokutować za cały ból, jaki jej zadała. Stanie na mrozie i śniegu uznała za drobną zapłatę.

Teraz wszystko zależało od Ruby. Mogła odegrać dowolny wariant tej sceny. Uchyliła przezrystą firankę na wąskiej szybce w drzwiach wejściowych. Dixie siedziała na schodkach, obejmując kolana dłońmi. Uparta baba. Będzie tam siedzieć, aż zapuści korzenie albo zamarznie na śmierć. Nic jej nie była winna, nic jej nie zawdzięczała. Więc czemu wynajęła detektywa?

Przecież to święta, na Boga, czy ta Dixie naprawdę musi zatruwać jej życie właśnie teraz? Sądziła, że gniew i ból już ją opuściły. Usiadła; zwierzęta przycupnęły u jej stóp. Odetchnęła głęboko wonnym zapachem choinkowej girlandy, okręconej wokół balustrady schodów. Spojrzała na niemal dwumetrową choinkę, migoczącą światełkami. W oczach zakręciły się jej łzy na widok góry prezentów. Nie było żadnego dla Dixie. O, nie, na to już się nie nabierze.

Jak długo Dixie będzie siedzieć na tym śniegu? Znała odpowiedź na to pytanie. Przez całą wieczność. Ruby nie zrobiła żadnego ruchu. Dlaczego akurat teraz, po wszystkich tych latach? Musiała czegoś od niej chcieć. Nie bądź okrutna, Ruby. Otwórz te drzwi. Dixie jest dla ciebie jak siostra. Nawet więcej. Kochasz ją. Nieważne, co zdarzyło się wcześniej. Tylko to się liczy. Podrapała Sama za uchem. Koniec z ratowaniem biednych duszyczek, mruknęła. Jeśli Dixie potrzebuje rozgrzeszenia, niech idzie do kościoła. Jak Dixie ją tu znalazła?

Fred wskoczyła na kolana Ruby. Numer Piąty wróciła na stertę bibulek. Zaczęła robić kupkę na kawałek czerwonego papieru z napisem „...Narodzenie”. Nie wypuściła zwierząt na dwór. Może powinna poszczuć je na Dixie, pozwolić im pogonić ją po podwórzu. Dorośnij, Ruby. Bądź życzliwa. Wybacz wszystko, co poczytujesz jej za zdradę. Wysłuchaj. Daj jej szansę. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia minut minęło w okamgnieniu. Dixie nie była zbyt ciepło ubrana. Ruby zdjęła łagodnie Fred z kolan i poszła chwiejnie ku drzwiom. Odchyliła cienką zasłonkę. Dixie kulila się na schodkach. Płatki śniegu osiadały na jej ubraniu.

Ruby otworzyła drzwi jednym szarpnięciem.

— Dobrze, daję ci dziesięć minut. Nie chcę mieć cię na sumieniu — warknęła. Dixie podniosła się z wysiłkiem. Otrząsnęła się tak, jak to robią zwierzęta. Tupnęła, żeby oczyścić buty ze śniegu.

Ruby nie wzięła od niej płaszcza, ale powiedziała nieco życzliwszym tonem:

— Chodź, ogrzej się przy ogniu.

— Jak tu ładnie — zauważyła Dixie, rozglądając się. — I ślicznie pachnie. U ciebie zawsze ładnie pachnie. Trochę mi zimno. Czy mogłabym dostać filiżankę kawy albo czegośkolwiek?

— Dobrze, ale wypijesz ją w dziesięć minut — mruknęła Ruby pod nosem.

W kuchni włączyła ekspres. Czekając, aż kawa się podgrzeje, przekładała cytryny w koszyku. Kiedy z dzbanka zaczęła unosić się para, dodała jeszcze jedną łyżeczkę cukru. W ostatniej chwili podniosła ciepłe kapcie, leżące obok bujanego fotela.

— Włóż je. Kiedy stopy są zimne, reszta ciała też nie może się rozgrzać.

— Dziękuję — powiedziała Dixie z wdzięcznością. — Te wszystkie zwierzęta są twoje?

— Owszem. Są lepsze niż niektórzy ludzie.

Numer Piąty, nowy szczeniak, podpełzł do stóp Dixie i przewrócił się na grzbiet, domagając się pieszczot. Pogłaskała go po brzuszku.

— Koniec wstępów, mów o co chodzi. Wiem, że czegoś ode mnie chcesz, w przeciwnym razie byś się nie fatygowała. Powiedzmy sobie wprost. Złamałaś mi serce. Dla mnie sprawa jest już zamknięta.

— Chcę ją znowu otworzyć — szepnęła Dixie.

— Nie da rady. Więc jeśli to wszystko, możesz już wracać. Zatrzymaj te kapcie.

— Ruby, proszę. Muszę z tobą porozmawiać. Chcę ci wyjaśnić...

— Czy ja już tego nie słyszałam? Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Skąd w tobie tyle goryczy? — spytała Dixie cicho.

— Skąd? Masz jeszcze czelność mnie pytać? — uniosła się Ruby. — A może po prostu kopniesz mnie w żołądek i zادهczesz na śmierć? Nigdy tego nie zrozumiałam. Nadal nie rozumiem.

— Miałam kłopoty. Musiałam sobie poradzić... no, nie wiem. Przestraszyłam się. Musiałam uciekać. W przeciwnym razie zwałiłabym wszystko na twoją głowę. To po prostu nie byłoby sprawiedliwe.

— O, nie. Nie będziesz się mną zasłaniać — zaprotestowała Ruby, krążąc po salonie. Zapach choinki przyprawiał ją o zawrót głowy. — Nikt tu nikogo nie zmuszał. Masz wolną wolę. Zdecydowałaś się zniknąć. Zdecydowałaś się mnie zostawić. Proszę bardzo. Ani słowa więcej. Koniec, to już przeszłość. Chcę ci sprzedać moją połowę firmy. Zresztą nie ma tego zbyt wiele. Nie byłam w stanie przeciwstawić się konkurencji, bo ty nie wyraziłaś na to zgody. Jak tam im było... panie Field i David? Teraz mają już swoje miejsce pomiędzy firmami cukierniczymi. Chcą nas wykupić. Przecież zawsze byłam przy tobie! — wykrzyknęła Ruby.

— Ja także cię nie opuszczałam — rozplakała się Dixie.

— Uciekałaś! Sprzedałaś dom, do ciężkiej cholery! Wystarczyło tylko zadzwonić, wysłać list, kartkę, cokolwiek! Powinnaś mi dać znać, że nic ci się nie stało, że masz problem, z którym musisz sobie sama poradzić. Zajęłoby ci to pięć minut, ale chyba nie byłam warta aż takiego wysiłku. Zejdź mi z oczu, Dixie. Chce mi się rzygać od twoich wykrętów. Powiedziałaś kiedyś, że jesteśmy tandemem, że jesteśmy sobie bliższe niż siostry. Mówiłaś, że razem się zestarzejemy i że będziemy siedzieć w bujanych fotelach i wspominać. Wszystko to wciąż mnie boli, bo z góry wiedziałaś, że to nieprawda. Wierzyłam w naszą przyjaźń. Ty nie, i o to właśnie chodzi.

Ruby usiadła na sofie i schowała twarz w dłoniach. Nie mogła powstrzymać łez cisnących się jej do oczu. Uważając, by nie wejść w drogę podenerwowanym psom, Dixie podeszła i uklękła przy Ruby.

— Nie mogłam sprostać własnemu sukcesowi. Tak powiedział psycholog. Od śmierci Hugona nie radziłam sobie z niczym. Egzystowałam tylko. Nawet kiedy zachorowałam, przez dwa lata nie mogłam się zmusić do pójścia do szpitala. Nic mnie nie obchodziło. Nie chciałam już więcej komplikacji. Kiedy nie wiesz, co robić, nie rób nic, prawda? Byłam tak cholernie zmęczona tym, że jestem ciężarem dla ciebie i dla siebie.

Ruby uniosła głowę. Po jej policzkach toczyły się łzy.

— Myślisz, że dam się nabrać? Nic nie robiłaś przez pięć lat? Akurat. Nie jestem głupia. Wypięłaś się na mnie. Proszę, idź już — powiedziała ze zmęczeniem. Chora? Co to niby ma znaczyć?

— Nigdy nie byłam tak twarda jak ty — westchnęła Dixie ze smutkiem. — Nie potrafię po prostu się otrząsnąć i iść dalej.

— Mogłabym ci pomóc. Po to ma się przyjaciół. I co cię sprowadza po tylu latach?

— Myślałam, że jeśli zjawię się właśnie teraz, potraktujesz mnie nieco łagodniej. Taką miałam nadzieję. Bo ja cię potrzebuję. Potrzebuję kogoś, kto by się mną zajął. Umieram, Ruby. Mam raka piersi. Trzy lata temu zrobiono mi mastektomię, ale pojawiły się przerzuty.

Ruby zakreśliło się w głowie. Przestraszyła się, że za chwilę zemdleje.

— Kto ci powiedział, że umierasz?

— Byłam u pięciu różnych specjalistów. Przerzuty są wszędzie. Codziennie... nie zostało mi wiele czasu. Najwyżej miesiąc. Biorę silne... Słuchaj, nie chcę umierać w samotności, a ty jesteś wszystkim, co mam. Nie chciałam zepsuć ci świąt, Ruby. Przepraszam.

Dixie umierała i przepraszała ją za to. Ruby po raz pierwszy przyjrzała się swojej przyjaciółce. Wyciągnęła ramiona, a Dixie przytuliła się do niej. Wszystko, co było złe, minęło bez śladu, wszystkie te lata zostały wymazane. Później Ruby przysięgała, że w tej samej chwili poczuła, jak zabił ją się krwawa rana w jej sercu.

— Chciałam ci powiedzieć... tyle różnych rzeczy. O sobie. O naszej przyjaźni. Chciałam oczyścić moje życie z wszelkich uraz. Bardzo długo byłam na ciebie zła. Przyczyny, dla których tu przyjechałam, nie są ważne, ale to miejsce, zwierzęta i niektórzy mili ludzie pomogli mi stanąć na nogach. A Andrew zachowywał się cudownie. Trudno w to uwierzyć, co? Mój Boże, oczywiście, że... zaopiekuję się tobą. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale czy na pewno... czy nie byłoby ci lepiej w...

— Nie, Ruby. Tu będzie mi najlepiej, jeśli mnie zniesiesz. Jeśli nie możesz się zmusić, odejść. Jak zawsze mówiłaś, w tym jestem dobra. Obiecuj mi tylko jedno. Nie chcę mieć grobu. Musisz się na to zgodzić.

— Nie chcesz... O, nie! To niemożliwe.

— Nie chcę być pochowana — powtórzyła Dixie z uporem. — Znam cię. Będziesz tam przychodzić, płakać i zanim się obejrzyysz, zaczniesz się czuć winna. Nie chcę być pochowana. Obiecuj mi to.

Ruby pociągnęła żałośnie nosem. Po jej policzkach znowu potoczyły się łzy. Skinęła głową.

— Uporządkowałam wszystkie swoje sprawy. Nie zostawię cię z rozgardiaszem na głowie. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Mówię ci to, bo... bo to prawda. Czy mogłabym się na troszkę położyć?

— Położyć — powtórzyła otepiała Ruby. — Położyć... Och, oczywiście. Czy możesz wejść na górę? Pomogę ci. Oprzyj się o mnie. — Zaprowadziła Dixie do gościnnego pokoju i włączyła koc elektryczny. — Usiądź tu i nie ruszaj się.

Pobiegła do swojego pokoju po długą, flanelową koszulę nocną i parę skarpetek z grubej wełny. W kilka minut rozebrała Dixie i położyła ją do łóżka. Boże, jaka była wychudzona. Skóra i kości. Łzy znowu zakręciły się jej w oczach.

— Nie płacz, Ruby. Płakałam już tak, że wystarczy za nas obie. Przepraszam, ale czy mogłabyś przynieść mi coś ciepłego do picia? Muszę wziąć parę pigułek, a najlepiej popija sieje herbatą. To śmieszne, co?

— Nie, wcale nie. Powiedz mi, czego ci potrzeba, a natychmiast to dostaniesz. Zaraz rozpalę ogień w kominku. Za parę minut w pokoju będzie ciepłutko jak w uchu. Drewno jest suche jak pieprz. To czereśnia, więc słicznie pachnie. Popatrz, strzela iskrami. Och, Dixie, chciałabym mieć więcej... powinnaś przyjechać wcześniej — dokończyła niezgrabnie. — Zaraz wrócę z herbatą. Lubisz aromatyzowaną? Tylko taką mam na składzie.

— Może być. Gorąca woda też wystarczy.

Kiedy znalazła się na korytarzu, rozplakała się jak dziecko. Płakała nad wszystkim, co powinno się wydarzyć, mogło się wydarzyć, co było na wyciągnięcie ręki. Nastawiła wodę, ciągle zalewając się łzami. Bez namysłu sięgnęła po telefon i wykręciła numer Andrew. Opowiedziała mu o wszystkim, głosem przerywanym łkaniem.

— Proszę, przyjeźdź — wykrztusiła. — Potrzebuję kogoś, na kogo mogę liczyć, kto... wspomóż mnie, jeśli upadnę. Wiem, że proszę o wiele.

— Już się pakuję. Ale najbliższy lot mam jutro rano, chyba że chcesz wyczarterować dla mnie samolot.

— Chcę. Przyleć najszybciej, jak możesz.

* * *

— Jezusie, mogłaś mnie uprzedzić, że macie tu metrowe zasy — powiedział Andrew, kiedy następnego ranka zjawił się w domu Ruby. Zwierzęta przyskoczyły do niego, skomląc i szczekając przymilnie. Pogłaskał je, nie spuszczać oczu z Ruby.

— Kawy? — spytała.

— No pewnie, i coś do jedzenia.

Ruby nagle poczuła, że przestaje nad sobą panować. Andrew chwycił ją w ramiona, drżącą i zapłakaną.

— Boże, co mogę zrobić?

— Nie wiem. Może nic. Tylko bądź przy mnie, dobrze? Jeśli zauważysz, że... już sobie... no wiesz... nie radzę, kopnij mnie w tyłek, zrób coś, żeby... muszę to przeżyć, ale na razie nie mogę się pozbierać. Coś we mnie nie chce zapomnieć o złości i bólu. Powiedz coś, proszę. Pomóż mi.

— Ruby, nie możesz zbawić całego świata. Jesteś cudownie szczodłą osobą, ale nie jesteś doskonała. Nikt nie jest. Powiedziałaś, że twoje związki z innymi ludźmi rozlatywały się, bo zbyt wiele od nich wymagałaś. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że zbyt wiele wymagasz też od siebie. Możesz się czasem pomylić. To nic strasznego. Nie szkodzi, że coś w tobie nie pozwala ci puścić wszystkiego w niepamięć. Taka już jesteś.

— Ale Dixie...

— Nie mam najmniejszych wątpliwości, że kocha cię i ufa ci bardziej niż komukolwiek na świecie. Wie, że skoczyłabyś za nią w ogień. Zna cię lepiej niż ty sama. Nie zwracaj sobie głowy tym, czy potrafisz jej wybaczyć. Otwórz tylko serce, nawet jeśli nadal jesteś na nią zła. Otwórz je szeroko, bo nic z tego nie będzie.

— Andrew... Andrew...

— Nigdy... nigdy tak o tym nie myślałam. Naprawdę mogę być na nią zła, a mimo to ją kochać? Skąd... skąd to wszystko wiesz?

— A niby skąd mam wiedzieć? Oboje wiemy, że jestem egoistycznym draniem. Nie chcę o tym mówić, Ruby.

Po dłuższej chwili Ruby odezwała się znowu.

— Już prawie Gwiazdka. Cóż to będą za święta?

— Takie, jakimi je uczynisz. Mam nadzieję, że kupiłaś mi coś fajnego.

— A ty co mi dasz?

— Coś, co będziesz ceniła do końca życia.

Ruby prychnęła.

— Uwierzę dopiero, kiedy zobaczę to na własne oczy. Marthy mówiła, że oglądasz TV-800. Lepiej, żebyś mi niczego stamtąd nie zamawiał. Dobrze ci radzę.

— To będzie znaczący prezent.

W kuchni pojawił się Sam. Pociągnął Ruby za nogawkę spodni i popędził z powrotem na górę.

— Dixie się obudziła. Śpi przez cały czas. Czasami nie... czasem wraca do przeszłości... Dziś rano przez chwilę mnie nie poznawała. Zadzwoiłam do tutejszego lekarza. Był tu niedawno. Powiedział, że przyśle nam mocniejsze środki przeciwbólowe. Czuję się tak cholernie bezradna. Muszę jej jakoś pomóc.

— Już jej pomagasz. Czynisz jej ostatnie dni tak dobrymi, jak tylko można. Ty, nie jakaś pielęgniarzka, nie ktoś obcy.

— Chodź ze mną, proszę cię. Dixie na pewno chciałaby cię zobaczyć. Powiemy, że wcześniej przyjechałaś na święta.

— Popatrz, kogo tu mamy, Dix! — zawołała Ruby wesoło, wchodząc do pokoju.

— Dixie, tak się cieszę, że cię widzę. — Andrew pochylił się nad łóżkiem i pocałował ją w policzek. — Szkoda, że kiepsko się czujesz.

— Andrew, jak miło. Przyjechałeś na święta?

— Mhm. Jesteś skazana na moją obecność. Teraz, moje panie, zostawię was, żebyście mogły sobie poplotkować. Zdaje się, że muszę trochę pomachać łopata, jeśli chcę zobaczyć jakieś żarcie. Masz łopatę do odgarniania śniegu, prawda?

— Jest na tylnym ganku.

— Mogę wziąć jedną z tych nowych pigułek? — spytała Dixie, kiedy Andrew wyszedł z pokoju.

— Jeszcze ich nie dowieźli. Na dworze jest mnóstwo śniegu. Nie mam pojęcia, czy ktoś go odgarnia z głównych dróg.

— A mogę wziąć dwie stare? Te różowe.

— Jasne. — Bierz, co chcesz, pomyślała. Co za różnica, czy weźmiesz dwie lub trzy zamiast jednej? — Może przynieść ci jakąś książkę albo włączyć telewizor? Jest ci ciepło?

— Niczego mi nie brakuje. Ale chętnie bym czegoś posłuchała.

— Muzyki? Przyniosę ci radio, chcesz?

Dixie skinęła głową.

Po chwili Ruby znowu znalazła się w sypialni.

— Ruby, nie staraj się na siłę — szepnęła Dixie.

— Czy ja to robię?

— Tak mi się wydaje. Porozmawiaj ze mną, dobrze? Opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło od czasu, kiedy... kiedy odeszłam. Niczego nie pomijaj.

Ruby zaczęła więc opowiadać i mówiła tak długo, aż zachrynęła. Późnym popołudniem Dixie spytała:

— Czym się zajmiesz, jeśli sprzedasz firmę?

— Nie wiem. Pomyślę o tym, kiedy nadejdzie pora. Nigdy nie opuszczę tego domu. Mogę stąd wyjeżdżać, ale to właśnie ten dom, którego zawsze pragnęłam. Przynależę do tego miejsca. Pieniądze nie będą problemem dla mnie, moich dzieci i nawet ich dzieci. Zapewniłam byt paru pokoleniom. Wyśmiałybyś mnie, gdybym powiedziała, że zamierzam teraz zająć się spełnianiem dobrych uczynków?

— Nie. Powiedziałabym, że to bardzo dobrze. Dla ciebie. A jeśli kiedykolwiek się ci to znudzi, zawsze masz ten przepis na czekoladowe ciasteczka. Może uda ci się z tym coś zrobić. Chciałabym skosztować jednego.

Nagle Ruby nie mogła już powstrzymać łez. Zaniósła się rozpaczliwym szlochem.

— To niesprawiedliwe! — krzyczała z twarzą zalaną łzami. — Dlaczego to akurat ty? Czemu nie jakiś przestępca, ktoś, kto na to zasługuje... Dlaczego ty? Nigdy nie zrobiłaś nic złego. Jesteś dobrym człowiekiem. Jeszcze nie powinnaś odchodzić! Chcę, żebyś była przy mnie!

* * *

Tymczasem Andrew wypił do końca kawę i ruszył na górę, przeskakując po dwa schodki naraz.

— Co się... — przerwał, kiedy zobaczył, jak Dixie pociesza przyjaciółkę. Szepnęła jej do ucha jakieś słodkie słowa, jak zagubionemu dziecku. Jego żona niemal natychmiast uspokoiła się pod delikatnym dotknięciem dłoni Dixie. Był świadkiem sceny, jakiej nie widział jeszcze nigdy w życiu. Wiedział, że nigdy nie uda mu się przeżyć czegoś podobnego, choćby nawet starał się ze

wszystkich sił. Prawdziwa przyjaźń, głęboka miłość i oddanie. Coś, co zdarza się tylko raz w życiu.

— Możesz mówić, Andrew — oznajmiła wreszcie Ruby, podnosząc się z łóżka.

— Dowieźli lekarstwo Dixie.

— Mógłbyś je przynieść? — spytała Ruby spokojnie.

— Jasne. Właśnie zrobiłem kawę, chcecie?

— Ja tak. Dixie?

— Też, ale tylko pół filiżanki.

— Dixie, przepraszam cię. Nie chciałam zrobić takiej sceny.

— Nie szkodzi. Już ci lepiej, prawda?

— Tak.

— A wracając do twojego pytania, ponieważ Bóg ci na nie nie odpowie, właśnie nadszedł mój czas.

— Wiem — mruknęła Ruby, zagryzając wargę.

— Podjęłam dzisiaj decyzję — ciągnęła Dixie. — Postanowiłam, że możecie mnie pochować, ale pod pewnymi... warunkami. Obiecuj, że wyprawisz mi niesamowity pogrzeb.

— Będzie największy i najwspanialszy w tej okolicy. Podjęłaś tę decyzję ze względu na mnie? Jeśli tak, to nie musisz tego robić, poradziłabym sobie.

— Nie, to nie dla ciebie — skłamała Dixie. — To dla mnie.

— Dobrze, ale chcę, żebyś wiedziała, że mogłabym to znieść — skłamała Ruby.

— Czyli postanowione.

— Tak. No dobrze, otwórz buzię, leci nowa pigułka. Spokojnie, wystarczy mały łyeczek.

Dixie opadła na poduszki.

— Opowiedz mi jeszcze raz o Biddym i Mikeyu, i o tym schronisku, które wybudowałaś. To najwspanialsza rzecz, o której zdarzyło mi się słyszeć. Powinnaś wybudować też schronisko gdzieś w New Jersey, może w tych sosnowych lasach. W ten sposób dziękujesz za wszystko, prawda? Chciałabym też mieć w tym udział. Zdecyduj się teraz, dopóki mogę... no wiesz, dopóki jeszcze mogę złożyć podpis.

— Załatwione. Andy skończy to swoje lodowisko w styczniu. Zaraz potem zagonię go do roboty. Coś mi się zdaje, że jestem jego najlepszą klientką. — Nie mogła niczego odmówić kobiecie, którą uważała za swoją najlepszą przyjaciółkę.

— Opowiedz mi o Biddym i Mikeyu — poprosiła znowu Dixie.

— A więc, to było tak...

* * *

W domu Ruby Blue od chwili przybycia Dixie zapanował nowy porządek dnia. Do Andrew należało karmienie zwierząt i wyprowadzanie ich na spacer. Przygotowywał też prowizoryczne posiłki dla siebie i Ruby, a nawet odkurzał i zmywał podłogę w kuchni. Obowiązkiem Ruby była opieka nad Dixie, zmienianie jej pościeli, mycie, czesanie, zmienianie pampersów i śpiewanie kołysanek, dopóki na twarzy przyjaciółki nie pojawił się uśmiech. Siadywała godzinami w wygodnym, miękkim fotelu, który Andrew przytасzczył na górę. Opowiadała najrozmaitsze historie, trzymając gorącą, suchą dłoń Dixie. Mówiła jej o wszystkim, począwszy od najwcześniejszych wspomnień. Nie ukrywała niczego. Czasami Andrew stawał pod drzwiami, słuchając jej, zanim wszedł do pokoju z kawą czy herbatą. Często zawracał i odchodził z oczami pełnymi łez i gniewu. Żeby go rozładować, brał się do porządków. Zbił przy tym tyle talerzy, że musiał pojechać do miasta po nowy komplet.

Poświęcenie Ruby nie miało granic.

Boże Narodzenie i Nowy Rok przeszły spokojnie. Dixie słabła z każdym dniem; wreszcie nie mogła już nawet podnieść głowy. Dziesiątego dnia nowego roku Ruby i stary lekarz, trzymający dłoń chorej patrzyli, jak Dixie Sinclair wydaje ostatnie tchnienie.

Ruby zeszła do kuchni. W jej oczach nie było ani jednej łzy. Andrew objął ją mocno.

— Pozwól, że wszystko załatwię.

— Ja to muszę zrobić. Ale dziękuję ci. — Jak się czujesz?

No właśnie? Czy kiedykolwiek poczuje się lepiej? Tak, z czasem.

— Nie zasługiwała na tyle smutku i cierpienia. Ja też się do tego przyczyniłam. Do końca życia o tym nie zapomnę. Była... dobrym człowiekiem. Będę za nią tęsknić. Kazała mi się pochować tutaj, w Pensylwanii, żeby było mi łatwiej... ją odwiedzać. Będę to robiła.

— Wiem — powiedział Andrew, tuląc ją do siebie.

* * *

Dom pogrzebowy „Oliverie i Syn” był piętrowym, blad różowym budynkiem z cegły. Cztery kolumny, podtrzymywały biały jak śnieg portyk. Obszerne podwórze ozdobiono okrągłym klombem, teraz przysypanym śniegiem, a także szpalerami ostrokrzewu, wyglądającymi tak, jakby strzyżono je nożyczkami do paznokci.

Na podjeździe stały dwa karawany, biały i czarny.

Ruby wysiadła z rangę rovera. Poruszała się powoli jak staruszka. Andrew szedł tuż za nią. Razem zbliżyli się do lśniących, białych drzwi. Wnętrze domu było zimne i ponure. Ruby zarejestrowała niemal bez udziału świadomości ciemne kolory, mrok, zmatowiały mosiadz i mdlący zapach kwiatów. Z głębi pomieszczenia dobiegała muzyka. A może to nie była muzyka. Czy można nazwać muzyką śpiew ptaków i szum wodospadu? Raj. Wieczność. Martwota.

Za przeraźliwie uporządkowanym biurkiem siedziała kobieta w kostiumie z kamizelką. Wstała, żeby ich przywitać. Wyglądała jak jeden z klientów pana Oliverie. Jej podkład miał barwę wosku, a róż został nałożony w kształcie okrągłych plam. Uśmiechnęła się, nie poruszając niemal żadnym mięśniem twarzy.

— Jestem Ruby Blue.

— Ależ oczywiście. Czekaliśmy na panią. Proszę za mną.

Odwróciła się energicznie; szara spódnica zawirowała wokół jej kolan. Ruby zdławiła w sobie dziką chęć ucieczki.

— Spokojnie — szepnął Andrew, wyczuwając, co się z nią dzieje.

— Oto nasz pokój wystawowy — oznajmił szary kostium. Kiedy drzwi zamknęły się, śpiew ptaków i szum wodospadu ustąpiły miejsca dźwiękom fletu. Ruby zadrżała.

— Pan Oliverie zjawi się za chwilę.

I rzeczywiście, w chwilę potem Pasquale Oliverie senior włączył jaskrawe jarzeniowe światło.

— Proszę przyjąć wyrazy mojego najgłębszego współczucia. Co za straszna strata. — Pokręcił głową. — Tragedia — dodał zawodowo ponurym głosem. — Proszę się rozejrzeć, bez pośpiechu. Chętnie odpowiem na każde pytanie. Tutaj mamy ofertę umiarkowaną i luksusową. W ostatnim rzędzie widzi pani modele skromne, o niewygórowanej cenie.

Ruby wciąż czuła dławienie w gardle. Spojrzała na Andrew, który wskazał bez przekonania drugą trumnę w rzędzie luksusowych modeli.

— Pozwolę sobie zauważyć, że ma pan wyjątkowo wyrafinowany gust. To nasz najpopularniejszy model. Hermetycznie zamykany. Podwójne zamki. To krepdeszynowe

pokrycie jest dziełem sztuki. Poduszka jest wypchana. Pani Sinclair będzie się na niej pięknie prezentować.

Ptaki ćwierkały, wodospad bulgotał, Andrew pociągnął Ruby za rękaw. Skinęła tępo głową.

— Nie będzie pani żałować. Zawsze mówię, że w ostatnią podróż należy ruszać z fasonem. A teraz pozwolą państwo do mojego gabinetu. Omówimy szczegóły tego smutnego obrządku.

W gabinecie czekał na nich wózek z poczęstunkiem. Na serwetce z papierowej koronki stał srebrny talerz z maślanymi ciasteczkami. Filiżanki z cienkiej porcelany ze srebrnym brzeżkiem oraz srebrne łyżeczki dopełniały zastawy. Ruby ujęła filiżankę w drżącą dłoń. Filiżanka zaczęła szcząkać przeraźliwie o spodeczek. Ruby usiłowała oprzeć ją o kolano. Nadal szcząkała. Oddała ją Andrew, a on odstawił filiżankę na tacę.

— Czuję się, jakbym trafiła tu przez pomyłkę — szepnęła.

Andrew pokiwał głową.

— A teraz pomówmy o wystawieniu ciała — powiedział Oliverie z ożywieniem. — Jutro o drugiej i o siódmej wieczorem. Po trzy godziny.

— Wystawienie? — Ruby wybałuszyła na niego oczy.

— No tak. Bliscy na pewno zechcą pożegnać się z drogą zmarłą.

— Nie — powiedziała Ruby obcym, nieswoim głosem. — Nie chcę.

— Dobrze — zgodził się Oliverie z urazą. — Czy przyniosła pani ubranie?

— Jakie ubranie? — nie zrozumiała Ruby.

— To, w którym pani przyjaciółka ma być pochowana — wyjaśnił przedsiębiorca cierpliwie.

— Dziś... dziś je przyślę.

O jedenastej opuścili wreszcie dom pogrzebowy „Oliverie i Syn”.

— Śmierć to kosztowna impreza — mruknęła Ruby.

— Z pewnością — powiedział Andrew. — I co teraz?

— Co, co teraz?

— Co robimy? Kupimy kwiaty? Kto zadzwoni po pastora?

— Oliverie tego nie robi? — spytała ochryple. — Moja matka wszystko mi zapisała. Jakie chce kwiaty, kto ma nieść jej trumnę, gdzie chce być pochowana. Nawet wykupiła miejsce na cmentarzu.

— Niektórzy tak robią.

— Mhm. No dobrze, jedźmy do kościoła i kwaciarni.

* * *

Stała nad ziejącą jamą w ziemi. Zamknęła oczy za szklami ciemnych okularów; nie mogła znieść widoku tej strasznej jamy, najgłębszej, jaką zdarzyło się jej widzieć. Usiłowała stłumić jakiś dźwięk, drżący w jej gardle. Chichot? Westchnienie ulgi? Dźwięk narastał. Skupiła myśli na sztucznej trawie, na której stała. Była bardziej zielona niż jakikolwiek trawnik.

Gdzie się podziały jej łyzy? Powinna szaleć z rozpacz. Może to mdlące uczucie to właśnie żal? Spoza ciemnych okularów spojrzała na boki. Do kogo należały te wszystkie buty? Do jej dzieci, kilku przyjaciół, dziennikarzy. Mężczyzna w koloratce nie powiedział ani jednego słowa, które mu napisała. Duchowni, obojętnie jakiego wyznania, po prostu nie wygłaszają żadnych głupich, nieważnych stwierdzeń o ludziach, którzy zasługują na to, żeby zostać uhonorowani po śmierci. Lista wręczona wielebnemu była długa, szczegółowa i starannie napisana. „Oto leży tutaj delikatna, dobra kobieta, urodzona do tego, by się śmiać i kochać. Kobieta wspaniałomyślna, hojnie obdarzająca przyjaciół swoją uwagą i czasem. Kobieta, która umiała się śmiać z samej siebie, której oczy wypełniały się łzami na widok blaszanych puszek na datki dla

ubogich. Znakomita kucharka, cudowna przyjaciółka, przyjaciółka umiejąca wybaczać”. Ruby chciała, żeby głośno powiedziano to wszystko. A ten przekłety idiota głądził coś o dobrych sąsiadach i pomocnych dłoniach.

Uniosła lekko głowę. Spojrzała na trumnę, którą wybrała. Świetny model. No dobrze, ale gdzie ten zamek, który obiecał jej przedsiębiorca? Miał otwierać się na kombinację, wrytą we wnętrzu trumny z brązu. Nie przeszkadzało jej, że spojrzął na nią jak na wariatkę. W tej chwili chyba naprawdę nią była. Przypomniała sobie mętnie słowa Dixie: „Nie musisz tego rozumieć. Zrób to!”. Tego sobie zażyczyła. „To na wypadek, gdyby moja dusza chciała wydostać się na zewnątrz”. Niech go szlag, obiecał jej. Nie zapłaci mu ani grosza, niech ma. Temu cholernemu pingwinowi też nie zapłaci. O Boże, Boże, ona naprawdę umarła. Odeszła.

— Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...

Koniec. To już koniec. Za kilka minut żałobnicy trzymający róże o długich łodygach przemaszerują koło trumny, by po raz ostatni na nią spojrzeć. Upuściła swoją różę na rozmokłą sztuczną trawę. Nie zamierzała patrzeć w głąb grobu.

Czy ta trumna jest naprawdę wodoodporna? Robaki... Do czego zabiorą się najpierw? Do palców u stóp, kostek? O Boże, ona naprawdę umarła... Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz... A szkielet? Na filmach kości leżały w ziemi przez setki lat. Z prochu... Proch jest suchy, ulotny, miałki... O Boże, Boże... Ona naprawdę nie żyje.

— Ruby otworzyła gwałtownie oczy. Chciała się poruszyć, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Obserwowali ją, te wszystkie buty gapiły się na nią, oczekując, że rzuci się na trumnę. Będą zawiedzeni. Sześć tabletek walium odebrało jej zdolność szybkiego poruszania się. Czyjaś ręka dotknęła jej łokcia.

— Nie musi pani stąd odchodzić, ale proszę się odsunąć — powiedział ksiądz.

— Nie przeczytał ksiądz tego, co napisałam. Chciałam...

— Moje dziecko, to by było niestosowne — szepnął duchowny.

— Ojciec — odszepnęła — mam gdzieś, co się ojcu wydaje niestosowne. Zapłaciłam za ten pogrzeb, a ojciec... mówił o niej jak o kimś obcym, kimś, kogo nie znałam... Kiedy ktoś umiera, ma prawo... Mam prawo... proszę mnie zostawić... sama powiem to, co o niej napisałam. Powinien się ojciec wstydzić.

— Moje dziecko, jesteś zdenerwowana. Oczywiście to naturalne... — łagodził duchowny niezręcznie, zdając sobie sprawę, że właśnie stracił szansę na datek na kościół.

— Niech mnie ksiądz nie zagaduje. Nie teraz — syknęła lodowato.

Wreszcie zdołała zebrać w sobie tyle sił, by wygłosić mowę. Rozejrzała się, pewna, iż dzieci nie potraktowały serio jej słów, kiedy poprosiła, żeby zostawiły ją samą pod koniec pogrzebu. Myliła się.

Została sama.

Ruby gorąco tęskniła za wiosną, ale nic nie wskazywało na to, by pojawiła się choćby na dzień przed 21 marca.

Nadal było przeraźliwie zimno. Gdziekolwiek zostały jeszcze zasypane śniegiem. Ruby policzyła dni na kuchennym kalendarzu. Jeszcze tydzień. Ciekawe, czy 21 marca nad ziemią ukażą się kiełkujące pędy roślin? Na to trzeba by cudu albo efektu cieplarnianego. Był rok 1989, co oznaczało, że Ruby wciąż nie ukończyła magicznej sześćdziesiątki. Musiała na nią czekać jeszcze dwa i pół roku. Ta myśl nie przygnębiała jej jakoś. Jeśli czegoś naprawdę żałowała, to tego, że nigdy nie zdarzył się jej dzień pełen euforii. Poza tym była zadowolona ze swojego życia.

W zeszłym roku wreszcie zbliżyła się do nowo poznanych ludzi. Należała teraz do klubu ogrodniczego, kółka czytelniczego, prowadziła zajęcia w szkółce niedzielnej i uczęszczała do małego białego kościołka. Aktywnie działała na rzecz ochrony środowiska i nieustannie pisywała do lokalnych gazet. Jeździła z odczytami na temat recyklingu i niebezpieczeństwa, jakie stanowią dla środowiska plastikowe opakowania. Każdą wolną chwilę poświęcała działalności na rzecz ochrony praw zwierząt. Ruby Blue stała się osobą zaangażowaną.

24 marca wróciła ze spaceru z psami niezadowolona. Nigdzie nie dojrzała choćby najmniejszego pączka czy jednego bladego pędu, przebijającego się przez tłustą, rozmokłą ziemię. Postanowiła zostać w domu. Wciąż gnębiło ją przeziębienie, nie mogła się wykurować. Czuła się otepiała, rozproszona. Była dziś kiepskim towarzystwem.

Robiła sobie właśnie inhalację, usiłując oczyścić zatkaany nos, kiedy rozpoczęły się wiadomości telewizyjne.

Słuchała słów spikera, który informował widzów o zanieczyszczeniu morza w okolicach Alaski. Tankowiec „Exxon Valdez” zatonął, w wyniku czego na powierzchni wody unosiło się jedenaście milionów galonów ropy naftowej. Ruby spróbowała odtworzyć w pamięci mapę stanu Alaska, bez powodzenia. Nie umiała również wyobrazić sobie jedenastu milionów galonów ropy naftowej. Ale wiedziała z całą pewnością, że jest to klęska dla środowiska naturalnego Alaski. Natychmiast zapomniała o przeziębieniu.

Sledziła serwisy informacyjne przez następnych dziesięć dni. Potem podjęła decyzję. Nakarmiła psy, wyprowadziła je na spacer, sprzątnęła w kuchni i zadzwoniła do Noli. Przyjaciółka wyraźnie ucieszyła się na dźwięk jej głosu.

— Jak się miewasz, Ruby? Zamierzam odwiedzić cię podczas weekendu. Masz ochotę na towarzystwo?

— Kiedy indziej podskoczyłabym z radości pod sam sufit, ale w ten weekend wyjeżdżam. Właśnie dlatego dzwonię. Zastanawiałam się, czy nie wybrałabyś się ze mną, jeśli nie masz nic innego do roboty.

— Wakacje! Cudownie. Gdzie?

— Właściwie to nie będą wakacje. Alaska. Ucieszyłabym się, gdybyś pojechała ze mną.

— Mówisz poważnie?

— Jak nigdy w życiu. Zastanawiałam się nad tym od wielu dni. Powinnam podziękować za wszystkie dobre rzeczy, które mnie spotkały. To proste. Muszę to zrobić. Zgodzisz się? — spytała Ruby i wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź przyjaciółki.

— Wiesz co, Ruby? Uważam, że to twój najlepszy pomysł w życiu. Ja też oglądałam dzienniki. Jedynym problemem jest mój pies.

— Ha! — Ruby wypuściła powietrze z głośnym świstem. — Wskakuj do samochodu i przywieź go do mnie. Mikey i Biddy obiecali zaopiekować się moimi zwierzakami. Na pewno jeden więcej nie sprawi im różnicy. Zaczekam na ciebie. Mogę już zacząć wszystko organizować?

— No pewnie. Ja też mam parę rzeczy, za które muszę podziękować. Wspaniale, że o mnie pomyślałaś.

— Zawsze o tobie myślę. Jesteś moją przyjaciółką — powiedziała Ruby radośnie.

— Do zobaczenia za parę godzin. Boże, Ruby, będzie cudownie! Ty i ja, jak kiedyś. Boże!

— Właśnie. Boże... — szepnęła Ruby, układając słuchawkę.

Jedenastego dnia obie stanęły przed numerem 1436 na U Street w Waszyngtonie. Ruby pchnęła drzwi z napisem „GREENPEACE”. Jakiś mężczyzna za biurkiem podniósł na nie zmęczone oczy. Ruby położyła przed nim gazetę opisując historię katastrofy tankowca.

— Nazywam się Ruby Blue. To jest Nola Quantrell. Jak możemy pomóc?

EPILOG

Ruby przekazała z uśmiechem małą wyderkę, którą właśnie oczyściła z ropy innemu ochotnikowi, stojącemu obok niej.

— Jeszcze jedna uratowana — powiedziała, Była zmęczona, lecz szczęśliwa.

Boże, padała na twarz. Pracowała tak od kilku tygodni wraz z innymi ochotnikami. Spała na prowizorycznym posłaniu, jadła ochłapy, wstydząc się, że sobie pobłaża. Przyjechała tu, żeby pomóc i zostanie tu tak długo jak długo potrzeba.

Lepiła się z brudu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio wzięła prysznic. Nie obchodziło jej to. Nikogo tutaj to nie obchodziło.

— Masz — odezwał się za nią znajomy głos. — Ratujemy następną.

Odwróciła się. Nola podała jej kolejną wydrę.

— Jak ci idzie, Ruby?

— Jakoś idzie. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuła się jednocześnie tak szczęśliwa i zmęczona. Dzięki nam coś się zmieniło. To cudowne. Szkoda, że nie ma tu więcej osób.

— Nawet nie pamiętam, jak wygląda Seventh Avenue — oznajmiła Nola radośnie. — To najlepsza rzecz, na jaką się w życiu zdobyłam. Każdego dnia dziękuję Bogu, że poprosiłaś mnie, abym z tobą przyjechała.

— A ja dziękuję Bogu, że się zgodziłaś — powiedział — Ruby z równą radością.

— Kiedy to tutaj się skończy, jeśli kiedykolwiek się kończy. Co zamierzasz ze sobą zrobić?

— Będę pracować dla rezerwatu imienia Dixie Sinclair i piec czekoladowe ciasteczka. Chcesz się przyłączyć?

— No pewnie. Dzięki za propozycję.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Drogie panie, proszę tu spojrzeć! Chciałbym zrobić paniom zdjęcie! — zawołał jakiś wyelegantowany fotoreporter.

— Powinni nam pomóc, zamiast nas fotografować — warknęła Ruby. — Patrz na mnie i rób to, co ja. — Wystąpiła z szeregu ochotników i podeszła do innego fotoreportera. — Pstryknij zdjęcie, kiedy dam znak. W redakcji cię za nie ozłocą — obiecała i wróciła do szeregu, z wydrą w jednej ręce i przesiąkniętą ropą szmatą w drugiej. — Zakładam się o pięć dolców, że owinę tę szmatę dookoła szyi tego palanta. Mam dobrą rękę, wyćwiczoną od rzucania psom patyków.

— Zakład stoi — roześmiała się Nola.

* * *

Dwa dni później na Maui Andrew Blue skinął gazetą na syna, który przyjechał do niego w odwiedzin. Przeczytał podpis pod zdjęciem. „Ochotniczki Ruby Blue i Nola Quantrell dają nauzkę jednemu z reporterów, domagając się, by im pomógł, zamiast robić zdjęcia”.

— Dobra robota, Ruby! — roześmiał się Andrew z dumą. — Dobra robota!